

Cmetarz Zwiezat

KING STEPHEN



calibre 0.7.28

STEPHEN KING

Cmentarz Zwieżat

(Przełożyła Paulina Braiter)

Oto kilku ludzi, którzy napisali książki opowiadające o tym, co robili i czym się przy tym kierowali:

John Dean. Henry Kissinger. Adolf Hitler. Caryl Chessman. Jeb Magruder. Napoleon. Talleyrand. Disraeli. Robert Zimmerman, znany powszechnie jako Bob Dylan. Locke. Charlton Heston. Errol Flynn. Ajatollah Chomeini. Gandhi. Charles Olson. Charles Colson. Wiktorianski dzentelmen. Doktor X.

Większość ludzi wierzy też, iż Bóg napisał Księgę, czy może Księgi, opowiadające o tym, co zrobił i - przynajmniej w pewnym stopniu - czym się przy tym kierował. A skoro większość owych ludzi wierzy również, że człowiek został stworzony na Jego podobieństwo, Boga także można uznać za osobę... czy raczej Osobę.

A oto inni ludzie, którzy nie napisali książek opowiadających o tym, co robili... i co widzieli:

Człowiek, który pochował Hitlera. Człowiek, który przeprowadził sekcję zwłok Johna Wilkesa Bootha. Człowiek, który zabalsamował Elvisa Presleya, i ten, który uczynił to samo - według opinii większości znawców, bardzo kiepsko - z papieżem Janem XXIII. Kilkudziesięciu grabarzy, którzy oczyszczali Jonestown, dzwigali worki ze zwłokami, odganiali roje much, nabijali papierowe kubki na szpikulce używane przez dozorców w miejskich parkach. Człowiek, który skremował Williama Holdena. Mezczyzna, który pokrył ciało Aleksandra Wielkiego złotem, tak by nie tknął go trupi rozkład. Ludzie, którzy mumifikowali faraonów.

Śmierć jest tajemnicą, a pogrzeb - sekretem.

CZESC PIERWSZA

CMETARZ ZWIEZAT

Jezus rzekł im:-Nasz przyjaciel Łazarz śpi, pójdź jednak, by zbudzić go ze snu.

Wówczas uczniowie spojrzeli po sobie z uśmiechem, bo nie wiedzieli, że Jezus mówi w przenośni.

-Panie, skoro śpi, zdrow będzie. Wtedy Jezus przemówił otwarcie.

-To prawda, Łazarz nie żyje... lecz i tak pójdźmy do niego.

Ewangelia według świętego Jana (parafraza)

1.

Louis Creed stracił ojca, gdy miał zaledwie trzy lata; nigdy nie poznał swych dziadków i nie oczekiwał bynajmniej, że wkraczając w wiek średni, znajdzie nowego ojca, jednakże tak właśnie się stało - choć, jak wypada dorosłemu mężczyźnie, spotykającemu tak późno człowieka, który winien odgrywać te role, nazwał go przyjacielem. Poznali się wieczorem tego dnia, gdy wraz z żoną i dwójką dzieci wprowadzał się do wielkiego, białego drewnianego domu w Ludlow. Razem z nimi przybył tam również Winston Churchill, czyli Church, kot córki Louisa, Eileen. Uniwersyteccy wywiadowcy działali powoli, poszukiwania domu w znośnej odległości od uczelni przypominały mrozacy krew w zylach thriller, toteż kiedy wreszcie zbliżyli się do miejsca, w którym miała stać wymarzona siedziba (Wszystko się zgadza - jak znaki w noc przez zabójstwem Cezara, pomyślał ponuro Louis), byli zmęczeni, spieni i bardzo drażliwi. Gage zabkował i awanturował się niemal bez przerwy. Nie chciał zasnąć, choć Rachel starała się ukoić go kolysankami. Potem spróbowała go nakarmić, mimo iż nie nadeszła jeszcze pora, lecz Gage orientował się w rozkładzie posiłków równie dobrze jak ona (a może nawet lepiej) i natychmiast ugryzł ją w piers swymi nowymi zębami. Rachel, wciąż nie do końca przekonana do pomysłu przeprowadzki z Chicago do Maine, wybuchnęła płaczem. Natychmiast dołączyła do niej Eileen, zapewne w odruchu tajemnej kobiecej solidarności. Z tyłu kombi Church krzątał niestrudzenie, tak jak to czynił przez ostatnie trzy dni - tyle bowiem zajęła im jazda z Chicago. Zamknięty w klatce przeraźliwie miauczał, ale to niespokojne krzanie, gdy w końcu ustąpili i wypuścili go, było niemal równie irytujące.

Sam Louis także miał ochotę się rozplakać. Nagle przyszedł mu do głowy szalony, lecz dość necący pomysł: zaproponuje, by wrócili do Bangor i przekasili coś w oczekiwaniu na wóz meblowy, a kiedy trójka zakładników losu wysiadzie, on doda gazu i odjedzie, nie oglądając się za siebie, cisnąć gaz do dechy i napawając się rykiem potężnego, czterocyndrowego silnika wozu, łapczywie zlopiącego cenna benzynę. Ruszy na południe, aż do Orlando na Florydzie, i

pod nowym nazwiskiem znajdzie sobie posadę lekarza w Disney Worldzie. Ale zanim skreci na autostrade - dziewięćdziesiąta piąta, na południe - zatrzyma się na poboczu i wyrzuci też tego pieprzonego kota.

I wtedy pokonali zakręt, a ich oczom ukazał się dom, który wcześniej oglądał jedynie sam Louis. Gdy tylko upewnił się ostatecznie co do swej posady na uniwersytecie, przyleciał tu, by przyrzec się bliżej wyselekcjonowanym ze zdjęć siedmiu możliwym siedzibom, i wybrał właśnie te: wielkie stare domostwo w nowoangielskim stylu kolonialnym (lecz niedawno ocieplone i izolowane; koszty ogrzewania, choć koszmarnie wysokie, nie przekraczały poziomu szalenstwa), trzy pokoje na dole, cztery dalsze na piętrze, długa szopa, która później także można przebudować, a wszystko otoczone rozległym trawnikiem, soczystozielonym nawet w sierpniowym upale.

Za domem rozciągała się wielka łąka, na której mogły bawić się dzieci. Dalej zaczynał się praktycznie niemający końca las. Posiadłość graniczyła z gruntami stanowymi i, jak wyjaśnił pośrednik, w przewidywalnej przyszłości nie planowano tu żadnej rozbudowy. Resztki szczepu Indian Micmaców zadają blisko osiem tysięcy akrow ziemi w Ludlow i miastach na wschód od niego. Skomplikowany proces, w którym oprócz stanu strona był także rząd federalny, potrwa zapewne do następnego wieku.

Rachel natychmiast przestała płakać. Wyprostowała się.

-Czy to...?

-Tak - odparł Louis z lekką obawą (niebezpiecznie graniczącą ze strachem) w głosie. W istocie był przerażony. Za ten dom zastawił dwanaście lat ich życia; splaca go dopiero wtedy, gdy Eileen skończy siedemnaście lat. Siedemnaście lat! W ogóle nie potrafił sobie tego wyobrazić.

Przelknął sline.

-I co ty na to?

-Co ja na to? Jest piękny! - odparta i z serca - oraz umysłu - Louisa spadł olbrzymi kamień. Nie żartowała, widział to po sposobie, w jaki patrzyła na dom, kiedy skrecała w wyasfaltowany podjazd okracający budynek i wiodący do szopy na tyłach. Jej oczy badały już puste okna, a myśli zaprzatały kwestie takie jak odpowiednie zasłony, cerata do wyłożenia polek w kredensie i Bog jeden wie, co jeszcze.

-Tatusiu? - zagadnęła siedząca z tyłu Eileen. Ona też już nie płakała. Nawet Gage przestał marudzić. Louis rozkoszował się ciszą.

-Tak, kochanie?

Jej widoczne w lusterku oczy, brązowe pod ciemnoblonde grzywka, także badały dom: trawnik, widoczny w dali po lewej dach sąsiedniego budynku, rozległe pole aż po linię lasu.

-Czy to jest nasz dom?

-To będzie nasz dom, zlotko.

-Hura! - krzyknęła, ogłuszając go kompletnie. Choć czasami Eileen mocno go drażniła, w tym momencie Louis nie dbał o to, czy kiedykolwiek zobaczy Disney World w Orlando.

Zaparkował przed szopą i zgasił silnik.

Silnik umilkł. W popołudniowej ciszy - która po Chicago, harmidrze State Street i Loopa wydawała się przejmująca - słodko śpiewał ptak.

-Dom - westchnęła cicho Rachel, nie odrywając wzroku od budynku.

-Dom - powiedział z zadowoleniem Gage z jej kolan. Louis i Rachel spojrzeli po sobie. Widoczne w lusterku oczy Eileen rozszerzyły się gwałtownie.

-Czy on...

-Czy ty...

-Czy to...

Wszyscy zaczęli mówić razem i razem wybuchnęli śmiechem. Gage ssal kciuk, nie zwracając uwagi na rodzinę. Prawie od miesiąca mówił "Ma", a kilka razy zaryzykował nawet coś, co przy dużej dawce życzliwości (bądź, jak w przypadku Louisa, nadziei) można by uznać za "Taaa".

Ale to, przypadkiem czy dzięki naśladowictwu, było prawdziwe słowo. Dom.

Louis podniósł synka z kolan żony i przytulił mocno.

I tak przybyli do Ludlow.

2.

We wspomnieniach Louisa Creeda chwila ta na zawsze zapisała się jako magiczna - być może częściowo dlatego, że rzeczywiście taka była, ale też z tego powodu, iż reszta wieczoru okazała się istnym szalenstwem. Przez najbliższe trzy godziny nie zaznali ani chwili magii czy spokoju. Louis starannie (był bowiem człowiekiem porządnym i metodycznym) schował klucze do brązowej koperty, opisanej: "Dom w Ludlow - klucze, otrzymane 29 czerwca". Na czas podróży włożył kopertę do schowka na rekawiczki fairlane'a. Miał co do tego absolutną pewność. Teraz ich tam nie było.

Zaczął ich szukać z rosnącą irytacją (i obawą), a tymczasem Rachel posadziła sobie Gage'a na biodrze i ruszyła w ślad za Eileen ku rosnącemu na polu drzewu. Po raz trzeci zaglądał pod siedzenia, gdy nagle jego córka wrzasnęła i zaczęła płakać.

-Louis! - zawołała Rachel. - Eileen się skaleczyła! Dziewczynka spadła ze zrobionej z opony hustawki i uderzyła kolaniem o kamień. Skaleczenie było płytkie, krzyczała jednak, jakby właśnie straciła nogę, pomyślał (dość nieprzychylnie) Louis. Obejrzał się na dom po drugiej stronie szosy; w oknie salonu plonęło światło.

-W porządku, Eileen - rzekł. - Wystarczy. Ludzie pomyślą, że kogoś tu mordujemy.

-Ale to boooooo!!!!!!

Louis z trudem opanował zniecierpliwienie i bez słowa zawrócił do wozu. Klucze zniknęły, lecz apteczka wciąż tkwiła w schowku. Zabrał ją i ruszył z powrotem. Kiedy Eileen zobaczyła, co niesie, podniosła jeszcze większy wrzask.

-Nie! Nie to piekace! Nie chce piekacego! Tatusiu, nie!

-Eileen, to tylko betadyna. Wcale nie piecze.

-Zachowuj się jak duża dziewczynka - dodała Rachel. - To tylko...

-Nienienienienie...

-Przestan albo zaraz zapiecze cie pupa - ostrzegł Louis.

-Jest zmechzona, Lou - powiedziała cicho Rachel.

-Tak, znam to uczucie. Przytrzymaj jej nogę. Rachel odłożyła Gage'a i unieruchomiła nogę Eileen, a Louis pomalował ranę betadyną, nie zwracając uwagi na coraz bardziej histeryczne zawodzenie córki.

-W tamtym domu ktoś właśnie wyszedł na werandę. - Rachel podniosła Gage'a, który zaczął pełzać po trawie.

-Cudownie - mruknął Louis.

-Jest...

-Zmechzona. Tak, wiem. - Zakrecił buteleczkę i spojrzał ponuro na Eileen. - No proszę. I wcale nie bolało. Przyznaj się, Elle.

-Boli! Właśnie że boli! Boooooo...

Zaswedziała go reka, ale jedynie zacisnął palce na własnej nodze.

-Znalazłeś klucze? - spytała Rachel.

-Jeszcze nie. - Louis zatrzaskał apteczkę i wstał. - Zaraz...

Gage zaczął krzyczeć. Nie marudził ani nie płakał - naprawdę krzyczał, szamocąc się w ramionach matki.

-Co się z nim dzieje? - Rachel niemal na oslepek wepchnęła dziecko mężowi. To pewnie jedna z zalet bycia żoną lekarza, pomyślał; zawsze można wtrącić mu dzieciaka, gdy tylko coś się stanie. - Louis! Co się...

Maluch z donosnym rykiem usiłował złapać się za szyję. Louis przekrecił go na bok i ujrzał biały guz, rosnący na skórze Gage'a. I coś jeszcze, na pasku sweterka, coś włochatego, poruszającego się wolno.

Eileen, która właśnie zaczynała się uspokajać, wrzasnęła:

-Pszczoła! Pszczoła! PSZCZOLA!

Odskoczyła gwałtownie, potknęła się o ten sam wystający nad ziemię kamień, z którym zaznajomiła się wcześniej, usiadła z rozmachem i rozplakała się z bólu, zaskoczenia i strachu.

Zaraz zwariuje, pomyślał ze zdumieniem Louis. Leeeeeeeeeeee...

-Zrób coś, Louis! Nie możesz czegoś zrobić?

-Trzeba wyciągnąć zadło - oznajmił przeciągle głos za ich plecami. - Tak należy postąpić. Wyciągnąć zadło i przyłożyć sodę oczyszczoną. Wtedy zjedzie opuchlizna. - Akcent przybysza był tak silny, że przez moment znudzony, rozkojarzony umysł Louisa odmówił współpracy w tłumaczeniu. "Wycgnonc zonlo i przložyc soode oczyszczono".

Odwrocił się i ujrzał starego mężczyznę, na oko około siedemdziesiątki - czerstwej i zdrowej siedemdziesiątki - stojącego na trawie. Nieznajomy miał na sobie farmerki i błękitną płocienną koszulę, z której wylaniała się mocno pofalowana i pomarszczona szyja. Twarz miał ogorzala i palił papierosa bez filtra. Na oczach Louisa starzec kciukiem i palcem wskazującym zgasił papierosa i wsunął go zrecznie do kieszeni. Wyciągnął ręce i uśmiechnął się krzywo; Louisowi natychmiast spodobał się ten uśmiech, a nie należał do ludzi, którzy lgną do innych.

-Nie żebym miał pana uczyć, doktorze - dodał tamten i tak właśnie Louis Creed poznał Judsona Crandalla, mężczyznę, który powinien być jego ojcem.

3.

Obserwował ich przyjazd z drugiej strony drogi i kiedy uznał, że "marnie to wygląda" (jego własne słowa), poszedł sprawdzić, czy nie zdola im pomóc. Podczas gdy Louis trzymał małego na ramieniu, Crandall zbliżył się, oszacował wzrokiem rozmiar opuchlizny na szyi Gage'a i wyciągnął sekata, powykrecał reke. Rachel otworzyła usta, by zaprotestować - jego dłoń, niemal dorównująca wielkością głowie malca, wyglądała okropnie niezgrabnie - ale zanim zdążyła powiedzieć choć słowo, palce starca wykonały jeden szybki ruch, zrecznie niczym u iluzjonisty, popisującym się karcianymi sztuczkami i posyłającym monety w tajemną otchłan magików. Unosił dłoń, pokazując zadło.

-Spore - mruknął. - Może nie rekordowe, ale załapałoby się na podium.

Louis wybuchnął śmiechem. Crandall spojrzał na niego z krzywym uśmiechem.

-Mocna rzecz, no nie?

-Mamusiu, co powiedział ten pan? - spytała zdumiona Eileen i wtedy Rachel także zaczęła się śmiać. Oczywiście było to okropnie niegrzeczne, lecz jednocześnie wydawało się dziwnie na miejscu. Crandall wyciągnął z kieszeni paczkę chesterfieldów king size, wsunął jednego w kącik pobrużdżonych ust, pogodnie skłonił głowę - teraz już nawet Gage zanosił się gulgoczającym śmiechem, mimo opuchlizny po uzadleniu - i zapalił zapalke, pocierając ją o paznokieć kciuka. "Starzy ludzie mają swoje sztuczki, pomyślał Louis. Nie są to wielkie sprawy, ale niezłe, naprawdę niezłe".

Przestał się śmiać i wyciągnął te ręce, która nie podtrzymywała pupy Gage'a - wyraźnie wilgotnej pupy Gage'a.

-Milo mi poznać, panie...

-Jud Crandall - odparł tamten i uścił mu dłoń. - Pan pewnie jest doktorem?

-Tak. Jestem Louis Creed. Moja żona Rachel, córka Eileen, a maluch z zadłem to Gage.

-Milo mi.

-Przepraszam za ten śmiech... to znaczy, wszyscy przepraszamy, ale... jesteśmy trochę, no, zmęczeni.

To wysoce nieodpowiednie określenie sprawilo, ze znow zaczal chichotac. Czul sie smiertelnie wyczerpany. Crandall przytaknal.

-Jasne, ze tak. - Zabrzmialo to: "Jasne, ze taag". Zerknal na Rachel. - Moze zabierze pani malego i coreczke na chwilke do nas, pani Creed? Moglibysmy nasypac na sciereczke troche sody oczyszczonej i zrobic mu oklad. Moja zona tez chetnie was pozna. Rzadko wychodzi z domu. Od dwoch lat za bardzo dokucza jej artretyzm.

Rachel spojrzala szybko na meza, ktory skinal glowa.

-To bardzo uprzejmie z pana strony, panie Crandall.

-Po prostu Jud.

Nagle rozleglo sie donosne trabienie i ryk silnika. Wielki blekitny woz meblowy skrecal wlasnie przed dom.

-O Chryste, jeszcze nie znalazlem kluczy! - jeknal Louis.

-Nie ma sprawy - odparl Crandall. - Mam jeden komplet. Clevelandowie - poprzedni wlascciele - dali mi je jakies - och, bedzie czternascie, pietnascie lat temu. Dluho tu mieszkali. Joan Cleveland byla najlepsza przyjaciolka mojej zony. Umarla dwa lata temu. Bill przeniosl sie do osrodka dla emerytow w Orrington. Zaraz je przyniose. Zreszta teraz naleza do was.

-Jest pan bardzo uprzejmy, panie Crandall - powiedziala z wdziecznoscia Rachel.

-To nic takiego. Ciesze sie, ze w sasiedztwie znow zamieszkaja maluchy. - Nienawykly do jego akcentu uszy ze Srodkowego Zachodu wciaz mialy klopoty z rozroznianiem slow, jakby Crandall przemawial w obcym jezyku. - Tylko prosze uwazac, zeby nie wybiegaly na droge. Jezdzi tedy mnostwo ciezarowek.

Tuz obok trzasnely drzwi. Pracownicy firmy przewozowej wyskoczyli z szoferki i szli ku nim. Ellie oddalila sie nieco i nagle spytal:

-Tatusiu, co to?

Louis, ktory ruszyl juz na spotkanie przybyszow, obejrzal sie przez ramie. Na skraju laki, gdzie konczyl sie trawnik, a jego miejsce zajmowal lan wysokich letnich traw, zaczynala sie szeroka na jakis metr, starannie przystrzyzona sciezka. Kreta drozka wspinala sie na wzgorze, okrazala niska kepe krzakow i niewielki brzozowy zagajnik i znikala w dali.

-Wyglada mi na sciezke - odparl.

-O tak. - Crandall usmiechnal sie. - Ktoregos dnia opowiem ci o niej, panienko. A teraz pojedziemy do mnie i zajmiemy sie twoim braciszkiem. Zgoda?

-Jasne - odparla Ellie, po czym z nutka nadziei w glowie dodala: - Czy soda oczyszczona piecze?

4.

Crandall istotnie przyniosl klucze, lecz do tego czasu Louis zdazyl juz znalezc wlasny komplet. Schowek na rekawiczki mial u gory waska szczeline i niewielka koperta zeslizgnela sie przez nia pomiedzy obwody elektryczne. Wylowil ja i wpuscil do domu robotnikow. Crandall oddal mu swoje klucze, przyczepione do starego, zasniezdzialego breloczka. Louis podziekowal mu i z roztargnieniem wsunal je go kieszeni, patrzac, jak robotnicy przenosza ich pudla, szafy, biurka i wszystkie inne rzeczy, ktore zdolali zgromadzic w ciagu dziesieciu lat malzenstwa. Teraz, z dala od swych zwyklych miejsc, wydawaly sie dziwnie niewazne. Zbieranina rupieci w pudlach, pomyslal i nagle ogarnelo go przygnebienie. Domyslal sie, ze czuje cos, co zwykle nazywa sie "tesknota za domem".-Wyrwani z korzeniami i przesadzeni - powiedzial niespodziewanie Crandall tuz obok niego. Louis az podskoczyl.

-Pewnie znasz to uczucie?

-Prawde mowiac, nie. - Crandall zapalil papierosa. Trzask! Zapalka rozjarzyla sie jasnym plomykiem w pierwszym polmroku zmierzchu. - Moj ojciec zbudowal tamten dom. Sprowadzil do niego zone i razeni splodzili dziecko. To ja bylem tym dzieckiem, urodzonym w samiuskim roku 1900.

-To znaczy, ze masz...

-Osiemdziesiat trzy lata - odparl Crandall, na szczescie unikajac slow "osiemdziesiat z hakiem"; Louis serdecznie nie

znosił tego określenia.

-Wygladasz o wiele młodziej. Crandall wzruszył ramionami.

-No, w każdym razie mieszkam tu całe życie. Kiedy przyłączyliśmy się do Wielkiej Wojny, wstąpiłem do wojska, ale zamiast do Europy, dotarłem tylko do Bayonne w New Jersey. Paskudne miejsce. Było paskudne już w 1917. Z radością wróciłem tutaj. Ożeniłem się z moją Normą, odpracowałem swoje na kolei i wciąż tu jesteśmy. Ale nawet tu, w Ludlow, wiele widziałem. O tak, naprawdę wiele.

Pracownicy firmy przewozowej zatrzymali się przed drzwiami szopy. Dźwigali sprężynowy materac z wielkiego podwójnego łóżka, które Louis dzielił z Rachel.

-Gdzie to postawić, panie Creed?

-Na gorze. Chwileczkę, pokaże panom. - Już ku nim ruszał, lecz zawahał się i spojrzał szybko na Crandalla.

-Idź - rzekł tamten z uśmiechem. - Zobacz, jak sobie radzi twoja rodzina. Przysłał ich tutaj i przestane wchodzić wam w parę. Ale przy przeprowadzce często zasycha człowiekowi w gardle. Zazwyczaj koło dziewiątej siadam na werandzie i wypijam parę piw. Kiedy jest ciepło i ładnie, lubię patrzeć, jak zapada noc. Czasami dołącza do mnie Norma. Wpadnij, jeśli będziesz w nastroju.

-Może i wpadnie - odparł Louis, choć wcale nie miał takiego zamiaru. Wiedział, co czeka go na werandzie: nieoficjalne (i darmowe) badanie artretyzmu Normy. Spodobał mu się Crandall, jego krzywy uśmiech, swoboda, jankeski akcent - tak miękki, że ocierający się o zaciąganie. To dobry człowiek, uznał Louis, lekarze jednak szybko robią się nieufni. Niestety, tak to już jest - wcześniej czy później nawet najlepszy przyjaciel prosi o poradę. A ze starszymi ludźmi... podobne prośby nie miały końca. - Ale proszę na mnie nie czekać. Mielimy bardzo ciężki dzień.

-Bylebys wiedział, że nie potrzebujesz specjalnego zaproszenia. - Coś w uśmiechu starego mężczyzny sprawiło, iż Louis odniósł wrażenie, jakby Crandall dokładnie wiedział, o czym myśli nowy sąsiad.

Przez chwilę odprowadzał wzrokiem starca, po czym dołączył do robotników. Crandall siedł szybko i lekko, wyprostowany niczym szesćdziesięcioletek, nie mężczyzna, który przekroczył osiemdziesiąt lat, i Louis odkrył, że zaczyna go lubić.

5.

Robotnicy zebrali się przed dziewiątą. Ellie i Gage, kompletnie wyczerpani, spali już w swoich nowych pokojach - Gage w łóżku, Ellie na podłodze, na materacu otoczonym spiętrzonymi gorami pudel, pełnych miliardów kredek, całych, połamanych i stepionych, a także plakatów Ulicy Sezamkowej, książeczek z obrazkami, ubran i Bog jeden wie, czego jeszcze. I oczywiście był z nią też Church powarkujący gardłowo przez sen. Odgłos ten zastępował u wielkiego kocura zwykle kocię mruczenie. Wcześniej Rachel krzątała niespokojnie po domu z Gage'em w ramionach, próbując odgadnąć, gdzie Louis kazał tragarzom ustawić rzeczy, i zmuszając ich do przesuwania, przestawiania i przemieszczania. Na szczęście Louis nie zgubił czeku, który wciąż tkwił w jego kieszeni razem z pięcioma banknotami dziesięciodolarowymi przeznaczonymi na napiwek. Gdy ciężarówka została wreszcie opróżniona, podał tragarzom czek i gotówkę, skinał głową, słysząc ich podziękowania, podpisał pokwitowanie i stanął na werandzie. Patrzył, jak maszerują w stronę wozu. Podejrzewał, że pewnie robią sobie postój w Bangor i przeplucza gardła kilkoma piwami. On też chętnie lyknałby piwa. W tym momencie przypomniał sobie o Judzie Crandallu.

Usiedli z Rachel przy kuchennym stole i Louis dostrzegł ciemne ślady pod oczami żony.

-Do łóżka - powiedział. - Ale już.

-Zalecenie lekarza? - spytała z lekkim uśmiechem.

-Jasne.

-Zgoda. - Wstała. - Jestem wykończona. A Gage z pewnością będzie marudził w nocy. Idziesz?

Zawahał się.

-Raczej nie. Ten staruszek z tamtej strony ulicy...

-Drogi. Tu, na wsi, nazywają ją droga. Czy też, jak mawia Judson Crandall, drooogo.

-No dobra, z tamtej strony droogi. Zaprosil mnie na piwo. I chyba skorzystam z zaproszenia. Jestem zmeczony, ale zbyt podekscytowany, by zasnac.

Rachel usmiechnela sie.

-Skonczy sie na tym, ze bedziesz musial wypytywac Norme Crandall, gdzie ja boli i na jakim sypia materacu.

Louis rozesmial sie. Zabawne - i nieco przerazajace - jak po pewnym czasie zony uczu sie czytac w myslach mezow.

-Byl tu, kiedy go potrzebowalem. Moge mu wyswiadczyć przysluge.

-Handel wymienny?

Wzruszyl ramionami. Nie chcial jej mowic - a zreszta i tak nie umialby tego wytlumaczyc - ze tak szybko polubil Crandalla.

-Jaka jest jego zona?

-Strasznie mila - przyznala Rachel. - Gage usiadl jej na kolanach. Bylam zdziwiona, bo mial za soba ciezki dzien, a wiesz, ze nawet w najlepszych warunkach rzadko akceptuje nieznajomych. Ma tez lalke i dala ja Eileen do zabawy.

-Jak oceniasz jej artretyzm?

-Nie najlepiej z nia.

-Wozek?

-Nie... ale bardzo wolno chodzi, a jej palce... - Rachel uniosla wlasna smukla dlon i demonstracyjnie zakrzywila palce niczym szpony. Louis przytaknal. - Tylko prosze, nie siedz tam dlugo, Lou. W obcych domach zawsze czuje sie okropnie nieswojo.

-Niedlugo nie bedzie juz obcy - odparl Louis i pocalowal zone.

6.

Po powrocie do domu Louis czul sie bardzo malutki. Nikt nie prosil go o zbadanie Normy Crandall. Kiedy przeszedl na druga strone ulicy ("drogi", upominal sie z usmiechem), pani domu poszla juz na gore. Jud byl tylko niewyrazna postacia za siatka zamknietej werandy. W powietrzu unosil sie przyjazny dzwiek: skrzypienie biegunow fotela na starym linoleum. Louis zastukal w siatkowe drzwi, ktore zagrzechotaly w drewnianej ramie. W letnim mroku czubek papierosa Crandalla Isnil niczym wielki, uspiony swietlik. Ze sciszonego radia dobiegaly odglosy meczu i wszystko to sprawilo, ze Louis Creed poczul sie dziwnie, zupełnie jakby wracal do domu.-Doktorze - rzucil Crandall - tak myslalem, ze to ty.

-Mam nadzieje, ze mowiles powaznie o piwie - odparl Louis, wchodzac do srodka.

-Nigdy nie klamie, jesli chodzi o piwo - oznajmil Crandall. - Klamiac o piwie, mozna narobic sobie wrogow. Prosze, usiadz. Na wszelki wypadek wsadzilem w lod kilka puszek.

Na dlugiej, waskiej werandzie staly rattanowe krzesla i kanapy. Louis przysiadl na jednej, zdumiony, jak bardzo okazala sie wygodna. Po lewej ustawiono gleboka blache pelna kostek lodu, wsrod ktorych tkwilo kilka puszek black label. Wzial sobie jedna.

-Dziekuje. - Otworzył piwo. Dwa pierwsze lyki splynely w glab gardla niczym blogoslawnienstwo.

-Alez prosze - odparl Crandall. - Mam nadzieje, ze bedziesz tu szczesliwy.

-Amen - rzekl Louis.

-A moze masz ochote cos przekasic? Krakersa? Moglbym przyniesc. Mam tez kawal dojrzalego szczura. Bylby w sam raz.

-Kawal czego?

-Szczurzego zarcia, sera. - W glosie Crandalla zabrzmiala nutka rozbawienia.

-Dzieki, starczy mi piwo.

-No to damy sobie spokój. Crandall beknał z zadowoleniem.

-Zona już się położyła? - spytał Louis, zastanawiając się, czemu w ogóle porusza ten temat.

-Owszem. Czasem zostaje dłużej, czasem nie.

-Artretyzm, tak? Bardzo boli?

-Widziałeś kiedyś, żeby nie bolało? - spytał Crandall. Louis potrząsnął głową.

-Chyba jest jeszcze znośnie - powiedział gospodarz. - Nie narzeka zbyt wiele. To porządna dziewczyna, ta moja Norma. - W jego słowach dzwieczało proste, szczere uczucie.

Po drodze z głośnym chrzestem przejechała cysterna, tak długa, że przez sekunde Louis nie widział swojego domu. W ostatnim blasku dnia dostrzegł, że na boku miała wypisane jedno słowo: "Orinco".

-Piekielnie wielka ciężarówka - zauważył.

-Orinco leży tuż obok Orrington - wyjaśnił Crandall. - Fabryka nawozów sztucznych. Co chwila tędy jeżdżą. A także cysterny z benzyną, śmieciarki i ludzie, którzy pracują w Bangor i Brewer, a wieczorami wracają do domów. - Potrząsnął głową. - To jedno w Ludlow mi się nie podoba. Ta cholerna droga. Nic z niej dobrego. Cały czas jeżdżą i jeżdżą. Czasami budzą Normę. Do diabła, czasami budzą nawet mnie, a śpię jak cholerny kamień.

Louis, któremu po nieustannym huku Chicago ta część stanu Maine wydawała się niemal niesamowicie cicha, jedynie skinał głową.

-Pewnego dnia Arabowie zakreca kurek i na linii ciąglej będzie można zasadzić fiołki - oznajmił Crandall.

-Może i racja. - Louis przechylił puszkę i ze zdumieniem odkrył, że jest pusta. Gospodarz rozesmiał się.

-Lap, doktorze. Z tej nic już nie wycisniesz. Louis zawahał się.

-Zgoda. Ale tylko jedna. Muszę wracać do domu.

-Jasne. Przeprowadzka to koszmar, prawda?

-O tak - zgodził się Louis. Na jakiś czas obaj umilkli. Cisza miała w sobie coś przyjaznego, jakby znali się od bardzo dawna. Dotąd Louis czytał o czymś takim w książkach, ale sam nigdy tego nie doświadczył. Zawstydzil się swoich wcześniejszych myśli o darmowych poradach medycznych.

Po drodze z rykiem przejechała polciężarówka. Jej światła rozbłysły niczym gwiazdy na ziemi.

-To naprawdę paskudna droga - powtórzył Crandall z namysłem, jakby mówił do siebie, po czym odwrócił się do Louisa. Na jego pomarszczonych wargach zatanczył osobliwy uśmiešek. Wsunął w kącik ust chesterfielda i kciukiem zapalił zapalke. - Pamiętasz tę ścieżkę, o której wspomniała twoja dziewczynka? - Przez moment Louis nie wiedział, o czym tamten mówi. Zanim Ellie opadła w końcu z sił i położyła się do łóżka, wspominała o całym mnóstwie rzeczy. W końcu jednak przypomniał sobie. Szeroka, wystrzyżona, kreta ścieżka, wiodąca poprzez zagajnik i dalej za wzgórze.

-Owszem. Obiecales, że kiedyś jej o niej opowiesz.

-Jasne. I zrobię to - odparł Crandall. - Ścieżka zagłębia się w las na ponad dwa kilometry. Miejscowe dzieciaki z okolic trasy numer 15 i Middle Drive utrzymują ją w porządku, bo z niej korzystają. Dzieci zjawiają się i odchodzą - w dzisiejszych czasach ludzie przeprowadzają się częściej niż wtedy, gdy byłem małym chłopcem; wówczas wybierało się sobie jedno miejsce i trzymało się go - ale najwyraźniej opowiadają sobie o niej i każdej wiosny nowa grupka przycina trawę na ścieżce. Utrzymują ją w porządku całe lato. Wiedzą, że tam jest. Nie wszyscy dorośli w mieście wiedzą - większość, owszem, jednak nie, bynajmniej nie wszyscy - ale dzieci tak. Założyłbym się, o co zechcesz.

-Wiedzą, że co tam jest?

-Cmentarz zwierząt - wyjaśnił Crandall.

-Cmentarz zwierząt - powtórzył z rozbawieniem Louis.

-Nie jest to tak dziwne, jakby się mogło wydawać. - Crandall zaciągnął się dymem i zakolysał w fotelu. - To ta droga. Ginie

na niej duzo zwierzat. Glownie psy i koty, ale nie tylko. Jedna z tych wielkich ciezarówek "Orinco" przejechala oswojonego szopa, ktorego hodowaly dzieci Ryderow. To bylo - Chryste, jeszcze w siedemdziesiatym trzecim. Moze nawet wczesniej. Zanim wladze stanowe zakazaly trzymania w domach szopow i osdmrodzonych skunksow.

-Czemu to zrobili?

-Wscieklizna - odparl Crandall. - Tu w Maine ciagle pojawia sie wscieklizna. Kilka lat temu wielki stary bernardyn na poludniu stanu wsciek sie i zabil czworo ludzi. Paskudna sprawa. Nie zaszczepili go. Gdyby ci durnie dopilnowali, zeby dostal szczepionke, nigdy by do tego nie doszlo. Ale szopa czy skunksa mozna szczepic co pol roku, a i tak nie jest bezpieczny. Lecz szop chlopakow Rydera byl, jak sie kiedys mowilo, "slodkim" szopem. Podlazil wprost do czlowieka - a gruby byl, ze strach! - i lizal po twarzy niczym pies. Ich ojciec zaplacicl nawet weterynarzowi, zeby go wykastrowal i usunal mu pazury. To musial kosztowac prawdziwa fortune.

Stary Ryder pracowal w IBM w Bangor. Potem przeniesli sie do Kolorado. Piec lat temu... a moze to bylo szesc? Zabawne pomyslec, ze ci dwaj beda mogli wktotce zrobic prawo jazdy. Czy bardzo rozpaczali z powodu szopa? Chyba tak. Matty Ryder plakal tak dlugo, ze jego matka przestraszyla sie i chciala wezwac lekarza. Pewnie juz mu przeszlo, ale nie zapomnial. Kiedy kochany zwierzak ginie na drodze, dzieciaki nigdy nie zapominaja.

Mysli Louisa powedrowaly ku Ellie, takiej, jaka widzial ja tego wieczoru: spiaciej twardo z Churchem pomrुकujacym zgrzytliwie w nogach materaca.

-Moja corka ma kota - rzekl glosno. - Winstona Churchilla. Wolamy na niego Church.

-Podzwania, kiedy chodzi?

-Slucham? - Louis nie mial pojecia, o czym tamten mowil.

-Wciaz ma jaja czy go wykastrowaliscie?

-Nie - odparl Louis. - Nie wykastrowalismy.

W istocie juz w Chicago byly z tym problemy. Rachel chciala wykastrowac Churcha, zamowila juz wizyte u weterynarza. Louis ja odwolal. Nawet teraz nie byl pewien, dlaczego to zrobil. Nie chodzilo o cos tak prostego i glupiego, jak powiazanie wlasnej meskoscii z meskoscia kocura corki, ani tez o niechec na mysl, ze Church bedzie musial przez to wszystko przejsc tylko po to, by tlusta kura domowa z sasiedztwa nie musiala zakrecac plastikowych kublow na smieci, zeby nie dobieral sie do nich wiecej i nie badal zawartosci. Jedno i drugie bylo czescia problemu, przede wszystkim jednak dreczylo go niejasne, lecz przejmujace przeczucie, ze zabieg zniszczy w Churchu cos, co on sam cenil najbardziej - ze zgasi diabelskie smialkowate swiatelko w zielonych oczach kota. W koncu przekonal Rachel, ze skoro wktotce przeprowadzaja sie na wies, problem zniknie. A teraz Judson Crandall przypominal mu, iz zycie w Ludlow oznaczalo takze oswojenie sie z trasa numer 15. Bardzo ruchliwa trasa. I pytal, czy kot zostal wykastrowany. To dopiero. Prosze sprobowac ironii, doktorze Creed - dobrze robi na wzmacnienie.

-Na twoim miejscu wykastrowalbym go - oznajmil Crandall, zgniatajac papierosa miedzy kciukiem i palcem wskazujacym. - Wykastrowany kot nie walesa sie wokol domu. Gdyby ciagle przebiegal przez droge, w koncu zabrakloby mu szczescia i wyladowalby obok szopa dzieciakow Rydera, cocker-spaniela malego Timmy'ego Desslera i papuzki panny Bradleigh. Nie zeby papuzka zginela na drodze, rozumiesz. Po prostu ktoregos dnia padla.

-Zastanowie sie nad tym - obiecal Louis.

-Zrob tak. - Crandall wstal. - Jak tam piwo? Chyba jednak skusze sie na plasterek szczurzego zarcia.

-Piwa juz nie ma - odparl Louis, takze wstajac. - A ja powinienem isc. Jutro mam wielki dzien.

-Zaczynasz na uniwersytecie? Louis przytaknal.

-Dzieciaki wroca dopiero za dwa tygodnie, ale do tego czasu powinienem sie zorientowac w tym, co robie. Nie sadzisz?

-Jasne. Jesli nie wiesz, gdzie znalezc pigulki, prosisz sie o klopoty. - Crandall wyciagnal dlon i Louis uscislal ja, pamietajac, ze stare kosci sa wzrażliwsze na bol. - Wpadaj, kiedy bedziesz mial ochote. Chce, zeby poznal moja Norme. Chyba jej sie spodobasz.

-Tak zrobie - odrzekl Louis. - Ciesze sie, ze cie poznalem, Jud.

-I nawzajem. I nawzajem. Przyzwyczajcie się do tego miejsca. Może nawet zostanieie tu dłużej.

-Taka mam nadzieje.

Louis ruszył wolno osobiwie wybrukowana sciezka. Musiał przystanac na poboczu drogi, czekając, aż przejedzie kolejna ciężarówka, której tym razem towarzyszyło pięć samochodów zmierzających w stronę Bucksport. Potem, unosząc dłoń w niemym pozdrowieniu, przeszedł na drugą stronę ulicy (drogi - upomniał się w duchu) i otworzył drzwi nowego domu.

W środku panowała cisza, przerywana tylko odgłosami snu. Ellie najwyraźniej się w ogóle nie poruszyła, a Gage leżał w kółeczku, śpiąc w typowej Gage'owskiej pozycji, na wznak, z szeroko rozrzuconymi rękami i butelką w pobliżu. Louis przystanął, patrząc na syna. Jego serce gwałtownie wezbrało miłością do chłopca, tak silną, że wydawała się niemal niebezpieczną. Przypuszczał, że częściowo sprawiła to emocjonalna pustka po rozstaniu ze znajomymi miejscami i twarzami w Chicago, które obecnie zniknęły z ich życia, oddalając się z każdym kilometrem, tak skutecznie, że równie dobrze mogły w ogóle nie istnieć. W dzisiejszych czasach ludzie przeprowadzają się częściej... wówczas wybierało się jedno miejsce i trzymało się go. Było w tym sporo prawdy.

Podszedł do syna i ponieważ obok nie było nikogo, kto mógłby to zobaczyć, nawet Rachel, ucałował czubki swoich palców, po czym musnął nimi policzek Gage'a przez prety kółeczki.

Gage zamlaskał i przekreślił się na bok.

-Spój dobrze, malutki - szepnął Louis.

Rozebrał się szybko i wsłiznął na swoją połowę podwójnego łóżka, obecnie będącego jedynie materacem na podłodze. Czuł, jak zaczyna go opuszczać napięcie całego dnia. Rachel nawet nie drgnęła. Wokół nich pietryły się upiorne stosy nierozpakowanych pudeł.

Tuż przed zasnięciem Louis podparł się na łokciu i wyjrzał przez okno. Ich sypialnia mieściła się od frontu, toteż mógł sięgnąć wzrokiem na drugą stronę drogi, aż do domu Crandallow. Był zbyt ciemno, by móc dostrzec jakiegokolwiek kształtu - co innego w jasną księżycową noc - widział jednak zarzuty się w dali koniuszek papierosa. Jeszcze się nie położył, pomyślał. Może tak siedzieć bardzo długo. Starzy ludzie marnie śpią. Może czuwając pełnią straż?

Ale kogo się obawiają?

Myslał o tym, zapadając w sen. Śniło mu się, że jest w Disney Worldzie. Prowadził śnieżnobiałą furgonetkę z wymalowanym na boku czerwonym krzyżem. Obok niego siedział Gage, lecz we śnie Gage miał co najmniej dziesięć lat. Na tablicy rozdzielczej furgonetki przycupnął Church, przyglądając się Louisowi jaskrawozielonymi oczami. A na głównej ulicy obok dworca kolejowego z końca zeszłego wieku Myszka Miki ścisnęła dłonie zgromadzonych wokół niej dzieci. Jej wielkie, białe rękawice polykały kolejne malutki, ufnie raczki.

7.

Przez następne dwa tygodnie cała rodzina pracowała jak szalona. Louis powoli przywykał do nowej posady (czy przywyknie do niej, gdy cały kampus zaleje fala dziesięciu tysięcy studentów, wielu z nich uzależnionych od alkoholu bądź narkotyków, cierpiących na choroby weneryczne, niespokojnych o swe stopnie, dreczonych przez depresję i tęsknotę za domem... a do tego jeszcze kilkunastu, głównie dziewczęta, chorych na anoreksję, to już inna sprawa). Podczas gdy Louis oswajał się ze swą pracą szefa uniwersyteckiego ośrodka zdrowia, Rachel oswajała się z domem. I w trakcie osvajania zaszło coś, na co Louis niemal nie śmiał liczyć - pokochała to miejsce. Gage meżnie znosił stłuczenia i upadki związane z poznawaniem nowego otoczenia. Przez jakiś czas jego rozkład dnia i nocy wyraźnie się zaburzył, lecz w połowie drugiego tygodnia w Ludlow młody mężczyzna zaczął normalnie śpić. Tylko Ellie, przed którą roztaczała się perspektywa rozpoczęcia nauki w przedszkolu, w zupełnie nowym miejscu, cały czas wydawała się przesadnie podniecona i skłonna do gwałtownych reakcji: histerycznych chichotów, głębokiego przygnębienia bądź nagłych ataków furii. Wszystko to przypominało niemal menopauzę. Rachel twierdziła, że jej przejdzie, gdy przekona się na własne oczy, iż szkoła nie jest straszliwym czerwonym diabłem, za którego ją uważała. Louis przypuszczał, iż żona ma rację. Przez większość czasu jednak Ellie była taka jak zawsze - kochana.

Wieczorne picie piwa z Judem Crandallem stało się już niemal tradycją. Mniej więcej wtedy, gdy Gage znowu zaczął przesypiać noce, Louis pierwszy raz przyniósł szesciopak. Potem powtarzał to co drugi, trzeci wieczór. Poznał też Normę Crandall, urocza kobietę cierpiącą na ostry artretyzm - paskudny artretyzm, niszczący tak wiele radości życia w poza tym zdrowych starych ludziach. Jednakże Norma dobrze podchodziła do swojej choroby. Nie poddawała się bólowi. Nigdy nie wywiesi białej flagi. Ból może ją pokonać - jeśli zdoła. Louis sadził, że czeka ją od pięciu do siedmiu produktywnych lat, choć zapewne nie będzie czuła się najlepiej.

Calkowicie wbrew swoim niezłomnym zasadom zbadal ja - gdyz sam tego chcial. Przejrzal recepty jej lekarza i odkryl, ze sa dokladnie takie jak powinny. Z uczuciem zawodu stwierdzil, ze w zaden sposob nie moze jej pomoc; doktor Weybridge, ktory opiekowal sie Norma Crandall, mial wszystko pod kontrola. Nic wiecej nie dalo sie zrobic - o ile nie dojdzie do gwałtownego przelomu, mozliwego, lecz bardzo malo prawdopodobnego. Czlowiek uczy sie to akceptowac. W przeciwnym razie predzej czy pozniej wyladowalby w pokoju bez klamek, skad pisalby do rodziny listy kredkami swieczowymi.

Rachel takze ja polubila. Ostatecznie przypieczetowaly przyjazn, wymieniajac przepisy, tak jak chlopcy wymieniaja sie kartami baseballowymi: domowa szarlotke Normy w zamian za strogonowa Rachel. Norma natychmiast poczula sympatie do obojga dzieci Creedow - zwlaszcza do Ellie, ktora, jak mowila, wyrosnie na "staroswiecka pieknosc". Tej nocy Louis powiedzial Rachel w lozku, ze przynajmniej Norma nie zapowiedziala, iz z ich corki bedzie kiedykolwiek prawdziwy "słodki szop". Rachel przyjela te slowa tak gwałtownym smiechem, ze az puscila baka, po czym wybuch radosci obojga obudzil spiacego w sasiednim pokoju Gage'a.

W koncu nadszedl pierwszy dzien przedszkola. Louis, ktory praktycznie doprowadzil juz do ladu cale ambulatorium i sprzet medyczny osrodka (poza tym przychodnia byla obecnie zupełnie pusta. Ostatnia pacjentka, letnia studentka, ktora zlamala noge na schodach, zostala zwolniona tydzien wczesniej) wzial sobie wolne. Stal na trawniku obok Rachel, z Gage'em w ramionach, patrzac jak wielki, zolty autobus skreca z glownej drogi i przystaje z loskotem przed ich domem. Drzwi z przodu rozsunely sie. Wrzesniowe powietrze przynioslo z soba piski i smiechy wielu dzieci.

Ellie poslala rodzicom przez ramie dziwnie bezbronne spojrzenie, jakby mowila, ze jest jeszcze czas, by zapobiec nieuniknionemu. Byc moze to, co dojrzala w ich twarzach przekonalo ja, iz czas ow minal i musi poddac sie temu, co nastapi - tak jak Norma Crandall musi poddac sie rozwojowi swego artretyzmu. Dziewczynka odwrocila sie i wdrapala po stopniach autobusu. Drzwi z przypominajacym oddech smoka sykiem zamknely sie za nia. Autobus odjechal. Rachel wybuchnela placzem.

-Na milosc boska, nie placz - rzucil Louis. On sam jakos sie trzymal, choc, trzeba przyznac, byl bliski lez. - To tylko pol dnia.

-Pol dnia jest juz dostatecznie okropne - odparla ostro Rachel i zaczela plakac jeszcze glosniej. Louis przytulil ja. Gage objal szyje obojga rodzicow. Zazwyczaj gdy Rachel plakala, on plakal takze. Ale nie tym razem. Ma nas tylko dla siebie, pomyslal Louis. I doskonale o tym wie.

Pelni leku czekali na powrot Ellie, pijac za duzo kawy i zastanawiajac sie, jak jej idzie. Louis poszedl do pokoju na tyloch, ktory mial stac sie jego gabinetem, i zaczal krazyc bez celu, przekladajac papiery z jednego miejsca na miejsce i nie robiac nic sensownego. Rachel absurdalnie wczesnie zaczela przygotowywac lunch.

Gdy za kwadrans dziesiata zadzwonil telefon, pobiegla ku niemu i zdyszana podniosla sluchawke, nim zdazyl zadzwonic powtornie. Louis stanal w drzwiach pomiedzy gabinetem i kuchnia, pewien, ze to nauczycielka Ellie, ktora zaraz powie, iz uznala, ze Ellie sie nie nadaje, ze zoladek edukacji publicznej uznal ja za niestrawna i postanowil wydalic. W istocie jednak byla to Norma Crandall, ktora dzwonila, by powiedziec, ze Jud zebral ostatnie kolby kukurydzy i jesli chca, moga wziac sobie tuzin. Louis poszedl do nich z torba na zakupy i zrugal Juda za to, ze tamten nie pozwolil mu sobie pomoc.

-Wiekszosc z nich i tak jest gówno warta - odparl Jud.

-Oszczedz sobie takiego jezyka - upomniala go Norma, ktora wyszla na werande, dzwigajac kubki z mrozona herbata na starej reklamowej tacy Coca-Coli.

-Przepraszam, kochana.

-Wcale nie jest mu przykro - oznajmila Norma i mrugnela do Louisa.

-Widzialem, jak Ellie wsiadala do autobusu. - Jud zapalil chesterfielda.

-Nic jej nie bedzie - dodala Norma. - Prawie zawsze dobrze to znosza.

Prawie, pomyslal ponuro Louis.

Ale Ellie rzeczywiscie nic nie bylo. Wrocila do domu w poludnie rozpromieniona i usmiechnieta. Jej blekitna sukienka na specjalne okazje wydymala sie wdziecznie wokol pokrytych strupami lydek (na kolanie pojawilo sie swieze zadrapanie nieznanego pochodzenia). W dloni sciskala obrazek przedstawiajacy dwoje dzieci, czy moze dwie chodzace becзки. Jeden but miala rozwiązany, a z wlosow zniknela wstazka. Juz od progu krzyczala:

-Spiewalismy starego Mc Donalda! Mamusiu, tatusiu, spiewalismy starego Mc Donalda! Tak samo jak w szkole na

Rachel obejrzała się na Louisa siedzącego z Gage'em na kolanach. Maluch niemal już zasnął. W spojrzeniu Rachel krył się pewien smutek. I choć szybko odwróciła wzrok, Louis przez chwilę poczuł ukłucie paniki. Naprawdę się zestarzejemy, pomyślał. To prawda. Nikt nie robi dla nas wyjątku. Ellie już zaczyna... i my także.

Ellie podbiegła do niego, próbując jednocześnie pokazać mu obrazek, nowe zadrapanie, opowiedzieć o starym Mc Donaldzie i pani Berryman. Church krecił się między jej nogami, mrużąc donosnie. Jakims cudem dziewczynka ani razu się o niego nie potknęła.

-Ciii - rzekł Louis i pocałował ją. Gage zasnął, nie zważając na podniecenie rodziny. - Pozwól, że najpierw położę go do łóżeczka. Potem wszystko mi opowiesz.

Zaniósł Gage'a na górę, wędrując wśród ukośnych, gorących promieni wrzesniowego słońca. I gdy dotarł na podest, ogarnęło go takie uczucie grozy i ciemności, że zamarł bez ruchu i rozejrzał się ze zdumieniem, zastanawiając się, co go naszło. Mocniej przytulił dziecko, niemal przyciskając je do siebie i Gage poruszył się niespokojnie. Na ramionach Louisa wystąpiła wyraźna gęsia skórka.

Co się stało? - zastanawiał się oszolomiony i przerażony. Serce waliło mu jak młotem. Skóra na głowie jakby się ściagnęła; zdawała się zbyt mała, by objąć całą czaszkę. Czuł gwałtowny napływ adrenaliny. Wiedział, że w przypadkach przejmującego strachu ludzkie oczy naprawdę wychodzą z orbit - nie tylko się rozszerzają, ale dosłownie wybaluszają z powodu gwałtownego wzrostu ciśnienia krwi i nacisku płynu mózgowo-rdzeniowego. - Co, do diabła? Czy to duchy? Chryste, naprawdę czuje się, jakby coś otarło się o mnie w tym przejściu, coś, co niemal zobaczyłem.

Na dole siatkowe drzwi trzasnęły głośno, uderzając o framugę.

Louis Creed podskoczył, prawie krzyknął, po czym wybuchnął śmiechem. To tylko jedna z psychologicznych zimnych dziur, przez które czasem przechodzą ludzie. Nic poza tym. Chwilowe zawirowanie. Zdarza się, i tyle. Co takiego powiedział Scrooge do ducha Jakuba Marleya? "Możesz być po prostu cząsteczką niedogotowanego kartofla. Bardziej mi wyglądasz na kawałek (...) mięsa od kości niż na kościotrupa". Opis ten mógł być trafniejszy - zarówno w sensie fizjologii, jak i psychologii - niż wydawało się Karolowi Dickensowi. Duchy nie istniały, przynajmniej według Louisa. W trakcie swej kariery zawodowej stwierdził śmierć dwóch tuzinów ludzi i ani razu nie poczuł, jak uchodzi z nich dusza.

Zaniósł Gage'a do pokoju i położył w kołysce. Jednak gdy okrywał synka kocem, poczuł na plecach nagły dreszcz i przypomniał sobie sklep wuja Carla. Nie było w nim nowych samochodów, telewizorów z modnymi gadżetami ani zmywarek o szklanych drzwiczkach, pozwalających obserwować magiczny proces mycia. Jedynie trumny z podniesionymi wiekami, każda oświetlona starannie osłoniętą lampką. Brat jego matki był przedsiębiorcą pogrzebowym.

-Dobry Boże, skąd te ponure myśli? Daj spokój, otrząśnij się!

Ucałował syna i zszedł na dół, by wysłuchać opowieści Ellie o pierwszym dniu w dorosłej szkole.

8.

Tej soboty, gdy Ellie ukończyła swój pierwszy tydzień szkoły i tuż przed powrotem studentów, Jud Crandall przeszedł przez drogę i zbliżył się do siedzącej na trawniku rodziny Creedów. Ellie zeszła właśnie z roweru i piła mrożona herbata. Gage rączkował w trawie, przyglądając się robakom i, być może, polykając kilka z nich. Nie przejmował się szczególnie tym, skąd bierze białko.-Jud! - Louis wstał na widok gościa. - Przyniosę ci krzesło.

-Nie kłopot się. - Jud miał na sobie dzinsy, rozpięta pod szyję robocza koszula i zielone kalosze. Spojrzał na Ellie. - Nadal chcesz wiedzieć, dokąd prowadzi tamta ścieżka?

-Tak! - Ellie natychmiast zerwała się z miejsca. Jej oczy rozbłysły. - George Buck w szkole mówił mi, że na cmentarz zwierząt. I powiedziałam o tym mamie, ale ona kazała zaczekać na pana, bo pan wie, gdzie to jest.

-Owszem, wiem - odparł Jud. - Jeśli rodzice nie będą mieli nic przeciw temu, zabiorę cię tam na przechadzkę. Ale musisz włożyć kalosze. Miejscami grunt jest podmokły.

Ellie pobiegła do domu.

Jud odprowadził ją rozbawionym, czułym spojrzeniem.

-Może i ty chciałbyś pojsc, Louis?

-Chcialbym. - Louis obejrzał się na Rachel. - Pojdiesz z nami, kochanie?

-A co z Gage'em? Słyszałam, że to spory kawal drogi.

-Wsadze go w nosidelka. Rachel rozesmiała się.

-Jasne. To twoje plecy.

Wyruszyli dziesięć minut później. Oprócz Gage'a wszyscy mieli na nogach kalosze. Małec siedział w nosidlach i wybaluszając oczy, przyglądał się wszystkiemu ponad ramieniem Louisa. Ellie bez przerwy wybiegała naprzód, goniąc motyle i zbierając kwiaty.

Trawa na łące sięgała im niemal do pasa. Polyskiwały wśród niej żółte kwiatki nawłoci, letniej plotkarki, co rok zapowiadającej nadejście jesieni. Lecz tego dnia w powietrzu nie czuło się jesieni. Słońce grzało niczym w sierpniu, choć kalendarzowy sierpień dobiegł końca dwa tygodnie wcześniej. Gdy wspieli się na szczyt pierwszego wzgórza, wędrując gęsiego skoszona ścieżka, pod pachami Louisa wystąpiły mokre plamy potu.

Jud stanął. Z początku Louis sądził, że stary człowiek chce chwilę odetchnąć, potem jednak ujrzał roztaczający się za ich plecami widok.

-Ladnie tutaj - powiedział Jud, wsuwając między zęby zdzębło tymotki.

Coż za typowe jankeskie niedopowiedzenie, pomyślał z rozbawieniem Louis.

-Jest cudownie - westchnęła Rachel i niemal oskarżycielsko spojrzała na męża. - Czemu wcześniej mi o tym nie powiedziałeś?

-Bo sam nie wiedziałem - odparł Louis, czując ukłucie wstydu. Wciąż znajdowali się na terenie swojej posiadłości. Po prostu do tej pory nie znalazł czasu, by wspiąć się na wzgórze za domem.

Ellie znacznie ich wyprzedzała. Teraz zawróciła i również oglądała wszystko z zachwytem. Church deptał jej po piętach.

Wzgórze nie było wysokie, ale też nie musiało. Gęsty las przesłaniał krajobraz z jednej strony, lecz na zachodzie rozciągał się rozległy widok: złocisty teren, pograżony w lekkim, letnim śnie. Wszystko trwało w bezruchu, milczące, zamglone. Nawet ruch ciężarówek na drodze ustął i nic nie zakłócało wszechogarniającego spokoju.

Widzieli przed sobą dolinę rzeki Penobscot, która spławiano drwa z północnego wschodu aż do Bangor i Derry. Wzgórze leżało pomiędzy tymi miastami, na południe od pierwszego i nieco na północ od drugiego. Spokojna rzeka rozlewała się szeroko, jakby pograżona we własnym, głębokim śnie. Louis dostrzegł w dali Hampden i Winterport. Miał wrażenie, że może odprowadzić wzrokiem czarna, wijąca się wezowo równoległe do rzeki trasę numer 15 aż do Bucksport. Na drugim brzegu rosły soczystozielone drzewa. Widzieli też drogi, pola. Z kopuły starych wiazów wystawała iglica kościoła baptystów w północnym Ludlow, po prawej przycupniał solidny ceglany budynek: szkoła Ellie. Nad ich głowami białe chmury wędrowały leniwie w stronę horyzontu barwy wyblakłego dzinsu. A wszędzie wokół rozciągały się letnie pola, niewiarygodnie płowe i złociste, puste pod koniec cyklu siewów, wzrostu i zniw, uspione, lecz nie martwe.

-Cudownie to właściwe słowo - rzekł w końcu Louis.

-W dawnych czasach nazywano to miejsce Wzgorzem Widokowym - oznajmił Jud. Wsunął papierosa w kącik ust, lecz go nie zapalił. - Niektórzy wciąż je tak nazywają, ale obecnie, odkąd młodzi przenieśli się do miasta, praktycznie o nim zapomnieli. Watpie, by teraz przychodziło tu wielu ludzi. Wydaje się, że nie można stąd zobaczyć zbyt wiele, bo wzgórze nie jest wysokie. Naprawdę jednak widac... - Machnął ręką i umilkł.

-Widac wszystko - dokonała Rachel cichym, pełnym podziwu głosem. Odwrócił się do Louisa. - Kochanie, czy to jest nasze?

-Owszem, to część posiadłości - odparł Jud, zanim Louis zdążył cokolwiek powiedzieć.

A to, pomyślał Louis, zupełnie nie to samo.

W lesie było chłodniej, może nawet o cztery-pięć stopni. Ścieżkę, wciąż szeroka, od czasu do czasu dodatkowo oznaczona kwiatami (najczęściej zwiedlami) w garnkach i puszkach po kawie, pokrywała obecnie gruba warstwa suchych sosnowych szpilek. Przeszli jakieś pół kilometra, wędrując w dół, kiedy Jud zawołał Ellie.

-To solidny, lecz bezpieczny spacer dla malej dziewczynki - rzekł ciepło - ale chce, zebys obiecala mamie i tacie, ze jesli znow tu sie wybierzesz, nie zejdziesz ze sciezki.

-Obiecuje - odparla natychmiast Ellie. - A dlaczego? Stary mezczyzna zerknal na Louisa, ktory przystanal, by odpoczac. Dzwiganie Gage'a, nawet w cieniu starych sosen i swierkow, bylo ciezka praca.

-Wiesz, gdzie jestescie? - spytal Jud.

Louis rozwazyl i odrzucil kilka odpowiedzi: w Ludlow, w polnocnym Ludlow, za moim domem, pomiedzy trasa numer 15 i Middle Drive. W koncu pokrecil glowa.

Jud wskazal palcem ponad ramieniem.

-Z tamtej strony jest mnostwo ludzi - rzekl. - To miasto. A po tej stronie nic, tylko lasy, co najmniej przez piecdziesiat mil. Tu nazywamy je Lasami Polnocnego Ludlow, potem jednak zawadzaja kacikiem o Orrington, ciagna sie dalej, do Rockford, i jeszcze, az do terenow stanowych, o ktorych wczesniej wspominalem; tych, ktore chca odzyskac Indianie. Wiem, ze to zabrzmi dziwnie, ale wasz mily domek przy glownej drodze, ze swym telefonem, elektrycznymi swiatlami i telewizja kablowa tak naprawde lezy na skraju gluszy. - Zerknal na Ellie. - Mowie, ze nie powinnas wloczyc sie po lesie, Ellie. Moglabys zabladzic i Bog wie, dokad bys doszla.

-Nie bede, panie Crandall.

Louis dostrzegl, iz Ellie, choc poruszona slowami starca, nie bala sie. Natomiast Rachel patrzyla niespokojnie na Juda, a i sam Louis poczul lekki niepokoj. Przypuszczal, ze to typowy dla ludzi z miasta niemal instynktowny lek przed lasem. On sam nie trzymal w reku kompasu od czasu swej przygody z harcerstwem dwadziescia lat wczesniej, a jego wspomnienia, jak orientowac sie wsrod drzew dzieki Gwiezdzie Polarnej czy mchowi porastajacemu stare pnie byly rownie metne jak pojecie, jak wiaze sie wezel plaski czy osemke.

Jud usmiechnal sie i zmierzyl ich uwaznym wzrokiem.

-Pamietajcie, ze nie stracilismy nikogo w tych lasach od 1934 roku, a przynajmniej nikogo miejscowego. Ostatnia osoba byl Will Jeppson. Niewielka strata. Poza Stannym Bouchardem, Will byl chyba najwiekszym moczymorda po tej stronie Bucksport.

-Mowiles "nikogo miejscowego" - zauwazyla Rachel glosem nie do konca swobodnym i Louis natychmiast odczytal w jej myslach: My nie jestesmy miejscowi, a przynajmniej jeszcze nie.

Jud zastanawial sie przez chwile, w koncu skinal glowa.

-Co jakies dwa-trzy lata gubi sie tu jakis turysta, bo sadzi, ze nie zabladzi tak blisko drogi. Ale nigdy nie stracilismy zadnego na dobre, moja panno. Nie zamartwiaj sie.

-Sa tu losie? - spytala z obawa Rachel i Louis usmiechnal sie. Jesli Rachel chciala sie zamartwiac, nikt nie mogl jej do tego zniechecic.

-Mozesz tu spotkac losia - odparl Jud - ale nic ci nie zrobi, Rachel. W okresie godowym robia sie nieco drazliwe, poza tym jednak tylko patrza. Jedyni ludzie, ktorych atakuja poza czasem rui, to turyści z Massachusetts. Nie wiem, czemu tak jest, ale to prawda. - Louis uznal, ze tamten zartuje, jednak nie mial pewnosci. Jud mowil smiertelnie powaznie. - Widzialem to po wielekroci. Jakis gosc z Saugos, Milton czy Weston siedzacy na drzewie i wrzeszczacy o stadzie losi wielkich jak przyczepy kempingowe. Zupelnie jakby losie umialy wywieszyc Massachusetts na czlowieku. A moze to te nowe stroje od L.L. Beana? Nie mam pojecia. Chcialbym, zeby jeden ze studentow ochrony srodowiska zajal sie ta sprawa, ale watpie, by do tego doszlo.

-Co to jest ruja? - spytala Ellie.

-Niewazne - uciela Rachel. - Nie chce, zebys tu przychodzila. Chyba ze w towarzystwie doroslego. - Zblizyla sie o krok do Louisa.

-Nie zamierzalem cie straszyc, Rachel. - Jud byl wyraznie zaklopotany. - Ciebie ani twojej coreczki. W tych lasach nie ma sie czego bac. To dobra sciezka. Wiosna troche tu duzo robactwa, a przez caly rok jest dosc mokro - oprócz piecdziesiatego piatego; to bylo najsuchsze lato, jakie pamietam - ale, do diabla, nie rosnie tu nawet trujacy bluszcz ani trujace deby, ktore mozna znalezc na tylach szkoly. Trzymaj sie od nich z daleka, Ellie, jesli nie chcesz przez trzy tygodnie kapac sie w krochmalu.

Ellie zakryła dłoń ustami i zachichotała.

-To bezpieczna ścieżka - powiedział z naciskiem Jud; Rachel wciąż nie wydawała się przekonana. - Nawet Gage mogłoby nie chodzić, a dzieciaki z miasta często tu biegają. Wspominałem już o tym. Utrzymują ją w porządku. Nikt im nie każe, robią to z własnej woli. Nie chciałbym zepsuć Ellie zabawy. - Nachylił się nad nią i mruknął: - Tak to już jest w życiu, Ellie. Póki jesteś na ścieżce, nie dzieje się nic złego. Jeśli z niej zszedłszy i nie dopisze ci szczęście, zgubisz się, a wtedy ktoś będzie musiał cię szukać.

Szli dalej. Od ciężkiego nosidła Louis zaczął odczuwać bolesne skurcze w plecach, ugiętych pod ciężarem nosidła. Od czasu do czasu Gage oburaczając ciągnął go za włosy bądź z entuzjazmem kopał w nerki. Ostatnie letnie komary krążyły wokół twarzy i szyi, smigając z cichym nieznośnym bzykiem.

Ścieżka opadała w dół, wijąc się między bardzo starymi jodłami. Następnie zagłębiła się w gęste, splątane poszycie. Rzeczywiście było tu wilgotno: kłosy Louisa z mlaskaniem zanurzały się w błocie i stojącej wodzie. W pewnym momencie przekroczyli wąskie bagienko, przeskakując z jednej kępy traw na drugą. To był najgorszy odcinek. Wkrótce potem ścieżka znów ruszyła w górę i pojawiły się drzewa. Gage jakimś cudem zdawał się z każdą chwilą przybierać na wadze, a powietrze podobnym cudem ogrzało się co najmniej o pięć stopni. Po twarzy Louisa ściekały strugi potu.

-Jak ci idzie, kochanie? - spytała Rachel. - Chcesz, żebym trochę go poniosła?

-Wszystko w porządku - odparł. I rzeczywiście było w porządku, choć serce coraz szybciej tłukło mu się w piersi. Znacznie częściej zalecał swoim pacjentom ćwiczenia fizyczne, niż sam je uprawiał.

Jud szedł obok Ellie. Jej cytrynowożółte spodnie i czerwona bluza odcinały się jaskrawymi plamami na tle ponurego brzoza i zieleni.

-Lou, czy on naprawdę wie, dokąd nas prowadzi? - spytała niespokojnie Rachel, zniżając głos.

-Jasne - zapewnił ją Louis.

-Juz niedaleko - zawołał wesolo przez ramię Jud. - Radzisz sobie, Louis?

Mój Boże, pomyślał Louis. Gość jest dobrze po osiemdziesiątce, a w ogóle się nie spocił.

-Bez problemu - odkrzyknął nieco agresywnie. Duma zapewne zmusiłaby go do powiedzenia tego samego, nawet gdyby przeczuwał już nadejście zawału. Uśmiechnął się szeroko, lekko podciągnął pasek nosidła i ruszył naprzód.

Pokonali drugie wzniesienie i ścieżka znów opadła, przecinając kepe krzaków i splątane poszycie wysokości dorosłego człowieka. Następnie zweziła się i nagle, tuż przed sobą, Louis ujrzał, jak Ellie i Jud przechodzą przez bramę zbitą ze starych, wyblakłych i zniszczonych desek. Czarna obłazca farba wypisano na nich ledwie czytelne słowa CMETARZ ZWIEZAT. Wymienili z Rachel rozbawione spojrzenia i także przeszli przez bramę, instynktownie chwytając się za dłonie, jakby przybyli tu, by wziąć drugi ślub.

Po raz wtóry tego ranka Louis zatrzymał się, zdjęty podziwem.

Iglasta wysciółka zniknęła. Pod ich stopami rozciągała się skoszona trawa, tworząca niemal idealne koło ponaddziesięciometrowej średnicy. Z trzech stron otaczały je gęste krzaki, z czwartej stary wiatrolom, stos zwalonych drzew, wyglądających złowrogo i niebezpiecznie. Mezczyzna, który chciałby przez nie przejść, powinien nałożyć stalowe suspensorium, pomyślał Louis. Cała polana wypełniały nagrobki, niewatpliwie zrobione przez dzieci z najrozniejszych materiałów, które zdołały zdobyć bądź wyprosić od rodziców - listewki ze skrzynek, kawałki desek, fragmenty ocynkowanej blachy. A jednak oglądane na tle niskich krzaków i poskręcanych drzew walczących o wolną przestrzeń i dostęp do słońca, mimo swej prostoty i prymitywności wydawały się cudownie symetryczne. Otoczenie dodatkowo podkreślało fakt, że za ich powstanie odpowiadają ludzie. Pobliski las sprawiał, że całe miejsce nabierało niezwyklej powagi i uroku, że swej natury nie chrześcijańskiego, lecz pogańskiego.

-Urocze - mruknęła Rachel, bez specjalnego przekonania.

-Jejku! - krzyknęła Ellie.

Louis zdjął z pleców Gage'a i wyciągnął go z nosidła, tak by mógł sobie porządkować. Jego kregosłup odetchnął z ulgą.

Ellie biegła od jednego pomnika do drugiego, wykrzykując bez przerwy. Louis ruszył za nią, podczas gdy Rachel miała oko na małego. Jud usiadł na ziemi, krzycząc nogi, i oparty o wystający kamień zapalił.

Louis zauwazyl, ze panujace tu symetria i porzadek nie byly zlodzeniem. Wszystkie nagrobki tworzyly kolejne koncentryczne kregi.

KOT SMUCKY - glosil napis na desce, niewatpliwie nakreslony reka dziecka, lecz bardzo staranny. BYL POSLOSZNY, a pod tym 1971-1974. Nieco dalej, na obwodzie zewnetrznego kregu natknal sie na kawalek naturalnego lupku z imieniem napisanym wyblakla, lecz wciaz czytelna czerwona farba: BIFFER. Pod spodem nakreslono krotki wierszyk, na ktorego widok Louis usmiechnal sie szeroko: "Biffer, Biffer pies wspanialy, przez wszystkich kochany caly".

-Biffer to cocker-spaniel Desslerow - powiedzial Jud. Obcasem oczyscil kawalek gruntu i ostroznie strzepywal tam popiol.
- W zeszlym roku przejechala go smieciarka. Smutna sprawa.

-Owszem - zgodzil sie Louis.

Niektore groby ozdobiono kwiatami. Czesc z nich wciaz byla swieza, wiekszosc stara, niektore zupeinie zgnily. Ponad polowa wymalowanych i wypisanych olowkiem napisow stala sie juz kompletnie nieczytelna. Inne nagrobki byly zas zupeinie pozbawione napisow. Louis zgadywal, iz pierwotnie oznaczono je kredka badz kreda.

-Mamo! - wrzasnela Ellie - tu jest zlota rybka, chodz zobacz!

-Dzikuje, wole nie - odparla Rachel i Louis obejrzal sie na nia. Stala samotnie z boku, poza zewnetrznym kregiem, z bardzo niewyraza mina.

Nawet tutaj sie martwi, pomyslal Louis. Nigdy nie czula sie swobodnie w obliczu oznak smierci (przypuszczal zreszta, iz dotyczy to kazdego), prawdopodobnie z powodu siostry. Siostra Rachel umarla bardzo mlodo i zdarzenie to pozostawilo bolesna blizne. Louis juz na poczatku malzenstwa nauczyl sie jej nie dotykac. Miala na imie Zelda, zabilo ja zapalenie rdzenia. Jej smierc, najpewniej dluga, bolesna i paskudna odcisnela pietno na Rachel, bedacej wowczas w najbardziej wrażliwym wieku. Skoro chciala o tym zapomniec, powinno sie jej na to pozwolic.

Louis mrugnal do zony, ktora poslala mu pelen wdziecznosc usmiech.

Uniosl wzrok. Znajdowali sie na naturalnej polanie. Przypuszczal, iz wyjasnilo to, dlaczego trawa tak dobrze radzila sobie w tym miejscu: docieralo do niej slonce. Mimo wszystko jej utrzymanie wymagalo podlewania i starannej opieki. To oznaczalo banki wody, moze nawet spryskiwacze ciezsze niz Gage z nosidlem, dzwigane na malych plecach. Dziwne, ze dzieci tak dlugo utrzymywaly to miejsce. Jego wlasne wspomnienia dzieciacych zabaw - dodatkowo umocnione doswiadczeniami z Ellie - sugerowaly, iz dzieciacy entuzjazm plonie jak papier, szybko, goraco i rownie szybko gasnie.

Lecz te dzieci rzeczywiscie dlugo utrzymywaly w porzadku cmentarz. Jud mial racje. W miare jak Louis zblizal sie do srodka kregu, stawalo sie to coraz bardziej oczywiste. Z kazdym krokiem napotykal coraz to starsze groby, coraz mniej czytelnych inskrypcji, lecz te, ktore mogl odszyfrowac, tworzyly prowizoryczna chronologie, siegajaca daleko w przeszlosc. Oto TRIXIE ZABITA NA DRODZE 15 WRZESNIA 1968. W tym samym kregu znajdowala sie szeroka, plaska deska, gleboko wbita w ziemie. Mroz i roztopy wypaczyly ja, lecz Louis wciaz dostrzegal litery tworzace napis: PAMIECI MARTY, NASZEJ KRULICZKI, ZMARLEJ 1 MARCA 1965. Rzad dalej dostrzegl GENERALA PATTONA (NASZ! POCZCIWY! PIES! - podkreslal napis), ktory zdechl w 1958, i Polinezje (zapewne papuge, jesli Louis dobrze pamietal "Doktora Dolittle"), ktora wyskrzeczala swoje ostatnie "Poily chce ciasteczko" latem 1953 roku. W nastepnych dwoch rzedach niczego nie dalo sie odczytac, a potem, wciaz daleko od srodka, wykute w kawalku piaskowca litery glosily: HANNAH NAJLEPSZY PIES JAKI KIEDYKOLWIEK ZYL 1929-1939. Choc piaskowiec byl wzglednie miekki - i w rezultacie z napisu pozostal juz tylko widmowy slad - Louisowi trudno bylo sobie wyobrazic, ile godzin musialo spedzic dziecko wypisujac w kamieniu tych szesc slow. Coz za ogromne dzieło milosci i rozpacz. Nawet rodzice nie robia czegos takiego dla swych wlasnych rodzicow, badz dzieci, jesli te umra mlodo.

-To naprawde stare miejsce - rzekl do Juda, ktory wstal i dolaczyl do niego. Tamten przytaknal.

-Chodz tutaj, Louis, chce ci cos pokazac.

Podeszli do rzędu, ktory od srodka dzielily zaledwie trzy rzedy. W tym miejscu wzor kregow, dalej sprawiajacy wrazenie przypadkowego, byl bardzo wyrazny. Jud przystanal przed wywroconym kawalkiem lupku. Uklakl ostroznie i postawil go na miejscu.

-Kiedys byly tu slowa - rzekl. - Sam je wykulem, ale juz sie starly. Pogrzebalem tu mojego pierwszego psa, Spota. Zdechl ze starosci w 1914 roku, gdy wybuchla Wielka Wojna.

Nieco rozbawiony mysla, ze oto znalazl sie na cmentarzu starszym niz wiele ludzkich nekropolii, Louis znow ruszyl ku srodkowi i obejrzal kilkanascie nagrobkow. Zaden z nich nie byl czytelny, a wiekszosc niemal pochlonela roslinnosc. Jeden z

nich prawie zupełnie przykryła trawa, a kiedy go ustawił, rozległ się cichy odgłos darcia, jakby ziemia protestowała przeciwko oddaniu łupu. Z odsłoniętego miejsca umknęły chrząszcze. Louis poczuł nagły dreszcz. Boot Hill dla zwierząt. Nie wiem, czy podoba mi się ten pomysł.

-Jak stare jest to miejsce?

-Przykro mi, nie wiem. - Jud wsunął dłonie głęboko do kieszeni. - Oczywiście było tu już, kiedy zdechł Spot. W tamtych czasach miałem całą bandę przyjaciół. Pomogli mi wykopać grob. Kopanie w tym miejscu nie jest łatwe - wszędzie pełno kamieni. Trudno je ruszyć. Ja też czasem im pomagałem. - Zaczął wskazywać tu i tam zrogowiałym palcem. - To tutaj to pies Pete'a LaVassuera, jeśli dobrze pamiętam. A tam leżą trzy koty Albiona Groatleya, pochowane jeden obok drugiego.

Stary Fritchie hodował gołębie wycigowe. Razem z Alem Groatleyem i Carlem Hannah pochowaliśmy jednego z nich, gdy dopadł go pies. Leży tutaj. - Umilkł, po czym dodał z namysłem: - Jestem ostatni, wiesz. Cała moja banda nie żyje. Wszyscy odeszli.

Louis nic nie powiedział. Stał tylko, przyglądając się zwierzęcym grobom, z rękami w kieszeniach.

-To kamienista ziemia - powtórzył Jud. - I tak nie można w niej zasadzić nic, oprócz zwłok.

Po drugiej stronie polany Gage zaczął płakać. Rachel podniosła go i posadziła na biodrze.

-Jest głodny - oznajmiła. - Chyba powinniśmy już wracać, Lou. - Proszę cię, zgodz się, błagaly jej oczy.

-Jasne - odparł, odpowiadając na niema prośbę. Zrzucił na plecy nosidło i obrócił się, by Rachel mogła wpiąć w niego Gage'a. - Ellie! Hej, Ellie, gdzie jesteś?

-Jest tam. - Rachel wskazała wiatrolom. Ellie wdrapywała się na niego, jakby znalazła dalekiego kuzyna szkolnych drabinek.

-Słonko, zjeżdż stamtąd! - krzyknął z niepokojem Jud. - Jeśli wsuniesz stopę w niewłaściwe miejsce, a drzewa się poruszają, złamiesz nogę w kostkę.

Ellie zeskoczyła.

-Auu - krzyknęła i zbliżyła się ku nim, rozcierając biodro. Skóra była cała, lecz sztywna, zeschnięta gałąz rozdarła jej spodnie.

-Widzisz, co mam na myśli. - Jud rozczochrał jej dłoń włosy. - Nawet doświadczony leśnik nie wdrapie się na stary wiatrolom, jeśli może go ominąć. Drzewa leżące na kupie robią się złośliwe. Ugryzłyby cię, gdyby mogły.

-Naprawdę? - spytała Ellie.

-Naprawdę - powiedział Louis, zanim Jud zdążył coś rzec.

-Leżą na stosie niczym słomki - dodał starzec. - Jeśli staniesz na jednej, reszta może zwałić się na ciebie jak lawina.

Ellie spojrzała na Louisa.

-To prawda, tatusiu?

-Chyba tak, kochanie.

-lii! - Obejrzała się na wiatrolom i wrzasnęła: - Rozdarłyście mi spodnie, wy wstretne drzewa!

Cała trójka dorosłych wybuchnęła śmiechem. Wiatrolom milczał. Tkwił tam w bezruchu, bielejąc w słońcu, tak jak to robił od dziesięcioleci. Louisowi przyszedł nagle na myśl szkielet dawno zmarłego potwora, być może zabitego przez szlachetnego, dobrego rycerza. Smocze kości ułożone w gigantyczny pogrzebowy stos.

Nagle wydało mu się, że jest coś dziwnego w tym, iż wiatrolom przegradza akurat drogę pomiędzy cmentarzem zwierząt i głębokimi lasami, które Jud Crandall nazywał często później "indiańskim lasem". Trochę to zbyt wygodne, jak na zbieg okoliczności. Sama przypadkowość wiatrolomu zdawała się zbyt sztuczna, zbyt idealna, by stanowić dzieło natury. Zupełnie jakby...

W tym momencie Gage złapał go za ucho i przekrecił, gulgotając radośnie, i Louis zapomniał na śmierć o wiatrolomach w

lesie za cmentarzem zwierząt. Czas było wracać do domu.

9.

Kiedy następnego dnia Ellie przyszła do niego, wyglądała, jakby coś ją gryzło. Louis pracował właśnie w swoim małym gabinecie nad modelem. Ten miał przedstawiać Rolls-Royce'a Silver Ghost z 1917 roku. Szescset osiemdziesiąt elementów; ponad pięćdziesiąt ruchomych części. Już był prawie skończony i Louis niemal mógł wyobrazić sobie szofera w liberii, potomka w prostej linii osiemnasto- i dziewiętnastowiecznych wozniców, siedzącego z królewską miną za kierownicą. Odkąd skończył dziesięć lat, miał swira na punkcie modeli. Zaczął od spada z I wojny światowej, którego podarował mu wujek Carl. Potem przerobił większość samolotów Revella, a jako nastolatek dorósł do większych, lepszych modeli. Przechodził fazy okrętów w butelkach i maszyn wojennych, a nawet budowy pistoletów i rewolwerów, tak realistycznych, iż trudno było uwierzyć, że nie wystrzela za pociągnięciem spustu - koltów, Winchesterów i Lugerów, nawet Buntline Special. Przez ostatnich pięć lat zajmowały go wielkie statki wycieczkowe; na polkach gabinetu na uniwersytecie ustawił modele "Lusitania" i "Titanica", a "Andrea Doria", ukończony tuż przed wyjazdem z Chicago, obecnie zeglował dumnie po obudowie kominka w salonie. Teraz przerzucił się na klasyczne samochody. Jeśli poprzedni schemat się utrzyma, przypuszczał, że minie od czterech do pięciu lat, nim poczuje potrzebę kolejnej odmiany. Rachel traktowała to jego jedyne prawdziwe hobby z typową dla żon pobłażliwością, która, jak podejrzewał, kryła w sobie element pogardy. Nawet po dziesięciu latach małżeństwa zapewne sadziła, że któregoś dnia Louis z tego wyrośnie. Być może częściowo przejęła to podejście po swoim ojcu, który zarówno obecnie, jak i w czasie gdy Louis i Rachel się pobierali, uważał, iż jego zięć to prawdziwy palant.

Może Rachel ma rację - pomyślał. - Może pewnego dnia obudzi się w wieku trzydziestu siedmiu lat, upchnie modele na strychu i zajmie się lotnictwem.

Tymczasem Ellie czekała z poważną miną.

Czyste wiejskie powietrze niesło za sobą typowy dla niedzielnych poranków dźwięk: kościelne dzwony zwoływały wiernych.

-Cześć, tato - powiedziała.

-Cześć, paczku. Co się stało?

-Och, nic takiego - odparła, lecz jej twarz mówiła coś innego. Mówiła, że dzieje się całe mnóstwo rzeczy, a żadna z nich nie jest przyjemna. Świeżo umyte włosy opadały luźno na ramiona; w tym świetle wciąż były bardziej złociste niż brązowe, a przecież w końcu takie się stana. Miała na sobie sukienkę i nagle Louis pomyślał, że jego córka niemal zawsze wkładała sukienkę w niedzielę, choć nie uczęszczali do kościoła. - Co budujesz?

Wyjaśnił jej, starannie przyklejając błotnik.

-Spójrz na to. - Ostrożnie podał córce kolpak. - Widzisz te połączone litery "R"? Ładny szczegół, prawda? Jeśli polecimy do Shtytown na Święto Dziekczynienia i wsiadziemy do L-1011, będziesz mogła zobaczyć przez okno silniki z tym samym znakiem.

-Kolpak, wielkie mi coś. - Oddała mu go.

-Proszę cię - rzekł. - Jeśli masz na własność Rolls-Royce'a, nazywasz to osłoną koła. Jeśli jesteś dość bogata, by kupić sobie rollsa, możesz trochę się popuścić. Kiedy zarobisz drugi milion, też kupię sobie takiego, Rolls-Royce'a Corniche'a. Wówczas gdy Gage pochoruje się w samochodzie, będzie mógł wymiotować na prawdziwą skórkę. - No dalej, Ellie, co ci chodzi po głowie? Ale Ellie trzeba było podejść inaczej. Jej nie zadawało się bezpośrednich pytań. Zwykle uważała, by nie ujawnić zbyt wiele. Louis podziwiał w niej te cechy.

-Czy my jesteśmy bogaci, tatusiu?

-Nie - powiedział. - Ale także nie głodujemy.

-Michael Burns w szkole twierdzi, że wszyscy lekarze są bogaci.

-Możesz powiedzieć Michaelowi Burnswi w szkole, że wielu doktorów zbija majątek, ale potrzeba do tego dwudziestu lat praktyki, i nikt nie wzbogaci się, kierując ambulatorium na uniwersytecie. Majatki zdobywają specjaliści: ginekolog, pediatra, neurolog. Oni zarabiają więcej. Zwykłym internistom, takim jak ja, zabiera to więcej czasu.

-To czemu nie zostaniesz specjalistą, tatusiu?

Louis pomyslal o swych modelach i o tym, jak ktoregos dnia nie chcial juz dluzej budowac samolotow wojskowych, a potem jak zmeczyly go tygrysy i stanowiska ogniowe. Jak zaczal wierzyc (z perspektywy czasu zdawalo sie, ze doszlo do tego niemal z dnia na dzien), iz budowanie statkow w butelkach to glupia zabawa. A potem pomyslal, jak wygladaloby jego zycie, gdyby do konca swych dni musial badac dziecięce stopy w poszukiwaniu zniekształcen palucha, albo wkładac cienkie lateksowe rekawiczki i obmacywac fachowo pochwy kolejnych kobiet w poszukiwaniu guzow badz nadzerek.

-Po prostu by mi sie to nie podobalo - odparl.

Church wszedl do gabinetu, zatrzymal sie i rozejrzal bystro jasnozielonymi oczami. Bezszelestnie wskoczyl na parapet i najwyrazniej zasnal.

Ellie zerknela na niego i zmarszczyla brwi, co niezwykle zdumialo Louisa. Zazwyczaj coreczka patrzyła na Churcha z czuloscia i miloscia tak gleboka, ze niemal bolesna. Teraz zaczela krazyc po pokoju, ogladajac kolejne modele. Wreszcie glosem sprawiajacym wrazenie pelnego nonszalancji, zauwazyla:

-Rany, na tym cmentarzu zwierzat bylo naprawde mnostwo grobow, prawda?

Tu cie boli, pomyslal Louis, ale nie uniosl wzroku. Zajrzal do instrukcji i zaczal umieszczac na Rollsie reflektory.

-Owszem - rzekl. - Powiedzialbym, ze ponad sto.

-Tatusiu, dlaczego zwierzeta domowe nie zyja tak dlugo jak ludzie?

-No coz, niektore zwierzeta zyja rownie dlugo, a inne znacznie dluzej. Slonie dozywaja poznego wieku. Sa tez zolwie morskie tak stare, iz ludzie w zasadzie nie wiedza, ile maja lat... Albo moze wiedza, tylko nie chca w to uwierzyc.

Ellie brutalnie zlekcewazyla te przyklady.

-Sloni i zolwi morskich nie hoduje sie w domu. Domowe zwierzeta wcale nie zyja dlugo. Michael Burns mowi, ze kazdy rok zycia psa to dziewiec naszych lat.

-Siedem - poprawil odruchowo Louis. - Widze, do czego zmierzasz, slonko. Jest w tym sporo prawdy. Pies, ktory dozywa dwunastu lat, to bardzo stary pies. Widzisz, istnieje cos, co nazywamy metabolizmem, i ow metabolizm zajmuje sie odmierzaniem czasu. Robi tez inne rzeczy - niektorzy ludzie moga mnostwo jesc i pozostaja szczupli dzieki swemu metabolizmowi, tak jak twoja matka, inni - na przyklad ja - nie moga jesc tak wiele i nie utyc. Nasze metabolizmy po prostu sie roznia. Ale przede wszystkim metabolizm jest czymś w rodzaju wbudowanego w cialo zegara. Psy maja dosc szybki metabolizm. Ludzie znacznie wolniejszy. Wiekszosc z nas dozywa okolo siedemdziesieciu dwoch lat. A wierz mi, siedemdziesiat dwa lata to bardzo duzo czasu.

Poniewaz Ellie wygladala na naprawde zmartwiona, mial nadzieje, iz jego slowa zabrzmialy szczerzej, niz sam je odczuwal. Mial trzydziesti piec lat i odnosil wrazenie, ze wszystkie te lata przeszly i minely, nie pozostawiajac sladu, szybko i ulotnie, niczym chwilowy przeciaq spod drzwi.

-Natomiast zolwie morskie maja jeszcze wolniejszy metabo...

-A koty? - wtracila Ellie, znow spogladajac na Churcha.

-No coz, koty zyja rownie dlugo jak psy - odparl Louis. - W kazdym razie najczesciej. - To bylo klamstwo i wiedzial o tym. Koty prowadzily gwaltowne zycie i czesto ginely krwawa, nagla smiercia, tuz poza zasiegiem ludzkiego wzroku. Oto Church drzemiacy spokojnie w sloncu (badz sprawiajacy takie wrazenie), Church, ktory co noc spal blogo na lozku jego corki, taki slodki jako kocie, zaplatany w klebek sznurka. A przeciez Louis widzial, jak kot torturuje ptaka ze zlamanym skrzydlem. W jego zielonych oczach poblyskiwala ciekawosc i - Louis mogl przysiac - chlodna satysfakcja. Church, gdy cos zlapal, przynosil Rachel, by mogla podziwiac zdobycz: mysz, robaka, a raz wielkiego szczura, prawdopodobnie schwytanego w alejce pomiedzy blokami. Szczur byl tak zakrwawiony i pokryty skrzepami, iz Rachel, wowczas w szostym miesiacu ciazy z Gage'em, musiala uciec do lazienki, by zwymiotowac. Gwaltowne zycie, gwaltowna smierc. Czasami dopadal je pies i rozdzielal na strzepy, zamiast jedynie scigac na wzor niezgrabnych i glupkowatych psow z telewizyjnych kreskówek, albo zabijal inny kocur, wylozona trutka, przejezdzajacy samochod. Koty to gangsterzy swiata zwierzecego, zyjacy poza prawem i tam ginacy. Mnostwo z nich nie dozyje starosci przy kominku.

Ale o tym raczej sie nie mowi piecioletniej coreczce, ktora po raz pierwszy zastanawia sie nad istota smierci.

-No wiesz - dodal. - Church ma dopiero trzy lata, a ty piec. Moze wciaz zyc, gdy skonczysz pietnascie lat. Bedziesz juz wtedy w liceum. To bardzo duzo czasu.

-Mnie wcale nie wydaje sie duzo. - Glos Ellie wyraźnie drzał. - Wcale nie tak duzo.

Louis przestal udawac, ze wciaz pracuje nad modelem i gestem wezwal ja do siebie. Usiadla mu na kolanach; raz jeszcze uderzyla go jej uroda, dodatkowo podkreslona przez wzruszenie. Miala ciemna, niemal poludniowa karnacje. Tony Benton, jeden z lekarzy pracujacych z Louistem w Chicago, nazywal ja indyjska ksiezniczka.

-Kochanie - rzekl - gdyby to zalezalo ode mnie, pozwolilbym Churchowi dozyc setki, ale nie ja ustalam zasady.

-A kto? - spytala, po czym z nieskonczona wzgarda dodala: - Pewnie Bog.

Louis zdusil w zarodku nagle rozbawienie. Sprawa byla zbyt powazna.

-Bog albo ktos inny - rzekl. - Zegary tykaja, to wszystko, co wiem. Nie ma zadnych gwarancji, zlotko.

-Nie chce, zeby Church byl taki, jak tamte martwe zwierzeta! - wybuchnela, wsciekla i zaplakana. - Nie chce, by Church kiedykolwiek umarl! To moj kot! Nie jest kotem Pana Boga! Niech Bog sprawi sobie wlasnego kota! Niech wezmie sobie wszystkie koty, ktorych zechce, i je pozabija, ale Church jest moj!

W kuchni rozlegly sie kroki i do pokoju zajrzala wyraźnie zdumiona Rachel. Ellie plakala, przytulona do piersi ojca. Wreszcie wypowiedziala glosno dreczacy ja koszmar. Wyrzucila go z siebie, odslonila jego twarz, ktorej obecnie mogla sie przyrzec. Teraz, choc nie potrafila niczego zmienic, mogla przynajmniej plakac.

-Ellie - rzekl Louis, kolyszac ja. - Ellie, Ellie, Church nie jest martwy. Spojrz tutaj. On spi.

-Ale moglby umrzec. Moglby! - plakala. - Moglby, w kazdej chwili.

Tulil ja i kolysal, wierzac, slusnie badz nie, iz Ellie oplakuje sam fakt nieuchronnosci smierci, jej niewrazliwosci na argument, jakim sa lzy malej dziewczynki, ze oplakuje jej okrutna nieprzewidywalnosc i ze placze z powodu cudownej, potwornej zdolnosci ludzkich istot do przekladania symboli na wnioski, badz to szlachetne i wspaniale, badz tez ponure i przerazajace. Skoro wszystkie te zwierzeta umarly i zostaly pogrzebane, takze i Church mogl umrzec

w kazdej chwili!

i zostac pogrzebany. A skoro moglo to spotkac Churcha, moglo tez spotkac jej matke, ojca, malego braciszka. Ja sama. Smierc byla pojeciem mglistym, Cmentarz Zwiazat byl prawdziwy. W materii prymitywnych nagrobkow kryly sie prawdy, ktore potrafila wyczuc nawet dziecięca reka.

Latwo byloby w tym momencie sklamac, tak jak sklamal wczesniej na temat dlugosci zycia domowych kotow, lecz klamstwo zostaloby przywolane pozniej i byc moze trafiloby w koncu na swiadectwo, jakie wszystkie dzieci wystawiaja swoim rodzicom. Jego wlasna matka powiedziala mu podobne klamstwo; niewinne klamstewko o tym, ze kobiety znajduja dzieci w trawie posrod rosy, gdy tylko naprawde ich pragna. I mimo iz historyjka byla niewinna, Louis nigdy nie wybaczył samemu sobie, ze w nia uwierzyl - ani matce, ze mu ja opowiedziala.

-Kochanie - rzekl - to sie zdarza. To czesc zycia.

-Zla czesc - wyszlochala. - Naprawde zla!

Na to nie mial odpowiedzi. Ellie plakala. Przypuszczal, ze w koncu przestanie. To niezbedny pierwszy krok na drodze do niechetnego pogodzenia sie z prawda, ktora juz nigdy jej nie opusci.

Tulil corke i sluchal koscielnych dzwonow w niedzielny poranek, dzwoniacych nad wrzesniowymi polami. Minelo troche czasu od chwili, gdy ucichla, nim zorientowal sie, iz podobnie jak Church zasnela.

Polozył ja do lozka i szedl na dol do kuchni, gdzie Rachel zdecydowanie zbyt energicznie ugniatala ciasto. Powiedzial, iz zdumialo go, ze Ellie nagle wybuchla w ten sposob i to przed poludniem. To do niej niepodobne.

-Rzeczywiscie - odparla Rachel, z glosnym loskotem odstawiajac miske na blat. - To do niej niepodobne, ale mam wrazenie, ze nie spala prawie cala noc. Slyszalam, jak sie wierci, a kolo trzeciej Church zaczal miauczec, zeby go wypuscic. Robi to tylko wtedy, gdy jest niespokojna.

-Czemu mialaby...

-Dobrze wiesz czemu! - powiedziala gniewnie Rachel. - Przez ten przeklety cmentarz zwierzat. Oto czemu. To naprawde

nia wstrzasneno, Lou. Pierwszy raz w zyciu byla na jakimkolwiek cmentarzu i po prostu... po prostu sie zdenerwowala. Raczej nie wysle twojemu przyjacielowi Judowi Crandallowi listu dziekczynnego za te szczegolna wycieczke.

Nagle to tylko moj przyjaciel, pomyslal Louis, jednocześnie rozbawiony i zirytowany.

-Rachel...

-I nie chce, zeby tam znow chodzila.

-Rachel, Jud mial racje co do sciezki.

-Tu nie chodzi o sciezke, i dobrze o tym wiesz. - Rachel podniosla miske i zaczela jeszcze szybciej krecic ciasto. - To przeklete miejsce jest chore. Dzieci chodza tam, sprzataja groby, utrzymuja sciezke... To niezdrowe, cholernie niezdrowe. I cokolwiek to jest, nie chce, zeby Ellie sie od nich zarazila.

Louis patrzyl na nia zaklopotany. Czesto podejrzewal, ze jedna z rzeczy pozwalajacych im utrzymac malzenstwo w czasach, gdy kazdy rok przynosil wieści o rozpadzie zwiazkow kolejnych przyjaciol, bylo poszanowanie tajemnicy, na wpol dostrzezonej, lecz nigdy nie dopowiedzianej mysli, ze w gruncie rzeczy cos takiego jak malzenstwo, zwiazek nie istnieje - kazda dusza trwa samotnie, nie poddajac sie probom racjonalizacji. To wlasnie byla tajemnica. I niewazne, jak dobrze zna sie swojego partnera, od czasu do czasu kazdy natrafia na niespodziewany mur badz wpada w nieoczekiwana pulapke. A czasami (dzięki Bogu nieczesto) natrafiamy na chwile absolutnej obcosci, cos jak niewidoczna turbulencja, ktora bez zadnych przyczyn moze wstrzasnac samolotem - przekonanie, przeswiadczenie, ktorego istnienia nigdy sie nie podejrzewalo, tak osobliwe (przynajmniej dla nas), ze wydaje sie niemal graniczace z psychoza. A wowczas trzeba stapac bardzo uwaznie, jesli ceni sie swoje malzenstwo i spokoj ducha. Nalezy pamietac, ze gniew z powodu podobnego odkrycia to domena glupcow wierzacych, iz jeden umysl moze naprawde poznac drugi.

-Kochanie, to tylko cmentarz zwierzat - rzekl.

-Przypomnij sobie, jak przed chwila plakala. - Rachel oblepiona ciastem lyzka wskazala drzwi wiodace do jego gabinetu. - Sadzisz, ze dla niej to jedynie cmentarz zwierzat? Cos takiego pozostawi pietno, Lou. Nie. Wiecej juz tam nie pojdzie. Nie chodzi o sciezke, tylko o miejsce. Zaczela juz uwazac, ze Church wkrótce zdechnie.

Przez sekunde Louis odniosl szalencze wrazenie, ze wciaz rozmawia z Ellie, ktora tylko nalozyla szczudla, jedna z sukienek matki i bardzo realistyczna maske Rachel. Nawet wyraz jej twarzy byl taki sam: zdecydowany i odrobine nadasany, a przede wszystkim gleboko zraniony.

Szukal wlasciwych slow, bo nagle kwestia ta wydala mu sie niezmiernie wazna - nie jedna z rzeczy, jakie zwykle pomijalo sie w imie uszanowania owej tajemnicy... owej samotnosci. Szukal wlasciwych slow, albowiem mial wrazenie, ze zona nie dostrzega czegos tak waznego, iz niemal wypelniajacego caly widnokrag. A czegos takiego nie mozna dokonac, jesli z rozmyslem nie zamyka sie oczu.

-Rachel - powiedzial - Church kiedyś zdechnie. Spojrzala na niego gniewnie.

-Nie o to chodzi - oznajmila, starannie wypowiadajac kazdy wyraz, jakby mowila do niedorozwiniętego dziecka. - Church nie zdechnie dzisiaj ani jutro...

-Staralem sie jej to wyjasnic.

-Ani pojutrze. Prawdopodobnie nie w tym roku. - Kochanie, tego nie mozemy byc pewni.

-Oczywiscie, ze mozemy! - krzyknela. - Dobrze sie nim opiekujemy i on nie umrze. Nikt tu nie umrze. Czemu zatem chcesz martwic mala dziewczynke czyms, czego nie zrozumie, poki nie bedzie znacznie starsza?

-Rachel, posluchaj.

Lecz Rachel nie miala zamiaru sluchac. Byla wsciekla.

-Dostatecznie ciezko jest probowac sie pogodzic ze smiercia - zwierzecia, przyjaciela czy kogos z rodziny - gdy do niej dochodzi, bez zamieniania jej w... w przekleta atrakcje turystyczna... F-F-Forest Lawn dla zwierzat... - Po jej policzkach splywaly lzy.

-Rachel. - Louis probowal polozyc rece na jej ramionach. Odepchnela je szybko i zdecydowanie.

-Nieważne - rzekła. - Ta rozmowa i tak nie ma sensu. Zupelnie nie wiesz, o czym mówię.

Westchnął.

-Mam wrażenie, jakbym przeleciał przez ukryta kłapę i znalazł się w gigantycznym mikserze. - Liczył na uśmiech, ale go nie zobaczył. Widział jedynie jej oczy, wpatrzone w niego, czarne, gorejące. Uświadomił sobie, że jest wściekła. Nie po prostu zła, ale absolutnie wściekła. - Rachel - rzekł nagle, nie do końca pewien, co mówi. - A jak ty spałaś zeszłej nocy?

-Rany - rzuciła z pogardą, odwracając się. Nie dość szybko jednak: zdążył dostrzec w nich iskry bólu. - To naprawdę bardzo inteligentne. Naprawdę inteligentne. Ty się nigdy nie zmienisz, Louis. Kiedy coś idzie nie tak, to wina Rachel, prawda? Rachel i jednej z jej dziwacznych emocjonalnych reakcji.

-To niesprawiedliwe.

-Nie? - Zniosła miskę z ciastem do kątka obok kuchenki i postawiła ją z kolejnym lupnieciem. Zaciśnięte wargi, nasmarowała tłuszczem brytfankę.

-Nie ma nic złego w tym, że dziecko dowie się czegoś o śmierci - powiedział cierpliwie Louis. - W istocie uważam, że to konieczne. Placz Ellie wydal mi się czymś zupełnie naturalnym. On...

-Jasne, brzmiał bardzo naturalnie. - Rachel odwróciła się błyskawicznie. - To bardzo naturalne, że wypłakuje oczy z powodu kota, któremu zupełnie nic nie jest...

-Przeestan! - rzucił. - To, co mówisz, nie ma sensu.

-Nie chce już o tym rozmawiać.

-Owszem, ale porozmawiamy. - Teraz on był zły. - Powiedziałas swoje. Może pozwolisz mi wyrazić własne zdanie?

-Ona już tam nie pojedzie. Jeśli o mnie chodzi, temat jest zamknięty.

-Ellie od zeszłego roku wie, skąd biorą się dzieci - powiedział Louis, starannie dobierając słowa. - Dalismy jej książeczkę Myersa i przeprowadziliśmy z nią rozmowę. Oboje zgodziliśmy się, że dzieci powinny wiedzieć, skąd się wzięły.

-To nie ma nic wspólnego z...

-Właśnie, że ma! - uciął. - Gdy mówiliśmy z Ellie w moim gabinecie o Churchu, przypomniła mi się moja matka i stara historyjka o kapusie, która opowiedziała mi, kiedy spytałem, skąd się biorą dzieci. Nigdy nie zapomniałem tego kłamstwa. Myślę, że dzieci do końca życia nie zapominają kłamstw swoich rodziców.

-To, skąd się biorą dzieci, nie ma nic wspólnego z cholernym cmentarzem dla zwierząt! - krzyknęła Rachel, a jej oczy mówiły: Gadaj sobie o podobieństwach noc i dzień, jeśli masz ochotę, Louis. Gadaj, póki język nie stanie ci kolkiem, a ja i tak się nie zgodzę.

Mimo to próbował.

-Wizyta na cmentarzu dla zwierząt zmartwiła ją, bo cmentarz stanowi konkretyzację śmierci. Ellie wie o dzieciach. To miejsce w lesie sprawiło, że zapragnęła dowiedzieć się czegoś więcej o drugim krancu życia. To całkowicie naturalne. W istocie to chyba najnaturalniejsza rzecz pod słońcem...

-Przeestan to powtarzać! - krzyknęła nagle. Naprawdę wrzasnęła i Louis zdumiony cofnął się o krok. Jego łokieć trafił w otwartą torbę maki, leżącą na blacie. Torba spadła i uderzyła o podłogę, rozdzierając się. W powietrze wzbijała się sucha, biała mączna chmura.

-O kurwa - zaklął.

W pokoju na gorze Gage zaczął płakać. - Slicznie - rzuciła, także płacząc. - Na dodatek obudziłeś małego. Dzięki za miły, spokojny, bezstresowy niedzielny poranek.

Ruszyła ku drzwiom i kiedy przechodziła obok niego, Louis zatrzymał ją, chwytając za ramię. Mimo że starał się zachować spokój, również wpadł w złość. Ostatecznie to ona obudziła Gage'a. Obudziła go, wrzeszcząc bez opamiętania.

-Pozwól, że o coś cię spytam - rzekł - bo wiem, że z żywymi istotami może stać się wszystko, dosłownie wszystko. Wiem to jako lekarz. Czy chcesz osobiście wyjaśnić jej, co się stało, jeśli jej kot zachoruje na nosówkę albo białaczkę - koty

bardzo często chorują na białaczkę - albo zostanie przejechany na drodze? Chcesz jej to wyjaśnić, Rachel?

-Puść mnie - niemal syknęła. Gniew w jej głosie nie dorównywał jednak mocy bólowi i bezrozumnej grozie w oczach. Nie chce o tym rozmawiać, Louis, a ty nie możesz mnie zmusić, mówią te oczy. - Puszczaj, chce iść do Gage'a, zanim wypadnie z kołys...

-Bo może rzeczywiście ty powinnaś to zrobić - ciągnął. - Mogłabyś jej powiedzieć, że my o tym nie rozmawiamy. Mili ludzie o tym nie rozmawiają. Po prostu grzebią - oho, nie możesz powiedzieć grzebią, bo popadnie w kompleksy.

-Nienawidzę cie! - wyszlochala Rachel i wyrwała mu ramię.

Wówczas, rzecz jasna, zrobiło mu się przykro, ale wtedy było już za późno.

-Rachel...

Odepchnęła go brutalnie, płacząc coraz mocniej.

-Zostaw mnie. Dość już zrobiłeś. - Przystanęła w kuchennych drzwiach i obróciła się ku niemu. Łzy spływały strumieniami po jej policzkach. - Nie życzę sobie, abys wspominał o tym przy Ellie, Lou. Mówię poważnie. W śmierci nie ma niczego naturalnego. Niczego. Ty, jako lekarz, powinienes to wiedzieć.

Obróciła się na piecie i zniknęła, pozostawiając Louisa w pustej kuchni, wciąż wibrującej energią kłotni. Po chwili Louis podszedł do szafki po szczotkę. Zamiatając, rozważał ostatnią rzecz, która powiedziała, zdumiewając się nieprawdopodobną rozbieżnością ich opinii na ten temat, z której istnienia nie zdawał sobie do tej pory sprawy. Jako doktor wiedział przecież, że śmierć, może poza tą w pologu, to najnaturalniejsza rzecz na świecie; nawet podatki nie były tak pewne. Podobnie ludzkie spory, konflikty społeczne, hossy i bessy. W ostatecznym rozrachunku pozostawał jedynie odmierzający dni zegar i nagrobki, z upływem czasu niszczone i w końcu bezimienne. Nawet żolwie morskie i olbrzymie sekwoje musiały kiedyś umrzeć.

-Zelda - powiedział głośno. - Chryste, musiała to strasznie przeżyć.

Pytanie brzmiało: czy ma dać sobie z tym spokój, czy też próbować coś zrobić.

Nachylił szufelkę nad kubłem i maka zsunęła się z niej z cichym szurnieciem, pokrywając białą warstewką wyrzucone pudła i puste puszkę.

10.

-Mam nadzieję, że Ellie nie przyjęła tego zbyt ciężko - powiedział wieczorem Jud Crandall i nie po raz pierwszy Louis odniósł wrażenie, że jego sąsiad obdarzony jest niezwykłą - i dość nieprzyjemną - zdolnością łagodnego trafiania w sedno każdego problemu. Siedzieli z Judem i Norma na werandzie domu Crandallów, napawając się chłodem wieczora i zamiast piwa popijając mrożoną herbatę. Na piętnastce panował spory ruch. Ludzie wracali do domu po weekendzie, zupełnie jakby wszyscy uznali, że letnia pogoda łąka moment się skończy i postanowili dobrze ją wykorzystać. Jutro Louis miał podjąć pełne obowiązki w przychodni. Przez ostatnie dwa dni studenci zjeżdżali się na uniwersytet, zapelniając mieszkania w Orono i kampusowe akademiki; slali łożka, odnawiali stare znajomości i bez wątplenia narzekali bez opamiętania na kolejny czekający ich rok zajęć od osmej rano i jedzenie ze stolówki. Rachel wciąż traktowała go ozieble - nie, raczej lodowato - i wiedział, że kiedy wróci dziś na drugą stronę drogi, ona będzie już spała, najprawdopodobniej wraz z Gage'em, tak daleko odsunięta na bok swej strony łożka, że małemu będzie groziło wypadnięcie. Jego polowa urosnie do trzech czwartych: rozległa jalowa pustynia.

-Mówiłem, że mam nadzieję...

-Przepraszam - przerwał Louis - zamysliłem się. Owszem, była trochę zmartwiona. Skąd wiesz?

-Sporo ich tu widzieliśmy, jak już wspominałem. - Jud łagodnie ujął dłoń żony i uśmiechnął się do niej szeroko. - Nieprawdaz, kochanie.

-Całe stada dzieci - potwierdziła Norma Crandall. - Uwielbiamy je.

-Czasami na cmentarzu zwierząt po raz pierwszy stają oko w oko ze śmiercią - powiedział Jud. - W telewizji widza umierających ludzi, ale wiedza, że tamci tylko udają, jak w starych westernach, które kiedyś wyświetlali w kinach w sobotnie popołudnia. W telewizji i westernach człowiek łapie się za brzuch albo piers i upada. Tamto miejsce na wzgórzu większości dzieciaków wydaje się znacznie bardziej rzeczywiste niż wszystkie filmy i programy telewizyjne.

Louis przytaknal, myslac: Moze powiesz to mojej zonie.

-Na niektórych dzieciach w ogole nie wywiera to wrazenia, przynajmniej tego nie widac, choc podejrzewam, ze wiekszosc, jakby... jakby zabierala to z soba do domu, w kieszeni, by obejrzec pozniej, podobnie jak inne znalezione ciekawostki. Wiekszosci nic nie jest, ale niektore... pamietasz malego Symondsow, Normo?

Jego zona przytaknela. Lod zadzwonil miekko w trzymanej przez nia szklance. Reflektory przejezdajacego samochodu zamigotaly przez moment na ogniwach lancuszka, na którym wisialy okulary.

-Mial okropne koszmary - rzekla. - Snily mu sie trupy wychodzace z ziemi i Bog jeden wie, co jeszcze. Potem zdechl jego pies. Zdaje sie, ze zjadl trutke. Tak powszechnie uwazano, prawda, Jud?

-Trutke. - Jud skinal glowa. - Tak sadzila wiekszosc ludzi. To bylo w 1925 roku, Billy Symonds mial wtedy jakies dziesiec lat. Pozniej zostal senatorem. Kandydowal w wyborach do Izby Reprezentantow, ale przegral. Dzialo sie to tuz przed Korea.

-Razem z przyjaciolmi urzadzili psu pogrzeb - wspominala Norma. - To byl zwykly kundel, ale Billy bardzo go kochal. Pamietam, ze jego rodzice z poczatku sprzeciwiali sie temu pomyslowi z powodu zlych snow i tak dalej, jednak pogrzeb poszedl swietnie. Dwoch wiekszych chlopcow zrobilo mu trumne, prawda, Jud?

Jud przytaknal i oproznil szklanke.

-Dean i Dana Hall - uscislil. - I jeszcze jeden chlopak, z którym kumplowal sie Billy; nie pamietam, jak sie nazywal, ale to na pewno jeden z braci Bowie. Pamietasz Bowiech? Mieszkali przy Middle Drive w starym domu Brochette'ow.

-Tak. - Norma wygladala na podekscytowana, jakby to wszystko dzialo sie zaledwie wczoraj. I byc moze w jej umysle rzeczywiscie tak bylo.

-To byl Bowie. Alan albo Burt.

-Albo moze Kendall. W kazdym razie pamietam, ze ostro klocili sie o to, kto bedzie dzwigal trumne. Pies nie byl zbyt duzy, totez dzwigajacych moglo byc tylko dwoch. Chlopcy Hallow mowili, ze to powinni byc oni, bo przeciez zrobili trumne, a takze dlatego, ze sa blizniakami: no wiesz, pasowaliby do siebie. Billy twierdzil, ze nie znali Bowsera - tak nazywal sie pies - dostatecznie dlugo, by niesc jego trumne. "Moj tato mawia, ze tylko przyjaciele moga to robic - powtarzal - nie zwykli stolarze". - Jud i Norma wybuchneli smiechem. Louis takze usmiechnal sie szeroko. Pozalowal, ze nie ma z nim Rachel.

-Juz mieli zaczac sie bic, kiedy Mandy, siostra Billy'ego, przyniosla im czwarty tom Encyklopedii Britannica - ciagnal Jud. - Jej ojciec, Steven, byl w owych czasach jedynym lekarzem miedzy Bangor i Bucksport, i w calym Ludlow tylko ich rodzine stac bylo na zakup encyklopedii.

-Pierwsi tez zainstalowali sobie elektrycznosc - wtracila Norma.

-W kazdym razie - podjal opowiesc Jud - Mandy wypadla z domu, zdrowa i prosta jak trzcina, z pieknie uniesiona glowa, jak mawiala moja mama, zaledwie osmiolatka z fruwajacymi halkami i wielka ksiazka w ramionach. Billy i dzieciak Bowiech - to chyba jednak byl Kendall, ten sam, który rozbil sie i splonal w Bazie Pensacola, gdzie szkolil sie na pilota, na poczatku czterdziestego drugiego roku - zamierzali wlasnie stluc blizniakow Hallow, walczac o przywilej zaniewienia biednego, starego, zatrutego kundla na cmentarz.

Louis zaczal chichotac. Po chwili smial sie juz glosno. Czul, jak napiecie, pozostalosc pelnej goryczy klotni z Rachel, zaczyna z niego schodzic.

-Zawolala: "Czekajcie, czekajcie! Zobaczcie tutaj!". I wszyscy posluchali. I niech mnie diabli, jesli...

-Jud - rzucila ostrzegawczo Norma.

-Przepraszam, kochanie. Wiesz, ponioslo mnie.

-Najwyrazniej.

-I, niech mnie lichy, jesli nie otwarla encyklopedii na hasle POGRZEBY. Byl tam obrazek krolowej Wiktorii wyruszajacej w swa ostatnia podroz. Po obu stronach trumny stalo chyba czterdziestu siedem osob. Czesc meczyla sie z podniesieniem olbrzymiego pudla, inni stali bezczynnie w odswietnych strojach i marszczonych kolnierzach, jak tłum na wyscigach, czekajacy na zamkniecie zakladow. "Pisza tu - powiedziala Mandy - ze w razie uroczystego pogrzebu panstwowego mozna miec tylu, ilu sie zechce. Tak tu jest!".

-To rozwiázalo sprawe? - spytał Louis.

-Owszem. W koncu trumne dzwigało dwadzieścioro dzieciaków. I niech mnie, jeśli nie wyglądali zupełnie jak na tym obrazku, który znalazła Mandy, może oprócz tego, że nie mieli cylindrów i odświetnych strojów. Mandy wszystkim kierowała. Ustawiała ich, dala każdemu kwiatek - mlecz, dzwonek, stokrotkę - i ruszyli. Na Boga, zawsze uważałem, że nasz kraj wiele stracił na tym, iż Mandy Symonds nie trafiła do ONZ. - Rozesmiał się i potrząsał głową. - W każdym razie na tym skończyły się koszmary Billy'ego Symonds'a dotyczące cmentarza zwierząt. Jakis czas oplakiwał swojego psa, potem skończył żalobę i otrząsał się z tego. I pewnie wszyscy tak robimy.

Ach, tak? Louis znowu pomyślał o historycznej reakcji Rachel.

-Wasza Ellie też sobie z tym poradzi. - Norma poruszyła się lekko. - Pewnie myślisz, Louis, że gadamy tu tylko o śmierci. Jud i ja zestarzelismy się, ale mam nadzieję, że nie jesteśmy jeszcze na etapie pogrzebowych ptaszydeł...

-Oczywiście, że nie. Nie mów takich rzeczy - wtrącił Louis.

-...ale to niezły pomysł zaznajomić się nieco ze śmiercią. W dzisiejszych czasach... sama nie wiem... Nikt nie chce o niej rozmawiać ani myśleć. Oczyszczili z niej telewizję, bo uważali, że może jakos zranić dzieci, skrzywić ich umysły. A ludzie na pogrzebach proszą o wystawienie zamkniętej trumny, by nie musieli patrzeć na zwłoki i zegnac się z nimi... Zupełnie jakby chcieli zapomnieć o śmierci.

-A jednocześnie kupują kablówkę pełną filmów pokazujących ludzi... - Jud zerknął na Normę i odchrząknął - pokazujących ludzi robiących to, co zazwyczaj robi się przy zasuniętych zasłonach - dokończył. - Dziwne, jak wszystko zmienia się z pokolenia na pokolenie, prawda?

-Tak. - odparł Louis - Chyba tak.

-Coż, my dwoje jesteśmy dziećmi innych czasów. - W głosie Juda zabrzmiała niemal przepraszająca nuta. - Zylismy bliżej śmierci. Oglądaliśmy epidemie grypy po Wielkiej Wojnie. Matki umierające z dziećmi. Dzieci zabijane przez infekcje i choroby, które dzisiejsi lekarze potrafią uleczyć jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. W czasach gdy byliśmy z Normą młodzi, jeśli ktoś dostał raka, oznaczało to wyrok śmierci bez odwołania. W latach dwudziestych nie znano żadnych radioterapii. Dwie wojny, morderstwa, samobójstwa...

Na moment umilkł.

-Znalismy śmierć jako przyjaciela i wroga - rzekł w końcu. - Mój brat Pete umarł z powodu peknienia wyrostka w 1912 roku, kiedy jeszcze Taft był prezydentem. Miał zaledwie czternaste lat i potrafił odbić piłkę baseballową dalej niż jakikolwiek dzieciak w mieście. W tamtych czasach nie trzeba było przerabiać w college'u kursu na temat śmierci w hotpicjach, czy jak je tam nazywają. Wtedy śmierć przychodziła do domu i mówiła cześć. Czasami jadła z toba obiad, a czasem czuła, jak gryzie cię w tyłek.

Tym razem Norma go nie poprawiała, jedynie przytaknęła bez słowa. Louis wstał i przeciągnął się.

-Muszę iść - rzekł. - Jutro czeka mnie wielki dzień.

-A, tak. Jutro zaczyna się karuzela, prawda? - Jud także wstał. Dostrzegł, iż Norma próbuje się podnieść, toteż podał jej rękę. Dzwignęła się z bolesnym grymasem.

-Mocniej dziś dolega? - spytał Louis. - Nie jest tak źle - odparła.

-Kiedy się położysz, rozgrzej się.

-Tak zrobię - odparła Norma. - Zawsze tak robię. I Louis... nie przejmuj się Ellie. Tej jesieni będzie zbyt zajęta poznawaniem nowych przyjaciół, by rozmyślać o tamtym starym miejscu. Może któregoś dnia wybiora się tam cała grupa. Odmalują cześć nagrobków, wyrwa chwasty, zasadzą kwiaty. Czasami to robią, kiedy najdzie ich chęć. Wtedy poczuje się lepiej. Zacznie zaznajamiać się ze śmiercią.

Nie, jeśli moja żona ma coś w tej sprawie do powiedzenia.

-Wpadnij jutro wieczór i opowiedz, jak ci poszło, jeśli będziesz miał okazję - poprosił Jud. - Rozniosę cię w cribbage.

-Może najpierw ja cię upiję - odrzekł Louis - a potem dopiero ci dolożę.

-Doktorce - powiedział Jud z powagą. - W dniu, kiedy ktokolwiek roznieś mnie w cribbage, pozwól się leczyć takiemu konowalowi jak ty.

Wyszedł zegnany ich śmiechem i w ciemnościach końca lata przeszedł przez drogę, zmierzając do własnego domu.

Rachel spała wraz z małym, skulona na swej stronie łóżka w obronnej, niemal płodowej pozycji. Pewnie niedługo jej przejdzie, pomyślał. W ich małżeństwie zdarzały się kłotnie i ciche dni, ale ta była zdecydowanie najgorsza. Czuł smutek, żal, a jednocześnie był nieszczęśliwy. Chciał się pogodzić, lecz nie wiedział jak. Nie był nawet pewien, czy to on powinien wykonać pierwszy ruch. Wszystko to nie miało sensu. Słaby podmuch wiatru jakimś cudem, dzięki mocy umysłu, zyskał siłę huraganu. Bywały inne kłotnie i spory, owszem, ale tylko nieliczne równie bolesne jak ta, dotycząca leż i pytań Ellie. Przypuszczał, że nie trzeba wielu podobnych ciosów, by sama struktura małżeństwa zaczęła się chwiać... aż wreszcie pewnego dnia, zamiast czytać liścik przyjaciela ("Chyba powinienem ci powiedzieć sam, zanim usłyszysz to od kogoś innego, Lou; rozstajemy się z Maggie...") bładz notkę w gazecie, przeżyjesz to osobiście.

Po cichu rozebrał się do szortów i nastawił budzik na szósta. Potem wziął prysznic, umył włosy, ogolił się i przed umyciem zębów przegryzł srodek na nadkwasotę - po mrożonej herbacie Normy dostał niestrawności. A może sprawił to powrót do domu i widok Rachel leżącej z boku po jej stronie łóżka? To terytorium określa też wszystko inne. Czy nie czytał tego przypadkiem w podręczniku do historii?

Gdy już wszystko załatwił, zapomniał o wieczorze, położył się, ale nie mógł zasnąć. Było coś jeszcze, coś, co go dreczyło. Raz po raz odtwarzał w głowie wydarzenia ostatnich dwóch dni, słuchając oddychających obok Rachel i Gage'a. GEN PATTON. HANNAH, NAJLEPSZY PIĘS, JAKI KIEDYKOLWIEK ŻYŁ. MARTA, NASZA KRULICZKA. Ellie, wściekła. "Nie chce, by Church kiedykolwiek umarł! Nie jest kotem Pana Boga! Niech Bóg sprawi sobie własnego kota!". Rachel, równie wściekła. "Ty, jako lekarz, powinienes to wiedzieć...". Norma Crandall mówiła: "Zupełnie jakby ludzie chcieli zapomnieć o śmierci". I Jud, z dzwierzacą w głosie straszliwa pewnością, nieublagana prawda, słowami z innej epoki. "Czasami jadał z tobą obiad, a czasem czułeś, jak gryzie cię w tyłek".

I głos ów znalazł się z głosem jego matki, która okłamała Louisa Creeda w sprawie seksu, gdy miał cztery lata, lecz później powiedziała mu prawdę o śmierci, gdy miał lat dwanaście, kiedy to jego kuzynka Ruthie zginęła w głupim wypadku samochodowym. Została zmiądzona w wozie ojca przez dzieciaka, który znalazł kluczyki w stacyjce ciężarówki Departamentu Robot Publicznych i postanowił wybrać się na przejazd, tylko po to, by odkryć, że nie umie hamować. Dzieciak odniósł jedynie drobne obrażenia, natomiast fairlane wuja Carla został zupełnie zniszczony.

-Ona nie może nie żyć - odparł w odpowiedzi na brutalne słowa matki. Słyszał je, ale nie potrafił wydobyć z nich sensu. - Co to znaczy nie żyć? O czym ty mówisz? - A potem, po namyśle: - Kto ją pogrzebie? - Bo choć ojciec Ruthie, a wuj Louisa był przedsiębiorcą pogrzebowym, Louis nie wyobrażał sobie, by wuj Carl sam tego dokonał. Oszołomiony i coraz bardziej przerażony chwycił się tej myśli jako najważniejszego pytania. Oto prawdziwa zagwozdka, jak ta, kto strzyże jedyne fryzjera w miasteczku.

-Przypuszczam, że robi to Donny Donahue - odparła matka. Oczywiście miała zaczerwienione, lecz przede wszystkim sprawiała wrażenie zmęczonej, praktycznie chorej ze zmęczenia. - To najbliższy kolega twojego wuja z branży. Ale Louis... urocza mała Ruthie... nie mogę znieść myśli, że cierpiała. Pomodl się ze mną, dobrze, Louis? Pomodl się ze mną za Ruthie. Musisz mi pomóc.

Toteż ukleknął na podłodze w kuchni, on i jego matka. I pomodlili się, i modlitwa ta sprawiła, że wreszcie prawda do niego dotarła. Skoro matka modliła się za duszę Ruthie Hodge, to znaczy, że jej ciało odeszło. Zamknął oczy i nagle ujrzał straszliwą wizję: Ruthie przybywa na przyjęcie z okazji jego trzynastych urodzin, gnijące oczy wiszą jej na policzkach, błękitna pleśń pokrywa rude włosy. Obraz ten wywołał nie tylko mdłą strach, ale też nagłą falę nieznosnej, rozpaczliwej miłości.

I wówczas krzyknął w największym bólu swego życia. - Ona nie może nie żyć! Mamo, ona nie może nie żyć! Ja ją kocham!

Odpowiedź matki przypominała zatrzasknięcie wrot grobowca, wiszących na skrzypiących, zardzewiałych zawiasach. Cichy, beznamietny głos, pełen obrazów martwych pol, smaganych listopadowym wiatrem, płatków rozbrzowiejących i schnących na koncach. Pustych basenów powleczonych warstwą glonów, prochna, rozkładu, pyłu.

-To prawda, kochanie. Przykro mi, ale to prawda. Ruthie nie żyje.

Louis zadrzał, myślał - śmierć to śmierć. Czego jeszcze ci trzeba?

Nagle zrozumiał, co zapomniał zrobić. Czemu wciąż nie mógł zasnąć w noc poprzedzającą pierwszy dzień nowej pracy.

Czemu zamiast spac, rozważa stare smutki.

Wstał, ruszył ku schodom, nagle jednak skreślił w dół korytarza do pokoju Ellie. Dziewczynka spała spokojnie z otwartymi ustami, ubrana w błękitną piżamkę, z której zdecydowanie wyrosła. Moj Boże, Ellie, pomyślał, pnieś się w górę jak pędy kukurydzy. Church leżał pomiędzy rozrzuconymi kostkami Ellie, martwy dla świata.

-Wybacz te słowa, mój stary.

Na dole, na ścianie obok telefonu wisiała tablica z przypiętymi do niej karteczkami, notatkami i rachunkami. Na gorze, swym starannym drukowanym pismem, Rachel napisała: "Rzeczy do jak najpóźniejszego załatwienia". Louis sięgnął po książkę telefoniczną, sprawdził numer i zanotował go na pustej karteczce. Pod numerem zapisał: "Quentin L. Jolander, dr wet. - zadzwonić w sprawie Churcha. Jeśli Jolander nie kastruje zwierząt, poda inny adres".

Spojrzał na notatkę, zastanawiając się, czy to już czas, i wiedząc, że tak. Z całej tych sporów musiało wyniknąć coś konkretnego. A on odkrył coś ważnego, gdzieś pomiędzy rankiem a wieczorem, sam nie wiedział kiedy. Zdecydował, że nie chce, by Church kiedykolwiek przebiegał przez drogę, jeśli tylko potrafi temu zaradzić.

Nagle przypomniał sobie, jakie emocje obudziła w nim ta sprawa. Obawa, że operacja ta umniejszy kota, przemieni go w tłustego starego kocura zadowolającego się drzemką na kaloryferze, póki nie wrzuci mu się czegoś do miski. Nie chciał, by Church był taki. Lubił go takiego, jaki jest - zwinnego i złośliwego.

Na zewnątrz w ciemności wielka ciężarówka przetoczyła się z hukiem po piętnastce, i to ostatecznie przeważało szale. Przypiął notatkę pinezką do tablicy i poszedł do łóżka.

11.

Następnego ranka przy śniadaniu Ellie zauważyła nową karteczkę na tablicy i spytała, co to znaczy. -To znaczy, że czeka go niewielka operacja - wyjaśnił Louis. - Prawdopodobnie będzie musiał zostać na noc u weterynarza. A kiedy wróci do domu, będzie się trzymał podwórka. Przerwanie się włączyć po okolicy.

-I przechodzić przez drogę? - spytała Ellie.

Ma dopiero pięć lat, pomyślał Louis, ale nie jest głupia.

-I przechodzić przez drogę - potwierdził.

-Juhu! - zawołała Ellie, i to zamknęło sprawę.

Louisa, przygotowanego na gwałtowną, może nawet histeryczną kłótnię na temat Churcha i jego noclegu poza domem, oszłomiła łatwość, z jaką się zgodziła. Uswiadomił sobie, jak bardzo musiała się martwić. Może jednak Rachel nie do końca się myliła co do wrażenia, jakie wywarł na ich córce Cmentarz Zwierząt.

Sama Rachel karmiła Gage'a porannym jajeczkiem posłała mu pełne wdzięczności spojrzenie. Spojrzenie to mówiło, iż okres chłodu się skończył. Przynajmniej ten topór wojenny został zagrzebany. Miał nadzieję, że na zawsze.

Później, gdy żółty szkolny autobus pokonał Ellie i uwiozł ją na poranne zajęcia, Rachel przyszła do niego, zarzuciła mu ręce na szyję i delikatnie pocałowała w usta.

-To bardzo kochane z twojej strony - powiedziała. - Przepraszam, że byłam taka suka.

Louis odpowiedział pocałunkiem. Mimo to czuł się nieco nieswojo. Nagle przyszło mu do głowy, że zdanie "Przepraszam, że byłam taka suka", choć absolutnie nietypowe, nie było też czymś zupełnie nowym. Zazwyczaj słyszał je, kiedy Rachel dopięła swego.

Tymczasem Gage podreptał chwiejnie do drzwi frontowych i zaczął wyglądać przez najniższą szklaną tafle, wprost na pustą drogę.

-Bus - powiedział, nonszalancko pociągając opadające pieluchy. - Ellie bus.

-Szybko rośnie - zauważył Louis. Rachel przytaknęła.

-Jak dla mnie zbyt szybko.

-Zaczekaj, aż wyrosnie z pieluch - odparł Louis. - Potem może przestac.

Rozesmiala sie i wszystko miedzy nimi znow bylo w porzadku. Calkowicie w porzadku. Cofnela sie o krok. Minimalnie poprawila mu krawat i od stop do glow zmierzyla krytycznym spojrzeniem.

-Zdalem egzamin, sierzancie? - spytal.

-Wygladasz swietnie.

-Tak, wiem, ale czy wygladam jak kardiochirurg, czlowiek wart dwiescie tysiecy rocznie?

-Nie, jak stary, poczciwy Lou Creed - odparla i zachichotala. - Rockandrollowe zwierzec.

Louis zerknal na zegarek.

-Rockandrollowe zwierzec musi wlozyc swe czadowe buty i znikac - oznajmil.

-Denerwujesz sie?

-Odrobine.

-Niepotrzebnie - orzekla. - Dostajesz szescdziesiat siedem tysiecy rocznie za naklejanie bandazy, zapisywanie lekow na grype i kaca, dawanie dziewczetom pigulki...

-Nie zapomnij o plynie przeciw wszom. - Louis znow sie usmiechal. Jedna z rzeczy, ktore najbardziej zaskoczyly go podczas pierwszego obchodu ambulatorium, byly potezne zapasy wspomnianego specyfiku. Wydaly mu sie ogromne, bardziej pasujace do bazy wojskowej niz do sredniej wielkosc uczelni.

Panna Charlton, przelozona pielegniarek, usmiechnela sie cynicznie.

-Tutejsze mieszkania poza kampusem sa dosc brudne. Sam pan zobaczy.

Nie mial co do tego watpliwosci.

-Milego dnia - powiedziala i znow go pocalowala, tym razem dluzej. Kiedy jednak odsunela sie, przybrala komicznie surowa mine. - I na milosc boska, pamietaj, ze jestes szefem, nie praktykantem czy nowicjuszem.

-Tak jest, pani doktor - odparl pokornie Louis i oboje wybuchneli smiechem. Przez moment mial ochote zapytac: "Czy to Zelda, kotku? Czy to ona tak w tobie tkwi? Jest twoim wzraliwym punktem? Zelda, i to jak umarla?". Ale nie zamierzal zadac jej tego pytania. Nie teraz. Jako lekarz wiedzial wiele rzeczy. A choc fakt, iz smierc jest rownie naturalna jak narodziny, byl byc moze najwazniejsza z nich, swiadomosc, ze nie nalezy draznic rany, ktora wlasnie zaczyna sie goic, stanowila zupelna podstawe.

Totez zamiast pytac, jedynie pocalowal ja i wyszedl.

To byl dobry poczatek. Dobry dzien. Maine przybralo letnie szaty. Niebo bylo blekitne i bezchmurne. Temperatura osiagnela idealne dwadziescia dwa stopnie. Zwalniajac na koncu podjazdu i sprawdzajac, co dzieje sie na drodze, Louis pomyslal, ze jak dotad nie widzial ani sladu jesiennych lisci, ktore ponoc mialy wygladac wspaniale. Co tam. Mogl zaczekac.

Skierowal honde civic, ktora wybrali na drugi samochod, w strone uniwersytetu i dodal gazu. Rachel zadzwoni do weterynarza. Zalatwi on sprawe z Churchem i to zakonczy cala te bzdure z Cmetarzami Zwiezat (zabawne, jak bledy ortograficzne pozostaja w glowie i zaczynaja wydawac sie prawidlowe) oraz lekiem przed smiercia. Po coz myslec o smierci tego pieknego wrzesniowego poranka?

Louis wlaczyl radio i zaczal krecic galka, poki nie znalazl Huey Lewis and the News i ich "Working for a Living". Zwiakszyl glosnosc i zaczal spiewac wraz z nimi, niezbyt dobrze, lecz z radoscia i zapalem.

12.

Pierwsza rzecz, jaka zauwazyl, skrecajac na teren uniwersytetu, byl gwaltowny, imponujacy wzrost ruchu. Na drodze roilo sie od samochodow, rowerzystow i biegaczy w sportowych spodenkach. Musial ostro zahamowac, by uniknac dwoch z nich, biegnacych od strony Dunn Hall ku boiskom za zabudowaniami. Nacisnal hamulec tak mocno, ze jego pas sie zablokowal; wcisnal klakson. Zawsze draznili go biegacze (rowerzysci mieli ten sam irytujacy zwyczaj), ktorzy automatycznie zakladali, ze ich odpowiedzialnosc konczy sie w chwili, gdy wyruszaja w droge. Ostatecznie przeciez cwiczyl. Jeden z nich pokazal Louisowi obelzwywy gest, nawet sie nie odwracajac. Louis westchnal i pojechal dalej. Druga

rzecz, jaka zauważył, było zniknięcie karetki z jej miejsca na niewielkim parkingu osrodka. Niemile go to zaskoczyło. Ambulatorium dysponowało sprzętem pozwalającym udzielić pierwszej pomocy ofiarom niemal każdej choroby czy wypadku: trzy świetnie wyposażone sale diagnostyczno-lecznicze, wychodzące na wielki przedsiónek, a za nimi dwie sale szpitalne, każda wyposażona w piętnaście łóżek. Nie było tu jednak bloku operacyjnego ani niczego, co mogłoby go zastąpić. W razie poważniejszych wypadków mieli karetkę, która przewiozłaby rannego lub ciężko chorego do EMMC, Centrum Medycznego Wschodniego Maine. Steve Masterton, asystent, który pierwszy oprowadził Louisa po osrodku, z dumą zaprezentował mu księgę przyjęć z ostatnich dwóch lat akademickich. W tym czasie karetki użyto tylko trzydziestu osiem razy. Niezłe, biorąc pod uwagę dziesięć tysięcy studentów i fakt, że w sumie na uniwersytecie pracowało bądź uczyło się niemal siedemnaście tysięcy osób.

A teraz, pierwszego prawdziwego dnia pracy, karetki nie było.

Zatrzymał się w miejscu oznaczonym świeżo wymalowanym napisem: "Zarezerwowane dla doktora Creeda" i pośpieszył do środka.

Charlton, siwiejąca drobna kobieta koło pięćdziesiątki zastał w pierwszym pokoju diagnostycznym. Mierzyła temperaturę dziewczynie ubranej w dzinsy i krotki top. Louis zauważył, iż pacjentka niedawno solidnie poparzyła się na słońcu. Wszędzie zlaźła jej skóra.

-Dzień dobry, Joan - powiedział. - Gdzie karetka?

-Prawdziwa tragedia, nie ma co. - Charlton wyciągnęła termometr z ust studentki i sprawdziła odczyt. - Steve Masterton przyjechał dziś rano o siódmej i zobaczył wielką kałużę pod silnikiem i przednimi kołami. Pekła chłodnica. Musieli odholować wóz.

-No pięknie - westchnął Louis. Mimo to czuł ulgę. Przynajmniej karetka nie pojechała do wezwania, czego obawiał się najbardziej. - Kiedy ją odzyskamy?

Joan Charlton rozesmiała się.

-Znając tempo działania uniwersyteckiego działu mechanicznego, oddadzą nam ją w okolicy 15 grudnia, zawinięta w świąteczną wstążkę. - Zerknęła na studentkę. - Masz poł stopnia gorączki - oznajmiła. - Zażyj dwie aspiryny i trzymaj się z daleka od barów i ciemnych alejek.

Dziewczyna zeskoczyła na podłogę, posłała Louisowi pełne uznania spojrzenie, po czym zniknęła.

-Pierwsza klientka w tym semestrze - mruknęła kwasno Charlton. Szybkimi ruchami strzasnęła termometr.

-Nie wydajesz się zachwycona.

-Znam ten typ - rzekła. - Jest jeden gorszy: sportowcy, którzy grają, mimo pękniętych kości, zapalenia ścięgien i innych atrakcji, bo nie chcą trafić na ławkę rezerwową; wielcy macho, nie mogą zawiesić drużyny, choćby miało to zagrozić ich przyszłej karierze zawodowej. No i panna Poł-Stopnia-Gorączki. - Skinieniem głowy wskazała okno, Louis dostrzegł oblazłą ze skóry dziewczynę, która maszerowała w stronę kompleksu akademików Gannetta-Cumberlanda-Androscogina. W przychodni dziewczyna sprawiała wrażenie kogos, kto czuje się okropnie, ale próbuje jakos się trzymać. Teraz maszerowała energicznie naprzód. Jej biodra kołysały się zachęcająco. Widziała wszystko i była widziana.

-Typowa studentka hipochondryczka. - Charlton włożyła termometr do sterylizatora. - W tym roku pojawi się jeszcze ze dwadzieścia razy. Przed każdą sesją jej wizyty stana się częstsze. Jakis tydzień przed egzaminami zjawi się przekonana, że ma zapalenie płuc, w ostateczności oskrzeli. Wykreśli się od czterech, pięciu kolokwiów - takich, gdzie asystenci to, jak mawiają studenci, mieczacy - i przesłiznie przez późniejsze zaliczenia. Tacy robią się zawsze ciężko chorzy, gdy wiedzą, że na egzaminie czeka ich obiektywny tekst, nie zwykły esej.

-Ale jesteśmy dziś cyniczni - zauważył Louis. W istocie czuł się nieco zagubiony.

Mruknęła do niego, sprawiając, że się uśmiechnął.

-Nie bierz tego do serca, doktorze. Pan też nie powinien.

-Gdzie jest teraz Steven?

-W pańskim gabinecie. Odpowiada na listy i próbuje odwalić najnowsze informacje z "Blue Cross" i "Blue Shield".

Louis wszedl do srodka. Mimo cynizmu Charlton, czul, ze pewnie siedzi w siodle.

Louis uwazal - kiedy w ogole mogli zniesc mysl o tym wszystkim - ze koszmar tak naprawde zaczal sie, gdy okolo dziesiatej przyniesiono do ambulatorium umierajacego chlopca, Victora Pascowa.

Do tego czasu wszystko szlo zupełnie gladko. O dziewiatej, pol godziny po jego przyjeździe, zjawily sie dwie praktykantki, pracujace od dziewiatej do trzeciej. Louis poczeslowal kazda z nich paczkiem i kubkiem kawy. Przez jakies pietnascie minut rozmawial z nimi, okreslajac ich obowiazki i, moze to nawet wazniejsze, co wykracza poza ich obowiazki. Potem przeejala je Charlton. Gdy prowadzila nowo przybyle na zewnatrz, Louis uslyszal, jak pyta:

-Czy zadna z was nie ma uczulenia na gowna albo wymiociny? Wiele ich tu zobaczycie.

-O Boze - mruknal Louis i zaslonil oczy. Usmiechal sie jednak. Twarda sztuka z tej Charlton. Bedzie z niej pozytek.

Louis zaczal wypelniac dlugie formularze ubezpieczeniowe, sprowadzajace sie do przedstawienia spisu uzywanych lekow i sprzetu medycznego (Co roku! - jeknal Steve Masterton. - Kazdego, cholernego roku wciaz to samo. Moze napiszesz im: KOMPLETNE WYPOSAZENIE SALI DO PRZESZCZEPOW SERCA, PRZYBLIZONY KOSZT 8 MILIONOW DOLAROW? To by ich ruszylo!). Calkowicie zaglebil sie w pracy, od czasu do czasu myslac jedynie, iz przydalby mu sie kubek kawy, gdy nagle Masterton krzyknal od strony przedsionka i poczekalni:

-Louis! Hej, Louis, chodz tutaj! Mamy klopot!

Bliski panik ton glosu Mastertona sprawil, ze Louis zareagowal blyskawicznie. Zerwal sie z krzesla, zupełnie jakby podswiadomie spodziewal sie czegos takiego. Wrzask, cienki i ostry, niczym odlamek stluczonego szkla, rozlegl sie z tego samego miejsca, co wczesniej krzyk Mastertona. Tuz po nim nastapilo donosne plasnienie.

-Przestan! - rzucila Charlton. - Przestan albo sie wynos! I to juz!

Louis wpadl do poczekalni. Z poczatkul dostrzegl jedynie krew - mnostwo krwi. Jedna z praktykantek plakala. Druga, blada jak sciana, przycisnela do ust piesci, rozciagajac wargi w szerokim, pelnym wstretu usmiechu. Masterton kleczal na podlodze, podtrzymujac glowe lezacego obok chlopca.

Steve uniosl wzrok i spojrzal na Louisa. Jego oczy byly ponure i przerazone. Probowal cos powiedziec. Bez powodzenia.

Przy wielkich szklanych drzwiach ambulatorium studenckiego zbierali sie ludzie i zagladali do srodka. Dlonmi oslaniali oczy, by uniknac odbitego swiatla. Umysl Louisa natychmiast przywolal stosowna wizje. Kiedys, gdy mial zaledwie szesc lat, siadywal co rano z matka w salonie i ogladal w telewizji stary program "Today" z Dave'em Garrowayem. Na zewnatrz zbierali sie ludzie, zapatrzeni w Dave'a i Franka Blaira oraz starego, poczwiwego J. Freda Mugssa. Rozejrzal sie wokol i zobaczyl innych ludzi, stojacych przy oknach. Z drzwiami nic nie mogli zrobic, ale...

-Zasun zaslony - warknal do praktykantki, ktora krzyknela.

Gdy ta nie zareagowala natychmiast, Charlton wymierzyla jej siarczystego klapsa w tylek.

-Rusz sie, dziewczyno!

Praktykantka pozbierala sie blyskawicznie. W chwile pozniej zielone story przyslonily okna. Charlton i Steve Masterton odruchowo staneli pomiedzy chlopcom na podlodze i drzwiami, starajac sie jak najskuteczniej zaslonic widok.

-Twarde nosze, doktorze? - spytala Charlton.

-Przynies je na wszelki wypadek - polecil Louis, kuczajac obok Mastertona. - Nawet nie mialem szansy mu sie przyjrzec.

-Chodz! - rzucila Charlton do dziewczyny, ktora zaslonila okna. Tamta ponownie rozciagala usta piesciami, tak iz ukladaly sie w pozbawiony odrobiny humoru, przerazliwy usmiech. Spojrzala na Charlton i jeknela.

-Oooch, aaa.

-Tak. Och, aaa, bez watpienia. Chodz. - Charlton szarpnela mocno dziewczynie i zmusila ja do wstania. Czerwono-biala pasiasta spodnica kolysala sie wokol kolan.

Louis schylil sie nad swym pierwszym pacjentem na Uniwersytecie Stanu Maine w Orono.

Byl to mlody mezczyzna okolo dwudziestki i Louis potrzebowal niecalych trzech sekund, by postawic jedyna, istotna

diagnoze - młody człowiek musiał umrzeć. Miał zmiądzona połowę czaszki. Złamana szyja. Jeden obojczyk sterczał z napuchniętego, pokreconego prawego ramienia. Z zółtej i zakrwawionej głowy sciekła leniwie ropa. Louis widział mózg młodzieńca, białoszary i pulsujący w miejscu, gdzie pękła czaszka. Przypominało to zagładanie do środka przez stłuczone okno. Otwór był szeroki na jakieś pięć centymetrów. Gdyby w głowie nosił żywe dziecko, może zdołałby je urodzić, jak Zeus, wprost z czoła. Niewiarygodne, że przy takich obrażeniach wciąż żył. Nagle Louis usłyszał w myślach słowa Juda Crandalla: "Czasami czujesz, jak gryzie cię w tyłek" i matki: "Śmierć to śmierć". Nagle szalenczo zachciało mu się śmiać. Śmierć to śmierć. Jasne, to oczywiste, mój stary.

-Wezwij karetkę - warknął do Mastertona. - Musimy...

-Louis, karetkę jest...

-Chryste! - Louis klepnął się w czoło i spojrzał na Charltona. - Joan, co się robi w takich wypadkach? Wzywa ochronę kampusu? Czy EMMC?

Joan sprawiała wrażenie zmartwionej i poruszonej. Jak na nią było to niezwykle rzadkie. Kiedy jednak odpowiedziała, jej głos zabrzmiał spokojnie.

-Doktorze, nie wiem. Za moich czasów w Centrum Medycznym nigdy nie zdarzyło się nic podobnego.

Louis rozpaczliwie myślał o wszystkim.

-Wezwij policję kampusu. Nie możemy czekać, by EMMC przysłało nam własną karetkę. Jeśli będzie trzeba, zawioza go do Bangor w jednym z wozów strażackich. Przynajmniej ma syrenę i koguta. Szybko, Joan.

Posłusznie odeszła. Najpierw jednak posłała mu pełne współczucia spojrzenie, a on natychmiast je zrozumiał. Ten młody człowiek, mocno opalony i dobrze umięsiony - może po letniej pracy gdzieś na drodze, malowaniu domów, udzielaniu lekcji tenisa - ubrany jedynie w czerwone spodenki gimnastyczne z białymi paskami, miał umrzeć, niezależnie od tego, co robił. Byłby równie martwy, nawet gdyby ich własna karetkę stała przed budynkiem z rozgrzanym silnikiem, czekając na przyniesienie pacjenta.

Niewiarygodne, lecz umierający się poruszył. Jego powieki zatrzępotwały i podniosły się. Blekitne oczy, tęczówki otoczone pierścieniem krwi, patrzyły tępo przed siebie, jednak niczego nie widział. Chłopak próbował poruszyć głowę i Louis musiał nacisnąć mocno, by go powstrzymać w obawie, iż student ma skrecony kark. Potworne obrażenia czaszki nie znaczyły bynajmniej, iż nie odczuwał bólu. Dziura w jego głowie. O, Chryste. Dziura w głowie.

-Co mu się stało? - spytał Steve'a świadomy, iż zważywszy na okoliczności, jest to wyjątkowo głupie i bezsensowne pytanie, pytanie gapi, lecz dziura w głowie tamtego potwierdziła jego własny status. Był jedynie gapiem. - Czy przywiozła go policja?

-Grupa studentów przyniosła go na kocu. Nie mam pojęcia, jak to się stało.

Tym także trzeba się zająć. To w końcu jego obowiązek.

-Wyjdź i odszukaj ich - polecił Louis. - Następnie podprowadź do drugich drzwi. Chce, żeby byli pod ręką, ale żeby nie widzieli więcej niż reszta.

Masterton z wyraźną ulgą, że może oderwać się od tego, co dzieje się w ambulatorium, podbiegł do drzwi i otworzył je, wpuszczając do środka fale podnieconych, zaciekawionych, oszłomionych głosów. Louis słyszał też zawołanie syreny policyjnej. Ochrona kampusu już tu była. Ogarnęła go przejmująca ulga.

Umierający mężczyzna wydawał z siebie gardłowe, bulgoczące dźwięki. Próbował coś powiedzieć. Louis słyszał sylaby - a przynajmniej głoski - lecz rozszyfrowanie niewyraźnych słów było kłopotliwe.

Nachylił się ku niemu i rzekł:

-Wszystko będzie dobrze. - Mówiąc to, pomyślał o Rachel i Ellie. Jego żołądek szarpnął się gwałtownie. Przycisnął do ust dłoń i zdusił beknięcie.

-Kaaa - mawiał młody mężczyzna. - Gaaa...

Louis rozejrział się i przekonał, że na moment został sam z umierającym. Jak przez mgłę słyszał krzyki Joan Charlton, wrzeszczącej do praktykantek, że nosze trzymają w szafie magazynowej obok pokoju numer 2. Louis wątpił, by dziewczyny

potrafiły odróżnić pokój numer 2 od zabich jader. Ostatecznie dla nich także był to pierwszy dzień pracy. Wspaniałe wprowadzenie do cudownego świata medycyny. Na zielonej wykładzinie rozlała się błotnista różowa plama, coraz szerszym kregiem otaczająca strzaskana głowę młodzieńca. Na szczęście przestało cieknąć z rozbitej czaszki.

-Na Cmentarzu Zwierząt - wydusił z siebie młodzieńiec i uśmiechnął się szeroko. Uśmiech ten niezwykle przypominał pozbawiony wesołości i histeryczny grymas praktykantki, która niedawno zasunęła zasłony.

Louis wpatrywał się w niego, z początku nie wierząc własnym uszom. Wydawało mu się, że musi cierpieć na omamy słuchowe. Wydawał z siebie jakieś dźwięki, a jego podświadomość ułożyła je w spójną całość, pasującą do mych własnych przeżyć, pomyślał. Ale prawda była inna i po chwili musiał przyznać to sam przed sobą. Ogarnęła go gwałtownie narastająca, szalencza groza. Czuł ciarki; miał wrażenie, jakby naprawdę poruszały się po jego rękach i brzuchu, jedna fala za drugą... Lecz nawet wtedy po prostu nie chciał uwierzyć. Owszem, sylaby zadzwieczały mu w uszach, ale też ukształtowały się na zakrwawionych ustach mężczyzny leżącego na dywanie. Oznaczało to jedynie, iż halucynacja była nie tylko słuchowa, ale i wzrokowa.

-Co powiedziałeś? - szepnął.

I tym razem słowa zabrzmiały wyraźnie, niczym u tresowanej papugi albo kruka.

-To nie jest prawdziwy cmentarz... - Oczy patrzyły w pustkę, nie widząc, martwe i przekrwione. Usta wykrzywiły się w uśmiechu zdechłej ryby.

Groza przetaczała się przez Louisa, sciskając w lodowatych dłoniach jego ciepłe serce. Pomniejszała go. Sprawiała, że małał coraz bardziej, aż w końcu pragnął już tylko zerwać się z miejsca i uciec przed tą krwawą, przekrzywioną gadającą głową, spoczywającą na podłodze poczekalni ambulatorium. Nie był człowiekiem o głębokich przekonaniach religijnych, nie skłaniał się w stronę przesadów czy okultyzmu. Nie był do tego przygotowany... cokolwiek się działo.

Walczyć z pragnieniem ucieczki, zmusił się do nachylenia bliżej.

-Co powiedziałeś? - spytał po raz drugi. Uśmiech. Okropny uśmiech.

-Ziemia serca mężczyzny jest kamienista, Louis - wyszeptał umierający. - Mężczyzna hoduje w niej to, co zdoła... i opiekuje się tym.

Louis, pomyślał; jego świadomość odmówiła zarejestrowania czegokolwiek po jego własnym imieniu. Moj Boże, wiedział, jak się nazywam.

-Kim jesteś? - spytał Louis drżącym, słabym głosem. - Kim jesteś?

-Indianiec ryby mi przyniósł.

-Skąd wiedziałeś, jak się...

-Trzymaj się z daleka. Wiedz... - Ty...

-Kaaa - wyrzeźbił młody człowiek i Louisowi wydawało się, że czuje w jego oddechu śmierć. Obrazenia wewnętrzne, zalamanie rytmu serca, zatrzymanie. Koniec.

-Co? - Nagle zapragnął nim potrząsnąć.

-Gaaa...

Młody człowiek w czerwonych spodniach zaczął dygotać. Nagle jakby zamarł ze stęszymi mięśniami. Jego oczy na moment straciły bezrozumny wyraz i odnalazły oczy Louisa. Potem wszystko się posypało. Louis sadził, że tamten powie coś jeszcze, musi powiedzieć. A potem oczy przybrały poprzedni wyraz... i zaszklily się. Chłopak nie żył.

Louis usiadł na podłodze, tępo rejestrując, że całe ubranie przywiera do niego. Był zły potem. Ciemność narastała, bezszelestnie rozkładając skrzydła przed jego oczami. Świat zaczął w mdlącym rytmie kołysać się na boki. Orientując się, co się z nim dzieje, na wpol odwrócił się od martwego człowieka, wsunął głowę między kolana i wbił paznokcie lewego kciuka i palca wskazującego w dziaśła tak mocno, że zaczęły krwawic.

Po chwili świat zaczął wracać do normy.

Nagle w pokoju zaroilo sie od ludzi, ktorzy niczym aktorzy czekajacy na wezwanie wpadli do srodka. Ich pojawienie sie tylko wzmocnilo poczucie dezorientacji i nierzeczywistosci, dreczacych Louisa - sila owych uczuc, ktore studiowal podczas zajec z psychologii, lecz ktorych nigdy dotad nie doswiadczył, przerazila go. Przypuszczal, ze podobnie czulby sie, gdyby ktos wrzucil mu do drinka potezna dawke LSD. Zupelnie jak sztuka wystawiona wylacznie dla mnie, pomyslal. Najpierw pomieszczenie zostaje opoznione, by umierajaca Sybilla mogla wypowiedziec kilka metnych prorocत्व, przeznaczonych wylacznie dla mych uszu. Potem umiera, i wszyscy wracaja.

Praktykantki wbiegly do srodka, dzwigajac sztywne nosze, uzywane w przypadku uszkodzen kregoslupa badz szyi. Tuz za nimi maszerowala Joan Charlton, ktora poinformowala go, iz policja uniwersytecka jest juz w drodze. Mlody czlowiek zostal uderzony przez samochod podczas joggingu. Louisowi przypomnieli sie studenci, ktorzy tego ranka wybiegli mu przed maske i zoladek scisnal mu sie nagle.

Tuz za Charlton do srodka wszedl Steve Masterton, prowadzac dwoch funkcjonariuszy ochrony uniwersytetu.

-Louis, ludzie, ktorzy przyniesli Pascowa, sa w... - urwal i rzekl ostro: - Louis, dobrze sie czujesz?

-Nic mi nie jest - odparl tamten i wstal. Raz jeszcze ogarnela go slabosc, po czym zniknela nagle. - Nazywa sie Pascow? - spytal, podtrzymujac pozory normalnosci.

-Victor Pascow - odparl jeden z ochroniarzy. - Tak przynajmniej twierdzi dziewczyna, z ktora biegal.

Louis zerknal na zegarek i odjal dwie minuty. Z pokoju, w ktorym Masterton zamknal przyjaciol Pascowa, dobiegalo rozdierajace dziewczecze szlochanie. Witamy w szkole, moja panno, pomyslal. Milego semestru.

-Pan Pascow zmarl o dziesiatej dziewiec rano - oznajmil. Jeden z ochroniarzy wytarl usta wierzchem dloni.

-Louis, naprawde nic ci nie jest? - spytal ponownie Masterton. - Wygladasz okropnie.

Louis wlasnie mial odpowiedziec, gdy jedna z praktykantek gwaltownie upuscila koniec noszy i wybiegla z pokoju, wymiotujac na swoj fartuch. Zadzwonil telefon. Placzaca dziewczyna zaczela wykrzykiwac imie zmarlego: "Vic! Vic! Vic!". Dom wariatow. Szalenstwo. Jeden z ochroniarzy pytal Charlton, czy mogliby dostac koc, aby przykryc cialo, a Charlton odpowiadala, ze nie wie, czy ma prawo im go wydac. Louisowi przypomnielo sie stare haslo "Zaczynamy rozrobe!".

W gardle znow wezbral mu paskudny chichot. Jakims cudem udalo mu sie go zdusic. Czy ten Pascow naprawde wymowil slowa "Cmetarz Zwiezat"? Czy naprawde wypowiedzial jego imie? To wlasnie zbijalo go z pantalyku, sprawialo, ze opuszczal orbite zdrowego rozsadku. Lecz jego umysl juz zaczynal spowijac tych kilka chwil w warstwie ochronna - przekształcajac je, zmieniajac, rozdzielajac. Z pewnoscia tamten mowil cos innego (jesli w ogole cos powiedzial), a wstrzasniety i zdenerwowany Louis zle zinterpretowal jego slowa. Najprawdopodobniej Pascow wydal z siebie jedynie kilka oderwanych, nieartykulowanych dzwiekow, tak jak z poczatku mu sie zdawalo.

Louis desperacko staral sie pozbierac, odnalezc czesc siebie, ktora sprawila, iz administracja uczelni dala mu te prace, wybierajac go sposrod piecdziesieciu czterech kandydatow. Nikt nie potrafil opanowac sytuacji w ambulatorium, nie dzialo sie nic konstruktywnego. Pomieszczenie wypelniala gromada bezradnych ludzi.

-Steve, idz, podaj tej dziewczynie jakis srodek - polecil, i sam fakt wypowiedzenia tych slow sprawil, ze poczul sie lepiej. Zupelnie jakby znalazl sie w rakiecie oddalajacej sie od malego, niebezpiecznego ksiezycy, ktorym to ksiezycem byla, rzecz jasna, chwila irracjonalnego oszolomienia, kiedy Pascow przemowil. Zatrudniono go po to, by kierowal innymi i zamierzal to zrobic.

-Joan, daj temu czlowiekowi koc.

-Doktorze, nie przeprowadzilismy jeszcze inwentaryzacji...

-I tak mu go daj. Potem sprawdz, co sie dzieje z praktykantka.

Spojrzal na druga dziewczynie, wciaz trzymajaca jeden koniec noszy. Jak zahipnotyzowana, z chora fascynacja wpatrywala sie w szczatki Pascowa.

-Praktykantka! - rzucil ostro Louis. Jej oczy oderwaly sie od trupa.

-C-c-coo?

-Jak sie nazywa tamta dziewczyna?

-K-kto?

-Ta, ktora rzygala - odparl z rozmyslna brutalnoscia.

-Ju-Ju-Judy. Judy DeLessio. - A ty?

-Carla. - Dziewczyna sprawiala wrazenie nieco bardziej opanowanej.

-Carla, idz sprawdz, co z Judy. I przynies koc. Znajdziesz ich caly stos w malej szafce w pierwszym pokoju diagnostycznym. Idzcie wszyscy. Zaczniemy zachowywac sie jak zawodowcy.

To ich ruszylo. Wkrotce krzyki w sasiednim pomieszczeniu ucichly. Telefon, ktory przestal dzwonic, znow sie odezwal. Louis nacisnal przycisk HOLD, nie podnoszac sluchawki z widelek.

Starszy ochroniarz wygladal juz nieco lepiej i Louis odwrocil sie do niego.

-Kogo mamy zawiadomic? Moze mi pan podac liste? Tamten przytaknal.

-Od szesciu lat nie mielismy takiego wypadku. To kiepski poczatek semestru.

Louis nacisnal jeden ze zgaszonych przyciskow telefonu i zaczal wybierac numery, nie sprawdzajac nawet, komu kazal czekac.

14.

Wszystko uspokoilo sie dopiero tuz przed czwarta po poludniu, gdy Louis i Richard Irving, szef ochrony uniwersytetu, zlozyli oswiadczenie dla prasy. Mlody mezczyzna Victor Pascow uprawial jogging z dwojgiem przyjaciol, jednym z nich byla jego narzeczona. Samochod prowadzony przez Tremonta Withersa, 23 lata, z Haven w stanie Maine, nadjechal droga z Zenskiej Szkoły Sredniej Lengyll, z nadmierna predkoscia kierujac sie w strone centrum kampusu. Samochod Withersa uderzyl w Pascowa i przygniotl go do drzewa. Pascow zostal przyniesiony do ambulatorium na kocu przez przyjaciol i dwojke przechodniow. Zmarl kilka minut pozniej. Withers zostal zatrzymany pod zarzutem nieostroznej jazdy, prowadzenia w stanie nietrzezwym i nieumyelnego zaboistwa. Wydawca gazetki uniwersyteckiej spytal, czy mozna orzec, ze Pascow zmarl z powodu obrazon glowy. Louis, oczyma duszy widzac dziure w czaszce, przez ktora mozna bylo dostrzec mozg, odparl, iz wolalby, by to koroner okregu Penobscot podal przyczynie smierci. Nastepnie wydawca spytal, czy czworo mlodych ludzi, ktorzy przyniesli Pascowa do ambulatorium na kocu, nie moglo spowodowac niechcacy jego smierci.

-Nie - odrzekl Louis cieszac sie, ze ma okazje oczyszcic czworke dzialajaca szybko i wyraznie kierujaca sie wspolczuciem. - Absolutnie nie. Niestety, w mojej opinii, pan Pascow zostal smiertelnie ranny w chwili zderzenia.

Padly jeszcze inne pytania, lecz ta odpowiedz tak naprawde zakonczyła konferencje prasowa. Obecnie Louis siedzial w swym gabinecie (Steve Masterton poszedl do domu godzinie wczesniej, tuz po konferencji; Louis podejrzewal, iz pragnal obejrzec sie w wieczornym dzienniku), probujac wykorzystac jednak reszte zrujnowanego dnia - albo moze pokryc to, co sie stalo, ochronna warstwa rutyny. Wraz z Charlton przegladali karty "pierwszej kartoteki" - studentow, ktorzy z zacieciem parli przez college, mimo roznego rodzaju ulomnosci i chorob. W kartotece znajdowalo sie dwadziescioro troje cukrzykow, pietnascioro epileptykow, czternascioro paralitykow i najrozniejsze inne przypadki - studenci chorzy na bialaczkę, studenci po porazeniu mozgowym i z dystrofia miesni, niewidomi, dwojka gluchych i jeden przypadek anemii sierpowatej, z ktora Louis nie zetkнал sie nigdy wczesniej.

Najgorszy chyba moment popoludnia nastapil tuz po wyjsci u Steve'a. Charlton zjawila sie u Louisa i polozyla na jego biurku rozowa karteczke: "Jutro o dziewiatej bedzie tu przedstawiciel sklepu z wykladzinami z Bangor".

-Z wykladzinami? - spytal.

-Trzeba kupic nowa - odparla przepaszajaco. - Ta plama juz nigdy nie zejdzie, doktorze.

Oczywiscie. W tym momencie Louis poszedl do apteki i zazył tuinal - srodek, ktory jego wspollokator z pierwszego roku akademii nazywal uspokajaczem. "Wskakuj do pociagu do Uspokajaczowa, Louis - mawial - a ja nastawie Creedence". Louis zazwyczaj odmawial przejazdkek do legendarnego Uspokajaczowa, moze i dobrze; jego wspollokator wylecial ze studiow w polowie trzeciego semestru i zajechal tym pociagiem az do Wietnamu jako pomocnik medyczny. Louis czasami wyobrazal go sobie, jak tkwi tam zacpany po uszy, sluchajac Creedence'ow grajacych "Run Through the Jungle".

Ale teraz potrzebował czegoś. Jeżeli za każdym razem, gdy unosił wzrok znad rozłożonych na biurku akt, miał widzieć przypiętą na tablicy rozową karteczkę przypominającą o wykładzinie, potrzebował silnego wsparcia.

Radził sobie całkiem niezle, gdy pani Baillings, nocna pielęgniarka, wsadziła do środka głowę i oznajmiła:

-Panska zona, doktorze Creed. Linia pierwsza. Louis zerknął na zegarek i przekonał się, że dochodzi piąta trzydzięci. Zamierzał wyjść z pracy półtorej godziny wcześniej.

-Dobrze, Nancy, dzięki.

Podniósł słuchawkę i wybrał pierwszą linię.

-Cześć, kochanie. Właśnie wy...

-Louis, wszystko w porządku?

-Tak. Nic mi nie jest.

-Słyszałam o tym w dzienniku, Lou. Tak mi przykro. - Na moment umilkła. - To było w radiu. Puscili kawałek konferencji. Odpowiadałaś na pytania. Wypadłaś całkiem dobrze.

-Naprawdę? To świetnie.

-Na pewno nic ci nie jest?

-Tak, Rachel, absolutnie nic.

-Wracaj do domu - poprosiła.

-Tak - odparł. Dom. Brzmiało naprawdę pociągająco.

15.

Powitała go w drzwiach i Louisowi opadła szczeka. Rachel miała na sobie siatkowy biustonosz, który tak lubił, półprzezroczyste majteczki, i nic poza tym. -Wyglądasz przepysznie - rzekł. - Gdzie dzieci?

-Zabrała je Missy Dandridge. Jesteśmy sami, aż do wpół do dziewiatej... co daje nam dwie i pół godziny. Nie tracmy czasu.

Przywarła do niego. Owiał go słaby, cudowny zapach - czyżby olejek różany? Objął ją, otaczając rękami jej talie. Po chwili przesunął dłońmi po krągłych pośladkach, podczas gdy język Rachel tanczył leciutko na jego wargach, by wreszcie wnikać do środka, smigając tam i z powrotem.

Gdy w końcu przestali się całować, spytał nieco ochryple:

-Czy ty jesteś na obiad?

-Na deser - odparła i zaczęła powoli, zmysłowo, poruszać biodrami, ocierając się o brzuch i uda meza. - Obiecuje jednak, że nie dostaniesz niczego, czego byś nie lubił.

Sięgnął po nią, lecz ona wymknęła mu się z ramion i chwyciła go za rękę.

-Najpierw na gorąco - poleciała.

Przygotowała mu bardzo gorącą kąpiel, po czym rozebrała go powoli i zagnęła do wody. Wsunęła na rękę nieco szorstką rękawicę z gąbki, zazwyczaj wiszącą na rurze prysznicowej, całkowicie zapomniana. Łagodnie namydliła jego ciało i splukowała je. Czuł, jak wraz z wodą spływa z niego cały dzień - ten okropny pierwszy dzień. Rachel także się zmoczyła. Majtki przywarły do niej niczym druga skóra.

Louis próbował wyjść z wanny, ona jednak delikatnie wepchnęła go z powrotem.

-Co się...

Rękawica z gąbki chwyciła go łagodnie - łagodnie, lecz z niemal nieznośnym tarciem, poruszając się wolno w gorąco i w

dol.

-Rachel... - Czul, ze oblewa go pot. I nie sprawila tego wylacznie goraca kapiel.

-Ciii.

Zdawalo sie, ze to trwa niemal wieki - niemal dochodzil, lecz wowczas dlon w gabkowej rekawiczce zwalniala, prawie zatrzymywala sie. A potem naciskala, rozluzniala sie i znow naciskala, az wreszcie eksplodowal tak mocno, ze zadzwonilo mu w uszach.

-Moj Boze - rzekl drzacym glosem, kiedy mogl juz przemowic. - Gdzies ty sie tego nauczyla?

-W harcerstwie - odparla wyniosle.

Przyrzadzila strogonowa, ktory dusil sie na malym ogniu podczas calego epizodu z wanna, i Louis, ktory o czwartej moglby przysiac, ze nie tknie jedzenia az do Halloween, pochlonal dwie porcje.

Potem znow zaprowadzila go na gore.

-Teraz - powiedziala - przekonajmy sie, co mozesz zrobic dla mnie.

Biorac pod uwage okolicznosci, Louis uznal, ze stanal na wysokosci zadania.

Pozniej Rachel ubrala sie w stara niebieska pizame. Louis naciagnal flanelowa koszule i niemal bezkszaltne sztruksy - Rachel nazywala ten stroj jego lachami - i pojechal po dzieci.

Missy Dandridge chciala dowiedziec sie wszystkiego o wypadku, totez naszkicowal cala sytuacje, podajac mniej informacji, niz prawdopodobnie wyczyta w bangorskich "Daily News" nastepnego dnia. Nie mial ochoty o tym mowic - czul sie jak najokropniejszy z plotkarzy - lecz Missy nie chciala pieniedzy za opieke, a byl jej wdzieczny za wieczor, ktory mogl spedzic z Rachel.

Nim Louis pokonal poltora kilometra dzielace go od domu, Gage zdazyl zasnac kamiennym snem, a Ellie ziewala i mrugala rozpaczliwie. Wlozyl malemu swieza pieluche, wcisnal go w spiochy i wsunal do kolyski. Potem przeczytal Ellie ksiazeczke. Jak zwykle domagala sie "Swiata dzikich zwierzat"; w koncu sama byla najdzikszym stworzeniem. Louis przekonal ja, by zadowolila sie "Kotem w cylindrze". Zasnela piec minut po tym, jak zaniosl ja na gore, a Rachel ulozyla w lozku.

Gdy znow zszedl na dol, Rachel siedziala w salonie ze szklanka mleka. Na smuklym udzie lezal rozlozony kryminal Dorothy Sayers.

-Louis, naprawde nic ci nie jest?

-Zupelnie nic, kochanie - odparl. - I dzieki, za wszystko.

-Staramy sie zadowolic klienta - odparla z lekkim przekornym usmieszkiem. - Idziesz do Juda na piwo?

Potrzasnal glowa.

-Nie dzis wieczor. Jestem wypompowany.

-Mam nadzieje, ze sie do tego przyczynilam.

-Chyba tak.

-Zatem nalej sobie szklanke mleka, doktorku, i chodzmy do lozka.

Oczekiwal, ze nie bedzie mogl zasnac, jak to sie dzialo w czasach, gdy byl jeszcze praktykantem i raz po raz odtwarzal w pamieci wydarzenia szczegolnie okropnych dni. W istocie jednak gladko osunal sie w sen, jakby trafil na nachylona, pozbawiona tarcia zjezdzalnie. Czytal gdzies, ze przecietny czlowiek potrzebuje zaledwie siedmiu minut, by calkowicie sie wylaczyc i oderwac od minionego dnia. Siedem minut, podczas ktorych swiadomosc i podswiadomosc zamieniaja sie miejscami, niczym sciana w nawiedzonym domu w wesolym miasteczku. Jest w tym cos niesamowitego.

Prawie juz spal, gdy uslyszal jak Rachel mowi, jakby z wielkiej odleglosci:

-...pojutrze.

-Mmm?

-Jolander, weterynarz. Pojutrze zabiera Churcha.

-Ach, tak.

Church, napawaj się swymi cojonos, poki wciąż je masz, moj stary - pomyslal, a potem runal w otchlan nieswiadomosci. Spal twardo bez zadnych snow.

16.

Cos obudzilo go znacznie pozniej; huk, dosc glosny, by sprawic, ze gwałtownie usiadl na lozku, zastanawiajac sie, czy Ellie wypadla na podloge, czy moze rozleciala sie kolyska Gage'a. A potem ksiezyc wyplynal zza chmury, zalewajac pokoj zimnym, bialym blaskiem, i Louis ujrzal Victora Pascowa stojacego w drzwiach. Ow huk to byl wlasnie Pascow, gwałtownie otwierajacy drzwi. Stal tam, z groteskowa dziura w lewej skroni. Twarz pokrywaly rdzawe smugi zaschnietej krwi, przywodzace na mysl indyjskie barwy wojenne. Bialy zlamany obojczyk przebijal skore. Pascow usmiechal sie szeroko.

-Chodz, doktorze - rzekl. - Musimy odwiedzic pewne miejsce.

Louis rozejrzal sie. Jego zona byla jedynie niewyraznym wzgorkiem pod zolta koldra. Spala gleboko. Obejrzała sie na Pascowa, martwego, a jednak nie martwego. Lecz Louis nie czul strachu. Niemal natychmiast pojäl dlaczego.

To sen, pomyslal, i dopiero ulga, jaka poczul, uswiadomila mu, ze jednak sie bal. Umarli nie powracaja. To fizjologiczna niemozliwosc. Ten mlody czlowiek lezy teraz w chlodni w Bangor juz po sekcji, oznaczony tatuazem patologa - zaszytym rozcięciem w ksztalcie litery Y. Patolog prawdopodobnie pobral probke tkanki, po czym wrzucil mozg do klatki piersiowej i wypchal czaszke brazowym papierem, by zapobiec wyciekom - to prostsze niz proby ponownego dopasowania mozgu do czaszki jak kawalka ukkladanki.

Wuj Carl, ojciec nieszczesnej Ruthie, opowiadal mu, ze tak wlasnie postepuja patolodzy. Przekazal mu tez mnostwo innych informacji, ktore, jak przypuszczal Louis, dla Rachel z jej smierciofobia stanowilyby prawdziwy koszmar. Ale Pascowa w rzeczywistosci tam nie bylo. Pascow lezal w szufladzie w chlodni z kartka przypieta do palucha. I z cala pewnoscia nie ma tam na sobie czerwonych szortow do biegania.

Niemniej jednak przymus wstania byl bardzo silny. Oczy Pascowa obserwowaly go.

Louis odrzucil koldre i spuscil stopy na podloge. Zimne, twarde wezelki makramowego dywanika - prezentu slubnego od babki Rachel - wbily mu sie w podeszwy. Sen byl zdumiewajaco rzeczywisty, tak rzeczywisty, ze Louis nie zamierzal isc za Pascowem, poki tamten nie odwrocil sie i nie zaczal schodzic po schodach. Przymus nakazujacy pojsc w jego slady byl silny, lecz Louis nie zyczyl sobie, by nawet we snie dotknal go chodzacy trup.

Mimo wszystko jednak poszedl za nim. Szorty Pascowa polyskiwaly w mroku. Przecieli salon, jadalnie, kuchnie. Louis spodziewal sie, ze Pascow przekreci zamek i uniesie haczyk zamykajacy drzwi, laczące kuchnie z szopa, zamieniona w garaz dla furgonetki i hondy, lecz tamten nie zrobil nic takiego. Zamiast otwierac drzwi, po prostu przez nie przeniknal, a Louis, obserwujac go, pomyslal z lekkim zdumieniem: A zatem tak sie to robi. Kazdy by potrafil.

Sam sprobował - i z rozbawieniem stwierdzil, iz napotyka tylko nieustepliwe drewno. Najwyrazniej nawet we snie byl twardoglowym realista. Przekrecil galke zamka yale, uniosl haczyk i wyszedl do szopy-garazu. Pascowa tam nie bylo. Przez moment Louis zastanawial sie, czy tamten przypadkiem nie zniknal. Postacie we snach czesto robia cos takiego. Podobnie miejsca - najpierw czlowiek stoi nagi obok basenu z potezna erekcja, omawiajac kwestie zamiany zon z, powiedzmy, Rogerem i Missy Dandridge, a potem mruga okiem i juz wspina sie na zbocze hawajskiego wulkanu. Moze Pascow zgubil sie, bo wlasnie zaczynal sie akt drugi.

Kiedy jednak Louis wynurzil sie z garazu, ujrzal go ponownie, stal w slabym blasku ksiezycy na tylich trawnikach - i poczatku sciezki.

Wtedy nadszedl strach, wkraczajac lagodnie, przenikajac wszelkie cielesne pustki i zapelniajac je duszacyim dymem. Louis nie chcial tam isc. Przystanal.

Pascow obejrzal sie przez ramie. W blasku ksiezycy jego oczy mialy barwe srebra. Louis poczul, jak zoladek beznadziejnie sciska mu sie ze strachu. Ta sterczaca kosc, zaschniete, krwawe skrzepy. Nie mogl jednak oprzec sie sile owych oczu. Najwyrazniej snil o tym, ze jest zahipnotyzowany, zdominowany... niezdolny cokolwiek zmienic, tak jak nie

zdołał zmienić tego, że Pascow musiał umrzeć. Można chodzić do szkoły przez dwadzieścia lat i wciąż nie móc niczego zrobić, gdy przynosi nam człowiek wbitego w drzewo z taką siłą, że część czaszki wpadła do środka. Równie dobrze mogli wezwać hydraulika, szamana albo roznosiela pizzy.

W czasie gdy myśli te przebiegały mu przez głowę, ciało, niczym przyciągane przemożną siłą, wędrowało naprzód ku ścieżce. Podszedł za szortami do joggingu, w świetle księżycy równie rdzawymi, jak zaschnięta krew na twarzy Pascowa.

Nie podobał mu się ten sen. Na Boga, wcale mu się nie podobał. Był zbyt rzeczywisty. Zimne wezłki dywanu, to, że nie mógł przeniknąć przez drzwi szopy, podczas gdy w każdym porządnym śnie człowiek może dowolnie przechodzić przez drzwi i ściany... A teraz lodowate dotknięcie rosy na bosych stopach, musniecia słabego wiatru na ciele, nagim, jeśli nie liczyć skąpych spodenek. Gdy znalazł się pod drzewami, do podeszew przywarły mu jodłowe szpilki... kolejny drobny szczegół, nieco zbyt realistyczny, jak na gust Louisa.

-Nieważne. Nieważne. Jestem w domu, we własnym łóżku. To tylko sen, nieistotnie jak wyraźny. I, podobnie jak wszystkie inne sny, rano będzie wydawał mi się idiotyczny. Mój umysł na jawie dostrzeże w nim niekonsekwencje.

Miała gałązka uschniętego drzewa bolesnie ukuła go w ramię. Skrzywił się. Przed nim w gorze Pascow był jedynie ruchomym cieniem, i przerazenie Louisa skryształizowało się w umyśle, tworząc Isniacę, wyraźną rzeźbę. Ide do lasu w ślad za żywym trupem. Ide za żywym trupem na Cmentarz Zwierząt. I to nie jest sen. Boże, dopomóż, to nie jest sen. To dzieje się naprawdę.

Zeszła po zboczu porośniętego drzewami wzgorza. Ścieżka skrecała, tworząc leniwe esy-floresy pomiędzy pniami, a potem zanurzyła się wprost w gestę poszycie. Tym razem nie miał kaloszy. Pod jego stopami ziemia rozplynęła się niczym zimna galareta, chwytając i zatrzymując nogi, i wypuszczając je niechętnie. Każdemu krokowi towarzyszyły paskudne młasnica. Czuli, jak błoto przelewa mu się między palcami, próbując je rozdzielić. Usiłował trzymać się teorii snu.

Nie pasowała.

Dotarli na polane. Księżyc ponownie wynurzył się zza rąf chmur, zalewając cmentarzysko upiornym blaskiem. Nachylone nagrobki - kawałki desek i puszki przycięte czapkami ojców, a potem rozprostowane młotkiem na nierówne kwadraty, obtłuczone kawałki lupka i piaskowca - wznosiły się wokół, wyraźne, trójwymiarowe, rzucając idealnie czarne, kształtne cienie.

Pascow przystanął obok grobu z napisem: KOT SMUCKY. BYŁ POSŁOŻNY i odwrócił się w stronę Louisa. Groza, koszmar; Louis miał wrażenie, że uczucia te narastają w nim tak szybko, iż w końcu jego ciało wybuchnie pod ich łagodnym, lecz nieznośnym naciskiem. Pascow uśmiechnął się szeroko. Zakrwawione wargi odsłaniały wyszczerzone zęby, a w upiornym blasku księżycy zdrowa opalenizna nabrała odcienia bieli trupa, który wkrótce zostanie zaszyty w obszerny całun.

Uniosł rękę i wskazał. Louis podszedł wzrokiem za tym gestem i jęknął. Jego oczy rozszerzyły się. Przycisnął do ust zwinięta w piasek dłoń. Na policzkach poczuł coś zimnego i uświadomił sobie, że w najwyższym przerazeniu zaczął płakać.

Wiatrolom, z którego Jud Crandall odwołał z niepokojem Ellie, zamienił się w stos kości. Kości te poruszały się, wily i zderzały ze szczekiem, zuchwy i kości udowe, trzonowce, kły i łokcie. Widział szyderczo uśmiechnięte czaszki ludzi i zwierząt. Kości palców grzechotały, szczątki stopy rozprostowywały zbieżne stawy.

Wszystko to poruszało się, skradalo...

Teraz Pascow ruszył ku niemu. Jego zakrwawiona twarz w blasku księżycy miała ponury wyraz, i Louisa poczęły opuszczać resztki trzeźwego rozsądku, pozostawiając jedną natrętą, powtarzającą się myśl: Musisz krzyknąć tak głośno, by się obudzić. Nieważne, czy przerazisz Rachel, Ellie, Gage'a; obudzisz cały dom, całe sąsiedztwo. Musisz obudzić się krzykiem. Krzyknąć. Obudzić się krzykiem. Obudzić, obudzić, obudzić.

Z jego ust wydostał się jednak tylko cichutki szmer powietrza, dźwięk, jaki wydaje małe dziecko siedzące gdzieś na kamieniu i próbujące nauczyć się gwizdac.

Pascow podszedł bliżej i przemówił:

-Tych drzwi nie wolno otworzyć. - Patrzył w dół na Louisa, ponieważ tamten osunął się na kolana. Nie uśmiechał się już. Jego twarz przybrała nowy wyraz, który Louis z początku wziął za współczucie, w istocie jednak była to jedynie złowroga cierpliwość. Cały czas wskazywał stos ruszających się kości. - Nie przekraczaj go, doktorze, nieważne, jak bardzo byś pragnął. Tej bariery nie wolno przekraczać. Zapamiętaj; jest tu więcej mocy, niż sadzisz. To stara moc, stale niespokojna. Pamiętaj.

Louis znów próbował krzyknąć. Nie mógł.

-Przychodzę jako przyjaciel - powiedział Pascow; lecz czy naprawdę użył tego słowa? Louis wątpił w to. Zupelnie jakby Pascow mowil do niego w obcym jezyku, który rozumial dzieki magii snu... i "przyjaciel" stanowil najblizszy odpowiednik uzytego przez Pascowa slowa, który zdolal wynalezć umysl Louisa.

-Twój upadek, doktorze, i ruina wszystkiego, co kochasz, są tuż-tuż. - Przysunął się tak blisko, że Louis czuł otaczającą go won śmierci.

Pascow wyciągnął rękę w jego kierunku.

Cichy, doprowadzający do szalu grzechot kości.

Louis odchylił się i zaczął tracić równowagę, próbując uniknąć dotyku. Dłonią natrafił na nagrobek i go wywrócił. Twarz Pascowa nachylała się ku niemu. Przesłaniała niebo.

-Doktorze. Pamiętaj.

Louis próbował krzyczeć i świat zawirował wokół niego - nadal jednak słyszał grzechot poruszających się kości w oświetlonej blaskiem księżycy krypcie nocy.

17.

Zasnęcie zabiera przeciętnemu człowiekowi siedem minut, lecz według "Fizjologii" Handa ten sam przeciętny człowiek potrzebuje od piętnastu do dwudziestu minut, by się ocknąć, zupełnie jakby sen był jeziorem, z którego trudniej się wynurzyć, niż w nie zanurkować. Kiedy śpiący się budzi, czyni to stopniowo, z poziomu głębokiego snu do lekkiego, następnie czegoś, zwanego polsnem, stanu, w którym śpiący słyszy dźwięki, a nawet odpowiada na pytania, choć później nie jest tego świadom... chyba że potraktuje to jako część sennych mar. Louis słyszał grzechot i stukanie kości, stopniowo jednak dźwięk ów stawał się ostrzejszy, bardziej metaliczny. Rozległ się trzask, krzyk, kolejne metaliczne odgłosy... coś się toczyło? Jasne, zgodził się jego polprzytomny umysł. Toczące się kości.

Usłyszał głos corki:

-Lap, Gage! Lap to!

Odpowiedział jej pisk radości Gage'a. I właśnie na ten dźwięk Louis otworzył oczy i ujrzał sufit własnej sypialni.

Leżał bez ruchu, czekając, aż rzeczywistość, poczciwa, błogosławiona rzeczywistość ogarnie go ostatecznie.

To był tylko sen. Nieważne, jak straszny, jak rzeczywisty, to wciąż był tylko sen. Jedynie ślad, zastygły w skale umysłu skrytego pod zwykłym umysłem.

Znów rozległ się metaliczny odgłos. To jeden z samochodzików Gage'a toczył się po korytarzu na gorze.

-Lap go, Gage!

-Lap - wrzasnął Gage. - Lap go, lap, lap, lap!

Tup, tup, tup. Drobne białe stopki Gage'a zalomotały na chodniku. Oboje z Ellie chichotali.

Louis obejrzał się przez prawe ramię. Należąca do Rachel łóżka była pusta. Kłoda leżała odrzucona. Słońce stało wysoko na niebie. Zerknął na zegarek i przekonał się, iż dochodzi osma. Rachel pozwoliła mu pośpać dłużej. Prawdopodobnie z rozmysłem.

Zazwyczaj to by go zirytowało, lecz tego ranka stało się inaczej. Głęboko zaczerpnął powietrza i wypuścił je rad, że może tak leżeć, patrząc, jak wąski promień słońca wpada ukosnie przez okno sypialni, czując wokół jakże znajoma materię prawdziwego świata. W słońcu tancyły drobinki kurzu.

-Chodź już, Elli! - zawołał z dołu głos Rachel. - Zabierz drugie śniadanie i biegnij do autobusu.

-Dobrze! - Głośniejszy tupot stop. - Masz tu autko, Gage. Muszę iść do szkoły.

Gage zaczął pokrzykiwać z oburzeniem. Choć niewyraźne - jedynymi rozpoznawalnymi słowami były "Gage", "autko", "lap" i "Ellie-bus" - jego protesty wydawały się zupełnie jasne: Ellie powinna zostać. Publiczne szkolnictwo może się

wypchac.

Znow glos Rachel.

-Zanim zejdziesz, El, idz potrzasnij tata.

Ellie wpadla do srodka. Wlosy miala zwiazane w kucyk, na sobie - czerwona sukienke.

-Juz nie spie, slonko - rzekl Lou. - Idz, bo spoznisz sie na autobus.

-Dobrze, tatusiu. - Podeszla do niego, pocalowala szorstki policzek i smignela ku schodom.

Sen zaczal blaknac, tracic spojnosc. I dobrze.

-Gage! - krzyknal Louis. - Chodz, pocaluj tate. Gage puscil to mimo uszu. Jak najszybciej potrafil, maszerowal za Ellie na dol, wrzeszczac z calych sil:

-Lap go! Lap go! Lap go. Lap. - Louis dostrzegl go tylko przez moment: malego, twardego czlowieczka, ubranego w pieluche i ceratowe majtki.

-Louis, to ty? - zawolala Rachel. - Obudziles sie?

-Tak - odparl.

-Mowilam ci! - krzyknela Ellie. - Ide, pa! - Jej slowa podkreslilo trzasniecie frontowych drzwi i oburzony wrzask Gage'a.

-Jedno jajko czy dwa? - spytala Rachel.

Louis usiadl na lozku i spuscil stopy na wezelki dywanu. Wlasnie mial powiedziec, ze daruje sobie jajka, wystarczy porcja platkow i bedzie uciekal... lecz slowa zamarly mu w gardle.

Jego stopy byly brudne, pokryte zaschnietym blotem i jodlowymi szpilkami.

Serce wskoczylo mu do gardla, niczym szalona zabawka na sprezynie. Zaciskajac nieswiadomie zeby na jezyku, z wybaluszonymi oczami, blyskawicznie odrzucil na bok koc. Dol lozka byl zaslany iglami. Przescieradlo pokrywaly brudne plamy.

-Louis?

Dostrzegl kilka zablakanych igiel na swym kolanie. I nagle spojrzal na prawe ramie. Na bicepsie widnialo zadrapanie, swieze zadrapanie. Dokladnie w miejscu, gdzie uklula go zaschnieta galaz... we snie.

Zaraz zacne krzyczec. Czuje to.

I rzeczywiscie krzyk wzbieral od wewnatrz, wielka, zimna fala strachu. Rzeczywistosc rozplynela sie. Rzeczywistosc - prawdziwa rzeczywistosc - pomyslal - to byly igly, brud na przescieradle, krwawe zadrapanie na skorze ramienia.

Zaraz zacne krzyczec, a potem oszaleje i nie bede sie juz musial tym przejmowac...

-Louis? - Rachel wspinala sie po schodach. - Louis, znowu zasnales?

Zaczal walczyć sam z soba. W ciagu tych dwoch, trzech sekund stoczyl zacieta bitwe, tak jak wczesniej w owych chwilach zametu, po tym, jak umierajacy Pascow zostal przyniesiony na kocu do osrodka medycznego. I zwyciezyl. Ostatecznie szale przewazyla mysl, ze Rachel nie moze zobaczyc go w takim stanie. Nie moze widziec zabloconych, pokrytych iglami stop i koldry zrzuconej na podloge, odslanjacej poplamione przescieradlo.

-Nie spie! - zawolal wesolo. Jego przygryziony wczesniej jezyk krwawil. Mysli wirowaly szalenczo, a gdzies gleboko, z dala od tego, co sie dzialo, zastanawial sie, czy zawsze tylko krok dzielil go od oblakanczego irracjonalizmu i czy dotyczy to wszystkich ludzi.

-Jedno jajko czy dwa? - Zatrzymala sie na drugim, trzecim stopniu. Dzieki Bogu.

-Dwa - odparl ledwie swiadom znaczenia wlasnych slow. - Jajecznicze.

-Bardzo prosze - odparla i wrocila na dol.

Na sekunde dal sie poniesc uldze. Przymknal oczy, lecz w ciemnosci dostrzegl srebrzyste zrenice Pascowa. Jego powieki uniosly sie gwaltownie. Louis zaczal dzialac, bardzo szybko, odpychajac dalsze mysli. Szarpnieciem zdarl z lozka posciel. Koldra byla w porzadku. Sciagnal powloczke i przescieradlo. Zwinal je w kule, zanosil na korytarz i wrzucil do zsypu na pranie.

Niemal biegiem wpadl do lazienki, szarpnal raczke prysznicza i wszedl pod wode tak goraca, ze niemal parzyła mu skore. Nie zwazajac na to, pospiesznie obmyl stopy i lydki z brudu.

Zaczal czuc sie lepiej. Mial wrazenie, ze znow kontroluje sytuacje. Wycierajac sie, pomyslal nagle, iz zapewne tak wlasnie czuja sie mordercy, gdy sadza, ze pozbyli sie wszystkich dowodow. Wybuchnal smiechem. Smial sie, nie wypuszczajac recznika. I nie mogl przestac.

-Hej, tam na gorze! - zawolala Rachel. - Co cie tak rozbawilo?

-Nic wielkiego - odparl Louis, wciaz sie smiejac. Byl przerazony, lecz przerazenie nie powstrzymalo smiechu, który wyplywal wprost z brzucha twardego niczym kamienie wmurowane w sciane domu. Uswiadomil sobie, iz wrzucenie poscieli do prania bylo absolutnie najlepszym mozliwym rozwiazaniem. Missy Dandridge przychodzila do nich piec razy w tygodniu, aby odkurzyc, posprzatac i zrobic pranie. Rachel nigdy nie zobaczy tej poscieli, poki nie polozy jej na lozku - czystej. Mozliwe, ze Missy wspomni o niej Rachel, ale nie przypuszczal. Predzej szepnie do meza, iz Creedowie urzadzaja w lozku dziwaczne seksualne zabawy, zamiast farb do ciala uzywajac blota i jodlowych szpilek.

Ta mysl sprawila, ze zaczal smiac sie jeszcze donosniej.

Dopiero gdy sie ubral, ostatecznie przestal chichotac i pojal, ze czuje sie nieco lepiej. Nie mial pojecia dlaczego, ale tak bylo. Pokoj wygladal zupełnie normalnie, poza pozbawionym poscieli lozkiem. Pozbyl sie trucizny. Moze istotnie lepszym okresleniem bylyby dowody, lecz mial wrazenie, ze to prawdziwa trucizna.

Byc moze wlasnie tak ludzie radza sobie z niewytlumaczalnym, pomyslal. Tak przyjmuja niewyjasnione zjawiska, niepozwalajace rozlozyc sie na normalne skutki i przyczyny, rzadzace swiatem Zachodu. Moze tak umysl radzi sobie z latajacym talerzem, który pewnego ranka w ciszy zawisa nad naszym polem, z deszczem zab, reka spod lozka w srodku nocy, muskajaca bosa stope - atakiem smiechu badz placzu. Jesli zas czlowiek nie ugina sie i nie pozwoli zlamac, po prostu wydala z siebie nietknieta groze, niczym kamien nerkowy.

Gage siedzial na swym foteliku, jedzac kaszke i ozdabiajac nia stol. Upiekszyl nia tez plastikowa podkladke pod fotelikiem i, najwyrazniej, umyl w niej wlosy.

Rachel wynurzyła sie z kuchni, niosac jajecznicę i kubek kawy.

-Co cie tak rozsmieszilo, Lou? Smiales sie jak wariat. Az mnie przestraszyles.

Louis otworzył usta, nie mając pojęcia, co powie, i usłyszał dowcip, w zeszłym tygodniu zasłyszany na targu, coś o żydowskim krawcu i papudze, który umiała powiedzieć jedynie "Ariel Sharon wali konia".

Kiedy skonczył, Rachel także się śmiała - podobnie jak Gage.

Doskonale. Nasz bohater pozbył się wszystkich dowodów, a dokładnie: zabloconej poscieli i obłakanczego śmiechu w sypialni. Teraz nasz bohater przeczyła poranna gazeta - albo przynajmniej ją przejrzy - przypieczetowując normalność poranka.

Z tą myślą Louis otworzył gazetę.

Tak się to robi - dodał w duchu z niewiarygodną ulgą. Pozbywamy się tego jak kamienia. I to już koniec... chyba że którejs nocy siadziemy z przyjaciółmi przy ognisku i gdy zawieje wiatr, rozmowa zejdzie na niewyjasnione zjawiska. W wietrzna noc przy ognisku można gadać różne rzeczy.

Zjadł jajecznicę, ucałował Rachel i Gage'a. Dopiero gdy wychodził, zerknął na białą kwadratową szafkę u stop zsypu na brudna bieliznę. Wszystko szło świetnie. Kolejny wspaniały ranek. Późne lato sprawiało wrażenie, jakby zamierzało trwać wiecznie i wszystko było w porządku. Wycofując samochód z garażu, obejrzał się na ścieżkę, ale także wyglądała normalnie. Jej widok w ogóle go nie wzruszył. Pozbył się grozy jak kamienia.

Wszystko było w porządku, poki nie oddalił się o piętnaście kilometrów. Wtedy zaczął się trząść tak mocno, że musiał

zjechac z trasy numer 2 na pustym o tej porze parking przed restauracja chinska "U Singa", nieopodal Centrum Medycznego Wschodniego Maine - miejsca, do ktorego zabrano zwloki Pascowa, to znaczy EMMC, nie "U Singa". Vic Pascow nigdy juz nie zje porcyjki moo-moo-gai-pan, cha, cha, cha.

Dreszcze wstrzasaly jego cialem, wykrzywily je, objely w calkowite wladanie. Louis czul sie bezradny i przerazony - nie bal sie niczego nadnaturalnego, nie w tym jasnym sloncu, lecz jedynie mozliwosci, ze zaczyna tracic rozum - zupełnie jakby ktos okrecil jego ciało długim, niewidzialnym drutem, który teraz bardzo szybko rozkrecal.

-Juz dosyc! - powiedzial glosno. - Blagam, dosyc!

Niezdarnie siegnal do radia i znalazl Joan Baez spiewajaca o diamentach i rdzy. Jej slodki, chlodny glos uspokoil go, i gdy skonczyla, Louis poczul, ze moze jechac dalej.

Kiedy dotarl do osrodka medycznego, pozdrowil Charlton, po czym blyskawicznie zamknal sie w lazience, przekonany, ze okropnie wyglada. Bynajmniej: mial tylko lekko podkrazone oczy, lecz nawet Rachel by tego nie dostrzegla. Ochlapal twarz zimna woda, wytarl ja, przeczesal wlosy i poszedl do siebie.

W jego gabinecie siedzieli Steve Masterton i hinduski lekarz Surrendra Hardu. Pili kawe i nadal przegladali pierwsza kartoteke.

-Dzien dobry, Lou - rzucil Steve.

-Dzien dobry.

-Miejmy nadzieje, ze nie bedzie taki jak wczorajszy - dodal Hardu.

-Wlasnie, minela cie cala zabawa.

-Surrendra mial wczoraj w nocy dosyc zabawy. - Masterton usmiechnal sie szeroko. - Powiedz mu, Surrendra.

Hardu z usmiechem przetarl okulary.

-Okolo pierwszej w nocy dwoch chlopcow przyprawdzilo swoja przyjaciolke - rzekl. - Bardzo wesola i kompletnie pijana. Rozumiecie, swietowali rozpozecie zajec. Paskudnie rozciela sobie udo. Wiec mowie jej, ze musze zalozyc co najmniej cztery szwy, ale nie bedzie blizny. Prosze szyc - odpowiada. Zatem zaczynam, schylajac sie przed nia, o tak... - Hardu zademonstrowal, pozdrawiajac uklonem niewidzialne udo. Louis zaczal sie usmiechac, przeczuwajac, co zaraz nastapi.

-I gdy dezynfekowalem rane, zwymiotowala mi na glowe. Masterton wybuchnal smiechem. Podobnie Louis. Hardu usmiechal sie spokojnie, jakby cos takiego dzarzalo mu sie tysiace razy w ciagu tysiecy zywtow.

-Surrendra, od jak dawna jestes na dyzurze? - spytal w koncu Louis.

-Od polnocy - odparl tamten. - Wlasnie mialem wychodzic, ale chcialem zaczekac i przywitac sie.

-Zatem, witaj. - Louis uscisnal jego drobna brazowa dlon. - A teraz idz do domu i przespij sie.

-Prawie skonczyliśmy z tymi kartami - oznajmil Masterton. - Powiedz alleluja, Surrendra.

-Dzikuje, nie. - Hardu usmiechnal sie. - Nie jestem chrzescijaninem.

-Wiec zaspiewaj refren Instant Karma czy cos w tym stylu.

-Bawcie sie dobrze. - Hardu z usmiechem zniknal za drzwiami.

Louis i Steve Masterton w milczeniu odprowadzili go wzrokiem, po czym spojrzeli po sobie. Nastepnie obaj wybuchneli gromkim smiechem. Louis nigdy nie czul sie tak dobrze... tak normalnie.

-Rownie dobrze mozemy skonczyc te kartoteke - powiedzial Steve. - Dzisiaj zjawiaja sie pierwsi dealerzy.

Louis przytaknal. O dziesiatej byl umowiony z pierwszym akwizytorem lekow. Jak lubil zartowac Steve, sroda to dzien spaghetti, lecz na UMO kazdy wtorek byl Dniem Inwazji. Inwazji akwizytorow.

-Drobna rada, o wielki szefie - dodal Steve. - Nie wiem, jak bylo w Chicago, lecz tutaj ci goscie nie cofna sie przed niczym. Moga ci zaproponowac doslownie wszystko, od listopadowego polowania i zabaw w Allgash, po darmowa gre w kregle w

klubie w Bangor. Kiedyś jeden z nich próbował mi wcisnąć mi jedna z tych nadmuchiwanych lalek. Mnie, a jestem tylko pomocnikiem. Jeśli nie zdołają sprzedać ci leków, spróbują cię od nich uzależnić.

-Trzeba ją było wziąć.

-Nie, miała rude włosy. Nie w moim typie.

-Coż, zgadzam się z Surrendra - odparł Louis. - Byle nie było tak jak wczoraj.

18.

Kiedy umówiony na dziesiątą przedstawiciel Upjohna nie pojawił się, Louis uległ pokusie i zadzwonił do sekretariatu uniwersyteckiego. Porozmawiał chwilę z panią Stapleton, która obiecała, że natychmiast przśle mu kopie akt Victora Pascowa. Gdy odwiesił słuchawkę, gość z Upjohna już u niego był. Nie próbował dawać mu niczego. Spytał jedynie, czy interesowałby go zakup sezonowych biletów na mecze New England Patriots ze zniżką.-Nie - odparł Louis.

-Tak też przypuszczałem - rzekł ponuro gość od Upjohna i wyszedł.

W południe Louis poszedł do "Niedzwiedziej Jamy" i kupił sobie kanapkę z tunczykiem oraz colę. Przyniósł je do swego gabinetu i zaczął jeść, przeglądając akta Pascowa. Szukał czegoś, co łączyłoby zmarłego z nim samym albo z północnym Ludlow, gdzie leżał Cmentarz Zwierząt, w glebi ducha wierząc, że nawet tak niesamowite zdarzenie musi jakos dać się logicznie wytłumaczyć. Może chłopak wychował się w Ludlow - może nawet pochował na cmentarzu kota albo psa.

Nie znalazł jednak nic takiego. Pascow pochodził z Bergenfield w stanie New Jersey. Wstąpił na UMO, by studiować inżynierię i energetykę. Na kilku zapisanych na maszynie kartkach Louis nie dostrzegł niczego, co mogłoby łączyć go z młodym człowiekiem, który zmarł w poczekalni - oczywiście poza samą śmiercią.

Wysaczył resztkę coli z kubka, słuchając, jak słomka z bulgotem wsysa powietrze, po czym wyrzucił śmieci do kosza. Nie był to zbyt obfity lunch, lecz Louis zjadł go z apetytem. Wszystko w porządku, pomyślał, i tak też się czuł, przynajmniej teraz. Dreszcze nie powróciły i w tej chwili poranna groza wydawała się już tylko paskudna, bezsensowna niespodzianka, pozbawiona wszelkiego znaczenia.

Zabebnił palcami o bibule, wrzucił ramionami i znowu podniósł słuchawkę. Wykreślił numer EMMC i poprosił kostnicę.

Kiedy już połączono go z urzędującym tam dyżurnym, przedstawił się i rzekł:

-Macie tam jednego z naszych studentów, niejakiego Victora Pascowa...

-Juz nie - odparł głos z drugiej strony. - Juz go nie ma.

Gardło Louisa scisnęło nagły lek. W końcu zdołał wykrztusić:

-Co takiego?

-Wczoraj późnym wieczorem jego zwłoki odesłano do rodziców. Odebrał je przedstawiciel Domu Pogrzebowego Brookingsa-Smitha. Odleciały Delta... - Szelest papierów. - Delta, lot 109. A co pan myślał, że poszedł na potancówkę?

-Nie - odrzekł Louis. - Oczywiście, nie. Tyle że... - Tyle że co? Na miłość boską, czemu w ogóle się tym zajmował? Nie istniał żaden rozsądny sposób wyjaśnienia tej sprawy. Musiał ją zostawić. Zapomnieć o niej. W przeciwnym razie dopraszał się bezsensownych kłopotów. - Tyle że bardzo szybko to załatwiono - dokonał niezrecznie.

-No coż, sekcje przeprowadzano wczoraj po południu - ponowny słaby szelest papierów - około trzeciej dwadzieścia. Zrobił to doktor Rynzwyck. Do tego czasu ojciec Pascowa wszystko załatwił. Około drugiej w nocy ciało powinno już być w Newark.

-W takim razie...

-Chyba że któryś z przewoźników schrzanił sprawę i wysłał je gdzieś indziej - dodał radosnie dyżurny. - Zdarzało się nam to już, choć nigdy z Delta. Delta działa całkiem sprawnie. Kiedyś pewien gość zginał podczas wycieczki na ryby w okręgu Aroostook, w jednym z miasteczek, które nie mają nawet nazwy, jedynie współrzędne na mapie. Kretyn zadławił się uchwytem od puszki, pijąc piwo. Jego kumple potrzebowali dwóch dni, by wywlec go z gluszy, a wie pan, że po takim czasie to już czysta loteria. Nie wiadomo, czy da się zabalsamować zwłoki. Oni jednak wtrynili go nam, licząc, że się uda. Odesłaliśmy go do domu do Grand Falls w Minnesocie w ładowni samolotu. Ale w biurach linii namieszali. Najpierw wysłali

go do Miami, potem do Des Moines, wreszcie do Fargo w Dakocie Południowej. W końcu ktoś się zorientował, tymczasem jednak minęły trzy dni. Nic nie podziałało. Równie dobrze zamiast płynów balsamujących mogli wstrzyknąć mu sprite'a. Facet był zupełnie czarny, śmierdzał jak kawał zepsutego mięsa. Tak przynajmniej słyszałem. Szczęściu tragarzy pochorowało się od tego.

Rozmowca po drugiej stronie linii zaśmiał się serdecznie.

Louis przytknął oczy.

-Coż, dziękuję...

-Jeśli pan chce, doktorze, mogę podać panu telefon domowy doktora Rynzwycka, ale on rankami zazwyczaj grywa w golfa w Orono. - I znów ten śmiech.

-Nie - odrzekł Louis. - Nie ma potrzeby.

Odwiesił słuchawkę. Niech tak się to skończy, pomyślał. Gdy nawiedził cie owego durnego śna, czy cokolwiek to było, ciało Pascowa niemal na pewno znajdowało się już w domu pogrzebowym w Bergenfield. To załatwia sprawę. Niech to będzie koniec.

Kiedy tego popołudnia wracał do domu, nagle przyszło mu do głowy proste wyjaśnienie obecności brudu w łóżku. Wyjaśnienie to sprawiło, iż ogarnęła go ogromna ulga.

To był zwykły przypadek lunatyzmu, wywołanego przez nieoczekiwane, wstrząsające wydarzenie: śmiertelnie rannego studenta umierającego w ambulatorium pierwszego dnia prawdziwej pracy.

To wyjaśniało wszystko. Śna wydawał się niezwykle rzeczywisty, ponieważ znaczna jego część była rzeczywista: dotknięcie dywanu, zimna rosa i oczywiście zeschnięta galaz, która zadrapała go w ramię. Tłumaczyło też, czemu Pascow zdołał przeniknąć przez drzwi, a on sam nie. Nagle w jego myślach pojawiła się wizja, obraz Rachel schodzącej na dół ostatniej nocy i widzącej meza objającego się o tylne drzwi, przez które próbował przejść we śnie. Uśmiechnął się szeroko. Byłaby niezłe zaskoczona.

Hipoteza lunatyzmu pozwoliła mu przeanalizować, skąd wziął się śna - i uczynił to z prawdziwym zapalem. Poszedł na Cmentarz Zwierząt, bo miejsce to kojarzyło się z innym przeżytym niedawno stresem. Stało się powodem poważnej kłótni z żoną... A także, pomyślał z rosnącym podnieceniem, w jego umyśle kojarzyło się z pierwszym prawdziwym zetknięciem córki ze śmiercią, czyms, z czym jego własna podświadomość musiała zmagać się zeszłego wieczoru tuż przed zasnięciem.

Cholerne szczęście, że cało i zdrowo dotarłem do domu - nawet nie pamiętam, jak to się stało. Musiałem wrócić na autopilocie.

I dobrze. Nie wyobrażał sobie, co by było, gdyby obudził się tego ranka obok grobu kota Smucky'ego, zdezorientowany, pokryty rosą i prawdopodobnie śmiertelnie przerażony - zresztą podobnie jak Rachel.

Ale to wszystko należało już do przeszłości.

Koniec, pomyślał z ogromną ulgą Louis. A co z jego słowami tuż przed śmiercią? - próbował spytać umysł, lecz Louis pośpiesznie odegnał to pytanie.

Tego wieczoru, gdy Rachel prasowała, a Ellie z Gage'em siedzieli w tym samym fotelu, z zajęciem oglądając "Muppet Show", Louis oznajmił, jak gdyby nigdy nic, że ma ochotę wybrać się na krótki spacer - odetchnąć świeżym powietrzem.

-Zdązysz wrócić i pomóc mi położyć Gage'a? - spytała, nie unosząc wzroku znad deski. - Wiesz, że kiedy tu jesteś, zachowuje się grzeczniej.

-Jasne - odparł.

-Dokąd idziesz, tatusiu? - zainteresowała się Ellie, cały czas zapatrzona w telewizor. Kermit miał właśnie oberwać w oko od panny Piggy.

-Na tyły domu, zlotko.

-Ach, tak. Louis wyszedł.

W kwadrans później był już na Cmentarzu Zwierząt, rozglądał się wokół ciekawie i zmagał z silnym poczuciem déjà vu. Fakt, że naprawdę odwiedził to miejsce, nie ulegał wątpliwości: mały nagrobek czczący pamięć kota Smucky'ego leżał wywrócony. Zrobił to, gdy pod koniec tego, co zapamiętał ze snu, zbliżyła się do niego postać Pascowa. Louis z roztargnieniem poprawił deszczulke i podszedł do wiatrolomu.

Całkowicie mu się nie podobał. Wspomnienie zbiegających ze starości galezi i martwych drzew zamieniających się w stosy kości wciąż mroziło mu krew w żyłach. Zmusił się, by wyciągnąć rękę i dotknąć jednego z nich. Leżący niepewnie na chaotycznym stosie pien poruszył się i sturlał, odbijając się od reszty. Louis odskoczył o krok.

Przeszedł wzdłuż niego, najpierw w lewo, potem w prawo. Po obu stronach poszycie zamykało drogę, tworząc taką gestwinę, że nikt nie zdołałby jej przebyć. Zresztą nikt o zdrowych zmysłach nie chciałby przebijać się przez coś takiego, pomyślał Louis. Tuż przy ziemi bujnie rozkrzewiał się trujący bluszcz (całe życie Louis słyszał ludzi przechwalających się, że są na niego niewrażliwi, lecz wiedział, iż w istocie to niezwykle rzadkie), a dalej sterczały największe, najpaskudniejsze ciernie, jakie w życiu widział.

Spacerkiem wrócił w miejsce, gdzie wiatrolom wznosił się najwyżej. Spojrzał na niego, wsuwając ręce do tylnych kieszeni dzinsów.

Nie chcesz się chyba na to wdrapać?

Nie ja, szefie. Czemu miałby zrobić coś tak durnego?

To dobrze. Przez chwilę naprawdę się martwiłem, Lou. Świetny sposób, by wylądować we własnym ambulatorium ze złamaną kostką, prawda?

Jasne. Poza tym robi się ciemno.

Upewniwszy się, iż nic mu nie jest i że całkowicie zgadza się z samym sobą, Louis zaczął wdrapywać się na wiatrolom.

Pokonał już połowę drogi w górę, gdy poczuł, jak stos z osobliwym trzaskiem przemieszcza się pod jego nogami.

Niechaj potoczą się kości!

Gdy drzewa poruszyły się ponownie, Louis zaczął pospiesznie zjeżdżać w dół. Pola koszuła wysunęła mu się ze spodni.

Bez żadnych incydentów dotarł na ziemię i otrząpiał dłonie z pokruszonych kawałków kory. Wrócił na początek ścieżki, która, jak wiedział, doprowadzi go z powrotem do domu - do dzieci domagających się bajki przed snem, do Churcha przeżywającego ostatni dzień jako kocur z krwi i kości i urodzony podrywacz, do herbaty w kuchni z żoną, gdy dzieci już zasnęły.

Przed odejściem raz jeszcze obrzucił wzrokiem polane, uderzony panującą tu zieloną ciszą. Żadnego światła nie pojawiły się pierwsze macki mgły, powoli okraszające nagrobki. Te koncentryczne kregi... zupełnie jakby nieswiadomie pokolenia dzieci z północnego Ludlow wzniosły tu pomniejszony model Stonehenge.

Ale czy to wszystko?

Choć nim drzewa pod jego stopami zaczęły się poruszać, zdołał tylko przez moment dostrzec teren za wiatrolodem, mogłoby przysiąc, że dalej także biegła ścieżka wiodąca głębiej w las.

To nie twoja sprawa, Louis. Musisz o tym zapomnieć.

W porządku, szefie.

Louis odwrócił się i pomaszerował dalej.

Tę noc jeszcze w godzinę po tym, jak Rachel poszła do łóżka, Louis zwlekał, czytając stosy pism medycznych, które przejrzał już wcześniej, i nie chciał przyznać się przed samym sobą, iż sama myśl o śnie budzi w nim niepokój. Nigdy dotąd nie zdarzało mu się chodzić we śnie i w żaden sposób nie mógł zagwarantować, iż był to jednorazowy atak lunatyzmu... przynajmniej, póki się nie powtórzy. Usłyszał, jak Rachel wstaje z łóżka i woła cicho:

-Lou? Kochanie? Idziesz?

-Właśnie szedłem - odparł, gasząc lampę nad biurkiem.

Tej nocy wyciszenie pracującego na pełnych obrotach silnika trwało znacznie dłużej niż siedem minut. Kiedy tak słuchał długich, miarowych oddechów śpiącej głęboko Rachel, zjawiała się Victora Pascowa wydawała mu się mniej nierzeczywista. Bał się, że zamknie oczy i ujrzy otwierające się drzwi, w których stanie on, nasz dzisiejszy gość, Victor Pascow w szortach do joggingu, blady pod powłoczką opalenizny, z rozdarta skórą, spod której sterczy złamany obojczyk. Powoli osuwał się w sen, myślał o tym, jak by to było obudzić się nagle na Cmentarzu Zwieżat, ujrzyć skapane w promieniach księżyca koncentryczne kręgi, a potem wędrować ścieżką przez las z powrotem do domu, i myśl ta sprawiała, że bliski już sen umykał.

Dopiero po północy sen zaszedł go od tyłu i ogłuszył. Tej nocy nie snił o niczym. Obudził się dokładnie o siódmej trzydziestej i usłyszał zimny jesienny deszcz bebnący o szyby. Z lekką obawą odrzucił koldre. Przescieradło było w idealnym stanie. Co prawda żaden purysta nie określiłby tak jego stop ze zniekształconymi paluchami i licznymi nagiotkami, ale przynajmniej były czyste.

Louis odkrył, że gwiazdki pod prysznicem.

19.

Nim Rachel zawiozła Winstona Churchilla do weterynarza, zostawiła Gage'a pod opieką Missy Dandridge. Tej nocy Ellie nie spała do jedenastej, uskarżając się płaczliwie, że nie potrafi zasnąć bez Churcha, i domagając się przyniesienia kolejnych szklanek wody. Wreszcie Louis odmówił, twierdząc, iż po takiej ilości picia z pewnością zmoczy łóżko. Spowodowało to atak furii tak gwałtowny, iż Rachel i Louis spojrzeli po sobie ponuro, unosząc brwi. -Boi się o Churcha - powiedziała Rachel. - Niech sama się uspokoi, Lou.

-Długo nie zdoła tak wrzeszczec - odparł Louis. - Przynajmniej mam taką nadzieję.

Nie mylił się. Wkrótce ochryple, wściekle krzyki Ellie zamieniły się w jęki, szlochy i czkawkę. W końcu nastąpiła cisza. Gdy Louis poszedł sprawdzić, co z córką, zastał ją śpiącą na podłodze i trzymającą w ramionach kocie łóżeczko; Church zazwyczaj nie zniżał się do tego, by w nim zasnąć.

Louis odebrał jej pudełko, położył do łóżka, łagodnie odgarnął włosy ze złanego potem czoła i ucałował. Kierując się nagłym impulsem, poszedł do małego pokoju służącego Rachel za gabinet, na kartce papieru wypisał drukowanymi literami: JUTRO WROCE. CALUJE CHURCH i przypiął notatkę do poduszki w kocim łóżeczku. Następnie wrócił do sypialni, szukając Rachel. Była tam. Kochali się i zasnęli objęci.

Church wrócił do domu w piątek pierwszego prawdziwego tygodnia pracy Louisa. Ellie bardzo przejęła się jego powrotem. Wydała część tygodniówki na pudełko kocich ciasteczek i omal nie uderzyła Gage'a, kiedy ten próbował go dotknąć. Gage rozplakał się rozpaczliwie; zwykle upomnienie rodziców nigdy nie wywołało u niego aż takiego żalu. Fakt, że skarciła go Ellie, był dla niego równie wstrząsający, jak gdyby skarcił go sam Bog.

Widok Churcha zasmucił Louisa. Wiedział, że to śmieszne, ale nie potrafił pozbyć się uczucia smutku. W kocie nie pozostał nawet ślad dawnej zadziorności Winniego Churcha. Nie stapał już jak dumny rewolwerowiec, lecz powoli, ostrożnie, niczym rekonwalescent. Pozwalał karmić się Ellie z reki. Nie zdradzał żadnej ochoty wyjścia na dwór, nawet do garażu. Zmienił się. Może i na dobre, ale zmienił się.

Rachel i Ellie zdawały się tego nie dostrzegać.

20.

Babie lato przeszło i minęło. Drzewa na krótko zapłonęły jaskrawymi barwami, po czym przygasły, a pewnego dnia po zimnym, zacinającym deszczu w połowie października zaczęły opadać liście. Ellie zjawiała się w domu obladowana zrobionymi w szkole dekoracjami na Halloween i zabawiała Gage'a opowieściami o jeźdźcu bez głowy. Tego wieczoru Gage paplał radosnie o kims nazwiskiem Juchabod Krem. Rachel, słysząc to, zaczęła chichotać i nie mogła przestać. Ta wczesna jesień to był dla nich dobry okres. Praca Louisa na uniwersytecie powoli przekształcała się w wyczerpującą, acz przyjemną rutynę. Badal pacjentów, uczestniczył w spotkaniach rady college'ów, pisał nieuniknione listy do gazетки studenckiej, zapewniając studencką brat o poufności leczenia chorób wenerycznych i konieczności zaszczepienia się przeciw grypie, jako że tej zimy miał znów pojawić się wirus A. Uczestniczył w dyskusjach panelowych i prowadził je. W drugim tygodniu października udał się na nowoangielską konferencję na temat medycyny uniwersyteckiej w Providence i przedstawił tam referat na temat prawnych skutków leczenia studentów. W referacie wspominał o Victorze Pascowie pod fikcyjnym nazwiskiem Henry Montez. Przyjęto go bardzo dobrze. Powoli zaczął prace nad zwiększeniem przyszłorocznego budżetu ambulatorium.

Wieczory także przekształcały się w rutynę. Po kolacji dzieci, potem piwo czy dwa z Judem Crandallem. Czasami, jeśli

Missy mogła posiedzieć godzinke z dziećmi, towarzyszyła mu Rachel, a niekiedy dołączała do nich Norma. Najczęściej jednak na werandzie siadywali wyłącznie Louis i Jud. Louis czuł się w towarzystwie starca dobrze i bezpiecznie, wysłuchiwał opowieści o historii Ludlow, sięgającej trzystu lat w przeszłość. Jud opowiadał, zupełnie jakby przeżył to sam, i nigdy nie gładził. Nigdy też nie nudził Louisa, choć Rachel od czasu do czasu ziewała skrycie.

Zazwyczaj koło dziesiątej przechodził przez drogę do własnego domu i na ogół kochali się z Rachel. Od czasu pierwszego roku małżeństwa nigdy nie kochali się tak regularnie i nie zaznawali tak wiele rozkoszy. Rachel twierdziła, że to coś w wodzie ze studni artezyjskiej. Louis głosował za powietrzem stanu Maine.

Straszna śmierć Victora Pascowa pierwszego dnia jesiennego semestru zaczęła zacierać się w pamięci, zarówno studentów, jak i samego Louisa, choć rodzina Pascowów z pewnością wciąż oplakiwała syna. Louis rozmawiał przez telefon z zapłakany, na szczęście pozbawiony twarzy, ojcem Pascowa. Pragnął on jedynie upewnić się, iż Louis uczynił, co tylko możliwe, a lekarz zapewnił go, że zrobili to wszyscy pracownicy. Nie napomknął o zamieszaniu, o rosnącej plamie na wykładzinie i o tym, że Victor zmarł niemal natychmiast po przyniesieniu do ambulatorium, choć to na zawsze odcisnęło się w jego wspomnieniach. Ci jednak, dla których Pascow był tylko kolejną ofiarą, powoli o nim zapominali.

Wciąż pamiętał też sen i incydent z lunatyzmem. Teraz jednak odnosił wrażenie, jakby spotkało to kogoś innego albo zobaczył to przypadkiem w telewizji. Podobnie rzecz miała się z jego jedyną wizytą w salonie masażu sześć lat wcześniej. Oba wydarzenia zdawały się równie mało znaczące. Ot, drobne odstępstwa od normy, pozostawiające fałszywy rezonans, niczym odgłosy w komorze ech.

Zupełnie nie myślał o tym, co powiedział - lub czego nie powiedział - umierający Pascow.

W halloweenowy wieczór nadszedł przymrozek. Louis i Ellie zaczęli obchodzić od domu Crandallow. Ellie chichotała udając, jeżdżąc na miotle po kuchni Normy i została natychmiast uznana za "najśliczniejszą dziewczynkę, jaką kiedykolwiek widziałam. Prawda, Jud?".

Jud zgodził się i zapalił papierosa.

-A gdzie Gage, Louis? Podobno jego też mieliście przebrać.

Rzeczywiście planowali zabrać ze sobą Gage'a. Zwłaszcza Rachel nie mogła się tego doczekać. Wraz z Missy Dandridge skomponowała mu kostium chrząszcza z rozprostowanymi wieszakami owiniętymi bibułką, udającymi czułki. Lecz Gage przebiegł się paskudnie i osłuchawszy jego płuca, w których nieco szemrało, i zerknąwszy na termometr za oknem, wskazujący o szóstej wieczorze zaledwie pięć stopni, Louis odwołał zabawę. Rachel, choć zawiedziona, zgodziła się z meżem.

Ellie obiecała oddać Gage'owi część swoich cukierków, lecz jej przesadny smutek wydał się Louisowi sztuczny. Ojciec zastanawiał się, czy w głębi ducha dziewczynka nie cieszy się, że Gage nie pójdzie z nimi, by opóźnić jej zabawę... i odebrać część zainteresowania.

-Biedny Gage - powiedziała tonem, zazwyczaj zarezerwowanym dla ludzi cierpiących na śmiertelne choroby. Gage, nieswiadom tego, co traci, siedział na kanapie i oglądał telewizję. Church drzemał obok niego.

-Ellie, czary - powiedział bez specjalnego zainteresowania i powrócił do ekranu.

-Biedny Gage - powtórzyła Ellie, wzdychając przesadnie. Louis pomyślał o krokodylich łzach i uśmiechnął się szeroko. Coreczka chwyciła go za rękę i zaczęła ciągnąć.

-Chodźmy, tatusiu. Chodźmy-chodźmy-chodźmy!

-Gage brzydko kaszle - rzekł teraz do Judy.

-Wielka szkoda - straciła Norma. - Ale w przyszłym roku więcej zrozumie z tej zabawy. Daj torbę, Ellie... Oho!

Wzięła ze stojącego na stole półmiska jabłko i snickersa, ale oba przysmaki wymknęły się jej z ręki. Louisem wstrząsnęło to, jak bardzo jej dłoń przypominała szpon. Schylił się i podniósł turlające się po podłodze jabłko. Jud znalazł snickersa i wrzucił do torbki Ellie.

-Dam ci inne jabłko, słonko - powiedziała Norma. - To się obilo.

-Jest w porządku. - Louis próbował wrzucić je do torbki Ellie, lecz dziewczynka cofnęła się, ochronnym ruchem zamykając woreczek.

-Nie chce obitego jablka, tatusiu - oznajmila, patrzac na ojca, jakby kompletnie oszalal. - Brazowe kropki. Fuj!

-Ellie, to okropnie niegrzeczne!

-Nie miej do niej pretensji, ze mowi prawde, Louis - wtracila Norma. - Wiesz chyba, ze tylko dzieci mowia cala prawde. Dlatego wlasnie sa dziecmi. Brazowe kropki to rzeczywiscie paskudztwo.

-Dziekuje, pani Crandall. - Ellie spojrzala triumfalnie na ojca.

-Bardzo prosze, slonko.

Jud odprowadzil ich na werande. Sciezka zblizaly sie dwa male duchy. Ellie rozpozнала w nich przyjaciol ze szkoly i zaprowadzila z powrotem do kuchni. Przez moment Jud i Louis zostali sami.

-Jej artretyzm sie pogarsza - zauwazyl Louis.

Jud przytaknal i pstryknieciem zgasil papierosa nad popielniczka.

-Tak. Kazdej jesieni i zimy jest coraz gorzej. Ale tak zle jeszcze nigdy nie bylo.

-Co mowi lekarz?

-Nic. Nic nie mowi, bo Norma przestala go odwiedzac.

-Co takiego? Czemu?

Jud spojrzal na Louisa. W swietle reflektorow furgonetki czekajacej na duchy wygladal dziwnie bezbronne.

-Chcialem cie poprosic w bardziej sprzyjajacej chwili, Louis, ale obawiam sie, ze nie ma dobrej chwili na to, by narzucac sie przyjacielowi. Czy zechcialbys ja zbadac?

Z kuchni dobiegaly pohukiwania duchow i wiedzmowaty chichot Ellie, ktory cwiczyla caly tydzien. Wszystko to brzmialo uroczo i swiatecznie.

-Co jeszcze dzieje sie z Norma? - spytal. - Czy ona czegos sie boi, Jud?

-Miewa bole w piersi - odparl cicho Jud. - Nie chce juz odwiedzac doktora Weybridge'a. Troche sie martwie.

-Czy Norma sie martwi?

Jud zawahal sie. Wreszcie rzekl:

-Mam wrazenie, ze sie boi. Chyba dlatego nie chce widziec lekarza. W zeszlym tygodniu jedna z jej najstarszych przyjaciolek, Betty Coslow, umarla w EMMC. Rak. Byly z Norma w jednym wieku. Norma sie boi.

-Chetnie ja zbadam - zapewnil go Louis. - To nie problem.

-Dzieki, Louis - odrzekl Jud z wdziecznoscia. - Jesli zdybiemy ja ktoregos wieczoru i zaatakujemy obaj...

Jud urwal i zaczal nasluchiwal, przechylajac glowe. Ich oczy sie spotkaly.

Pozniej Louis nie pamietal, kiedy dokladnie jedno uczucie przekszaltcilo sie w inne. Kiedy probowal analizowac sytuacje, tylko krecilo mu sie w glowie. Zapamietal, iz ciekawosc zastapilo przeczucie, ze cos gdzies jest powaznie nie tak. Ich oczy sie spotkaly. Przez moment obaj patrzyli na siebie bezradnie. Nie mial pojecia, co robic.

-Buuuuuuu-huuuuuu - zawodzily w kuchni halloweenowe duszki. - Hooooo-hooooo. - I nagle "h" Zniknelo, a ich glosy uniosly sie w przerazliwym oooooo-OOOOOO! Potem jeden z duchow zaczal wrzeszczec.

-Tatusiu! - W glosie Ellie pobrzmiwalo napiecie i przerazenie. - Tatusiu, pani Crandall upadla!

-O Jezu! - niemal jeknal Jud.

Ellie wypadla na werande. Jej czarna sukienka powiewala. W dloni sciskala miotle. Zielona, wykrzywiona ze zgrozy twarz dziewczynki wygladala jak oblicze karlowatego alkoholika w ostatnim stadium zatrucia. Tuz za nia biegly zaplakane duchy.

Jud smignal do srodka, zdumiewajaco energicznie, jak na czlowieka po osiemdziesiatce. Nie, bardziej niz energicznie. Zrecznie jak mlodzieniaszek. Raz po raz wykrzykiwal imie zony.

Louis schylil sie i polozyl dlonie na ramionach Ellie.

-Zostan tu na werandzie. Zrozumialas?

-Tatusiu, boje sie - szepnela.

Dwa duchy minely ich w pedzie i oddalily sie sciezka, powiewajac torebkami na cukierki i wykrzykujac nazwisko matki.

Ignorujac Ellie, ktora krzyczala, by wrocil, Louis pobiegl korytarzem do kuchni.

Norma lezala obok stolu na nierownym linoleum, zaslanym jablkami i malymi batonikami Snickers. Najwyrazniej, padajac, potracila reka polmisek, ktory sie wywrocil. Lezal teraz obok, niczym maly, zaroodporny latajacy talerz. Jud rozcieral jej przegub. Uniosl glowe i z napieciem spojrzal na Louisa.

-Pomoz mi, Louis - powiedzial. - Pomoz Normie. Ona chyba umiera.

-Odsun sie! - polecil Louis. Uklakl i jego kolano natrafilo na jablko, miazdzac je. Poczul, jak zimny sok przesiaka przez kolano starych sztruksow. W powietrzu rozszedl sie kwasny zapach.

Powtorka z Pascowa, pomyslal Louis i natychmiast odepchnal te mysl. Zniknela tak szybko, jak sie pojawila.

Poszukal pulsu i wyczul cos slabego, rwacego sie i szybkiego - nie uderzenia, raczej spazmy. Daleko posunieta arytmia, grozaca zatrzymaniem akcji serca. Zupelnie jak Elvis Presley, Normo, pomyslal. Rozpial jej sukienke, odslaniajac kremowa jedwabna halke. Calkowicie porwany wyuczona rutyna, poruszajac sie wlasnym rytmem, odchylil jej glowe i rozpoczel masaz serca.

-Jud, posluchaj - rzekl. Krawedz lewej dloni w jednej trzeciej mostka, cztery centymetry nad wyrostkiem mieczykowatym. Prawa dlon sciska lewy przegub, zwikszajac nacisk. Mocno, ale ostroznie, by nie uszkodzic starych zeber. Nie ma powodow do paniki. I na milosc boska, nie mozna zgniec starych pluc.

-Slucham - odparl Jud.

-Zabierz Ellie - rzekl. - Przejdzcie przez droge; ostroznie, nie wpadnijcie pod samochod. Powiedz Rachel, co sie stalo. Powiedz, ze potrzebna mi torba. Nie z gabinetu, lecz ta z najwyzszej polki w sypialni. Bedzie wiedziala, o ktora chodzi. Kaz jej zadzwonic na pogotowie w Bangor i wezwac karetke.

-Bucksport jest blizej - wtracil Jud.

-Ale z Bangor szybciej dojada. Idz, nie dzwon sam. Niech Rachel to zrobi. Potrzebuje tej torby. - Ale kiedy dowie sie, co sie dzieje, pomyslal Louis, raczej jej tu nie przyniesie.

Jud odszedl. Louis uslyszal trzasniecie siatkowych drzwi. Zostal sam z Norma Crandall i zapachem jablek. Z salonu dobiegalo miarowe tykanie zegara.

Nagle Norma westchnela chrapliwie. Jej powieki zatrzepotaly i Louis poczul gwaltowna, lodowata pewnosc.

Zaraz otworzy oczy... O, Chryste. Zaraz otworzy oczy i zacznie mowic o Cmetarzu Zwiezat.

Ona jednak tylko spojrzala na Louisa niemal bezrozumnym wzrokiem, po czym jej powieki znow opadly. Louis zawstydzil sie samego siebie, swego niemadrego strachu. Jednoczesnie poczul nadzieje i ulge. W jej oczach dostrzegl bol, lecz nie smiertelne cierpienie. Wygladalo na to, ze atak nie byl powazny.

Louis dyszal, zlany potem. Tylko lekarze w telewizji wykonywali masaz serca bez wysilku; podczas prawdziwego zabiegu spalalo sie mnostwo kalorii. Wiedzial, ze jutro beda bolaly

go miesnie rak i ramion.

-Moge jakos pomoc?

Obejrzał się. Przez prog z wahaniem przestąpiła kobieta w spodniach i brązowym swetrze. Jedną zwinęta w pięść dłoń przyciskała do piersi. Matka duchów, pomyślał Louis. Uznał, że jest przerażona, ale nie bezradna.

-Nie - odparł. A potem: - Tak. Proszę zmoczyć ściereczkę. Wykrecić i położyć jej na czole.

Ruszyła, by wykonać polecenie. Louis spuścił wzrok. Oczy Normy znów były otwarte.

-Louisie, upadłam - szepnęła. - Chyba zemdlalam.

-Miałas kłopoty z sercem - odrzekł Louis. - Nie wygląda to zbyt poważnie. Teraz odprez się i nic nie mów.

Chwilę odpoczął, po czym znów zmierzył jej puls. Serce biło stanowczo za szybko. Doktor Tucker z Akademii Medycznej Uniwersytetu w Chicago nazwał to kiedyś kodem Morse'a: serce bije regularnie, po czym na moment przyspiesza, wykonując serie uderzeń niemal przypominających migotanie i znów zaczyna bić normalnie. Puk, puk, puk. LUP, LUP, LUP. Puk, puk, puk, puk. Niedobry znak, ale lepszy niż arytmia.

Kobieta przyniosła ściereczkę i położyła ją na czole Normy. Cofnęła się niepewnie. W tym momencie zjawil się Juda z torbą.

-Louis?

-Nic jej nie będzie. - Louis spojrzał na Judę, w istocie jednak mówił do Normy. - Pogotowie już jedzie?

-Twoja żona właśnie do nich dzwoni. Nie czekałem.

-Tylko nie... szpital - szepnęła Norma.

-Owszem, szpital - odparł Louis. - Pięciodniowa obserwacja, leki, a potem o własnych siłach wracasz do domu jak grzeczna dziewczynka. A jeśli powiesz coś jeszcze, zmuszę cię do zjedzenia wszystkich tych jabłek, z ogryzkami.

Uśmiechnęła się słabo i znów zamknęła oczy. Louis otworzył torbę, pogrzebał w niej, znalazł isodil i wytrząsał na dłoń jedną pastylkę, tak małą, że spokojnie mieściła się na białym czubku paznokcia. Zamknął fiolkę i chwycił pastylkę palcami.

-Normo, słyszysz mnie? - Tak.

-Chce, żebyś otworzyła usta. Zrobiłaś sztuczkę, teraz dostaniesz cukierka. Wsunę ci pod

język pastylke. Malenka. Chce, zebys ja tam przytrzymala, poki sie nie rozpusci. Bedzie troche gorzka, ale nie przejmuj sie tym. W porzadku?

Otwarla usta, z ktorych zionela won starych protez. Przez moment Louis poczul przejmujacy zal. Lezala tak na podlodze wlasnej kuchni, wsrod jablek i halloweenowych cukierkow. A kiedys byla siedemnastolatka, mlodziency z sasiedztwa z zainteresowaniem zerkali na jej piersi. Miala wlasne zebys i konskie serce pod koszula.

Przykryla jezykiem pigulke i skrzywila sie lekko. Lekarstwo rzeczywiscie mialo gorzki smak. Jak zawsze. Ale Norma nie byla Victorem Pascowem, ktoremu nikt nie zdolalby pomoc. Louis uznal, iz staruszka dozyje nastepnego dnia. Jej dlon uniosla sie. Jud ujal ja lagodnie.

Louis wstal, znalazl odwrocony polmisek i zaczal zbierac dzieciace przysmaki. Kobieta, ktora przedstawila sie jako pani Storey z tej samej ulicy, pomogla mu, po czym oznajmila, ze musi wracac do wozu. Jej chlopcy bardzo sie bali.

-Dziekuje za pomoc, pani Storey - powiedzial Louis.

-Nic nie zrobilam - odparla beznamietnie. - Ale dzis wieczor uklekne i podziekuje za to, ze byl pan tutaj, doktorze Creed.

Zaklopotany Louis machnal reka.

-To dotyczy tez mnie - wtracil Jud. Wzrokiem poszukal oczu Louisa i spojrzal w nie z powaga. Znow w pelni kontrolowal sytuacje. Chwila niepewnosci i strachu minela. - Jestem ci cos winien, Louis.

-Daj spokoj. - Louis skinal palcem w strone wychodzacej pani Storey, ktora usmiechnela sie i pomachala. Znalazl jablko i wgryzl sie w nie. Owoc byl tak slodki, ze jego kubeczki smakowe na moment scierply, ale nie bylo to przykre wrazenie. Dzisiaj wygrales, Lou, pomyslal i zaczal z zapalem palaszowac jablko. Byl przerazliwe glodny.

-Owszem - upieral sie Jud. - Kiedy bedziesz potrzebowal przyslugi, Louis, najpierw zglos sie do mnie.

-W porzadku - odparl Louis. - Zrobie tak.

Karetka z pogotowia w Bangor zjawila sie dwadziescia minut pozniej. Louis, ktory wyszedl na zewnatrz i patrzyl, jak sanitariusze laduja do srodka nosze z Norma, dostrzegl Rachel wygladajaca z okna w salonie. Pomachal do niej. W odpowiedzi uniosla reke.

Stali obok siebie z Judem i patrzyli, jak odjezdza karetka. Jej kogut poblyskiwal, ale syrena milczala.

-Chyba teraz pojade do szpitala - oznajmil Jud.

-Dzis wieczor nie pozwola ci jej zobaczyc. Zrobia jej EKG, a potem umieszcza na oddziale intensywnej opieki. Nie wolno jej odwiedzac przez pierwszych dwanasce godzin.

-Naprawde nic jej nie bedzie, Louis? Naprawde? Louis wzruszyl ramionami.

-Nigdy niczego nie mozna zagwarantowac. To byl atak serca. Osobiscie uwazam, ze dojdzie do siebie. Moze nawet bedzie czula sie lepiej, bo dostanie leki.

-Oby. - Jud zapalil chesterfielda.

Louis usmiechnal sie i spojrzal na zegarek. Zdumial sie, odkrywszy, iz bylo zaledwie za dziesiec osma. Mial wrazenie, ze uplynelo mnostwo czasu.

-Jud, pojde po Ellie, zeby mogla dokonczyc obchod.

-Tak, oczywiscie. - Zabrzmialo to "oczyyjiscie". - Powiedz jej, by zebrala jak najwiecej cukierkow. Sztuczke juz chyba widziala.

-Chyba rzeczywiscie - przytaknal Louis.

Kiedy Louis wrocil do domu, Ellie wciaz byla w kostiumie czarownicy. Rachel probowala przekonac ja, by przebrala sie w nocna koszulke, lecz corka odmowila, kurczowo trzymajac sie nadziei, ze zabawa przerwana z powodu ataku serca moze zostanie podjeta na nowo. Gdy Louis polecil jej nalozyc plaszcz, zakrzyknela radosnie.

-Bardzo pozno sie polozy, Louis.

-Wezmiemy samochod - odparl. - Daj spokoj, Rachel. Od miesiaca czekala na ten dzien.

-No, coz... - Usmiechnela sie. Ellie dostrzegla ow usmiech i ponownie krzyknela, biegnac do szafy. - Czy z Norma wszystko w porzadku?

-Chyba tak. - Czul sie dobrze. Byl zmeczony, lecz czul sie dobrze. - Atak nie byl powazny. Bedzie musiala zachowac ostroznosc, ale kiedy ma sie siedemdziesiat piec lat, czlowiek i tak wie, ze nie moze juz uprawiac sportow wyczynowych.

-Cale szczescie, ze tam byles. To niemal jak zrzadzenie losu.

-Szczescie mi wystarczy. - Usmiechnal sie na widok Ellie. - Gotowa, Babo Jago?

-Jestem gotowa - odparla. - Chodźmy, chodźmy, chodźmy!

Kiedy w godzinie pozniej wracali do domu z na wpol wypelniona torebka (Ellie protestowala, gdy Louis oznajmil, ze koncza, ale niezbyt energicznie. Byla zmeczona.) corka zdumiala go, mowiac:

-Tatusiu, czy pani Crandall dostała ataku przeze mnie, bo nie chciałam wziąć obitego jabłka?

Louis spojrział na nią zaskoczony. Zastanawiał się, skąd dzieci biorą równie osobliwe, niemal przesadne pomysły. Stąpaj na szczelinie, zabijesz rodzinę. Kocha-nie kocha. Taty brzuch i taty głowa, uśmiech w nocy, śmierć gotowa. To sprawiło, że znowu pomyślał o Cmentarzu Zwierząt i nagrobkach tworzących kregi. Chciał uśmiechnąć się na te myśli, lecz nie potrafił.

-Nie, złotko - odparł. - Kiedy tam byłeś z dwoma duchami...

-To nie duchy, tylko bliźniacy Buddinger.

-Właśnie. Kiedy tam z nimi byłeś, pan Crandall mówił mi, że żona czuła ostatnio ból w piersiach. W istocie możliwe, że ją uratowałaś, a przynajmniej znacznie przyspieszyłaś nadejście pomocy.

Teraz to Ellie spojrziała na niego ze zdumieniem. Louis przytaknął.

-Potrzebowała lekarza, złotko. Ja jestem lekarzem, ale byłem tam tylko dlatego, że zabrałem cię na halloweenowy obchód.

Ellie zastanawiała się długo. W końcu skinęła głową.

-Ale ona pewnie i tak umrze - rzekła, jakby stwierdzała coś oczywistego. - Ludzie, którzy przeszli atak serca, zwykle umierają. Nawet jeśli przeżyją, szybko dopada ich następny, jeszcze następny, aż w końcu... bum!

-A gdzie poznałaś te słowa mądrości, jeśli mogę spytać? Ellie jedynie wzruszyła ramionami. Louis z rozbawieniem dostrzegł, jak bardzo przypomina go w tej chwili.

Pozwoliła mu nieść swoją torebkę - stanowiło to oznakę niezwykłego zaufania - i Louis, maszerując naprzód, zastanawiał się nad jej zachowaniem. Myśl o śmierci Churcha wywołała niemal histerię. Lecz myśl o śmierci pocziwej Normy Crandall... te Ellie przyjęła spokojnie, jako rzecz oczywistą. Co takiego powiedziała? Następny, jeszcze następny, aż w końcu... bum!

Kuchnia była pusta, lecz Louis słyszał, jak Rachel krzesała się na gorze. Postawił cukierki Ellie na blacie.

-Niekoniecznie tak się dzieje, Ellie. Atak Normy był bardzo słaby, a ja zdołałem natychmiast podać jej lekarstwo. Wątpię, czy jej serce zostało uszkodzone. Ona...

-Tak, wiem - zgodziła się wesóło Ellie. - Ale jest stara. I tak niedługo umrze. Pan Crandall też. Mogę zjeść cukierka, zanim pójdę spać?

-Nie - odparł, przyglądając się jej z namysłem. - Idź na gore i umyj zabki, kochanie.

Czy ktos tak naprawde potrafi zrozumiec dzieci? - pomyslal.

Kiedy wszystko ucichlo i oboje lezeli juz w lozku, Rachel spytala:

-Czy Ellie bardzo ciezko to zniosla, Lou? Czy sie martwila?

Nie, pomyslal. Wie, ze starzy ludzie kopia w kalendarz, tak jak wie, ze kiedy pasikonik splunie, trzeba go wypuscic. Ze jesli skaczac przez skakanke, skusi sie na trzynastce, nasz najlepszy przyjaciel umrze. I ze groby na Cmetarzu Zwiezat nalezy ustawiac w malejace kregi.

-Nie - odparl glosno. - Swietnie sie spisala. Spijmy juz, Rachel, dobrze?

Tej nocy, kiedy spali we wlasnym domu, podczas gdy Jud lezal bezsennie w swoim, zaatakowal kolejny mocny przymrozek. Wczesnym rankiem zerwal sie wiatr, zdzierajac z drzew wiekszosc pozostalych jeszcze lisci, ktore przybraly obecnie nieciekawa brazowa barwe.

Wiatr ten obudzil Louisa, ktory dzwignal sie na lokciu zaspany i oszolomiony. Na schodach dzwieczaly kroki... powolne, posuwiste kroki. Pascow wrocil. Tyle ze minely juz dwa miesiace. Gdy drzwi sie otworza, ujrzy przegnily koszmar: szorty do joggingu pokryte plesnia, odpadajace cialo, spod ktorego przeswituja kosci, przegnila papke mozgu. Jedynie oczy wciaz beda zywe... piekielnie Isniace i zywe. Tym razem Pascow nic nie powie. Jego struny glosowe sa zbyt dotkniete rozkladem, by pozwolic mu wydac jakis dzwiek. Ale jego oczy... one go wezwa.

-Nie - westchnal i kroki ucichly.

Wstal, podszedl do drzwi i otworzyl je na osciez. Jego wargi wygiely sie w grymasie strachu i determinacji. Ciałem wstrzasnal dreszcz. Pascow tam bedzie. Uniesie rece niczym dawno zmarly dyrygent, wzywajacy orkiestre do zaintonowania pierwszych grzmiacych fraz "Nocy Walpurgii".

Nic z tego, jak powiedzialby Jud. Podest byl pusty... cichy. Za oknami szumial wiatr. Louis wrocil do lozka i zasnal.

21.

Nastepnego dnia Louis zadzwonil na oddzial intensywnej terapii EMMC. Stan Normy wciaz okreslano jako krytyczny. Byla to standardowa procedura przez pierwsze dwadziescia cztery godziny po ataku serca. Jednakze Weybridge, jej lekarz, przekazal mu bardziej optymistyczne wiesci.-Nie nazwalbym tego nawet mikrozawalem miesnia sercowego - rzekl. - Nie ma zadnej blizny. Wiele panu zawdziecza, doktorze Creed.

Kierując się impulsem, w połowie tygodnia Louis wpadł do szpitala z bukietem kwiatów. Dowiedział się, iż Norma została przeniesiona do separatu na dole - bardzo dobry znak. Był z nią Jud. Norma powitała kwiaty okrzykiem zachwytu i wezwła pielęgniarkę, prosząc o wazon. Następnie zaczęła dyrygować Judem, póki kwiaty nie stanęły w wodzie ułożone tak, jak sobie życzyła, na toaletce w kacie.

-Mamuska czuje się znacznie lepiej - powiedział cierpko Jud, gdy po raz trzeci przelożył kwiaty.

-Tylko bez takich uwag, Judson - upomniała go Norma. Jud zaskłamał komicznie.

-Tak jest, psze pani.

W końcu Norma spojrzała na Louisa.

-Chciałam ci podziękować za to, co zrobiłeś - rzekła niesmiało. Jej niesmiałość była bardzo szczerą, i przez to podwójnie wzruszającą. - Jud twierdzi, że zawdzięczam ci życie.

-Jud przesadza - odparł zakłopotany Louis.

-Wcale nie, do cholery - wtracił Jud. Mrużąc oczy, spojrzał na Louisa. Jego usta wykrzywiły się w prawie-śmiechu. - Czy matka nie mówiła ci, że byś zawsze przyjmował należne podziękowania?

Nic o tym nie wspominała, a przynajmniej Louis nie pamiętał. Miał jednak wrażenie, że kiedyś powiedziała coś o fałszywej skromności, niemal równej grzechowi pychy.

-Normo - rzekł - ciesze się, że mogłem coś zrobić.

-Jesteś kochany - mruknęła. - Zabierz dokądś moją butelkę i pozwól, żeby ci kupił kufel piwa. Znowu jestem spiąca, a nijak nie mogę się go pozbyć.

Jud zerwał się z miejsca.

-A niech mnie. Idę na to, Louis. Szybko, zanim zmieni zdanie.

Pierwszy śnieg spadł tydzień przed Świętem Dziekczynienia. Dwudziestego listopada przybyło kolejnych dziesięć centymetrów, lecz dzień przed świętem był pogodny, błękitny i zimny. Louis zawioził rodzinę na międzynarodowe lotnisko w Bangor i odprowadził ich na początek pierwszego etapu podróży do Chicago, z wizytą u rodziców Rachel.

-Tak nie powinno być - powtórzyła Rachel po raz dwudziesty, odkąd na poważnie zaczęli rozmawiać o tym miesiąc wcześniej. - Nie podoba mi się myśl, że będziesz tkwił sam w domu w Święto Dziekczynienia. To ma być święto rodzinne, Louis.

Louis przerzucił Gage'a, oszłomionego i olbrzymiego w pierwszej dorosłej parce, na drugie

ramie. Ellie przywarła do jednego z wielkich okien, obserwując startujący helikopter wojskowy.

-Nie bede przeciez plakal w szklanke piwa - odparl. - Jud i Norma zaprosili mnie na indyka z wszelkimi szykanami. To ja czuje sie winny. Nigdy nie przepadałem za wielkimi swiatecznymi zjazdami. O trzeciej po poludniu zaczynam pic przed telewizorem, ogladajac mecz. O siodmej zasypiam. A nastepnego dnia mam wrazenie, jakby w mojej glowie tanczyl caly zespól Dallas Cowgirls. Po prostu nie podoba mi mysl, ze wysylam cie sama z dwojka dzieci.

-Nic mi nie bedzie - odparla. - Lece pierwsza klasa. Jak ksiezniczka. A Gage przespi cala droge, od Logan do O'Hare.

-Plonne nadzieje - mruknal i oboje wybuchneli smiechem.

Wywolano ich lot i Ellie pobiegla do rodzicow.

-To my, mamusiu. Chodz juz chodz-chodz-chodz! Bo odleca bez nas!

-Nie odleca - uspokajala ja Rachel. W dloni sciskala trzy rozowe karty pokladowe. Na sobie miala futro, sztuczne futro glebokiej brazowej barwy. Prawdopodobnie powinno wygladac jak pizmoszczur, pomyslal Louis. W kazdym razie ona wygladala w nim cudownie.

Moze jego uczucia odbily sie w oczach, bo przytulila go niespodzianie, niemal miazdzac miedzy nimi Gage'a, ktory sprawial wrazenie zaskoczzonego, ale niezbyt zmartwionego.

-Louisie Creed, kocham cie - rzekla.

-Mamusiu! - wtracila Ellie z rosnaca niecierpliwoscia. - Chodz juz, chodz!

-No dobrze - rzekla Rachel. - Badz grzeczny, Louis.

-Przynajmniej bede ostrozny - odparl z szerokim usmiechem. - Pozdrow ode mnie rodzicow, Rachel.

-Ach ty! - Rachel zmarszczyla nos. Nie oszukal jej. Doskonale wiedziala, czemu Louis zrezygnowal z wyjazdu. - Bardzo smieszne.

Patrzyl, jak wchodza na pochylnie i znikaja z jego oczu na caly nastepny tydzien. Juz zaczynal za nimi tesknic. Podszedl do okna, przy ktorym wczesniej stala Ellie, i z rekami w kieszeni plaszczka obserwowal tragarzy zapelniajacych ladownie.

Prawda byla prosta. Nie tylko pan, ale i pani Irwinowa Goldman z Lake Forest od pierwszego spotkania nie znosili Louisa. Owszem, pochodził z niewlasciwej czesci miasta, ale to dopiero poczatek. Co gorsza, najwyrazniej oczekiwal, ze ich corka, ktora przez

pierwszych osiemnastu lat jej życia chowali z niemal religijnym nabożeństwem i posyłali do najlepszych i najdroższych szkół, będzie utrzymywała go przez cały czas studiów medycznych, które niemal na pewno obejść.

Louis poradziłby sobie z ich niechęcią. W istocie, robił to całkiem udanie. Potem jednak zdarzyło się coś, o tym Rachel nie wiedziała i nigdy nie miała się dowiedzieć... przynajmniej nie od Louisa. Irwin Goldman zaproponował, że opłaci całe studia medyczne Louisa. Cena owego "stypendium" (jak określił to Goldman) było natychmiastowe zerwanie zaręczyn z Rachel.

Louis Creed nie był wówczas w najlepszym okresie życia do wysłuchiwanie podobnie oburzających propozycji. Ale też równie melodramatyczne oferty (łapówek, nie boimy się tego słowa) rzadko składane są ludziom w odpowiednim wieku - który wynosi około osiemdziesięciu pięciu lat. Przede wszystkim był zmęczony. Spędzał osiemnastu godzin tygodniowo na zajęciach, kolejnych dwadzieścia nad książkami, następnych piętnastu dorabiając jako kelner w pizzerii przecznice od hotelu Whitehall. Był też niespokojny. Dziwnie jowialne zachowanie pana Goldmana tego wieczoru ostro kontrastowało z jego zwykłą lodowatą wyniosłością i kiedy Goldman zaprosił go do gabinetu na cygaro, Louis odniósł wrażenie, iż starszy mężczyzna wymienił z żoną znaczące spojrzenia. Później - znacznie później, gdy czas pozwolił mu zobaczyć te zdarzenia z pewnej perspektywy - Louis uznał, iż podobny nieokreślony lek mogą czuć konie, gdy zweśa pierwszy, słaby dym pożaru prairie. Oczekiwał, że w każdej chwili Goldman oznajmi, iż wie, że Louis sypia z jego córką. Gdy zamiast tego Goldman złożył swą niewiarygodną propozycję - posunął się nawet do tego, że wyjął z kieszeni smokingu książeczkę czekowa, niczym hulaka z komedii Noela Cowarda, i machnął nią przed nosem Louisowi - Louis wybuchnął. Oskarżył Goldmana o to, że próbuje zatrzymać swą córkę niczym okaz na wystawie, że nie dba o nikogo poza własną osobą, i że jest nadętym, bezmyślnym draniem. Musiało minąć dużo czasu, nim przyznał przed samym sobą, że część jego ówczesnej wściekłości wzięła się z ulgi.

Wszystkim tym błyskotliwym i - bez wątpliwości prawdziwym - obserwacjom dotyczącym charakteru Irwina Goldmana zabrakło jednej cechy: odrobiny dyplomacji. Duch Noela Cowarda zniknął. Jeśli w dalszej części ich rozmowy można doszukać się humoru, to zdecydowanie rymszokowego. Goldman kazał mu wyjść i oznajmił, że jeżeli kiedykolwiek ujrzy na swym progu Louisa, zastrzeli go jak psa. Louis kazał Goldmanowi wziąć swą książeczkę czekowa i wsadzić ją sobie w dupę. Goldman oznajmił, że widywał w rymszoku włoczegów mających lepsze perspektywy niż Louis Creed. Louis odparł, że Goldman może wetknąć sobie swoją przeklętą złotą kartę American Express oraz kartę BankAmericard tuż obok książeczki czekowej.

Wszystko to z pewnością nie stanowiło obiecującego początku w jego relacjach z tesciami.

Ostatecznie Rachel jakos ich pogodziła (po tym, jak obaj mężczyźni odwołali swoje słowa, choć w duchu żaden z nich nie zmienił zdania o drugim). Nie było więcej melodramatycznych

scen, a już z pewnością napuszonych, teatralnych "od dziś nie mam już córki". Goldman nie wyrzekłby się Rachel; prędzej zniósłby jej małżeństwo z Potworem z Czarnej Laguny. Niemniej jednak oblicze nad kołnierzem fraka Irwina Goldmana w dniu, gdy Louis poślubił Rachel, niezwykle przypominało maski wyrzeźbione na egipskich sarkofagach. W prezencie ślubnym dostali od teściów szescioosobowy komplet porcelany Spode'a i kuchenkę mikrofalową. Ani grosza w gotówce. Przez większość chudych lat studiów medycznych Louisa, Rachel pracowała jako sprzedawczyni w sklepie z damską odzieżą. I aż do tego dnia wiedziała jedynie, iż między jej mężem i rodzicami panuje "napiecie"... zwłaszcza pomiędzy Louistem i ojcem.

Louis mógł polecieć do Chicago z rodziną, choć rozkład zajęć na uniwersytecie zmusiłby go do powrotu trzy dni wcześniej niż Rachel i dzieciaki. Nie stanowiłoby to jednak specjalnego problemu, w odróżnieniu od czterech dni spędzonych z Imhotepem i jego żoną Sfinxem.

Dzieci znacznie rozmiękczyły teściów, jak to zwykle z dziećmi bywa. Louis podejrzewał, że on sam mógłby zakończyć proces godzenia, gdyby tylko udal, że zapomniał owego wieczoru w gabinecie Goldmana. Nieważne, że Goldman wiedziałby, iż udaje. Ale prawda była taka (i przynajmniej miał dość odwagi, by przyznać to przed samym sobą), że wcale nie chciał się godzić. Dziesięć lat to długo, ale nie dość długo, by pozbyć się ohydny smaku, jaki napłynął mu do ust, gdy w gabinecie Goldmana nad kieliszkami koniaku starszy mężczyzna odchylił pole swego kretyńskiego smokingu i wyjął tkwiącą w środku książeczkę czekowa. Owszem, czuł ulgę, że noc - dokładnie biorąc piec nocy - które spędził wraz z Rachel w jego wąskim, zapadniętym łóżku, nie zostały odkryte, lecz owego zdumiewający niesmak był czymś zupełnie odrebny. I nawet upływ lat nie zdołał go zmienić.

Mógł pojechać. Wolął jednak wysłać teściowi wnuki, córki i wiadomość.

727 linii Delta oderwał się od stopni, skrecił... i Louis ujrzał w jednym z przednich okien Ellie, machając do niego gorączkowo. Louis także pomachał z uśmiechem. Ktoś - Ellie bądź Rachel - podsadził do okna Gage'a. Louis pomachał. Gage odpowiedział tym samym. Może go zobaczył, może jedynie nasładował siostrę.

-Lec bezpiecznie z moją rodziną - mruknął, zasunął zamek płaszcza i wyszedł na parking. Tu wiatr zawodził i dmuchał tak mocno, że niemal zdarł mu z głowy grubą czapkę. Louis przytrzymał ją ręką. Niezdarnie otworzył kluczykiem drzwi od strony kierowcy, po czym odwrócił się, słysząc dobiegający zza terminala huk silników. Odrzutowiec wystartował, kierując dziób wprost w lodowaty błękit nieba. Jego silniki ryczały.

Czując się bardzo, bardzo samotny - to śmieszne, ale był bliski leż - Louis raz jeszcze pomachał ręką.

Tego wieczoru, przechodząc przez trasę numer 15 po paru piwach z Judem i Normą, wciąż czuł się nie w sosie. Norma wypila kieliszek wina. Doktor Weybridge nie tylko pozwolił jej na to, ale wręcz zachęcał. Tego wieczoru przenieśli się do kuchni, jako bardziej stosownej do

tej pory roku. Rozpalil ogien w niewielkim przenosnym piecyku i rozsiedli sie wokol niego. Piwo bylo zimne, ciepło przyjemne, a Jud opowiadal o tym, jak Micmacowie przegnali Brytyjczykow ladujacych w Machias dwiescie lat wczesniej.

-W tamtych czasach Micmacowie byli bardzo grozni - rzekl i dodal, iz kilku prawnikow stanowych i federalnych, zajmujacych sie nieruchomosciami, zapewne uwaza ich za takich po dzis dzien.

Powinien to byc przyjemny wieczor, lecz Louis caly czas mial swiadomosc, ze czeka na niego pusty dom. Maszerujac przez trawnik do wtoru chrzestu zamarzniętej trawy, uslyszal dzwonek telefonu. Puscil sie biegiem, otworzyl drzwi frontowe, popedzil przez salon (po drodze wywracajac stojak z gazetami) i slizgiem rzucil sie przez kuchnie do telefonu. Jego pokryte sniegiem buty z latwoscia plynely po linoleum. Chwycil sluchawke.

-Halo?

-Louis? - Glos Rachel, nieco odlegly, lecz calkowicie normalny. - Jestesmy. Dojechalismy bez problemow.

-Swietnie - odparl i usiadl, by z nia porozmawiac, myslac: Boze, jak bym chcial, zebys tu byla.

22.

Norma i Jud przygotowali swietny obiad w Swieto Dziekczynienia. Kiedy skonczyli jesc, Louis wrocil do domu. Czul sie pelny po brzegi i spiacy. Poszedl na gore do sypialni. Przez chwile napawal sie cisza, po czym zrzucil buty i polozyl sie. Niedawno minela trzecia. Na dworze swiecilo slabe zimowe slonce. Odrobine sie zdrzemne - pomyslal i twardo zasnal.

Obudzil go telefon w sypialni. Siegnal po sluchawke, probujac pozbierac myśli, zdeorientowany faktem, iz za oknami bylo juz prawie ciemno. Slyszal wiatr zawodzacy wokol naroznikow domu i slaby, zmyslowy pomruk pieca.

-Halo? - rzucil. To pewnie Rachel dzwoni z Chicago, zeby zyczyc mu szczesliwego Swieta Dziekczynienia. Potem odda telefon corce i Ellie z nim pomowi, po czym da mu Gage'a, ktory zacznie paplac. Jakim cudem udalo mu sie przespac cale popoludnie, skoro zamierzal obejrzec mecz?

Ale to nie byla Rachel, tylko Jud.

-Louis? Obawiam sie, ze mozemy miec drobny problem.

Louis usiadl na lozku, wciaz probujac otrzasnac sie ze snu.

-Jud? Jaki problem?

-No coz, na naszym trawniku lezy martwy kot - oznajmil tamten. - Mam wrazenie, ze nalezy do twojej corki.

-Church? - spytal Louis, czujac nagly uscisk w zoladku. - Jesteś pewien, Jud?

-Nie, nie jestem w stu procentach pewien, ale wyglada zupełnie jak on.

-Ach tak. Cholera. Zaraz przyjde.

-W porzadku, Louis.

Odwiesil sluchawke i przez minute siedzial bez ruchu. Potem skorzystal z lazienki, wlozyl buty i zszedl na dol.

Moze to jednak nie Church. Sam Jud mowil, ze nie ma stuprocentowej pewnosci. Chryste, ten kot nie chadza nawet na gore, jesli ktos go nie zaniesie. Czemu mialby przebiegac przez droge?

W glebi serca jednak byl przekonany, ze to Church. A jesli Rachel zadzwoni wieczorem, a niemal na pewno to zrobi...

Co on powie Ellie?

Nagle uslyszal wlasne slowa wypowiedziane do Rachel: Wiem, ze z zywymi istotami moze stac sie wszystko - doslownie wszystko. Wiem to jako lekarz. Czy chcesz osobiscie wyjasnic jej, co sie stalo, jesli jej kot zostanie przejechany na drodze? W istocie jednak nie wierzyl, ze cos takiego spotka Churcha, prawda?

Nagle przypomnialo mu sie, jak kiedys jeden z facetow, z ktorym grywal w pokera, Wickes Sullivan, spytal go, jak to mozliwe, ze podnieca go jego zona, a nie nagie kobiety, ktore oglada co dzien w pracy? Louis probowal mu wyjasnic, ze nie jest to wcale tak, jak ludzie wyobrazaja sobie w swoich fantazjach. Kobieta przychodzaca, aby zrobic wymaz lub nauczyc sie badac piersi, nie zrzuca nagle szat i nie staje przed nim niczym Wenus na muszli. Widzi sie jedna piers, pochwe, udo. Reszta jest oslonieta i zawsze towarzyszy im pielegniarka, bardziej po to, by chronic reputacje lekarza niz z prawdziwej potrzeby. Wicky nie chcial uwierzyc. Cycek to cycek, brzmiala jego teza, a cipa to cipa. Facetowi albo staje caly czas, albo w ogole. Louis potrafil jedynie odpowiedziec, ze cycek zony jest inny.

Tak jak rodzina powinna byc inna, pomyslal teraz. Church nie powinien zginac, bo znajdowal sie wewnatrz magicznego kregu rodziny. Nie potrafil wowczas wytlumaczyc Wicky'emu prostego faktu: lekarze dziela swe zycie rownie ostro i nieodwolalnie jak zwykli ludzie. Cycek nie byl cyckiem, chyba ze nalezal do zony. Cycek innej kobiety w gabinecie to jedynie kolejny przypadek. Czlowiek mogl stac przed calym kolegium medycznym i recytowac dane dotyczace bialaczki u dzieci, poki nie zaschnie mu w gardle, a mimo to nie uwierzyc, gdy jedno z jego dzieci dostawalo wezwanie z Drugiej Strony. Moje dziecko? Kot

mojego dziecka? Doktorze, pan zartuje.

Niewazne. Nie zastanawiaj sie. Dzialaj.

Przyszlo mu to jednak trudno, bo przypomniał sobie histeryczna reakcje Ellie na perspektywe nawet odleglej smierci Churcha.

Cholerny, pieprzony kot! Czemu w ogole musielismy sobie kupic pieprzonego kota?

Ale przeciez juz sie nie pieprzyl. Dzieki temu mial pozyc dluzej.

-Church! - zawolal. Lecz odpowiedzial mu jedynie pomruk pieca spalajacego kolejne dolary. Kanapa w salonie, na ktorej Church spedzal obecnie wiekszosc czasu, byla pusta. Kot nie lezal takze na zadnym z kaloryferow. Louis zagrzechotal jego miska. Byla to jedyna rzecz, ktora sprowadzilaby Churcha i to biegiem, jesliby tylko znajdowal sie w zasiegu glosu. Lecz tym razem nie zjawil sie zaden kot - i Louis obawial sie, ze juz sie nie zjawi.

Niechetnie nalozyl plaszcz i czapke i ruszyl do drzwi. Nagle cofnal sie. Ustepujac pod presja przecucia, otworzyl szafke pod zlewem i przykucnal. Tkwily tam dwa rodzaje plastikowych workow - male, biale, pasujace do koszy na smieci i wielkie, zielone, ogrodowe. Louis wzial jeden z tych drugich. Po kastracji Church sporo utyl.

Wetknal worek do jednej z bocznych kieszeni kurtki. Nie podobal mu sie zimny, sliski dotyk plastiku. Nastepnie otworzyl frontowe drzwi i przekroczyl droge, zmierzajac do domu Juda.

Dochodzilo wpol do szostej. Zmierzch mial juz sie ku koncowi. Swiat wokol wygladal dziwnie martwo. Po zachodzie slonca pozostala tylko niesamowita pomaranczowa luna na horyzoncie po drugiej stronie rzeki. Wiatr ze skowytem pedzil trasa numer 15, chloszczac odretwialem policzki Louisa i unoszac z soba bialy pioropusz oddechu. Louis zadrzal, lecz nie z zimna. Sprawilo to poczucie samotnosc, osobliwe i wszechogarniajace. Nie potrafil go do niczego porownac. Nie mialo oblicza. Po prostu czul sie opuszczony, nietkniety i nikogo niedotykajacy.

Dostrzegl Juda po drugiej strony drogi, opatulonego w obszerna zielona kurtke. Jego twarz kryla sie w cieniu rzucanym przez obramowany futrem kaptur. Stajac na zamarznietym chodniku, wygladal jak rzezb, kolejny martwy element wieczornego krajobrazu, w którym nie spiewal zaden ptak. Louis ruszyl ku niemu i wowczas Jud takze sie poruszyl - gestem kazal mu sie cofnac. Krzyknal cos, czego Louis nie doslyszal we wszechobecnym zawodzeniu wiatru. Cofnal sie, uswiadamiajac sobie nagle, iz ow skowyt stal sie glebszy, ostrzejszy. W sekunde pozniej rozleglo sie trabienie i ciezarowka Orinco przemknela z rykiem dosc blisko, by jego spodnie i kurtka zalopotaly. Niech to diabli, prawie pod nia wszedl.

Tym razem przed przejsciem rozejrzal sie uwaznie. Dostrzegl jednak tylko tylne swiatla cysterny, stopniowo gasnace w mroku.

-Myslałem, że ta ciężarówka 'Rinco cie załatwi - rzekł Jud. - Uważaj, Louis. - Nawet z tak bliska Louis nie widział jego twarzy; wciąż dreczyło go nieprzyjemne uczucie, że to mógł być każdy... absolutnie każdy.

-Gdzie Norma? - spytał, nadal nie patrząc na kocyk futra obok stopy Juda.

-Poszła na msze z okazji Święta Dziekczynienia - odparł tamten. - Pewnie zostanie tam do kolacji, choć wątpię, by coś zjadła. - Gwałtowny powiew wiatru na moment odrzucił kaptur i Louis przekonał się, że to istotnie Jud; zresztą kto inny mógł tam być. - Zwykle to pretekst do urzadzenia babskich pogaduch - ciagnał Jud. - Niewiele jedza, po obfitym posiłku w południe zmieszcza im się tylko kanapki. Wroci koło osmej.

Louis ukląkł, aby obejrzeć kota. Boże, proszę niech to nie będzie Church, błagał w duchu, obracając go delikatnie ręką w rekawiczce. - Niech to będzie cudzy kot. Niech się okaże, że Jud się pomylił.

Lecz oczywiście to był Church. Kot nie miał żadnych zewnętrznych obrażeń czy uszkodzeń, które wskazywałyby na to, że został przejechany przez jedną z wielkich cystern bądź ciężarówek krazących trasą numer 15 (co właściwie robiła na drodze ciężarówka Orinco w Święto Dziekczynienia? - pomyślał przelotnie). Oczy Churcha były polotwarte, zaszkłone niczym zielone kulki do gry. Z pyszczka, także otwartego, wypłynął wąski strumyczek krwi. Nie było jej wiele, zaledwie dość, by zaplamic biały krawat na piersi.

-Twój, Louis?

-Mój - potwierdził i westchnął.

Po raz pierwszy zrozumiał, że kochał Churcha - może nie tak bardzo jak Ellie, lecz na swój własny roztargniony sposób. W tygodniach po kastracji Church zmienił się. Utył, stał się wolniejszy i podporządkował się całkowicie rutynie karmienia między łóżkiem Ellie, kanapą i miską. Bardzo rzadko wychodził z domu. Teraz, po śmierci, wyglądał jak dawny Church. Pyszczyk, malenki i zakrwawiony, pełen ostrych jak szpilki kocich zębów zastygł w wyzywającym grymasie. Martwe oczy zdawały się wściekle. Zupełnie jakby po krótkim, otepiającym epizodzie pokastracyjnym, Church odkrył w śmierci na nowo swą prawdziwą naturę.

-Tak, to Church - rzeki. - Niech mnie diabli, jeśli wiem, jak powiedzieć o tym Ellie.

Nagle wpadł mu do głowy pomysł. Pogrzebie Churcha na Cmentarzu Zwierząt bez żadnego nagrobka ani znaku. Dzisiaj wieczorem w rozmowie z Ellie nie wspomni nawet o kocie. Jutro rzuci mimochodem, że ostatnio nie widział Churcha. Następnego dnia zasugeruje, że może Church powędrował gdzieś i zniknął. Koty czasami tak robią. Ellie oczywiście się zmartwi, ale w całym zdarzeniu nie będzie nic ostatecznego. Nie dojdzie do powtórki sceny z Rachel, odmawiająca przeciwstawienia się śmierci. Wszystko odejdzie w niepamięć...

Tchorz, orzekł głos w jego umyśle.

Owszem, nie zaprzeczam. Ale komu potrzebne zamieszanie?

-Bardzo kocha tego kota, prawda? - spytał Jud.

-Tak - odparł z roztargnieniem Louis. Lagodnie poruszył lebką Churcha. Kot zaczął już sztywnieć, lecz głowa poruszyła się znacznie łatwiej, niż powinna. Skrecony kark. No tak. Dysponując tą informacją, uznał, że potrafi odtworzyć to, co się stało. Church przechodził przez drogi - Bog jeden wie po co - i samochód bądź ciężarówka uderzyła w niego, łamiąc mu kark i odrzucając na bok na trawnik Juda Crandalla. Albo może kregosłup kota pękł w chwili, gdy ciało uderzyło o zamrożoną ziemię. Nieważne. Tak czy inaczej, efekt był ten sam - Church nie żył.

Unosił wzrok i zerknął na Juda. Już miał powiedzieć, do jakich doszedł wniosków, dostrzegł jednak, że Jud spogląda w dal, ku gasnącej pomarańczowej linii światła na horyzoncie. Kaptur starca osuwał się z głowy. Jego twarz wydawała się zamysłona i poważna... więcej, surowa. Louis wyciągnął z kieszeni zielony worek na śmieci i rozwinał go, mocno zaciskając palce, by wiatr nie unosił go z sobą. Głosny szelest folii najwyraźniej przywołał Juda do chwili obecnej.

-Chyba naprawdę go kocha - rzekł Jud. Fakt, iż użył czasu teraźniejszego, wydał się nieco niesamowity. Zresztą cała scena - gasnące światło, mroźny wiatr - sprawiała wrażenie niesamowitej, upiornej. Oto Heathcliff na ponurym wrzosowisku, pomyślał Louis, krzywiąc się na kolejny zimny powiew. Przygotuj się do wsadzenia domowego kota w foliowy worek. Hura!

Złapał ogon Churcha, otworzył worek i unosił kota. Skrzywił się nieszczęśliwie, słysząc głośny chrzęst i odgłos darcia, gdy ciało oderwało się od ziemi, do której zdążyło już przymarznąć. Kot sprawiał wrażenie niewiarygodnie ciężkiego, jakby śmierć spadła na niego niczym namacalny ciężar. Chryste, wazy tyle co wiadro piasku.

Jud przytrzymał drugą stronę worka i Louis wrzucił Churcha do środka, ciesząc się, iż nie musi już trzymać owego dziwnego, nieprzyjemnego ciężaru.

-Co z nim teraz zrobisz? - spytał starzec. Jego twarz wewnątrz kaptura sprawiała wrażenie wyrzeźbionej, lecz oczy spoglądały z mocą na Louisa.

-Chyba położę go w garażu - odparł Louis - i pogrzebie rano.

-Na Cmentarzu Zwierząt? Louis wzruszył ramionami.

-Pewnie tak.

-Powiesz Ellie?

-Ja... bede musial to przemyslec.

Jud milczal przez moment, po czym najwyrazniej podjal jakas decyzje.

-Zaczekaj tu pare minut.

Po tych slowach odszedl, najwyrazniej nawet nie pomyslal, iz Louis moze nie zechciec czekac chocby minute na wieczornym mrozie. Odmaszerowal pewnym siebie sprezystym krokiem, zdumiewajacym jak na czlowieka w jego wieku, a Louis odkryl, ze nie ma nic do powiedzenia. Czul sie dziwnie nieswojo. Odprowadzil wzrokiem Juda, z zadowoleniem stojac na trawniku.

Slyszac trzask drzwi, uniosl twarz, wystawiajac ja na powiewy wiatru. Worek na smieci z cialem Churcha lezal miedzy jego nogami, szeleszczac cicho.

Zadowolony?

Owszem, byl zadowolony. Po raz pierwszy, odkad przeniesli sie do Maine, czul, ze tu jest jego miejsce, tu ma swoj dom. Stojac tak samotnie w ostatnim niesamowitym swietle umierajacego dnia, w obliczu nadchodzacej zimy, czul sie nieszczesliwy, a jednocześnie osobliwie podekscytowany i dziwnie pewny siebie - pewny na sposob, jakiego nie doswiadczył od wczesnego dzieciinstwa.

Cos sie tu zdarzy, moj stary. Cos bardzo dziwaczneho.

Odchylił głowę i ujrzał chłodne zimowe gwiazdy na czerniejącym niebie. Nie wiedział, jak długo tak stał, choć z pewnością niedługo, biorąc pod uwagę upływające sekundy czy minuty. Nagle na werandzie Juda zamigotało światło. Podskoczyło, zbliżyło się do drzwi werandy i zeszło po stopniach. To był Jud niosący wielką latarkę na cztery baterie. W drugiej dłoni trzymał coś, co Louisowi z początku wydało się wielkim krzyżakiem, a potem przekonał się, że to kilof i szpadel.

Starzec podał szpadel Louisowi, który chwycił go wolną ręką.

-Jud, co ty kombinujesz? Nie możemy pogrzebac go dziś wieczor.

-Owszem, możemy. I zrobimy to. - Twarz Juda zniknęła za oslepiającym kregiem latarki.

-Jud, jest ciemno i późno, i zimno...

-Chodź - uciął Jud. - Złatwmy to.

Louis potrasnął głową, próbując coś powiedzieć, lecz trudno mu było znaleźć jakieś słowa, rozsądne i logiczne. W zestawieniu z wyciem wiatru i chaotycznym migotaniem gwiazd na tle czerni wydawały się kompletnie pozbawione sensu.

-To może zaczekać do jutra. Rano będzie jasniej...

-Czy ona kocha tego kota?

-Tak, ale...

Głos Juda dziwnie miękki:

-A czy ty ją kochasz?

-Oczywiście, że ją kocham. Jest moja córka...

-Więc chodź. Louis poszedł.

Tej nocy podczas marszu na Cmentarz Zwierząt, Louis dwa, może nawet trzy razy próbował zagadnąć Juda, lecz tamten nie odpowiadał. W końcu Louis zrezygnował. Wciąż wypełniała go dziwna radość i zadowolenie, dość niezwykle, zwyczajnie na okoliczności. Wrażenie to zdawało się pochodzić zewsząd. Nawet ból mięśni zmuszonych do dzwigania Churcha i łopaty był jego częścią. Złowieszczy silny wiatr, kasający osłoniętą skórę, był jego częścią, gdy tak swistał między drzewami. Kiedy zagłębili się w las, śnieg praktycznie zniknął. Pobłyskujące światelko latarki Juda także stanowiło część owego wrażenia. Latarka Isniła niczym prymitywna pochodnia, niesiona coraz dalej w głąb puszczy. Czuł natrętną, niezaprzeczalną, magnetyczną obecność jakiegoś tajemnicy, mrocznego sekretu.

Cienie umknęły. Poczul, że znalazł się na otwartym terenie. Śnieg zalsnił blade w ciemnościach.

-Odpocznij tutaj - powiedział Jud i Louis położył na ziemi worek. Przedramieniem otarł pot. "Odpocznij tutaj?". Ale przecież byli na miejscu. W tanczącym bezcelowo promieniu latarki Juda widział nagrobki. Starzec usiadł na cienkiej warstwie śniegu, ukrywając twarz w dłoniach.

-Jud, wszystko w porządku?

-Nic mi nie jest. Muszę tylko nieco odpocząć.

Louis usiadł obok niego i odetchnął głęboko kilka razy.

-Wiesz - zaczął - czuję się lepiej niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich sześciu lat. Wiem, że to wariactwo. Mamy właśnie pogrzebać kota mojej córki, ale po prostu taka jest prawda. Jud, czuję się świetnie.

Jud także odetchnął głęboko.

-Tak, wiem - odparł. - Czasami to nawiedza człowieka. Sam nie wybierasz sobie chwil, w których miałbyś czuć się dobrze. To samo dotyczy momentów wręcz przeciwnych. To

miejsce ma z tym wszystkim wiele wspólnego. Nie powinienem mu jednak ufać. Heroina sprawia, że narkomani czują się dobrze, gdy wstrzykują ją sobie w żyłę, lecz cały czas zatruwa ich ciała i umysł. To miejsce może być podobne, Louis. Dobrze to zapamiętaj. Boże, mam nadzieję, że postępuje słusznie. Chyba tak, lecz nie mam pewności. Czasami maci mi się w głowie. To pewnie starość.

-Nie wiem, o czym mówisz.

-To miejsce ma moc, Louis. Tu jest jej niewiele, ale... tam, dokąd idziemy...

-Jud...

-Chodź. - Jud dzwignął się z miejsca. Promień latarki oświetlił wiatrolom. Starzec maszerował ku niemu. Louisowi przypomniał się nagle atak lunatyizmu. Co mówił Pascow we śnie, w którym mu towarzyszył?

Nie przekraczaj go, doktorze, nieważne, jak bardzo byś pragnął. Tej bariery nie wolno przekraczać.

Lecz tej nocy owo ostrzeżenie, czy czymkolwiek było, zdawało się bardzo odległe, jakby minęły nie miesiące, ale lata. Louis czuł się świetnie, pełen energii i życia. Gotów był stawic czoło całemu światu, a jednocześnie przepelniał go zachwyty. Nagle pomyślał, że wszystko to bardzo przypomina sen.

Wtedy Jud odwrócił się ku niemu. Jego kaptur zdawał się skrywać pustkę i przez moment Louis wyobraził sobie, że to Pascow powrócił, że Pascow stoi teraz przed nim i że światło zmieni kierunek, padając na obramowaną futrem, szczerzącą zęby, belkującą czaszkę. Jego strach powrócił niczym kubek zimnej wody.

-Jud - rzekł - nie możemy przez to przejść. Obaj połamiemy sobie nogi i pewnie zamierzamy na śmierć, próbując wrócić do domu.

-Po prostu idź za mną - odparł starzec. - Idź za mną i nie patrz w dół. Nie wahaj się i nie patrz w dół. Znam drogę, ale musimy działać szybko i pewnie.

Louis pomyślał, że może to rzeczywiście sen. Że jeszcze nie ocknął się z popołudniowej drzemki. Na jawie, pomyślał, w życiu nie wdrapałbym się na ten wiatrolom. Tak jak nigdy nie upiłbym się i zaczął skakać ze spadochronem. A jednak zamierzam to zrobić. Naprawdę zamierzam. Zatem... to musi być sen, prawda?

Jud odrobnie skreślił w lewo, oddalając się od środka wiatrolomu. Jasny promień latarki skupił się na nieporządnym stosie

(kości)

starych drzew i pni. W miare jak się zbliżali, krag światła stawał się coraz mniejszy i jeszcze jasniejszy. Nie upewniając się nawet, czy dotarł na właściwe miejsce, Jud zaczął się wspinać. Nie wdrapywał się nachylony jak człowiek pokonujący skaliste wzgórze bądź piaszczyste zbocze. Po prostu szedł, jakby wchodził po zwykłych stopniach. Człowiek wspinający się po schodach nie patrzy w dół, bo wie, gdzie będzie każdy kolejny stopień. Jud pisał się jak ktoś, kto doskonale wie, jak ma wyglądać jego następny krok.

Louis ruszył za nim, dokładnie go naśladować.

Nie patrzył w dół, nie szukał miejsc do postawienia stopy. Ogarnęło go przemożne, osobliwe przekonanie, że wiatrolom nie zrobi mu krzywdy, o ile sam mu na to nie pozwoli. Oczywiście była to czysta bzdura, zupełnie jak idiotyczna pewność siebie ludzi, którzy uważają, że mogą bezpiecznie kierować po pijanemu, bo mają na szyi medalik ze świętym Krzysztofem. Ale podziało.

Ani razu nie rozległ się ostry jak wystrzał z pistoletu trzask pekającej starej galezi. Jego noga nie zapadła się w dziurę pełną sterczących, pobielających ze starości drzazg, gotowych ciąć, rozkrwawiać i rozdzierać ciało. Buty (miękkie pantofle, raczej niezalecane do wspinaczki po wiatrolomach) nie pośliznęły się na starym, suchym mchu, porastającym wiele zwalonych drzew. Nie zachwiał się w przód ani w tył. Wśród jodeł wokół nich zawodził dziko wiatr.

Przez sekundy dojrzał Juda stojącego na szczycie wiatrolomu, a później starzec rozpoczął wędrowkę w dół. Jego łydki zniknęły, potem uda, biodra, pas. Światło odbijało się chaotycznie od rozkolysanych galezi drzew po drugiej stronie... bariery. Bo tym przecież była, nie ma sensu udawać. Bariery.

Louis także dotarł na szczyt i przystanął tam na moment. Prawą stopę oparł o stare zwalone drzewo, nachylone pod kątem trzydziestu pięciu stopni, lewą na czymś bardziej sprzystym - plataninie starych jodlowych galezi? Nie patrzył w dół, by się przekonać. Przerzucił tylko ciężki worek na śmieci z ciałem Churcha w środku z prawej ręki do lewej, wymieniając go na lżejszy szpadel. Unosił twarz, wystawiając ją na powiewy wiatru, i poczuł, jak przepływa obok niego, odwieczny nurt, unoszący mu włosy. Był taki zimny, tak czysty... tak niezmienny.

Spokojnie, niemal nonszalancko, rozpoczął wędrowkę w dół. Raz gałąź, która sprawiała wrażenie grubej jak przegub rosłego mężczyzny, trzasnęła mu głośno pod stopą, lecz w ogóle się tym nie przejął - i jego noga zatrzymała drugą, grubszą gałąź dziesięć centymetrów niżej. Louis niemal się nie zachwiał. Pomyślał, że wie już, jak dowodcom kompanii podczas pierwszej wojny światowej udawało się spacerować wzdłuż okopów pod ciężkim ogniem nieprzyjaciela, pogwizdując "Tipperary". To szalenstwo, lecz sam fakt, że było szalenstwem, sprawiał, że stawało się niewiarygodnie podniecające.

Szedł na dół, patrząc wprost przed siebie na jasny krag latarki Juda. Jud stał tam, czekając

na niego. Wreszcie Louis dotarł na dół i podniecenie wystrzelilo z niego niczym płomien z dogasających węgli, podlanych nagle olejem opalowym.

-Udalo nam sie - krzyknal. Odložyl lopate i klepnal Juda w ramie. Pamietal, jak w dzieciństwie zostal wyzwany i musial przekroczyć nasyp kolejowy. Pamietal, jak wspinal sie na jablonke, aż do najwyższego rozwidlenia, gdzie kolysal sie na wietrze jak na bocianim gniezdzie na statku. Od dwudziestu lat nie czul sie już tak mlody i tak przejmujaco żywy.

-Jud, udalo nam sie!

-A sadziles, że sie nie uda? - spytal Jud.

Louis otworzył usta, by cos powiedziec - Nie uda sie? Mamy cholerne szczescie, że sie nie pozabijalismy! - ale natychmiast je zamknal. W istocie nie kwestionowal tego. Nie od chwili gdy Jud zblizył sie do wiatrolomu. Nie martwilo go tez, jak wroca.

-Chyba nie - rzekl glosno.

-Chodz, musimy dojsc w pewne miejsce. To niecale piec kilometrow.

Szli. Sciezka rzeczywiscie ciagnela sie dalej. Miejscami zdawala sie bardzo szeroka, choc ruchome swiatelko ujawnialo niewiele. Po prostu czulo sie wokol przestrzen i to, że drzewa cofnely sie dalej. Raz czy dwa Louis uniosl glowe i ujrzal przeswitujace przez czarna platanine galezi gwiazdy; raz cos przebieglo przez sciezke przed nimi - swiatlo odbilo sie w zielonkawych oczach, ktore natychmiast zniknely.

Innymi razy drozka zwezala sie tak mocno, że krzewy zaczynaly drapac sztywnymi palcami ramiona plaszczka Louisa. Coraz czesciej przerzucal z reki do reki worek i szpadel, lecz bol ramion nie ustepowal. Louis wpadl w rytm marszu, rytm, ktory niemal go zahipnotyzowal. Byla tu moc, o tak, czul ja. Pamietal, że kiedys, w czasach gdy konczyl liceum, razem z dziewczyna i jeszcze jedna para napalili sie trawki i skonczylo sie na tym, że zaczęli piescic sie na koncu slepej gruntowej drogi nieopodal elektrowni. Nie siedzieli tam dlugo; wkrótce dziewczyna Louisa oznajmila, że chce wracac do domu albo przynajmniej w inne miejsce, bo bola ja wszystkie zeby (to znaczy wszystkie z plombami, czyli wiekszosc). Louis cieszył sie, że moga odjechac. Powietrze wokol elektrowni sprawialo, że czul sie zdenerwowany i zbyt pobudzony. Tu bylo tak samo, tyle że wrazenie bylo mocniejsze i nawet przyjemniejsze. To bylo...

Jud zatrzymal sie u podnoza dlugiego zbocza i Louis wpadl na niego.

Starzec odwrocil sie ku niemu.

-Jestesmy już prawie na miejscu - rzekl spokojnie. - Nastepny kawalek troche przypomina wiatrolom. Musisz isc prosto i bez wahania. Po prostu rob to, co ja, i nie patrz pod nogi. Czules, że schodzimy?

-Tak.

-To jest granica miejsca, które Micmacowie zwali Moczarami Małego Boga. Handlarze futer, którzy dotarli aż tutaj, ochrzcili je Bagnem Martwego Człowieka. Większość tych, którzy wydostali się z tych lasów, już nigdy tu nie wróciła.

-Ruchome piaski?

-Ano, mnóstwo ruchomych piasków. Całe strumienie wypływające pomiędzy złożami piaskowych pozostałości pozostawionych przez lodowiec. Zawsze nazywaliśmy je krzemionką, choć zapewne mają swoją nazwę.

Jud spojrział na niego i przez moment Louisowi wydało się, że w oczach starca dojrzał coś jasnego i niezbyt przyjemnego. Ów przebłysk był silny i naładowany niczym powietrze wokół elektrowni, tamtej, dawno minionej nocy. Louisowi to spojrzenie wydało się wyraźnie nieprzyjemne.

A potem Jud poruszył latarką i wyraz jego oczu uległ zmianie.

-Jest tu wiele dziwnych rzeczy, Louis. Powietrze jest cięższe... bardziej naelektryzowane czy coś w tym stylu.

Louis wzdrygnął się.

-Co się stało?

-Nic takiego - odparł.

-Możesz tu zobaczyć ognie świętego Elma; marynarze nazywają je błędnymi ognikami. Przybierają zabawne kształty, jednak to nic wielkiego. Jeśli dostrzeżesz jakieś kształty i nie spodoba ci się, po prostu odwróć wzrok. Możesz usłyszeć też dźwięki przypominające głosy, ale to tylko nury na południu Wzgórza Widokowego. Dźwięk daleko się niesie. Jest dziwny.

-Nury? - spytał z powątpiewaniem Louis. - O tej porze roku?

-Ano - powtórzył Jud. Jego głos brzmiał kompletnie beznamiętnie, nic nie dawało się z niego odczytać. Przez chwilę Louis desperacko zapragnął raz jeszcze ujrzeć twarz starca. To spojrzenie...

-Jud, dokąd my idziemy? Co, do diabła, robimy na tym zadupiu?

-Powiem ci, kiedy tam dotrzemy. - Jud odwrócił się. - Uważaj na kępy trawy.

Znow ruszyli naprzód, przeskakując z jednej szerokiej kępy na następną. Louis nie szukał ich. Stopy zdawały się automatycznie znajdować bezpieczne miejsca bez żadnego wysiłku z

jego strony. Posliznal sie tylko raz: lewy but przebil sie przez cienka warstewke lodu i zanurzyl w zimnej, dziwnie oslizglej stojacej wodzie. Cofnal szybko stope i poszedl dalej, podazajac za podskakujacym swiatelkiem latarki Juda. To tanczace swiatlo wsrod drzew przywolalo wspomnienie opowiesci o piratach, ktore lubil czytywac w dzieciinstwie. Zli ludzie wyruszajacy, by przy swietle ksiezycy pogrzebac zlote dublony... i oczywiscie jeden z nich musial runac na opuszczona do dziury skrzynie z kula w sercu, bo piraci wierzyli - tak przynajmniej twierdzili zawsze autorzy owych barwnych opowiesci - ze duch martwego towarzysza pozostanie, by strzec skarbu.

Tyle ze my nie przychodzimy pogrzebac skarbu, jedynie wykastrowanego kocura mojej corki.

Gdies w piersi wezbral mu szalency smiech. Louis zdusil go. Nie slyszal zadnych "dzwiekow przypominajacych glosy", nie ujrzal ani jednego ognia swietego Elma, lecz przeskoczywszy na kolejna kepe trawy, spojrzal w dol i odkryl, ze jego stopy, lydki, kolana i czesc ud zniknely, zanurzone w warstwie przygruntowej mgly, idealnie gladkiej, idealnie bialej i calkowicie nieprzejrzystej, zupełnie jakby przedzierał sie przez najlżejszy śnieg świata.

Powietrze stawalo sie dziwnie rozswietlone, przysiaglby tez, ze jest cieplejsze. Widzial przed soba Juda, ktory maszerowal miarowym krokiem. Starzec zarzucil sobie na ramie tepey koniec kilofa. Narzedzie to podkreslalo jeszcze zludzenie, ze ida zakopac skarb.

Wciaz przepelnialo go radosne ozywienie. Nagle pomyslal, ze Rachel moze probowac do niego dzwonic. Moze w tym momencie w domu rozdzwonil sie telefon. Coz za zwyczajny, prozaiczny dzwiek. Moze...

I znow o malo nie wpadl na Juda. Stary czlowiek przystanal posrodku sciezki, przekrzywiajac glowe. Jego wargi byly sciagniete w napiety grymasie.

-Jud, co sie...

-Ciiii!

Louis ucichl, rozgladajac sie niespokojnie. W tym miejscu warstwa mgly byla ciensza, wciaz jednak nie widzial wlasnych butow. I wtedy uslyszal trzask miazdzonych krzakow i lamanych galezi. Cos sie tam poruszalo - cos duzego.

Otworzył usta, by spytać Juda, czy to los (niedzwiedz - przemknęło mu przez głowę), lecz natychmiast je zamknął. Dźwięk daleko się niesie, mówił wcześniej Jud.

Przekrzywił głowę na bok, odruchowo nasladujac Juda, nieswiadom, ze w ogole to robi, i zaczal nasluchiwal. Z poczatku dzwieki wydawaly sie odlegle, potem bardzo bliskie. Oddalaly sie i zlowieszczo zblizaly ku nim. Na czolo Louisa wystapil pot i zaczal sciekac po spierzchnietych policzkach. Przelozyl worek ze zwlokami Churcha z jednej reki do drugiej.

Jego dłonie zwilgotniały. Zielona folia wydawała się tłusta, jakby pragnęła wyszliznąć mu się z palców. To coś wydawało się tak bliskie, że Louis oczekiwał, iż w każdej chwili dostrzeże jego postać unoszącą się na dwóch nogach, niewiarygodne, olbrzymie kudłate cielsko, przesłaniające gwiazdy. Nie myślał już o niedzwiedziu. Teraz nie wiedział nawet, o czym dokładnie myśli.

A potem istota odeszła i zniknęła.

Louis ponownie otworzył usta, mając na koncu języka pytanie: "Co to było?", gdy w ciemności rozległ się przenikliwy oblakancy śmiech, wznoszący się i opadający histerycznymi falami; głosny, przeszywający, mrozący krew w żyłach. Louisowi wydało się, iż wszystkie stawy w jego ciele zamarły, a on sam nagle przybrał na wadze tak bardzo, że gdyby odwrócił się i zaczął uciekać, natychmiast zapadłby się w podmokły grunt.

Śmiech wznosił się w przeraźliwym jeku i rozpadł na suche, drwiące chichoty, niczym zmurszały, pekający na kawałki kamień. Osiągnął poziom krzyku, po czym załamał się w serii gulgotów, które nim całkiem ucichły, przypominały zduszone szłochy. Gdzieś nieopodal kapala woda. Nad nimi monotonnie zawodził wiatr, niczym rzeka płynąca po niebie. Poza tym na Moczarach Malego Boga panowała cisza. Louisem wstrząsnął nagły dreszcz. Jego skóra - zwłaszcza ta na brzuchu - pokryła się skórka. Zdawało się, że ciało porusza się kierowane własną wolą. W ustach kompletnie mu zaschło, nie zostało ani kropli śliny. A jednak wciąż czuł radość, oblakancy radość.

-Chryste Panie, co to? - szepnął chrapliwie do Juda. Jud odwrócił się i spojrzał na niego. W słabym świetle Louisowi wydało się, że wygląda na stuletniego starca. Dziwne, tanczące światelka w jego oczach zniknęły; twarz miał ściągniętą w wyrazie niewypowiedzianej zgrozy. Kiedy jednak odezwał się, jego głos zabrzmiał spokojnie.

-To tylko nur - rzekł. - Chodź, jesteśmy prawie na miejscu.

Ruszyli naprzód. Kępy traw zniknęły. Ziemia pod ich stopami znowu stała się twarda i pewna. Przez kilka chwil Louis odniósł wrażenie, jakby znalazł się na otwartej przestrzeni, choć słaby blask powietrza przygasł i ledwie dawało się dostrzec plecy Juda, maszerującego metr przed nim. Krótka, sztywna od mrozu trawa pod stopami pekła niczym szkło, miażdżona przy każdym kroku. A potem znowu znaleźli się wśród drzew. Czuli balsamiczną won jodeł i igliwie pod nogami. Od czasu do czasu sięgała ku niemu galaz. Louis stracił poczucie czasu i kierunku. Nie szli jednak długo, nim Jud znowu przystanął i odwrócił się ku niemu.

-Sa tu stopnie - oznajmił. - Czterdzieci dwa albo cztery, nie pamiętam dokładnie. Idź za mną. Kiedy wejdziemy na szczyt, będziemy na miejscu.

Znowu zaczął się wspinać i ponownie Louis podążył tuż za nim.

Kamienne stopnie były szerokie, lecz dreczyła go myśl, że coraz bardziej oddala się od

ziemi. Od czasu do czasu jego but z chrzestem zagłębiał się w stosie kamyków i odłamków skalnych.

...Dwanastcie... trzynastcie... czternastcie...

Wiatr stał się ostrzejszy, zimniejszy, błyskawicznie pozbawił jego twarz uczucia. Czy jesteśmy ponad drzewami? - zastanawiał się Louis. Uniosł wzrok i ujrzał miliard gwiazd, lodowatych iskier w ciemności. Nigdy dotąd widok rozgwieźdzonego nieba nie sprawił, by Louis poczuł się tak mały, nieważny, pozbawiony wszelkiego znaczenia. Zadał sobie stare pytanie: Czy jest tam gdzieś rozumne życie? - i miał zadumy i zachwyty myśli ta wzbudziła nagle fale przeraźliwego chłodu, jakby zastanawiał się nad zjedzeniem garści wijących się robaków.

...dwadziestcia szesc... dwadziestcia siedem... dwadziestcia osiem...

Kto wykuli te stopnie? Indianie? Micmacowie? Czy ich szczep w ogóle używał narzędzi? Będzie musiał spytać Juda. Indianie i narzędzia skojarzyli mu się z polowaniem, a to z kolei sprawiło, że pomyślał o istocie krążącej wokół nich wśród drzew. Nagle obsunęła mu się stopa i przejechał palcami okrytej rekawiczką lewej dłoni po skale, próbując odzyskać równowagę. Kamień sprawiał wrażenie starego, spekanego i zwietrzałego. Zupełnie jak sucha, niemal przetarta skóra, pomyślał.

-Wszystko w porządku, Louis? - wymamrotał Jud.

-Jasne - odparł, choć brakowało mu tchu, a wyteżone mięśnie pulsowały pod ciężarem Churcha w worku.

...czterdzieści dwa... czterdzieści trzy... czterdzieści cztery...

-Czterdzieści pięć - oznajmił Jud. - Zapomniałem. Nie byłem tu od dwunastu lat. I nie sądziłem, że jeszcze kiedyś będę miał powód, by tu przyjść. No już... wchodzi!

Chwycił rękę Louisa i pomógł mu pokonać ostatni stopień.

-Jesteśmy - oświadczył.

Louis rozejrzał się. Widział wszystko całkiem wyraźnie: światło gwiazd, choć słabe, okazało się wystarczające. Stali na zaslanej kamieniami skalnej płycie, wynurzającej się niczym czarny jezior z cienkiej warstwy gleby. Z drugiej strony dostrzegał wierzchołki jodeł, wśród których wędrowali, aby dotrzeć do stopni. Najwyraźniej wspieli się na szczyt osobliwego niewielkiego płaskowyzu, geologicznej anomalii, która bardziej pasowałaby do Arizony czy Nowego Meksyku. Ponieważ na trawiastym szczycie płaskowyzu, wzgorza czy cokolwiek to było nie rosły żadne drzewa, promienie słońca stopiły tu cały śnieg. Odwracając się do Juda, Louis ujrzał suche zdzbla trawy, gnące się do ziemi pod naporem zimnego wiatru wiejącego mu prosto w twarz, i odkrył, że to nie samotne wzniesienie, lecz jedno z lancucha

wzgorz - przed nimi grunt wznosił się ponownie. To wzgorze jednak było wyraźnie płaskie. Niezwykle zjawisko wśród niskich, starych wzniesień Nowej Anglii...

Indianie i narzędzia, podpowiedział mu nagle umysł.

-Chodź - rzucił Jud i poprowadził go dwadzieścia pięć metrów w stronę drzew. Tu w górze wiatr wiał dość silnie, choć wydawał się dobry, czysty. W mroku pod drzewami - najstarszymi, najwyższymi jodłami, jakie zdarzyło mu się oglądać - Louis dostrzegł liczne niewyraźne kształty. To wysokie samotne miejsce zdawało się przeraźliwie puste, lecz jego pustka wibrowała.

Ciemne kształty okazały się kopcami kamieni.

-Micmacowie ścieli wierzchołek wzgórza. Nikt nie wie jak, tak jak nikt nie wie, jak Majowie wzniesli swoje piramidy. Micmacowie sami zapomnieli, podobnie jak współczesni Majowie.

-Czemu? Po co to zrobili?

-To było ich cmentarzysko - wyjaśnił starzec. - Przeprowadziłem cię tu, abyś pogrzebał kota Ellie. Micmacowie nie dyskryminowali nikogo. Grzebali tu zwierzęta wraz z właścicielami.

Louisowi skojarzyło się to z Egipcjanami, którzy posunęli się o krok dalej: zabijali zwierzęta swych władców, by ich dusze mogły udać się wraz z duszą pana do krainy zmarłych. Pamiętał, że czytał kiedyś o rzezi ponad dziesięciu tysięcy zwierząt domowych pewnej córki faraona. Między nimi znalazło się sześćset świń i dwa tysiące paw. Zanim poderznięto im gardła, świniom zostały namaszczone olejkiem rozanym, ulubionymi perfumami zmarłej.

Oni też budowali piramidy. Nikt nie wie na pewno, czemu służyły piramidy Majów - podobno pomiarowi czasu i nawigacji jak sonar - lecz doskonale wiemy, że piramidy egipskie to ogromne pomniki śmierci, największe nagrobki świata. Tu spoczywa Ramzes II. Był posłuszny, pomyślał Louis i zachichotał piskliwie.

Jud spojrział na niego bez cienia zdumienia.

-Idź, pogrzeb swoje zwierzę - powiedział. - Ja zapalę. Pomogłbym ci, ale musisz zrobić to sam. Każdy grzebie własnych zmarłych. Tak się wtedy robiło.

-Jud, o co w tym wszystkim chodzi? Czemu mnie tu sprowadziles?

-Bo ocaliles życie Normy - odparł Jud. I choć jego głos brzmiał szczerze - widac było, że stary człowiek wierzy we własną szczerść - Louisa ogarnęła nagle przerażająca pewność, że jego towarzysz kłamie... albo że przekazuje mu cudze kłamstwo. Przypomniał sobie ów błysk, który dostrzegł - albo wydawało mu się, że dostrzegł - w oczach Juda.

Lecz tu w górze nic nie miało znaczenia. Bardziej interesował go wiatr napierający ze

wszystkich stron, rwacy nurt powietrza, który unosił mu włosy z czoła i z nad uszu.

Jud usiadł oparty plecami o jedno z drzew, osłonił dłoń zapalke i zapalił chesterfielda.

-Chcesz chwile odpocząć, nim zaczniesz?

-Nie, nic mi nie jest.

Louis mógłby wypytywać go dalej, odkrył jednak, że nie ma ochoty. Czuł, że postępuje źle, a jednocześnie słusznie, i uznał, że to wystarczy... na razie. Musiał wiedzieć tylko jedno.

-Czy naprawdę dam radę wykopać mu grob? Warstwa ziemi jest bardzo cienka, - Louis skinął głową w stronę miejsca, gdzie z ziemi na skraju stopni wystawała skala.

Jud przytaknął wolno.

-Ano - rzekł. - Ziemia tu płytka, ale gleba dość głęboka, by mogła w niej rosnąć trawa, jest zazwyczaj dostatecznie głęboka, by wykopać grob. A ludzie urządzali tu pogrzeby od bardzo, bardzo dawna. Nie będzie to jednak łatwe.

Rzeczywiście, ziemia była twarda i kamienista. Szybko przekonał się, że jeśli chce wykopać dostatecznie głęboką dziurę, by zmieścić w niej Churcha, będzie potrzebował kilofa. Zaczął zmieniać narzędzia. Najpierw kilofem poruszał twardą ziemię i kamienie, potem szpadłem pogłębiał otwór. Wkrótce zaboląły go ręce. Zaczynał ponownie się rozgrzewać. Czuł też silną, nieodpartą potrzebę wykonania dobrej roboty. Zaczął nucić pod nosem; czasami zdarzało mu się to robić, gdy opatrywał rane. Od czasu do czasu kilof uderzał dość mocno, by wskrzesić iskry, a drewniany trzonek przenosił wibracje aż do dłoni Louisa. Czuł, że na skórze tworzą mu się pecherze, lecz nie przejmował się tym, choć zwykle, jak większość lekarzy, bardzo dbał o swe dłonie. W gorze i wokół niego wiatr zawodził, odtwarzając raz po raz tę samą trojtonową melodię.

Wkrótce dołączył do niej akompaniament: cichy szelest i grzechot kamieni. Louis obejrzał się przez ramię i ujrzał Juda przykucniętego i wyciągającego co większe skalne odłamki z rozkopanej ziemi. Rzucił je na bok, na stos.

-To na twój kopiec - rzekł, dostrzegając spojrzenie towarzysza.

-Ach, tak. - Louis wrócił do pracy.

Dół miał około metra na sześćdziesiąt centymetrów - cholerny luksus dla zwykłego kota, pomyślał Louis - a kiedy sięgnął niecałego metra głębokości, kilof krzesił iskry niemal za każdym uderzeniem. Louis odrzucił go i szpadel i spytał Juda, czy już wystarczy.

Starzec wstał omiotł wzrokiem dziurę.

-Mnie wydaje się w porządku - rzekł. - Zresztą liczy się twoja opinia.

-Powiedz mi teraz, o co w tym wszystkim chodzi? Jud uśmiechnął się lekko.

-Micmacowie wierzyli, że to wzgórze jest miejscem magicznym - rzekł. - Uważali, że cały las między moczarami na północy i wschodzie kryje w sobie magię. Stworzyli to miejsce i chowali swych zmarłych z dala od wszystkiego. Inne szczepy trzymały się z daleka - ponoć Penobscotowie twierdzili, że w lasach roi się od duchów. Później podobne historie powtarzali traperzy. Przypuszczam, że któryś z nich natknął się na ogniki na Moczarach Małego Boga i wziął je za duchy.

Jud uśmiechnął się, a Louis pomyślał: Wcale tak nie uważasz.

-Później nawet Micmacowie już tu nie przychodzili. Jeden z nich twierdził, że spotkał tu Wendigo i że ziemia się zepsuła. Podjęli na ten temat wielką naradę... Tak przynajmniej słyszałem w młodości. Ale opowiadał mi to stary pijaczyna Stanny B. - tak nazywaliśmy Stanleya Boucharda - a jeśli Stanny B. czegoś nie wiedział, wymyślał to sobie.

Louis, który wiedział jedynie, iż Wendigo miał być duchem Polnocnej Krainy, rzekł:

-Sądziś, że ziemia naprawdę się zepsuła?

Jud odpowiedział uśmiechem, a przynajmniej jego wargi wygięły się.

-Uważam, że to niebezpieczne miejsce - rzekł cicho - lecz nie dla psów, kotów i chomików. No dalej, pogrzeb swoje zwierze.

Louis opuścił foliowy worek do dziury i zaczął powoli zasypywać go ziemią. Był zmęczony i bardzo zmęczony. Bebnienie ziemi o folię przygnębiało go. I choć nie żałował, że tu przyszedł, przepelniająca go ożywcza radość zniknęła powoli i zaczął marzyć, by przygoda już się skończyła. Czekal ich jeszcze długi marsz do domu.

Bebnienie stawało się coraz bardziej stłumione, po czym zupełnie ucichło, zastąpione cichym łomotem ziemi uderzającej o ziemię. Ostrzem spadła zeskrobał resztki do dziury.

Nigdy nie starczy, pomyślał, wspominając słowa, które jakieś tysiąc lat temu wypowiedział wuj kierujący przedsięwzięciem pogrzebowym. Nigdy nie wystarczy, by zapelnic całą dziurę - następnie odwrócił się do Juda.

-Teraz kopiec - przypomniał tamten.

-Posłuchaj, Jud, jestem dość zmęczony i...

-To kot Ellie. - Głos Juda, choć łagodny, brzmiał nieugięty. - Życzylabym sobie, byś zrobił to, jak należy.

Louis westchnal.

-Chyba rzeczywiscie.

Zbudowanie stosu z kamieni, ktore po kolei podawal mu Jud, zabralo kolejnych dziesiec minut. Gdy skonczyli, na grobie Churcha wznosil sie niski kamienny stozek i przez zmeczenie Louisa przebil sie nuta satysfakcji. Zdawal sie calkowicie na miejscu, stojac tak posrod innych w blasku gwiazd. Przypuszczal, ze Ellie go nigdy nie zobaczy - sama mysl przeprowadzenia corki sciezka poprzez ruchome piaski wystarczylaby, by Rachel osiwiala ze zgrozy - ale on widzial grob, ktory wygladal naprawde dobrze.

-Wikszosc z nich juz sie rozsypala - zauwazyl, wstajac i otrzepujac kolana spodni. Teraz widzial wyrazniej. W kilkunastu miejscach dostrzegal wyrazne rozrzucone stosiki kamieni, lecz Jud dopilnowal, by do wzniesienia wlasnego kopca uzyl jedynie kamieni z wykopanego grobu.

-Ano - przytaknal Jud. - Mowilem, to stare miejsce.

-Juz skonczylismy?

-Ano. - Klepnal Louisa w ramie. - Dobrze sie spisales, Louis. Wiedzialem, ze tak bedzie. Wracajmy do domu.

-Jud... zaczal ponownie Louis, lecz starzec jedynie chwycil kilof i ruszyl ku stopniom. Louis podniosl szpadel; musial podbiec, by go dogonic, i nagle ujrzal w powietrzu wlasny oddech. Raz tylko obejrzal sie przez ramie, jednakze kopiec na grobie kota corki, Winstona Churchilla, rozplynal sie wsrod cieni i Louis nie zdolal go dojrzec.

Zupelnie jakbysmy wyswietlili film od tyłu, pomyslal ze znuzeniem, gdy jakis czas pozniej wynurzyli sie spomiedzy drzew i staneli na polu za jego domem. Nie wiedzial, ile dokladnie czasu minelo. Gdy po poludniu polozyl sie na chwile, zdjal zegarek; zapewne wciaz lezy na parapecie przy lozku. Wiedzial tylko, ze jest wykonczony, wypompowany, wypluty. Nie pamietal, by kiedykolwiek czul sie tak wyczerpany, odkad podjal prace w Przedsiębiorstwie Wywozu Smieci w Chicago pewnego lata w czasach licealnych, szesnascie-siedemnascie lat temu.

Wrocili ta sama droga, lecz niewiele z niej zapamietal. Wiedzial jedynie, ze potkнал sie na wiatrolomie i runal naprzod, bezsensownie przypominajac sobie Piotrusia Pana - o Jezuu, stracilem szczesliwa mysl i spadam - a potem chwycila go reka Juda, pewna i mocna. W kilka chwil pozniej wedrowali juz posrod miejsc ostatniego spoczynku Smucky'ego, Trixie i krolczki Marty, i znalezi sie na sciezce, ktora niegdys pokonal nie tylko z Judem, lecz z cala rodzina.

Mial wrazenie, ze jego znuzony umysl przywolal wizje snu o Victorze Pascowie, podczas ktorego urzadzil sobie lunatyczna wycieczke, lecz nie dostrzegal niczego, co laczyloby

nocna wyprawe i dzisiejsze wydarzenia. Uswiadomil sobie takze, ze cala przygoda byla niebezpieczna - nie w melodramatycznym, gotyckim sensie, lecz calkiem zwyczajnie. Fakt, ze potwornie otarl sobie dlonie, bedac w stanie przypominajacym pol jawe, pol sen, to jeszcze malo. Mogl sie zabic na wiatrolomie. Obaj mogli sie zabic. Trudno wytлумaczyc sobie podobne zachowanie, zwlaszcza na trzezwo. Przy obecnym znuzeniu gotow byl przypisac je zametowi i smutkowi po smierci zwierzecia, ktore kochala cala rodzina.

W koncu dotarli do domu.

Bez slowa ruszyli ku niemu i przystaneli ponownie na podjezdzie. Wiatr jeczal i zawodził. Louis w milczeniu oddal Judowi szpadel.

-Lepiej juz pojde - rzekl w koncu starzec. - Louella Bisson albo Ruthie Perks lada moment przywiezie Norme do domu. Bedzie sie zastanawiala, gdzie sie podziewam.

-Masz moze zegarek? - spytal Louis. Zdumial sie, ze Normy jeszcze nie ma. Sadzac po bolu miesni, musiala minac polnoc.

-Ano - odparl Jud. - Mam go przy sobie, odkad sie ubiore. A na noc trzymam w poblizu.

Wylowil zegarek z kieszeni spodni i pstryknieciem otworzyl oslaniajace tarcze wieczko.

-Minelo wpol do dziewiatej - oznajmil, zatrzasujac zegarek.

-Wpol do dziewiatej? - powtorzil tepo Louis. - Dopiero?

-A jak sadziles, ile czasu uplynelo? - spytal Jud.

-Znacznie wiecej.

-Zobaczymy sie jutro, Louis. - Starzec ruszyl naprzod.

-Jud?

Sasiad odwrocil sie do Louisa, patrzac na niego pytajaco.

-Jud, co my dzis zrobilismy.

-Jak to co? Pochowalismy kota twojej corki.

-To wszystko?

-Nic ponadto - odparl Jud. - Jestes dobrym czlowiekiem, Louis, ale zadajesz zbyt wiele pytan. Czasami ludzie musza robic to, co wydaje sie sluszne. Slusne w ich sercach, to chcialem powiedziec. A jesli to zrobia, po czym nie czuja sie dobrze i przepelniaja ich pytania, jakby dostali niestrawnosci, tyle ze wewnatrz glowy, nie w brzuchu, uwazaja, ze

popelnili blad. Wiesz, co mam na mysli?

-Tak. - Louis mial wrazenie, ze Jud musial czytac mu w myslach, gdy obaj maszerowali w dol ku polu i swiatlom domu.

-Nie przyjdzie im natomiast do glowy, ze moze zanim zacznia kwestionowac to, co mowi im serce, powinni zakwestionowac owe dreczace ich watpliwosci - dodal Jud, przygladajac mu sie uwaznie. - Jak sadzisz, Louis?

-Sadze - odparl powoli Louis - ze chyba masz racje.

-A rzeczy, ktore kryje meskie serce... Mezczyzni raczej o nich nie rozmawiaja, prawda?

-No coz...

-Nie - ucial Jud, zupełnie jakby Louis zgodzil sie z nim. - Nie rozmawiaja. - I swym spokojnym, pewnym, nieustepliwym glosem, ktory sprawil, ze Louisa przeszyly ciarki, dodal: - To tajemnice. Podobno kobiety potrafią lepiej dochowac tajemnicy, i rzeczywiscie kilka zapewne skrywaja. Lecz kazda kobieta, ktora poznala troche zycia, powie, ze nigdy nie zdolala wejrzec w serce mezczyzny. Ziemia serca mezczyzny jest kamienista, Louis. Tak jak ziemia na starym cmentarzysku Micmacow. Tuz pod nia kryje sie skala. Mezczyzna hoduje w niej to, co zdola... i opiekuje sie tym.

-Jud?

-Nie watp, Louis. Pogodz sie z tym, co zrobiles. Podazaj za wlasnym sercem.

-Ale...

-Zadnych ale. Pogodz sie, Louis, i podazaj za swym sercem. Zrobilismy to, co wowczas bylo sluszne... przynajmniej, na Boga, taka mam nadzieje. W innym momencie byloby to zle - absolutnie zle.

-Czy przynajmniej odpowiesz mi na jedno pytanie?

-Coz, wysluchajmy go i przekonajmy sie.

-Skad wiedziales o tym miejscu?

To pytanie takze przyszlo Louisowi do glowy w drodze powrotnej, wraz z podejrzeniem, ze Jud moze byc dalekim potomkiem Micmacow - choc zupełnie na to nie wygladal. Byl typowym okazem stuprocentowego Anglosasa.

-Jak to skad? Od Stanny'ego B. - odparl starzec, wyraznie zaskoczony.

-Opowiedzial ci o nim?

-Nie. O takich miejscach sie nie opowiada. Gdy mialem dziesiec lat, pogrzebalem tam mojego psa Spota. Gonil krolika i wpadl na zardzewialy drut kolczasty. Wywiazalo sie zakazenie i zabilo go.

Historia ta zabrzmiala falszywie, jakby nie zgadzala sie z czyms, co Louis uslyszal wczesniej. Byl jednak zbyt zmeczony, by doszukiwac sie rozbieznosci. Jud nie powiedzial nic wiecej. Spojrzal tylko na niego nieprzeniknionymi oczami.

-Dobranoc, Jud - pozegnal sie Louis.

-Dobranoc.

Stary czlowiek przeszedl przez droge, dzwigajac kilof i szpadel.

-Dzieki! - zawolal Louis, kierujac sie naglym odruchem.

Jud nie odwrocil sie. Podniosl tylko reke na znak, ze uslyszal. W tym momencie w domu zadzwonil telefon.

Louis rzucil sie biegiem, krzywiac sie z powodu bolu eksplodujacego w udach i krzyzu. Zanim jednak dotarl do cieplej kuchni, dzwonek zadzwieczal juz szesc, siedem razy i ucichl, dokladnie w chwili, gdy polozyl dlon na telefonie. Na wszelki wypadek podniosl sluchawke i powiedzial "Halo". Odpowiedzial mu jednak wylacznie ciagly sygnal.

To z pewnoscia Rachel, pomyslal. Oddzwonie do niej.

Nagle jednak uznal, ze to za duzo zawracania glowy: trzeba wykrecic numer, wymienic kilka niezrecznych slow z jej matka lub, co gorsza, z wymachujacym ksiazeczka czekowa ojcem - nastepnie pomowic z Rachel i z Ellie - Ellie, rzecz jasna, jeszcze nie spala, w Chicago bylo godzine wczesniej - ktora z pewnoscia spyta go, jak sie miewa Church.

Swietnie, naprawde swietnie. Wpadl pod ciezarowke Orinco. Z niewiadomych przyczyn jestem absolutnie pewien, ze to byla Orinco. Wszystkiemu innemu brakowaloby dramatycznej jednosci, jesli wiesz, co mam na mysli. Nie wiesz? Niewazne. Ciezarowka zabila go, ale prawie nie uszkodzila ciala. Zakopalismy go z Judem na starym cmentarzysku Micmacow - czymś w rodzaju aneksu do Cmentarza Zwiezat, jesli wiesz, co mam na mysli. To niesamowity spacer. Zabiore cie tam kiedys i polozymy mu kwiaty na grobie - to znaczy na kopcu. Kiedy ruchome piaski zamarzna, a niedzwiedzie zasna na zime.

Wypuscil telefon, podszedl do zlewu i napelnil go goraca woda. Zdjal koszule i upral ja. Mimo zimna, pocil sie jak swinia i tak tez cuchnal.

W lodowce zostala reszta klopsa. Louis pokroil go w plastry, polozyl na kromce chleba i dodal dwa grube krazki cebuli. Przez chwile przygladal sie swemu posilkowi, po czym doprawil go szczodra porcja ketchupu i nakryl druga kromka. Gdyby Rachel i Ellie widzialy

go, z pewnością skrzywilyby nosy w identycznym gescie odrazy - fuj, co za ohyda.

-Stracilyście okazje, moje panie - rzekł z głęboka satysfakcja i spalaszował kanapke. Smakowała świetnie. Konfucjusz mówi: "Ten, kto smierdzi jak swinia, jada jak wilk" - pomyślał i usmiechnął się. Splukał kanapke kilkoma głębokimi lykami mleka wprost z kartonu - kolejny zwyczaj surowo tepiony przez Rachel - i poszedł na gore. Nie rozebrał się. Nawet nie umył zębów. Wszystkie dreczące go bole stopily się w jedno słabe pulsowanie, wszechogarniające i niemal przyjemne.

Zegarek leżał tam, gdzie go zostawił. Spojrzał na niego. Dziesięć po dziewiątej. Niewiarygodne. Cały incydent wydawał mu się już odległy niczym sen - kolejny atak lunatyzmu.

Louis zgasił światło, przekrecił się na bok i zasnął.

Obudził się po trzeciej rano i powłoczac nogami, poczłapał do łazienki. Stał tam, sikając i mrugając w jaskrawym świetle niczym zaspana sowa, gdy nagle dostrzegł owa rozbieżność w opowieściach Juda. Zupelnie jakby dwa kawalki układanki, które powinny idealnie pasować się do siebie, zamiast tego zderzyły się i odskoczyły.

Dzisiaj wieczór Jud powiedział mu, że jego pies zdechł, gdy on sam skończył dziesięć lat - umarł z powodu zakażenia po skaleczeniu kawalkiem żardzewiałego drutu kolczastego. Lecz tamtego dnia późnego lata, gdy wszyscy wybrali się na Cmentarz Zwierząt, Jud mówił, że jego pies zdechł ze starości i został tam pogrzebany - pokazał nawet nagrobek, choć upływ lat kompletnie zatarł widoczny na nim napis.

Louis spuścił wodę, zgasił światło i wrócił do łóżka. Dreczyło go coś jeszcze - i po chwili zrozumiał co. Jud urodził się wraz z nastaniem wieku, a tamtego dnia na cmentarzu zwierząt powiedział mu, że jego pies zdechł w pierwszym roku Wielkiej Wojny. To znaczyło, że Jud miał wtedy czternaście lat, jeśli chodziło mu o prawdziwy początek wojny w Europie, bądź siedemnaście, jeżeli miał na myśli przyłączenie się do niej Ameryki.

Lecz dzisiaj mówił, że Spot umarł, gdy on, Jud, miał zaledwie dziesięć lat.

To stary człowiek, a starzy ludzie płaczą się w swoich wspomnieniach. Sam mówił, że dostrzega oznaki starości. Nie może przypomnieć sobie nazwisk i adresów, które kiedyś doskonale pamiętał. Czasami wstaje rano i nie wie, co zaplanował sobie wczoraj na dany dzień. Jak na człowieka w tym wieku i tak jest w świetnym stanie... Skleroza to za mocne słowo, jeśli chodzi o Juda. Po prostu zapomina, i tyle. Nic dziwnego, że zapominał, ile lat miał pies, który zdechł siedemdziesiąt lat temu, i nie pamięta okoliczności, w jakich zdechł. Zapomnij o tym, Louis.

Lecz wciąż nie mógł zasnąć. Długi czas leżał w łóżku, bolesnie świadom pustki panującej w domu i obecności wiatru zawodzacego wokół narożników.

W pewnym momencie zasnął, nie zdając sobie sprawy, że przekroczył granice. Musiało tak być, bo nagle wydało mu się, że słyszy odgłos bosych stop wspinających się powoli po schodach i pomyślał: Zostaw mnie, Pascow. Daj mi spokój! Stało się to, co się stało. To, co nie żyje, nie żyje - i kroki ucichły.

I choć przed końcem roku zdarzyło się mnóstwo innych niewyjaśnionych rzeczy, Louisa nigdy już nie nawiedzało widmo Victora Pascowa, czy to na jawie, czy we śnie.

23.

Następnego ranka obudził się o dziewiątej. Przez wschodnie okna sypialni do środka wlewały się strumienie jaskrawego światła. Dzwonił telefon. Louis wyciągnął rękę i podniósł słuchawkę. - Halo?

- Cześć - rzuciła Rachel. - Obudziłam cię? Taka mam nadzieję.

- Owszem obudziłaś, ty sukco - odparł z uśmiechem.

- O, co to za język, stary niedzwiedziu! - rzekła. - Próbowałam dodzwonić się do ciebie wczoraj wieczorem. Byles u Juda?

Jego wahanie trwało zaledwie ułamek sekundy.

- Tak - odrzekł. - Wypiliśmy parę piw. Norma pojechała gdzieś na świąteczny obiad. Chciałem nawet zadzwonić, ale... sama wiesz.

- Tak - powiedziała. - Wiem.

Gawędzili przez chwilę. Rachel przekazała mu najświeższe rodzinne nowiny, które niespecjalnie go interesowały, choć z pewną złośliwą satysfakcją przyjął wieść, że łysina jej ojca powiększa się coraz szybciej.

- Chcesz pomówić z Gage'em? - spytała. Louis uśmiechnął się szeroko.

- Chyba tak - odparł. - Nie pozwól mu tylko znowu odwieść słuchawki.

Rozległy się głosne szelesty po drugiej stronie. Z daleka dobiegał głos Rachel namawiający małego, by przywitał się z tatusiem.

W końcu Gage powiedział:

- Cześć, tata.

- Cześć, Gage - odparł radośnie Louis. - Co u ciebie? Jak życie? Czy znowu wywaliles stojak z fajkami dziadka? Taka mam nadzieję. Może tym razem zdołasz też zniszczyć jego kolekcję znaczków.

Gage gaworzył radosnie przez jakies pol minuty; pomiedzy nieartykulowanymi odglosami dalo sie rozpoznać kilka wyrazow z jego wciaz rosnacego slownika - mamu, Ellie, bacia, dziada, auto (wymawiane z prawdziwym jankeskim akcentem, który to fakt niezmiernie rozbawil Louisa), chodzik i lera.

W koncu Rachel odebrala mu telefon, co spotkalo sie z donosnymi protestami chlopca i cichym aplauzem Louisa - kochal synka i tesknil za nim jak wariat, lecz prowadzenie rozmowy z dwulatkiem przypominalo nieco gre w karty z szalencem; karty pojawiaja sie i znikaja, a czlowiek gubi sie w tym chaosie.

-A co slychac u ciebie? - spytala Rachel.

-Wszystko w porzadku - rzekl Louis, tym razem bez chwili wahania - wiedzial jednak, ze przekroczyl juz cienka granice w chwili, gdy Rachel spytala, czy poprzedniego wieczoru odwiedzil Juda, a on przytaknal. Nagle przypomnial sobie slowa Juda Crandalla: "Ziemia serca mezczyzny jest kamienista, Louis... Mezczyzna hoduje, co moze... i opiekuje sie tym".
- Jesli chcesz znac cala prawde, troche tu nudno. Tesknie za toba.

-Chcesz powiedziec, ze nie podoba ci sie zycie slomianego wdowca?

-Jasne, lubie cisze - przyznal. - Ale po pierwszych dwudziestu czterech godzinach czlowiek zaczyna czuc sie dziwnie.

-Moge porozmawiac z tata? - odezwal sie glos Ellie w tle.

-Louis? Jest tu Ellie.

-Daj mi ja.

Niemal piec minut rozmawial z corka. Ellie zasypala go gradem slow: opisala dokladnie lalke, która dostala od babci, wycieczke z dziadkiem do dokow (- Ale tam cuchnie, tatusiu - powiedziala, a Louis pomyslal: Twój dziadek, kotku, tez nie pachnie jak roze), to, jak pomogla piec chleb i jak Gage wymknal sie Rachel, kiedy ta zmieniala mu pieluche, pobiegl korytarzem i zrobil kupe na progu gabinetu dziadka (Brawo, Gage, pomyslal Louis i usmiechnal sie szeroko).

Juz sadzil, ze mu sie upiecze - przynajmniej tego ranka - i wlasnie mial poprosic Ellie, by oddala sluchawke matce, zeby mogli sie pozegnac, gdy ta spytala:

-Jak sie czuje Church, tatusiu? Teskni za mna?

Z twarzy Louisa zniknal usmiech, jednakze jego glos zabrzmial odpowiednio swobodnie, tak jak powinien.

-Chyba tak. Wczoraj wieczorem dalem mu resztki gulaszu i wypuscilem go. Dzis rano

jeszcze go nie widziałem, ale też dopiero co wstałem.

Niech mnie, świetny byłby ze mnie morderca - zimny jak lód. Doktorze Creed, kiedy ostatni raz widział pan zamordowanego? Przyszedł do domu na kolację. Zjadł cały talerz gulaszu. Od tamtej pory go nie widziałem.

-Ucałuj go ode mnie.

-Bleee, sama całuj swojego kota - odparł Louis i Ellie zachichotała.

-Chcesz jeszcze mówić z mamą, tatusiu?

-Jasne, daj mi ją.

Następnych parę minut rozmawiał z Rachel. Nie poruszali już tematu Churcha. W końcu wymienili z żoną czule "kocham cię" i Louis odłożył słuchawkę.

-To tyle - rzekł głośno, zwracając się do pustego słonecznego pokoju. Najgorsze było to, że wcale nie czuł się winny. Ani trochę.

24.

Koło wpół do dziesiątej zadzwonił Steve Masterton i spytał, czy Louis ma ochotę przyjechać na uniwersytet i zagrać w racquetballa - kampus jest zupełnie pusty, oznajmił wesoło i jakby coś, mogliby grać spokojnie cały Boży dzień. Louis dobrze wiedział, skąd ta radość - podczas roku akademickiego na kort do racquetballa czekało się nawet i dwa dni. Mimo to odmówił, twierdząc, że zamierza popracować nad artykułem do "Magazine of College Medicine".

-Na pewno? - spytał Steve. - Pamiętaj, że kto nie umie się bawić, nie umie też pracować.

-Zadzwoń później - odparł Louis. - Może nabiorę ochoty.

Steve przyrzekł, że tak zrobi i rozłączył się. Tym razem ze strony Louisa było to tylko połowiczne kłamstwo. Rzeczywiście zamierzał popracować nad artykułem dotyczącym leczenia chorób zakaźnych, takich jak wietrzna ospa i mononukleozę, w warunkach przychodni uniwersyteckich. W istocie jednak odmówił przede wszystkim dlatego, że był cały obolały. Odkrył to, gdy tylko skończył rozmowę z Rachel i poszedł do łazienki umyć zęby. Mięśnie pleców protestowały przy każdym ruchu, ramiona bolały od dzwigania kota w pieprzonym worku na smieci, a ścięgna pod kolanami były napięte niczym struny gitary nastrojonej o trzy oktawy wyżej, niż powinna. Chryste, pomyślał, a ty kretynie sądziłeś, że jesteś w formie. Niezłe by wyglądał, próbując grać w racquetball, zgarbiony i pokrzywiony jak zreumatyzowany starzec.

A skoro już mowa o starcach, zeszłego wieczoru nie wybrał się do lasu sam; towarzyszył mu człowiek, który niedługo miał obchodzić osiemdziesiąte piąte urodziny. Louis zastanawiał

się, czy tego ranka Jud cierpi równie mocno jak on.

Półtorej godziny pracował nad artykułem, ale szło mu opornie. Cisza i pustka panujące w domu coraz bardziej grały mu na nerwach. W końcu ułożył na polce nad maszyną żółte notatniki i odbitki zamówione na Uniwersytecie Johna Hopkinsa, narzucił kurtkę i przeszedł przez drogę.

Juda i Normy nie było w domu, lecz w drzwiach werandy tkwiła koperta, na której widniało jego nazwisko. Louis wyjął ją i otworzył kciukiem.

Louisie,

Jedziemy z moją połowicą do Bucksport na zakupy i żeby obejrzeć toaletkę w Emporium Galorium, na którą Norma ma ochotę chyba od stu lat. Najpewniej zjemy lunch u McLeoda i wrócimy późnym popołudniem. Jeśli będziesz miał ochotę, wpadnij wieczorem na piwo lub dwa.

Twoja rodzina to twoja sprawa, nie chce się wtracać, ale gdyby Ellie była moją córką, nie spieszyłbym się z mówieniem, że jej kot zginął na drodze. Czemu nie pozwolić, by dobrze bawiła się podczas wakacji?

A przy okazji, Louis, na twoim miejscu nie wspominałbym o tym, co zrobiliśmy zeszłego wieczoru nikomu z północnego Ludlow. Inni ludzie także wiedzą o starym cmentarzysku Micmaców i są w mieście tacy, którzy pochowali tam swoje zwierzęta... Można powiedzieć, że to ukryta część Cmentarza Zwierząt. Wierz albo nie, ale pochowano tam nawet byka. Stary Zack McGovern, który mieszkał kiedyś przy Stackpole Road, zakopał w 67 czy 68 roku na cmentarzu Micmaców swojego zarodowego byka, Hanratty'ego. Cha, cha! Opowiadał, że zanieśli go tam z dwoma synami. Śmiałem się tak, że myślałem, że peknie mi brzuch. Ale miejscowi nie lubią o tym rozmawiać i nie chcą, by inni, których uważają za "obcych", wiedzieli o tym miejscu. Nie dlatego, że owe stare przesady mają ponad trzysta lat (choć to prawda), ale w pewnym sensie oni wciąż w nie wierzą i boją się, że obcy, który by o tym usłyszał, śmiałyby się z nich. Czy to ma sens? Pewnie nie, jednak tak to już jest. Zrób mi więc tę grzeczność i nie poruszaj tego tematu. Zgoda?

Jeszcze o tym pogadamy, pewnie nawet dziś wieczór. Wtedy będziesz rozumiał znacznie więcej. Tymczasem jednak chce ci powiedzieć, że świetnie się spisałeś. Wiedziałem, że tak będzie.

Jud

PS Norma nie wie, co tu pisze - powiedziałem, że coś zupełnie innego - i jeśli nie masz nic przeciwko temu, wolalbym, by tak zostało. W ciągu pięćdziesięciu osmiu lat naszego małżeństwa poczęstowałem ją więcej niż jednym kłamstwem. Podejrzewam, że większość mężczyzn opowiada swoim żonom całe mnóstwo kłamstw, ale wiesz co, większość z nich mogłaby stanąć przed obliczem Boga i wyznać wszystko, nie spuszczać nawet wzroku.

No dobra, wpadnij dziś wieczor, to sobie popijemy.

J.

Louis stal na najwyzszym stopniu schodkow wiodacych na werande Juda i Normy - obecnie pusta: wygodne rattanowe meble trafily do skladziku, oczekujac nadejscia wiosny - i marszczac brwi, przebiegal wzrokiem tresc listu. Nie mowic Ellie, ze jej kot zginal - nie powiedzial. Grzebano tam inne zwierzeta? Przesady liczace ponad trzysta lat?...wtedy bedziesz rozumial znacznie wiecej.

Przesunal lekko palcem po linijce tekstu i po raz pierwszy pozwolil myslom powrocic do tego, co zrobili poprzedniego wieczoru. Wspomnienie pozostawione przez tamte wydarzenia bylo niewyrasne, miało nieuchwytna zdradliwa fakture snu, lepka niczym wata cukrowa. Pamietal, ze wspinali sie na wiatrolom. Pamietal tez dziwne jasniesze swiatlo na moczarach - i ze tamtejsze powietrze zdawalo sie znacznie cieplejsze - wszystko to jednak przypominalo ostatnia rozmowe z anestezjologiem, nim ten zdmuchnie nasza swiadomosc niczym zapalke.

Podejrzewam, ze wiekszosc mezczyzn opowiada swym zonom cale mnostwo klamstw...

Zonom i corkom, pomyslal Louis. Niesamowite, jak Jud odgadl, co dzialo sie tego ranka, zarowno podczas rozmowy telefonicznej, jak i w jego wlasnej glowie.

Powoli zlozil list napisany na kartce papieru w linie, rodem wprost z dzieciacego zeszytu, i wsunal go do koperty. Wetknal ja do kieszeni i wrocil na druga strone drogi.

25.

Dochodzila pierwsza po poludniu, gdy Church wrocil, niczym kot z dzieciacej rymowanki. Louis byl wlasnie w garazu. Przez ostatnich szesc tygodni z przerwami pracowal tam nad dosc ambitnym zestawem polek; chcial ustawic wszystkie niebezpieczne rzeczy: butelki plynu do szyb, odmrazacz i ostre narzedzia, poza zasiegiem Gage'a. Wbijal wlasnie gwozdz, gdy do srodka wmaszerowal Church z wysoko uniesionym ogonem. Louis nie upuscil mlotka, nie uderzyl sie nawet w kciuk - serce lekko zatrzepotalo mu w piersi, ale nie skoczylo. Mial wrazenie, jakby przez moment w zoladku rozjarzyl mu sie goracy drut, niczym wlokno zarowki, ktore przez chwile swieci nadmiernie jasnym blaskiem, po czym sie przepala. Zupelnie jakby calego tego slonecznego ranka po Swiecie Dziekczynienia podswiadomie czekal na powrot Churcha, jakby skryta gleboko prymitywna czesc jego umyslu od poczatku wiedziala, co oznacza owa wieczorna wyprawa na cmentarzysko Micmacow. Ostrocznie odlozil mlotek, wyplul na dlon trzymane w ustach gwozdzie i wrzucil je do kieszeni roboczego fartucha. Podszedl do Churcha i podniosl go.

Zywy ciezar, pomyslal z niezdrowym podnieceniem. Wazy tyle, co przed wypadkiem. To zywy ciezar. W torbie byl ciezszy. Byl ciezszy po smierci.

Tym razem jego serce szarpnęło się nieco mocniej - niemal skoczyło. Przez sekunde garaż zatęczał mu przed oczami.

Church skulił uszy i pozwolił się trzymać na rękach. Louis wyniósł go na słońce i usiadł na ostatnich stopniach. Kot próbował się uwolnić, on jednak głaskał go i przytrzymywał na kolanach. Jego serce biło znacznie mocniej.

Delikatnie obmacał gestą sierść na karku Churcha, przypominając sobie, jak zeszłego wieczoru jego głowa poruszała się bezwładnie i kołysała na złamanej szyi. Obecnie wyczuwał zdrowe mięśnie i ścięgna. Unosił kota i uważnie obejrzał jego pyszczek. To, co zobaczył, sprawiło, że szybko upuścił zwierzę na trawę i zamykając oczy, zakrył twarz dłonią. Cały świat wokół wirował. Poczul chwiejny, paskudny zawrót głowy, coś jakby uczucie po ostrym picciu, tuż przed atakiem wymiotów.

Na pyszczku Churcha zastygła zaschnięta krew, w długie wasy zaplatały się dwa drobne strzępki zielonej folii. Fragmenty worka.

Jeszcze o tym pogadamy. Wtedy będziesz rozumiał znacznie więcej.

Chryste Panie, w tej chwili rozumiał więcej, niżby pragnął.

Jeszcze trochę, pomyślał Louis i całe to zrozumienie doprowadzi go do najbliższego wariatkownika.

Wpuścił Churcha do domu, przyniósł niebieską miskę i otworzył konserwę z tunczyka i wątroby. Gdy wygarniał łyżką szarobrazową masę, Church, pomrukując, ocierał mu się o kostki. Dotyk kota sprawił, że na łydkach Louisa wystąpiła gęsia skórka. Musiał mocno zaciskać zęby, by nie odegnąć zwierzęcia kopniakiem. Porosnięte futro ciała zdawało się zbyt śliskie, zbyt grube - jednym słowem ohydne. Louis odkrył, że nie ma już ochoty dotykać Churcha - już nigdy nie chce go dotykać.

Gdy schylił się i postawił miskę na podłodze, Church przemknął obok, rzucając się na jedzenie, i Louis przysięgłby, że poczuł won zgnilej ziemi, jakby kocie futro przesiaknęło nią doszczętnie.

Stał, obserwując jedzącego kota. Słyszał, jak mlaskał - czy Church wcześniej jadł z takim mlaskaniem? Może i tak, ale Louis po prostu nigdy niczego nie zauważał. W każdym razie był to paskudny dźwięk. Fuj, powiedziałyby Ellie.

Louis odwrócił się gwałtownie i poszedł na górę. Ruszył powoli, lecz u szczytu schodów już prawie biegł. Rozebrał się i wrzucił całe swoje ubranie do zsypu, chociaż tego ranka włożył wszystko świeże, począwszy od bielizny. Przygotował gorącą kąpiel, możliwie jak najgorętszą, i wszedł do wanny.

Wokół niego unosiła się para, czuł, jak gorąca woda rozluźnia napreżone mięśnie. Kąpiel

uderzyła mu też do głowy, zmywając napięcie. Gdy woda zaczęła stygnąć, poczuł się senny i znów był sobą.

Kot wrócił, tak jak tamten w rymowance. I co z tego?

Wszystko to było jedna wielka pomyłka. Czyż wczoraj wieczorem nie pomyślał, że Church jest dziwnie cały i nietknięty jak na zwierze, które wpadło pod samochód?

Pomyśl o wszystkich wiewiórkach, kotach i psach, które widywałeś na szosie. Porozdzierane brzuchy, rozjechane flaki wokół. Technicolor, jak mawiał Loudon Wainwright na swej płycie o martwym skunksie.

Wszystko jasne. Church został mocno uderzony i ogluszony. Kot, którego zaniósł na stare cmentarzysko Micmaców Juda, był nieprzytomny, ale nie martwy. Czyż ponoc koty nie mają dziewięciu żywotów? Dzięki Bogu, nie wspomniał o niczym Ellie. Nie będzie musiała wiedzieć, jak niewiele dzieliło Churcha od śmierci. Krew na jego pyszczku i głowie... miękka bezwładna szyja...

Był jednak lekarzem, nie weterynarzem. Popelniał błąd, stawiając diagnozę, to wszystko. Warunki nie sprzyjały bliższym badaniom, kucal wtedy na trawniku Juda na mrozie, a niebo nad nim przygasalo. Nalozyl tez rekawiczki. To moglo...

Na pokrytej glazura scianie rozlal sie rozdety bezkszaltlny cien, niczym glowa malego smoka albo olbrzymiego weza. Cos musnelo lekko nagie ramie Louisa i umknelo. Louis szarpnal sie gwaltownie jak razony pradem, rozchlapujac wokol wode i moczac dywanik obok wanny. Odwrocil sie ze wzdrygnięciem i spojrzal wprost w metne zoltozielone oczy kota corki, siedzacego na zamknietej desce klozetowej.

Church kolysal sie powoli tam i z powrotem jak pijany. Louis obserwowal go, wstrzasaly nim dreszcz obrzydzenia, zaciskal zeby, z trudem powstrzymujac okrzyk wstretu. Church nigdy tak nie wygladal przed kastracja ani pozniej - nie kolysal sie jak waz probujacy zahipnotyzowac ofiare. Po raz pierwszy i ostatni przeszlo mu przez mysl, ze moze to inny kot, podobny do kota Ellie, obcy, ktory przywedrowal do garazu w chwili, gdy on, Louis, zbijal polki, a prawdziwy Church wciaz lezy pod stosem kamieni na lesnym plaskowyzu. Lecz wszystkie znaki mial takie same... jedno wystrzepione ucho... i lapa, ktora wygladala jak przygryziona; Ellie przytrzasnela mu ja tylnymi drzwiami malego podmiejskiego domku, gdy Church byl jeszcze kociakiem.

To naprawde byl Church.

-Wynos sie stad - szepnal ochryple Louis.

Church przygladal mu sie jeszcze przez moment - Boze, jego oczy byly jakies inne, zupełnie inne - a potem zeskoczyl z muszli. Nie wyladowal z niesamowita kocia gracja. Zachwial sie niezrecznie, tracajac zadem wanne, i zniknal.

To już nie on, pomyślał Louis. Nie kocur. Pamiętaj, że został wykastrowany.

Wyszedł z wanny i wytarł się pobieżnie. Był już ogolony i niemal całkowicie ubrany, gdy zadzwonił telefon, dzwiecząc przenikliwie w pustym domu. Na ów dźwięk Louis obrócił się gwałtownie, jego oczy rozszerzyły się, a ręce uniosły. Opuszczył je powoli. Serce waliło mu jak młotem. Mięśnie napeczniały od adrenaliny.

To był Steve Masterton, który sprawdzał, co z racquetballem. Louis zgodził się spotkać się z nim za godzinę na korcie. Tak naprawdę nie miał wcale czasu ani ochoty na grę, lecz po prostu musiał wyjść z domu. Chciał się znaleźć jak najdalej od kota, niezwykłego kota, którego w ogóle nie powinno tu być.

Zaczął się spieszyć. Szybko wepchnął do spodni polę koszuli, wsadził do torby parę szortów, koszulkę i ręcznik i truchtem zbiegł po schodach.

Church leżał na czwartym stopniu od dołu. Louis potknął się o kota i o mały włos nie wywrocil. W ostatniej chwili chwycił poręcz, ratując się przed paskudnym upadkiem.

Stał u stop schodów, dysząc ciężko. Serce tlukło mu się w piersi, adrenalina pulsowała nieprzyjemnie w całym ciele.

Church wstał, przeciągnął się... i jakby usmiechnął złośliwie.

Louis wyszedł. Wiedział, że powinien wypuścić kota, lecz nie zrobił tego. W tym momencie nie zdobył się nawet na to, by go dotknąć.

26.

Jud zapalił papierosa drewniana kuchenna zapalka, zgasił ją i wrzucił do blaszanej popielniczki, na której dnie wymalowano niemal już nieczytelna reklama jima beama.-To Stanley Bouchard opowiedział mi o starym cmentarzysku Micmaców - powtórzył.

Byli w jego kuchni. Tuż przed nimi, na pokrywającej stol krzaciastej ceracie, stały niemal nietknięte szklanki z piwem. Przyczepiona do ściany za ich plecami beczka oleju zabułgotowała trzy razy, po czym ucichła. Louis zjadł obiad ze Steve'em: kanapki-lodki w niemal pustej Niedzwiedziej Jamie. Już dawno przekonał się, że jeśli tu, w Maine, poprosiło się o mielonca czy gyro, nie wiedzieli, o czym mowa, natomiast lodka i wop-burger trafiały do każdego. Gdy już coś zjadł, Louis poczuł się lepiej. Miał wrażenie, że spogląda na powrót Churcha z nowej perspektywy, wciąż jednak nie miał ochoty wracać do ciemnego, pustego domu, w którym mógł czekać kot. Powiedzmy szczerze: mógł krzyknąć gdziekolwiek.

Norma posiedziała z nimi dość długo. Oglądała telewizję i jednocześnie pracowała nad haftem, przedstawiającym słońce zachodzące za małym wiejskim domem ludowym. Na tle zachodzącego słońca odcinała się czarna sylwetka krzyża na dachu. Zamierzała sprzedać te robotki na kościelnym kiermaszu przed Bożym Narodzeniem. Ponoc kiermasz ów

zawsze stanowił wielkie wydarzenie. Jej palce poruszały się zreźnie, przekuwając igła materiał rozpięty na stalowym kolku. Tego wieczoru reumatyzm praktycznie nie dawał znać o sobie. Louis podejrzewał, że może to być kwestia pogody - zimnej, lecz bardzo suchej. W zasadzie doszła już do siebie po ataku serca i owego wieczoru, dziesięć tygodni przed drugim atakiem, który miał ją zabić, wyglądała świeżo i jakby młodziej. Tego dnia dostrzegł w niej dziewczynę, która niegdyś była.

Kwadrans przed dziesiątą pożegnała się. Teraz siedział tu z Judem, który umilkł i obserwował bez słowa wlatujący w górę dym z papierosa, niczym dziecko zapatrzone w wirujący pasiasty słup przed salonem fryzjerskim.

-Stanny B. - przypomniał łagodnie Louis.

Jud zamrugł, jakby powrócił myślami z dalekiej podróży.

-Ano - rzekł. - Wszyscy w Ludlow - a także w okolicach Bucksport, Prospect i Orrington - nazywali go po prostu Stanny B. W roku, kiedy zdechl mój pies, Spot - to znaczy w tysiąc dziewięćset dziesiątym, kiedy zdechl po raz pierwszy - Stanny był już stary i bardziej niż odrobine szalony. Inni miejscowi także wiedzieli o istnieniu cmentarzyska Micmaców, ale ja usłyszałem o tym od Stanny'ego B., on od swojego ojca, a jego ojciec od swego ojca. Cała rodzina prawdziwych Canucków.

Jud zaśmiał się i pociągnął łyk piwa.

-Wciąż słysze go, mowiacego lamana angielszczyzna. Znalazł mnie siedzącego obok stajni wynajmującej konie, stojącej kiedyś przy trasie numer piętnaście - tyle że wówczas była to jedynie droga Bangor-Bucksport - mniej więcej w miejscu, gdzie później zbudowano fabrykę Orinco. Spot jeszcze nie umarł, ale zdychał i ojciec wysłał mnie, abym dowiedział się o ziarno dla kurcząt, które w owych czasach sprzedawał stary Yorky. Potrzebowaliśmy ziarna tak jak krowa księżycą i doskonale wiedziałem, czemu kazał mi tam iść.

-Zamierzał zabić psa.

-Wiedział, jak bardzo kocham Spota, toteż na ten czas wyprawił mnie z domu. Spytałem się o ziarno i kiedy stary Yorky przygotowywał je dla mnie, poszedłem na tył budynku, usiadłem na starym mlyńskim kamieniu, który wówczas tam leżał, i zacząłem płakać.

Jud powoli potrząsnął głową, wciąż uśmiechał się lekko.

-I wtedy zjawił się stary Stanny B. - ciągnął dalej. - Polowa ludzi w miasteczku uważała, że jest nieco swirnięty, reszta, że może być niebezpieczny. Na początku dziewiętnastego wieku jego dziadek był znanym traperem i handlarzem futer. Dziadek Stanny'ego docierał z wybrzeża aż do Bangor i Derry, czasem zapuszczał się na południe aż do Skowhegan, żeby kupić skorki, tak przynajmniej słyszałem. Miał wielki wóz pokryty pasami skóry, wyglądał jak wóz magika. Wszędzie wymalował krzyże, bo był prawdziwym chrześcijaninem i kiedy

sporo wypil, zaczynal wyglaszac kazania - tak twierdzil Stanny, ktory uwielbial opowiadac o swym dziadku - ale obok nich widnialy poganske symbole indianskie, poniewaz dziadek Stanny'ego wierzyl, ze wszyscy Indianie, niezaleznie od szczepu, tak naprawde naleza do jednego wielkiego plemienia: zaginionego plemienia Izraela, o ktorym wspomina Biblia. Uwazal, ze czeka ich pieklo, ale ich magia dziala, bo mimo wszystko sa chrzescijanami na swoj wlasny przeklety sposob.

Dziadek Stanny'ego kupowal futra od Micmacow i prowadzil z nimi interesy jeszcze dlugo po tym, gdy wiekszosc traperow i handlarzy zrezygnowala badz przeniosla sie na zachod. Radzil sobie, bo zawsze placil uczciwie, a takze dlatego, ze - jak twierdzil Stanny - umial na pamiec cala Biblię, a Micmacowie lubili, jak powtarzal im slowa, zaslyszane wczesniej od ksiezy.

Jud umilkl. Louis czekal cierpliwie.

-Micmacowie opowiedzieli dziadkowi Stanny'ego B.

o cmentarzysku, z ktorego juz nie korzystali, bo Wendigo zatrul ziemie, a takze o Moczarach Malego Boga, stopniach i calej reszcie. W tamtych czasach na calej polnocy mozna bylo uslyszec opowiesci o Wendigo. Indianie musieli miec cos takiego, tak jak my potrzebujemy niektorych naszych chrzescijanskich opowiesci. Gdyby Norma uslyszala, co mowie, skrzyczalaby mnie za bluznierstwo, ale Louis, to prawda. Czasami, jesli zima przeciagala sie zanadto i brakowalo zywnosci, Indianie z polnocy docierali w koncu do granicy, za ktora mogli tylko umrzec z glodu... albo zrobic cos innego.

-Kanibalizm? - spytal Louis. Jud wzruszyl ramionami.

-Moze. Moze wybierali kogos starego i slabego i przez jakis czas znow mieli co wlozyc do garnka. A wtedy powtarzali sobie historie, ze Wendigo przeszedl przez ich wioske czy oboz, gdy spali, i dotknal ich. Dotkniecie Wendigo mialo sprawiac, ze ludzie czuli nagle apetyt na mieso swych bliznich.

Louis przytaknal.

-Obchodzili tabu, mowiac, ze zmusil ich do tego diabel.

-Jasne. Osobiscie zgaduje, ze tutejsi Micmacowie musieli uciec sie do tego i pogrzebali kosci tego, kogo zjedli - moze paru osob, a moze nawet dziesieciu, dwudziestu - na swoim cmentarzysku.

-A potem uznali, ze ziemia sie zepsula - mruknal Louis.

-I tak oto Stanny B. poszedl na tyly stajni, pewnie po to, by pociagnac z flaszki - powiedzial Jud - juz i tak niezle ugotowany. Jego dziadek w chwili smierci byl wart jakis milion dolarow, tak przynajmniej mowili ludzie, natomiast Stanny B. pozostal tylko miejscowym biedakiem.

Spytał mnie, co się stało, a ja mu powiedziałem. Zobaczył, że płakalem i oznajmił, iż istnieje sposób, w jaki można to naprawić, jeśli mam dość odwagi i jestem pewien, że tego chce.

Odparłem, że oddałbym wszystko, byle tylko Spot znów wyzdrowiał i spytałem, czy zna weterynarza, który mógłby go wyleczyć. Nie znam żadnych weterynarzy, odparł Stanny, ale wiem, co zrobić z twoim psem, chłopcze. Wracaj do domu i powiedz ojcu, żeby wsadził psa do worka po ziarnie, ale nie grzeb go, o nie! Zaciagnij go na Cmentarz Zwierząt i połóż w cieniu wielkiego wiatrolomu. Potem wróć do domu jak gdyby nigdy nic.

Spytałem, co to da, i Stanny kazał mi tej nocy nie zasypiać i wyjść, gdy rzuci mi w okno kamieniem. "A zrobisz to o północy, chłopcze, jeśli więc zapomnisz o Stannym B. i zasniesz, Stanny zapomni o tobie i możesz się pożegnać z psem, niech idzie wprost do piekła!".

Jud spojrział na Louisa i zapalił kolejnego papierosa.

-Wszystko poszło tak, jak mówił Stanny. Kiedy wróciłem do domu, ojciec oznajmił, że zastrzelił Spota, żeby oszczędzić mu cierpienia. Nie musiałem nawet wspominać o Cmentarzu Zwierząt. Ojciec spytał mnie, czy według mnie Spot nie chciałby zostać tam pogrzebany, a ja odparłem, że chyba tak. No i poszedłem, włożyć za sobą mojego psa w worku po ziarnie. Tato spytał, czy ma mi pomóc, a ja odmówiłem, bo pamiętałem, co powiedział Stanny B.

Tej nocy leżałem w łóżku całe wieki, przynajmniej tak mi się zdawało. Wiesz, jak dzieci odbierają czas. Miałem wrażenie, że zaraz nastanie rano, a wtedy zegar wybijał dziesiątą, potem jedenastą. Kilka razy o mało nie przysnałem, lecz zawsze natychmiast się budziłem. Zupełnie jakby ktoś potrząsnął mną i rzekł: "Obudź się, Jud! Obudź się!". Jakby coś chciało, żebym nie zasnął.

Louis, słysząc to, unosił brwi i Jud wzruszył ramionami, jakby wiedział, że jego słowa brzmią dziwnie.

-Gdy zegar na dole wybił dwunastą, wstałem i usiadłem ubrany na łóżku. Za oknem świecił księżyc. Ledwie się obejrzałem, wybiło wpół do, potem pierwsza, a Stanny B. wciąż się nie pokazał. Pomyślałem sobie: Zapomniał o mnie, durny Francuz, i właśnie miałem zdjąć ubranie, gdy dwa kamyki rąbnęły o szybę, o mało jej nie tłukac. Jeden z nich uderzył z taką siłą, że szkło pękło, ale zauważyłem to dopiero następnego ranka, a matka dopiero w żłobie i sadziła, że to wina mrozu. Całe szczęście.

Podem podbiegłem do okna i podniosłem je. Zazgrzytało głośno, tak jak to bywa tylko w dzieciństwie, kiedy chcesz wyniknąć się po północy...

Louis zaśmiał się, choć nie pamiętał, by kiedykolwiek chciał wydostać się z domu w mroku po północy, gdy miał dziesięć lat. Nie wątpił jednak, iż gdyby miał taki zamiar, okno zatrzęszczałoby, choć za dnia nigdy się to nie zdarzało.

-Myslałem, że rodzice obudzą się, sadząc, że do domu próbują się włamać złodzieje. Gdy jednak moje serce uspokoiło się nieco, usłyszałem ojca wciąż chrapiącego jak parowóz w sypialni na parterze. Wyrzalem i ujrzałem Stanny'ego B. stojącego na podjeździe z podniesioną głową. Chwiał się na nogach, jakby zamiast słabego wietrzyku wiała wichura. Myślałem, że nie przyszedłby wtedy, gdyby nie to, że dotarł do tego etapu pijanstwa, kiedy człowiek jest przytomny jak przytruta sowa i nic go nie obchodzi. A potem wrzasnął na mnie - choć pewnie myślał, że szepcze - "Schodzisz, chłopcze, albo ja wejdę tam po ciebie!".

-Ciii - odparłem, smiertelnie przerażony, że ojciec obudzi się i zleje mnie tak jak jeszcze nigdy w życiu. "Co mówisz?" - spytał Stanny jeszcze głośniejszym głosem niż przedtem. Gdyby moi rodzice spali w pokoju od strony drogi, tak jak my teraz, byłbym skończony. Ale okna ich sypialni, tej samej, którą używamy obecnie z Norma, wychodziły na rzekę.

-Załóżę się, że cholernie szybko zbiegłem po schodach - wtracił Louis. - Masz jeszcze piwo? - Co prawda przekroczył już o dwie puszkę swój zwykły limit, ale tego wieczoru wydawało mu się to w porządku. Tego wieczoru czuł, że to jego obowiązek.

-Owszem, i wiesz, gdzie je znaleźć. - Jud zapalił kolejnego papierosa. Zaczekał, póki Louis znów nie usiadł. - Nie, nie odwagilibym się zejść po schodach. Przechodziły one obok sypialni rodziców. Zsunąłem się po kracie od bluszczu, jak najszybciej mogłem. Mówię ci, strasznie się bałem, ale bardziej niż wyprawy na Cmentarz Zwierząt ze Stannym B. obawiałem się ojca.

Zgniotł papierosa.

-Poszliśmy tam wtedy obydwaj i Stanny B. wywalił się chyba z pół tuzina razy. Był naprawdę urażony; smierdział, jakby wpadł do kadzi ze spirytusem. Raz o mało nie przebił sobie gardła patykiem. Ale miał ze sobą kilof i szpadel. Gdy dotarliśmy na Cmentarz Zwierząt, spodziewałem się, że poda mi je i padnie, podczas gdy ja będę kopał dół. Zamiast tego zdawało się, że nieco wytrzeźwiał. Powiedział, że idziemy dalej, przez wiatrolom, jeszcze głębiej w las, w miejsce, gdzie leży kolejny cmentarz. Spojrzałem na niego, tak pijanego, że ledwie trzymał się na nogach, potem na wiatrolom i powiedziałem: "Nie możesz się na to wdrapać, Stanny B. Skrecisz sobie kark".

"Nie skreśce sobie karku - odpowiedział. I ty też nie. Mogę iść, a ty możesz ciągnąć swojego psa". I miał rację. Pokonał wiatrolom gładko jak po masle, ani razu nie patrząc w dół. A ja powlokłem za sobą Spota, choć wazył prawie dwadzieścia kilo, a ja nieco ponad czterdzieści. Mówię ci, Louis, następnego dnia byłem okrutnie obolały. A jak ty czujesz się dzisiaj?

Louis nie odpowiedział. Jedynie skinał głową. Piwo zaczynało działać i cieszył się z tego.

-Szliśmy tak i szliśmy - ciągnął Jud. - Miałem wrażenie, że będzie to trwać wiecznie. W tamtych czasach lasy były bardziej niesamowite. Żył tu więcej ptaków, a człowiek nie

wiedział, co to za głosy wśród drzew. Wokół krzątały zwierzęta, głównie jelenie, ale były tu też losie, niedźwiedzie i dzikie koty. Wciąż wlokłem za sobą Spota. Po jakimś czasie zaczęło mi się wydawać, że Stanny B. zniknął, a ja idę tropem Indianina, który łąka moment odwróci się, ciemnooki i uśmiechnięty, z twarzą wymalowaną śmierdzącą farbą z niedźwiedziego sadła, w ręku będzie miał tomahawk z kawałkiem łupku i jesionowego drewna związanym rzemieniem, i złapie mnie za kark, po czym odrąbie mi skalp - razem z kawałkiem czaszki. Stanny nie potykał się już i nie upadał. Szedł łatwo i prosto, z podniesioną głową, co jeszcze wzmogło to wrażenie. Gdy jednak dotarliśmy na skraj Moczarów Małego Boga i odwrócił się, by ze mną pomówić, przekonałem się, że to wciąż Stanny, a powód, dla którego się już nie potykał i nie upadał, był prosty: on się bał. Wytrzeźwiał z przerażenia.

Powiedział mi te same rzeczy, które ja powiedziałem wczoraj tobie: o nurach, ogniach Świętego Elma i o tym, żeby nie zwracał uwagi na nic, co zobacze bądź usłysze. Przede wszystkim, powiedział, nie odzywaj się do niczego, co odezwie się do ciebie. Potem ruszył przez moczary. I rzeczywiście coś zobaczyłem. Nie powiem ci co, ale od tej pory byłem tam może pięć razy i nigdy więcej nie widziałem czegoś takiego. I nie zobacze, Louis, bo wczorajsza wyprawa na cmentarzysko Micmaców była moja ostatnia wyprawa.

Nie siedzę tu chyba i nie wierzę w to wszystko? - spytał sam siebie Louis - trzy piwa sprawiły, że przynajmniej w jego własnych myślach słowa te zabrzmiały swobodnie i naturalnie. Nie siedzę tu i nie wierzę w historie o starych Francuzach, indyjskich cmentarzyskach, czymś zwanym Wendigo i zwierzętach wracających do życia. Na miłość boską, kot był ogluszony, to wszystko. Samochód uderzył go i ogluszył. Nic wielkiego. To tylko gadanina dzieciinnego starca.

Tyle że tak nie było i Louis dobrze o tym wiedział. Trzy piwa nie mogły uciszyć tej wiedzy, tak jak nie zdołałyby tego zrobić trzydzieści trzy.

Po pierwsze, Church nie żył. Po drugie, teraz był żywy. A po trzecie, całkowicie się zmienił, było z nim coś nie w porządku. Coś się zdarzyło. Juda odwdziaczył mu się... lecz może lek dostępny na cmentarzysku Micmaców nie był do końca skuteczny i Louis dostrzegł w oczach Juda coś, co świadczyło, że starzec dobrze o tym wie. Przypomnił mu się wyraz oczu, który dostrzegł - bądź wydało mu się, że dostrzegł - u Juda zeszłego wieczoru. Podstępna złośliwa radość. Przypomnił sobie, jak myślał, że decyzja, by zabrać na nocną wyprawę Louisa z kotem Ellie, nie do końca należała do Juda.

A zatem do kogo? - spytał jego umysł. Ale ponieważ nie było odpowiedzi, Louis odepchnął od siebie to pytanie.

-Pogrzebałem Spota i zbudowałem mu kopiec - ciągnął beznamiętnie Juda. - Nim skończyłem, Stanny B. zdążył twardo zasnąć. Musiałem mocno nim potrząsać, żeby go dobudzić. Kiedy jednak zeszliśmy po czterdziestu czterech schodach...

-Czterdziestu pieciu - mruknal Louis. Jud przytaknal.

-Rzeczywiscie, czterdziestu pieciu. Kiedy zeszlismy po czterdziestu pieciu schodach, szedl pewnie, jakby znowu byl trzezwym. Wrocilismy przez moczary, las i wiatrolom, az wreszcie przeszlimy przez droge i znow dotarlismy do mojego domu. Mialem wrazenie, jakby minelo dziesiec godzin, wciaz jednak bylo zupełnie ciemno.

"I co teraz?" - spytalem Stanny'ego B.

"Teraz zaczekaj i zobacz, co moze sie zdarzyc" - odparl i odszedl, chwiejac sie i potykajac. Podejrzewam, ze reszte nocy spedzil na tylnych stajni. Okazalo sie tez, ze moj pies Spot przeyl Stanny'ego B. o dwa lata. Wysiadla mu watroba i zatrula go. Dwoje dzieciakow znalazlo go czwartego lipca tysiac dziewiecset dwunastego roku, sztywnego jak kloda.

Ale tamtej nocy wdrapalem sie po bluszczu, wsunalem do lozka i zasnałem niemal w tej samej chwili, gdy glowa dotknałem poduszki.

Nastepnego ranka spałem prawie do dziewiatej. Nagle uslyszalem glos matki. Wolala mnie. Moj tato pracowal na kolei i wychodzil o szostej. - Jud urwal, zastanawiajac sie nad czyms. - Matka nie wolala mnie tak po prostu, Louis. Naprawde krzyczala.

Jud podszedl do lodowki, wyjal flaszke millera i otworzyl ja o uchwyt szuflady pod pojemnikiem na chleb i tosterem. W blasku zarowki jego twarz wygladala dziwnie zolto, miala barwe nikotyny. Jednym lykiem do polowy oproznil butelke, beknal jak z armaty i obejrzal sie w strone pokoju, w ktorzym spala Norma. W koncu spojrzal na Louisa.

-Trudno mi o tym mowic - rzekl. - Calymi latami dusilem to w sobie, ale nigdy nikomu nie powiedzialem. Inni wiedzieli, co sie stalo, lecz nie wspominali o tym. To cos tak jak z seksem. Mowie ci to teraz, Louis, bo od dzis masz inne zwierz. Nie niebezpieczne... ale inne. Nieprawdaz?

Louis pomyslal o Churchu zeskakujacym niezrecznie z deski klozetowej, o jego zadzie tracajacym z loskotem bok wanny, o metnych oczach, prawie, lecz nie do konca pustych, spogladajacych wprost na niego.

W koncu przytaknal.

-Kiedy zszedlem, matka stala w kacie spizarni, miedzy skrzynia z lodem i kredensem. Na podlodze lezalo cos bialego - firanki, ktore zamierzala powiesic - a w drzwiach spizarni stal Spot, moj pies, caly pokryty ziemia, z zabloconymi lapami. Futro na jego brzuchu bylo brudne, splatane i potargane. Po prostu tam stal - nie warczal ani nic takiego - tylko stal. Lecz wyraznie widzialem, ze to on zagnal ja do kata - czy tego chcial, czy nie. Byla przerazona, Louis. Nie wiem, co czules do wlasnych rodzicow, ale ja bardzo oboje kochalem. Swiadomosc, ze zrobilem cos, co tak przerazilo matke, pozbawila mnie radosci, ktora moglem poczuc na widok Spota. Nie czulem nawet zdziwienia, ze tam byl.

-Znam to uczucie - wtracił Louis. - Kiedy dziś rano zobaczyłem Churcha, po prostu wyglądało to, no... - Urwał. Zupełnie naturalnie? Umysł podsunał właśnie te słowa, ale nie zabrzmiały właściwie. - Jak coś, co miało się zdarzyć.

-Tak - przytaknął Jud i zapalił papierosa. Jego dłonie lekko drżały. - A kiedy matka zobaczyła mnie tam, stojącego w bieliznie, krzyknęła: "Nakarm swojego psa, Jud. Musisz go nakarmić. Zabierz go stąd, zanim zabrudzi firanki!".

Znalazłem trochę resztek i go zawolałem, i z początku nie przyszedł, jakby nie znał swojego imienia, i prawie już pomyślałem: To w ogóle nie jest Spot, to jakiś kundel, który wygląda jak Spot i tyle...

-Właśnie! - krzyknął Louis tak gwałtownie, że zaskoczył samego siebie.

Jud skinął głową.

-Lecz kiedy zawolałem go drugi, trzeci raz, przyszedł. Podeszedł do mnie chwiejnym szarpanym krokiem, a gdy wyprowadziłem go na werandę, niech mnie licho, jeśli nie wpadł na krawędź drzwi i mało nie upadł. Zjadł jednak resztki, pożarł je z wielkim apetytem. Do tego czasu minal już pierwszy strach i zaczynałem orientować się, co zaszło. Uklakłem i usciskałem go, tak bardzo cieszyłem się, że jest ze mną. Przez sekunde przestraszyłem się, że go sciskam i - chyba to sobie wyobraziłem, ale jednak - wydało mi się, że warknął. Tylko przez sekunde, potem oblizal mi twarz i...

Jud zadrzał i dokończył piwo.

-Louis, jego język był zimny. Kiedy Spot mnie lizal, to jakby ktoś potarł mi twarz martwą rybą.

Przez chwilę obaj milczeli. W końcu Louis rzekł:

-Mów dalej.

-Zjadł, a kiedy skończył, wyniosłem starą wannę, którą trzymaliśmy specjalnie dla niego pod schodami tylnej werandy, i wykapalem go. Spot nienawidził kąpieli, zazwyczaj musieliśmy go kapać we dwóch z tatą, a pod koniec obaj ociekaliśmy wodą, ojciec przeklinał, a Spot sprawiał wrażenie zawstydzonego, jak to zwykle psy. Najczęściej też od razu tarzał się w kurzu, po czym podchodził do sznura na bieliznę matki, by się otrzepać, i brudził całe pranie, a ona wrzeszczała na nas obu, że wcześniej czy później zastrzeli go jak kundla.

Lecz tego dnia Spot po prostu siedział w wannie i pozwolił mi się umyć. Ani razu nie drgnął. Nie podobało mi się to. Zupełnie jakbym... mył kawał mięsa. Później przyniosłem stary recznik i wytarłem go. Widziałem miejsca, w których nadział się na drut kolczasty - nie rosło na nich futro, a ciało sprawiało wrażenie wglebionego, zupełnie jak stara rana, która zblizniła się kilka lat wcześniej, jeśli kiedykolwiek widziałeś coś takiego.

Louis przytaknal. W pracy od czasu do czasu zdarzalo mu sie ogladac podobne blizny. Rana nigdy nie wypelniala sie do konca i widok ow sprawial, ze zaczynal myslec o grobach i czasach, gdy jako dzieciak pracowal w przedsiebiorstwie pogrzebowym i odkrywal, ze zawsze brakuje ziemi, by do konca zasypac dol.

-A potem ujrzałem jego głowę. Było tam kolejne zagłębienie, lecz tym razem sierść odrosła, tworząc małe białe kolko. Tuz obok ucha.

-W miejscu, gdzie postrzelił go twój ojciec - domyslił się Louis.

Jud skinal głową.

-Ano.

-Strzał w głowę człowieka lub zwierzęcia nie jest tak pewny, jak się wydaje, Jud. Na oddziałach spotykałem niedoszłych samobójców, żywe rośliny karmione przez rurki. Jest też sporo ludzi, którzy chodzą po świecie jak gdyby nigdy nic. Nie wiedzieli, że kula może odbić się od kości czaszki i zatoczyć łuk, wylatując z drugiej strony, nie uszkodziwszy mózgu. Osobście widziałem jeden przypadek, w którym gość strzelił sobie w głowę nad prawym uchem i umarł, ponieważ kula okrzyła jego czaszkę i rozdarła arterie po drugiej stronie szyi. Pozostawiona przez nią ścieżka przypominała rysunek wiejskiej drogi na mapie.

Jud uśmiechnął się i przytaknął.

-Pamiętam, jak czytałem o czymś takim w jednej z gazet Normy, "Star" albo "Enquirerze", jednej z nich. Ale jeśli mój tato twierdził, że Spot nie żył, Louis, to nie żył.

-No dobrze - ustąpił Louis.

-Czy kot twojej córki nie żył?

-Z pewnością tak myślałem.

-Musisz postarać się lepiej. Jesteś lekarzem.

-W twoich ustach to brzmi jak "Musisz postarać się lepiej, Louis. Jesteś Bogiem". Nie jestem Bogiem. Było ciemno...

-Owszem, było ciemno, a jego głowa kołysała się na szyi jak worek pełen łozysk kulkowych. Gdy go ruszyłeś, musiałeś go oderwać, bo przymarzył do ziemi - zupełnie jakbyś odrywał od listu taśmę klejącą. Żywe istoty nie przymarzają. Kiedy szron przestaje topić się pod nami, to znaczy, że jesteśmy martwi.

W sąsiednim pokoju zegar wybił w poł do jedenastej.

-Co powiedział twój ojciec, kiedy wrócił i zobaczył psa? - spytał z ciekawością Louis.

-Byłem wtedy na podjeździe, grałem w kulki. Prawde mówiąc, czekałem na niego. Czulem się jak zawsze, kiedy zrobiłem coś złego, i wiedziałem, że pewnie dostanę w skóre. Przeszedł przez bramę około osmej, ubrany w farmerki i płocienna czapkę - widziałeś kiedy taka?

Louis przytaknął, po czym stłumił ziewnięcie, zasłaniając dłońmi usta.

-Owszem, robi się późno - rzekł Jud. - Powinienem kończyć.

-Nie jest aż tak późno - nie zgodził się Louis. - Po prostu trochę przekroczyłem mój dzienny limit piwa. Mów dalej, Jud. Nie spiesz się. Chcę to usłyszeć.

-Tato miał starą puszkę po smalcu, w której chował obiad - ciągnął Jud. - Przeszedł przez bramę, wymachując pustą puszką, którą trzymał za rączkę. Coś gwizdał. Robiło się ciemno, ale dostrzegł mnie w półmroku i rzekł: "Cześć, Judkins!", jak zwykle. A potem: "Gdzie twoja...".

W tym momencie z ciemności wynurzył się Spot. Nie biegł jak zwykle, gotów skoczyć na niego z radości. Po prostu szedł, machając ogonem, a ojciec upuścił puszkę i cofnął się o krok. Sam nie wiem, ale mam wrażenie, że odwróciłby się i uciekł, gdyby nie to, że natrafił plecami na ogrodzenie i zatrzymał się, patrząc na psa. A kiedy Spot skoczył wreszcie na niego, ojciec złapał go za łapy i przytrzymał jak damę tuż przed tym, nim ruszysz z nią do tanca. Długi czas przyglądał się psu, a potem spojrzał na mnie i powiedział: "Powinieneś go wykopać, Jud. Śmierdzi ziemią, w której go pogrzebałeś". To rzekłszy poszedł do domu.

-I co zrobiłeś? - chciał wiedzieć Louis.

-Znowu go wykopałem. Siedział bez ruchu w wannie, akceptując wszystko. A kiedy wróciłem do domu, matka już się położyła, choć nie minęła jeszcze dziewiąta. Tato rzekł: "Musimy pogadać, Judkins". Usiadłem naprzeciw niego i zaczął ze mną rozmawiać, po raz pierwszy w życiu jak mężczyzna z mężczyzną. Z drugiej strony drogi, z miejsca, gdzie teraz stoi twój dom, dobiegał zapach wiciokrzewów, mieszający się z wonią dzikich róż z naszego własnego domu. - Jud Crandall westchnął. - Zawsze myślałem, że dobrze byłoby pomówić z nim w ten sposób, ale nie było dobrze. Wcale a wcale. A dzisiejszy wieczór, Louis - zupełnie jakbym spojrzał w lustro ustawione dokładnie naprzeciw drugiego lustra i zobaczył samego siebie znikającego w korytarzu odbić. Ciekawe, ile razy ludzie powtarzali sobie te historie, wciąż taka sama, poza zmieniającymi się imionami? To też przypomina seks, prawda?

-Twój tato wiedział o wszystkim?

-Ano. "Kto cię tam zaprowadził, Jud?" - spytał. A ja mu powiedziałem. Przytaknął bez słowa, jakby się tego spodziewał. I pewnie tak było, choć później dowiedziałem się, że w owych czasach w Ludlow żyło sześć, może osiem osób, które mogły mnie tam zabrać. Pewnie wiedział, że tylko Stanny B. jest dość szalony, by mi powiedzieć.

-Spytales go, czemu sam cie tam nie zabral, Jud?

-Owszem. Gdzies w trakcie dlugiej rozmowy zadalem to pytanie, a on odparl, ze to zle miejsce, naprawde zle i rzadko przynosilo cos dobrego ludziom, ktorzy stracili swoje zwierzeta, czy tez samym zwierzetom. Spytal, czy lubie Spota takiego, jakim sie stal i, wiesz, Louis, strasznie trudno bylo mi odpowiedziec. To wazne, bym dokladnie ci to wyjasnil, bo wczesniej czy pozniej spytasz mnie, czemu zaprowadzilem cie tam z kotem twojej corki, skoro to cos zlego. Nieprawdaz?

Louis skinal glowa. Co Ellie pomysli o Churchu, kiedy wroci? Mysl ta dreczyła go, gdy tego popołudnia grali ze Steve'em Mastertonem w racquetball.

-Moze zrobilem to, poniewaz dzieci powinny sie dowiedziec, ze smierc bywa lepsza - rzekl z trudem Jud. - To cos, o czym twoja Ellie nie ma pojecia i mam wrazenie, ze nie wie tego, bo twoja zona tez tego nie wie. Prosze, powiedz mi, ze sie myle i zostawimy te sprawe.

Louis otworzyl usta i zamknal je.

Jud ciagnal dalej, bardzo powoli wymawiajac kolejne slowa, przeskakujac od jednego do drugiego ostroznie niczym po kepach trawy na Moczarach Malego Boga poprzedniego wieczoru.

-Mijaly lata, a ja widzialem, jak to sie dzialo, raz za razem. Chyba wspominalem ci, ze Lester Morgan pochowal tam swojego byka zarodowego, rasowego buhaja imieniem Hanratty. Czyz to nie glupie imie dla byka? Zdechl na jakis wrzod i Lester zaciagnal go na miejsce na saniach. Nie mam pojecia, jak mu sie to udalo, jak zdolal pokonac wiatrolom, ale powiadaja, ze jesli chcesz cos zrobic, to zrobisz. I uwazam, ze to prawda, przynajmniej jesli chodzi o tamten cmentarz.

No coz, Hanratty wrocil, ale Lester zastrzelil go dwa tygodnie pozniej. Byk stal sie zlosliwy, naprawde zlosliwy, ale to jedyne zwierzec, ktore w ten sposob sie zmienilo. Wiekszosc zdawala sie jedynie nieco glupia, odrobine powolna, odrobine...

-Odrobine martwa?

-Wlasnie - przytaknal Jud. - Odrobine martwa. Nieco dziwna. Zupelnie jakby byly... gdzies... i wrocily... ale nie do konca. Twoja corka nie bedzie o tym wiedziec, Louis. Nie zorientuje sie, ze jej kot wpadl pod samochod, zginal i powrocil. Moglbys wiec powiedziec, ze nie da sie nauczyc czegos dziecka, skoro nie wie ono nawet, czego sie uczy. Tyle ze...

-Tyle ze czasami to mozliwe - wtracil Louis, mowiac bardziej do siebie niz do Juda.

-Owszem - zgodzil sie Jud. - Czasami to mozliwe. Zorientuje sie, ze cos sie stalo i Church wczesniej byl jakby lepszy. Moze czesciowo dowie sie, na czym polega smierc, ze to chwila, w ktorej konczy sie bol, a zaczynaja dobre wspomnienia. Nie koniec zycia, lecz

koniec bolu. Nie musisz jej tego mowic, sama dojdzie do wszystkiego.

A jesli choc troche mnie przypomina, nadal bedzie kochac swe zwierze. Kot nie stanie sie zlosliwy, nie zacznie gryzc czy cos takiego. Bedzie go kochala, ale... wyciagnie wlasne wnioski... i kiedy w koncu Church umrze, odetchnie z ulga.

-To dlatego mnie tam zabrales. - Louis czul sie lepiej. Mial wreszcie wyjasnienie. Bylo nieco metne i bardziej opieralo sie na logice ciala i nerwow niz rozsadnego umyslu, lecz zwazywszy na okolicznosci, uznal, ze zdola je zaakceptowac, a to znaczylo, ze moze juz zapomniec wyraz, ktory, jak mu sie zdawalo, dostrzegl na twarzy Juda zeszlego wieczoru - te mroczna, podstepna radosc. - No dobra, czyli...

Gwałtownie, niemal szokujaco nagle, Jud ukryl twarz w dloniach. Przez moment Louisowi wydalo sie, ze dopadl go nagly bol. Na wpol podniosl sie z krzesla zatroskany, potem jednak dostrzegl gwałtowne ruchy zeber i pojal, iz starzec z najwyzszym trudem powstrzymuje placz.

-Dlatego, ale i nie dlatego - rzekl zduszonym, zdlawionym glosem. - Zrobilem to z tego samego powodu, z jakiego zrobil to Stanny B. i z jakiego Lester Morgan to zrobil. Lester zabral na cmentarz Linde Lavesque po tym, jak jej pies wpadl pod samochod na drodze. Zabral ja tam, choc sam musial pozbyc sie byka, ktory ganial dzieci po pastwisku, zupełnie jakby oszalal. I tak to zrobil. Musial, Louis - niemal wyjeczal Jud. - I co ty na to, na rany Chrystusa?

-Jud, o czym ty mowisz? - spytal zaniepokojony Louis.

-Lester to zrobil i Stanny to zrobil, z tego samego powodu co ja. Robisz tak, bo to miejsce ma nad toba wladze. Robisz tak, bo to sekretne miejsce, a ty chcesz podzielic sie z kims tym sekretem. I kiedy znajdziesz powod, ktory uznasz za dostatecznie dobry, po prostu... - Jud oderwal dlonie od twarzy i spojrzal na Louisa oczami, ktore zdawaly sie niewiarygodnie stare i znuzone. - Po prostu to robisz. Wymyulasz sobie powody, wydaja ci sie dobre, lecz glownie robisz tak, bo tego chcesz albo dlatego ze musisz. Moj tato nie zabral mnie tam, bo tylko slyszal o tym miejscu, ale nigdy tam nie byl. Stanny B. byl... i zaprowadzil mnie... a potem minelo siedemdziesiat lat i wreszcie, nagle...

Jud potrzasnal glowa i odkaszlnal sucho.

-Posluchaj - rzekl. - Posluchaj, Louis. Byk Lestera to jedyne cholerne zwierze, ktore stalo sie naprawde zle. Zdaje sie, ze kundel panny Lavesque ugryzl kiedys listonosza, juz po. Slyszalem tez kilka innych rzeczy. Zwierzaki stawaly sie nieco zlosliwe... lecz Spot pozostal dobrym psem. Zawsze smierdzial ziemia, niewazne, ile razy go kapalem, zawsze smierdzial ziemia. Ale byl dobrym psem. Moja matka juz nigdy go nie dotknela, ale nadal byl dobrym psem. Mimo to, Louis, gdybys chcial wyprowadzic dzis na dwor swego kota i zabic go, nie powiedzialbym ani slowa.

Tamto miejsce... natychmiast zyskuje nad toba władze... i wymyślasz sobie najbardziej przekonujące powody na świecie... ale może się mylic, Louis. To wszystko, co chciałem powiedzieć. Lester mógł się mylic, Stanny B. mógł się mylic. Nie jestem przecież Bogiem. Lecz przywracanie życia umarłym... to zupełnie tak jak zabawa w Boga, prawda?

Louis ponownie otworzył usta, ale je zamknął. To, co zamierzał powiedzieć, zabrzmiałoby źle, źle i okrutnie: Jud, nie przeszedłem przez to wszystko tylko po to, by znowu zabić tego cholernego kota.

Jud opróżnił do końca butelkę i ustawił ją ostrożnie obok innych.

-To chyba wszystko - rzekł. - Skonczyłem.

-Może ci zadać jeszcze jedno pytanie? - spytał Louis.

-Chyba tak.

-Czy ktokolwiek pogrzebał tam kiedyś człowieka? Reka Juda szarpnęła się gwałtownie. Dwie butelki po piwie spadły ze stołu, jedna stłukła się z trzaskiem.

-Chryste Panie w Niebiesiech! - rzekł do Louisa. - Nie! Kto chciałby to zrobić? Nie powinien nawet mówić o takich rzeczach, Louis.

-Po prostu byłem ciekaw - odparł Louis niespokojnie.

-Pewnych rzeczy nie należy być ciekawym - odparł Jud Crandall, i po raz pierwszy Louisowi Creedowi wydał się naprawdę stary i niedolezny. Jakby stał tuż nad świeżo wykopanym grobem.

Później w domu wygląd Juda w tamtej chwili skojarzył mu się z czymś jeszcze.

Jud wyglądał, jakby kłamał.

27.

Louis nie wiedział, że jest pijany, poki nie dotarł do własnego garażu. Na zewnątrz świeciły gwiazdy i lodowaty rąbek księżycy, nie dawały dość światła, by rzucić cień, lecz wystarczająco wiele, by widzieć. Gdy znalazł się w garażu, oslepił. Gdzieś na ścianie był przełącznik, ale Louis nie mógł sobie przypomnieć gdzie. Powoli wymacał drogę, szurając nogami. Kreciło mu się w głowie i w każdej chwili oczekiwał bolesnego uderzenia w kolano bądź zetknięcia z zabawką, o którą się potknie, a wtedy mógłby się wystraszyć, czy nawet upaść i zrobić sobie krzywdę. Mogłoby to być mały rower Ellie z czerwonymi bocznymi kolkami lub chodzik Gage'a.

Gdzie był kot? Czy zostawił go w domu?

Dziwnym trafem zbczyli z kursu i wpadli na sciane. Poczul, jak w dlon wbija mu sie drzazga i krzyknal w ciemnosci "Cholera!"; dopiero wypowiedziawszy to slowo, odkryl, ze zabrzmial w nim nie tylko gniew, lecz przede wszystkim strach. Caly garaz wydawal sie obcy, podstepny. Nie chodzilo tylko o przelacznik; teraz nie wiedzial juz nawet, gdzie znalezc cokolwiek, lacznice z drzwiami do kuchni.

Znow ruszyl naprzod, wolno i ostroznie. Bolala go dlon. Tak pewnie wygladalaby slepota, pomyslal, i to sprawilo, ze przypomniat sobie koncert Stevie Wondera, na ktory poszli z Rachel - kiedy? Szesc lat temu? Niewiarygodne, ale prawdziwe. Byla wtedy z ciazy z Ellie. Dwoch mezczyzn doprowadzilo Wondera do syntezatora, pomagajac mu bezpiecznie przekroczyc wijace sie po scenie kable, tak by sie nie potknal. A pozniej, gdy wstal, zeby zatanczyc z jedna z chorzystek, ta poprowadzila go ostroznie na skrawek wolnego miejsca. Louis pamietal, ze pomyslal wtedy, iz Wonder dobrze tanczy. Dobrze tanczyl, ale potrzebowal czyjejs reki, by doprowadzila go w miejsce, gdzie mogl to robic.

Co powiedzialbys teraz na reke, ktora doprowadzilaby cie do drzwi kuchennych? - pomyslal... i zadrzal gwaltownie.

Gdyby w tym momencie z ciemnosci wynurzyla sie pomocna dlon, zaczalby krzyczec - krzyczec i krzyczec bez konca.

Stanal bez ruchu z bijacym sercem. No dalej, powiedzial sobie. Skoncz z tymi glupotami i chodz.

Gdzie ten pieprzony kot?

I wtedy rzeczywiscie wpadl na cos, na tylny zderzak swojej hondy. Bol z goleni poszybowal w gore ciala, do oczu Louisa naplynely lzy. Pospiesznie chwycil noge i roztarl, stojac na drugiej niczym czapla. Przynajmniej jednak wiedzial teraz, gdzie sie znajduje, znow dokladnie pamietal rozklad garazu, a poza tym powoli odzyskiwal wzrok. Blogoslawione widzenie w ciemnosci. Teraz przypomniat sobie, ze istotnie zostawil kota w domu, bo nie chcial go dotknac, podniesc i wyrzucic, i...

I wlasnie w tym momencie gorace wlochate cialo Churcha przemknelo wzdluz jego kostki niczym prad goracej wody, ohydny ogon owinal sie wokol jego lydki niczym podstepny waz i wtedy Louis krzyknal; otworzyl szeroko usta i krzyknal.

28.

-Tato! - krzyknela Ellie. Rzucila sie pedem ku niemu, wymijajac w biegu innych wysiadajacych pasazerow z wprawa wytrawnego futbolisty. Wiekszosc ludzi z usmiechem schodzila jej z drogi. Louis, lekko zaklopotany zapalem corki, poczul jednak, ze jego wlasna twarz takze rozjasnia szeroki usmiech.

Rachel dzwigala w ramionach Gage'a, ktory, widzac ojca i slyszac okrzyk Ellie, rowniez

wrzasnal z zachwytem: "Taaaaaaa!" i zaczal wiercic sie w objeciach matki. Ta usmiechnela sie (z lekkim znuzeniem, pomyslal Louis) i postawila go na ziemi. Gage natychmiast pobiegl za Ellie, przebierajac mocnymi nozkami. - Taaaaooo! Taaaa!

Louis ledwie zdazyl zauwazyc, iz chlopczyk ma na sobie bluze, ktorej dotad nie widzial - najpewniej to sprawka dziadka - gdy Ellie skoczyla ku niemu, wdrapujac sie na ojca jak na drzewo.

-Czesc, tato! - ryknela i tak mocno klepnela go w policzek, ze nastepny kwadrans dzwonilo mu w uchu.

-Czesc, zlotko - odparl, nachylajac sie, by zlapac Gage'a. Dzwignal synka i usciskal oboje. - Ciesze sie, ze wrociliscie.

W tym momencie podeszla do nich Rachel. Na jednym ramieniu niosla torbe podrozna i niewielka torebke, na drugim - paczke pieluch Gage'a (na opakowaniu wypisano NIEDLUGO BEDE JUZ DUZY, slowa majace bardziej pocieszyc rodzicow niz zainteresowac dziecko). Wygladala jak zawodowy fotograf pod koniec dlugiej, meczacej sesji.

Louis schylil sie miedzy dziecmi i ucalowal ja w usta.

-Hej.

-Hej, doktoru. - Usmiechnela sie.

-Wygladasz na skonana.

-Jestem skonana. Bez problemow dotarlismy do Bostonu. Bez problemow przesiedlismy sie i wystartowalismy. Ale w chwili, gdy samolot kolowal nad miastem, Gage spojrzal w dol, powiedzial "Ladnie, ladnie" i caly sie obrzygal.

-Jezu! - jeknal Louis.

-Przebralam go w lazience - ciagnela. - To raczej nie wirus ani nic takiego. Po prostu choroba powietrzna.

-Chodzie do domu. Na kuchence czeka chilli.

-Chilli! Chilli! - krzyknela entuzjastycznie Ellie wprost w ucho ojca, dajac sie porwac radosci i podnieceniu.

-Chijiii! Chiiijiii! - wrzasnal Gage z drugiej strony. Teraz przynajmniej Louisowi dzwonilo w obu uszach.

-No dalej - powiedzial. - Bierzmy walizki i spadajmy stad.

-Tatusiu, jak sie miewa Church? - spytala Ellie, gdy sadzal ja w samochodzie. Louis spodziewal sie tego pytania, nie oczekiwal jednak niespokojnej miny corki i glebokiej zmarszczki pomiedzy jej ciemnoniebieskimi oczami. Uniosl brwi i spojrzal na zone.

-W weekend obudzila sie z krzykiem - wyjasnila cicho Rachel. - Miala zly sen.

-Snilo mi sie, ze Church wpadl pod samochod - dodala Ellie.

-Zbyt wiele kanapek z indykiem po wielkim dniu, takie jest moje zdanie - oznajmila Rachel. - Miala tez lekkie rozwolnienie. Uspokoj wiec ja, Louis, i wynosmy sie z tego lotniska. Przez ostatni tydzien widzialam dosc lotnisk. Starczy mi na najblizszych piec lat.

-Church ma sie dobrze, zlotko - odrzekl wolno Louis.

Tak, dobrze. Calymi dniami wyleguje sie w domu i obserwuje mnie tymi dziwnymi, metnymi oczami - zupełnie jakby tamtej nocy zobaczyl cos, co zniszczilo w nim nawet te mizerna resztkę kociej inteligencji. Miewa sie swietnie. Wieczorami wypycham go z domu szczotka, bo nie chce go dotykac. A ostatnio, kiedy otworzylem drzwi, trzymal w pysku mysz - czy raczej to, co z niej zostalo. Rozwlokl flaki i zjadal na sniadanie. A skoro juz mowa o sniadaniu, to ja tego ranka zrezygnowalem z mojego. Poza tym...

-Nic mu nie jest.

-Och! - zmarszczka pomiedzy jej oczami wygladzila sie. - To dobrze. Kiedy mialam ten sen, bylam pewna, ze zginal.

-Naprawde? - Louis usmiechnal sie. - Sny sa zabawne, prawda?

-Snyyyyy! - ryknal Gage. Wszedl wlasnie w etap papugowania wszystkiego; Louis dobrze go pamietal z dzieciństwa Ellie. Malec chwycil garśc wlosow Louisa i szarpnal z takim zapalem, ze ojcu pokazaly sie gwiazdy.

-No dalej, kochani - rzucil Louis i razem ruszyli po odbior bagazu.

Dotarli juz do stojacego na parkingu samochodu, gdy Gage zaczal powtarzac: "Ladnie, ladnie" dziwnym, przerywanym czkawka glosem. Tym razem zwymiotowal na Louisa, wprost na grubo tkane spodnie, ktore Louis wlozyl specjalnie na powitanie rodziny. Najwyrazniej w opinii Gage'a "ladnie" oznaczalo w istocie "Uwaga, odsuncie sie, zaraz zwymiotuje".

Okazalo sie, ze to jednak byl wirus.

Nim pokonali dwadziescia piec kilometrow, dzielacych dom w Ludlow od bangorskiego lotniska, Gage zaczal zdradzac objawy goraczki i zapadl w niespokojna drzemke. Louis powoli wprowadzil auto do garazu. Katem oka dostrzegl Churcha przemykajacego pod

ściana z wysoko uniesionym ogonem. Jego dziwne oczy spoglądały wprost na samochód. Po sekundzie kot rozplynał się w gasnacym blasku dnia i moment później Louis ujrzał następną rozszarpaną mysz obok stosu czterech letnich opon - podczas nieobecności Rachel i dzieci założył zimowe. Wnętrznosci zwierzątka polyskiwały w półmroku wilgotna czerwienia. Mysz nie miała głowy.

Louis szybko wstał zza kierownicy i z rozmysłem wpadł na opony, ułożone jedna na drugiej niczym olbrzymie pionki do warcabów. Dwie z nich spadły, zakrywając mysz.

-Auc! - westchnął.

-Niezgrabiasz z ciebie, tato - zauważyła miłym tonem Ellie.

-Zgadza się - odparł Louis z udanym rozbawieniem. Miał wrażenie, że zaraz powie "Ladnie, ładnie" i zwróci cały swój obiad. - Tatus to niezgrabiasz.

Nie pamiętał, by przed swym niesamowitym zmartwychwstaniem Church kiedykolwiek zabił choć jedną mysz. Czasami osaczał je i bawił się z nimi w śmiertelne kocie zabawy, nieodmiennie kończące się zagładą, ale on sam, Rachel bądź Ellie zawsze zdążyli interweniować, nim stało się najgorsze. A po kastracji koty najczęściej nawet nie spojrzę na mysz, przynajmniej póki same mają coś jeść.

-Będziesz tak stał i snił na jawie, czy pomożesz mi z dzieckiem? - spytała Rachel. - Doktorze Creed, proszę wracać z planety Mongo. Ziemia pana potrzebuje. - W jej głosie brzmiało znużenie, zmieszane z irytacją.

-Przepraszam, słonko. - Louis poszedł po Gage'a, gorącego jak rozżarzony piecyk.

I tak tego wieczoru tylko troje z nich zjadło słynne chilli Louisa; Gage położył na sofie w salonie, rozpalony i apatyczny, sacząc z butelki ledwo letni bulion i oglądając kreskówki.

Po obiedzie Ellie podeszła do drzwi garażu i zawołała Churcha. Louis, który zmywał naczynia, podczas gdy Rachel rozpakowywała na gorze torby, miał cichą nadzieję, że kot się nie zjawi, lecz przyszedł, zbliżając się swoim nowym niezgrabnym krokiem, i to niemal natychmiast, jakby on, a raczej to czyhało w pobliżu. Czyhało. Słowo to samo przyszło mu na myśl.

-Church! - krzyknęła Ellie. - Cześć, Church! - Podniosła kota i przytuliła go. Louis obserwował ją kątem oka; jego dłonie, jeszcze przed sekundą grzebiące w zlewie w poszukiwaniu brudnych sztućców, zamarły. Ujrzał, jak uszczesliwiona mina Ellie ulega powolnej zmianie. Kot leżał bez ruchu w jej ramionach, tuląc uszy. Patrzył wprost na nią.

Po długiej - Louisowi zdawało się, że bardzo długiej - chwili dziewczynka postawiła Churcha na ziemi. Kot odszedł powoli w kierunku jadalni, nie oglądając się za siebie. Kat małych stworzeń, pomyślał Louis niespokojnie. Chryste, co my zrobiliśmy tamtego wieczoru?

Naprawde probowal sobie przypomniec, lecz wspomnienia zaczynaly juz blednac, tak jak paskudna smierc Victora Pascowa na podlodze sali przyjec w przychodni. Pamietal wietrzna rzeke na niebie i bialy polysk sniegu na lakach sasiadujacych z lasem. Nic wiecej.

-Tatusiu? - zagadnela Ellie cichym, pokornym glosem.

-Tak, Ellie?

-Church dziwnie pachnie.

-Naprawde? - Louis bardzo uwazal, by nie dac niczego po sobie poznac.

-Tak! - Byla wyraznie poruszona. - Naprawde! Nigdy przedtem tak nie pachnial! Smierdzi jak... smierdzi jak ka-ka!

-Moze wytarzal sie w czymś paskudnym, kotku. Cokolwiek to jest, minie.

-Mam taka nadzieje - oznajmila dziewczynka komicznie powaznym tonem. Odeszla.

Louis znalazl ostatni widelec, oplukal go i wyciagnal korek. Stal przy zlewie, spogladajac w noc, podczas gdy woda z plynem z glosnym gulgotem znikala w odpływie.

Kiedy ow odglos ucichl, Louis uslyszal szum wiatru, wysoki, szalony dzwiek, dobiegajacy z polnocy, niosacy ze soba zime. Nagle pojal, ze sie boi, tak jak boimy sie, kiedy niespodziewanie chmura przesloni slonce, a my slyszymy dochodzace nie wiadomo skad tykanie.

-Trzydziesci dziewiec stopni?! - spytala Rachel. - Jezu, Lou! Jestes pewien?

-To wirus - odparl spokojnie Louis. Staral sie nie zwracac uwagi na nieprzyjazny, niemal oskarzycielski ton zony. Miala za soba ciezki dzien, pokonala z dziecmi pol kraju, dochodzila jedenasta, a o snie nie moglo byc mowy. Ellie juz dawno spala smacznie w swoim pokoju, natomiast Gage lezal w ich lozku w stanie najbardziej przypominajacym polswiadomosc. Godzine wczesniej Louis podal mu pierwsza porcje aspiryny w plynie. - Do rana aspiryna zbije goraczke.

-Nie podasz mu ampiciliny czy czegos takiego?

-Gdyby mial grype albo infekcje bakteryjna - wyjasnil cierpliwie Louis - zrobilbym to, ale nie ma. To wirus, takie leki nie dzialaja na wirusy. Dostalby tylko biegunki i jeszcze bardziej sie odwodnil.

-Jestes pewien, ze to wirus?

-Moze chcesz sie poradzić drugiego lekarza? - warknal Louis. - Prosze bardzo.

-Nie musisz na mnie krzyczeć! - wrzasnęła Rachel.

-Nie krzychałem! - odkrzyknął Louis.

-A właśnie że tak! - zaczęła Rachel. - Właśnie, że krzy-krzy-krzy... - Jej usta zadrzały, uniosła dłoń. Louis dostrzegł pod jej oczami ciemne szarobrazowe śluzki i zawstydzil się.

-Przepraszam. - Usiadł obok niej. - Chryste, nie wiem, co się ze mną dzieje. Przepraszam cię, Rachel.

-Nigdy nie narzekaj, nigdy się nie tłumacz - odparła ze słabym uśmiechem. - Czy nie to zawsze powtarzasz? Podróż była okropna. I bałam się, że dostaniesz szalu, kiedy zajrzysz do szuflady w szafie Gage'a. Może powinnam powiedzieć ci teraz, poki jest ci mnie żal.

-Czemu miałbym wpadać w szal? Znow ten słaby uśmiech.

-Moja matka i ojciec kupili mi dziesięć nowych ubrań. Jedno z nich miał dzisiaj na sobie.

-Zauważyłem, że to coś nowego - odrzekł krótko.

-Zauważyłam, że zauważyłeś. - Rachel skrzywiła się komicznie i Louis rozesmiał się, choć w istocie wcale nie było mu do śmiechu. - I sześć sukienek dla Ellie.

-Sześć sukienek! - powiedział, z trudem się opanowując. Nagle ogarnęła go wściekłość - bolesna wściekłość. Jednocześnie czuł się zraniony w sposób, którego nie potrafił wyjaśnić. - Rachel, czemu? Czemu mi na to pozwoliłaś? Nie potrzebujemy... stac nas...

Urwał. Furia odebrała mu głos; przez moment oczyma duszy ujrzał samego siebie, niosącego przez las martwego kota Ellie, przekładającego foliowy worek z jednej ręki do drugiej... a tymczasem Irwin Goldman, ten wredny stary pierdziel z Lake Forest, starał się kupić sobie miłość jego córki za pomocą słynnej książeczki czekowej i równie słynnego piora.

Przez sekunde miał ochotę wrzasnąć: On kupił jej sześć sukienek, a ja wskrzesiłem z martwych jej pieprzonego kota, więc kto kocha ją bardziej?

Zacisnął szczęki. Nigdy nie powie czegoś takiego. Nigdy.

Rachel łagodnie dotknęła jego karku.

-Louis, oni zrobili to razem. Proszę, postaraj się zrozumieć. Proszę. Kochają dzieci i rzadko je widują. A poza tym starzeją się. Pewnie nie poznałbys mojego ojca. Naprawdę.

-Poznałbym - wymamrotał Louis.

-Proszę, kochanie. Postaraj się zrozumieć. Spróbuj pomyśleć o nich życzliwie. To nie boli.

Przyglądał jej się długa chwila.

-Owszem, boli - rzekł wreszcie. - Może nie powinno, ale boli.

Otworzyła usta, by coś odpowiedzieć, lecz w tym momencie usłyszeli dobiegający z sypialni krzyk Ellie.

-Tato! Mamo! Niech ktoś tu przyjdzie!

Rachel zaczęła wstawac, ale Louis posadził ją z powrotem.

-Zostan z Gage'em. Ja pójdę. - Podejrzewał, że wie, w czym problem. Ale przecież, do cholery, wyrzucił kota na dwór; po tym, jak Ellie już się położyła, złapał go w kuchni, gdy weszła koło miski, i wyrzucił. Nie chciał, żeby kot z nią spał. Już nie. Gdy wyobraził sobie Churcha drzemającego na łóżku Ellie, natychmiast przychodziły mu do głowy dziwne myśli o chorobach oraz wspomnienia z zakładu pogrzebowego wujka Carla.

Zorientuje się, że stało się coś złego i że przedtem Church był inny, lepszy.

Wyrzucił kota, ale kiedy wszedł do sypialni, Ellie siedziała na łóżku, niemal w polsni, a Church leżał rozciągnięty na koldrze - mroczny cień w kształcie nietoperza. W dochodzącym z korytarza świetle jego otwarte oczy lśniły tępym blaskiem.

-Tatusiu, zabierz go - jęknęła Ellie. - Tak strasznie śmierdzi.

-Ciii, Ellie, spij - odparł Louis, zdumiony spokojnym brzmieniem własnego głosu. Przypominał sobie epizod lunatyzmu tuż po śmierci Pascowa. Gdy następnego dnia rano dotarł do przychodni, natychmiast zamknął się w łazience, żeby spojrzeć w lustro, przekonany, że wygląda koszmarnie. W istocie jednak wyglądał zupełnie zwyczajnie. Ciekawe, ilu ludzi kradzie po świecie, kryjąc w sobie straszne tajemnice.

To nie tajemnica, do diabła! To tylko kot!

Ale Ellie miała rację. Rzeczywiście cuchnął pod niebiosa.

Wszedł z pokoju córki i zniósł kota po schodach, starając się oddychać przez usta. Owszem, istniały gorsze smrody. Na przykład, brutalnie mówiąc, gówna. Miesiąc wcześniej mieli zabawę z opróżnianiem szamba i jak zauważył Jud, który wpadł do nich i przyglądał się chłopcom z firmy Puffer i Synowie wylewającym nieczystości, "trudno to nazwać Chanel numer 5, co nie, Louis?". Won zgangrenowanej rany - doktor Bracermunn z akademii nazywał je "gorącym miesem" - też była gorsza. Nawet spaliny z hondy, kiedy przez chwilę stała w garażu z włączonym silnikiem, były gorsze.

Niemniej jednak kot zdecydowanie śmierdzał. A poza tym, jak w ogóle dostał się do środka? Louis wypuścił go wcześniej, wypchnął szczotką, gdy cała trojka - jego najbliżsi -

siedziała na gorze. W istocie po raz pierwszy od powrotu kota trzymał go w rekach, choć minal już prawie tydzień. Zwierze leżało w jego ramionach, nieruchome i gorące, niczym uspiona choroba. Jaka dziura sobie znalazłeś, draniu?

Nagle przypomniał sobie swój sen tamtej nocy - Pascowa przenikającego przez drzwi między kuchnią i garażem.

Może nie było żadnej dziury. Może Church po prostu przeniknął przez drzwi jak duch.

-Niech to szlag - szepnął. Jego głos zabrzmiał lekko ochryple.

Nagle Louis nabrał pewności, że kot zaraz zacznie się szamotać, że go zaraz podrapie. Ale Church leżał absolutnie nieruchomo; promieniowało z niego ciepło i ohydny smród. Patrzył w twarz Louisa, jakby potrafił odczytać myśli ukryte w jego oczach.

Louis otworzył drzwi i może odrobine zbyt mocno rzucił kota do garażu.

-No dalej - rzekł. - Zabij następną mysz czy coś takiego.

Church wylądował niezrecznie. Skulił nogi i uderzył zadem o ziemię. Zdawało się, że posłał Louisowi paskudne, pełne nienawiści spojrzenie, a potem odszedł chwiejnym krokiem i zniknął.

Boże, Jud, pomyślał Louis, szkoda, że nie trzymałeś języka za zębami. Podeszedł do zlewu i zaczął z zapalem myć ręce i przedramiona, jakby przygotowywał się do operacji. Robisz to, bo to miejsce ma nad tobie władzę... wymyślasz sobie powody, wydają ci się dobre... lecz głównie robisz tak, bo kiedy już raz tam pójdziesz, to także twoje miejsce i należysz do niego... i wymyślasz sobie najbardziej przekonujące powody na świecie...

Nie, nie mógł obwinić Juda. Poszedł tam z własnej woli i nie mógł go winić.

Zakrecił wodę i zaczął wycierać wodę. Nagle ręcznik zastygł w bezruchu i Louis zapatrzył się wprost przed siebie w niewielki skrawek nocy widoczny w oknie nad zlewem.

Czy to znaczy, że teraz to także moje miejsce? Że do mnie należy?

Nie. Nie jeśli tego nie chce.

Odwiesił ręcznik i poszedł na górę.

Rachel leżała w łóżku z kołdrą naciągniętą pod brode i Gage'em ułożonym tuż obok. Spojrzała przepaszająco na Louisa.

-Nie masz nic przeciw temu, kochanie? Tylko na dziś. Czuje się lepiej, poki mam go pod ręką. Jest taki rozpalony.

-Nie ma sprawy - odparł Louis. - Przespie sie w lozku dla gosci, na dole.

-Naprawde nie masz nic przeciw temu?

-Nie. Gage'owi to nie zaszkodzi, a ty poczujesz sie lepiej. - Urwal, po czym usmiechnal sie.
- Ale z pewnoscia złapiesz wirusa. To praktycznie pewne. Watpie, by mialo cie to przekonac do zmiany zdania, prawda?

Odpowiedziala usmiechem i potrzasnela glowa.

-O co chodzilo Ellie?

-O Churcha. Chciala, zebym go zabral.

-Ellie chciala, zebyś zabral Churcha? To dopiero zmiana.

-O tak - zgodzil sie Louis i dodal: - Mowila, ze smierdzi, i rzeczywiscie, wydawal sie nieco woniejacy. Moze wytarzal sie w czyims gnoju albo czyims podobnym.

-Marnie. - Rachel przekrecila sie na bok. - Mam wrazenie, ze Ellie tesknila za Churchem rownie mocno jak za toba.

-Aha. - Louis nachylil sie i lekko pocalowal ja w usta. - Spij juz, Rachel.

-Kocham cie, Lou. Ciesze sie, ze wrocilam. I przepraszam za dzisiejsza noc. Jutro to naprawimy, dobrze? Zabawimy sie?

-Jasne - odparł Louis i zgasil swiatlo.

Na dole zebrał narecze poduszek z kanapy, wyciagnal skladane goscinne lozko i sprobował przygotowac sie psychicznie na cala noc meczarni, gdy pret pod cienkim materacem bedzie uwieral go w plecy. Przynajmniej lozko bylo zaslane i nie musial zawracac sobie glowy posciela. Zdjal dwa koce z gornej polki w szafie na korytarzu i rozlozyl je na lozku. Zaczal sie rozbierac, nagle jednak sie zatrzymal.

Mylisz, ze znow tu jest? Swietnie. Przejdz sie po domu i sprawdz. Jak powiedziales Rachel, w niczym to nie zaszkodzi. Moze nawet pomoze. Sprawdzajac, czy drzwi sa zamkniete, z pewnoscia nie złapiesz wirusa.

Dokladnie obszedl caly parter, ogladajac zamki na drzwiach i oknach. Wszystko bylo w porzadku, nigdzie tez nie dostrzegl Churcha.

-No prosze - rzekl. - Sprobuj dostac sie dzis do srodka, ty durny kocie. - W myslach dodal zyczenie, by Church odmrozil sobie jaja, tyle ze oczywiscie Church nie mial juz jaj.

Louis zgasil swiatlo i poszedl do lozka. Pret niemal natychmiast zaczal uwierac go w plecy i

zasypiając, Louis pomyślał, że będzie się tak męczył pół nocy. Kiedy zasnął, leżał na boku na niewygodnym gościnnym łóżku, ale kiedy się obudził, był...

...na cmentarzysku za Cmentarzem Zwierząt. Tym razem sam. Tym razem osobiście zabił Churcha i z jakiejś przyczyny postanowił po raz drugi przywrócić go do życia, Bóg jeden wiedział dlaczego, Louis nie. Jednak za drugim razem pogrzebał go głębiej i Church nie mógł się wykopać. Louis słyszał dobiegające spod ziemi kocie piski; przypominały płacz dziecka. Dźwięk przedostawał się przez szczeliny w ziemi i jej kamieniste cielsko. Dźwięk i won, ta paskudna słodkawa won zgnilizny i rozkładu. Sama won sprawiła, że piers zaciężała mu nagle, jakby coś ją przygniotło.

Placz... płacz...

...nadal słyszał płacz...

...a ciężar wciąż spoczywał mu na piersi.

-Louis! - To była Rachel, w jej głosie brzmiał niepokój. - Louis, mogłbyś przyjść?

Była więcej niż niespokojna, w jej głosie dzwiczkało przerażenie. Płacz miał w sobie coś rozpaczliwego, zduszonego. To był Gage.

Louis unosił powieki i spojrzał wprost w żółtozielone oczy Churcha, niecałe dziesięć centymetrów od jego własnych. Kot leżał mu na piersi, zwinięty w kłębek, jak istota ze starych opowieści, kradnaca ludzki oddech. Smród unosił się z niego powolnymi duszającymi falami. Zwierzę mruczalo.

Louis krzyknął ze wstretu i obrzydzenia. Unosił rece w prymitywnym obronnym geście. Church zleciał z łóżka, wylądował na boku i odszedł swym chwiejnym, niepewnym krokiem.

Jezu! Jezu! Siedział na mnie! O Boże, siedział na mnie!

Nie mógł poczuć większego niesmaku, nawet gdyby ocknął się i znalazł w ustach pajaka. Przez chwilę miał wrażenie, że zaraz wymiotuje.

-Louis!

Odrzucił koce i pobiegł w stronę schodów. Z ich sypialni saczała się struzka światła. Rachel stała na górnym podestacie w nocnej koszuli.

-Louis, on znowu wymiotuje... dławi się... Boże się.

-Jestem przy tobie - odparł i podszedł, myślał: Dostał się do środka. Jakimś cudem dostał się do środka. Pewnie przez piwnice. Może jedno z okien się stłukło. Niemal na pewno się stłukło. Sprawdzię to jutro po powrocie. Nie, do diabła, sprawdzę, nim pójdę do pracy. Ja...

Gage przestał płakać i zaczął wydawać z siebie paskudny gulgotzący dźwięk.

-Louis! - krzyknęła Rachel.

Louis poruszał się szybko. Gage leżał na boku, z ust saczył mu się strumyk wymiocin, spływając na stary ręcznik, który matka rozłożyła obok niego. Owszem, wymiotował, ale za słabo. Większość wciąż pozostała w środku i twarz dziecka zaczęła już sinieć, malec znajdował się o krok od uduszenia.

Louis chwycił chłopca pod pachami; jakiś odległy zakątek umysłu zarejestrował, jak gorące było ciało synka pod pizama. Położył go na ramieniu, jakby chciał, by mu się odbiło. A potem szarpnął się do tyłu, pociągając za sobą Gage'a. Głowa chłopca odskoczyła, wydal z siebie donosny odgłos przypominający beknięcie i z jego ust wyleciała zdumiewająco obfita struga wymiocin, obryzgując podłogę i toaletkę. Gage znowu zaczął płakać, dzwicznie i donosnie, i odgłos ow zabrzmiął w uszach Louisa jak muzyka. Aby tak płakać, trzeba było nieograniczonych zapasów tlenu.

Pod Rachel ugięły się kolana. Padła na łóżko, ukrywając twarz w dłoniach. Trzęsła się gwałtownie.

-O mało nie umarł, prawda Louis? Prawie się zadu-du-du... o mój Boże...

Louis spacerował po pokoju z synkiem w ramionach. Płacz Gage'a cichł stopniowo, przechodząc w ciche szlochy. Po chwili chłopczyk zasnął.

-Piecdziesiąt do jednego, że sam by sobie poradził, Rachel. Po prostu trochę mu pomogłem.

-Ale był tak blisko - jęknęła. Spojrzała na niego, jej zbieleły oczy były oszłomione, pełne niedowierzania. - Louis, był tak blisko.

Nagle przypomniał sobie, jak krzyczała na niego w słonecznej kuchni: "On nie umrze! Nikt tu nie umrze!".

-Kochanie - odparł Louis. - Wszyscy jesteśmy blisko. Cały czas.

Najprawdopodobniej to mleko spowodowało nową falę wymiotów. Rachel przyznała, że około północy, jakas godzinę po tym, jak Louis poszedł spać, Gage obudził się i zaczął płakać z głodu, a ona podała mu butelkę. Kiedy pił, z powrotem przysnęła. Jakas godzinę później mały zaczął się dławić.

Nie dawaj mu więcej mleka, polecił Louis i Rachel zgodziła się pokornie. Nie dawaj mu więcej mleka.

Louis zszedł na dół za kwadrans drugą i następnych piętnastu minut polował na kota.

Podczas swych poszukiwan odkryl, ze drzwi laczące kuchnie z piwnica sa uchylone, tak jak podejrzewal. Przypomnial sobie, ze matka opowiadala mu kiedyś o kocie, który nauczył się otwierac staroswieckie haczyki, takie jak ten na drzwiach piwnicy. Po prostu opierał się łapami o drzwi i łapa podwazał haczyk, poki ten w koncu nie odskoczył. Niezła sztuczka, pomyslał Louis, ale nie zamierzał pozwolic Churchowi popisywac się nią zbyt często. Ostatecznie drzwi od piwnicy miały też zwykły zamek. Znalazł kota drzemiacę pod kuchenka i bezceremonialnie wyrzucił go frontowymi drzwiami. Po drodze do łozka ponownie zamknął drzwi do piwnicy.

I tym razem zasunął zasuwke.

29.

Rankiem Gage'owi spadła goraczka. Chłopiec miał spierzchnięte policzki, poza tym jednak był zwawy i pełen energii. I nagle, w jednej chwili jego bezsensowna gadanina zamieniła się w potok słow. Nasładował niemal wszystko, co przy nim mówiono. A Ellie chciała, by powiedział "kupa". -Powiedz kupa, Gage - poleciała, siedząc nad talerzem owsianki.

-Kupa-Gage - odparł pogodnie maluch, jedząc własne płatki. Louis zgodził się na nie tylko pod warunkiem, że nie zostaną mocno posłodzone. Jak zwykle większość z nich trafiła nie do buzi synka, lecz w jego włosy.

Ellie rozchichotała się gwałtownie.

-Powiedz siki, Gage.

-Siki-Gage. - Gage uśmiechnął się poprzez warstwę owsianki rozsmarowanej na buzi. - Kupa-siki.

Ellie i Louis wybuchnęli śmiechem. Trudno się było nie zaśmiać.

Rachel wydała się mniej rozbawiona.

-Chyba już starczy brzydkich słow jak na jeden dzień - rzekła, podając Louisowi jajecznicę.

-Kupa-siki-kupa-siki-kupa-siki - zaśpiewał radośnie Gage i Ellie nakryła dłoń ustami, aby zdusić chichot. Wargi Rachel lekko zadrżały; Louis pomyslał, że wygląda dziś o sto procent lepiej, mimo marnie spędzonej nocy. Z pewnością przyczyniła się do tego ulga. Gage czuł się lepiej, a ona była w domu.

-Nie mów tego, Gage - upomniała go.

-Ladnie - rzucił Gage, zmieniając temat, i zwymiotował do talerza całą zjedzoną owsiankę.

-Och, fuj! - wrzasnęła Ellie, uciekając z kuchni.

W tym momencie Louis dostał prawdziwego ataku śmiechu. Nie potrafił się powstrzymać. Śmiał się tak, że łzy napłynęły mu do oczu i nawet wtedy nie przestawał. Rachel i Gage patrzyli na niego, jakby zupełnie oszalał.

W zasadzie mógł im powiedzieć: "Byłem już szalony, ale teraz wszystko minęło. Naprawdę tak sądzę".

Nie wiedział, czy to już koniec, czy nie, ale miał wrażenie, że wszystko się już skończyło, że może już wystarczy.

I rzeczywiście, na jakiś czas obłęd ustąpił.

30.

Choroba wirusowa Gage'a trwała tydzień, po czym ustąpiła. W tydzień później dopadł go bronchit. Ellie także się zaraziła, a po niej Rachel. W okresie przedświątecznym cała trójka krążyła po domu, chrypiąc jak stado starych zmęczonych ogarów. Louis okazał się odporny i odnosił wrażenie, że Rachel ma mu to za złe. Ostatni tydzień zajęć na uniwersytecie był dla Louisa, Steve'a, Surrendry i Charlton wyjątkowo trudny. Grypa jeszcze nie nadeszła, lecz wielu studentów miało bronchit. Zdarzyło się też kilka przypadków mononukleozy i lekkiego zapalenia płuc. Dwa dni przed przerwą świąteczną zatroskani przyjaciele przynieśli do przychodni szostkę jęczących pijanych chłopaków. Nastąpiło kilka chwil zamieszania, które przypomniały o strasznym wypadku Pascowa. Cała szostka głupców zdołała usadowić się na średnich sankach (szosty, z tego, co rozumiał Louis, siedział na ramionach sterującego) i postanowiła zjechać ze wzgórza. Świetna zabawa, tyle że gdy się już rozpedzili, sanie zjechały z trasy i uderzyły w jedną z armat z wojny secesyjnej. Wynik: dwie złamane ręce, pęknięcie przegubu, w sumie siedem polamanych zeber, wstrząs mózgu oraz lżejsze obrażenia, zbyt liczne, by je wymieniać. Jedynie chłopak jadący na plecach sternika wyszedł cało ze zdarzenia. Gdy sanie rąbnęły w armatę, szczęściarz przeleciał nad nią i wylądował głową naprzód w pryzmie śniegu. Sprzątanie po wypadku nie było zabawne i Louis porządnie ochrzanił wszystkich chłopaków, zszywając, bandażując i oglądając im zrenice. Kiedy jednak później opowiadał o wszystkim Rachel, zaczął się śmiać tak mocno, że do oczu napłynęły mu łzy. Rachel patrzyła na niego dziwnie, nie rozumiejąc, co go tak bawi, a Louis nie potrafił jej wyjaśnić: to był głupi wypadek. Ludzie odnieśli rany, ale wszyscy wyliza się z tego. Częściowo w jego śmiechu pobrzmiewała ulga, przede wszystkim jednak krył się w nim triumf - dziś zwyciężyłeś, Louis.

Bronchit w jego własnej rodzinie zaczął ustępować mniej więcej w czasie, gdy przedszkole Ellie rozpoczynało przerwę świąteczną szesnastego grudnia. Cała czwórka zaczęła przygotowania do radosnych, staroswieckich, wiejskich świąt. Dom w północnym Ludlow, który owego dnia w sierpniu, gdy zaparkowali na podjeździe, wydawał się taki obcy (obcy, a nawet wrogi po tym, jak Ellie skaleczyła się, a Gage niemal w tej samej chwili został uzadłony przez pszczołę), nigdy dotąd nie sprawiał wrażenie bardziej przytulnego.

W Wigilie, kiedy dzieci wreszcie zasnęły, Louis i Rachel przemknęli się ze strychu na dół, niczym para złodziei. W ramionach niesli narecze kolorowych pudełek - zestaw samochodzików Matchbox dla Gage'a, który ostatnio odkrył radość urządzania wyścigów, Barbie i Kena dla Ellie, tor wyścigowy, duży rowerek na trzech kołach, stroje dla lalek, kuchenka zamontowana w piekarniku żarówka i mnóstwo innych rzeczy.

Obydwoje usiedli obok siebie w blasku lampek choinkowych i zaczęli montować zabawki. Rachel miała na sobie jedwabną piżamę, Louis szlafrok. Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek spędził przyjemniejszy wieczór. Na kominku płonął ogień; od czasu do czasu jedno z nich wstawalo i dorzucało kilka brzoźowych polan.

Raz jeden Winston Churchill otarł się o Louisa, który niemal odruchowo odsunął kota, czując przelotny niesmak - ten zapach. Później zobaczył, jak Church próbuje usiąść obok nogi Rachel, która także go odepchnęła, rzucając niecierpliwe "Psik!". Chwile po tym Louis ujrzał, jak żona wyciera dłoń w jedwabną nogawkę, niczym człowiek, który dotknął czegoś brudnego bądź nieprzyjemnego. Watpiał, by Rachel była świadoma, że to robi.

Church podszedł leniwie do kominka i klapnął na ziemię przed paleniskiem. Nie miał w sobie ani krzty wdzięku. Stracił go w ową noc, o której Louis wolał nie pamiętać. Stracił też coś jeszcze. Louis dostrzegł to szybko, lecz dokładne określenie, czego zwierzęciu brakuje, zabrakło mu cały miesiąc. Kot już nie mruczał. A kiedyś warczał jak mały motorek, zwłaszcza gdy spał. Czasami Louis musiał wstać i zamknąć drzwi sypialni Ellie, by móc zasnąć.

Teraz kot sypiał jak kamień. Jak trup.

Nie, przypominał sobie. Istniał jeden wyjątek. W noc, gdy ocknął się na łóżku dla gości z Churchem zwiniętym na piersi niczym cuchnący koc - tej nocy Church mruczał. No, przynajmniej wydawał z siebie jakiś dźwięk.

Lecz, jak wiedział - bądź zgadywał - Jud Crandall, w sumie nie było tak źle. Louis znalazł stłuczone okno w piwnicy za piecem i wezwał szklarza, oszczędzając sporo cennego oleju opałowego. Przypuszczał, że powinien być wdzięczny kotu za to, że odkrył dziurę, której w przeciwnym razie mógł nie zauważyć całymi tygodniami - może nawet miesiącami.

Prawda, Ellie nie lubiła już, by Church z nią sypiał. Ale czasami, gdy oglądała telewizję, pozwalała kotu wskoczyć na kolana i zasnąć. Równie często jednak, pomyślał, grzebiąc w worku plastikowych wichajstrow, które miały sponić w jedną całość rower Batmana dla Ellie, po kilku minutach zrzuciła go, mówiąc: "Idź sobie, Church, smierdzisz". Niemniej jednak karmiła go regularnie i czule. Nawet Gage od czasu do czasu pociągał Churcha za ogon - nie złośliwie, raczej w przyjaznym odruchu, niczym mały mnich ciągnący za sznur od dzwonu. W takich wypadkach Church wpelzał nonszalancko pod jeden z kaloryferów, gdzie Gage nie mógł go dosięgnąć.

Gdybysmy mieli psa, moglibysmy dostrzec większą zmianę, pomyślał Louis. Ale koty to tak

cholernie niezależne zwierzęta. Niezależne i dziwne. Może nawet szalone. Nie dziwiło go, że starożytne egipskie królowe i faraonowie pragnęli, by ich koty zmumifikowano i umieszczano w trójkatnych grobowcach obok nich, tak aby służyły im jako przewodnicy na tamtym świecie. Koty były niesamowite.

-Jak ci idzie z tym rowerkiem, wodzu? Uniosł skończoną zabawkę.

-Ta-daa!

Rachel wskazała reka worek, w którym wciąż pozostały trzy, cztery plastikowe drobiazgi. - A to?

-Części zapasowe. - Louis uśmiechnął się przeproszająco.

-Miejmy nadzieję, że rzeczywiście. Bo inaczej mała skreśli sobie swój mały, wredny kark.

-To przyjdzie później - odparł złośliwie Louis. - Kiedy będzie miała dwanaście lat i zacznie popisywać się jazdą na deskorolce.

Rachel jęknęła.

-Doktoro, miej serce!

Louis wstał, oparł dłonie na karku i przeciągnął się. Jego kregosłup zatrzeszczał.

-To już wszystkie zabawki.

-I już je złożyliśmy. Pamiętasz zeszły rok? - zachichotała, a on uśmiechnął się. Poprzedniego roku wszystko, co kupili, wymagało montażu. Biedzili się nad tym prawie do czwartej rano, tak że w święta mieli paskudny humor, a po południu Ellie uznała, że pudełka są znacznie ciekawsze niż zabawki.

-A fuj! - rzucił Louis, naśladując Ellie.

-Coż, chodźmy do łóżka i dam ci wcześniej twój prezent.

-Kobieto! - Louis wyprostował się dumnie. - To i tak mi się należy.

-Chciałbys. - Zasmiała się, zakrywając usta dłonią. W tym momencie zdumiewająco przypominała Ellie... i Gage'a.

-Jedna chwilka - powiedział Louis. - Muszę jeszcze coś zrobić.

Podszedł do szafki w przedpokoju i wyciągnął jeden ze swych wysokich butów. Odsunął parawan przed dogasającego ognia.

-Louis, co ty...

-Zobaczysz.

Po lewej stronie ogień całkiem już wygasł, pozostawiając warstwę puszystego, szarego popiołu. Louis odcisnął w nim but, uzyskując głęboki ślad. Następnie z całych sił przycisnął go do ceglanego obramowania, niczym wielką pieczęć.

-Proszę - powiedział, schowawszy go z powrotem. - Podoba ci się?

Rachel znów chichotała.

-Louis, Ellie oszaleje.

W ciągu ostatnich dwóch tygodni zajęć Ellie usłyszała gdzieś niepokojącą plotkę, że święty Mikołaj to w istocie rodzice. Jej podejrzenia wzmógł widok chudego Mikołaja w Centrum Handlowym w Bangor; Ellie zauważyła go w lodziarni Deering kilka dni wcześniej. Mikołaj siedział na stoliku barowym z brodą odsuniętą na bok i jadł cheeseburgera. Odkrycie to poważnie wstrząsnęło Ellie (co dziwne, bardziej poruszył ją cheeseburger niż sztuczna broda), choć Rachel zapewniła ją, że Mikołajowie w sklepach i punktach Armii Zbawienia to w istocie pomocnicy wysłani przez prawdziwego świętego, zbyt zajętego zbieraniem zabawek i czytaniem listów od dzieci, by kraść po świecie w celach reprezentacyjnych.

Louis starannie ustawił parawan. Teraz w kominku widniały dwa wyraźne ślady, jeden w popiele, a drugi na obramowaniu. Oba celowały wprost w choinkę, jakby Mikołaj wylądował na jednej nodze i natychmiast wyskoczył, aby ułożyć na miejscu prezenty przeznaczone dla rodziny Creedów. Złudzenie było doskonałe, o ile nie zauważyło się, że oba odciski pozostawiła lewa stopa, ale wątpił, by Ellie okazała się tak dociekliwa.

-Louisie Creed, kocham cię - oznajmiła Rachel i ucałowała go.

-Wygrałaś los na loterii, mała. - Louis uśmiechnął się szczerze. - Trzymaj się mnie, a zrobię z ciebie gwiazdę.

-Nie wątpie.

Ruszyli w stronę schodów. Louis wskazał stolik karciany, który Ellie ustawiła przed telewizorem. Na środku blatu leżały owsiane ciasteczka, dwa paczki i puszka piwa Michelob. DLA CIEBIE MIKLAJU, głosiła kartka, wypisana dużymi, krzywymi literami.

-Wolisz ciasteczko czy paczka?

-Paczka - odparła i zjadła połowę. Louis otworzył puszkę i opróżnił ją częściowo.

-Piwo o tej porze? Dostane niestrawności.

-Bzdura - rzuciła wesoło. - Chodź, doktorku.

Louis odstawił puszkę i nagle złapał się za kieszeń szlafroka, jakby sobie o czymś przypomniał, choć przez cały wieczór był świadom ciężaru spoczywającego tam niewielkiego zawiniątka.

-Proszę - rzekł - dla ciebie. Możesz już go otworzyć. Minęła północ. Wesolych Świąt, kochanie.

Rachel obróciła w dłoniach małe pudełeczko, owinięte srebrnym papierem i przewiązane błękitną satynową wstążką.

-Louis, co to? Wzruszył ramionami.

-Mydło, próbka szamponu. Nie pamiętam. Otworzyła już je na schodach. Ujrzała pudełko od Tiffany'ego i pisnęła. Niecierpliwie odsunęła skrawek aksamitu i zamarła z lekko otwartymi ustami.

-I co? - spytał z niepokojem. Nigdy dotąd nie kupił jej prawdziwej biżuterii i trochę się bał. - Podoba ci się?

Rachel wyjęła prezent, owijając cieniutki złoty lancuszek pomiędzy rozcapierzonymi palcami i uniosła do światła mały szafir. Wisiorek okrecił się powoli. Zdawało się, że strzelają z niego niebieskie promienie.

-Och, Louis, to jest takie piękne. - Ujrzał, że zaczęła płakać i poczuł naraz wzruszenie i niepokój.

-Kochanie, nie płacz - rzekł. - Włóż go.

-Louis, nie stac nas. Nie stac cie...

-Ciiii... Oszczędzałem pieniądze od zeszłych świąt. A zresztą nie kosztował aż tak dużo, jak myślisz.

-A ile kosztował?

-Nigdy ci tego nie powiem, Rachel - oznajmił uroczysto. - Nawet armia chińskich speców od tortur nie zdolalaby wydobyć ze mnie tej informacji. Dwa tysiące dolarów.

-Dwa tysiące! - Uscisnęła go nagle tak mocno, że o mało nie spadł ze schodów. - Louis, zwariowałeś.

-Włóż go - powtórzył.

Zrobiła to. Pomógł jej z zapieciem, a potem odwróciła się, by mógł się jej przyjrzeć.

-Chce isc na gore i obejrzec go - oswiadczyła.- Chyba chce sie popuszyc.

-A pusz sie do woli - odparł. - Ja wypuszcze kota i pogasze swiatla.

-Kiedy bedziemy to robic - spojrzala mu wprost w oczy - zamierzam zdjac wszystko, oprócz tego.

-Zatem pusz sie szybko - rzucil Louis, a Rachel wybuchnela smiechem.

Zlupal Churcha i przewiesil go sobie przez reke - juz dawno przestal zawracac sobie glowe szcztotka. Niemal przywykl juz do kota. Ruszyl do wyjscia, po drodze gaszac swiatla. Gdy otworzyl drzwi pomiedzy kuchnia i garazem, jego lydki owial prad zimnego powietrza.

-Wesolych Swiat, Chu...

Urwal. Na wycieraczcze lezala martwa wrona, i to duza. Glowe miala czesciowo nadgryziona. Jedno oddarte skrzydlo lezalo obok ciala, niczym zweglony skrawek papieru. Church natychmiast wyslizgnal sie z objec Louisa i z zapalem zaczel tracac pyskiem zamarnietego trupa. Nagle glowa kota smignela naprzod ze skulonymi uszami i zanim Louis zdazyl odwrocic wzrok, Church wyrwal jedno z bialych zaszklonych oczu ptaka.

Church znow atakuje, pomyslal Louis z obrzydzeniem i odwrocil glowe, zdazyl jednak dostrzec zakrwawiona dziure w miejscu wyrwanego oka. Nie powinno mnie to obchodzic. Widywalem juz gorsze rzeczy. O, tak. Na przyklad Pascowa. Pascow byl znacznie gorszy...

A jednak to go poruszylo. Zoladek scisnal mu sie gwaltownie. Ciepłe napiecie seksualne zniknelo jak zdmuchniete. Chryste, ten ptak jest niemal tak duzy jak on. Musial skoczyc na niego w chwili nieuwagi. Duzej nieuwagi.

Trzeba to posprzatac. Nikt nie potrzebował takiego prezentu w swiateczny poranek. I byt to jego obowiazek, nieprawdaz? O, tak. Jego i niczyj inny. Zrozumial to podswiadomie w tamten wieczor, gdy wrocila rodzina, a on z rozmyslem zwalil opony na poszarpane cialo zabitej przez Churcha myszy.

Ziemia serca mezczyzny jest kamienista, Louis.

Slowa te zabrzmialy w jego myslach tak jasno, wyraznie, przestrzennie, ze Louis drgnal lekko, jakby Jud zmaterializowal sie u jego boku i przemowil glosno.

Mezczyzna hoduje, co moze... opiekuje sie tym.

Church wciaz lakomie szarpal ptaka. Teraz zajal sie drugim skrzydlem. Ciagnal je tam i z powrotem, tam i z powrotem ze zlowieszczym szelestem. Nigdy nie oderwiemy go od ziemi, Orville. Jasne, Wilbur. Pieprzony ptak jest martwy jak psie gówno. Rownie dobrze mozna oddac go kotu...

Nagle Louis kopnął Churcha i to mocno. Zad kota unosił się i opadł na szeroko rozstawione łapy. Zwierze odeszło, rzucając mu kolejne złe zielone spojrzenie.

-Mozesz mnie zjeść - syknął Louis; w tej chwili sam przypominał kota.

-Louis? - z sypialni dobiegł cichy głos Rachel. - Kładziesz się?

-Zaraz przyjdę - odkrzyknął. Muszę tylko posprzątać ten bałagan, Rachel. Bo to mój bałagan. Pospiesznie znalazł włącznik światel w garażu. Podszedł szybko do szafki pod kuchennym zlewem i wyjął zielony worek. Nie umknęło mu podobieństwo do zdarzeń tamtego wieczoru. Zaniósł worek do garażu, po drodze zdejmując wiszący na gwoździu szpadel. Podniósł wrone i wrzucił ją do torby. Następnie zrobił to samo z oderwanym skrzydłem. Zawiązał worek na węzeł i wepchnął go do kubła po drugiej stronie hony. Nim skończył, nogi zupełnie zdrewniały mu z zimna.

Church stał w drzwiach do garażu. Louis machnął groźnie łopata i kot zniknął niczym wir na powierzchni wody.

Na gorze Rachel leżała w łóżku odziana jedynie w szafir... zgodnie z obietnicą. Uśmiechnęła się leniwie.

-Czemu to trwało tak długo, wodzu?

-Światło nad zlewem zgasło - wyjaśnił Louis. - Zmieniałem żarówkę.

-Podejdz tutaj - rzekła i łagodnie pociągnęła go ku sobie. Nie za rękę. - Wie, kiedy spisz - zaśpiewała cicho. Jej usta wygięły się w lekkim uśmiechu. - I gdy budzisz się... Louis, mój drogi, co to?

-Cóż, co właściwie się obudziło. - Louis zrzucił szlafrok. - Może powinniśmy spróbować to uspić przed przyjściem Mikołaja. Jak sądzisz?

Podparła się na łokciu. Poczuli jej oddech, ciepły i słodki.

-Wie, czy byłeś grzeczny, czy też nie... więc bądź grzeczny, bo będzie źle. Czy byłeś grzecznym chłopcem, Louis?

-Chyba tak. - Z trudem opanował głos.

-Sprawdźmy, czy smakujesz równie dobrze, jak wyglądasz - szepnęła. - Hmmmm.

Wyglądało na to, że owszem.

Seks był naprawdę udany, lecz Louis odkrył, że nie może zasnąć, choć zwykle po takim doznaniu zasypiał bez problemu, nie myśląc o sobie, żonie, własnym życiu. Tego świątecznego ranka leżał w ciemności, słuchając powolnego, miarowego oddechu Rachel i

myślał o martwym ptaku na progu, prezencie gwiazdkowym od Churcha.

Pamiętaj o mnie, doktorze Creed. Zylem, a potem umarłem i znow żyję. Byłem tam i chcę ci powiedzieć, że kiedy wracasz z tamtej strony, nie masz ochoty mruczeć, lecz polować. Jestem tu, by ci powiedzieć, że mężczyzna hoduje, co może, i opiekuje się tym. Nie zapomnij o tym, doktorze Creed. Jestem częścią tego, co hodujesz w sercu - twoja żona, córka, syn... i ja. Pamiętaj o sekrecie i pielęgnuj swój ogród.

W końcu Louis zasnął.

31.

I tak mijala zima. Wiara Ellie w świętego Mikołaja przetrwała - przynajmniej tymczasowo - dzięki odciskom stop w kominku. Gage zrezygnował z otworzenia swoich prezentów, od czasu do czasu przerywając, by skosztować szczególnie smacznego kawałka papieru. I tego roku, nim minęło popołudnie, oboje uznali, że pudełka są znacznie fajniejsze niż zabawki. Crandallowie odwiedzili ich w sylwestra, aby skosztować domowego adwokata Rachel. Louis odkrył, że w myślach bada Normę. Wyglądała blado, niemal półprzejrysta. Widział już wcześniej podobnych ludzi. Jego babka powiedziałaby, że Norma zaczyna "gasnąć" i może nie było to takie złe określenie. Nagle jej dłonie, spuchnięte i powykrecane reumatyzmem, pokryły się plamami watrobianymi. Włosy sprawiały wrażenie rzadszych. Crandallowie wrocili do siebie o dziesiątej, a Creedowie razem obejrzel nadejście Nowego Roku w telewizji. Wtedy Norma po raz ostatni odwiedziła ich dom.

Przez większość przerwy semestralnej panowała paskudna, deszczowa pogoda. Jeśli chodzi o koszty ogrzewania, Louis mógł być tylko wdzięczny za przedłużającą się odwilż. Mimo to jednak ciągle deszcz wpływał na niego przygnębiająco. Louis głównie pracował w domu, budując szafki i polki dla żony. Gdy dwudziestego trzeciego stycznia znow rozpoczęły się zajęcia, z radością wrocili na uniwersytet.

Wtedy zaczęła się grypa - niecały tydzień po rozpoczęciu wiosennego semestru zaatakowała kampus całkiem poważna epidemia. Louis miał ręce pełne roboty - pracował dziesięć, czasami dwanaście godzin dziennie i wracał do domu kompletnie wykończony... i szczęśliwy.

Odwilż zakończyła się z hukiem dwudziestego dziewiątego stycznia. Nadeszła śnieżyca, po której nastąpiły srogie mrozy. Louis właśnie badał zranioną rękę młodego człowieka, który rozpaczliwie - i w opinii Louisa beznadziejnie - wierzył, że wiosną będzie mógł grać w baseball, gdy jedna z praktykantek wsunęła głowę do pokoju i oznajmiła, że dzwoni żona.

Louis przeszedł do gabinetu, by odebrać telefon. Rachel płakała i natychmiast ogarnął go niepokój. Ellie, pomyślał. Spadła z saneczek i złamała rękę albo to pęknięcie czaszki. Ze zgrozą przypomniał sobie szalonych studentów i ich sanki.

-Czy to jedno z dzieci, Rachel?

-Nie, nie - odparła, płaczac coraz glosniej. - Nie jedno z dzieci. To Norma, Lou. Norma Crandall. Umarła dzisiaj rano, około osmej. Tuz po sniadaniu. Tak powiedział Jud. Przyszedł tu, zeby sprawdzic, czy jestes, a ja powiedziałam, ze wyszedles pol godziny temu. On... och, Lou, wydawal sie taki zagubiony, oszolomiony... Taki stary... Dzieki Bogu, ze Ellie juz nie bylo, a Gage jest za maly, by zrozumiec...

Louis zmarszczyl brwi. Mimo okropnych nowin odkryl, ze myśli tylko o Rachel. Bo to znów sie dzialo. Nie da sie tego okreslic, przygwozdzic. To jedynie zmiana perspektywy. Smierc to tajemnica, koszmar. I trzeba ukrywac ja przed dziecmi. Tak jak wiktoriańskie damy i dzentelmeni uwazali, iz dzieci nie powinny poznawac paskudnej, wstretnej prawdy o zyciu plciowym.

-Jezu - westchnal. - Czy to serce?

-Nie wiem - odparła. Przestala juz plakac, lecz jej glos byl ochryply i zduszony. - Moglbys przyjechac, Louis? Jestes jego przyjacielem. I mysle, ze cie potrzebuje.

Jestes jego przyjacielem.

Rzeczywiscie, pomyslal Louis z lekkim zdumieniem. Nigdy nie spodziewalem sie, ze bede miał kumpla osiemdziesieciolatka, ale chyba tak jest. I lepiej, zeby byli przyjaciolmi, biorac pod uwage to, co razem przeszli. Nagle pojal, ze Jud zorientowal sie, iz laczy ich przyjazn, na dlugo przed nim. Jud stal u jego boku i mimo pozniejszych wydarzen, mimo myszy i ptakow, Louis czul, ze decyzja Juda byla slusna. A jesli nieslusna, to przynajmniej powodowana wspolczuciem. Teraz robi dla Juda, co tylko zdola. A jesli to znaczy towarzyszenie mu po smierci zony, niech i tak bedzie.

-Juz jade - oznajmil i odwiesil sluchawke.

32.

To nie byl atak serca tylko wylew, do mozgu - nagly i prawdopodobnie bezbolesny. Gdy tego popoludnia Louis zadzwonil do Steve'a Mastertona, Steve odparl, ze nie mialby przeciw temu, by tez tak odejsc.-Czasami Bog zwleka i zwleka - dodal - a czasami wskazuje cie i kaze sie zabierac.

Rachel w ogole nie chciala o tym rozmawiac i nie pozwalala Louisowi odezwac sie ani slowem.

Ellie byla nie tyle zmartwiona, ile wstrzasnieta i zaciekawiona - Louis uznal, ze to zupełnie zdrowa reakcja jak na pieciolatke. Dopytywala sie, czy pani Crandall umarla z otwartymi, czy zamknietymi oczami. Louis odparl, ze nie wie.

Jud przyjął to tak, jak można się było spodziewać, zważywszy na fakt, że dzielił z nią stół i łóżko przez prawie szesćdziesiąt lat. Louis zastał starca - a tego dnia wyglądał naprawdę staro, jak prawdziwy osiemdziesięcioletni - siedzącego samotnie w kuchni, palącego chęsterfielę, pijącego piwo z butelki i patrzącego tępo w głąb salonu. Kiedy Louis wszedł, Jud unosił wzrok i rzekł:

-Odeszła, Louis.

Zabrzmięło to tak jasno i spokojnie, że Louis pomyślał, iż świadomość ta nie do końca dotarła do starca. Nie zapuściła korzeni. I wtedy usta Jęda zadrżały. Zakrył oczy przedramieniem. Louis podszedł do niego i objął go, a Jud poddał się i zapłakał. Pocisk dotarł do celu. Jud doskonale rozumiał, że jego żona nie żyje.

-Dobrze - pocieszał go Louis. - Już dobrze, Jęde. Chęłaby, żebyś trochę popłakał. Pewnie wściekłyby się, gdybyś tego nie zrobił. - Sam także zaczął płakać. Jęde przywarł do niego mocno, a Louis odpowiedział równie mocnym uściskiem.

Jęde płakał jakieś dziesięć minut. Potem burza minęła. Louis z wielką uwagą słuchał wszystkiego, co tamten mówił - nie tylko jako przyjaciel, lecz jako lekarz. Słuchał, szukając jakichkolwiek zapęteń w mowie Jęda. Sprawdzał, czy Jęde dobrze pojmuję kiedy (nie musiał sprawdzać gdzie, to niczego by nie dowiodło, bo dla Jęda Crandalla gdzie zawsze oznaczało Ludlow w stanie Maine); przede wszystkim czekał, czy tamten nie zacznie wspominać o Normie w czasie terażniejszym. Nie znalazł żadnych oznak oderwania od rzeczywistości. Louis dobrze wiedział, że stare małżeństwa często odchodzą niemal ręką w reke, miesiąc, tydzień, nawet dzień po sobie. Zapewne to wstrząs albo może głębokie, skrywane pragnienie dołączenia do partnera, który odszedł (nigdy nie przyszłoby mu to do głowy przed sprawą z Churchem. Ostatnio odkrył, że wiele jego poglądów na świat duchowy, nadmysłowy uległo niedostrzegalnej, głębokiej przemianie). W końcu uznał, że Jęde, choć zrozpaczony, trzyma się, przynajmniej na razie. Nie wyczuł w nim ani cienia przezroczyści, która zdawała się otaczać Normę w sylwestra, gdy cała czwórka siedziała w salonie Creedów, sącąc adwokata.

Jęde przynosił mu piwo z lodówki. Jego twarz wciąż pokrywały czerwone plamy, które wywołał płacz.

-Trochę jeszcze wcześniej - rzekł. - Ale gdzieś na świecie słońce zdążyło już zejść. A biorąc pod uwagę okoliczności...

-Nie musisz mówić nic więcej. - Louis otworzył piwo. Spojrzał na Jęda. - Wypijemy za nią?

-Chęłaby powinnismy - odpowiedział Jęde. - Gdybyś ją widział, gdy miała szesnaście lat, Louis, i wracała z kościoła w rozpiętym zakęciu z połyskującą spod niego białą, czystą bluzką. Oczy wyszłyby ci na wierzch. Mogłaby przekonać diabła, by rzucił picie. Dzięki Bogu mnie nigdy o to nie prosiła.

Louis skinal glowa i lekko uniosl butelke.

-Za Norme.

Jud stuknal swa butelka o flaszke Louisa. Znow plakal, ale tez usmiechal sie lekko. Przytaknal.

-Niechaj spoczywa w spokoju i niech tam, gdzie odeszla, nie bedzie juz zadnego cholernego artretyzmu.

-Amen - odparl Louis. Wypili.

Byl to jedyny raz, kiedy Louis ujrzal Juda wiecej niz lekko podchmielonego, nawet wtedy jednak starzec nie upil sie i nie stracil panowania nad soba. Zaczal wspominal, wylewajac z siebie niegasnacy strumien przyjemnych wspomnien i anegdot, barwnych, jasnych i czesto porywajacych. Lecz pomiedzy opowiesciami z przeszlosci Jud radzil sobie z terazniejszoscia w sposob, ktory Louis mogl jedynie podziwiac. Gdyby to Rachel nagle padla martwa po sniadaniu zlozonym z grejpfruta i platkow, on sam z pewnoscia nawet w czesci nie zachowalby takiej trzezwosci umyslu.

Jud zadzwonil do Domu Pogrzebowego Brookingsa-Smitha w Bangor i dokonat tylu ustalen, ile tylko dalo sie zalatwic przez telefon. Umowil sie na spotkanie nastepnego ranka, by zalatwic reszte spraw. Tak, chce, by ja zabalsamowano. Chce tez, by miala na sobie sukienke, ktora dostarczy. Owszem, sam wybierze bielizne. Nie, nie zyczy sobie, by kostnica dostarczyla specjalne buty sznurowane z tylu. Czy ktos moglby umyc jej wlosy? - poprosil. Norma myla je w poniedzialkowy wieczor, totez kiedy umarla, byly brudne. Przez chwile sluchal i Louis, ktorego wuj takze pracowal w zawodzie zwanym "cichym fachem", wiedzial, iz przedsiebiorca pogrzebowy informuje go, ze ostatnie mycie i kosmetyka nalezy do standardowych uslug. Jud przytaknal i podziekowal. Potem znow zaczal sluchac.

-Tak - powiedzial. - Chce, by zastosowano kosmetyki, ale bez przesady. Jest martwa. I ludzie o tym wiedza - rzekl, zapalajac chesterfielda. - Nie ma po co malowac jej jak ulicznicy.

Podczas pogrzebu trumna ma byc zamknieta - poinformowal z wladczym spokojem szefa firmy. Podczas wystawienia zwlok, dzien wczesniej, otwarta. Norma miala zostac pochowana na cmentarzu Mount Hope, gdzie oboje wykupili kwatery w tysiac dziewiecset piecdziesiatym roku. Jud mial w reku dokumenty i podal przedsiebiorcy numer dzialki, by mozna bylo zaczac przygotowania. H-1. On sam mial H-2, powiedzial pozniej Louisowi.

Odwiesil sluchawke, spojrzal na Louisa i rzekl:

-W mojej opinii tu w Bangor mamy najpiekniejszy cmentarz na swiecie. Jesli chcesz, otworz sobie jeszcze jedno piwo, Louis. To zabierze troche czasu.

Louis juz mial odmowic - czul sie lekko podchmielony - gdy przed jego oczami stanela nieproszona wizja: Jud wlokacy zwloki Normy na poganskich saniach przez las w strone cmentarzyska Micmacow za Cmetarzem Zwiezat.

Zupelnie jakby ktos dal mu w twarz. Bez slowa wstal i wzial z lodowki nastepna butelke. Jud skinal glowa, po czym znow zajal sie telefonem. Do trzeciej po poludniu, gdy Louis wrocil do domu na kanapke i talerz zupy, Jud w znacznej mierze zorganizowal ostatnie poslugi swojej zony. Przechodzil od jednego punktu do drugiego niczym ktos, kto planuje wazne uroczyste przyjecie. Zadzwonil do kosciola metodystow w polnocnym Ludlow, gdzie miala sie odbyc msza zalobna, i do administracji cmentarza Mount Hope. Przedsiębiorca pogrzebowy z Brookingsa-Smitha takze zadzwoni w oba te miejsca, ale Jud zrobil to pierwszy z grzeczności. Niewielu pograzonych w zalobie krewnych myslalo o czyms takim... a jesli nawet pomyslalo, tylko nieliczni zdolali sie na to zdobyc. Louis jeszcze bardziej podziwial za to Juda. Pozniej strzec zadzwonil do kilku jeszcze zyjacych krewnych Normy i swoich wlasnych, przerzucajac kolejne strony w starym, obszarpanym notatniku w skorzanej okladce. Miedzy telefonami pil piwo i wspominajl przeszlosc.

Louis czul dla niego wielki podziw... i milosc?

Tak, potwierdzilo jego serce. I milosc.

Gdy tego wieczoru Ellie zeszla na dol w pizamie, by dac sie pocalowac ojcu, spytala Louisa, czy pani Crandall pojdzie do nieba. Niemal wyszeptala to pytanie, jakby rozumiala, ze lepiej bedzie, jesli nikt ich nie podsluca. Rachel krzatala sie w kuchni, przyrzadzajac zapiekanke z kurczaka, ktora zamierzala nastepnego dnia zanieśc Judowi.

Po drugiej stronie ulicy w domu Crandallow plonely wszystkie swiatla. Na podjezdzie i poboczach drogi, trzydziesci metrow w kazda strone, staly zaparkowane samochody. Oficjalne czuwanie mialo odbyc sie nastepnego dnia w kostnicy, lecz tego wieczoru ludzie przybywali, by pocieszyc Juda, wspomoc go swymi wspomnieniami i uczcic pamiec Normy - Jud nazwal raz to wszystko mianem "przedodejscia". Pomiedzy domami wial lodowaty lutowy wiatr. Droge pokrywaly plamy czarnego lodu. Nadeszla najzimniejsza pora zimy w Maine.

-Tak naprawde to nie wiem, kotku - rzekl Louis, sadzajac sobie Ellie na kolanach. W telewizji rozgrywala sie w najlepsze strzelanina. Jakis mezczyzna obrocil sie na piecie i runal na ziemie. Ani ojciec, ani corka nie zwrocili na niego najmniejszej uwagi. Louis doskonale wiedzial - i nie byl tym zachwycony - ze Ellie prawdopodobnie zna sie na Ronaldzie McDonaldzie, Spidermanie i Burger Kingu lepiej niz na Mojzeszu, Jezusie i swietym Pawle. Byla corka niepraktykujacej zydwki i niegdysiejszego metodysty; przypuszczal, ze jej wizja swiata duchowego jest niezwykle mglista. Nie skladaja na nia mity ani sny, lecz zaledwie odlegle marzenia. Pozno juz, by to zaczynac, pomyslal przelotnie. Ma tylko piec lat, ale i tak jest pozno. Chryste Panie, jak szybko robi sie pozno.

Ona jednak patrzyła na niego i musiał coś powiedzieć.

-Ludzie wierzą w mnóstwo różnych rzeczy dotyczących tego, co dzieje się z nami po śmierci - rzekł. - Niektórzy uważają, że idziemy do nieba bądź piekła. Inni wierzą, że rodzimy się ponownie jako małe dziecko...

-Jasne, karnacja. Jak z Audrey Rose w tym filmie w telewizji.

-Nie widziałas tego! - Gdyby Rachel wiedziała, że Ellie oglądała "Audrey Rose", sama dostałaby chyba wylewu.

-Marie opowiedziała mi w przedszkolu - oznajmiła Ellie. Marie była aktualnie najlepszą przyjaciółką Ellie, niedożywiona, brudna dziewczynka, która zawsze sprawiała wrażenie, że łąka moment zapadnie na grzybicę, liszaję, a może nawet szkorbut. Louis i Rachel zachęcali dziewczynki do podtrzymywania kontaktów, lecz pewnego razu zona wyznała Louisowi, że po wizycie Marie zawsze ma ochotę sprawdzić głowę Ellie w poszukiwaniu wszy. Louis rozesmiał się i przytaknął.

-Mamusia Marie pozwala jej oglądać wszystkie programy. - W słowach dziewczynki zabrzmiała wyraźna pretensja, którą Louis postanowił pusczyć mimo uszu.

-Tak naprawdę nazywa się to reinkarnacja, ale rozumiem, że wiesz, o co w niej chodzi. Katolicy wierzą w niebo i piekło. Wierzą też, że istnieje miejsce zwane czyszcem, a buddycy wierzą w nirwanę...

Na ścianie jadalni padł cień. Rachel słuchała. Louis ciągnął dalej, nieco wolniej.

-Zapewne jest jeszcze wiele takich miejsc, ale w istocie wszystko sprowadza sie do tego: nikt nie wie. Ludzie twierdza, ze wiedza. Ale tak naprawde wierza w to z powodu wiary. Wiesz, co to wiara?

-No...

-W tej chwili jestesmy tutaj. Siedzimy w fotelu - oznajmil Louis. - Czy myslisz, ze moj fotel jutro tu bedzie?

-Tak, jasne.

-Zatem wierzysz, ze tu bedzie. Tak sie sklada, ze ja takze. To wlasnie jest wiara: ze cos bedzie. Zrozumialas?

-Tak. - Ellie z zapalem skinela glowa.

-Ale tak naprawde nie wiemy, czy tu bedzie. Ostatecznie w nocy moze sie tu wlamac jakis zwariowany zlodziej foteli i ukrasc go, prawda?

Ellie zachichotala. Louis usmiechnal sie.

-Nasza wiara mowi nam, ze to sie nie stanie. Wiara to wielka rzecz, i gleboko religijni ludzie chcieliby, bysmy uznali, ze wiara i wiedza sa tym samym, ale osobiscie tak nie uwazam. Poniewaz istnieje zbyt wiele roznych wizji przyszlosci. Wiemy tylko tyle: kiedy umrzemy, stanie sie jedna z dwoch rzeczy, nasze dusze i mysli albo przetrwaja chwile smierci, albo nie. Jesli przetrwaja, otworza sie przed nimi wszelkie mozliwe perspektywy. Jesli nie, to koniec. Kropka.

-Jak zasniecie. Zastanowil sie przez chwile.

-Raczej jak uspienie.

-A ty? W co wierzysz, tato?

Cien na scianie poruszyl sie i znow zastygl.

Przez wiekszosc doroslego zycia - chyba jeszcze od czasow college'u - Louis wierzył, ze smierc to koniec. Był obecny przy wielu zgonach i nigdy nie poczul dotknięcia duszy odchodzacej... dokadkolwiek mialaby odejsc. Czy nie o tym wlasnie pomyslal przy smierci Victora Pascowa? Zgadzal sie ze swym wykladowca psychologii, ze opisy przypadkow zycia po zyciu, pojawiajace sie w pismach naukowych i rozpowszechniane w popularnej prasie prawdopodobnie sa ostatnia proba obrony przed nadejsciem smierci; nieskonczenie pomyslowy ludzki umysl do konca odpycha od siebie szalenstwo, tworzac zlodzenie niesmiertelnosci. Zgadzal sie tez ze znajomym z akademika, ktory podczas calonocnej niasadowki na przedostatnim roku studiow Louisa w Chicago oznajmil, ze Biblia jest

podejrzanie pełna cudów, które we współczesnych czasach niemal zupełnie ustaly (z początku twierdził, że skończyły się całkowicie, ale pozostali zmusili go do wycofania się, przypominając, że wciąż jeszcze dzieje się mnóstwo dziwnych rzeczy. Że w świecie, który stał się czystym, jasno oświetlonym miejscem, nadal jeszcze pozostały zakamarki tajemnicy, na przykład Calun Turynski, którego w żaden sposób nie udało się wyjaśnić naukowo). "A zatem Chrystus wskrzesił Łazarza - powiedział ową znajomą, która miała później zostać szanowanym położnikiem w Dearborn w stanie Michigan. - Nie ma sprawy. Jeśli muszę to przelknąć, zgoda. W końcu musiałem uwierzyć, że jeden płód potrafi czasem wchłonąć swego bliźniaka w macicy, w akcie pieprzonego owocowego kanibalizmu, a potem dwadzieścia, trzydzieści lat później może pokazać, że na jadrach bądź włosy w płucach na dowód, że naprawdę to zrobił. Nie kwestionuję faktu, iż Łazarz wstał z grobu, ale chciałbym zobaczyć oryginał aktu zgonu. Podoba mi się Tomasz, który powiedział, że uwierzy w zmartwychwstanie Jezusa dopiero, gdy będzie mógł obejrzeć dziury po gwoździach i po włóczni w jego boku. Według mnie to on był prawdziwym lekarzem. Nie Łukasz.

Nie, przedtem Louis nie wierzył w przetrwanie. Aż do sprawy z Churchem.

-Wierzę, że istniejemy dalej - powiedział wolno córce. - Nie mam jednak zdania, jak wygląda to istnienie. Możliwe, że dla różnych ludzi jest zupełnie różne. Może dostajemy to, w co wierzyliśmy za życia. Ale wierzę, że wciąż istniejemy i że pani Crandall trafiła w miejsce, w którym może być szczęśliwa.

-Masz taką wiarę - dodała Ellie. To nie było pytanie. W jej głosie zabrzmiał nabożny podziw.

Louis uśmiechnął się, zadowolony i nieco zawstydzony.

-Chyba tak. I moja wiara mówi też, że już czas, abyś poszła do łóżka. Co najmniej od dziesięciu minut.

Pocałował ją dwukrotnie, raz w usta, raz w nos.

-Myślisz, że zwierzęta też istnieją dalej?

-Tak - odrzekł bez namysłu. I przez sekundę zapragnął dodać "zwłaszcza koty". Słowa te niemal wymknęły mu się z ust. Poczul, jak nagle ogarnia go chłód.

-W porządku. - Ellie zsunęła mu się z kolan. - Muszę iść pocałować mamusię.

-Biegnij.

Odprowadził ją wzrokiem. W drzwiach jadalni odwróciła się i spytała:

-Byłam naprawdę niemadram, kiedy płakałam z powodu Churcha, prawda? Taki płacz bez powodu.

-Nie, kotku - rzekl. - Nie sadze, bys byla niemadra.

-Gdyby teraz umarl, chybabym to zniosla - oznajmila. I przez moment zdawalo sie, ze rozwaza wypowiedziana glosno mysl, jakby zdumialy ja wlasne slowa. Potem przytaknela, zgadzajac sie z sama soba. - O tak, znioslabym. - I poszla poszukac Rachel.

Pozniej w lozku Rachel zagadnela go:

-Slyszalam, o czym z nia rozmawiales.

-I nie aprobujesz tego? - Louis uznal, ze moze czas postawic sprawe jasno, jesli Rachel tego pragnie.

-Nie - odparta zona z wahaniem zupełnie do niej niepodobnym. - Nie, Louis. Nie o to chodzi. Po prostu... boje sie. Znasz mnie. Kiedy sie boje, zaczynam sie bronic.

Louis nie pamietal, by Rachel kiedykolwiek przemawiala do niego z takim wysilkiem. Nagle zrozumial, ze musi zachowac jeszcze wieksza ostroznosc niz wczesniej w rozmowie z Ellie. Zupelnie jakby znalazl sie na polu minowym.

-Boisz sie? Czego? Smierci?

-Nie wlasnej - odparla. - Prawie o niej nie mysle... juz nie. Ale kiedy bylam dzieckiem, myslalam. I to czesto. Nie moglam zasnac w nocy, bo dreczyly mnie koszmary o potworach przychodzacych, by pozrec mnie w lozku. A wszystkie te potwory wygladaly jak moja siostra Zelda.

Tak, pomyslal Louis. Zaczyna sie wreszcie. Po tylu latach malzenstwa. Zaczyna sie.

-Niewiele o niej mowisz.

Rachel usmiechnela sie i musnela palcami jego twarz.

-Jestes slodki, Louis. Ja nigdy o niej nie mowie. Staram sie nawet nie myslec.

-Zawsze zakladalem, ze masz po temu powody.

-Bo mialam. I mam nadal. Urwala, zastanawiajac sie nad czyms.

-Wiem, ze umarla na zapalenie rdzenia...

-Zapalenie rdzenia - powtorzyla i ujrzal, ze jest bliska lez. - W domu rodzicow nie ma juz jej zdjec.

-Widzialem zdjecie dziewczynki w gabinecie twojego oj...

-W gabinecie ojca, tak. Zapomniałam. Myśle, że matka wciąż nosi jej fotografie w portfelu. Zelda była ode mnie starsza o dwa lata. Zachorowała... i leżała w tylnej sypialni... leżała w tylnej sypialni jak nieprzyzwoity sekret, Louis. Umierała tam. Moja siostra umarła w tylnej sypialni. I tym właśnie była. Nieprzyzwoitym sekretem. Zawsze była nieprzyzwoitym sekretem!

Nagle Rachel zalamala sie kompletnie, w jej donosnych, coraz glosniejszych szlochach Louis wyczul nadejście hysterii. Siegnal ku niej i chwycil ramie, które natychmiast umknelo przed jego dotykem. Pod palcami poczul sliski jedwab nocnej koszuli.

-Rachel... kochanie... nie...

Jakims cudem udalo jej sie opanowac placz.

-Nie mow mi, zebym tego nie robila - rzekla. - Nie powstrzymuj mnie, Louis. Starczy mi sil, zeby powiedziec to tylko raz. Nigdy wiecej nie chce o tym rozmawiac. Prawdopodobnie dzisiaj i tak nie bede spala.

-Bylo az tak strasznie? - spytal, znajac juz odpowiedz. Jej slowa tak wiele wyjasnialy. Nawet rzeczy, ktorych dotad nie dostrzegal badz ktore podejrzewal jedynie mglisto, nagle polaczyly sie, tworzac nowy obraz. Uswiadomil sobie, iz Rachel nigdy nie poszla z nim na zaden pogrzeb, nawet Ala Locke'a, kolegi ze studiow medycznych, ktory zginal podczas zderzenia swego samochodu ze smieciarka. Al byl u nich stalym gosciem i Rachel zawsze go lubila, a jednak nie poszla na pogrzeb.

Tego dnia byla chora, przypomniat sobie nagle Louis. Grypa czy cos takiego. Wygladalo powaznie. Ale nastepnego dnia zupełnie doszla do siebie.

Wyzdrowiala po pogrzebie, poprawil w myslach. Pamietal, ze nawet wtedy podejrzewal, iz jej choroba moze miec podloze psychologiczne.

-Owszem, to bylo straszne. Gorsze, niz potrafilbys sobie wyobrazic. Patrzyliśmy, jak z kazdym dniem jej stan sie pogarsza i nic nie mogliśmy zrobic. Caly czas cierpiala. Jej ciało zdawalo sie kurczyc... zapadac. Ramiona zgarbily sie, a twarz wyciagnela i napiela niczym maska. Jej dlonie przypominaly ptasie nogi. Czasami musialam ja karmic. Nienawidzilam tego, ale to robilam i nigdy nie protestowalam. Kiedy bol stal sie za silny, zaczeli podawac jej narkotyki. Najpierw lagodne, a potem mocne. Gdyby przezyła, zostalaby cpunka. Ale oczywiscie wszyscy wiedzieli, ze nie przezyje. Chyba wlasnie dlatego byla dla nas wszystkich takim... sekretem. Bo chcielismy, zeby umarla, Louis. Marzyliśmy, ze umrze. I nie tylko dlatego, by nie czula wiecej bolu, ale tez zebyśmy my go nie czuli. Bo zaczela wygladac jak potwor i tak sie zachowywac... Chryste, wiem, jak okropnie to brzmi.

Ukryla twarz w dloniach.

Louis dotknal jej lagodnie.

-Rachel, to wcale nie brzmi okropnie.

-Wlasnie, ze tak! - krzyknela. - Tak!

-Jedynie prawdziwie - dodal. - Ofiary przewleklych chorob czesto zamieniaja sie w wymagajace, bezduszne potwory. Wizja cierpiacego swietego to romantyczna fikcja. Kiedy jednak na posladkach przykutego do lozka pacjenta pojawiaja sie pierwsze odlezyiny, on sam staje sie rozdrazniejszy i zaczyna unieszczesliwiac innych. Nie moze nic na to poradzić, ale to nie ulatwia zycia opiekunom.

Spojrzała na niego ze zdumieniem... niemal z nadzieja. Potem jednak jej twarz znowu przybrala nieufny wyraz.

-Wymyślasz to sobie. Uśmiechnal sie ponuro.

-Chcesz, zeby pokazal ci moje podreczniki? A moze statystyki samobojstw? Chcialabys je obejrzec? W rodzinach, w ktorych opiekowano sie w domu smiertelnie chorym pacjentem, statystyki samobojstw w ciagu szesciu miesiecy po smierci pacjenta siegaja stratosfery.

-Samobojstw?

-Polykaja pigulki, wdychaja spaliny albo strzelaja sobie w glowe. Ich nienawisc... znuzenie... obrzydzenie... smutek... - Wzruszyl ramionami i delikatnie zlaczyl zacisniete w piesci dlonie.

- Ci, ktorzy przezyli, zaczynaja czuc sie winni, jakby osobiscie popelnili morderstwo, wiec sie usuwaja.

Opuchnieta twarz Rachel przybrala wyraz osobliwej bolesnej ulgi.

-Ona byla wymagajaca... zlosliwa. Czasami z rozmyslem sikala w lozku. Matka pytala ja, czy ma jej pomoc pojsc do lazienki, a pozniej, kiedy juz nie wstawala - czy chce basen... a Zelda mowila nie... a potem sikala w lozko, tak by moja matka, czasem z moja pomoca, musiala zmieniac posciel... Mowila, ze to wypadek, ale widac bylo zlosliwa radosc w jej oczach. Widzialysmy ja. W pokoju zawsze smierdzialo sikami i lekarstwami... Miala cale butelki czegos, co pachnialo jak wisniowy syrop na kaszel Braci Smith i zapach ten unosil sie stale w powietrzu. Czasami jeszcze dzisiaj budze sie w nocy i wydaje mi sie, ze wciaz czuje wisniowy syrop na kaszel, i mysle... jesli nie ockne sie do konca - czy Zelda juz umarla? Czy umarla?

Rachel zachlyslnela sie. Louis ujal jej dlon, a ona uscisnela ja z nadspodziewana sila, az sprawila mu bol.

-Kiedy ja przebieralysmy, widac bylo, jak jej plecy wykrecaja sie i garbia. Pod koniec, Louis, pod sam koniec mialam wrazenie, ze jej... jej tylek podjechal w gore, az na srodek plecow.

Wilgotne oczy Rachel przybrały szklisty, przerażony wyraz niby u dziecka, wspominającego niedawny, przeraźliwy koszmar.

-A czasem dotykała mnie swoimi... swoimi rękami... tymi ptasimi rękami... i o mało nie krzyczałam i prosiłam, by tego nie robiła. Raz wylałam sobie na rękę jej zupę, gdy dotknęła mojej twarzy. Oparzyłam się i wtedy krzyknęłam... także dlatego, że znowu dostrzegłam radość w jej oczach.

Pod koniec leki przestały działać. Wtedy krzyczała. I żadne z nas nie pamiętało już, jaka była przedtem. Nawet moja matka. Stała się ohydna, nienawistna, wrzeszcząca istota w tylnej sypialni... naszym nieprzyzwoitym sekretem.

Rachel przelknęła ślinę. Jej gardło scisnęło się.

-Moich rodziców nie było w domu, kiedy w końcu... kiedy ona... no wiesz... kiedy...

W końcu ze strasznym wysiłkiem wypowiedziała to.

-Kiedy umarła, moich rodziców nie było w domu. Wyszli, ale ja czuwałam przy niej. To było święto Paschy i poszli spotkać się z przyjaciółmi. Tylko na parę chwil. Czytałam pismo w kuchni, no, w każdym razie je przeglądałam. Czekałam, żeby podać jej następną porcję lekarstwa, bo krzyczała. Krzyczała od chwili wyjścia rodziców. Przez jej krzyki nie mogłam czytać, a potem... Widzisz, to było tak... Zelda przestała krzyczeć. Louis, miałam wtedy osiem lat. Co noc koszmary... zaczęłam wierzyć, że ona mnie nienawidzi, bo moje plecy są proste. Bo ja stale nie cierpię. Bo ja mogę chodzić, bo będę żyła. Wyobrażałam sobie, że chce mnie zabić. Tylko że nawet dziś tak naprawdę nie sadzę, by była to jedynie kwestia mojej wyobraźni. Ona naprawdę mnie nienawidziła. Owszem, nie zabiłaby mnie, ale gdyby w jakiś sposób mogła przejąć moje ciało... wyrzucić mnie z niego jak w bajce... chyba by to zrobiła. Kiedy jednak przestała krzyczeć, poszłam sprawdzić, czy wszystko z nią w porządku... czy może nie spadła z łóżka albo nie zsunęła się z poduszki, weszłam tam, popatrzyłam na nią i wydało mi się, że chyba połknęła własny język i dławi się na śmierć. Louis... - Głos Rachel wznosił się ponownie, pełen łez, przerażająco dziecinnie piskliwy, jakby cofała się w czasie, na nowo przeżywając tamte chwile. - Louis, nie wiedziałam, co zrobić. Miałam tylko osiem lat!

-Oczywiście, że nie wiedziałas. - Louis odwrócił się do niej i uściskał ją. Rachel przywarła do niego z paniczną siłą kiepskiego pływaka, którego łódź przewróciła się nagle pośrodku wielkiego jeziora. - Czy ktoś kiedykolwiek o coś cie obwiniał, kochanie?

-Nie - odparła. - Nikt mnie nie winił. Ale też nikt nie mógł sprawić, bym poczuła się lepiej. Nikt nie mógł tego zmienić. Nikt nie mógł odwrócić przeszłości... Zelda nie połknęła języka. Zaczęła wydawać z siebie dziwny dźwięk. Takie - sama nie wiem - gaaaa, coś takiego...

Zdenerwowana, odtwarzając wiernie ową scenę, niezwykle przekonująco naśladowała odgłos wydawany przez jej siostrę Zeldę. Louisowi stanął nagle przed oczami Victor Pascow.

Mocniej przytulil zone.

...i slina, po jej brodzie splywala slina...

-Rachel, wystarczy - rzekl lekko lamiacym sie glosem. - Znam wszystkie objawy.

-Wyjasniam ci to. - W jej glosie dzwieczal upor. - Tlumacze, dlaczego nie moge isc na pogrzeb biednej Normy i dlaczego tamtego dnia tak glupio sie poklocilismy...

-Ciiiiii. Juz o tym zapomnialem.

-Ale ja nie - rzucila. - Pamietam bardzo dobrze, Louis. Pamietam tak, jak pamietam Zelde, ktora zakrztusila sie na smierc w swym lozku czternastego kwietnia tysiac dziewiecset szescdziesiatego trzeciego roku.

Dluga chwile w pokoju panowala cisza.

-Odwrocilam ja na brzuch i zaczalam tluc po plecach - podjela w koncu Rachel. - Nie wiedzialam, co jeszcze zrobic. Jej stopy uderzaly o materac... a powykrepane nogi... Pamietam, ze uslyszalam cos, jakby pierdzenie... myslalam, ze ona pierdzi albo moze ja sama. Ale to bylo co innego, pekly szwy pod pachami mojej bluzki, kiedy ja odwracalam. Zaczela... zaczela sie wic... i zobaczylam, ze jej twarz odwraca sie na bok, odwraca na poduszce i pomyslam: Ona sie dlawi. Zelta sie dlawi. A kiedy wroca do domu, powiedza, ze ja zamordowalam, udusilam. Powiedza: "Nienawidzilas jej, Rachel". I to bedzie prawda. I powiedza: "Chcialas, zeby umarla". I to tez bedzie prawda. Bo widzisz, Louis, pierwsza mysla, jaka przemknela mi przez glowe, kiedy zaczela podnosic sie i opadac na lozku bylo: Boze, wreszcie, Zelta sie dusi i wszystko sie skonczy. Znow ja odwrocilam, a jej twarz poczerniala, Louis. Oczy wychodzily jej z orbit, a szyja spuchla. Potem umarla, a ja cofnelam sie ku drzwiom. Chyba chcialam wyjsc, lecz zderzylam sie ze sciana, z ktorej spadl obrazek. To byla ilustracja z jednej z ksiazek o Ozie, ktore Zelta lubila, nim zachorowala na zapalenie rdzenia, kiedy jeszcze byla zdrowa. Obrazek Oza Wielkiego i Wspanialego. Tyle ze Zelta zawsze nazywala go Ozem Wiejkim i Wsaniałym, bo nie potrafila tego wymowic. Matka kazala oprawic ten obrazek, bo... Zelta lubila go najbardziej, Oza Wiejkiego i Wsanialego... a on spadl, rabnal w podloge, szklo stluklo sie, ja zaczalam krzyczec, bo wiedzialam, ze ona nie zyje i pomyslam... pomyslam chyba, ze to jej duch, ktory chce mnie skrzywdzic. Wiedzialam, ze jej duch bedzie mnie nienawidzil tak jak ona, ale on nie bedzie przykuty do lozka, wiec krzyczalam... krzyczalam. Wybieglam z domu wrzeszczac: "Zelta umarla! Zelta umarla! Zelta umarla!"... A sasiedzi przyszli, zajrzeli do srodka... zobaczyli mnie biegnaca ulica z bluzka rozdarta pod pachami... Wrzeszczalam: "Zelta umarla!". Pewnie pomysleli sobie, ze placze, ale tak naprawde... tak naprawde chyba sie smialam, Louis. Chyba wlasnie to robilam.

-Jesli tak, podziwiam cie za to - wtracil Louis.

-Nie mowisz serio - odparla Rachel z absolutna pewnoscia kogos, kto wielokrotnie rozwazyl

wszystkie aspekty sprawy. Louis ustąpił. Może w końcu uda jej się pozbyć tych ohydnych, potwornych wspomnień, dreczących ją od tak dawna - a przynajmniej większości z nich - lecz nigdy tej części. Nigdy do końca. Louis Creed nie był psychiatrą, ale wiedział, iż każdy człowiek kryje w sobie na wprost pogrzebane sekrety i że odczuwa dziwną potrzebę wracania do nich i próbowania wyciągnięcia ich, choćby nawet wcześniej zostały zapomniane. Dzisiaj wieczór Rachel wydobyła na wierzch niemal wszystko, niczym groteskowy, cuchnący, zepsuty zabójstwo: pocerniały, zgnily, zakazony. Wydobyła niemal całość. Niech więc ta ostatnia zatruta komórka pozostanie w niej. Jeśli Bóg będzie dość łaskawy, pozostanie uspiona, budzić się będzie tylko w najgłębszych sennych koszmarach. I tak to cud, że udało jej się usunąć tak wiele. Nie tylko świadczyło to o jej odwadze, wręcz wygrywało na jej cześć fanfary. Louis był zadziwiony. Miał ochotę wiwatować. Wyprostował się i zapalił światło.

-Tak - rzekł. - Podziwiam cię. I gdybym potrzebował dodatkowego powodu, by... by naprawdę nie lubić twojej matki i ojca, właśnie bym go dostał. Nigdy nie powinniśmy zostawiać cię z nią samą. Nigdy!

Jak dziecko - osmioletnie dziecko, którym była, gdy zdarzyła się owa koszmarna, niewiarygodna rzecz - upomniła go natychmiast.

-Lou, to było święto Paschy!

-Nie obchodzi mnie to, nawet gdyby grały wówczas trąby na Sad Ostateczny - odparł Louis nagle ochryply z wściekłości, która sprawiła, że żona odsunęła się nieco. Przypomniał sobie praktykantki, dwie studentki, które miały pecha rozpocząć pracę rankiem, gdy do przychodni przyniesiono umierającego Pascowa. Jedną z nich - twardą dziewczyną, Carla Shavers, wróciła do pracy następnego dnia i spisywała się tak świetnie, że zaimponowała nawet Charltonowi. Drugiej nigdy więcej nie widzieli. Louis nie dziwił się i nie miał do niej pretensji.

Gdzie była pielęgniarka? Powinni mieć stałą opiekunkę... Wyszli, po prostu sobie wyszli. I zostawili osmioletkę samą z umierającą siostrą, która w owym czasie była już zapewne obłąkana. Czemu? Bo nastąpiło święto Paschy i ponieważ elegancka Dory Goldman nie mogła tego ranka znieść więcej smrodu. Musiała uwolnić się od niego na jakiś czas. Zatem przekazała obowiązki Rachel. Zgadza się, przyjaciele i sąsiedzi? Przekazała obowiązki Rachel. Osmioletniej dziewczynce z warkoczykami i w marynarskiej bluzce. Rachel objęła pieprzoną służbę. Rachel mogła zostać i znosić smród. Czemu niby co roku wysyłali ją na sześć tygodni na Słoneczny Oboz w Vermont, jeśli nie po to, by mogła znosić smród umierającej obłąkanej siostry? Dziesięć nowych bluz i spodenek dla Gage'a, sześć nowych sukienek dla Ellie i opłace ci studia medyczne, jeśli będziesz trzymał się z dala od mojej córki... Ale gdzie była pekatka księżeczka czekowa, gdy twoja córka umierała na zapalenie rdzenia, a druga córka była z nią sama? Ty skąpy skurwysynu! Gdzie była pieprzona pielęgniarka? Louis usiadł i wstał z łózka.

-Dokąd idziesz? - spytała z niepokojem Rachel.

-Przyniesc ci valium.

-Wiesz, ze nie biore...

-Dzis wieczor wezmiesz - ucial.

Polknela pigulke, a potem opowiedziala mu reszte. Jej glos caly czas pozostal spokojny. Lekarstwo zadzialalo. Najblizsza sasiadka znalazl ukryta za drzewem osmioletnia Rachel, ktora przycupnela tam, krzyczac raz po raz: "Zelda umarla!". Z nosa leciala jej krew, cala byla nia pochlapana. Ta sama sasiadka wezwala karetke, a potem jej rodzicow. Kiedy juz powstrzymala krwotok Rachel i uspokoila ja filizanka goracej herbaty i dwiema aspirynami, zdolala wyciagnac z dziewczynki informacje o rodzicach - odwiedzali wlasnie panstwa Cabron po drugiej stronie miasta. Peter Cabron byl ksiegowym w przedsiebiorstwie jej ojca.

Do wieczora w gospodarstwie Goldmanow zaszly wielkie zmiany. Zelda odeszla. Jej pokoj zostal oczyszczony i zdezynfekowany. Wszystkie meble zniknely. Sypialnia stala sie pusta klatka. Pozniej, znacznie pozniej, Dory Goldman postawila w niej maszynie do szycia.

Tej nocy Rachel pierwszy raz nawiedzil koszmar. Kiedy ocknela sie o drugiej, z krzykiem wzywajac matke, z przerazeniem odkryla, ze ledwie moze wstac z lozka. Potwornie bolaly ja plecy. Naciagnela miesnie, poruszajac Zelde. W przeblysku wspomaganej adrenalina sily podniosla ja tak gwaltownie, ze az rozerwala sobie bluzke.

Fakt, ze nadwerezyla miesnie, probujac powstrzymac Zelde przed uduszeniem, byl prosty, oczywisty, elementarny, moj drogi Watsonie. To znaczy dla wszystkich, oprócz samej Rachel. Rachel wierzyla swiecie, ze to zemsta Zeldy z za grobu. Zelda wiedziala, ze Rachel cieszy sie z jej smierci. Zelda wiedziala, ze kiedy siostra wypadla z domu, krzyczac: "Zelda umarla! Zelda umarla!", w istocie smiala sie, nie plakala. Zelda wiedziala, ze padla ofiara morderstwa, totez obdarzy Rachel zapaleniem rdzenia i wkrótce jej wlasne plecy zaczną wykrzywiac sie i zmieniac, i bedzie musiala lezec w lozku, powoli zamieniajac sie w potwora z coraz bardziej zakrzywionymi, szponiastymi dlonmi.

Po jakimś czasie tez zaczniesz krzyczec z bolu, jak kiedys Zelda, a potem moczyc sie w lozko i wreszcie zadlawi sie na smierc wlasnym jezykiem. To byla zemsta Zeldy.

Nikt nie mogl wyperswadowac Rachel tego przekonania. Ani matka, ani ojciec, ani tez doktor Murray, ktory orzekl u niej lagodne naciagniecie miesni plecow, po czym powiedzial szorstko (okrutnie, jak uznaliby niektorzy ludzie, a Louis zaliczal sie do ich grona), by przestala wydziwiac. Powinna pamietac, ze wlasnie umarla jej siostra, przypomniał doktor Murray. Rodzice sa nieprzytomni z zalu i nie pora, by Rachel probowala po dziecinnemu zwrocic na siebie uwage. Jedynie powolne ustepowanie bolu zdolalo w koncu przekonac ja, ze nie padla ofiara ani zemsty Zeldy z za grobu, ani tez sprawiedliwej kary boskiej dla grzesznikow. Calymi miesiacami (tak przynajmniej powiedziala Louisowi. W istocie byly to lata, scislej: osiem lat) dreczily ja potem koszmary, w ktorych siostra raz po raz umierala

na nowo, i w mroku rece Rachel siegaly ku plecom, by upewnic sie, ze wszystko w porzadku. W przerazajacych chwilach tuz po ocknieciu sie z koszmarow czesto miala wrazenie, ze drzwi szafy zaraz sie otworza i ze srodka wypadnie Zelda, sina i poskrecana, z wywroconymi oczami, czarnym jezykiem wystajacym spomiedzy zebow i zakrzywionymi jak szpony dlonmi, by zamordowac morderczynie, tchorzliwie skulona w lozku z dlonmi przycisnietymi do krzyza...

Nie poszla na pogrzeb Zeldy ani na zaden inny.

-Gdybys opowiedziala mi o tym wczesniej - rzekl Louis - wiele by to wyjasnilo.

-Lou, nie moglam - odparla z prostota. Jej glos brzmial bardzo sennie. - Od tamtego czasu mialam na tym punkcie... coz, lekka fobie.

Lekka fobie, pomyslal Louis. Akurat.

-Nie moge... nic na to poradzic. W glebi duszy wiem, ze masz racje, ze smierc to cos zupelnie naturalnego, czasami nawet dobrego, ale moj umysl nie odpowiada za to, co dzieje sie... wewnatrz mnie...

-O tak - przytaknal.

-Tego dnia, kiedy na ciebie naskoczylam, wiedzialam, ze Ellie placze i ze to sposob oswojenia sie ze zjawiskiem smierci... ale nie moglam sie powstrzymac. Przepraszam, Louis.

-Nie musisz przepaszac. - Pogladzil jej wlosy. - Ale co mi tam. Przyjmuje przeprosiny, jesli dzieki temu poczujesz sie lepiej.

Uśmiechnela sie.

-Owszem. Juz czuje sie lepiej. Czuje sie, jakbym zwrocila cos, co zatrutowalo mnie od lat.

-Moze rzeczywiscie to zrobilas.

Powieki Rachel opadly i uniosly sie... powoli.

-I nie win za wszystko mojego ojca, Louis. Prosze. To byl dla nich straszliwy okres. Rachunki - rachunki za Zelde - byly astronomiczne. Ojciec przepuscil szanse rozwinięcia swej sieci na przedmiescia, a sprzedaz w centrum spadla. A na dodatek moja matka sama powoli dostawala obledu.

A pozniej wszystko sie ulozilo. Zupelnie jakby smierc Zeldy stala sie oznaka nadejscia dobrych czasow. Nastala recesja, ale potem polepszylo sie z pieniędzmi. Ojciec dostal kredyt i odtad nigdy juz nie ogladal sie za siebie. Lecz wlasnie dlatego byl bardzo zaborczy

w stosunku do mnie. Nie tylko dlatego, że jedynie ja mu zostalam...

-To poczucie winy - wtracil Louis.

-Tak, chyba tak. Nie bedziesz na mnie zly, jesli zachoruje w dniu pogrzebu Normy?

-Nie, kochanie, nie bede zly. - Urwal, po czym ujal jej reke. - Czy moze zabrac Ellie?

Jej dlon zacisnela sie na palcach meza.

-Och, Louis, sama nie wiem. - W jej glosie znow zadzwieczal strach. - Jest taka mala...

-Od ponad roku wie juz, skad biora sie dzieci - przypomnial.

Dlugi czas Rachel milczala, spogladajac w sufit i przygryzajac wargi.

-Jesli sadzisz, ze tak bedzie najlepiej - rzekla w koncu.

-Jesli uwazasz, ze to... to jej nie zrani.

-Chodz tu, Rachel - rzekl. I tej nocy spali przytuleni niczym lyzeczki w lozku Louisa. A kiedy Rachel obudzila sie, drzac w srodku nocy, bo dzialanie valium ustapilo, on ukoil ja swymi dlonmi i szeptal jej do ucha, ze wszystko jest w porzadku, az wreszcie zasnala.

33.

-Albowiem mezczyzna i kobieta sa jak kwiaty w dolinie, ktore kwitna dzis, by jutro splonac w ogniu czasu. Czlowieczne zycie jest jak pora roku. Przychodzi i odchodzi. Modlmy sie! Ellie, elegancka w granatowej sukience, kupionej specjalnej na pogrzeb, tak gwaltownie pochyliła glowe, ze siedzacy obok niej w lawce Louis uslyszal trzask kregoslupa. Corka rzadko chodzila do kosciola i, oczywiscie, byl to jej pierwszy pogrzeb. Polaczenie tych dwoch okazji praktycznie odebralo jej mowe.

Louis mial okazje spokojnie obserwowac corke. Zaszlepiiony miloscia, jaka darzyl ja i Gage'a, nieczesto spogladal na nia obiektywnie. Dzis jednak mial wrazenie, ze oglada niemal podrecznikowy przyklad dziecka zblizajacego sie do konca pierwszego etapu rozwoju, etapu, na ktorym jest sie wylacznie czysta ciekawoscia, szalenczo gromadzaca wszelkie mozliwe informacje. Ellie, co niepodobne do niej, byla dziwnie milczaca, nawet gdy Jud, wygladajacy obco, lecz elegancko w czarnym garniturze i sznurowanych pantoflach (Louis po raz pierwszy widzial go w innych butach niz zielone gumki badz mokasyny) schylil sie, ucalowal ja i powiedzial:

-Cieszę, że przyszłaś, słonko. I załóżę się, że Norma także się cieszy.

Ellie spojrzala na niego szeroko rozwartymi oczami, nie znajdujac odpowiedzi. Rzadko jej sie to zdarzalo.

Teraz pastor metodystow, wielebny Laughlin, wyglaszal slowa blogoslawienstwa, proszac Boga, by zechcial spojrzec na nich i obdarzyc pokojem.

-Niech wystapia ci, ktorzy poniosa trumne - rzekl. Louis zaczal sie podnosic i Ellie zatrzymala go, rozpaczliwie ciagnac za reke. Sprawiala wrazenie przerazonej.

-Tatusiu - rzucila scenicznym szeptem - dokad idziesz?

-Mam poniesc trumne, kochanie - odparl Louis, siadajac na moment obok niej i obejmujac jej ramiona. - To znaczy, ze bede jednym z ludzi, ktorzy wyniosa Norme. W sumie jest nas czterech - ja, dwaj siostrzency Juda i jego szwagier.

-Gdzie cie potem znajde? - Twarz Ellie wciaz byla sciagnieta. W oczach krecily sie pierwsze lzy.

Louis obejrzal sie. Pozostala trojka zebrala sie juz obok trumny wraz z Judem. Reszta zgromadzenia opuszczala kosciol. Dostrzegl Missy Dandridge. Nie plakala, lecz oczy miala zaczerwienione. Na jego widok uniosla reke w niemym pozdrowieniu.

-Jesli stanesz na schodach, znajde cie tam - rzekl. - Zgoda, Ellie?

-Tak - odparla. - Tylko o mnie nie zapomnij.

-Nie zapomne.

Znow wstal i znow szarpnela go za reke.

-Tatusiu?

-Co, zlotko?

-Nie upusc jej - szepnela Ellie.

Louis dolaczyl do pozostalych i Jud przedstawil go siostrzencom, ktorzy w istocie byli dalekimi kuzynami, potomkami brata jego ojca. Potezni zbudowani mlodziency po dwudziestce okazali sie niezwykle do siebie podobni. Brat Normy na oko dochodzil do szescdziesiatki, a choc na jego obliczu widac bylo napiecie i bol wywolane przez smierc w rodzinie, w sumie trzymal sie niezle.

-Ciesz sie, ze was poznalem - rzekl Louis. Czul sie nieco niezrecznie - obcy w rodzinnym kregu.

Skineli glowami.

-Z Ellie wszystko w porzadku? - spytal Jud i wskazal ja ruchem glowy. Dziewczynka stala w sieni, obserwujac ich.

Jasne, po prostu chce sie upewnic, ze nie znikne nagle w klebie dymu, pomyslal Louis i omal sie nie usmiechnal. Potem jednak mysl ta przywolala nastepna: Oz Wiejki i Wsaniały, i usmiech umknal.

-Tak, chyba tak - odparl glosno, pozdrawiajac ja uniesieniem reki. Odpowiedziala tym samym i wybiegla na dwor: granatowa sukienka fruwała wokol niej. Przez sekunde Louis zauwazyl zaniepokojony, ze wyglada bardzo dorosle. Zludzenie to, choc przelotne, wystarczylo, by wzbudzic niepokoj w meskim sercu.

-Gotowi? - spytal jeden z siostrzencow.

Louis przytaknal. Podobnie mlodszy brat Normy.

-Badzcie ostrozni - poprosil Jud. Jego glos zalamal sie lekko. Potem odwrocil sie i odszedl powoli srodkiem kosciola, ze spuszczone glowa.

Louis przeszedl na tylna pozycje w lewym rogu stalowoszarej trumny, ktora starzec wybral dla zony. Zlupal uchwyt i cala czworka powoli wyniosla trumne Normy na sloneczny lutowy mroz. Ktos - zapewne koscielny - wysypal sliska sciezke z udeptanego sniegu gruba warstwa popiolu. Przy krawezniku czekal juz karawan, wielki cadillac wypuszczajacy w zimowe powietrze biale kleby spalin. Obok czekal szef firmy pogrzebowej i jego rosly syn. Obserwowali ich czujnie, gotowi pomoc, gdyby ktokolwiek (moze jej brat) posliznal sie badz potknal.

Jud stanal obok niego i patrzyl, jak wsuwaja do srodka trumne.

-Zegnaj, Normo - powiedzial i zapalil papierosa. - Zobaczymy sie niedlugo, moja droga.

Louis objal go ramieniem. Brat Normy stanal tuz obok po drugiej stronie, spychajac grabarza z synem na drugi plan. Potezni siostrzency (czy dalecy kuzyni, czy kim tam byli) zdazyli juz zniknac, wykonawszy proste zadanie: dzwigniecie i przeniesienie trumny. Znacznie oddalili sie od tej galezi rodziny. Znali twarz zmarlej ze zdjec i moze kilku obowiazkowych wizyt - dlugich popoludni spedzonych w salonie, wypelnionych ciasteczkami Normy i piwem Juda. Moze nawet nie mieli nic przeciw starym opowiesciom z czasow, gdy nie bylo ich jeszcze na swiecie, o ludziach, ktorych nie znali, lecz caly czas zdawali sobie sprawe z tego, ze mogliby w tym czasie robic wiele innych rzeczy (umyc i wywoskowac samochod, pocwiczyz gre w kregle albo po prostu usiasc przed telewizorem i obejrzec z przyjacielmi mecz bokszerski), totez cieszyli sie, kiedy mogli odejsc, spelniwszy swoj obowiazek.

W ich oczach Jud i jego rodzina nalezeli juz do przeszlosci, niczym zwietrzala planetoida oddalajaca sie od glownej skalnej masy i znikajaca w dali, niewiele wieksza od kropki na niebie. Przeszlosc. Zdjecia w albumie. Stare historie opowiadane w pokoju, ktory wydawal sie im zbyt cieply - oni nie byli starzy, w ich stawach nie czail sie artretyzm; ich krew byla wciaz gesta. Ostatecznie, jesli ludzkie cialo to tylko powloka dla duszy - listu Boga do

wszechswiata - jak naucza wiekszosc Kosciolow, to trumna stanowi powloke przechowujaca ludzkie ciało, A dla tych mlodych, wysokich kuzynow czy siostrzencow, czy kimkolwiek byli, przeszlosc stanowiła jedynie list bez adresu, pusta koperte, która należy odlozyc.

Niech Bog zachowa przeszlosc, przemknelo Louisowi przez glowe i zadrzal bez specjalnego powodu, jesli nie liczyc mysli, ze nadejdzie dzien, gdy on sam stanie sie rownie obcy swej własnej krwi, potomkom dzieci brata, własnym wnukom, jesli Ellie badz Gage dochowaja sie potomstwa, a on dozyje tych czasow. Punkty widzenia zmienialy sie, galezie rodzinne obumieraly. Mlode twarze wygladaly ze starych fotografii.

Niechaj Bog zachowa przeszlosc, pomyslal ponownie, i mocniej scisnal ramiona starca.

Grabarze ulozyli kwiaty na tyłach karawanu. Tylne elektryczne okno podnioslo sie i zatrzasnelo ze szczekiem. Louis wrocil w miejsce, gdzie czekala corka i razem podeszli do hondy. Ojciec trzymal lokiec coreczki tak, by nie posliznela sie w swych odswietnych butach na skorzanych podeszwach. Wokol ozywaly silniki samochodow.

-Czemu wszyscy wlaczaja swiatla, tatusiu? - spytala Ellie. - Czemu wlaczaja swiatla w dzien?

-Robia to - zaczal Louis i uslyszal, jak glucho brzmi jego glos - by uczcic pamiec zmarlej, Ellie. - Wlaczyl reflektory hondy. - Ruszajmy.

Jechali juz do domu po zakonczeniu ceremonii pogrzebowej (w rzeczywistosci odprawiano ja w malej kaplicy cmentarza Mount Hope; grob dla Normy mial zostac wykopany dopiero na wiosne), gdy Ellie nagle wybuchnela placzem.

Louis zerknal na nia, zaskoczony, lecz niezbyt zaniepokojony.

-Co sie stalo, Ellie?

-Nie bedzie juz ciasteczek - wyslochala Ellie. - Ona piekla najlepsze owsiane ciasteczka na swiecie, ale wiecej ich nie upiecze, bo nie zyje. Tatusiu, czemu ludzie musza umierac?

-Tak naprawde to nie wiem - odparl Louis. - Chyba zeby zrobic miejsce nowym ludziom. Malym, jak ty i twoj brat Gage.

-Nigdy nie wyjde za maz, nie bede sie kochac, nie bede miala dzieci - oznajmila Ellie, placzac jeszcze mocniej. - Wtedy moze mnie to nie spotka. Smierc jest straszna. Jest zla!

-Ale stanowi koniec cierpienia - odrzekl cicho Louis. - A jako lekarz widze wiele cierpienia. Przyjalem te posade na uniwersytecie takze dlatego, ze mialem dosyc ogladania go co dzien. Mlodzi ludzie czesto czuja bol... czasem wielki bol... ale to niezupełnie to samo co cierpienie.

Zawiesil glos.

-Wierz lub nie, slonko, kiedy ludzie staja sie bardzo starzy, smierc nie zawsze wydaje im sie zla czy przerazajaca, jak teraz tobie. Poza tym masz przed soba jeszcze mnostwo, naprawde mnostwo lat.

Ellie poplakala chwile, potem pociagnela kilka razy nosem i ucichla. Nim dotarli do domu, spytala, czy moze wlaczyc radio. Louis zgodzil sie i natychmiast znalazla stacje WACZ. Z glosnika odezwal sie Shakin' Stevens. Po chwili spiewala "This Old House" wraz z nim. Gdy dotarli do domu, poszla do matki i zaczela opowiadac o pogrzebie. Trzeba przyznac Rachel, ze sluchala spokojnie, ze wspolczuciem i zrozumieniem... choc Louisowi wydalo sie, ze wyglada blado i jest nie w sosie.

Potem Ellie spytala, czy umie zrobic owsiane ciasteczka. Rachel odlozyla robotke na drutach i natychmiast wstala, jakby czekala na to pytanie.

-Tak - odparla. - Chcesz, upieczemy cala blache.

-Jejku! - krzyknela Ellie. - Naprawde mozemy, mammo?

-Owszem, jesli twoj ojciec przez godzine zajmie sie Gage'em.

-Zajme sie nim - odparl Louis. - Z przyjemnoscia.

Louis spedzil wieczor na lekturze i sporzadzaniu notatek z "The Duquesne Medical Digest". W pismie znow rozpoczel sie stary spor dotyczacy rozpuszczalnych szwow. W malenkim swiecie nielicznych istot ludzkich, zainteresowanych zszywaniem drobniejszych ran, byl to spor rownie zaciety i nierozstrzygniety, jak wsrod psychologow sprawa natura kontra wychowanie.

Zamierzal jeszcze tego wieczoru napisac list, w ktorym oprotestowalby artykul, udowadniajac, ze podstawowe zalozenia autora sa niejasne, przyklady tendencyjne, a badania karygodnie niedokladne. Krotko mowiac, Louis z wyrazna satysfakcja zamierzal zmieszac kretyna z blotem. Wlasnie grzebal w biblioteczce w poszukiwaniu "Opatrywania ran" Troutmana, gdy Rachel zeszla do polowy schodow.

-Idziesz, Lou?

-Jeszcze troche posiedze. - Zerknal na nia. - Wszystko w porzadku?

-Oboje mocno spia.

Louis przyjrzel sie jej uwaznie.

-Oni owszem. Ty, nie.

-Nic mi nie jest. Czytałam.

-Wszystko w porządku? Naprawdę?

-Tak - odparta z uśmiechem. - Kocham cie, Louis.

-Ja ciebie też, moja sliczna. - Spojrzał na biblioteczkę i dostrzegł Troutmana, który stał właśnie tam, gdzie powinien. Louis położył dłoń na podreczniku.

-Kiedy nie było was z Ellie, Church przyniósł do domu szczura. Co za ohyda!

-Rany, Rachel, tak mi przykro. - Miał nadzieję, że w jego głosie nie odbiło się poczucie winy, które ogarnęło go natychmiast. - Bardzo było źle?

Rachel usiadła na schodach. W rozowej flanelowej nocnej koszuli, z twarzy pozbawiona makijazu, błyszczącym czołem i włosami spiętymi gumką w krótki konski ogon wyglądała jak dziecko.

-Złatwilam to - rzekła. - Ale wiesz, że musiałam wypchnąć tego durnego kota rura od odkurzacza, zanim przestał pilnować trupa. Warknął na mnie. Church nigdy dotąd na mnie nie warczał. Ostatnio wydaje się jakiś inny. Myślisz, że jest może chory czy coś takiego?

-Nie - odparł wolno Louis. - Ale jeśli chcesz, zabiorę go do weterynarza.

-Chyba nie trzeba. - Rachel spojrzała na niego bezbronnym wzrokiem. - Przyjdiesz na górę? Po prostu... wiem, że pracujesz, ale...

-Oczywiście - odrzekł, jakby nie zajmował się niczym ważnym. I rzeczywiście tak było - tyle że wiedział, że list nigdy już nie zostanie napisany, bo życie toczy się dalej i jutro przyniesie z pewnością coś nowego. Ale przecież kupił sobie tego szczura. Sam za niego zapłacił. Szczura przyniesionego przez Churcha, z pewnością poszarpanego na krwawe strzępy, z wywleczonymi wnetrznosciami, może nawet bez głowy. O tak, kupił go. To był jego szczur.

-Chodźmy do łózka - rzekł, gasząc światła. Poszli na górę wraz z Rachel. Louis objął ją w tali i kochał najlepiej, jak umiał... lecz nawet kiedy wszedł w nią, twardy i sztywny, cały czas nasluchiwał skowytu wiatru za oszronionymi oknami, zastanawiając się, gdzie podziewa się Church, kot, który niegdyś należał do jego córki, a teraz do niego, i na co poluje, co zabija. Ziemia serca mężczyzny jest kamienista, pomyślał, a wiatr wyspiewywał swą gorzką, czarną pieśń. Niewiele kilometrów dalej Norma Crandall, która kiedyś zrobiła na drutach identyczne czapeczki jego córce i synowi, leżała w szarej stalowej trumnie na kamiennym postumencie w krypcie Mount Hope. Do tej pory biała wata, która pracownik kostnicy wypchał jej policzki, zdążyła już poczernieć.

Ellie skonczyła szesc lat. W urodziny wrocila do domu z przedszkola z wlozona krzywo na glowe papierowa czapka, kilkoma portretami stworzonymi przez jej przyjaciol (na najlepszym z nich Ellie wygladala jak usmiechniety strach na wroble) i zlowieszczymi pogloskami o dzieciach dostajacych w tylek na przerwie na szkolnym dziedzincu. Epidemia grypy minela. Musieli wyslac dwoch studentow do EEMC w Bangor, a Surrendra Hardu prawdopodobnie ocalil zycie powaznie zatrutego pierwszorocznika obdarzonego koszmarnym nazwiskiem Humperton. Peter Humperton zwymiotowal, lezac na plecach w lozku w przychodni i o malo sie nie udusil. Rachel zaczela wspominalac z zachwytem o jasnowlosym tragarzu w AP w Brewer, wyglaszajac istne poematy na temat jego wypchanych spodni.-To pewnie tylko papier toaletowy - dodala.

-Scisnij go tam kiedys - zaproponowal Louis. - Jesli krzyknie, raczej nie.

Rachel poplakala sie ze smiechu.

Blekitny, nieruchomy mrozny luty minal, ustepujac miejsca naprzemiennym deszczom i sniegom marca, nowym dziurom w drodze i pomaranczowym znakom, oddajacym czesc wielkiemu bogu - wybojowi. Pierwszy, osobisty, najbolesniejszy okres zaloby Juda Crandalla minal. Psycholodzy twierdza, ze okres ten zaczyna jakies trzy dni po smierci ukochanej osoby i trwal zazwyczaj od czterech do szesciu tygodni - niczym czas, ktory mieszkancy Nowej Anglii nazywaja czasem Luta Zima. Czas jednak plynie i przemienia jedno uczucie ludzkie w nastepne, az w koncu przybieraja wszystkie odcienie teczy. Cierpienie przekszalca sie w lagodniejszy zal, ten w zalobe, zaloba w koncu staje sie pamiecia - proces ten moze zajac od pol roku do trzech lat, i wciaz miescic sie w normie. Dzień pierwszej wizyty Gage'a u fryzjera nadszedl i minal, a kiedy Louis ujrzal, ze wlosy syna odrastaja ciemniejsze, zazartowal na ten temat, wlasnej zalobie oddajac sie tylko w glebi serca. Nadeszla wiosna. I zostala.

35.

Louis Creed doszedl do wniosku, ze ostatnim naprawde szczesliwym dniem jego zycia byl dwudziesty czwarty marca tysiac dziewiecset osiemdziesiatego czwartego roku. Wydarzenia, ktore wisialy juz nad nimi niczym zaboiczny ciezar, mialy nadejsc dopiero za szesc tygodni, lecz kiedy ogladal sie wstecz, w czasie tym nie znalazl niczego, co mialoby rownie mocna barwe i znaczenie. Podejrzewal, ze nawet gdyby nie stalo sie nic straszego, i tak na zawsze zapamietalby ow dzien. Naprawde dobre dni - dobre od poczatku do konca - sa bardzo rzadkie, pomyslal. Mozliwe, ze nawet w najlepszych okolicznosciach w zyciu kazdego czlowieka znajdzie sie w sumie miesiac zlozony z takich dni. Louis czesto mial wrazenie, ze Bog w swej nieskonczonej madrosci znacznie szczodrzej szafuje nieszczesiami i bolem. Byla sobota. Po poludniu zostal w domu z Gage'em; Rachel i Ellie wybraly sie na zakupy wraz z Judem jego stara, rozklekotana furgonetke, nie dlatego ze honda nie dzialala, lecz dlatego ze starzec szczerze lubil ich towarzystwo. Rachel spytala Louisa, czy poradzi sobie z Gage'em, a on odparl, ze oczywiscie. Cieszył sie, ze mogla wyrwac sie z domu. Po spedzonej w Maine, a scislej w Ludlow zimie, uznal, ze nalezy jej

sie tyle swobody, ile to tylko mozliwe. Co prawda sama Rachel robila dobra mine do zlej gry, lecz widzial, ze powoli zaczyna wariowac od siedzenia na miejscu.

Gage obudzil sie okolo drugiej, nadasany i nieswoj. Najwyrazniej odkryl znaczenie slow "straszliwe godziny" i przyswoil je sobie natychmiast. Louis probowal na rozne sposoby rozbawic malego, lecz Gage zlekcewazyl wszystkie jego wysilki. Na dodatek zalatwil sie tego dnia nader obficie, co raczej nie zachwycilo Louisa, nawet gdy dostrzegl artystycznie tkwiaca posrodku niebieska szklana kulke. Byla to jedna ze szklanych kulek Ellie. Maly mogl sie nia zadlawic. Louis uznal, ze pozostaje tylko pozbyc sie ich z domu - wszystko, co Gage zdolal zlapac, natychmiast pakowal do buzi - lecz decyzja ta, choc niewatpliwie chwalebna, w zaden sposob nie pomogla mu zabawic dziecka az do przyjazdu matki.

Na zewnatrz szumial wczesnowiosenny wiatr. Lezace w sasiedztwie pole pani Vinton na zmianie pograzalo sie w blasku slonca i w cieniu. I nagle Louis przypomniał sobie Sepa, ktorego kupil, kierujac sie impulsem, piec czy szesc tygodni temu w drodze powrotnej z uniwersytetu. Czy kupil tez sznurek? Tak, na Boga!

-Gage! - zawolal. Gage tymczasem znalazl sobie pod kanapa zielona kredke, kolorem dokladnie przypominajaca swieze smarki, i bazgral cos w jednej z ukochanych ksiazek Ellie. Kolejna porcja wody na mlyn rodzinnej rywalizacji, pomyslal Louis i usmiechnal sie szeroko. Jesli Ellie wscieknie sie z powodu bazgrolow Gage'a w "Dzikich stworzeniach" - maluch zdazyl solidnie ozdobic ksiazke, nim ojciec mu ja zabral - Louis wspomni jedynie o niezwyklym skarbie znalezionym w pampersie synka.

-Co? - spytal bystro chlopczyk. Mowil juz calkiem niezle. Louis uznal, ze moze jednak ma choc troche rozumu.

-Chcesz wyjsc na dwor?

-Wyjsc na dwor - zgodzil sie radosnie Gage. - Chce wyjsc. Gdzie moje dasy, tato? - Zdanie odtworzone w pelni fonetycznie, wygladaloby mniej wiecej tak: "Gdziee moe daazy, tao?". W tlumaczeniu oznaczalo to: "Gdzie moje adidas, ojczy?". Louisa czesto zaskakiwal sposob wyslawiania Gage'a, nie dlatego ze brzmial uroczo, lecz dlatego ze odnosil wrazenie, iz male dzieci mowia niczym imigranci, uczacy sie w chaotyczny, lecz skuteczny sposob obcego jezyka. Wiedzial, ze niemowleta sa w stanie wydac z siebie kazdy dzwiek, ktory moze wyprodukowac ludzka glosnia. Dzwieczne "r" sprawiajace takie trudnosci uczniom rozpoczynajacym nauke francuskiego, pomruki na wdechu, typowe dla australijskich Aborygenow, ostre, urywane spolgloski Niemcow. Traca te zdolnosc w miare nauki angielskiego. I, nie po raz pierwszy, przyszlo mu na mysl, ze byc moze dzieciinstwo to nie czas nauki, lecz raczej zapominania.

W koncu znalezi dasy Gage'a... takze lezaly pod kanapa. Louis wierzyl rowniez, ze w rodzinach z malymi dziecmi przestrzen pod kanapa w salonie po jakims czasie zaczyna rozwijac w sobie silna, tajemnicza, elektromagnetyczna moc, ktora w koncu sciaga tam

wszelkie możliwe smiecie - wszystko, od butelek i zapinek do pieluch po obrzydliwie zielone kredki i stare numery pisma "Ulica Sezamkowa" z kawalkami jedzenia gnijacymi miedzy stronicami.

Kurtki Gage'a nie znalezi jednak pod kanapa, lecz w polowie schodow. Jego czapeczka Red Soxow, bez ktorej nie zgadzal sie opuscic domu, okazala sie najtrudniejszym orzechem do zgryzienia, bo lezala tam, gdzie powinna - w szafie. Rzecz jasna bylo to ostatnie miejsce, jakie sprawdzili.

-Gdzie idziemy, tato? - spytal pogodnie Gage, podajac reke ojcu.

-Idziemy na pole pani Vinton - odparl Louis. - Puscimy latawca, moj stary.

-Tawca? - spytal z powatpiewaniem Gage.

-Spodoba ci sie - obiecal Louis. - Jedna chwileczke, chlopie.

Juz w garazu Louis znalazl kolko z kluczami, otworzyl niewielka szafke i zapalil swiatlo. Przez chwile grzebal wsrod rupieci, az w koncu znalazl Sepa, wciaz tkwiacego w torbie ze sklepu z przypietym paragonem. Kupil go w najgorsze mrozy lutego, gdy jego dusza laknela choc odrobiny nadziei.

-To? - spytal Gage. Po Gage'owemu znaczylo to: "Na milosc boska, co tam masz, ojczy?".

-To latawiec - wyjasnil Louis i wyciagnal go z torby. Gage patrzyl ciekawie, jak ojciec rozklada Sepa, ktorego skrzydla ze sztywnego plastiku mialy rozpietosc ponad poltora metra. Wybaluszone, przekrwione oczy spogladaly z malej glowy, tkwiacej na rozowej kostropatej szyi.

-Ptak! - wrzasnal Gage. - Ptak, tato. Masz ptaka.

-Tak, to ptak - zgodzil sie Louis, wsuwajac drazki na miejsce z tylu latawca i rozpoczynajac nowe poszukiwania stu piecdziesieciu metrow latawcowego sznurka, ktory kupil tego samego dnia. Obejrzal sie przez ramie i powtorzyl do Gage'a: - Spodoba ci sie to, chlopie.

Gage'owi rzeczywiscie sie spodobalo.

Wyniesli latawiec na pole pani Vinton i Louis za pierwszym podejsciem zdolal wzbic go w wietrzne poznomarcowe niebo, choc nie puszczal latawcow, odkad skonczyl... ile lat? Dwanascie? Dwadziescia trzy lata temu? Boze, co za straszna mysl.

Pani Vinton byla niemal w wieku Juda, lecz niepomiernie slabsza i bardziej krucha. Mieszкала w ceglany domu u stop pola (ktore, jak kiedys powiedzial Louisowi Jud, od niepamietnych czasow zwano polem Vintonow), lecz obecnie rzadko wychodzila na dwor.

Za domem pole konczylo sie i zaczynaly lasy - lasy wiodace najpierw na Cmentarz Zwiezat, a potem lezace dalej cmentarzysko Micmacow.

-Tawiec leci, tato! - krzyknal Gage.

-O tak, patrz, jak frunie! - odkrzyknal Louis rozesmiany i rozradowany. Rozwijal sznurek tak szybko, ze ten rozgrzal sie i omal nie oparzył mu dloni. - Patrz na Sepa, Gage. Skopie wszystkim dupe.

-Kopie dupe! - zawolal Gage i rozesmial sie radosnie, piskliwie. Slonce wyplynelo zza ciezkiej, szarej wiosennej chmury i zdawalo sie, ze temperatura natychmiast wzrosła o kilka stopni. Stali w jasnym sloncu, czujac niepewne ciepło marca powoli zmieniajacego sie w kwiecień, wśrodek wysokich zeschlych traw pola Vintonow; ponad nimi Sep szybował ku blekitowi, coraz to wyżej i wyżej. Jego rozpięte plastikowe skrzydła przechwytywały stały prąd powietrza, i jak kiedyś w dzieciństwie Louis poczuł, że sam wlatuje ku niemu, coraz wyżej, patrząc, jak świat w dole nabiera swych prawdziwych kształtów, które kartografowie muszą oglądać w marzeniach. Pole pani Vinton, białe i nieruchome, pokryte pajęczyną topniejącego śniegu, nie było już zwykłym polem, lecz ogromnym równoległobokiem, ograniczonym z dwóch stron skalnymi ścianami, na dole czarna kreska drogi, na gorze zas rzeczna dolina. Sep widział to wszystko swymi bystrymi przekrwionymi oczami. Widział rzekę: szare stalowe pasmo, w którym wciąż unoszą się kawałki kry. Po drugiej stronie ujrzał Hampden, Newburgh, Winterport i statek tkwiący w doku. Może też fabrykę St. Regis w Bucksport, skryta pod gestą chmurą pary albo nawet sam koniec ładu w miejscu, gdzie Atlantyk uderza o odsłonięte skały.

-Patrz, jak leci, Gage! - huknął Louis ze śmiechem. Gage odchylił się tak mocno, że łąda moment mógł się przewrócić. Jego twarz rozjaśniał szeroki uśmiech. Reka machał do latawca.

W końcu sznurek poluznił się lekko i Louis kazał Gage'owi złapać się za reke. Gage zrobił to, nie oglądając się na ojca. Nie mógł oderwać oczu od latawca, kołyszącego się i tańczącego na wietrze, scigającego swój cień po polu.

Louis dwukrotnie określił sznurek wokół dloni Gage'a i wówczas malec spuścił wzrok, komicznie zaskoczony nagłym szarpnięciem.

-Co? - rzucił.

-Ty nim kierujesz - oznajmił Louis. - Puszczasz go, chłopie. To twój latawiec.

-Gage puszcza? - spytał Gage, jakby prosił o potwierdzenie nie ojca, lecz siebie samego. Eksperymentalnie pociągnął za sznurek. Latawiec posłusznie zakolysał się na wietrznym niebie. Gage szarpnął mocniej. Latawiec zanurkował. Louis i jego syn zasmiali się jednocześnie. Chłopiec wyciągnął wolną reke i Louis ujął ją. Stali tak razem posrodku pola pani Vinton, obserwując Sepa.

Louis nigdy nie zapomnial tej chwili w towarzystwie syna. Tak jak w dzieciństwie wlatywal i jednoczyl sie z latawcem, teraz odkryl, ze wnika w glab Gage'a, swego syna. Poczul, ze sie kurczy i zaglebia w malenka postac chlopca, w dom jego ciala, wygladajac na swiat oknami jego oczu - na ogromny, jasny swiat, w ktorym pole pani Vinton bylo rownie wielkie jak Rownina Solna Bonneville, latawiec szybowal wiele kilometrow nad glowa, zacisniety w piesci sznurek szarpal dlon niczym zywa istota, a wiatr szumial wokol, unoszac mu wlosy.

-Tawiec lata! - krzyknal do ojca Gage. Louis objal go ramieniem i ucalowal w policzek, na ktorym wiatr zasadzil dzika roze.

-Kocham cie, Gage - powiedzial; mialo to pozostac miedzy nimi dwoma. I bylo w porzadku, calkiem w porzadku.

A Gage, ktoremu pozostaly niecale dwa miesiace zycia, rozesmial sie radosnie, piskliwie.

-Tawiec lata! Tawiec lata, tato!

Wciaz jeszcze puszczali latawiec, gdy Rachel i Ellie wrocily do domu. Udalo im sie wzbic go tak wysoko, ze niemal zabraklo im sznurka, a oblicze Sepa Zniknelo w dali. Latawiec byl tylko mala, czarna sylwetka na niebie.

Louis ucieszyl sie, widzac je obie, i ryknal ze smiechu, kiedy Ellie wypuscila na moment sznurek i musiala scigac go po trawie, chwytajac w koncu tuz przedtem, nim sama koncowka odwinela sie ze szpuli. Lecz ich przybycie wiele zmienilo i nie zalowal specjalnie, gdy dwadziescia minut pozniej Rachel oznajmila, ze wedlug niej Gage wystarczajaco dlugo przezywa na wietrze. Bala sie, ze sie przeziebi.

Totez sciagnieto z nieba latawiec, ktory z kazdym obrotem szpulki walczył i stawial opor, by w koncu ustapic. Louis wsunal go pod pache - czarne skrzydla, wybaluszone przekrwione oczy - i ponownie uwiezil w szafce. Tego wieczoru Gage zjadal ogromna kolacje, zlozona z parowek i fasolki. A podczas gdy Rachel ubierala go w pizame, Louis zabral na bok Ellie i porozmawial z nia powaznie o pozostawianych na podlodze kulkach. W innych okolicznosciach rozmowa moglaby skonczyc sie krzykiem, bo Ellie oskarzana o jakikolwiek blad potrafilo zachowywac sie wyniosle, niemal obrazliwie. W ten sposob radzila sobie z krytyka. Nie zmienialo to jednak faktu, ze reakcja ta byla wybitnie denerwujaca, zwlaszcza gdy dziewczynka przesadzila badz Louis byl szczególnie zmeczony. Lecz tego wieczoru zabawa z latawcem pozostawila go w dobrym nastroju, a Ellie takze okazala sie zaskakujaco rozsadna. Obiecala zachowac wieksza ostroznosc, a potem zeszla na dol ogladac telewizje do wpol do dziewiatej. Pozwalali jej na to tylko w soboty i niezmiernie cenila sobie ow przywilej. W porzadku, zalatwione. Moze nawet cos to da, pomyslal Louis, nie wiedzac, ze kulki nie sa wcale problemem i podobnie przeziebienia, ze problemem okaze sie wielka ciezarowka Orinco, ze wlasciwy problem to droga... choc Jud Crandall ostrzegal ich przed tym w sierpniu ich pierwszego dnia w Ludlow.

Tego wieczoru poszedl na gore jakies pietnascie minut po tym, jak Rachel polozyla Gage'a. Zastal syna spokojnego, lecz wciaz przytomnego. Maluch wysaczal wlasnie resztkę mleka z butelki i z namyslem patrzyl w sufit.

Louis ujal jedna ze stopek Gage'a, uniosl ja i pocalowal.

-Dobranoc, Gage - rzekl.

-Tawiec lata, tato - odparl Gage.

-O tak, niezle sobie polatal. - Nagle bez zadnego powodu do oczu Louisa naplynely lzy. - Az po samo niebo, chlopie.

-Tawiec lata - zgodzil sie Gage. - Po nebo. Obrocil sie na bok, zamknal oczy i zasnal. Ot tak. Louis przekraczal wlasnie prog, gdy obejrzawszy sie, ujrzal zielone, bezcielesne oczy spogladajace na niego z szafy Gage'a. Drzwi szafy byly uchylone... odrobine. Serce podeszlo mu do gardla, usta wykrzywily sie w naglym grymasie.

Otworzyl drzwi szafy, myslac

(Zelda to Zelda w szafie ze spuchnietym czarnym jezykiem sterczacym z ust)

nie byl pewien dlaczego, lecz oczywiscie byl to tylko Church. Kot siedzial w szafie, a gdy zobaczyl Louisa, wygial grzbiet niczym kocur z kartki na Halloween. Syknal na niego, otwierajac pyszczek i ukazujac ostre jak szpilki zebry.

-Wynos sie stad - mruknal Louis. Church syknal ponownie. Ani drgnal.

-Powiedzialem: wynos sie! - Podniosl pierwsza rzecz, jak podeszla mu pod reke, w stosie zabawek Gage'a, jasna plastikowa lokomotywe, ktora w polmroku nabrala brunatnej barwy skrzeplej krwi. Machnal nia groznie w strone Churcha. Kot jednak nie tylko nie ustapil, lecz znow syknal.

I nagle, bez namyslu Louis cisnal zabawka w kota. Nie dla zabawy, nie lekko, lecz z calej sily; byl wsciekly na zwierze, a jednocześnie bal sie, ze ukrylo sie tu w ciemnej szafie w pokoju jego synka i nie chcialo odejsc, jakby mialo prawo tu byc.

Mala lokomotywa trafila prosto w bok kota. Church wydal z siebie wysoki skowyt i uciekl z wlasnym sobie wdziekiem, zderzajac sie z drzwiami i niemal padajac po drodze.

Gage poruszył sie, wymamrotal cos, przekrecil sie ponownie i znow ucichl. Louis poczul, ze robi mu sie niedobrze. Na jego czolo wystapily kropelki potu.

-Louis? - To byla Rachel z dolu. W jej glosie brzmial niepokoj. - Czy Gage wypadl z lozeczka?

-Nic mu nie jest, kochanie. Church wywrocil pare zabawek.

-Ach tak.

Czul sie - moze nieracjonalnie, a moze i nie - jakby spojrzal na syna i dostrzegl pelzajacego po nim weza badz wielkiego szczura przycupnietego na polce nad lozeczkiem. Oczywiscie bylo to irracjonalne. Kiedy jednak kot syknal na niego z szafy...

(Zelda myslales ze to Zelda myslales, ze to Oz Wiejki i Wsaniały)

Zamknal drzwi szafy Gage'a, odsuwajac stopa kilka zabawek. Wysluchal cichego szczekniecia zatrzasku. Po chwili wahania przekrecil klucz w zamku.

Z powrotem podszedl do lozeczka. Krecac sie, maluch zrzucil z siebie koldre, ktora owinela sie wokol kolan. Louis rozplatal ja. Ponownie przykryl dziecko, po czym stal tam dlugi czas, patrzac na syna.

CZESC DRUGA

CMENTARZYSKO MICMACOW

Gdy Jezus przybyl do Betami, przekonal sie, ze Lazarz juz od czterech dni lezy w grobie. Kiedy Marta uslyszala o nadejsciu Jezusa, pospieszyla mu na spotkanie.-Panie - rzekla - gdybys byl tutaj, brat moj nie umarlby. Teraz jednak tu jestes i wiem, ze o cokolwiek poprosisz Boga, zostanie spelnione.

A Jezus odparl:

-Brat twój znow zyc będzie.

Ewangelia wedlug swietego Jana (parafraza)

Hey-ho, let's go.

The Ramones

36.

Nie nalezy wierzyc, iz istnieja granice grozy, ktora zdolny jest przyjac ludzki umysl. Wrecz przeciwnie, wszystko wskazuje na to, iz w miare jak ciemnosc staje sie coraz glebsza, glebia owa zaczyna rosnac wykladniczo - i choc nie chcemy tego przyznac, to doswiadczenie podpowiada nam, iz kiedy koszmar staje sie dosc czarny, groza zaczyna rodzic groze, a jedno przypadkowe zlo plodzi nastepne, czesto rozmyslne zle czyny, poki w koncu wszystkiego nie pochlonie ciemnosc. Najstraszniejszym zas pytaniem pozostaje to, ile dokladnie grozy moze zniesc ludzki umysl i wciaz zachowac niezlomna, nieugieta lacznosc z rzeczywistoscia. Trudno ukryc, ze podobne wydarzenia maja w sobie cos z absurdu. W

pewnym momencie wszystko staje się zabawne. Możliwe, że w tej właśnie chwili nasze zdrowie umysłowe zaczyna albo ratować się przed upadkiem, albo też załamywać i pekać. To moment, gdy człowiekowi wraca poczucie humoru. Louis Creed mógłby rozmyślać o tych rzeczach, gdyby w ogóle myślał trzeźwo siedemnastego maja, po pogrzebie swego syna, Gage'a Williama Creeda. Lecz wszelkie próby racjonalnego myślenia skończyły się w sali pogrzebowej, gdzie bojka z tesciem (sama w sobie dostatecznie okropna) doprowadziła do wydarzenia jeszcze straszniejszego, ostatniego aktu gotyckiego melodramatu dość koszmarnego, by całkowicie strząsnąć resztki i tak osłabionej samokontroli Rachel. Makabryczne wydarzenia tego dnia dobiegły końca dopiero, gdy wywleczono ją, krzyczącą, z Sali Wschodniej domu pogrzebowego Brookingsa-Smitha, w której Gage leżał w zamkniętej trumnie. W przedśionku Surrendra Hardu podał jej środki uspokajające.

O ironio, Rachel nie stałaby się świadkiem ostatniego aktu dramatu, owego komiksowego wybuchu grozy, gdyby do bojki pomiędzy Louistem Creedem i panem Irwinem Goldmanem z Dearborn doszło podczas porannego wystawienia zwłok (od dziesiątej do jedenastej trzydziestej) zamiast popołudniowego (od drugiej do trzeciej trzydziestej). Rachel nie uczestniczyła w porannej ceremonii; po prostu nie była w stanie przyjść. Została w domu z Judem Crandallem i Steve'em Mastertonem. Louis nie miał pojęcia, jak zdołałby przetrwać ostatnich czterdziestu osiem godzin bez Juda i Steve'a.

Miał szczęście - w istocie dotyczyło to całej trójki pozostałych przy życiu członków rodziny - że Steve zjawił się tak szybko, bo Louis, przynajmniej tymczasowo, nie potrafił podjąć jakiegokolwiek decyzji, nawet tak drobnej, jak podanie żonie zastrzyku, by stłumić nieco jej głęboką rozpacz. Nie zauważył nawet, że Rachel ma zamiar wybrać się na wystawienie w szlafroku, w dodatku krzywo zapiętym. Włosy miała brudne, splątane, nieuczesane, oczy metne - brązowe kule wychodziły z orbit tak daleko, że przypominały niemal oczy żywej czaszki - jej skóra była maczysta, zwisała faldami z twarzy. Tego ranka Rachel usiadła przy stole śniadaniowym, przeżuwając suchego tosta i wyrzucając z siebie oderwane zdania, pozbawione wszelkiego sensu. W pewnym momencie rzuciła gwałtownie:

-A co do winnebago, którego zamierzasz kupić, Lou... - Louis ostatnio wspominał o zakupie winnebago w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym roku.

Teraz jedynie przytaknął i nadal spokojnie jadł śniadanie. Przyrzadził sobie talerz kakaowych platków. Kakaowe płatki były jednym z ulubionych przysmaków Gage'a i tego ranka Louis miał na nie ochotę. Smakowały koszmarnie, ale i tak ich pragnął. Zjawił się na śniadaniu ubrany w swój najlepszy garnitur - nie czarny, nie miał czarnego garnituru, lecz przynajmniej ciemnografitowy. Ogolił się, wziął prysznic, uczesał włosy. Wyglądał dobrze, choć nadal był w szoku.

Ellie włożyła dzinsy i żółta bluzkę. Przyniosła ze sobą zdjęcie; ani na moment nie chciała się z nim rozstać. Zdjęcie to - powiększenie fotografii zrobionej polaroidem SX 70, który Rachel dostała od meza i dzieci na ostatnie urodziny - przedstawiało Gage'a uśmiechniętego pod kapturem parki z Searsa. Maluch siedział na sankach, a Ellie go ciągnęła. Rachel

wyczekala na moment, gdy corka obejrzała sie przez ramie i usmiechnela do Gage'a. Gage odpowiedzial szerokim usmiechem.

Ellie caly czas nosila ze soba zdjecie, ale niewiele mowila. Zupelnie jakby szok zwiazany ze smiercia brata na drodze przed domem pozbawil ja wiekszosci slownictwa.

Louis nie potrafil dostrzec stanu, w jakim znajdowaly sie jego zona i corka. Jadal sniadanie, a jego umysl raz po raz odtwarzal wypadek, tyle ze w owych wizjach zakonczenie wygladalo inaczej. W wizjach byl szybszy i wszystko skonczylo sie na tym, ze Gage dostal lanie, bo nie zatrzymal sie, gdy krzyczeli.

To Steve dostrzegl, co naprawde dzieje sie z Rachel i Ellie. Zabronil Rachel wyjscia na poranne wystawienie zwlok (choc "wystawienie" mozna nazwac fikcja ze wzgledu na zamknieta trumne. Gdyby zostala otwarta, wszyscy, lacznie z samym Louistem, uciekli by z krzykiem) i nie pozwolil Ellie w ogole ruszac sie z domu. Rachel protestowala. Ellie siedziala jedynie, milzczaca i powazna, trzymajac w dloni zdjecie z Gage'em.

To Steve dal Rachel zastrzyk, ktorego tak potrzebowala i zaaplikowal Ellie lyzeczke bezbarwnego plynu. Ellie zazwyczaj gwaltownie opierala sie przyjmowaniu wszelkich lekow - jakichkolwiek lekow - ten jednak wypila bez zadnych grymasow. O dziesiatej rano spala juz mocno w swym lozku (w dloni wciaz trzymala zdjecie z Gage'em), a Rachel siedziala przed telewizorem, ogladajac "Kolo Fortuny". Na pytania Steve'a odpowiadala powoli, spokojnie, z rozmyslem. Byla nafaszerowana prochami, lecz jej twarz stracila wyraz cichego, bolesnego obledu, ktory tak bardzo zaniepokoil i przerazil asystenta, gdy ten zjawil sie u nich w domu pietnascie po osmej.

Oczywiscie to Jud poczynil wszelkie ustalenia. Zrobil to z ta sama spokojna sprawnoscia, z jaka zalatwial pogrzeb zony trzy miesiace wczesniej. Ale to Steve Masterton odwolal Louisa na bok, tuz przedtem, nim ten wyruszył do domu pogrzebowego.

-Dopilnuje, by przyjechala tam po poludniu, jesli zdola to zniesc - poinformowal Louisa.

-W porzadku.

-Do tego czasu dzialanie zastrzyku ustapi. Twój przyjaciel, pan Crandall, mowi ze po poludniu zostanie z Ellie...

-Dobrze.

-I zagra z nia w monopol czy cos takiego. - Aha.

-Ale...

-Dobrze.

Steve urwał. Stali w garażu, na terenach lowieckich Churcha, w miejscu, gdzie przynosił martwe ptaki i szczury, które należały do Louisa. Na zewnątrz świeciło majowe słońce. Przez podjazd przebiegał drożd, jakby ważne sprawy wzywały go gdzie indziej.

-Louis - powiedział Steve - musisz pozbierać się do kupy. Louis spojrzał na niego uprzejmie, pytająco. Niewiele z tego, co powiedział Steve, dotarło do niego - myślał, że gdyby był odrobine szybszy, może uratowałby życie syna - ale te słowa zarejestrował.

-Chyba nie zauważyłeś - ciągnął Steve - ale Ellie przestała mówić. Nie odzywa się ani słowem. A Rachel jest w takim szoku, że kompletnie straciła poczucie czasu.

-Jasne - odparł Louis. Najwyraźniej powinien położyć większy nacisk na swoją odpowiedź. Nie był pewien dlaczego.

Steve położył dłoń na ramieniu Louisa.

-Lou - powiedział. - Potrzebują cię teraz bardziej niż kiedykolwiek w życiu. Proszę cię, stary... Mogę dać twojej żonie zastrzyk, ale... Widzisz, Louis, musisz... Chryste, Louis, co to za pierdolone, kurewskie nieszczęście!

Louis z lekkim niepokojem odkrył, że Steve zaczyna płakać.

Jasne, rzekł, w myślach widząc Gage'a biegnącego przez trawnik ku drodze, a oni krzyčeli, by wracał, lecz Gage nie słuchał. Ostatnio jego ulubiona zabawa była ucieczka od mamy-taty. A potem rzucili się w pogoń, Louis szybko wyprzedził Rachel, lecz Gage za bardzo się oddalił, Gage śmiał się, Gage uciekał przed tatą, na tym właśnie polegała zabawa, a Louis zbliżał się zbyt wolno, Gage biegł w dół łagodnego trawiastego zbocza, opadającego aż do skraju trasy numer 15, a Louis modlił się do Boga, by Gage upadł, kiedy małe dzieci biegają zbyt szybko, niemal zawsze upadają, bo ludzie zaczynają w pełni kontrolować swoje nogi dopiero wtedy, kiedy mają siedem, osiem lat; Louis modlił się do Boga, by Gage upadł, upadł, o tak, upadł, rozbił sobie nos, uszkodził czaszkę, potrzebował kilku szwów; wszystko jedno, bo teraz słyszał już warkot zbliżającej się ciężarówki; jednej z wielkich, dziesięciokółowych ciężarówek, bez końca kraczących pomiędzy Bangor i fabryka Orinco w Bucksport; wykrzyknął wtedy imię Gage'a i wierzył, że Gage usłyszał go i próbował się zatrzymać, Gage najwyraźniej zrozumiał, że zabawa się skończyła, że podczas zabawy rodzice nie krzyczą na człowieka, toteż próbował wyhamować, a warkot ciężarówki był już bardzo głośny, wypełniał cały świat, zamieniał się w grzmot. Louis rzucił się naprzód długim ślizgiem, jego cień smigał po ziemi, tak jak cień Sepa wędrujący po białej od szronu trawie na polu pani Vinton owego marcowego dnia. Wierzył (lecz nie był pewien), że opuszki palców musnęły plecy lekkiej kurtki, w którą ubrali Gage'a, a potem rozped wyniósł chłopczyka na drogę, a ciężarówka była grzmotem, ciężarówka była blaskiem słońca na Isniacym chromie, ciężarówka była głębokim, przeraźliwym rykiem klaksonu, i wszystko to działo się w sobotę, trzy dni wcześniej.

-Nic mi nie jest - powiedział do Steve'a. - Musze juz isc.

-Jesli pozbierasz sie i im pomozesz - Steve otarl rece rekawem kurtki - pomozesz tez samemu sobie. Wasza trojka musi przejsc przez to razem, Louis. To jedyny sposob. Wszyscy o tym wiedza.

-Zgadza sie - przytaknal Louis, a w jego umysle wszystko zaczelo sie od nowa. Tylko ze tym razem skoczyl pol metra dalej, chwycil plecy kurtki Gage'a i nic sie nie wydarzylo.

Ellie nie byla swiadkiem sceny w Sali Wschodniej domu pogrzebowego Brookingsa-Smitha, ale Rachel - owszem. Gdy sie to stalo, Ellie przesuwala bezcelowo i milczaco swe piony na planszy do gry w monopol z Judem Crandallem. Jedna reka potraszala koscmi, w drugiej sciskala fotografie, na ktorej ciagnela na sankach Gage'a.

Steve Masterton uznal, ze Rachel moze byc obecna na popoludniowym wystawieniu zwlok - w swietle pozniejszych wydarzen gleboko pozalowal swej decyzji.

Goldmanowie przylecieli tego ranka z Chicago do Bangor i zatrzymali sie w hotelu Holiday Inn na Odlin Road. Do poludnia ojciec Rachel zdazyl zadzwonic cztery razy i Steve musial okazywac coraz wieksza stanowczosc - przy czwartym telefonie niemal uciekl sie do grozb. Irwin Goldman chcial ja odwiedzic i wszystkie ogary piekielne nie mogly powstrzymac go przed towarzyszeniem corce w tej godzinie proby - tak powiedzial. Steve odparl, ze Rachel potrzebuje troche czasu, by mozliwie najbardziej otrzasnac sie z pierwszego szoku. Nie znam sie na wszystkich ogarach piekiel - dodal - lecz znam jednego szwedzko-amerykanskiego pomocnika lekarza, ktory nie ma zamiaru pozwolic nikomu wejsc do domu rodziny Creedow, poki Rachel z wlasnej woli nie pokaze sie publicznie. Powiedzial tez, ze po poludniowym wystawieniu zwlok chetnie pozwoli przejac obowiazki rodzinie. Do tego czasu mieli zostawic ja w spokoju.

Stary mezczyzna zwymyslal go w jidysz i gwaltownie rzucil sluchawka, przerywajac polaczenie. Steve czekal, pragnac przekonac sie, czy Goldman rzeczywiscie sie pokaze, jednak tamten postanowil ustapic. Okolo poludnia Rachel zaczela wygladac nieco lepiej. Byla przynajmniej swiadoma uplywu czasu i chwili obecnej. Poszla do kuchni sprawdzic, czy jest tam cos, co nadawaloby sie na kanapki badz poczystunek na pozniej.

-Ludzie zechca pewnie wrocic do domu, prawda? - spytala Steve'a. Ten przytaknal.

Nie znalazla mielonki ani zimnej pieczeni, ale w zamrazarce lezal duzy indyk. Polozyla go nad zlewem, by sie rozmrozil. Kilka minut pozniej Steve zajrzal do kuchni i ujrzal ja stojaca przy zlewie, nie odrywajaca wzroku od indyka i rzewnie placzaca.

-Rachel? Odwrocila sie do niego.

-Gage naprawde je lubil. Zwlaszcza biale mieso. - Usmiechnela sie slabo, upiornie. - Wlasnie przyszlo mi na mysl, ze nigdy juz nie zje indyka.

Steve poslal ja na gore, by sie przebrala - ostatnia proba jej zdolnosci radzenia sobie z rzeczywistoscia - a kiedy zjawila sie w prostej, czarnej sukience przewiazanej paskiem w talii, niosac w dloni mala torebke (wieczorowa), uznal, ze nic jej nie jest. Jud zgodzil sie z ta ocena.

Steve zawiozl ja do miasta. Stanal w przedsionku Sali Wschodniej z Surrendra Hardu i patrzyl, jak Rachel sunie upiornie w strone zasypanej kwiatami trumny.

-Jak sobie z tym radza, Steve? - spytal cicho Surrendra.

-Kurewsko zle - odparl Steve niskim, ochryplym glosem. - A jak myslales?

-Myslalem, ze prawdopodobnie radza sobie kurewsko zle - odrzekl Surrendra i westchnal.

Tak naprawde problemy rozpoczety sie w czasie porannego wystawienia zwlok, gdy Irwin Goldman odmowil swojemu zeciowi uscisnienia reki.

Widok tak wielu przyjaciol i krewnych zmusil Louisa do lekkiego otrzasniecia sie z szoku. Teraz musial widziec, co sie dzieje i co czeka go za chwile. Osiagnal stan tepego bolu, ktory przedsiebiorcy pogrzebowi dobrze znaja i umieja wykorzystywac. Komenderowali nim jak pionkiem.

Przed Sala Wschodnia lezal niewielki przedsionek, w ktorym ludzie mogli zapalic i usiasc na gleboko wyscielanych fotelach. Fotele te wygladaly, jakby pochodzily wprost z wyprzedazy zbankrutowanego angielskiego klubu. Obok prowadzacej do sali drzwi staly male sztalugi z czarnego metalu, ozdobionego zlotem. Na nich ustawiono niewielka tabliczke, gloszaca z prostota: GAGE WILLIAM CREED. Gdyby tak przejsc na druga strone przestronnego bialego budynku, ktory na oko wydawal sie, jakze mylaco, wygodnym starym domem, mozna by dotrzec do identycznego przedsionka, tym razem przed Sala Zachodnia. Tam tabliczka na sztalugach glosila: ALBERTA BURNHAM NEDEAU. Na tyloch miescila sie Sala Nadrzeczna. Sztalugi po lewej stronie drzwi, laczace przedsionek z owa sala byly puste. Tego wtorkowego ranka nikt z niej nie korzystal. Na dole miescila sie wystawa trumien, kazda z nich oswietlal maly reflektorek na suficie. Jesli unioslo sie wzrok - Louis to zrobil, a sprzedawca spojrzal na niego surowo - mozna by odniesc wrazenie, ze osiedlilo sie tam stadko osobliwych zwierzat.

Jud przyjechal tu z nim w niedziele, dzien po smierci Gage'a, aby wybrac trumne. Zeszli na dol i zamiast natychmiast skrecic na wystawe, oszolomiony Louis pomaszerowal korytarzem ku zwyklym bialym wahadlowym drzwiom, takim samym, jakie czesto lacza sale restauracyjne z kuchnia. Zarowno Jud, jak i wlasciciel powiedzieli jednoczesnie: "Nie tedy" i Louis poslusznie odszedl od owych drzwi. Wiedzial jednak, co sie za nimi kryje. Jego wujek takze byl przedsiebiorca pogrzebowym.

W Sali Wschodniej ustawiono proste rzedy skladanych krzesel - drogiego modelu o wyscielanych siedzeniach i oparciach. Z przodu, w miejscu wygladajacym jak polaczenie

nawy z buduarem, stała trumna Gage'a. Louis wybrał model American Casket Company z rozanego drewna, zwany Wieczny Spoczynek, wyscielany miękkim, różowym jedwabiem. Sprzedawca zgodził się, że to naprawdę piękna trumna, i przeprosił, że nie ma modelu z niebieską wysciółką. Louis odparł, że nigdy nie przejmowali się z Rachel podobnymi drobiazgami. Tamten przytaknął i spytał Louisa, czy zastanawiał się już, jak pokryje koszty pogrzebu Gage'a. Jeśli nie, chętnie zaprosi go do swojego biura i szybko przyjrzy się trzem najbardziej popularnym planom spłaty.

W umyśle Louisa nagle odezwał się wesóły głos spikera. Dostałem te trumny dla mojego dziecka zupełnie za darmo, dzięki kuponom Raleigh!

Czując się jak istota ze snu, powiedział:

-Oplacę wszystko moja karta Master.

-Doskonale - zgodził się przedsiębiorca.

Trumna miała niewiele ponad metr długości. Trumienka krasnoludka. Mimo to kosztowała ponad sześćset dolarów. Louis przypuszczał, że stała na koźlach, lecz wszystkie te kwiaty utrudniały zajrzenie pod spód, a on sam nie chciał za bardzo się zbliżyć - ich won budziła mdłości. Pośrodku, tuż przy drzwiach prowadzących do przedpokoju salonu, ustawiono stojak z książkami. Do stojaka lancuchem przymocowano wieczne pióro. Tam właśnie kierujący ceremonią skierował Louisa, aby ten mógł "powitać przyjaciół i krewnych". Przyjaciele i krewni mieli wpisywać się do księgi, podając nazwiska i adresy. Louis nie miał pojęcia, skąd wziął się ten zwariowany zwyczaj, i wolał nie pytać. Przypuszczał, że kiedy pogrzeb dobiegnie końca, oni z Rachel mają zatrzymać książki. To wydawało się najbardziej szalonym pomysłem. Gdzieś w domu miał księgę pamiątkową z liceum, college'u i studiów medycznych. Mieli też album ślubny w okładce ze sztucznej skóry z wytłoczonym złotym napisem DZIEŃ MEGO ŚLUBU - zaczynał się od zdjęcia Rachel, przymierzającej przed lustrem welon z pomocą swojej matki, a kończył fotografią dwóch par butów przed zamkniętymi drzwiami hotelu - i dziecięca książka Ellie - szybko znudziło ich jej wypełnianie, bo album ze specjalnymi miejscami przeznaczonymi na "moje pierwsze strzyżenie" (wklej kosmyk włosów dziecka) i "ojej!" (zdjęcie dziecka upadającego na pupę) był obrzydliwie przesłodzony.

A teraz do kompletu ta księga. Jak ją nazwano? - zastanawiał się Louis, stojąc w odretwieniu obok stojaka i czekając na rozpoczęcie imprezy. "Moja księga śmierci"? "Autografy pogrzebowe"? "Dzień, w którym pogrzebalismy Gage'a"? A może coś bardziej dystyngowanego, na przykład: "Śmierć w rodzinie"?

Odwrocił książkę i spojrzał na okładkę, która, podobnie jak w albumie ślubnym, wykonano ze sztucznej skóry. Była pusta.

Nietrudno było przewidzieć, że Missy Dandridge zjawi się tego ranka pierwsza. Poczciwa

Missy, która dziesiątki razy pilnowała Ellie i Gage'a. Nagle Louis przypomniał sobie, że to właśnie Missy zabrała dzieci wieczorem w dniu, gdy zginął Victor Pascow. Zabrała dzieci, a Rachel kochała się z nim najpierw w wannie, potem w łozku.

Missy płakała, i to mocno. Na widok spokojnej, nieruchomej twarzy Louisa na nowo wybuchnęła płaczem i sięgnęła ku niemu, jakby szukała wsparcia. Louis objął ją, uswiadamiąc sobie, że to właśnie tak działa albo przynajmniej powinno - że jakiś ładunek przeskakuje pomiędzy ludźmi, poruszając twarde ziemie rozpaczy, przybijając ją, rozbijając skałę wstrząsu promieniami bólu.

-Tak mi przykro - mówiła Missy, odgarniając z poblądłej twarzy ciemnobłond włosy. - Taki kochany, słodki chłopczyk. Tak bardzo go kochałam, Louis. Tak mi przykro. To koszmarna droga. Mam nadzieję, że dadzą temu kierowcy dożywocie. Jechał stanowczo za szybko. On był taki słodki, taki kochany. Taki bystry. Czemu Bog zechciał zabrać Gage'a? Nie wiem. Nie potrafimy tego zrozumieć, prawda? Tak mi przykro, tak przykro.

Louis pocieszał ją, objął i pocieszał. Poczul na kołnierzu jej lzy. Jej piersi napierały na niego. Chciała wiedzieć, gdzie się podziewa Rachel, i Louis wyjaśnił, że odpoczywa. Missy przyrzekła, że ją odwiedzi i że popilnuje Ellie, kiedy tylko zechce, tak długo, jak beda potrzebowali. Podziękował.

Odwrocila się, pragnąc odejść. Wciąż pociągala nosem, spod czarnej chusteczki widac było czerwieniszniejsze niż przedtem oczy. Postąpiła krok ku trumnie, kiedy Louis ją zawołał. Mistrz ceremonii, którego nazwiska nie potrafił nawet zapamiętać, kazał, by goście podpisali książkę, i niech go diabli, jeśli tego nie dopilnuje.

Tajemniczy gościu, wpisz się, proszę, pomyślał i przez moment balansował na granicy hysterii, czując, że lada moment wybuchnie donosnym, piskliwym śmiechem.

To zapłakane, zrozpaczone oczy Missy przegnały uśmiech.

-Missy, zechcesz podpisać książkę? - poprosił. I ponieważ zdawało się, że powinien dodać coś więcej, rzekł: - Dla Rachel.

-Oczywiście. Biedny Louis. Biedna Rachel. - I nagle Louis zorientował się, że wie, co zaraz usłyszy, i z jakiegoś powodu przeraził się tego, lecz słowa te już się zbliżyły, nieuniknione niczym czarna, wielkokalibrowa kula z pistoletu zbrojcy. I wiedział, że kula ta trafi go wiele razy w ciągu następnych niekonczących się dziesięciu minut, a potem jeszcze po południu, mimo że z porannych ran wciąż sączyć się będzie krew. - Dzięki Bogu, nie cierpiał, Louis. Przynajmniej miał szybka śmierć.

O tak, bardzo szybka - chciał odpowiedzieć; ach, jakże słowa te na nowo strzaskalyby maskę spokoju dziewczyny. Nagle złośliwie zapragnął to zrobić, cisnąć jej je w twarz. Była szybka. Niewatpliwie. To dlatego trumna jest zamknięta. Nic nie dałoby się zrobić z Gage'em, nawet gdybysmy razem z Rachel a próbowali strojenie umarłych krewnych w

stroje godne najlepszych manekinów i rozowanie, pudrowanie i malowanie ich twarzy. To była szybka śmierć, moja droga Missy. W jednej chwili stał na drodze, a w następnej leżał na niej, lecz znacznie dalej obok domu Ringerów. Uderzyła go i zabiła, a potem powlokła ze sobą. Wierz mi, była szybka. Zaledwie sto metrów boiska futbolowego. Biegiem za nią, Missy, raz po raz wykrzykiwałem jego imię, zupełnie jakbym spodziewał się, że wciąż jeszcze żyje. Ja, lekarz, przebiegiem dziesięć metrów i ujrzałem jego czapkę. Przebiegłem dwadzieścia i leżał przede mną jeden z adidasów z Gwiazdnych Wojen. Po czterdziestu metrach ciężarówka zjechała z drogi, a jej naczepa zaryła się w ziemię. Z domów wybiegali ludzie. A ja pedziłem dalej, wykrzykując jego imię, Missy. I na linii pięćdziesięciometrowej znalazłem jego bluzę, odwróconą na lewą stronę, a na siedemdziesięciometrowej leżał drugi adidas. A potem - Gage.

Nagle otaczający go świat poszarzał. Wszystko wokół zniknęło mu z oczu. Jak przez mgłę poczuł ostrą krawędź stojaka, podtrzymującego książkę; wbijała mu się w dłoń.

-Louis? - Głos Missy. Odległy. Tajemniczy gruchot gołębi w uszach.

-Louis? - Blżej. Niespokojny.

Przed jego oczami świat ponownie nabral ostrości.

-Nic ci nie jest? Uśmiechnął się.

-Nie - odparł. - Wszystko w porządku, Missy. Podpisała za siebie i meza - państwo Davidowstwo Dandridge - okrągłym szkolnym piśmem. Pod spodem dodała adres: Skrzynka pocztowa 67, Old Bucksport Road. A potem uniosła wzrok na Louisa i szybko spuściła oczy, jakby samo mieszkanie przy drodze, na której zginął Gage, stanowiło zbrodnię.

-Bądź zdrow, Louis - szepnęła.

David Dandridge uściskał mu dłoń i wymamrotał coś niezrozumiałego; jego wydatne, spiczaste jabłko Adama podskakiwało przy każdym słowie. Następnie pośpieszył za żoną środkiem sali, by dokonać rytualnych oględzin trumny zbudowanej w Storyville w stanie Ohio, w miejscu, którego Gage nigdy nie odwiedził i gdzie nikt go nie znalazł.

Po Dandridge'ach nadchodzili kolejni, poruszając się powolnym szeregiem. Louis przyjmował ich dłonie, uściski, ich lzy. Jego kołnierz i wierzch rekawów ciemnoszarej marynarki wkrótce powilgotniały. Zapach kwiatów zaczął przesączać się nawet na tył pomieszczenia i wypełniać salę wonią pogrzebu. Louis pamiętał ten won z dzieciństwa - pogrzebowy zapach kwiatów. Według własnego rachunku trzydzieści dwa razy usłyszał "Jakie to szczęście, że Gage nie cierpiał", dwadzieścia pięć razy: "Bóg działa w tajemniczy sposób, kierując naszymi losami". Na ostatniej pozycji uplasowało się: "Jest teraz wśród aniołków": w sumie dwanaście razy.

Wszystko to zaczynało na niego działać. Zamiast tracić odrobinę sensu, jaką niosły ze sobą (tak jak nasze nazwisko traci wszelkie cechy odrębności, jeśli powtarzać je raz po raz), owe banalne aforyzmy zdawały się za każdym razem docierać głębiej, celując ku najważniejszym narządom życiowym. Kiedy w końcu zjawili się jego teści i teściowa, czuł się jak naszpikowana haczykami ryba.

Najpierw pomyślał, że Rachel miała rację, Irwin Goldman rzeczywiście się zestarzał. Miał - ile? Piecdziesiąt osiem? Piecdziesiąt dziewięć lat? Tego dnia jednak wyglądał jak ponury, nadęty siedemdziesięcioletek. Ze swą łysą głową i grubymi jak denka od butelek okularami niemal absurdalnie przypominał premiera Izraela Menachema Begin. Rachel po powrocie ze Święta Dziekczynienia wspominała, że ojciec się postarzał, lecz Louis nie oczekiwał aż takiej zmiany. Oczywiście, pomyślał, może w Święto Dziekczynienia nie było tak źle. W Święto Dziekczynienia stary nie stracił jednego ze swoich dwojga wnuków.

Dory szła obok niego, jej twarz skrywała gesta, czarna, dwu-, może trzywarstwowa woalka. Włosy miała modnie blekitne, który to kolor faworyzowały ostatnio damy z amerykańskich wyższych sfer. Trzymała meza pod reke. Spod woalki Louis dostrzegał jedynie błysk łez.

Nagle postanowił, że czas już puścić w niepamięć dawne spory. Nie mógł dłużej zachować pretensji. Nagle stały się one zbyt ciężkie. Może sprawił to połączony ciężar banalnych uwag.

-Irwin. Dory - mruknął. - Dziękuję, że przyszliście.

Unosił ramiona, zupełnie jakby chciał jednocześnie uścisnąć dłonie ojca Rachel i objąć jej matkę, a może wręcz przytulić oboje. Nagle do jego oczu napłynęły łzy i po raz pierwszy zapłakał. Przez sekunde przyszła mu do głowy szalona myśl, że zdołają się pogodzić, że Gage zrobi to dla nich, dzięki swojej śmierci; jakby nagle znalazł się w romantycznej powieści dla kobiet, w której zadostuczynieniem za śmierć była zgoda, a czyjes odejście mogło doprowadzić do czegoś bardziej konstruktywnego niż ten niekonczący się, niemadry, miazdzący ból, który nigdy nie ustawał.

Dory ruszyła ku niemu. Wykonała drobny gest, jakby zamierzała wyciągnąć do niego rece. Powiedziała coś - Och Louis - i coś jeszcze, niewyraźnie - a potem Goldman ją odciągnął. Przez chwilę cała trójka zastygła jak na scenie. Nie zauważył tego nikt, poza nimi samymi (i może mistrzem ceremonii, stojącym dyskretnie w kacie Sali Wschodniej - Louis przypuszczał, że jego wuj Carl także dostrzegłby coś takiego). Louis częściowo wyciągał rece. Irwin i Dory Goldman stali sztywno i prosto niczym para na ślubnym torcie.

I wówczas Louis ujrzał, że w oczach teścia nie ma śladu łez. Lśniły jasnym, nienawistnym blaskiem. (Czy on sądzi, że zabiłem Gage'a, by zrobić mu na złość? - pomyślał). Te oczy zdawały się mierzyc Louisa i dostrzegać w nim tego samego małego i nieważnego człowieczka, który porwał córkę Goldmana i sprowadził na nią to nieszczęście... a potem

go zlekcewazyly. Powedrowaly w lewo - ku trumnie Gage'a - i dopiero wowczas zlagodnialy.

Mimo wszystko Louis sprobowal jeszcze raz.

-Irwin - rzekl. - Dory, prosze. Musimy przejsc przez to razem.

-Louis - powtorzyla Dory (lagodnie, pomyslal), a potem mineli go; byc moze Irwin Goldman ciagnal za soba zone. Nie ogladal sie na prawo i lewo, a z pewnoscia nie na Louisa Creeda. Zblizyli sie do trumny i Goldman wyciagnal z kieszeni marynarki mala czarna jarmulke.

Nie podpisaliscie sie w ksiedze, pomyslal Louis. Do jego gardla naplynal kwas zoladkowy, tak ostry i gryzacy, ze twarz skurczyla mu sie z bolu.

W koncu poranne wystawienie zwlok dobieglo konca. Louis zadzwonil do domu. Jud podniosl sluchawke i spytal, jak poszlo.

-W porzadku - odparl Louis. Poprosil Juda, by dal mu Steve'a.

-Jesli zdola sie ubrac, pozwole jej wyjsc po poludniu - oznajmil Steve. - Zgadzasz sie?

-Tak - odparl Louis.

-Co z toba, Lou? Tylko bez bzdur i glupiej dumy. Jak sie czujesz?

-W porzadku - ucial Louis. - Radze sobie. - Od wszystkich wydobyłem wpisy do ksiazki. Od wszystkich. Poza Dory i Irwinem, ktorzy nigdy by sie nie zgodzili.

-No dobrze - odpowiedzial Steve. - Moze spotkamy sie na lunchu.

Lunch. Spotkanie na lunchu. Pomysl ten wydal mu sie tak obcy, ze Louis pomyslal o powiesciach fantastycznych, ktore czytywal jako nastolatek, ksiazkach Roberta Heinleina, Murraya Leinstera, Gordona Dicksona. Tubylcy z planety Kwark maja dziwny zwyczaj, poruczniku Abelson. Kiedy jedno z ich dzieci umrze, spotykaja sie na lunchu. Wiem, jak groteskowo i barbarzynsko to brzmi, ale prosze pamietac, ze planeta ta nie zostala jeszcze ucywilizowana.

-Jasne - odparl glosno. - Jaka restauracje polecisz na przerwe pomiedzy wystawieniami zwlok?

-Tylko spokojnie, Lou. - O dziwo, Steve wcale nie wydawal sie niezadowolony. W tym stanie szalonego spokoju Louis czul, ze umie lepiej przeniknac do wnetrza ludzi, z ktorymi rozmawia, niz kiedykolwiek w zyciu. Moze to tylko zludzenie, ale podejrzewal, iz Steve mysli, ze nawet nagly nieprzyjemny sarkazm, wyrzucony z siebie niczym gorzka zolc, jest lepszy niz wczesniejsze oderwanie od rzeczywistosci.

-Nie przejmuj się - rzekł do Steve'a. - Co powiesz na "Benjamin"?

-Świetnie - odparł Steve. - "Benjamin" doskonale się nada.

Louis załatwił rezerwację z biura mistrza ceremonii. Teraz, mijając Sale Wschodnia, przekonał się, że jest ona niemal pusta. Zostali w niej tylko Irwin i Dory Goldmanowie, siedzący w pierwszym rzędzie z pochylonymi głowami. Wyglądali, jakby mieli tam zostać na zawsze.

"Benjamin" okazał się znakomitym wyborem. Bangor było miastem wczesnych lunchów, i koło pierwszej w restauracji panowała pustka. Wraz ze Steve'em i Rachel zjawili się Jud, i cała czwórka zjadła pieczonego kurczaka. W pewnym momencie Rachel poszła do toalety i została tam tak długo, że Steve zaczął się denerwować. Już miał poprosić kelnerkę, by sprawdziła, co się dzieje, gdy Rachel zjawiała się przy stole z czerwonymi oczami. Louis dziabnął widelcem kurczaka i pił mnóstwo piwa Schlitz. Jud dotrzymywał mu kroku - butelka za butelką. Prawie się nie odzywał.

Ich dania powróciły do kuchni niemal nietknięte. Ze swą niezwykłą spostrzegawczością Louis dostrzegł, że kelnerka, tłusta dziewczyna o słiczej twarzy, zastanawia się, czy nie spytać, czy jedzenie było w porządku. W końcu jednak raz jeszcze spojrzała na czerwone oczy Rachel i uznała, że to niewłaściwe pytanie. Przy kawie Rachel powiedziała coś tak nagłego i śmiałego, że wstrząsnęło nimi wszystkimi - zwłaszcza Louisem, który właśnie stawał się senny po wypitym piwie.

-Zamierzam oddać jego ubrania do Armii Zbawienia.

-Naprawdę? - spytał po sekundzie Steve.

-Tak - odparła Rachel. - Moga się jeszcze przydać. Wszystkie jego bluzy... sztruksy... koszulki. Ktoś ucieszy się, kiedy je dostanie. Są bardzo praktyczne. Oczywiście poza tymi, które miał na sobie. Tamte... zupełnie się zniszczyły.

Ostatnie słowo zalamano się żalosnie. Rachel próbowała napić się kawy. Nic z tego. Chwile później szlochala, ukrywając twarz w dłoniach.

I wówczas nastąpiła dziwna chwila. W powietrzu pojawiły się linie napięcia, wszystkie skupione na Louisie. Wyczuwał je z tą samą intuicją; ze wszystkich nagłych przeblysków tego dnia, ten był najwyraźniejszy i najpewniejszy. Nawet kelnerka poczuła skupiające się napięcie - dostrzegł, że nagle zamarła przy stole z tyłu, na którym układała właśnie podkładki i sztuczki. Przez chwilę Louis tkwił bez ruchu, oszłomiony, a potem zrozumiał: czekali, by pocieszył swą żonę.

Nie mógł tego zrobić. Bardzo chciał, rozumiał, że to jego obowiązek, ale nie mógł. Przeszkadzało mu w tym coś. Nagle, nieproszony, pojawił się w jego myślach. Ten pieprzony Church ze swymi rozszarpanymi myszami i na zawsze uziemionymi ptakami. Kiedy Louis je

znajdował, natychmiast sprzątał koci balagan, nie skarżąc się i nie komentując, a już z pewnością nie protestując. Ostatecznie zasłużył sobie na to. Ale czy zasłużył też na to, co się stało?

Ujrzał swoje palce. Louis zobaczył swoje palce. Zobaczył je, jak delikatnie muskają plecy kurtki Gage'a, a potem kurtka zniknęła. Gage zniknął.

Spuścił wzrok, spoglądając w filiżankę z kawą i pozwalając żonie, by niepoczyszona płakała cicho.

Po chwili - z punktu widzenia zegarów prawdopodobnie dość krótkiej, lecz zarówno wówczas, jak i we wspomnieniach, ciągnęcej się niemilosiernie - Steve objął Rachel i uścił ją łagodnie. Spojrzenie, jakie posłał Louisowi, było gniewne i pełne wyrzutu. Louis odwrócił się od niego ku Judowi, lecz Jud wbijał wzrok w ziemię jakby zawstydzony. W żadnym razie nie mógł mu pomóc.

37.

-Wiedziałem, że dojdzie do czegoś takiego - oznajmił Irwin Goldman. Tak właśnie zaczęły się kłopoty. - Wiedziałem od razu, gdy za ciebie wyszła. Będziesz miała dość cierpienia, więcej niż dość, rzekłem. I proszę, spojrz na ten bajzel. Louis odwrócił powoli wzrok ku tesciowi, który pojawił się przed nim nagle niczym złośliwy błazen z pudełka, odziany w czarną jarmułkę. Potem instynktownie zerknął na Rachel, stojącą obok księgi - siła rzeczy jej przypadła popołudniowa zmiana - jednakże jego żona zniknęła.

Na popołudniowym wystawieniu zwłok zjawilo się znacznie mniej ludzi. Mniej więcej po pół godzinie Louis przeszedł do pierwszego rzędu krzeseł i usiadł przy przejściu, świadom naprawdę niewielu rzeczy (nie zwracał nawet uwagi na słodki, lepki zapach kwiatów) oprócz faktu, że jest bardzo zmęczony i śpiący. Tylko częściowo sprawiło to piwo. Jego umysł stał się wreszcie gotowy do wylaczenia. To chyba dobrze. Może po dwunastu, szesnastu godzinach snu zdola choć trochę pocieszyć Rachel.

Po jakimś czasie jego głowa opadła, aż w końcu patrzył wprost na swe dłonie, splecione luzno między kolanami. Pomruk głosów z tyłu uspakajał go. Kiedy we czworke wrócili z lunchu, odkrył z ulgą, że Irwin i Dory zniknęli. Powinien był jednak wiedzieć, iż ich nieobecność jest zbyt dobra, by mogła potrwać długo.

-Gdzie jest Rachel? - spytał teraz.

-Z matka. Tam gdzie jej miejsce - odparł Goldman z wystudiowanym triumfem człowieka, który zawarł własnie interes życia. W jego oddechu czuć było whisky. Bardzo dużo whisky. Stał przed Louisem niczym mały, tłusty prokurator przed człowiekiem na ławie oskarżonych, niewatpliwie winnym wszelkich zarzucanych mu czynów. Lekko chwiał się na nogach.

-Co jej powiedziales? - Louis zaczął odczuwać gniew. Wiedział, że Goldman coś powiedział.

Dostrzegal cos w jego twarzy.

-Nic oprócz prawdy. Powiedziałem: oto co się dzieje, kiedy córka wychodzi za mąż wbrew woli rodziców. Powiedziałem...

-Naprawdę to powiedziałeś? - spytał z niedowierzaniem Louis. - Zartujesz ze mnie, prawda?

-To i jeszcze więcej - odrzekł Irwin Goldman. Mówił z pewnością siebie człowieka, który odkrył, kogo naprawdę należy obwinić. - Zawsze wiedziałem, że do tego dojdzie. Do tego bądź czegoś podobnego. Wiedziałem, jakim jesteś człowiekiem od chwili, gdy ujrzałem cie po raz pierwszy. - Pochylił się naprzód, wypuszczając z ust opary whisky. Teraz przemawiał z miną człowieka zdradzającego innym wielki sekret. - Przejrzałem cie, ty nieudana parodio lekarza. Wciągnąłeś moją córkę w głupie, pośpieszne małżeństwo, a potem zrobiłeś z niej sobie pomywaczkę i pozwoliłeś, by twój syn został przejechany na jezdni jak... jak wiewiórka.

Większość tych słów Louis pusczył mimo uszu. Wciąż zmagał się z myślą, że ten głupi, stary człowiek mógł...

-Powiedziałeś jej to? - powtórzył. - Powiedziałeś?

-Mam nadzieję, że zgnijesz w piekle - syknął Goldman i głowy gości odwróciły się gwałtownie w stronę źródła niespodziewanego dźwięku. Z przekrwionych brązowych oczu Irwina Goldmana zaczęły skapywać łzy. Jego лыса głowa polyskiwała w słabym świetle jarzeniówek. - Zrobiłeś z mojej cudownej córki pomywaczkę... zniszczyłeś jej przyszłość... odebrałeś nam ją... i pozwoliłeś, by mój wnuk zginął ohydną śmiercią na wiejskiej drodze.

Jego głos wznosił się w histerycznym krzyku.

-Gdzie ty byłeś? Siedziałeś na dupie, podczas gdy on bawił się na drodze? Obmyślałeś jeden ze swoich głupich artykułów medycznych? Ty smierdziu! Morderco dzieci. Mor...

Stali tak, stali w glebi Sali Wschodniej. Stali tam i Louis ujrzał, jak jego ręka wysuwa się naprzód, rękaw marynarki cofa się, odsłaniając mankiet białej koszuli. Dostrzegł łagodny polysk spinki - Rachel podarowała mu te spinki na trzecią rocznicę ślubu, nie wiedząc, że pewnego dnia mąż włoży je na uroczystość pogrzebową nienarodzonego jeszcze wówczas syna. Jego pięść była jedynie czymś zwiniętym na końcu ręki. Uderzyła Goldmana w usta. Poczul, jak wargi starego odginają się i pekają zmiażdżone. Było to paskudne uczucie, przypominające nieco rozgniecenie piętka nagiego ślimaka. Nie sprawiło mu najmniejszej satysfakcji. Pod miękkim ciałem ust tescia wyczuł twarde, nieustępliwa regularność protez.

Goldman zachwiał się i cofnął o krok. Jego ręka upadła na trumne Gage'a, przekrzywiając ją. Jeden z wazonów przepelnionych kwiatami runął z trzaskiem. Ktoś krzyknął.

To była Rachel, walcząca z matką, która próbowała ją zatrzymać. Obecni w Sali Wschodniej ludzie - dziesięciu, może piętnastu - zamarli z przestrawienia i zakłopotania. Steve odwoził Judę z powrotem do Ludlow i Louis był mu za to wdzięczny. Wolał, by Judę nie oglądał tej sceny. To było nieprzyzwoite.

-Nie rob mu krzywdy! - krzyknęła Rachel. - Louis, nie rob krzywdy mojemu ojcu!

-Lubisz bić starych ludzi, co? - wrzasnął piskliwie Irwin Goldman herbem pekania książeczka czekoladowa. Uśmiechając się, szerząc zęby, pokryte krwią barwy rubinowej. - Lubisz bić starych? Nie dziwi mnie to, ty parszyszy draniu. Zupełnie mnie to nie dziwi.

Louis odwrócił się ku niemu i Goldman rąbnął go w szyję. Był to niezreczny boczny cios, lecz Louis zupełnie się go nie spodziewał. W jego gardle eksplodował paralizujący ból. Przez następne dwie godziny miał mieć problemy z przelknięciem. Głowa zakolysała mu się i upadł na jedno kolano.

Najpierw kwiaty, teraz ja, pomyślał. Jak to śpiewali The Ramones? "Hey-ho, let's go". Nagle zapragnął się zasmieć, lecz nie miał w sobie ani odrobiny śmiechu. Z jego zbolętego gardła wydobył się lekki jęk.

Rachel znowu krzyknęła.

Irwin Goldman, wciąż krwawiąc z ust, kopnął Louisa w nerki. Ból zapłonął jasnym rozświetleniem agonii. Louis podparł się dłońmi na chodniku, by nie upaść na brzuch.

-Nie radzisz sobie nawet ze starymi, synku! - wrzasnął Goldman z oblakającym podnieceniem. Znowu wymierzył Louisowi kopniaka; tym razem jego czarny staroswiecki but nie trafił w nerkę, lecz w szczyt lewego pośladka. Louis jęknął z bólu i w końcu runął na chodnik. Jego podbródek zderzył się z podłogą z donosnym chrząstaniem. Przygryzł sobie język.

-Masz! - ryknął Goldman. - Oto kopniak w dupę, którego powinienem ci dać, kiedy pierwszy raz zacząłeś kłócić się z draniem. Proszę! - Znowu kopnął Louisa, tym razem w drugi pośladek. Jednocześnie płakał i uśmiechał się szeroko. Louis po raz pierwszy dostrzegł, że Goldman nie ogolił się tego ranka na znak żałoby. Mistrz ceremonii pędził ku nim. Rachel wyrwała się z objęć pani Goldman i także biegła w ich stronę, krzycząc.

Louis przekreślił się niezrecznie na bok i usiadł. Tęcza znowu próbowała go kopnąć i Louis oburącz złapał jego but - pacnął mu w dłoń niczym rozpedzona piłka - po czym z całej siły pchnął w tył.

Goldman z rykiem poleciał do tyłu, wymachując rękami, by utrzymać równowagę. Upadł ciężko na trumnie Gage'a, model "Wieczny spoczynek", wyprodukowany w mieście Storyville w stanie Ohio i zdecydowanie nie najtanszy.

Oz Wiejki i Wsaniały upadł właśnie na trumne mojego syna, pomyślał oszolomiony Louis. Drewniana skrzynia z donosnym hukiem zsunęła się z kozła, uderzyła o ziemię - najpierw lewy kraniec, potem prawy. Zatrząsk odskoczył. Mimo krzyków i płaczów, mimo ryków Goldmana, który był tylko dorosłym, starym dzieckiem, bawiącym się w Kto Przegra, Tego Wina, Louis usłyszał szczęk zatrząsku.

Trumna nie otwarła się, rozsypując żalose, poszarpane szczatki Gage'a na podłogę, tak by wszyscy mogli je zobaczyć, lecz Louis metnie zdawał sobie sprawę, iż stało się tak tylko dlatego, że upadła na dno zamiast na bok. Równie dobrze mogła się wywrócić. Mimo to, w owym ułamku sekundy, zanim wieko znów opadło, ujrzał przebłysk szarości - garniturek, który kupili, by zakopać go w ziemi wraz z ciałem Gage'a - i skrawek rozu, dłoń Gage'a.

Siedząc tak na podłodze, Louis unosił dłonie do oczu i zaczął płakać. Przestał interesować go tesc, pociski międzykontynentalne, spor pomiędzy zwolennikami zwykłych i rozpuszczalnych szwów, ciepła śmierć wszechświata. W tym momencie Louis Creed zapragnął umrzeć. I nagle w jego wyobraźni pojawił się obraz: Gage w uszkach Myszki Miki. Gage śmiejący się i sciskający dłoń Wielkiego Goofy'ego na głównej ulicy Disney Worldu. Ujrzał to niezwykle wyraźnie.

Jeden z kozłów wywrócił się, drugi nachylił niczym pijak i oparł o niskie podwyższenie, z którego kapłan mógł wygłaszać słowa pożegnania. Wśród kwiatów leżał Goldman. Także płakał. Woda z wywróconych wazonów ściekała na ziemię. Kwiaty, niektóre zgniecione i poszarpane, jeszcze mocniej wydzielaly lepka, słodka won.

Rachel krzyczała i krzyczała.

Louis nie mógł zareagować na jej krzyki. Wizja Gage'a w uszach Myszki Miki blakła, zdążył jeszcze jednak usłyszeć głos oznajmiający, że później tego wieczoru odbędzie się pokaz fajerwerków. Siedział z twarzą w dłoniach, nie chcąc, by ktokolwiek go ujrzał: jego mokra od łez twarz, jego strata, poczucie winy, ból, wstyd, a przede wszystkim tchorzliwe pragnienie, by umrzeć i odejść w ciemność.

Mistrz ceremonii i Dory Goldman wyprowadzili Rachel, która wciąż krzyczała. Później, w innym pomieszczeniu (Louis zakładał, że zarezerwowano je specjalnie dla zanadto pogrążonych w smutku żalobników - coś w rodzaju salonu histeryków), ucichła. Tym razem Louis oszolomiony, lecz w pełni władz umysłowych osobście podał jej środek uspokajający, nalegając, by zostawiono ich samych.

W domu zaprowadził ją do łóżka i dał kolejny zastrzyk. Potem okrył ją po szyję i spojrzał wprost w woskową bladą twarz.

-Rachel, tak mi przykro - rzekł. - Oddałbym wszystko, byleby tylko cofnąć to, co się stało.

-W porządku - odparta dziwnym, beznamietnym głosem, a potem przekreśliła się na bok.

Poczuł, że jego usta zaczynają formułować stare pytanie: "Nic ci nie jest?" i zacisnął wargi. Tak naprawdę nie było to pytanie. Nie to chciał wiedzieć.

-Jak z tobą źle? - spytał w końcu.

-Bardzo źle, Louis - odparła. A potem wydała z siebie odgłos, który mógł być gorzkim śmiechem. - Prawde mówiac, kurewsko okropnie.

Zdawało się, że powinien powiedzieć coś jeszcze, lecz Louis nie potrafił znaleźć słów. Nagle poczuł do niej gwałtowną niechęć. Do niej, do Streve'a Mastertona, do Missy Dandridge i jej meza z jabłkiem Adama przypominającym grot strzały. Do wszystkich tych ludzi. Czemu to on zawsze musiał dostarczać pocieszenia? Co za gówniany układ.

Zgasił światło i wyszedł. Odkrył, że córce potrafi ofiarować niewiele więcej.

Przez jedną szaloną chwilę, gdy przyglądał się jej w pograżonym w mroku pokoju, wydało mu się, że widzi Gage'a - że wszystko to stanowiło jedynie koszmarny sen, jak tamten o Pascowie wiodącym go w głąb lasu. Przez moment zmęczony umysł podchwycił tę myśl. Pomogły w tym cienie - pokój oświetlał jedynie blask przenosnego telewizorka, który Jud przyniósł jej, by pomóc zabić czas. Długi, długi czas.

Ale oczywiście to nie był Gage, lecz Ellie, która siedziała na jego krześle i sciskała w dłoni zdjęcie przedstawiające, jak ciągnie na sankach brata. Przyniosła je z pokoju Gage'a i postawiła w swoim. Było to małe krzeselko reżyserskie z brezentowym siedzeniem i paskiem zastępującym oparcie. Na pasku wypisano drukowanymi literami: Gage. Rachel zamówiła pocztowo cztery podobne krzesła. Każdy członek rodziny dostał własne, ze swym imieniem wypisanym na oparciu.

Ellie była za duża na krzesło Gage'a. Wcisnęła się w nie z trudem; płocienne siedzenie napreżyło się niebezpiecznie. Do piersi przyciskała fotografie i patrzyła tępo w ekran, na którym rozgrywał się jakiś film.

-Ellie - rzekł Louis, wyłączając telewizor. - Czas spać. Powoli wygramoliła się z krzesła, po czym złożyła je.

Najwyraźniej zamierzała zabrać je z sobą do łóżka.

Louis zawahał się. Chciał powiedzieć coś o krześle, ale w końcu rzekł jedynie:

-Chcesz, żebym cię okrył?

-Tak, proszę - rzekła.

-Chcesz... chciałabys spać dzisiaj z mamusia?

-Nie, dziękuję.

-Na pewno? Uśmiechnęła się lekko.

-Tak. Zabiera całą koldre. Louis odpowiedział uśmiechem.

-No to chodź.

Zamiast włożyć krzesło do łóżka, Ellie rozłożyła je tuż przy wezglowiu i Louis pomyślał absurdalnie: Oto pokój przyjęć najmniejszego psychiatry świata.

Rozebrała się, kładąc na poduszce swoje zdjęcie z Gage'em. Nałożyła piżamkę, podniosła zdjęcie, poszła do łazienki, odłożyła je, by się umyć, wyszczotkować zęby, użyć nitki dentystycznej i połknąć pastylkę fluoru. Potem znowu zabrała fotografie i poszła z nią do łóżka.

Louis usiadł obok niej.

-Chcę, żebyś wiedziała, Ellie, że jeśli nadal będziemy się kochać, przetrwamy to.

Każde wypowiedziane słowo przypominało mu przesuwanie wózka pełnego wilgotnych pni i wysiłek ten kompletnie go wyczerpał.

-Będę bardzo mocno pragnąć - oznajmiła spokojnie Ellie - i modlić się do Boga, aby Gage wrócił.

-Ellie...

-Bóg może to cofnąć, jeśli zechce - dodała. - Może zrobić wszystko, co mu się spodoba.

-Ellie, Bóg nie postępuje w ten sposób - powiedział niespokojnie Louis, oczyma duszy widząc Churcha przycupnietego na pokrywie deski klozetowej i przyglądającego mu się metnymi, żółtymi oczami.

-A właśnie, że tak! - zaprotestowała. - W szkółce niedzielnej nauczyciel opowiedział nam o tym gościu, Lazarzu. Był martwy, a Jezus przywrócił mu życie. Powiedział: "Powstań, Lazarzu", a nauczyciel mówił, że gdyby powiedział po prostu "Powstań", prawdopodobnie wstaliby wszyscy na cmentarzu, lecz Jezus chciał tylko Lazarza.

Nawet nie myśleć o tym, wypowiedział absurdalne słowa (ale też cały dzień pełen był najrozniejszych absurdów):

-To było bardzo dawno temu, Ellie.

-Będę trzymała wszystko gotowe na jego powrót - odparła. - Mam jego zdjęcie, będę siedziała na jego krzesle...

-Ellie, jesteś za duża na krzeselko Gage'a. - Louis ujął jej rozgrzana, rozpalona dłoń. - Polamiesz je.

-Bóg sprawi, że go nie polamie. - Głos Ellie był pogodny, lecz Louis dostrzegł brązowe polskiezyce pod jej oczami. Kiedy na nią patrzył, tak bardzo bolało go serce, że odwrócił głowę. Może, jeśli krzeselko Gage'a się polamie, Ellie zacznie rozumieć, co się właściwie stało.

-Będzie nosiła ze sobą zdjęcie i siedziała na jego krześle - ciągnęła. - Zamierzam też jeść jego śniadanie. - Gage i Ellie jadali różne płatki śniadaniowe. Ellie oznajmiła kiedyś, że płatki Gage'a smakuja jak zdechłe robale. Jeśli w domu zostały tylko płatki kakaowe, Ellie czasami jadła jajko... a czasem po prostu rezygnowała z posiłku. - Będzie też jeść fasolkę szparagową, choć jej nie cierpi, i czytać książeczki obrazkowe Gage'a i... no wiesz... przygotuje wszystko... na wszelki wypadek...

Zaczęła płakać. Louis nie próbował jej pocieszać, jedynie odgarnął z czoła włosy. Jej słowa miały w sobie pewien obłakancy sens. Nie zamykać połączenia. Nie odcinać się. Utrzymać Gage'a w teraźniejszości. W Pierwszej Setce. Nie pozwalać mu zniknąć. Pamiętać, kiedy Gage robił to... czy tamto... Tak, było świetnie... Począwszy, stary Gage. Co za dzieciak. Kiedy coś przestaje boleć, przestaje mieć znaczenie. Może rozumiała, pomyślał Louis, jak łatwo będzie pozwolić Gage'owi odejść. , - Ellie, nie płacz już - rzekł. - To nie potrwa wiecznie.

A jednak płakała wiecznie... przez piętnaście minut. Nim skończyła płakać, zasnęła, i to mocno. Na dole, w cichym domu zegar wybił dziesiątą.

Utrzymuj go przy życiu, jeśli tego właśnie chcesz, pomyślał i pocałował ją. Psychiatra uznałby to za niezdrowy pomysł, ale ja jestem za, bo wiem, że nadejdzie taki dzień - może najbliższy piątek - kiedy zapomnisz zabrać zdjęcie i ujrze je leżące na łóżku w pustym pokoju, podczas gdy ty będziesz jeździła na rowerze, spacerowała po łące za domem albo odwiedziła dom Kathy McGown, żeby uszyć dla lalki ubranka na jej małej maszynie. A Gage'a nie będzie z tobą. I wtedy właśnie spadnie z pierwszej setki przebojów dziewczęcego serca i stanie się czymś, co zdarzyło się w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym roku. Powiem przeszłości.

Louis wyszedł z pokoju. Przez moment stał u szczytu schodów, niezbyt poważnie myśląc o pojsciu do łóżka.

Wiedział, czego mu trzeba. Poszedł na dół, by to znaleźć.

Louis Albert Creed podszedł do kwestii upicia się metodycznie. Na dole w piwnicy znajdowało się piec zgrzewek piwa Schlitz Light. Louis pijał piwo, Jud także. Steve Masteton je pijał. Missy Dandridge, pilnując dzieci (dziecka - upomniał się w duchu Louis, schodzić po schodach piwnicy), od czasu do czasu wypijała butelkę czy dwie. Nawet

Charlton, gdy kilka razy odwiedziła ich dom, wolała piwo - jeśli tylko było jasne - niż kieliszek wina. Toteż pewnego dnia zeszłej zimy, kiedy Schlitz Light miał akurat cenę promocyjną w AP, Rachel kupiła aż dziesięć zgrzewek. "Może wreszcie przestaniesz jeździć do Orrington, gdy ktoś do nas wpadnie - powiedziała. - A poza tym cytujesz mi wciąż Roberta Parkera, kochanie: <<Każde piwo, które jest w lodowce po zamknięciu sklepów, to dobre piwo>>, zgadza się? Pij więc i myśl o pieniądzach, które oszczędzasz". Zeszłej zimy, kiedy wszystko było dobrze. Kiedy wszystko było dobrze. Zabawne, jak szybko i łatwo umysł dokonuje tak ważnych podziałów.

Teraz Louis przyniósł zgrzewkę piwa i wsadził puszkę do lodówki. Potem zabrał jedną, zamknął drzwiczki i otworzył puszkę. Na dźwięk zatrząskiwanych drzwi lodówki ze spiżarni wynurzył się Church i powoli podkradł się, patrząc pytająco na Louisa. Nie zbliżał się za bardzo. Być może Louisowi zbyt wiele razy zdarzyło się go kopnąć.

-Nie mam nic dla ciebie - poinformował kota. - Możesz zjeść dzisiaj puszkę mielonki. Jeśli masz ochotę na coś innego, idź, zabij sobie ptaka.

Church siedział tam, patrząc na niego. Louis jednym haustem wypił poł puszkę i poczuł, jak piwo uderza mu do głowy.

-Tak naprawdę nawet ich nie zresz, prawda? - spytał. - Wystarczy ci samo zabijanie.

Church ruszył powoli do salonu, najwyraźniej uznając, że nie dostanie nic do jedzenia. Louis poszedł w ślad za nim.

Znow pomyślał przelotnie: Hey-ho, let's go.

Louis usiadł na swym fotelu i ponownie spojrzał na Churcha. Kot leżał na dywaniku przed szafką telewizyjną, obserwując go uważnie, prawdopodobnie gotów do ucieczki, gdyby Louis nagle stał się agresywny i postanowił użyć kopiącej stopy. Zamiast tego podniósł puszkę. - Za Gage'a - rzekł. - Za mojego syna, który mógł zostać artystą, olimpijskim mistrzem w pływaniu, czy może nawet pierdolonym prezydentem Stanów Zjednoczonych. Co ty na to, dupku?

Church patrzył na niego dziwnymi, metnymi oczami. Louis kilkoma łykami opróżnił puszkę. łykał tak szybko, że zabolalo go gardło, w które został uderzony. Potem wstał i poszedł do lodówki.

Kiedy skończył trzecie piwo, poczuł, że pierwszy raz tego dnia odzyskuje równowagę. Kiedy załatwił się z pierwszą szostką, uznał, że za jakieś pół godziny zdola usnąć. Wracając z lodówki z osmą bądź dziewiątą (do tego czasu stracił już rachubę i stapał wyraźnie chwiejnie), spojrzał na Churcha drzemiącego - bądź udającego, że drzemie - na dywaniku. I wówczas w jego głowie pojawiła się myśl, tak naturalna, że z pewnością musiała tkwić tam cały czas, czekając jedynie na odpowiednią porę, by objawić mu się w całej okazałości:

Kiedy zamierzasz to zrobić? Kiedy pogrzebiesz Gage'a na Cmentarzu Zwieżat?

A zaraz potem:

Lazarzu, powstan!

Spiacy, otepialy głos Ellie:

Nauczyciel mówił, że gdyby powiedział po prostu "Powstan", prawdopodobnie wstaliby wszyscy na cmentarzu.

Wstrzasnął nim tak potworny dreszcz, że Louis skulił ramiona, gwałtownie dygocząc. Nagle przypomniał sobie pierwszy dzień szkoły Ellie, to, jak Gage zasnął mu na kolanach, gdy wraz z Rachel słuchali gadaniny córki o starym McDonalddie i pani Berryman. Powiedział wtedy: "Położę małego do łóżka". A kiedy zaniósł Gage'a na górę, ogarnęło go okropne przeczucie. Teraz rozumiał: wtedy, we wrześniu, część jego wiedziała, że Gage wkrótce umrze. Część jego wiedziała, że zbliża się Oz Wiejki i Wsaniały. To bzdura, idiotyzm, przesadna gadanina najgorszego rodzaju... ale jednocześnie prawda. On wiedział. Louis oblał się piwem i Church czujnie unosił głowę, sprawdzając, czy nie stanowi to przypadkiem sygnału do rozpoczęcia wieczornej zabawy w kopanie kota.

Nagle Louis przypomniał sobie pytanie, które zadał Judowi. Przypomniał sobie, jak reka starca drgnęła gwałtownie, stracając ze stołu dwie puste butelki. Jedna z nich rozbiła się na kawałki.

Nie powinieneś nawet mówić o takich rzeczach, Louis!

Ale on chciał o nich mówić - a przynajmniej myśleć. Cmentarz Zwieżat. To, co leżało za Cmentarzem Zwieżat. Myśl ta miała w sobie coś śmiertelnie pociągającego, logikę, której nie dawało się zaprzeczyć. Church zginał na drodze; Gage zginał na drodze. Oto Church - zmieniony, to prawda, pod pewnymi względami wstretny - lecz jednak tu był. Ellie, Gage i Rachel. Cała trójka wciąż go kochała. Jasne, zabijał ptaki i wypruł flaki z kilku myszy. Lecz zabijanie małych zwierzątek to kocia rzecz. Church w żadnym razie nie zamienił się we Frankenkota. Pod wieloma względami był równie dobry jak przedtem.

Usiłujesz przekonać samego siebie - rzekł głos w umyśle. - Nie jest wcale tak dobry jak przedtem. Jest upiorny. Wrona, Louis... Pamiętasz wronę?

-Dobry Boże! - powiedział głośno Louis roztrzesionym, zdenerwowanym głosem, który ledwie rozpoznał jako własny.

Bóg, o tak, jasne. Pewnie. Jeśli kiedykolwiek istniała pora przywołania imienia Bożego, poza powiściami o duchach, zjawach czy wampirach, to właśnie nadeszła. A zatem, o czym, na Boga, myślał? Myślał o mrocznym bluznierstwie, którego nawet teraz nie potrafił przypisać działaniu żadnej znanej siły. Co gorsza, wmawiał sobie kłamstwa. Nie

usprawiedliwiał swych myśli na siłę. Po prostu kłamał.

Jak więc wygląda prawda? Tak bardzo jej pragniesz, więc co z tą kurewską prawdą?

Po pierwsze, Church nie był już tak naprawdę kotem. Wyglądał jak kot i zachowywał się jak kot, ale w istocie stał się wyłącznie kiepską namiastką. Ludzie nie potrafili przeniknąć wzrokiem iluzji, lecz wyczuwali ją. Louis przypominał sobie pewien wieczór, małe przedświateczne przyjęcie, na które wpadła także Charlton. Siedzieli w jadalni i rozmawiali po posiłku, gdy Church wskoczył jej na kolana. Charlton natychmiast zepchnęła kota. Jej usta skrzywiły się na moment w grymasie niesmaku.

Nie było to nic ważnego, nikt nawet nie skomentował tego zdarzenia, ale jednak zaszło. Charlton poczuła, czym nie był kot. Louis skończył piwo i poszedł po następne. Gdyby Gage powrócił zmieniony w ten sam sposób, stałby się chodzącym koszmarem.

Otworzył puszkę i pociągnął głęboki łyk. Był już pijany, naprawdę pijany. Rano czekał go potężny ból głowy. "Jak poszedłem skacowany na pogrzeb mojego syna", autorstwa Louisa Creeda, twórcy: "Jak nie złapałem go w kluczowej chwili" i wielu innych bestsellerów.

Pijany, jasne. I podejrzewał, że upił się właśnie po to, by móc na trzeźwo rozważyć ten szalony pomysł.

Mimo wszystko nadal wydawał się on śmiertelnie pociągający. Chorobliwie atrakcyjny. Cudowny. Tak, przede wszystkim, stawał się cudowny.

Jud powrócił, przemawiając w jego umyśle.

Robisz tak, bo to miejsce ma nad tobą władzę. Robisz tak, bo to sekretne miejsce, a ty chcesz podzielić się z kims tym sekretem... wymyślasz sobie powody... wydają ci się dobre... lecz głównie robisz tak, bo tego chcesz... albo dlatego, że musisz.

Głos Juda, niski, przeciągły, z jankeskim akcentem. Głos Juda, mrozący krew w żyłach, wywołujący gęsia skórke, sprawiający, że na karku jeża się włosy.

To tajemnice... Ziemia serca mężczyzny jest kamienista, Louis. Tak jak ziemia na starym cmentarzysku Micmaców... Mężczyzna hoduje w niej to, co zdola... i opiekuje się tym.

Louis zaczął powtarzać w myślach inne rzeczy, które powiedział mu Jud na temat cmentarzyska Micmaców. Zaczął gromadzić dane, sortować je, kompresować - przetwarzać je dokładnie tak samo, jak kiedyś przygotowywał się do ważnych egzaminów.

Pies. Spot.

Widziałem miejsca, w których nadział się na drut kolczasty - nie rosło na nich futro, a ciało sprawiało wrażenie wglebionego.

Byk. Kolejna teczka otworzyła się w umyśle Louisa.

Lester Morgan pochował tam swojego byka zarodowego, rasowego buhaja imieniem Hanratty... zaciągnął go na miejsce na saniach... zastrzelił go dwa tygodnie później. Byk stał się złośliwy, naprawdę złośliwy, ale to jedyne znane mi zwierze, które to spotkało.

Stał się złośliwy.

Ziemia serca mężczyzny jest kamienista.

Stał się naprawdę złośliwy.

To jedyne znane mi zwierze, które to spotkało.

Robisz to, bo kiedy już raz tam byłeś, to jest to też twoje miejsce.

Hanratty. Czyż to nie głupie imię dla byka?

Mężczyzna hoduje, co zdoła... i opiekuje się tym.

To moje szczury i moje ptaki. Kupiłem sobie tych skurwieli.

To twoje miejsce. Tajemne miejsce. I należy do ciebie. A ty należysz do niego.

Stał się złośliwy, ale to jedyne znane mi zwierze, które to spotkało.

Co teraz chcesz sobie kupić, Louis, gdy noca wieje porywisty wiatr, a księżyc kresli srebrzysta ścieżkę przez las, aż do tego miejsca? Chcesz znów wspiąć się na tamte stopnie? Gdy oglądasz horror, wszyscy na widowni wiedzą, że bohater, czy bohaterka, okaże się dość głupi, by wspiąć się po schodach, lecz w rzeczywistości sami tacy są - pała, nie zapinają pasów bezpieczeństwa, wprowadzają się z rodziną do domu obok ruchliwej szosy, po której całymi dniami i nocami krąży wielkie ciężarówki. A zatem, Louis, co powiesz? Chcesz wspiąć się po schodach? Wolisz zatrzymać martwego syna czy też sprawdzić, co kryje się za drzwiami numer jeden, drzwiami numer dwa albo drzwiami numer trzy?

Hey-ho, let's go.

Stał się złośliwy... jedyne zwierze... Ciało wyglądało... Mężczyzna... twoj... jego...

Louis wylał resztę piwa do zlewu. Nagle poczuł, że zaraz zwymiotuje. Pokój krzątał mu przed oczami, kołysał się, wirował.

I wtedy ktoś zapukał do drzwi.

Przed długi czas - tak mu się przynajmniej zdawało - wierzył, że dźwięk ow zabrzmiął

Jedynie w jego głowie, że to złudzenie. Lecz stukanie nie ustawało, cierpliwe, nieugięte. I nagle Louis pomyślał o historii małpiej łapki i ogarnęła go lodowata groza. Wyczuwał ją zupełnie namacalnie - była jak martwa reka przechowywana w lodowce. Martwa reka, która nagle ożyła, zimna i bezcielesna, i wsunęła mu się pod koszulę, by zacisnąć się wokół serca. Coż za niemadra, bzdurna wizja - ale w tym momencie nie wydawała się głupia. O, nie!

Louis podszedł do drzwi na nogach, których nie czuł i pozbawionymi czucia palcami odsunął zasuwkę. Otwierając drzwi pomyślał: To będzie Pascow. Tak jak mówili o Jimie Morrisonie, powrócił z martwych lepszy niż kiedykolwiek. Pascow będzie tam stał w szortach do joggingu, wielki jak za życia i przegniły niczym stary, zgliwiał chleb. Pascow z potwornie strzaskana głową, Pascow znowu przynoszący słowa ostrzeżenia: "Nie idź tam". Jak szła ta stara piosenka Animalsów? "Kochanie, nie idź, kochanie, nie odchodź. Wiesz, że cie kocham, kochanie, nie odchodź"...

Drzwi rozwarły się; na progu w wietrzna noc o północy, pomiędzy dniem wystawienia zwłok i dniem pogrzebu syna, stał Jud Crandall. Jego rzadkie białe włosy fruwały w lodowatej ciemności.

-Pomyśl o diable, a stanie na progu - wymamrotał Louis. Spróbował się zasmiać. Czas zatoczył koło. Znowu było Święto Dziekczynienia. Wkrótce włoża do foliowego worka sztywnego, nienaturalnie ciężkiego trupa kota Ellie Winstona Churchilla i wyrusza. Nie pytaj, co to, czy to, po prostu chodź z wizytą.

-Może wejść, Louis? - spytał Jud, z kieszeni koszuli wyjął paczkę Chesterfieldów i wsunął jednego do ust.

-Wiesz co - odparł Louis - jest już późno, a ja wypilem mnóstwo piwa.

-Ano, czuje. - Jud zapalił zapalke. Wiatr ją zdmuchnął, Starzec zapalił kolejną, osłaniając ją dłońmi, lecz jego ręce drżały, znowu wystawiając płomyk na pastwę wiatru. Wyjął trzecią zapalke. Już miał ją potrząsnąć o kciuk, gdy spojrzał na stojącego w drzwiach Louisa. - Nie poradzę sobie - rzekł. - Wpuścisz mnie czy nie?

Louis cofnął się, pozwalając Judowi wejść do środka.

38.

Usiedli nad piwem przy kuchennym stole. Po raz pierwszy popijamy w naszej kuchni, pomyślał Louis zaskoczony. Po drugiej stronie salonu Ellie krzyknęła przez sen i obaj zamarli niczym manekiny w dziecięcej zabawie. Krzyk nie powtórzył się. -No dobra - zaczął Louis - co ty tu robisz kwadrans po dwunastej w dniu pogrzebu mojego syna? Jesteś przyjacielem, Jud, ale to już przesada.

Jud wypił, otarł usta wierzchem dłoni i spojrzał wprost na Louisa. W jego oczach było coś

jasnego, pozytywnego, i po chwili gospodarz spuścił wzrok.

-Wiesz, czemu tu jestem - rzekł Jud. - Myślisz o rzeczach, o których nie należy myśleć, Louis. Co gorsza, boję się, że zastanawiasz się, czy ich nie zrobić.

-Nie myślałem o niczym poza łóżkiem - odparł Louis. - Jutro rano muszę iść na pogrzeb.

-Odpowiadam za więcej bólu w twoim sercu, niż przypuszczasz - powiedział miękko Jud. - Kto wie, może jestem nawet odpowiedzialny za śmierć twojego syna.

Zaskoczony Louis unosił wzrok.

-Co takiego? Jud, nie gadaj głupot.

-Myślisz o tym, by go tam zakopać. Nie zaprzeczaj, że myśl ta przeszła ci przez głowę.

Louis milczał.

-Jak daleko sięga wpływ tego miejsca? Możesz mi powiedzieć? Nie. Sam także nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie, a całe życie spędziłem w tej części świata. Wiem o Micmacach, a oni zawsze uważali to miejsce za święte... lecz nie w dobry sposób. Stanny B. powiedział mi to. Mój ojciec także - znacznie później, gdy Spot umarł po raz drugi. Teraz Micmacowie, stan Maine i rząd Stanów Zjednoczonych spierają się w sądzie, do kogo należy ta ziemia. Do kogo należy? Nikt nie wie tak naprawdę, Louis. Już nie. Różni ludzie rościli sobie do niej prawa w różnych czasach, ale nikomu nie udało się przejąć jej na długo. Choćby Anson Ludlow, prawnuk ojca założyciela tego miasta. Z białych ludzi Anson miał chyba największe prawo, bo Joseph Ludlow Starszy dostał ten teren jako nadanie dobrego króla Jerzego, kiedy Maine stanowiło jedynie wielką prowincję kolonii Massachusetts. Nawet on jednak musiałby stoczyć zacięłą walkę w sądzie, bo istniały też roszczenia innych Ludlowów, a także niejakiego Petera Dimmarta, który twierdził, że potrafi przekonująco dowiedzieć, iż jest Ludlowem z nieprawego łóżka. Pod koniec życia Joseph Ludlow Starszy był ubogi w pieniądze, lecz bogaty w ziemię. Od czasu do czasu lubił darować komuś dwieście, może czterysta akrow, kiedy sobie popił.

-Czy żadnej z tych darowizn nie zarejestrowano? - spytał Louis, mimowolnie zafascynowany.

-Och, nasi dziadkowie byli świetni w rejestrowaniu nadan. - Jud odpalił nowego papierosa od niedopalka starego. - Pierwotne nadanie twojej ziemi brzmi mniej więcej tak. - Zamknął oczy i zacytował: - "Od wielkiego, starego kłonu stojącego na szczycie wzgórza Quinceberry, aż do strumienia Orrington. Tak przebiega granica z północy na południe". - Jud uśmiechnął się bez śladu rozbawienia. - Ale wielki stary kłon runął w, powiedzmy, tysiąc osiemset osiemdziesiątym drugim, a do tysiąc dziewięćsetnego zgnił bez śladu. A strumień Orrington rozplynął się i zamienił w moczary w ciągu dziesięciu lat, pomiędzy końcem Wielkiej Wojny i krachem na giełdzie. Został z tego niezły metlik. Lecz dla starego Ansona w

koncu nie miało to większego znaczenia. Zabił go piorun w tysiąc dziewięćset dwudziestym pierwszym, właśnie w miejscu, gdzie jest tamten cmentarz.

Louis przyglądał się Judowi, który saczył piwo.

-To zresztą nieważne. Istnieje wiele miejsc, w których historia własności jest tak poplątana, że nigdy nie da się jej rozwikłać, i zarabiają na niej wyłącznie prawnicy. Nawet Dickens to wiedział. Przypuszczam, że w końcu Indianie odzyskają swoją ziemię, i tak być powinno. Ale to nie ma znaczenia, Louis. Przyszedłem tu dzisiaj, by opowiedzieć ci o Timmym Batermanie i jego ojcu.

-Kto to jest Timmy Baterman?

-Timmy Baterman był jednym z dwudziestu chłopców z Ludlow, którzy wyruszyli za morze, by walczyć z Hitlerem. Wyjechał w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim. Wroczył w skrzyni przykrytej flagą w tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim. Zginął we Włoszech. Jego ojciec, Bill Baterman, całe życie mieszkał w tym mieście. Kiedy dostał telegram, oszalał z bólu... ale potem natychmiast się uspokoił. Widzisz, on wiedział o cmentarzysku Micmaców. I podjął decyzję.

Dreszcz powrócił. Louis długą chwilę przyglądał się Judowi, próbując odszukać kłamstwo w oczach starca. Nie znalazł go tam, lecz fakt, że historia ta ujrzała światło dzienne akurat teraz, wydał mu się podejrzenie nieprzypadkowe.

-Czemu nie powiedziałes mi o tym tamtego wieczoru? - spytał w końcu. - Po tym, jak... jak zrobiliśmy to z kotem; kiedy spytałem, czy ktokolwiek pogrzebał tam człowieka, odparles, że nikt.

-Bo wtedy nie musiałes tego wiedzieć - odparł Jud. - Teraz musisz.

Louis milczał długą chwilę.

-Czy on był jedyny?

-Jedyny, o którym wiem - odrzekł z powagą Jud. - Jedyny, który próbował? Watpie, Louis. Bardzo w to watpie. Jestem jak kaznodzieja z Eklezjastesa. Nie wierze, by istniało cokolwiek nowego pod słońcem. Och, czasami zewnętrzna powłoka rzeczy zmienia się, ale to wszystko. Tego, czego raz próbowano, próbowano wcześniej... jeszcze wcześniej... i wcześniej.

Spuścił wzrok ku swym pokrytym plamami wotrobianymi dłońmi. W salonie zegar wybił cicho pół do pierwszej.

-Uznałem, że człowiek twojej profesji przywykł do oglądania objawów i dostrzegania kryjącej się pod nimi choroby... Ale postanowiłem porozmawiać z tobą otwarcie, kiedy

Mortonson w domu pogrzebowym powiedział mi, że zamowiles zwykly murowany grob - nie zamknieta krypte.

Louis przez dluga chwile patrzyl na Juda, nie odzywajac sie ani slowem. Starzec zarumienil sie gleboko, lecz nie odwrocil wzroku. W koncu Louis powiedzial:

-Wyglada na to, ze troche powieszyles, Jud. Przykro mi.

-Nie pytalem, co kupiles.

-Moze nie od razu.

Jud jednak nie odpowiedzial, a choc jego rumieniec stal sie jeszcze glebszy - twarz zaczynala przypominać dojrzala sliwke - oczy ani drgnely.

Wreszcie Louis westchnal. Czul sie niewiarygodnie zmeczony.

-Niech to szlag! Nic mnie to nie obchodzi. Moze nawet masz racje. Moze o tym myslalem. Jesli nawet zadzialalem instynktownie, nie zastanawialem sie, co zamawiam. Myslalem o Gage'u.

-Wiem, ze myslales o Gage'u. Ale znales roznice. Twój wuj byl przedsiebiorca pogrzebowym.

Owszem, znal roznice. Zamknieta krypta byla potezna konstrukcja, ktora miala przetrwac bardzo, bardzo dlugo. Do prostokątnej formy wzmocnionej stalowymi pretami wlewano beton, a potem, po zakonczeniu pogrzebu, dzwig opuszczal na nia lekko zaokraglone betonowe wieko, nastepnie przymocowywane zaprawa przypominajaca cement, ktorego drogowcy uzywaja do wypelniania dziur w autostradzie. Wuj Carl powiedzial kiedys Louisowi, ze owa zaprawa - nazwana Everlock - po jakims czasie pod ciezarem wieka staje sie praktycznie nie do rozerwania.

Wujek Carl, ktory lubil gadac jak kazdy (przynajmniej kiedy przebywal wsrod swoich, a Louis, ktory przez jakis czas pracowal z nim latem, podpadal pod kategorie pomocnika grabarza), opowiedzial siostrzencowi o ekshumacji nakazanej kiedys przez biuro prokuratora okregu Cook. Wuj Carl udal sie do Groveland, by ja nadzorowac. "Ekshumacje bywaja trudne - rzekl. - Ludzie, ktorzy znaja je wylacznie z horrorow z Borisem Karloffem w roli potwora Frankensteina i Dwightem Frye jako Igorem, nie maja pojecia, jak wygladaja naprawde. Otwarcie krypty nie jest zadaniem dla dwoch ludzi z kilofami i szpadlami - chyba ze moga spedzic na tej pracy okolo szesciu tygodni". Ta szczegolna ekshumacja poszla dobrze... z poczatku. Otwarto grob, dzwig pochwycil wieko krypty. Tyle ze wieko nie otwarlo sie jak powinno. Zamiast tego z ziemi zaczela wynurzac sie cala krypta. Jej betonowe sciany byly juz nieco mokre i odbarwione. Wujek Carl krzyknal do operatora dzwigu, by puscil. Chcial wrocic do domu pogrzebowego i znalezc jakis srodek, ktory oslabilby zaprawe. Operator dzwigu albo go nie uslyszal, albo tez nie chcial przerwac

zabawy, jak dzieciak bawiacy sie dzwigiem-zabawka i tanimi nagrodami na kiermaszu. Wujek Carl powiedzial, ze przeklety glupiec dostal za swoje. Krypta w trzech czwartych wynurzyla sie z ziemi - wraz z pomocnikiem slyszeli wode sciekajaca z betonu do grobu (w Chicago przez ostatni tydzien mocno padalo), gdy dzwig po prostu sie przewrocil i runal w glab dolu. Operator wpadl na przednia szybe i zlamal sobie nos. Cala ta zabawa kosztowala okreg Cook okolo dwoch, trzech tysiecy dolarow ponad zwykla cene podobnych przedsiwziec. Dla wuja Carla prawdziwa pointe historii stanowil fakt, ze szesc lat pozniej operator zostal wybrany na przewodniczacego Zwiazku Zawodowego Kierowcow Ciezarowek w Chicago.

Groby murowane byly znacznie prostsze. Skladaly sie ze zwyklej betonowej formy, otwartej u gory. Wkopywano ja w grob rankiem przed pogrzebem. Po posludze spuszczano do niej trumne, nastepnie grabarze przynosili wieko, skladajace sie z dwoch badz trzech segmentow. Spuszczano je pionowo na konce grobu, gdzie staly niczym upiorne ksiazkowe podporki. W betonie na krawedziach kazdego segmentu tkwily zelazne pierscienie. Grabarze przewlekali przez nie lancuchy i powoli opuszczali na szczyt betonowej skrzyni. Kazdy z owych segmentow wazyl trzydziesci, trzydziesci piec kilogramow, maksymalnie czterdziesci. Nie uzywano tez zadnej zaprawy.

Czlowiek z latwoscia moze otworzyc murowany grob. To wlasnie sugerowal Jud.

Latwo moglby wydobyć ciało swego syna i pogrzebac je gdzie indziej.

Ciii. Ciii. Nie bedziemy rozmawiali o takich rzeczach. To tajemnice.

-Owszem, przyznaje, znam roznice pomiedzy krypta a grobem murowanym - rzekl Louis. - Ale nie myslalem... o tym, o czym uwazasz, ze myslalem.

-Louis...

-Jest pozno - powiedzial Louis. - Jest pozno, ja jestem pijany, a moje serce cierpi. Jesli uwazasz, ze musisz opowiedziec mi te historie, mow i zakonczmy to. - Trzeba bylo zaczac od martini, pomyslal. Wowczas kiedy zapukal, bylby juz bezpiecznie nieprzytomny.

-W porzadku, Louis. I dziekuje.

-Zaczynaj.

Jud odczekal chwile, zastanawiajac sie nad czyms, po czym zaczal mowic.

39.

-W tamtych czasach - to znaczy podczas wojny - pociagi wciaz zatrzymywaly sie w Orrington i Bill Baterman kazal przedsiwiorcy pogrzebowemu przyjechac na dworzec towarowy i odebrac zwloki jego syna Timmy'ego. Trumne wyladowalo czterech kolejarzy.

Byłem jednym z nich. W pociągu jechał też gość z wojska, z Grobow i Registratury - wojennego odpowiednika grabarzy - ale on w ogóle nie wysiadł. Siedział pijany w wagonie wiozącym jeszcze dwanaście trumien. Załadowaliśmy Timmy'ego na tył pogrzebowego cadillaca - w tamtych czasach często nazywano je "wozami pospiesznymi", bo dawniej przede wszystkim liczyło się to, by jak najszybciej zakopac nieboszczyka, zanim zacznie gnić. Bill Baterman stał obok. Twarz miał kamienna i sam nie wiem, jakby sucha. Nie płakał. Tego dnia pociągiem kierował Huey Garber, który mówił, że gość z armii miał przed sobą wielki objazd. Huey twierdził, że samoloty dostarczyły cały pieprzony ładunek trumien do Limestone na wyspie Presque, z której trumny z opiekunem wyruszyły pociągami na południe.

Facet z armii podszedł do Hueya, wyciągnął z kieszeni munduru cwiartkę zytniowki i powiedział z miękkim, przeciągłym południowym akcentem:

-I co, panie mechaniku, kieruje pan dziś tajemniczym pociągami. Wiedział pan?

Huey potrząsnął głową.

-Ależ tak. Przynajmniej tak nazywamy pogrzebowe pociągi w Alabamie, z której pochodzę.

Huey mówił, że gość wyjął z kieszeni spis i mrużąc oczy, przyjrzał mu się.

-Zacznijmy od odwiezienia dwóch trumien do Hulton, potem mam jedną do Passadumkeag, dwie do Bangor, jedna do Derry, jedna do Ludlow i tak dalej. Czuje się jak cholerny mleczarz. Może lyk?

No co, Huey odmówił, tłumacząc, że władze w Bangor i Aroostook bardzo poważnie podeszłyby do sprawy maszynisty, którego oddech cuchnie zytniowką, a gość z Grobow i Registratury nie miał do niego pretensji, tak jak Huey nie miał pretensji do gościa z armii za jego pijanstwo. Uscisnęli sobie nawet dłonie.

No i ruszyli, na każdym przystanku pozostawiając okryte flagami trumny. W sumie było ich osiemnast, może dwadzieścia. Huey mówił, że to samo działo się cała droga, aż do Bostonu. Na każdym przystanku poza Ludlow czekali płaczący, szlochający krewni... A w Ludlow powitał go widok Billa Batermana, który, jak mówił, wyglądał, jakby był martwy w środku. Jakby tylko czekał, kiedy jego dusza zacznie cuchnąć. Gdy wysiadł z pociągu, opowiadał, że obudził gościa z armii i razem ruszyli po barach - pietnastu, dwudziestu, a Huey urzynał się bardziej niż kiedykolwiek w życiu i poszedł do dziwki, co wcześniej nigdy mu się nie zdarzało. Rano obudził się z olbrzymim kacem i powiedział, że jeśli to ma być tajemniczy pociąg, to w życiu nie chce więcej takim kierować.

Ciało Timmy'ego zabrano do domu pogrzebowego Greenspana na Fern Street - dokładnie naprzeciw miejsca, w którym dziś zbudowano nowa pralnia Franklina - i w dwa dni później pogrzebano na cmentarzu Pleasantview z pełnymi honorami wojskowymi.

Powiadam ci, Louis, pani Baterman nie zyla wtedy od dziesieciu lat, razem z drugim dzieckiem, ktore probowala wydac na swiat, i mialo to wiele wspolnego z tym, co sie stalo. Drugie dziecko pomogloby zlagodzic bol, nie sadzisz? Drugie dziecko przypomnialoby starem Billowi, ze sa tez inni, ktorzy cierpia i ktorym trzeba pomoc. Pod tym wzgledem chyba bardziej dopisalo ci szczescie - ty masz drugie dziecko. Dziecko i zone. I oboje zyja.

Wedlug listu, ktory Bill otrzymal od porucznika dowodzacego plutonem chlopaka, Timmy zostal zastrzelony na drodze do Rzymu pietnastego lipca tysiac dziewiecset czterdziestego trzeciego roku. Jego ciało wyslano do kraju dwa dni pozniej. Do Limestone dotarlo dziewietnastego. Zaraz nastepnego dnia zaladowano je na poklad tajemniczego pociagu Huey Garbera. Wiekszosc zolnierzy, ktorzy zgineli w Europie, zostawala tam pochowana, lecz wszyscy chlopcy, ktorzy wrocili owym pociagiem, byli wyjatkwowi. Timmy zginial, atakujac stanowisko karabinow maszynowych i zostal posmiertnie odznaczony Srebrna Gwiazda.

Pogrzebano go - nie dam glowy, ale chyba dwudziestego drugiego lipca. A cztery, piec dni pozniej, Marjorie Washburn, w owych czasach pracujaca jako listonoszka, ujrzala Timmy'ego idacego droga w strone stajni Yorka. Coz, Margie na ten widok niemal zjechała z drogi, i latwo zrozumiec dlaczego. Wrocila na poczte, cisnela skorzana torbe pelna niedostarczonych listow na biurko George'a Andersona i oznajmila, ze wraca do domu polozyc sie do lozka.

-Margie, jestes chora? - spytal George. - Zbladlas jak skrzydlo mewy.

-Przerazilam sie tak, jak nigdy w zyciu i nie chce o tym rozmawiac - odparla Margie Washburn. - Nie zamierzam o tym rozmawiac z Brianem ani z moja mama, ani w ogole z nikim. Kiedy pojde do nieba, jesli Jezus poprosi mnie, bym mu powiedziala, moze to zrobie, ale watpie. - Z tymi slowy wyszla.

Wszyscy wiedzieli, ze Timmy nie zyje. Zaledwie tydzien wczesniej w bangorskich "Daily News" i "Americanie" z Ellesworth ukazaly sie jego nekrologi, ze zdjeciami i wszystkim, i polowa miasteczka przyjechala do miasta na pogrzeb. A potem Margie zobaczyla go idacego droga - slaniajacego sie droga, powiedziala w koncu starem George'owi Andersonowi, tyle ze dzialo sie dwadziescia lat pozniej i umierala, a George mowil mi potem, ze mial wrazenie, iz pragnela wyznac komus, co widziala. George uwazal, ze to ja dreczylo. Byl blad, twierdzila, ubrany w stare spodnie i sprana flanelowa koszule, choc tego dnia musialo byc dobrze ponad trzydziesci stopni w cieniu. Podobno wlosy z tylu glowy sterczaly mu na wszystkie strony, jakby nie czesal sie od miesiaca.

-Jego oczy wygladaly jak rodzynki wepchnione w surowe ciasto. Tego dnia widzialam ducha, George. To wlasnie tak bardzo mnie przerazilo. Nigdy nie sadzilam, ze zobacze cos takiego, a jednak.

Coz, wieści szybko sie rozeszly. Wkrotce inni ludzie zaczeli widywac Timmy'ego. Pani

Stratton - zwalimy ja pania, ale z tego, co wiedzielismy, rownie dobrze mogla byc samotna, rozwiedziona badz owdowiala. Miala maly dwupokojowy domek w miejscu, gdzie Pedersen Road laczy sie z Hancock Road. Trzymala w nim mnostwo jazzowych plyt i czasami, jesli miales wolny dziesieciodolarowy banknot, urzadzala ci przyjecie - zobaczyla Timmy'ego z werandy i powiedziala, ze podszedl az na skraj drogi i zatrzymal sie tam.

-Po prostu tam stal - mowila - z rekami zwisajacymi bezwladnie po bokach, glowa lekko pochylona i wysunieta do przodu, i sterczacym podbrodkiem, niczym bokser gotow do walki.

Mowila, ze sama stala na werandzie. Serce walilo jej jak mlotem. Byla zbyt przerazona, by sie ruszyc. Wowczas on odwrocil sie do niej: zupełnie jakby patrzyla na pijaka, probujacego zawrocic. Wysunal jedna noge, przekrecil druga i o malo sie nie wywalil. Mowila, ze spojrzal wprost na nia i z jej rak odplynela cala sila. Upuscila kosz z praniem, z ktorego wypadly ubrania i z powrotem sie pobrudzily.

Jego oczy... jego oczy wygladaly jak martwe. Martwe i metne niczym szklane kulki. Ale ujrzal ja... i usmiechnal sie... i twierdzila, ze z nia rozmawial. Pytal, czy wciaz ma te plyty, bo chetnie zabawilby sie z nia. Moze jeszcze tego wieczoru. A pani Stratton wrocila do domu i nie wychodzila z niego caly tydzien. Do tego czasu sprawa juz sie rozwiazala.

Wielu ludzi widzialo Timmy'ego Batermana. Wikszosc z nich juz nie zyje - na przyklad pani Stratton. Inni wyprowadzili sie. Pozostalo jednak kilku starych przykow, jak ja, ktorzy moga ci o nim opowiedziec... jesli zadasz wlasciwe pytanie.

Widywali go krazacego po Pedersen Road, kilometr na wschod i zachod od domu jego ojca. Wedrowal tam i z powrotem, tam i z powrotem, calymi dniami i, kto wie, moze tez nocami. Z wyciagnieta ze spodni koszula, blada twarza, wlosami sterczacymi na wszystkie strony, czasami z rozpietym rozporkiem i ta twarza... tym wyrazem twarzy...

Jud urwal, by zapalic papierosa, i Louis odezwal sie po raz pierwszy.

-Czy ty kiedyś go widziałeś?

Starzec zgasil zapalke i poprzez blekitna mgielke dymu spojrzal wprost na Louisa, a choc cala historia byla niewatpliwie szalona, w oczach Juda Louis nie dostrzegl klamstwa.

-Tak. Widzialem go. Wiesz, w filmach pokazuja rozne historie o zombi - nie wiem, czy prawdziwe - o zombi z Haiti. W filmach tych zombi chwiejnie posuwaja sie naprzod z martwymi oczami patrzacymi wprost przed siebie, wolno, niezrecznie. Timmy Baterman byl wlasnie taki, Louis, jak zombi z filmu. A jednoczesnie zupełnie inny. Bylo w nim cos wiecej. Cos dzialo sie za tymi oczami. Czasami widziales to, a czasami nie. Cos za oczami, Louis. Nie sadze, bym chcial to nazwac mysleniem. Nie wiem, jak to okreslic.

Po pierwsze, byl przebiegly, jak wtedy gdy powiedzial pani Stratton, ze chcialby sie z nia

zabawic. Cos dzialo sie w jego glowie, Louis, ale to nie bylo myslenie i watpie, by mialo wiele wspolnego - moze w ogole nic - z Timmym Batermanem. Bardziej przypominalo... sygnal radiowy, dochodzacy skadinad. Patrzyles na niego i myslales: Jesli mnie dotknie, zacznę krzyczec. Cos w tym stylu.

Krazyl tam i z powrotem, w gore i w dol drogi. I pewnego dnia, gdy wrocilem do domu z pracy - to musial byc chyba jakis trzydziesty lipca - ujrzałem George'a Andersona, szefa poczty, siedzacego na tylnej werandzie i pijacego mrozona herbate z Hannibalem Bensonem, naszym drugim radnym, i Alanem Purintonem, szefujacym straży pożarnej. Norma tez tam siedziala, ale nie odzywala sie ani slowem.

George caly czas rozcieral swoj kikut. Stracil niemal cala noge podczas pracy na kolei i w gorace, parne dni kikut bardzo mu dokuczal. Przyszedl jednak, nie zwazajac na bol.

-Sprawy zaszly za daleko - oznajmil. - Mam listonoszke, ktora nie chce dostarczac poczty na Pedersen Road. To jedno. Po drugie, rzad zaczyna sie niepokoić. A to niedobrze.

-Co to znaczy: rzad zaczyna sie niepokoić? - spytałem. Hannibal wyjasnil, ze mial telefon z Departamentu Wojny, od jakiegos porucznika nazwiskiem Kinsman, ktory zajmowal sie oddzielaniem zlosliwych pomowien od zwyklych plotek i doniesien.

-Czworo czy piecioro ludzi wyslalo anonimowe listy do Departamentu Wojny - powiedzial Hannibal - i porucznik Kinsman zaczynal sie martwic. Gdyby tylko jedna osoba napisala list, wysmialby ja. Gdyby jedna osoba wyslala wszystkie listy, Kinsman zawiadomilby policje stanowa w Derry i ostrzegl, ze w Ludlow mieszka psychopata, zywiacy pretensje do rodziny Batermanow. Ale listy te pochodzily od innych ludzi. Mowil, ze mozna to rozpoznać po pismie, nawet bez nazwiska nadawcy. A we wszystkich powtarzala sie ta sama szalona informacja, ze jesli Timothy Baterman nie zyje, to ruchliwy z niego trup, skoro krazy po Pedersen Road z wysunieta glowa. Jesli to sie nie uspokoí, ten Kinsman przysle tu kogos albo przyjedzie sam. Chca wiedziec, czy Timmy nie zyje, czy zdezerterowal, czy moze co innego. Bo nie lubia myslec, ze ich akta sa nie w porzadku. Chca tez wiedziec - kto - jesli nie Timmy Baterman - zostal pogrzebany w jego trumnie.

I Hannibal otarl czolo chustka.

Sam widzisz, jak parszywie wygladaly sprawy, Louis. Siedzielismy tam godzine, pijac mrozona herbate i rozmawiajac o wszystkim. Norma spytala, czy mamy ochote na kanapki, ale nikt nie chcial. Chryste, ta sprawa z Timmym Batermanem przypominala znalezienie kobiety z trzema cyckami - wiesz, ze nie powinno tak byc, ale wlasciwie co mozesz zrobic.

Gadalismy o tym i gadalismy, az w koncu postanowilismy, ze tam pojdziemy, do domu Batermana. Nigdy nie zapomne tego wieczoru, nawet jesli pozyje dwa razy dluzej. Bylo goraco, gorecej niz u wrot piekla. Zachodzace za horyzont slonce przypominalo kubel swiezych flakow. Zaden z nas nie chcial tam isc, ale musielismy. Norma zrozumiala to

pierwsza. Pod jakimś pretekstem zawołała mnie do domu i powiedziała: "Nie pozwól im zwlekać i odkładać tego, Judson. Musicie to załatwić. To bezbożna ohyda".

Jud zmierzył Louisa spokojnym spojrzeniem.

-Tak właśnie to nazywała, Louis. To jej słowa. "Bezbożna ohyda". A potem szepnęła mi do ucha: "Jeśli coś się stanie, Jud, po prostu uciekaj. Nie przejmuj się pozostałymi. Sami będą musieli o siebie zadbać. Pamiętaj o mnie i jeśli coś się stanie, zabieraj stamtąd swój tyłek".

Pojechalismy samochodem Hannibala Bensona - sukinyś zawsze zdobywał najlepsze talony, nie mam pojęcia jak. Niewiele rozmawialismy, lecz cała nasza czwórka paliła jak szatany. Byliśmy przerażeni, Louis, bardziej już chyba nie można. Ale jedynym z nas, który naprawdę coś powiedział, był Alan Purinton, który rzekł do George'a:

-Bill Baterman rzeczywiście namieszał w lesie na północ od trasy numer 15. Załóż się, o co chcecie.

Nikt nie odpowiedział, ale pamiętam, że George skinał głową.

No coż, dotarłismy tam i Alan zapukał. Nikt nie odpowiedział, ale poszliśmy na tył domu i tam ich zobaczyliśmy. Bill Baterman siedział na tylnej werandzie z dzbankiem piwa, a Timmy stał na podworku, patrząc na krwawe zachodzące słońce. W jego blasku cała twarz miał pomarańczowa niczym obdarta ze skóry, a Bill... wyglądał, jakby dorwał go szatan po siedmiu latach od zawarcia paktu. Ubranie wisiało na nim; na oko stracił jakieś dwadzieścia kilo. Oczy zapadły mu się w głąb czaszki. Przypominały małe zwierzątka w głębokich jaskiniach... a jego ustami po lewej stronie wstrząsał tik. Wyglądał jak ktoś chory na raka, który rozwija się w najlepsze wewnątrz jego ciała.

Jud urwał. Namyslał się przez chwilę, po czym niemal niedostrzegalnie skinał głową.

-Louis, on wyglądał jak potępieniec. Timmy obejrzał się na nas i wyszczerzył zęby. Sam jego uśmiech wystarczył, by człowiek zaczął krzyczeć. Potem z powrotem zaczął obserwować zachodzące słońce. Bill rzekł:

-Nie słyszałem waszego pukania, chłopcy - co było bezczelnym kłamstwem, bo Alan bebnął w drzwi dostatecznie mocno, by obudzić... głuchego.

Wyglądało na to, że nikt nic nie powie, więc zacząłem.

-Bill, słyszałem, że twój chłopak zginał we Włoszech.

-To była pomyłka - odparł, patrząc wciąż na mnie.

-Naprawdę? - spytałem.

-Widzisz go przeciez. Stoi przed wami.

-Kto zatem lezy w trumnie, ktora kazales pogrzebac na Pleasantview? - spytal Alan Purinton.

-Niech mnie diabli, jesli wiem - odrzekl Bill. - I nic mnie to nie obchodzi. - Siegnal po papierosa i rozsypal je po calej werandzie, po czym zlamal dwa lub trzy, probujac je podniesc.

-Prawdopodobnie trzeba bedzie urzadzic ekshumacje - oznajmil Hannibal. - Wiesz chyba o tym. Dzwonili do mnie z cholernego Departamentu Wojny, Bill. Chca wiedziec, czy w grobie Timmy'ego nie lezy syn innej matki.

-A jesli nawet, co mnie to obchodzi - rzucil glosno Bill. - To nie ma ze mna nic wspolnego. Mam swojego chlopca. Kilka dni temu Timmy wrocil do domu. Doznal wstrzasu czy cos takiego. Jest troche dziwny, ale dojdzie do siebie.

-Skonczmy z tym, Bill - wtracilem i nagle wscieklem sie na niego. - Jesli wykopia te wojskowa trumne, odkryja, ze jest pusta. Chyba ze zadales sobie tyle trudu, ze po wyjeciu z niej chlopaka, napelniles ja kamieniami. A watpie, bys to zrobil. Wiem, co sie stalo. Hannibal, George i Alan takze to wiedza. I ty wiesz. Majstrowales w tych lasach i napytales biedy sobie i miasteczku.

-Mysle, ze znacie droge do wyjścia - odparl. - Nie musze sie wam tłumaczyc ani usprawiedliwiac. Kiedy dostalem telegram, opuscilo mnie zycie. Czulem, jak ze mnie ucieka niczym szczyzny po nodze. A teraz odzyskalem mojego chlopca. Nie mieli prawa mi go zabierac. Mial tylko siedemnascie lat. Tylko on mi zostal po jego kochanej matce. To niesprawiedliwe. Kurewsko niesprawiedliwe. Pieprzyc armie! Pieprzyc Departament Wojny! Pieprzyc Stany Zjednoczone Ameryki! I was takze, chlopcy! Odzyskalem go. Wrocil. Nic wiecej nie mam do powiedzenia. A teraz zabierajcie sie tam, skad przyszlicie.

Jego ustami wstrzasal tik, na czolo wystapily wielkie krople potu. I wtedy wlasnie przekonalem sie, ze zwariowal. Mnie tez doprowadziloby to do obledu. Zycie z tym... tym stworem.

Louis czul, ze jest mu niedobrze. Wypil za szybko i za duzo. Nagly ucisk i ciezar w zoladku swiadczyly wyraznie, ze wkrótce pozbedzie sie calego piwa.

-Nie mogliśmy zrobic nic wiecej. Juz mielismy odejsc. Hannibal powiedzial: "Bill, niech Bog ci pomoze". A Bill na to: "Bog nigdy mi nie pomogl. Sam sobie pomoglem".

I wtedy Timmy podszedl do nas. Nawet jego chod byl nie taki, jak powinien, Louis. Chodzil jak starzec. Unosil jedna stope, opuszczal ja, a potem szural nogami i unosil druga. Zupelnie jakbys obserwowal idacego kraba. Rece dyndaly mu po bokach. A kiedy sie zblizyl, widac bylo czerwone slady na jego twarzy, przypominajace pryszczki badz male oparzenia.

Pewnie to tam trafiły go kule z niemieckiego karabinu maszynowego. O mało nie zdmuchnęły mu głowy.

I cuchnął grobem. Była to mroczna won, jakby wszystko wewnątrz niego gnilo, czarne i zepsute. Widziałem, jak Alan Purinton podniósł dłoń, zakrywając nos i usta. Smród był paskudny. Niemal spodziewałeś, że zobaczysz w jego włosach wijące się robaki...

-Przestanie - rzucił ochryple Louis. - Dość już słyszałem.

-Jeszcze nie - nie zgodził się Jud. W jego głosie czuć było szczerą. - Właśnie o to chodzi. Jeszcze nie słyszałeś. A nie potrafisz nawet opisać tej ohydy. Nikt nie zrozumie, jak to było, jeśli sam tego nie widział. On był martwy, ale jednocześnie żył i... wiedział różne rzeczy.

-Wiedział różne rzeczy?

-Ano. Długo chwile przyglądał się Alanowi i uśmiechał się - a przynajmniej widac było jego zęby - a potem przemówił niskim głosem, takim że trzeba było nateżyc słuch, by go usłyszeć. Zupełnie jakby w gardle miał pełno zwiru.

-Twoja żona pieprzy się z facetem, z którym pracuje w aptece, Purinton. Co ty na to? Krzyczy, kiedy dochodzi. Co ty na to?

Alan jakby się zachłysnął. Widac było, że słowa Timmy'ego nie chybiły celu. Alan mieszka teraz w domu opieki w Gardener, a przynajmniej mieszkał, kiedy ostatnio o nim słyszałem - pewnie dobiega już dziewięćdziesiątka. Kiedy się to działo, miał jakieś pięćdziesiąt lat, i w miasteczku ludzie gadali o jego drugiej żonie. Była jego daleka kuzynka i przyjechała, by zamieszkać z Alanem i jego pierwszą żoną Lucy tuż przed wojną. No coż, Lucy zmarła, a półtora roku później Alan poślubił tę dziewczynę. Nazywała się Laurine; w chwili ślubu miała najwyżej dwadzieścia cztery lata. I, rzeczywiście, ludzie gadali. Mężczyźni nazywali ją "trochę zbyt swobodna" i tyle, ale kobiety uważały, że jest puszczalska. Może Alan też o tym myślał, bo warknął:

-Zamknij się! Zamknij się albo ci dołożę, czymkolwiek jesteś!

-Cicho już, Timmy - wtracił Bill. Wyglądał gorzej niż kiedykolwiek. Jakby zaraz miał wymiotować albo zemdleć, albo jedno i drugie. - Badz cicho, Timmy.

Ale Timmy nie zwracał na niego uwagi. Obejrzał się na George'a Andersona i powiedział:

-Ten wnuk, którego tak holubisz, czeka tylko, żebyś zmarł, starcze. Pragnie wyłącznie pieniędzy. Pieniądzy, które, jak sądzi, przechowujesz w skrytce w Banku Wschodnim w Bangor. Dlatego właśnie podlizuje ci się, ale za plecami nabijają się z ciebie razem z siostrą. Stary kuternoga - tak cię nazywają - powiedział Timmy i, Louis, jego głos... zmienił się. Zabrzmił złośliwie. Tak jakby mówił to wnuk George'a... gdyby rzeczy, o których opowiadał Timmy, były prawdą.

-Stary kuternoga! - ciagnal Timmy. - Czy nie zesraja sie, kiedy odkryja, ze jestes biedny jak mysz koscielna, bo straciles wszystko w trzydziestym osmym? Nie zesraja sie, George? Sam powiedz.

George cofnal sie. Drewniana noga ugiela sie pod nim i upadl na plecy na werande, wywracajac dzbanek z piwem. Byl biały jak twoja koszula, Louis.

Bill jakos pozbieral sie z miejsca i wrzasnal na chlopaka:

-Timmy, przestan! Przestan natychmiast! - Ale Timmy nie chcial przestac. Powiedzial cos zlego o Hannibalu, a potem cos zlego o mnie, zupełnie jakby wpadl w szal. Tak, wpadl w szal. Wrzeszczal, a my zaczęliśmy sie cofac, a potem biec, ciagnac za soba George'a. Wleklismy go za rece, bo paski i sprzaczkki na jego sztucznej nodze poplataly sie i przekrecila sie na bok, tyl na przod, wlokac sie po trawie. Kiedy ostatni raz widzialem Timmy'ego Batermana, stal na tylnym trawniku obok sznura na bielizne, z twarza czerwona w promieniach zachodzacego slonca, wyraźnymi śladami na skorze, potarganymi, zakurzonymi włosami... i zasmiewal sie, wrzeszczac raz po raz: "Stary kuternoga! Stary kuternoga! I rogacz! I dziwkarz! Zegnajcie, panowie! Zegnajcie, zegnajcie!". A potem zaczął sie smiac, ale tak naprawde bylo to krzyk. Cos wewnatrz niego krzyczalo i krzyczalo... i krzyczalo.

Jud urwal. Jego piers gwałtownie wznosila sie i opadala.

-Jud - spytal Louis - ta rzecz, o ktorej powiedzial ci Timmy Baterman... czy byla prawdziwa?

-Byla prawdziwa - wymamrotal Jud. - Chryste, byla prawdziwa. Czasami chadzalem do burdelu w Bangor. Nic, czego nie robiloby wielu mezczyzn, choc przypuszczam, ze wielu innych stapa prosta droga. Czasem ogarnialo mnie pragnienie - moze nawet przymus - aby zatopic swojego w obcym ciele albo zaplacic jakiejś kobiecie za rzeczy, o ktore nie poprosilbym własnej zony. Mezczyzni takze maja swoje tajemne ogrody. Nie bylo to nic strasznego i zostawilem to juz za soba. Nie bywalem tam przez osiem, dziewiec lat. Gdyby Norma wiedziala, nie opuscilaby mnie, ale cos wewnatrz niej umarloby na zawsze. Cos kochanego i slodkiego.

Oczy Juda byly czerwone, zapuchniete i metne. Lzy starych ludzi sa wyjątkowo nieatrakcyjne, pomyslal Louis. Kiedy jednak starzec siegnal po dlon Louisa, ten mocno uscisnal jego reke.

-Powiedzial nam tylko zle rzeczy - rzekl po chwili Jud. - Tylko zle. Bog wie, ze w zyciu kazdego czlowieka jest dosc zla. Dwa czy trzy dni pozniej zona Alana Puringtona na zawsze opuscila Ludlow. Ludzie w miasteczku, ktorzy widzieli ja przedtem, nim wsiadla do pociagu, mowili, ze miala podbite oczy i kawalek waty w nosie. Alan nigdy o niej nie wspominal. George umarl w tysiac dziewiecset piecdziesiatym i jesli zostawil cokolwiek swemu

wnukowi i wnuczce, to nigdy o tym nie slyszalem. Hannibal zostal zdjety z urzedu z powodu czegos, o co oskarzyl go Timmy Baterman. Nie powiem ci dokladnie, co to bylo, nie musisz tego wiedziec; w przyblizeniu mozna to okreslic wykorzystaniem funduszy miejskich do wlasnych celow. Mowiono nawet o wniesieniu oskarzenia o defraudacje, ale nigdy do tego nie doszlo. Utrata stanowiska stanowila dostatecznie bolesna kare. Cale zycie staral sie zgrywac wazniaka.

Lecz w ludziach tych bylo tez dobro. To wlasnie chce powiedziec. Bo o tym wlasnie ludziom najtrudniej pamietac. To przeciez Hannibal zalozył fundusz na rzecz Szpitala Wschodniego tuż przed wojna. Alan Purinton byl jednym z najhojniejszych, najbardziej szczodrych ludzi, jakich kiedykolwiek znalem. A stary George Anderson pragnal jedynie do konca zycia kierowac urzedem pocztowym.

Ale to chcialo mowic tylko o zlych rzeczach. Chcialo, byśmy tylko je zapamietali, poniewaz ono bylo zle. I poniewaz wiedzialo, ze mu zagrazamy. Timmy Baterman, ktory wyruszył na wojne, byl milym, zwyklym dzieciakiem, moze nieco ograniczonym. Istota, ktora ujrzeliśmy owego wieczoru, spogladajaca wprost w czerwone slonce... to byl potwor. Moze zombi, dybuk czy demon, moze nie istnieje na niego nazwa, lecz Micmacowie wiedzieliby, czym byl.

-Czym? - spytal tepo Louis.

-Czys dotknietym przez Wendigo - odparl beznamietnie Jud. Odetchnal gleboko. Przez chwile przytrzymal powietrze w plucach, po czym wypuscil je i spojrzal na zegarek.

-A niech mnie, pozno juz, Louis. Gadalem dziesiec razy dluzej, niz zamierzalem.

-Watpie - nie zgodzil sie Louis. - Byles bardzo elokwentny. Powiedz mi, jak sie to skonczylo.

-Dwa wieczory pozniej w domu Batermanow wybuchl pozar - oznajmil Jud. - Wszystko sie spalilo. Alan Purinton twierdzil, ze nie bylo watpliwosci co do tego, iz ogien podlozono umyslnie. Caly domek spryskano ropa od kranca do kranca. Czulo sie jej smrod jeszcze trzy dni po zgaszeniu ognia.

-Zatem obaj sploneli?

-Ano, sploneli. Ale zgineli wczesniej. Timmy zostal dwukrotnie postrzelony w piers z rewolweru, starego kolta, ktory Bill Baterman trzymal zawsze pod reka. Znalezli go w dloni Billa. Oto co zrobil: zabil swego syna, polozyl go na lozku, a potem rozlal rope. Nastepnie usiadl na fotelu obok radia, zapalil zapalke i wsadzil sobie do ust lufe czterdziestkiptatki.

-Jezu! - westchnal Louis.

-Obaj byli mocno zwegleni, lecz okregowy patolog twierdzil, ze Timmy Baterman nie byl od

dwoch do trzech tygodni.

Cisza. Długa, nieznosna cisza. Jud wstał.

-Nie przesadzałem, kiedy mówiłem, że może zabiłem twojego chłopca, Louis, albo przynajmniej miałem w tym udział. Micmacowie znali to miejsce. Nie znaczy to jednak, że oni je stworzyli. Nie zawsze tu mieszkali. Przybyli może z Kanady, może z Rosji, może nawet z Azji, i zostali w Maine tysiąc, może dwa tysiące lat - trudno powiedzieć, bo nie odcisnęli zbyt głębokiego piętna w tej ziemi. A teraz znowu odeszli... tak jak my kiedyś odejdziemy, choć podejrzewam, że nasze piętno będzie znacznie głębsze. Na dobre i na złe. Lecz miejsce to pozostanie, nieważne, kto będzie tu żył, Louis. Nikt nie jest jego właścicielem i nie może zabrać z sobą jego tajemnic, gdy odchodzi. To złe, zepsute miejsce i nie powinienem był zabierać cię tam, abys pogrzebał kota. Teraz to wiem. Ma moc, której powinien się strzec, jeśli wiesz, co jest dobre dla ciebie i twojej rodziny. Nie byłem dość silny, by z nim walczyć. Ocaliłeś życie Normy i chciałem coś dla ciebie zrobić, a to miejsce wykorzystało moje dobre intencje do własnych niecznych celów. Ono ma moc... i myślę, że ta moc przechodzi fazy. Tak jak księżyc. Kiedyś osiągnęła swą pełnię i boję się, że pełnia znowu nadchodzi. Lekam się, że wykorzystało mnie, aby dotrzeć do ciebie poprzez twojego syna. Rozumiesz, do czego zmierzam, Louis? - Spojrzał na niego błagalnie.

-Twierdzisz, że to miejsce wiedziało, iż Gage umrze - odparł Louis.

-Nie. Mówię, że miejsce to mogło zabić Gage'a, bo wprowadziłem cię w zasięg jego mocy. Mówię, że mimo swych dobrych chęci, mogłem zamordować twojego syna, Louis.

-Nie wierze w to - odparł Louis po dłuższej chwili, wstrząsniety. Nie wierzył. Nie mógł uwierzyć.

Mocno scisnął dłoń Juda.

-Jutro pogrzebiemy Gage'a w Bangor i w Bangor zostanie. Nie zamierzam nigdy więcej chodzić na Cmentarz Zwierząt. Ani dalej.

-Przrzeknij mi! - rzucił szorstko Jud. - Przrzeknij!

-Przrzekam - odparł Louis. Lecz gdzieś w głębi jego umysłu pozostała ta myśl, tańcząca isierka obietnicy, która nie chciała zgasnąć.

40.

Nic z tego naprawdę się nie zdarzyło. Wszystko to - grzmiąca ciężarówka Orinco, palce, które zaledwie musnęły tył kurteczki Gage'a, a potem wypuściły ją, Rachel szukająca się do wyjścia na wystawienie zwłok w szlafroku, Ellie nosząca ze sobą zdjęcie Gage'a i stawiająca jego krzeselko obok łóżka, Izzy Steve'a Mastertona, bojka z Irwinem Goldmanem, upiorna opowieść Juda Crandalla o Timmym Batermanie - istniało jedynie w

wyobrazni Louisa Creeda; zrodzilo sie w ciagu kilku sekund, ktore minely, gdy scigal rozesmianego synka w strone drogi, zanim Rachel znow krzyknela: "Gage, wracaj! Nie biegnij!". Lecz Louis nie trafil oddechu. Wiedzial, ze bedzie blisko, bardzo blisko. I rzeczywiscie, jedna z tych rzeczy naprawde sie zdarzyla. Gdzies z daleka slyszal ryk silnika nadjezdzejacej ciezarowki. W jego glowie otworzyl sie obwod pamieci i Louis uslyszal Juda Crandalla mowiacego do Rachel pierwszego dnia w Ludlow. "Powinniscie pilnowac ich przy tej drodze, pani Creed. To zla droga dla dzieci i zwierzat". Teraz Gage zbiegal w dol lagodnego trawiastego zbocza, przechodzacego plynnie w pobocze trasy numer 15. Jego solidne male nozki smigaly naprzod. Wedlug wszystkich regul tego swiata powinien byl juz dawno sie wywrocic, ale biegl dalej, a odglos nadjezdzejacej ciezarowki rozbrzmiewal coraz glosniej, niski warkot, ktory Louis slyszal czasem z lozka, unoszac sie na granicy snu. Wowczas wydawal mu sie kojacy, teraz jednak go przerazal.

Dobry Boze! Dobry Jezus! Pozwolicie mi go zlapac. Nie pozwolicie mu wybiec na droge!

Louis zdobył się na ostateczny wysilek i skoczył, rzucając się naprzód równoległe do ziemi niczym futbolista zamierzający powalić rywala. Katem oka widział na trawie swój cień i pomyślał o latawcu, o Sepie odciskającym swój cień na polu pani Vinton, i właśnie w chwili, gdy Gage siłą rozpedu wypadł na drogę, palce Louisa musnęły plecy jego kurtki... i pochwyciły ją.

Szarpnął Gage'a w tył i w tym samym momencie wylądował na ziemi. Jego twarz wbiła się w szorstki żwir pobocza; rozbil sobie nos, a z jader dobiegł poważniejszy rozbłysk bólu - rany, gdybym wiedział, że będę grał w futbol, założyłbym ochraniacz - lecz zarówno ból nosa, jak i przeszywające cierpienie w kroczu były niczym w obliczu wszechogarniającej ulgi na dźwięk okrzyku bólu i oburzenia Gage'a, gdy tylek malca pisał o ziemi i chłopczyk wywrocil się na plecy na skraju trawnika, uderzając się w głowę. W chwili później jego płacz zagłuszył ryk przejeżdżającej ciężarówki i ogluszające wycie klaksonu.

Louis zdołał wstać, mimo olowianej kuli, spoczywającej w żołądku, i przytulić do siebie syna. W chwili później dołączyła do nich Rachel, także zapłakana, krzycząc na Gage'a: "Nigdy nie biegaj na drogę, Gage! Nigdy, nigdy, nigdy! Droga jest zła! Be!". Gage'a tak zdumiał ow płaczący wykład, że sam przestał płakać i zdumiony wpatrywał się w matkę.

-Louis, leci ci krew z nosa - zauważyła, po czym objęła go tak nagle i mocno, że przez moment ledwo mógł oddychać.

-To jeszcze nie najgorsze - odparł. - Chyba się wykastrowałem, Rachel. Rany, co za ból.

A ona wybuchnęła tak histerycznym śmiechem, że przez kilka sekund przeraził się i przez jego głowę przebiegła nagle myśl: Gdyby Gage naprawdę zginał, chybaby oszalała.

Ale Gage nie zginał. Wszystko to było piekielnie wyraźnym tworem wyobrazni Louisa, który wyprzedził śmierć syna na zielonym trawniku w słoneczne majowe popołudnie.

Gage poszedl do szkoly podstawowej. W wieku siedmiu lat pierwszy raz wyjechal na oboz, gdzie wykazal sie zdumiewajacym talentem plywackim. Zaskoczyl tez dosc nieprzyjemnie rodzicow, udowadniajac, ze bez zadnych problemow potrafi zniesc miesieczna rozlake. Kiedy skonczyl dziesiec lat, spedzal juz cale lato w obozie Agawam w Raymond. W wieku lat jedenastu zdobył dwie niebieskie wstegi i jedna czerwona na maratonie plywackim czterech obozow, konczacym letnie treningi. Wyrosł na wysokiego chlopca, a przeciez caly czas byl tym samym Gage'em, slodkim i zaskoczonym tym, czym obdarzal go swiat... a dla Gage'a swiat mial jedynie slodkie, swieze owoce.

W liceum byl znakomitym uczniem i czlonkiem druzyny plywackiej u Jana Chrzyciela, w parafialnej szkole, ktora sam sobie wybral, bo oferowala swietne warunki mlodym plywakom. Rachel byla zmartwiona i oburzona, a Louis niespecjalnie zdumiony, gdy w wieku lat siedemnastu Gage oznajmil, ze zamierza przejsc na katolicyzm. Rachel uwazala, ze wszystko to wina dziewczyny, z ktora wowczas sie spotykal; w jego najblizszej przyszosci widziala malzenstwo ("Jesli ta mala dziwka z medalikiem swietego Krzysztofa mu nie obciaga, zjem twoje gatki, Louis" - powiedziala), ruine planow uniwersyteckich i nadziei olimpijskich oraz dziewiecioro czy dziesiecioro malych katolikow, biegajacych po domu, nim Gage skonczy czterdziestke. Do tego czasu (przynajmniej wedlug Rachel) stanie sie palacym cygara kierowca ciezarowki z wydatnym brzuchem, odmawiajacym zdrowaski i ojczenaszki na drodze ku potepieniu.

Louis jednak przypuszczal, ze motywy jego syna sa bardziej czyste i choc Gage rzeczywiscie sie nawrocil (w dniu, kiedy to zrobil, Louis wyslal niezaprzeczalnie zlosliwa kartke Irwinowi Goldmanowi. Napisal na niej: "Moze bedziesz mial wnuka jezuite. Twój ziec-goj Louis"), to nie poslubil dosc milej (i zdecydowanie przyzwoitej) dziewczyny, z ktora spotykal sie przez wiekszosc ostatniego roku. Wstapil na Uniwersytet Johna Hopkinsa, zakwalifikowal sie do olimpijskiej druzyny plywackiej i pewnego dlugiego, oszalamiajacego, cudownego popoludnia, szesnascie lat po tym, jak Louis scigal sie z ciezarowka Orinco o zycie swego syna, wraz z Rachel - ktora niemal calkiem posiwiala, choc ukrywala to pod plukanka - patrzyli, jak ich syn zdobywa dla Stanow Zjednoczonych zloty medal. Kiedy kamery NBC pokazaly go na zblizeniu, stojacego z odchylona wciaz mokra glowa i otwartymi oczami, spogladajacymi ze spokojem na flage, gdy odgrywano hymn narodowy, z wstega wokol szyi i zlotym krazkiem lezacy na gladkiej skorze piersi, Louis rozplakal sie. Plakali oboje z Rachel.

-To chyba ukoronowanie wszystkiego - rzekl i odwrocil sie, by objac zone. Ona jednak patrzyla na niego z rosnaca zgroza, jej twarz starzala mu sie przed oczami, jakby atakowaly ja dni, miesiace i lata przepelnionego zlem czasu. Dzwiek hymnu narodowego ucichl, a kiedy Louis obejrzal sie na telewizor, ujrzal tam innego chlopca, czarnego chlopca z glowa porosnieta gestymi lokami, wsrod ktorych perlily sie krople wody.

To ukoronowanie wszystkiego.

Korona.

Czapka.

Dobry Boze, jego czapka jest pelna krwi.

Louis obudzil sie o siodmej rano w zimnym, martwym swietle deszczowego poranka, sciskajac w ramionach poduszke. Kazde uderzenie serca odbijalo sie ogluszajacym echem w jego glowie. Bol narastal i opadal, narastal i opadal. Odbilo mu sie kwasem, smakujacym jak stare piwo. Jego zoladek scisnal sie bolesnie. Plakal. Poduszka byla mokra od lez, jakby we snie trafil do jednego z westernowych dramатов. Nawet kiedy spal, czesc umyslu znala prawde i oplakiwala ja.

Wstal i potykajac sie ruszyl do lazienki, z sercem tlukacym sie w piersi. Potezny kac miazdzyl jego swiadomosc. W ostatniej chwili dotarl do toalety i zwrocil do niej wiekszosc wczorajszego piwa.

Kleczal na podlodze z zamknietymi oczami, poki nie poczul, ze zdola sie podniesc. Na oslep znalazl dzwignie i spuscil wode. Potem podszedl do lustra, by przekonac sie, jak bardzo ma przekrwione oczy, lecz szklana tafla byla zaslonieta kwadratem materialu i wtedy przypomniał sobie, jak czerpiac slepo z przeszlosci, ktora ponoc ledwie pamietala, Rachel zakryla wszystkie lustra w domu i przed wejsciem do srodka zdejmowala buty.

Nie bedzie olimpijskiej druzyny plywackiej, pomyslal tepo Louis, wracajac do lozka i siadajac na nim. W ustach i gardle czul kwasny smak piwa i poprzysialg sobie (nie po raz pierwszy i nie ostatni), ze nigdy wiecej nie tknie tej trucizny. Nie bedzie olimpijskiej druzyny plywackiej, wysokiej sredniej w college'u, malej katolickiej dziewczyny i nawrocenia, obozu Agawam. Niczego. Jego adidasy zdarte z nozek. Bluza wywrocona na druga strone. Slodkie chlopiece cialko, tak jedrne i twarde, niemal rozdarte na strzepy. Czapke mial pelna krwi.

Teraz siedzac na lozku w szponach kaca, gdy deszczowe krople splywaly leniwie po szybie obok niego, Louis po raz pierwszy w pelni poczul zal i smutek, niczym fale naplywajaca z glebin czyscca. Zal ten powalil go, pozbawil meskosci, zniszczyl wszelkie pozostale bariery i Louis ukryl twarz w dloniach i zaplakal, kolyszac sie w przod i w tyl, i myslac, ze oddalby wszystko, byle tylko miec jeszcze jedna szanse. Absolutnie wszystko.

41.

Gage zostal pochowany tego popoludnia o drugiej. Do tego czasu deszcz przestal padac. Postrzepione chmury wciaz wedrowaly po niebie i wiekszosc zalobnikow miala czarne parasole, dostarczone przez przedsiebiorce pogrzebowego. Na prosbe Rachel pracownik domu pogrzebowego przewodzaczy krotkiej, niereligijnej ceremonii odczytal fragment z Ewangelii wedlug swietego Marka, rozpoczynajacy sie slowami: "Dopuszczcie dziatkom isc do mnie". Louis, stojacy tuz obok grobu, spojrzal przed siebie na swego tescia. Przez moment Goldman tez popatrzył na niego, po czym opuscil wzrok. W jego oczach nie pozostalo ani sladu woli walki; wory pod nimi przypominaly torby listonosza, a wokol czarnej

jedwabnej jarmulki włosy tak cienkie i białe jak poszarpana pajeczyna unosily sie targane wiatrem. Z policzkami pokrytymi szpakowatym zarostem bardziej niz kiedykolwiek przypominal starego pijaczyny. Wygladal jak czlowiek, ktory nie do konca wie, gdzie sie znajduje. Louis probowal, lecz odkryl, ze wciaz nie potrafi znalezc dla niego litosci w swym sercu.

Mala, biala trumienka Gage'a, zapewne z naprawionym zanikiem, stala na dwoch chromowanych drazkach ponad wybetonowanym dolem. Ziemię wokół grobu wyłożono sztuczna trawa, tak jadowicie zielona, że ranila oczy Louisa. Wokół, na plastikowej, dziwnie niestosownej powierzchni rozstawiono kosze kwiatów. Louis spojrzal ponad ramieniem przedsiębiorcy pogrzebowego i ujrzał niski pagorek pokryty grobami i kwaterami, wśród których wyróżniał się rzymski pomnik z wyrytym nazwiskiem: PHIPPS. Tuż nad ukosnym dachem grobowca Phippsów dostrzegł drobne zolci. Przyglądał jej się z namysłem, nawet po tym, jak mistrz ceremonii powiedział: "Skłonmy więc głowy i pomodlmy się". Zabrało to kilka minut, ale w końcu zrozumiał. To była koparka. Koparka zaparkowana za wzgórzem, by zalobnicy nie musieli na nią patrzeć. A kiedy pogrzeb się skończy, Oz rozgniecie papierosa obcasem jednego ze swych wiejskich roboczych butów, schowa niedopalek w noszonym w kieszeni pudelku (na cmentarzach grabarze przylapani na rozrzucaniu niedopalków byli niemal zawsze natychmiast zwalniani - wyglądało to źle, a poza tym zbyt wielu klientów zmarło na raka płuc), wskoczy do koparki, włączył silnik i odgrodzi jego syna od słońca - na zawsze... albo przynajmniej do dnia zmartwychwstania.

Zmartwychwstanie... To dopiero słowo...

(o którym powinienes natychmiast zapomniec i dobrze o tym wiesz)

Kiedy mistrz ceremonii powiedział "Amen", Louis ujął Rachel pod rękę i odprowadził ją na bok. Rachel protestowała cicho - chce zostać nieco dłużej, proszę cie, Louis - on jednak był stanowczy. Podeszli do samochodów. Ujrzał przedsiębiorcę pogrzebowego odbierającego zalobnikom parasole z nazwą firmy, dyskretnie wypisana na rączkach, i przekazującego je asystentowi. Asystent ustawiał je na stojaku, wyglądającym niesamowicie i surrealistycznie na zroszonej deszczem trawie. Louis prawą ręką trzymał Rachel pod ramię, lewą ścisnął dłoń Ellie, odziana w białą rekawiczkę. Ellie miała na sobie tę samą sukienkę, która włożyła na pogrzeb Normy Crandall.

Gdy usadowił swe panie w samochodzie, zbliżył się do nich Jud. On także wyglądał, jakby miał za sobą bardzo ciężką noc.

-Wszystko w porządku, Louis? Louis przytaknął.

Jud schylił się i zajrzał do samochodu.

-Jak się czujesz, Rachel?

-Całkiem dobrze, Jud - szepnęła.

Starzec łagodnie pogładził jej ramie, po czym spojrzał na Ellie.

-A ty, kochanie?

-Nic mi nie jest. - Na dowód prawdziwości swych słów, Ellie wykrzywiła usta w potwornym rekinim uśmiechu.

-Co to za zdjęcie?

Przez moment Louis sądził, że córka zatrzyma zdjęcie, nie zechce go pokazać. Potem jednak przelamując wewnętrzny opór, podała fotografię Judowi. Stary mężczyzna ujął ją wielkimi palcami, tak grubymi i na oko niezręcznymi, że zdawało się, iż nadają się jedynie do obsługi przekładni wielkich maszyn i przekładni na kolei - były to jednak te same palce, które ze zreżnością magika - bądź chirurga - wyjęły zadło z szyi Gage'a.

-To bardzo ładne - zauważył Jud. - Ciągniesz go na sankach. Założę się, że to lubił, prawda, Ellie?

Ellie przytaknęła i wybuchnęła płaczem. Rachel zaczęła coś mówić, ale Louis uściśnął jej ramie - na razie milcz.

-Często go ciągnęłam - wykrztusiła Ellie przez łzy - a on śmiał się i śmiał. Potem wracaliśmy do domu, mamusia przygotowywała kakao i mówiła: "Odstawcie buty", a Gage lapał je wszystkie i krzyczał: "Buty, buty!", tak głośno, że bolały nas uszy. Pamiętasz, mamó?

Rachel skinęła głową.

-O tak, założę się, że to były piękne czasy. - Jud oddał jej zdjęcie. - On już nie żyje, Ellie, ale możesz zachować po nim wspomnienia.

-Taki mam zamiar - odparła, ocierając dłońią twarz. - Kochałam Gage'a, panie Crandall.

-Wiem, kochanie.

Schylił się i ucałował ją, a kiedy się cofnął, jego martwy wzrok omiotł Louisa i Rachel. Rachel odpowiedziała zaskoczonym, nieco zranionym spojrzeniem, nie rozumiejąc, o co chodzi starcowi, ale Louis zrozumiał aż za dobrze. Co dla niej robicie? - pytały oczy Juda. Wasz syn nie żyje, ale córka wciąż jest z wami. Co dla niej robicie?

Louis odwrócił wzrok. Nic nie mógł dla niej zrobić, jeszcze nie. Będzie musiała sama radzić sobie ze swym smutkiem. On myślał głównie o synu.

42.

Do wieczora niebo zasnęła świeża warstwa chmur i zerwał się zachodni wiatr. Louis nałożył lekką kurtkę, zapiał ją i zdjął z kolka na ścianie kluczyki do Hondy. -Dokąd się wybierasz,

Lou? - spytała Rachel. Mówiła bez specjalnego zainteresowania. Po kolacji znów zaczęła płakać i choć nie zdradzała objawów hysterii, jednocześnie nie mogła przestać. Louis zmusił ją do zacytowania walium. Teraz siedziała z gazetą rozłożoną na ledwie rozpoczętej krzyszowce. W drugim pokoju Ellie w milczeniu oglądała "Domek na prerii": na kolanach trzymała zdjęcie Gage'a.

-Pomyślałem, że skoczę na pizzę.

-Nie najadłeś się wcześniej?

-Wtedy nie byłem głodny - odparł zgodnie z prawdą, a potem dodał kłamstwo: - Teraz jestem.

Tego popołudnia pomiędzy trzecią i szóstą w domu w Ludlow odbył się ostatni rytuał pogrzebu Gage'a: rytuał jedzenia. Steve Masterton i jego żona pojawili się z zapiekanką z mielonego mięsa i makaronu. Charlton przyniosła quiche ("Jeśli coś zostanie, można przechować na później - poinformowała Rachel. - Quiche bardzo łatwo się odgrzewa"). Dannikerowie z góry drogi przywieźli pieczoną szynkę. Goldmanowie - żadne z nich nie odzywało się do Louisa ani nawet nie zbliżało się do niego, a on bynajmniej tego nie żałował - przybyli z zestawem wedlin i serów. Jud także przyniósł ser - wielki krag swego ulubionego szczerzego jedzenia. Missy Dandridge upiekła ciasto cytrynowe, a Surrendra Hardu przywiozł jabłka. Rytuał jedzenia najwyraźniej przekraczał wszelkie bariery religijne.

To była stępa i choć panował na niej spokój, nadal jednak pozostawała przyżyciem. Pito znacznie mniej niż zwykle, ale jednak pito. Po kilku piwach (zaledwie poprzedniej nocy przysięgał, że nigdy więcej go nie tknie, lecz w zimnym popołudniowym świetle poprzednia noc wydawała się niewiarygodnie odległa) Louis wpadł na pomysł, że powtórzy kilka pogrzebowych anegdotek zasłyszanych od wujka Carla: na pogrzebach na Sycylii niezamezane kobiety czasami odcinają kawałek całunu i sypiają z nim pod poduszką, wierząc, że przyniesie im to szczęście w miłości; w Irlandii na pogrzebach często urządza się śluby na niby, a wielkie palce u nogi zmarłych wiążą się z powodu starego celtyckiego przesądu, że nie pozwala to powstać duchom. Wujek Carl twierdził, że zwyczaj przywiązywania do palców u nog zmarłych karteczek identyfikacyjnych zrodził się w Nowym Jorku, a że w dawnych czasach w kostnicach pracowali wyłącznie Irlandczycy, uważał, że to pozostałość starego przesądu. Jednakże patrząc na twarze zebranych, Louis uznał, że historyjki te mogłyby nie zostać przyjęte zbyt dobrze.

Rachel zalamala się tylko raz i matka natychmiast pospieszyła ją pocieszyć. Rachel przywarła do Dory Goldman i zaczęła szlochac jej na ramieniu z bezbronna otwartoscia, ktorej nie potrafila okazac przy Louisie - moze dlatego, ze uwazala, iz oboje odpowiadaja za smierc Gage'a, albo moze Louis, zagubiony w dziwnym polswiecie wlasnych fantazji, nie zachecal jej do tego. W kazdym razie zwrocila sie o pocieche do matki i Dory udzielila jej wsparcia, laczac swe lzy z lzami corki. Irwin Goldman trzymal reke na ramieniu Rachel i triumfalnie patrzyl na stojacego w drugim kacie Louisa.

Ellie krazyla po pokoju ze srebrna taca wyladowana malymi kanapeczkami, bulkami przebitymi pierzastymi wykalaczkami. Zdjecie Gage'a sciskala pod pacha.

Louis przyjmowal kondolencje, kiwal glowa i dziekowal kolejnym zalobnikom, a jesli nawet jego oczy wydawaly sie odlegle, a zachowanie nieco chlodne, ludzie sadzili, ze myslal o przeszlosci, o wypadku, o czekajacym ich zyciu bez Gage'a. Nikt (nawet Jud) nie przypuszczalby, ze Louis zaczyna wlasnie obmyslac strategie rabowania grobow... oczywiscie tylko czysto teoretycznie, nie zeby zamierzal cokolwiek zrobic, to tylko sposob na zajecie czymys umyslu.

Nie zeby zamierzal cokolwiek zrobic.

Louis wpadl do sklepu w Orrington, kupil dwa szesciopaki zimnego piwa i zadzwonil do Napoli, by zamowic pizze z pieczarkami i pepperoni.

-Zechce pan podac nazwisko?

Oz Wiejki i Wsaniały - pomyslal Louis.

-Lou Creed.

-Okay, Lou, jestesmy dosyc zajeci, dlatego potrwa to okolo czterdziestu pieciu minut. W porzadku?

-Jasne - odrzekl Louis i odwiesil sluchawke. Gdy wrocil juz do hondy i wlaczył silnik, uswiadomil sobie nagle, ze choc w okolicy Bangor mozna znalezc dwadziescia pizzerii, on wybral te najblizsza cmentarza Pleasantview, na którym pochowali Gage'a. I co z tego, do diabla! - pomyslal niespokojnie. - Robia tu dobra pizze, z niemrozzonego ciasta. Wyrzucaja je w powietrze i lapia na oczach klientow, a Gage tak bardzo sie smial...

Natychmiast odsunal te mysl.

Wyminal Napoli i pojechal na cmentarz. Przypuszczal, ze od poczatku wiedzial, iz tak postapi, ale to przeciez nikomu nie szkodzilo, prawda? Nikomu.

Zaparkowal po drugiej stronie ulicy i przeszedl do bramy z kutego zelaza, polyskujacego w ostatnim gasnacym swietle dnia. Nad jego glowa, wpisany w polokrag, widnial zlozony z kutych zelaznych liter napis: PLEASANTVIEW. Przyjemny widok. W opinii Louisa widok nie byl ani przyjemny, ani nieprzyjemny. Cmentarz lezal na kilku ladnych, niskich wzgorzach, miedzy ktorymi rozciagaly sie wysadzane drzewami alejki (w ostatnich chwilach gasnacego dnia cienie owych drzew stawaly sie glebokie, czarne i nieprzyjazne niczym nieruchoma woda w gliniance). Wokol roslo kilka samotnych placzacych wierzb. Bynajmniej nie panowala tu cisza. Niedaleko przebiegala autostrada - lodowaty wiatr niosl z soba nieustanny szum silnikow - a luna na ciemniejszym niebie nalezala do miedzynarodowego lotniska w Bangor.

Sięgnął dłoń ku bramie, myślał: "będzie zamknięta", ale nie była. Może nie nadeszła jeszcze pora zamykania cmentarza, a jeśli nawet to robiono, to wyłącznie dla ochrony przed pijakami, wandalami i młodymi parkami. Dni Dickensowskich Złodziei Zmartwychwstania

(znowu to słowo)

minęły. Prawe skrzydło bramy z cichutkim zgrzytem otwarło się do środka i Louis, obejrzawszy się przez ramię, by się upewnić, że nikt go nie obserwuje, wszedł za nim. Zamknął za sobą bramę i usłyszał szczek zatrząsku.

Przez chwilę stał bez ruchu na skromnych przedmieszcach śmierci, rozglądając się dookoła.

Samotne, piękne miejsce, pomyślał, lecz nikt, jak sądził, objąć się tu nie chce. Kto to? Andrew Marvell? I czemu ludzki umysł przechowuje równie zdumiewające strzępy bezużytecznych smieci?

Wówczas w jego głowie przemówił głos Juda, niespokojny i - przerażony? Tak, przerażony.

Louis, co ty robisz? Spoglądasz na drogę, na którą nie chciałbyś wstąpić.

Odepchnął od siebie ów głos. Jeśli nawet torturował kogokolwiek, to jedynie samego siebie. Nikt nie musiał wiedzieć, że znalazł się tu, gdy ciemność pochłania ostatnie światło dnia.

Ruszył powoli w stronę grobu Gage'a, wybierając jedną z kretych ścieżek. Po sekundzie znalazł się w zadrzewionej alejce. Nad jego głową tajemniczo szumiały młode wiosenne liście. Serce donosnie tłukło mu się w piersi. Groby i pomniki ustawiono w nierównych rzędach. Gdzieś w glebi musiał znajdować się budynek dozorców, a na nim mapa dwudziestu akrow Pleasantview, starannie i rozsądnie podzielonych na kwadranty. W każdym z nich wyróżniono zajęte groby i niesprzedane kwatery. Majatki ziemskie na sprzedaż. Jednopokojowe mieszkania. Sypialnie.

Nie przypomina to Cmentarza Zwieżat. Myśl ta sprawiła, że zatrzymał się i zastanowił przez moment zaskoczony. Rzeczywiście, Cmentarz Zwieżat sprawiał wrażenie porządku, wylaniającego się niemal nieswiadomie z chaosu. Te prymitywne, koncentryczne, malejące kregi. Proste nagrobki. Zbite z desek krzyże. Zupełnie jakby dzieci grzebiące tam zwierzęta ze swej zbiorowej podświadomości stworzyły pewien wzór. Jakby...

Przez moment Louis ujrzał Cmentarz Zwieżat jako coś w rodzaju reklamy... zachęty, niczym ta w alejce dziwolągów w lunaparku. Właściciele wyprowadzali na nią polykacza ognia, którego można było obejrzeć za darmo, bo tamci wiedzieli, że nie kupi się steku, nie czując zapachu, nie wyda gotówki, nie widząc, na co idzie.

Te groby. Groby tworzące niemal druidyczne kregi.

Groby na Cmentarzu Zwieżat odtwarzały najstarszy symbol religijny świata: malejące kregi oznaczające spirale, zmierzająca nie do punktu, lecz do nieskonczoności; porządek z chaosu, bądź chaos z porządku, w zależności od tego, w którą stronę patrzeć. Był to symbol, który Egipcjanie rzeźbili na grobowcach faraonów, znak kreslony przez Fenicjan na kopcach ich poległych królów; znajdowano go na ścianach jaskin w starożytnych Mykenach. Królowie Stonehenge stworzyli je na jego podobieństwo jako zegar odmierzający czas wszechświata. Pojawiał się w chrześcijańskiej Biblii pod postacią wiru, z którego Bóg przemówił do Hioba.

Spirala stanowiła najstarszą oznakę mocy tego świata - najstarszy ludzki symbol, przedstawiający krety most, łączący świat i Otchłan.

W końcu Louis dotarł do grobu Gage'a. Koparka zniknęła. Sztuczna trawa została zdjęta, zwinięta przez jakiegoś pogwizdującego robotnika, który myślał już tylko o popołudniowej wyprawie na piwo. W miejscu, gdzie leżał Gage, widniał równiutki prostokąt nagiej, zagrabionej ziemi, liczący metr na półtora. Nie ustawiono jeszcze nagrobka.

Louis ukląkł. Wiatr targał mu włosy, unosił je. Niebo było już niemal całkiem czarne; pedziły po nim chmury. Nikt nie zaswycił mu w twarz latarka i nie spytał, co tu robi. Nie warknął żaden pies. Brama była otwarta. Dni Złodziei Zmartwychwstania minęły. Gdybym przybył tu z kilofem i szpadłem...

Wzdrygnął się gwałtownie, otrzasajac się z owych myśli. Jeśli sądził, że w nocy Pleasantview także jest niestrzeżone, to oszukiwał samego siebie. Przypuszcmy, że dozorca bądź strażnik zaskoczy go po pas w świeżym grobie syna. Być może wiadomość nie dostanie się do gazet, ale możliwe, że się dostanie. Mogliby go oskarżyć o popełnienie przestępstwa. Jakiego przestępstwa? Rabowania grobów? Malo prawdopodobne. Przedziej już rozmyślnego wandalizmu bądź czynów chuliganskich. Ale niezależnie od gazet, wieści szybko się rozejda. Ludzie będą gadać. To zbyt pikantna historyjka, by jej nie powtórzyć. Miejscowy lekarz przyłapany na rozkopywaniu grobu dwuletniego synka, zabitego niedawno w tragicznym wypadku drogowym. Straciłby pracę. Nawet jeśli nie, podobne historie zmroziłyby Rachel do szpiku kości, a Ellie zniechęciłyby do szkoły, prześladowana nieustannymi przytykami innych dzieci. W zamian za niepostawienie zarzutów musiałby może zgodzić się na poniżające testy psychologiczne.

Ale mogłbym przywrócić Gage'owi życie. Gage mogłby znowu żyć!

Czy naprawdę w to wierzył?

Owszem. Wielokrotnie, zarówno przed śmiercią Gage'a, jak i po niej, powtarzał sobie, że Church tak naprawdę nie zginął. Został jedynie ogluszony. Church wykopał się z ziemi i wrócił do domu. O, dziecięca bajeczka z upiornymi podtekstami - taki Kubus Rozpruwacz. Pan nieswiadomie usypuje stos kamieni nad ciałem niezwykłego zwierzęcia. Wierne stworzenie wykopuje się i wraca do domu. Świetnie. Tyle że to nieprawda. Church nie żył.

Cmentarzysko Micmacow przywrocilo mu zycie.

Louis siedzial obok grobu Gage'a, probujac ulozyc wszystkie znane elementy tak racjonalnie i logicznie, jak tylko pozwalala mu na to owa mroczna magia.

Najpierw Timmy Baterman. Po pierwsze, czy wierzył w te historie? A po drugie, czy czynila ona jakakolwiek roznicę?

Mimo ze bylo to wysoce niewygodne, wierzył w wiekszosc historii Timmy'ego. Nie da sie zaprzeczyc, ze jesli miejsce takie jak cmentarzysko Micmacow istniało (a istniało) i jesli ludzie o nim wiedzieli (a kilku starszych mieszkancow Ludlow niewatpliwie wiedzielo), wczesniej czy pozniej ktos sprobowałby tego dokonac. W opinii Louisa ludzka natura zawsze byla taka sama i trudno uwierzyc, by dysponujac takim miejscem, ludzie ograniczyli sie jedynie do domowych zwierzatek i cennych okazow hodowlanych.

W porzadku zatem. Czy wierzył tez, ze Timmy Baterman zmienil sie we wszechwiedzacego demona? To bylo znacznie trudniejsze pytanie i musial odpowiedziec na nie ostrocznie, bo nie chcial w to uwierzyc, a wiedzial, jak nastawienie wpływa na interpretacje faktow.

Nie. Nie chcial wierzyc, ze Timmy Baterman stal sie demonem, lecz nie mogl - absolutnie nie mogl pozwolic, by pragnienia wplynely na jego osad.

Louis pomyslal o byku Hanrattym. Hanratty - mowil Jud - stal sie zlosliwy. Podobnie na swoj sposob Timmy Baterman. Hanratty zostal pozniej "wyeliminowany" przez tego samego czlowieka, ktory wczesniej zdolal jakos zawlec zwloki byka na saniach na cmentarzysko Micmacow, Timmy Baterman zostal wyeliminowany przez ojca.

Lecz czy fakt, iz Hanratty stal sie zly, oznaczal, ze wszystkie zwierzeta staly sie zle? Nie. Byk Hanratty nie potwierdzal reguly. W istocie stanowil od niej wyjatek. Spojrzmy na inne zwierzeta - psa Juda, Spota; papuzke starej kobiety; nawet Churcha. Wszystkie powrocily odmienione i za kazdym razem zmiana byla wyrazna i dostrzegalna. Lecz przynajmniej w przypadku Spota nie okazala sie tak wielka, by Jud nic polecil owego procesu wskrzeszania (zmartwychwstania)

tak, zmartwychwstania, przyjacielowi wiele lat pozniej. Oczywiscie potem probowal sie usprawiedliwiac, gledzil bez ladu i skladu, wyrzucajac z siebie mnostwo zlowieszczych, bezsensownych bzdur, ktorzych nie daloby sie nawet nazwac filozofia.

Jak mogl odrzucic dostepna mu szanse - jedna niewiarygodna szanse - wylacznie na podstawie historii Timmy'ego Batermana? Jedna jaskolka nie czyni wiosny.

Dobierasz dowody tak, by potwierdzaly wniosek, do ktorego dazysz, zaprotestowal jego umysl. Powiedz przynajmniej prawde co do zmiany, jaka zaszla w Gage'u. Nawet jesli odrzucisz zwierzeta - myszy i ptaki - to co z nim samym? Jest otepialy... to chyba najlepsze

okreslenie. Podsumowuje wszystko. Pamietasz dzien, gdy puszczalesc latawiec? Pamietasz, jaki byl wtedy Gage? Tryskajacy energia, pelen zycia, reagowal na wszystko wokol. Czy nie lepiej takiego zapamietac? Chcesz wskrzesc zombi rodem z filmow grozy klasy B? Albo moze cos tak zwyczajnego jak niedorozwiniete dziecko? Chlopczyka, ktory je palcami i patrzy tepo w obrazki na ekranie telewizora, ktory nigdy nie nauczy sie nawet podpisowac? Co mowil Jud o swoim psie? "Zupelnie jakbym myl kawal miesa". Tego wlasnie chcesz? Kawalka miesa? A nawet jesli sie tym zadowolisz, jak wyjasnisz powrot syna z martwych zonie, corce, Steve'owi Mastertonowi, swiatu? Co sie stanie, gdy Missy Dandridge pierwszy raz skreci na podjazd i ujrzy Gage'a jezdzonego po podworku na rowerze? Slyszyz jej krzyki, Louis? Widzisz, jak ryje paznokciami twarz? Co powiesz dziennikarzom? Co powiesz, kiedy ekipa z programu "Prawdziwi ludzie" zjawi sie na twym progu, by nakrecic zmartwychwstale dziecko?

Czy wszystko to mialo jakiegokolwiek znaczenie, czy tez bylo jedynie glosem jego tchorzostwa? Czy wierzył, że nie da sobie z tym rady? Że Rachel może powitać swego martwego syna inaczej niż łzami radości?

Owszem, przypuszczał, iż istnieje duże prawdopodobieństwo, że Gage mógłby wrócić... co... pomniejszony. Ale czy to zmieniłoby jego miłość? Rodzice kochają dzieci, które chorują na wodogłowie, zespół Downa, autyzm. Kochają dzieci od urodzenia niewidome, bliźnięta syjamskie, dzieci przychodzące na świat z beznadziejnie splatanymi wnetrznosciami. Rodzice błagają sady i władze o łaskę dla dzieci, które wyrosły na gwałcicieli i morderców, które torturują niewinnych.

Czy naprawdę wierzył, że nie zdoła nadal kochać Gage'a, nawet jeśli ten do osiemego roku życia będzie nosił pieluchy, do dwunastego nie opanuje elementarza, a może nawet wcale go nie opanuje? Miałby porzucić swego syna? Uznać go za przypadek boskiej aborcji, skoro istniało inne wyjście?

Ale, Louis, mój Boże, nie żyjesz przecież w próżni! Ludzie powiedzą...

Z gniewem odrzucił od siebie te myśli. Ze wszystkich rzeczy, których nie powinien teraz rozważać, najmniej ważną była chyba opinia ludzka.

Louis zerknął na zagrąbioną ziemię grobu Gage'a i poczuł nagle fale grozy. Nieswiadomie, poruszając się niezależnie od woli, jego palce nakreśliły na ziemi wzór - serie koncentrycznych kół. Narysował spirale.

Obiema dłońmi zatarł rysunek, a potem pośpiesznie opuścił Pleasantview, czując się jak intruz i wierząc, że w każdej chwili może zostać dostrzeżony, zatrzymany i przesłuchany.

Spożił się po odbiorze pizzy i choć czekała na niego na piecu, zdążyła już niemal całkiem wystygnąć i przesiaknąć tłuszczem. Smakowała mniej więcej jak gotowana glina. Louis zjadł jeden kawałek, a potem, w drodze powrotnej do Ludlow, wyrzucił resztę przez okno

samochoду wraz z pudełkiem. Zazwyczaj nie lubił śmieć, nie chciał jednak, by Rachel ujrzała w koszu niezjedzona pizze. Mogłaby wówczas uznać, że to nie posiłek sprowadził go tego wieczoru do Bangor.

Teraz Louis zaczął myśleć o czasie i warunkach.

Czas. Czas mógł mieć ogromne, wręcz kluczowe znaczenie. Timmy Baterman nie żył już dość długo, nim ojciec zdołał zanieść jego ciało na cmentarzysko Micmaców. Timmy został zastrzelony piętnastego... Pogrzebano go, nie dajmy głowy, ale chyba dwudziestego drugiego lipca. Cztery czy pięć dni później Marjorie Washburn... ujrzała Timmy'ego idącego drogą.

W porządku. Powiedzmy, że Bill Baterman zrobił to cztery dni po pierwszym pogrzebie syna... Nie. Jeśli miał popełnić błąd, to lepiej zachować nadmierną ostrożność. Powiedzmy, trzy dni. Przyjmijmy, że Timmy Baterman powstał z martwych dwudziestego piątego lipca. To oznaczało dziesięć dni pomiędzy śmiercią chłopca a jego powrotem. I to wedle bardzo ostrożnych szacunków. Równie dobrze mogło minąć nawet dwanaście dni. Dla Gage'a na razie upłynęły cztery. Stracił już nieco czasu. Jednak wciąż mógł wyprzedzić o połowę Billa Batermana. Jeśli...

Jeśli zdoła osiągnąć warunki podobne do tych, które umożliwiły wskrzeszenie Churcha. Bo Church zginął przecież w najlepszym możliwym momencie, nieprawdaz? Kiedy Church wpadł pod ciężarówkę, jego rodzina była w Chicago. Nikt o niczym nie wiedział. Poza nim samym i Judem.

Jego rodzina była w Chicago.

W umyśle Louisa ostatni kawałek układanki z cichym szczeikiem zaskoczył na miejsce.

-Chcesz, żebyśmy coś zrobili? - spytała Rachel, patrząc na niego ze zdumieniem.

Była za kwadrans dziesiąta. Ellie poszła już do łóżka. Rachel, sprzątnawszy pozostałości stypy (słowo to kryło w sobie wewnętrzną sprzeczność, połączenie smutku i zabawy, lecz nie istniało inne określenie na to, co robili owego popołudnia), zapiła jeszcze jedno valium i od jego powrotu z Bangor sprawiała wrażenie oszołomionej i wyciszonej... ale to do niej dotarło.

-Żebyś wróciła do Chicago z matką i ojcem - powtórzył cierpliwie Louis. - Odlatują jutro. Jeśli natychmiast zadzwonisz do nich i do Delty, może zdołasz dostać bilety na ten sam samolot.

-Louis, oszalałeś? Po twojej boju z ojcem...

Louis odkrył, że przemawia szybko, zrecznie i gładko, co było u niego zupełnie niezwykle. Poczł tanie podniecenie, jak zawodnik, który nagle chwycił piłkę i zdołał przebiec aż za linię

koncowa, przemykajac sie pomiedzy stoperami druzyny przeciwnej z latwoscia, trafiajaca sie raz w zyciu. Nigdy nie umial dobrze klamac i nie zaplanowal szczegolowo tej rozmowy. Teraz jednak z jego ust wylewal sie gladki strumien prawdopodobnych klamstewek, polprawd i przekonujacych argumentow.

-Nasza bojka to jeden z powodow, dla ktorych chce, abyscie z nimi pojechaly. Czas, abysmy zaleczyli te rane, Rachel. Wiedzialem to... czulem... wtedy w sali pogrzebowej. Kiedy zaczela sie bojka, probowalem sie pogodzic.

-Ale ten wyjazd... Nie sadze, zeby byl to dobry pomysl, Louis. Potrzebujemy ciebie, a ty potrzebujesz nas. - Z powatpiowaniem zmierzyla go wzrokiem. - Przynajmniej taka mam nadzieje. Zadne z nas nie ma dosc sil, by...

-Nie ma dosc sil, by tu zostac - powiedzial z naciskiem Louis. Mial wrazenie, jakby ogarniala go goraczka. - Ciesze sie, ze mnie potrzebujesz. Ja takze potrzebuje ciebie i Ellie. Ale w tej chwili ten dom to dla ciebie najgorsze miejsce na swiecie. Gage jest tu wszedzie, w kazdym kacie. Dla ciebie i dla mnie jest to dosc okropne, ale mysle, ze jeszcze gorzej znosi to Ellie.

Dostrzegl w jej oczach blysk bolu i zrozumial, ze do niej dotarl. Czesc jego umyslu czula wstyd z powodu tego taniego zwyciestwa. We wszystkich podrecznikach traktujacych o smierci pisano, ze pierwszy impuls nakazuje pograzonym w zalobie czlonkom rodziny wyjechac z miejsca, w ktorym sie to stalo... i ze poddanie sie temu impulsowi moze byc najgorszym mozliwym rozwiazaniem, bo pozwala na watplivy luksus niepogodzenia sie z nowa rzeczywistoscia. Ksiazki twierdzily, ze najlepiej jest zostac na miejscu, zwalczac bol na jego terenie, poki w koncu nie zamieni sie we wspomnienia. Lecz Louis nie odwazylyby sie przeprowadzic swego doswiadczenia w obecności rodziny. Musial sie ich pozbyc. Przynajmniej na jakis czas.

-Wiem - powiedziala. - Tylko ze to... po prostu dopada cie w kazdej chwili. Kiedy byles w Bangor, przesunelam kanape - sadzilam, ze jesli poodkurzam, przestane myslec... o roznych rzeczach - i znalazlam pod nia cztery matchboxy Gage'a... jakby czekaly tam na jego powrot... zeby, no wiesz, pobawil sie nimi. - Jej glos, juz i tak drzacy, teraz sie zalamal. Po policzkach poplynely lzy. - I wtedy zazylam drugie valium, bo znow zaczelam plakac, tak jak teraz. Coz to za tani pieprzony melodramat... Przytul mnie, Lou. Przytul.

Przytulil ja zatem, i to mocno. Czul sie jednak jak intruz. Jego umysl szukal sposobow, jak wykorzystac jej lzy dla siebie. Mily z ciebie facet, nie ma co. "Hey-ho, let's go".

-Ile to bedzie trwalo? Czy kiedykolwiek sie skonczy? Gdybysmy tylko mogli odzyskac go z powrotem, Louis. Przysiegam, ze lepiej bym go pilnowala. Nigdy by do tego nie doszlo. A fakt, ze kierowca jechal za szybko, nie zwalnia mnie - nas - od odpowiedzialnosci. Nie wiedzialam, ze istnieje taki bol, taka jest prawda, wciaz przychodzi i przychodzi, i tak bardzo boli, Louis, nie mozna od niego odpoczac, nawet kiedy spisz, bo gdy zasypiam, snie o tym raz po raz, widze, jak biegnie w strone drogi...

i krzycze na niego...

-Ciiii - szepnal. - Ciiii, Rachel. Uniosla ku niemu opuchnieta twarz.

-Nie byl nawet niegrzeczny, Louis. Traktowal to jak zabawe... ciezarowka zjawila sie w najgorszym momencie... a Missy Dandridge zadzwonila, kiedy wciaz jeszcze plakalam i powiedziala, ze przeczytala w "American" z Ellsworth, ze kierowca probowal sie zabic.

-Co?

-Probował powiesic sie w garazu. Jest w szoku i glebokiej depresji, tak przynajmniej pisali w gazecie...

-Cholerna szkoda, ze mu sie nie udalo! - rzucil wsciekle Louis, lecz w jego wlasnych uszach glos zabrzmial odlegle. Poczul nagly dreszcz. To miejsce ma moc, Louis... kiedys osiagnela swa pelnie i boje sie, ze pelnia znow nadchodzi. - Moj syn nie zyje, a on wyszedl za kaucja tysiacą dolarow i bedzie mial depresje i sklonnosci samobojcze, poki jakis sedzia nie odbierze mu prawa jazdy na dziewiecdziesiat dni i nie ukarze smieszna grzywna.

-Missy mowi, ze jego zona zabrala dzieci i odeszla - powiedziala tepo Rachel. - Nie przeczytala tego w gazecie, lecz uslyszala od kogos, kto zna kogos w Ellsworth. Nie byl pijany. Nie zazywal narkotykow. Nigdy wczesniej nie przekraczal predkosci. Mowil, ze kiedy dotarl do Ludlow, cos kazalo mu nacisnac gaz do dechy. Twierdzi, ze nie wie dlaczego. I tak to sie kreci.

Cos kazalo mu nacisnac gaz do dechy. To miejsce ma moc...

Louis odrzucil od siebie te mysli. Lagodnie scisnal reke zony.

-Zadzwon do matki i ojca. Zrob to teraz. Nie ma potrzeby, byscie spedzily z Ellie w tym domu jeszcze jeden dzien. Ani jednego dnia wiecej.

-Nie bez ciebie - odparta. - Louis, chce... zalezy mi, zebysmy byli razem.

-Pojade za wami za trzy, najwyzej cztery dni. - Jesli wszystko pojdzie dobrze, za czterdziesti osiem godzin Rachel i Ellie wroca. - Musze znalezc kogos, kto zastapi mnie na uczelni, przynajmniej na jakis czas. Mam jeszcze zwolnienie, a wktotce zaczynaja sie wakacje, ale nie chce zostawic Surrendry samego. Jud moze pilnowac domu podczas naszej nieobecności, lecz chcialbym odciac prad i przechowac nasze zapasy gdzieś w zamrazarce. Moze u Dandridge'ow.

-Szkoła Ellie...

-Do diabla z nia. Za trzy tygodnie i tak sie konczy. Biorac pod uwage okolicznosci, mysle, ze zrozumieja i pozwola jej skonczyc wczesniej. Wszystko sie ulozy...

-Louis? Urwal. - Co?

-Co ty ukrywasz?

-Ukrywam? - Spojrzal na nia otwarcie, szczerze. - Nie wiem, o czym mowisz.

-Naprawde?

-Nie, nie wiem.

-Niewazne. Zaraz do nich zadzwonie... jesli naprawde tego chcesz.

-Tak - odparl i slowo to zadzwieczalo stalowym echem w jego umysle.

-Moze tak bedzie najlepiej... dla Ellie. - Popatrzyla na niego zaczerwienionymi od placzu oczami, wciaz jeszcze lekko zamglonymi po valium. - Wygladasz, jakbys mial goraczke, Louis. Jakbys czym sie zarazil.

Zanim Louis zdazyl odpowiedziec, podeszla do telefonu i wykrecila numer motelu, w ktorym zatrzymali sie jej rodzice.

Goldmanow niezwykle uradowala propozycja Rachel. Przyjeli ja z pelnym entuzjazmem. Znacznie mniej zachwycila ich wiadomosc, iz Louis dolaczy do nich za trzy-cztery dni. Lecz oczywiscie w ostatecznym rozrachunku nie beda musieli sie tym przejmowac. Louis nie mial najmniejszego zamiaru leciec do Chicago. Przypuszczal, ze jesli cos moze przeszkodzic mu w jego zamiarach, to problem z tak poznym dokonaniem rezerwacji, ale tu takze dopisalo mu szczescie. Delta wciaz jeszcze miala bilety na lot z Bangor do Cincinnati. Szybkie pytanie ujawnilo dwie odwolane rezerwacje na samolot z Cincinnati do Chicago. Oznaczalo to, iz Rachel i Ellie beda mogly podrozowac z Goldmanami tylko do Cincinnati; do Chicago dotra w niecala godzine po nich.

Zupelnie jak czary, pomyslal Louis, odwieszajac sluchawke, i glos Juda w jego glowie odpowiedzial natychmiast: Kiedys osiagnela swa pelnie i boje sie...

Och, spierdalaj - odpowiedzial brutalnie, zwracajac sie do glosu Juda. W ciagu ostatnich dziesieciu miesiecy nauczylem sie akceptowac wiele dziwnych rzeczy, moj poczciwy, stary przyjacielu - gdybys powiedzial mi kiedys chocby polowe z nich, moj umysl chyba zalamalby sie pod ciezarem, ale czy mam uwierzyc, ze nawiedzony skrawek ziemi potrafi wplywac na rezerwacje biletow lotniczych? Nie sadze.

-Musze sie spakowac - oznajmila Rachel. Popatrzyla na informacje o lotach, ktore Louis zanotowal na kartce obok telefonu.

-Wez tylko jedna duza walizke - powiedzial. Spojrzala na niego zaskoczona, szeroko otwierajac oczy.

-Dla nas obu? Louis, zartujesz?

-W porzadku, zabierz jeszcze do tego dwie torby, ale nie mecz sie pakowaniem kompletnych strojow na nastepne trzy tygodnie - rzekl, myslac: Zwlaszcza ze niedlugo mozesz wrocic do Ludlow. - Wez tyle, zeby starczylo na tydzien, gora dziesiec dni. Masz ksiazeczke czekowa i karty kredytowe. Kup wszystko, czego bedziecie potrzebowaly.

-Ale nie stac nas na... - zaczela powatpiewajaco. Teraz watpila we wszystko. Ustepliwa, latwo poddawala sie sugestiom. Przypomnial sobie jej chlodna, oderwana uwage o winnebago, ktorego kiedys mgliscie planowal kupic.

-Mamy pieniadze - ucial.

-No coz, przypuszczam, ze w razie potrzeby mozemy wykorzystac fundusz Gage'a na studia, choc trzeba kilku dni, by zamknac rachunek, a potem tygodnia, zeby zrealizowac czek.

Jej twarz znow zaczela krzywic sie i rozplywac, Louis objal zone. Ona ma racje; to caly czas boli, nigdy nie ustepuje.

-Rachel, przestan - szepnal. - Nie placz. Ale oczywiscie zaplakala - musiala.

Kiedy byla na gorze i pakowala rzeczy, zadzwonil telefon. Louis rzucil sie ku niemu, myslac, ze to pewnie ktos z biura Delty z wiadomoscia, ze popelniono blad i nie da sie zalatwic rezerwacji. Powinienem byt wiedziec, ze wszystko idzie zbyt latwo.

Ale to nie bylo biuro Delty, tylko Irwin Goldman.

-Zaraz zawolam Rachel - oznajmil Louis.

-Nie. - Dluga chwile w sluchawce panowala cisza. Pewnie siedzi tam i probuje zdecydowac, jakimi wyzwiskami obrzucic mnie najpierw.

Gdy Goldman znow sie odezwal, w jego glosie brzmialo napiecie. Wygladalo to, jakby wyrzucal z siebie slowa, zmagajac sie z poteznym oporem wewnetrznym.

-To z toba chce porozmawiac. Dory chciala, zebym zadzwonil i przeprosil za moje... za moje zachowanie. Chyba... Louis, chyba ja tez chce ciebie przeprosic.

Alez Irwin! Jakiez to mile z twojej strony! Moj Boze, z wrazenia zsikalem sie w gacie!

-Nie musisz przepaszac - odparl Louis. Jego glos brzmial sucho i mechanicznie.

-To, co zrobilem, bylo niewybaczalne - oznajmil Goldman. Teraz nie wyrzucal z siebie slow, raczej je wypluwal. - Twoja propozycja, by Rachel i Ellie przyjechaly do nas, sprawila, ze ujrzalem, jak bardzo jestes wielkoduszny... a ja maly.

W tych słowach kryło się coś znajomego, coś niezwykle znajomego...

I wtedy Louis zrozumiał; jego usta ściagnęły się w nagłym grymasie, jakby ugryzł właśnie świeżą soczystą cytrynę. Rachel zwykle mawiała pokornie - całkowicie odruchowo i nieswiadomie, tego był pewien - "Louis, przepraszam, że byłam taka suka", po tym, jak jej suczy zachowanie załatwiała już coś, czego naprawdę pragnęła. Oto ten sam głos, pozbawiony wesołości i energii Rachel, lecz mimo wszystko ten sam, mówiący: "Przykro mi, że byłem takim sukinsynem, Louis".

Stary człowiek odzyskiwał córkę i wnuczkę. Uciekały z Maine do domu, do taty. Dzięki Delcie i United wracały tam, gdzie ich miejsce, tam gdzie chciał je widzieć Irwin Goldman. Teraz mógł sobie pozwolić na wielkoduszność. Z punktu widzenia starego Irwina, zwyciężył. Zapomnijmy więc, że cie uderzyłem nad ciałem twojego martwego syna, Louis, i że kopnałem cie, kiedy lezałaś na ziemi, i że zrzuciłem trumnę z kózłów tak, że otworzyła się, byś mógł zobaczyć - albo przynajmniej tak ci się zdawało - po raz ostatni reke swojego dziecka. Zapomnijmy o tym wszystkim. Przeszłość to przeszłość.

Może to zabrzmie strasznie, Irwin, ty stary przyku, ale życzylbym ci, żebyś w tej sekundzie padł trupem, gdyby nie przeszkodziło mi to w moich planach.

-Juz w porządku, panie Goldman - rzekł spokojnie. - To był... coś, pełen emocji dzień dla nas wszystkich.

-To nie było w porządku - upierał się Goldman i Louis pojął - choć wcale tego nie pragnął - że tamten nie zachowuje się dyplomatycznie, nie tylko mówi, że przeprasza za to, iż był takim sukinsynem, teraz kiedy wreszcie wyszło na jego. Jego tesc prawie płakał i mówił z powolnym, drżącym napięciem. - To był dla nas wszystkich straszliwy dzień. Przez mnie. Przez głupiego, upartego starca. Zraniłem moją córkę, w chwili gdy najbardziej potrzebowała mojej pomocy... zraniłem też ciebie, a może i ty potrzebujesz mojej pomocy, Louis. Fakt, że to zrobiłeś... zachowałeś się w ten sposób... po tym, co zrobiłem... sprawia, że czuję się jak smieć, Louis. I chyba powinienem się tak czuć.

Boże, niech on przestanie, niech przestanie, zanim zacznę na niego krzyczeć i wszystko zrujnuje.

-Rachel pewnie ci wspominała, że mieliśmy jeszcze jedną córkę...

-Zelde - wtracił Louis. - Tak, mówiła mi o Zeldzie.

-To było trudne - rzekł Goldman roztrzesionym głosem. - Trudne dla nas wszystkich, lecz przede wszystkim chyba dla Rachel, bo Rachel była na miejscu, gdy Zelde umarła. Ale też trudne dla mnie i dla Dory. Dory o mało się nie zalamala...

A jak sądzisz, co się działo z Rachel? - chciał krzyknąć Louis. - Myślisz, że dziecko nie może mieć zalamania nerwowego? Minęło dwadzieścia lat, a ona wciąż podskakuje, gdy

chochy padnie na nią cien śmierci. A teraz to, ta straszna, koszmarna rzecz. To i tak cud, że nie znalazła się w pieprzonym szpitalu, karmiona przez rurkę. Więc nie opowiadaj mi, jakie to było trudne dla ciebie i twojej żony, draniu.

-Odkąd umarła Zelda, my... przypuszczam, że za dużo związałem się z Rachel... zawsze chcieliśmy ją osłaniać... i wynagrodzić jej to. Wynagrodzić problemy, jakie miała z plecami... jeszcze przez wiele lat... wynagrodzić za to, że nas tam nie było.

O tak, stary przykro naprawdę płakał. Czemu musiał się rozplakać? To utrudniało Louisowi podsycając płomień czystej, nieskalanej nienawiści. Utrudniało, lecz nie uniemożliwiało. Z rozmysłem przywołał w pamięci obraz Goldmana, sięgającego do kieszeni smokingu, po pekieta książeczki czekowa... nagle jednak z tyłu ujrzał Zelde Goldman, niespokojnego ducha w cuchnacym łóżku, z pobladłą, nieczystą twarzą, pełną złości i cierpienia, z dłońmi wykrzywionymi niczym szpony. Duch Goldmanów. Oz Wiejki i Wsaniały.

-Proszę - rzekł - proszę, panie Goldman, Irwin, już dosyć. Nie pogarszajmy i tak złej sytuacji, dobrze?

-Wierzę teraz, że jesteś dobrym człowiekiem i że źle cię osadzałem, Louis. Posłuchaj, wiem, co myślisz. Czy jestem aż tak głupi? Nie. Głupi, ale nie aż tak. Myślisz, że mówię to wszystko, bo teraz już mogę. Myślisz: "Ach tak, dostał to, czego pragnął. Kiedyś już próbował mnie kupić", ale... ale Louis, przysięgam...

-Dosyć - powiedział łagodnie Louis. - Nie mogę... naprawdę nie mogę znieść ani słowa więcej. - Teraz jego głos także drżał. - W porządku?

-Zgoda - odparł Goldman i westchnął. Louis uznał, że to westchnienie ulgi. - Ale pozwól mi powiedzieć raz jeszcze, że bardzo cię przepraszam. Nie musisz przyjmować moich przeprosin, ale dlatego właśnie zadzwoniłem. Przepraszam cię, Louis.

-Dobrze. - Louis zamknął oczy. Potwornie bolała go głowa. - Dziękuję ci, Irwin. Przyjmuje przeprosiny.

-To ja tobie dziękuję - odrzekł Goldman - i dziękuję za to, że pozwoliłeś im pojechać. Może tego właśnie potrzebują. Spotkamy się z nimi na lotnisku.

-Świetnie. - Nagle Louisowi przyszedł do głowy pewien pomysł. Był on szalony i w swym szalenstwie niezwykle pociągający. Zapomniał o przeszłości. Pozwolił Gage'owi leżeć spokojnie w grobie na cmentarzu Pleasantview. Zamiast próbować ponownie otworzyć zatrzasnięte drzwi, zamknął haczyk i zasuwał i wyrzucił klucz. Zrobił dokładnie to, co powiedział żonie - uporządkuje ich sprawy i złapie samolot do Chicago. Może nawet spędzi tam całe lato, on, żona i znowu wesół corka. Będzie chodzić do zoo, planetarium, pływać łódką po jeziorze. Zabierze Ellie na szczyt Sears Tower i pokaze jej Środkowy Zachód, rozciągający się wokół niczym wielka plansza do gry, uspioła, bogata.

A potem, kiedy nadejdzie połowa sierpnia, wróca do tego domu, obecnie tak smutnego i mrocznego, i może stanie się to dla nich nowym początkiem. Może na nowo rozpoczyna przysięgę swojego życia. To, co teraz tkwiło w ich warsztacie tkackim, było brudne, spryskane zeschniętą krwią.

Ale czy nie równałoby się to zamordowaniu jego syna? Zabiciu go po raz drugi?

Głos wewnątrz jego głowy próbował przekonać go, że to nieprawda, ale on nie chciał słuchać. Błyskawicznie go wyciszył.

-Irwin, muszę już iść. Chcę dopilnować, by Rachel zabrała wszystko, czego potrzebuje, a potem położyć ją do łóżka.

-W porządku. Do widzenia, Louis i...

Jeśli jeszcze raz powtórzy, że jest mu przykro, zacznę krzyczeć.

-Do widzenia, Irwin - odparł i odwiesił słuchawkę.

Gdy wszedł na górę, wszędzie wałowały się ubrania. Bluzki na łóżkach, staniki przewieszane przez oparcia krzeseł, spodnie na wieszakach zaczepionych o klamki. Pod oknem w karnym szeregu, niczym żołnierze, stały buty. Najwyraźniej pakowała się wolno, lecz fachowo. Louis widział, że będzie potrzebowała co najmniej trzech, może czterech walizek, uznał jednak, że nie ma sensu się o to spierać. Zamiast tego postanowił jej pomóc.

-Louis - powiedziała, gdy zamykali ostatnią walizkę (musiał ją przysiąść, nim Rachel zdołała zatrzasnąć zamki) - jesteś pewien, że nie masz mi nic do powiedzenia?

-Na miłość boską, kochanie, o co ci chodzi?

-Nie wiem o co - odparła spokojnie. - Dlatego pytam.

-Myślisz, że co zrobisz? Wymkniesz się do burdelu, dołączysz do cyrku, co jeszcze?

-Nie wiem, ale to wszystko wygląda dziwnie. Mam wrażenie, jakbys próbował się nas pozbyć.

-Rachel, to śmieszne. - Wypowiedział to słowo z gwałtownością, częściowo zrodzona z bezradności. Nawet w tak trudnych okolicznościach poczuł zawód, iż tak łatwo go przejrzała.

Rachel uśmiechnęła się słabo.

-Nigdy nie byłeś dobrym kłamcą, Lou.

Znow zaczął protestować, ona jednak uciszyła go.

-Ellie snilo sie, ze umarles - powiedziala. - Zeszlej nocy. Obudzila sie z placzem, a ja poszlam do niej. Spalam z nia dwie, trzy godziny, potem wrocilam do ciebie. Mowila, ze w jej snie siedziales przy kuchennym stole i miales otwarte oczy, ale wiedziala, ze nie zyjesz. Mowila, ze slyszala wozy strazackie i czula won spaleniizny, i powiedziala, ze slyszala tez krzyk Steve'a Mastertona.

Louis spojrzal na nia wstrzasniety.

-Rachel - rzekl w koncu - jej brat dopiero co umarl. To zupełnie normalne, ze sni jej sie, iz inni czlonkowie rodziny...

-Owszem, sama tak sadzilam, ale sposob, w jaki to opowiadala... wszystkie te szczegoly... mialam wrazenie, jakbym slyszala prorocstwo. - Zasmiala sie slabo. - A moze trzeba bylo tam byc.

-Możliwe - odparl Louis.

Mimo ze przemawial rozsadnie, czul, jak na jego cielem wystepuje gesia skorka.

Mial wrazenie, ze zjezyly mu sie wlosy. Mialam wrazenie, jakbym slyszala prorocstwo.

-Chodz ze mna do lozka - poprosila Rachel. - Valium przestalo juz dzialac i nie chce zazywac wiecej, ale boje sie. Sama takze mialam zle sny...

-Sny? O czym?

-O Zeldzie - odparla z prostota. - Ostatnich kilka nocy od dnia smierci Gage'a, kiedy zasypiam, jest tam Zelda. Mowi, ze przyjdzie po mnie i tym razem mnie dostanie. Ze dostana mnie, ona i Gage, za to, iz pozwolilam im umrzec.

-Rachel, to...

-Wiem. Tylko sen. Zupelnie normalny. Ale chodz ze mna do lozka i powstrzymaj go, jesli zdolasz.

Lezeli razem w ciemnosci.

-Rachel, nie spisz? - Nie.

-Chcialbym cie o cos spytac.

-Mow.

Zawahal sie, nie chcac sprawiac jej wiecej bolu, ale musial to wiedziec.

-Pamietasz, jak nas przerazil, kiedy mial dziewiec miesiecy? - rzekl w koncu.

-Tak. Tak, oczywiście. A czemu?

Do czasu gdy Gage skończył dziewięć miesięcy, Louis zaczął bardzo niepokoić się rozmiarami czaszki syna. Znacznie wykraczały one poza wykres Berteriera, ukazujący normalny zakres rozmiarów głów niemowląt w każdym miesiącu życia. W wieku czterech miesięcy rozmiar czaszki Gage'a zaczął zbliżać się do najwyższego punktu krzywej, a potem wzniósł się jeszcze wyżej. Maluch nie miał problemów z podnoszeniem głowy - to stanowiłoby nieomylny znak - lecz Louis i tak zabrał go do George'a Tardiffa, zapewne najlepszego neurologa na Środkowym Zachodzie. Rachel chciała wiedzieć, co się dzieje, i Louis powiedział jej prawdę: obawiał się, że Gage może mieć wodogłowię. Twarz Rachel smiertelnie pobladła, lecz ona sama zachowała spokój.

-Mnie wydaje się normalny - rzekła. Louis przytaknął.

-Mnie także, ale nie mogę tego zignorować, kochanie.

-Nie, nie wolno ci - przytaknęła. - Nie wolno nam.

Tardiff zmierzył czaszkę Gage'a i zmarszczył brwi. Następnie dzgnął dwoma palcami ku jego twarzy, w stylu Trzech Ofert z telewizji. Gage wzdrygnął się. Tardiff się uśmiechnął. Serce Louisa znów zaczęło bić. Tardiff dał Gage'owi do potrzymania piłkę. Chłopiec trzymał ją jakiś czas, a potem upuścił. Tardiff podniósł piłkę i odbił ją od podłogi, obserwując oczy dziecka, które podążyły za piłką.

-Powiedziałbym, iż istnieje pięćdziesięcioprocentowa szansa, że ma wodogłowię - oznajmił nieco później Tardiff w swoim gabinecie. - Może nawet trochę mniejsze. Jeśli nawet, to łagodny przypadek. Wydaje się bardzo czujny. Nowy zabieg drenazu powinien z łatwością rozwiązać ten problem... jeśli w ogóle jakiś problem istnieje.

-To oznacza operację mózgu - wtracił Louis - Drobną operację mózgu.

Louis przestudiował szczegóły tego procesu wkrótce po tym, gdy zaczął martwić się rozmiarami czaszki Gage. Drenaz, czyli odsaczenie nadmiaru płynu z głowy pacjenta, wcale nie wydał mu się drobną operacją. Nic jednak nie mówił, upominając się w duchu, by być wdzięcznym, że operacja taka w ogóle istnieje.

-Oczywiście - ciągnął dalej Tardiff - jest duże prawdopodobieństwo, że twój dzieciak ma jedynie naprawdę dużą głowę jak na dziewięciomiesięczne niemowlę.

Mysle, że najlepiej rozpocząć od tomografii. Zgadzasz się?

Louis się zgodził.

Gage spędził noc w szpitalu Siostr Miłosierdzia. Został poddany ogólnemu znieczuleniu i kiedy spał, wetknięto mu głowę w urządzenie przypominające ogromną suszarkę do

bielizny. Rachel i Louis czekali na dole; Ellie spędzała ten dzień u babci i dziadka, oglądając non stop z nowego magnetowidu dziadka "Ulice Sezamkowa". Dla Louisa były to długie, szare godziny, podczas których podsumowywał w myślach listy najrozniejszych możliwych komplikacji i porównywał wyniki. Śmierć w wyniku znieczulenia, śmierć podczas operacji drenazu, łagodne upośledzenie w wyniku wodogłowia, poważne upośledzenie z tego samego powodu. Padaczka, ślepotą... istniało tak wiele możliwości. Po dokładny spis katastrof, pomyślał wtedy, proszę zgłosić się do miejscowego lekarza.

Tardiff zjawił się w poczekalni około piątej. W ręku trzymał trzy cygara. Jedno z nich wetknął Louisowi w zęby, drugie wsunął w usta Rachel (zbyt oszłamionej, by zaprotestować), a trzecie we własne.

-Mały jest zdrow. Ani śladu wodogłowia.

-Proszę o ogień - rzuciła Rachel, płacząc i śmiejąc się jednocześnie. - Będzie palić, poki nie wymiotuje.

Tardiff z uśmiechem zapalił ich cygara. Bog zachował go dla trasy numer 15, doktorze Tardiff, pomyślał teraz Louis.

-Rachel, gdyby to było wodogłowie i gdyby drenaz nie zadziałał... czy nadal mogłabys go kochać?

-Co za dziwaczne pytanie, Louis.

-Mogłabys?

-Tak. Oczywiście, kochałabym Gage'a niezależnie od wszystkiego.

-Nawet gdyby był upośledzony? - Tak.

-Chciałabys oddać go do ośrodka?

-Raczej nie - odparła powoli. - Przypuszczam, że przy pieniądzach, jakie teraz zarabiasz, stac by nas było na... naprawdę dobre miejsce, ale... ale gdyby się dało, wolalabym, żeby był z nami. Louis, czemu o to pytasz?

-Chyba wciąż jeszcze myślałem o twojej siostrze Zeldzie - rzekł. Ciągłe zaskakiwała go gładkość, z jaką wymawiał kolejne kłamstwo. - Zastanawiałem się, czy zdolalabys raz jeszcze przez to przejść.

-To absolutnie nie byłoby to samo - odparła. W jej głosie dzwiczło niemal rozbawienie. - Gage był... no coż, był Gage'em, naszym synem. To wszystko zmienia. Pewnie byłoby ciężko, ale... czy ty chciałbys oddać go do zakładu, do miejsca takiego jak Pineland?

-Nie.

-Spijmy już.

-To dobry pomysł.

-Mam wrażenie, że teraz zdołam zasnąć - rzekła. - Chcę zostawić za sobą ten dzień.

-Amen - zgodził się Louis. O wiele później rzekła sennie:

-Masz rację, Louis... tylko sny i zjawy...

-Jasne - odparł i pocałował ją w ucho. - Spij już. Miałam wrażenie, jakbym słyszała proroctwo.

Długi czas nie mogli zasnąć i zanim to zrobił, zakrzywiona kość umierającego, majowego księcia spojrzała na niego przez okno.

43.

Następny dzień był pochmurny, lecz bardzo ciepły i nim Louis zdążył oddać bagaż Ellie i Rachel i wyciągnąć ich bilet z komputera, mocno się spocił. W duchu myślał, że fakt, iż może się czegoś zająć, sam w sobie stanowi błogosławieństwo. Czuł jedynie lekki ból, gdy przypominał sobie, jak ostatnio odprowadzał rodzinę na samolot do Chicago w Święto Dzięczynienia. To był pierwszy i ostatni lot Gage'a. Ellie wydawała się daleka i nieco nieswoja. Kilka razy tego ranka Louis unosił wzrok i ujrzał na jej twarzy osobliwie pytający wyraz.

To tylko kompleks spiskowca, chłopie, upomniał się w duchu.

Kiedy powiedział jej, że leca do Chicago, najpierw tylko ona z mamusią, i może spędza tam całe lato, nie odezwała się ani słowem. Jadła dalej swe śniadanie (płatki kakaowe). Po śniadaniu w milczeniu poszła na górę i włożyła sukienkę i buty przygotowane przez Rachel. Zabrała ze sobą na lotnisko zdjęcie, na którym ciągnęła saneczki Gage'a, i spokojnie usiadła w jednym z plastikowych fotelików w poczekalni na dole, podczas gdy Louis stał w kolejce po bilety, a głośniki wypluwały z siebie informacje o kolejnych startach i lądowaniach.

Panstwo Goldmanowie zjawili się czterdzieści minut przed odlotem. Irwin Goldman był zabożczo elegancki (i mimo wysokiej temperatury najwyraźniej zupełnie niespocony) w kaszmirowym płaszczu. Podszedł do stanowiska Avisu, aby oddać klucze samochodu, podczas gdy Dory usiadła obok Rachel i Ellie.

Louis i Irwin Goldman dołączyli do swych najbliższych w tym samym momencie. Louis obawiał się, że może dojść do powtórki wczorajszej sceny "Mój-synu, mój-synu", ale

oszczędzono mu tego. Goldman zadowolil sie slabym usciskiem reki i cichym "czesc". Szybkie zaklopotane spojrzenie, jakie rzucil swemu zięciowi, potwierdzilo graniczące z pewnością podejrzenie, z jakim Louis obudzil sie tego ranka: wczoraj wieczorem tesc musial byc pijany.

Pojechali na gore ruchomymi schodami i usiedli w sali odpraw. Niewiele rozmawiali. Dory Goldman nerwowo przesuwala palcami po okladce nowej powiesci Eriki Jong, lecz nie otworzyła jej. Caly czas z lekkim niepokojem zerkala na trzymane przez Ellie zdjecie.

Louis spytal coreczke, czy chcialaby pojsc z nim do ksiegarni i wybrac sobie jakas lekture na droge.

Ellie znow patrzyla na niego dziwnie pytajaco. Louisowi nie podobalo sie to spojrzenie, drażnilo go.

-Bedziesz grzeczna u babci i dziadka? - spytal.

-Tak - odparla. - Tatusiu, czy zlapie mnie wozny? Andy Pasioca mowi, ze w szkole jest wozny, ktory lapie tych, co opuszczaja zajecia.

-Nie martw sie o woznego - rzekl. - Zalatwie wszystko w szkole. Na jesieni bez problemow bedziesz mogla zaczac nowa klase.

-Mam nadzieje, ze na jesieni wszystko bedzie dobrze - mruknela Ellie. - Nigdy wczesniej nie bylam w klasie, tylko w przedszkolu. Nie wiem, co dzieci robia w klasach. Pewnie zadania domowe.

-Wszystko sie ulozy.

-Tatusiu, czy nadal jestes wkurzony na dziadka? Spojrzal na nia ze zdumieniem.

-Na milosc boska, czemu sadzisz, ze bylem... ze nie lubilem twojego dziadka, Ellie?

Wzruszyla ramionami, jakby temat ten nieszczegolnie ja interesowal.

-Kiedy o nim mowisz, prawie zawsze wygladasz na wkurzonego.

-Ellie, to wulgarne slowo.

-Przepraszam.

I znow poslala mu to dziwne, niesamowite spojrzenie, po czym odeszla, by obejrzec regaly ksiazek dla dzieci - Mercera Meyera i Maurice'a Sendaka, Richarda Scary i Beatrix Potter oraz niesmiertelnego staruszka, Dr. Seussa. Jak dzieci znajduja te rzeczy? A moze po prostu wiedza? Ile wlasciwie wie Ellie? Jak to na nia wpływa? Ellie, co kryje sie za ta blada twarzyczka? Wkurzony na niego, Chryste.

-Moglabym dostac te, tatusiu? - Podala mu Dr.Seussa i ksiazke, ktorej Louis nie widzial na oczy od czasow swego dzieciinstwa - historie o malym, czarnym Sambo i o tym, jak pewnego pieknego dnia tygrysy ukradly mu ubranie.

Boze, sadzilem, ze wszyscy juz dawno zapomnieli o tej ksiazce, pomyslal z rozbawieniem Louis.

-Oczywiscie - odparl i odstali krotka kolejke do kasy. - Twój dziadek i ja bardzo sie lubimy - rzekl i znow wspomnial historyjke matki o tym, ze kiedy kobieta naprawde chce miec dziecko, po prostu je znajduje. Pamietal wlasne niemadre przyrzeczenia, zlozone samemu sobie, ze nigdy nie oklamie swoich dzieci. Przez ostatnich kilka dni stal sie calkiem obiecujacym klamca, ale wolal teraz o tym nie myslec.

-Aha - powiedziala i umilkla.

Cisza grala Louisowi na nerwach.

-Mylisz, ze dobrze sie bedziesz bawic w Chicago? - spytal, by przerwac milczenie.

-Nie.

-Nie? Czemu nie?

Uniosla glowe i spojrzala na niego. Jej oczy mialy niesamowity wyraz.

-Boje sie.

Polozyl dlon na jej glowie.

-Boisz sie, kochanie? Czego? Chyba nie samolotu, prawda?

-Nie - rzekla. - Nie wiem, czego sie boje. Tatusiu, snilo mi sie, ze bylismy na pogrzebie Gage'a i ten czlowiek kierujacy pogrzebem otworzyl trumne, a ona byla pusta. A potem snilo mi sie, ze wrocilam do domu i zajrzalam do lozeczka Gage'a. Ono takze bylo puste, ale lezalo w nim duzo ziemi.

Lazarzu, powstan!

I wtedy, po raz pierwszy od miesiacy, swiadomie przypomnial sobie sen, ktory nawiedzil go po smierci Pascowa - sen i przebudzenie oraz odkrycie, ze ma brudne nogi, a stopy lozka pokrywaja jodlowe szpilki i bloto.

Nagle uniosly mu sie wlosy na karku.

-To tylko sny - powiedzial do Ellie. Wydawalo mu sie, ze jego glos zabrzmial zupełnie normalnie. - Wkrotce mina.

-Chcialabym, zebys z nami polecial - odparla. - Albo zebysmy my zostaly tutaj.

Mozemy zostac, tatusiu? Prosze. Nie chce jechac do dziadka i babci. Chce wrocic do szkoly. Zgoda?

-To tylko kilka dni - powiedzial. - Mam... - przelknal sline - mam tu kilka spraw do zalatwienia, a potem dolacze do was. Razem ustalimy, co dalej.

Spodziewal sie dyskusji, moze nawet typowego dla Ellie ataku wscieklosci. Ucieszylyby go, jako cos znajomego, w odroznieniu od tego spojrzenia. Odpowiedziala mu jednak tylko niepokojaca cisza, ktora zdawala sie niezmiernie gleboka. Mogl spytac jeszcze o cos, ale odkryl, ze nie smie. I tak powiedziala mu wiecej, niz chcial uslyszec.

Wkrotce po tym, jak wrocili z Ellie na gore, wywolano ich lot. Cala czwórka wyjela karty pokladowe i ustawila sie w kolejce. Louis usciskal zone i ucalowal ja mocno. Rachel na moment przywarla do niego, a potem wypuscila, by mogl podniesc Ellie i cmoknac ja w policzek.

Ellie przygladala mu sie powaznie nieprzeniknionymi oczami.

-Masz takie zimne wargi - powiedziala. - Czemu, tatusiu?

-Nie wiem - odparl, bardziej niespokojny niz kiedykolwiek. Postawil ja pospiesznie. - Sprawuj sie dobrze, laleczko.

-Nie chce jechac - powtorzyla tak cicho, ze jedynie Louis uslyszal ja posrod krzataniny i harmidru glosow innych pasazerow. - I nie chce, zeby mamusia jechala.

-Daj spokoj, Ellie - rzekl Louis - wszystko bedzie dobrze.

-Ze mna owszem - odparla. - Ale co z toba? Tatusiu, co z toba?

Kolejka zaczela sie przesuwac. Ludzie przechodzili przez bramke do 727. Rachel pociagnela Ellie za reke i przez moment dziewczynka stawila opor, zatrzymujac kolejke. Wpatrywala sie w ojca i Louis przypomniał sobie jej poprzednia niecierpliwosc, krzyki: Chodźmy już, chodźmy-chodźmy-chodźmy!

-Tatusiu?

-Idź już, Ellie, prosze.

Rachel spojrzala na coreczke i po raz pierwszy dostrzegla jej mroczny, niezwykle wyraz twarzy.

-Ellie? - spytala zaskoczona i - jak wydalo sie Louisowi - nieco przestraszona. - Wszystkich zatrzymujesz, zlotko.

Wargi Ellie zadrzaly i zbielaly. Pozwolila przeprowadzic sie przez bramke i jeszcze raz obejrzala sie na niego. Na jej twarzy ujrzal czyste przerazenie. Uniosl dlon z udawana wesoloscia.

Ellie nie pomachala mu w odpowiedzi.

44.

Gdy Louis opuscil budynek terminalu BIA, zdawalo sie, ze na umysl opadla mu lodowata zaslonka i rozumial, ze zamierza to zrobic. Jego mozg, dostatecznie bystry - dzieki niemu mogl pokonac kolejne etapy akademii medycznej, utrzymujac sie jedynie ze stypendium i z tego, co jego zona zdola zarobic, podajac klientom kawe i paczka od piatej do jedenastej rano szesc dni w tygodniu - rozwazyl problem i rozbil go na czesci skladowe, jakby chodzilo o kolejny egzamin - najwiekszy, do jakiego kiedykolwiek przystapil. I zamierzal zdac go na piec z plusem, sto procent punktow. Pojechal do Brewer, malego miasteczka po drugiej stronie rzeki Penobscot. Zaparkowal na ulicy naprzeciw sklepu z narzedziami Watsona.

-Slucham pana? - spytal sprzedawca.

-Poprosze duza latarke - odparl Louis. - Jedna z tych kwadratowych. I cos, czym moglbym ja oslonic.

Sprzedawca byl drobnym, szczuplym czlowieczkiem o wysokim czole i bystrych oczach.

Uśmiechnął się, ale uśmiech ten nie był specjalnie przyjemny.

-Wybierasz się pan na polowanie?

-Słucham?

-Zamierzasz pan oslepic i ustrzelic kilka saren?

-Ależ nie - odparł Louis bez uśmiechu. - Nie mam pozwolenia.

Sprzedawca zamrugnął, po czym postanowił odpowiedzieć śmiechem.

-Innymi słowy, mam pilnować własnych spraw. Posłuchaj pan, nie da się osłonić tak dużej latarki, ale możesz pan wziąć kawałek filcu i wyciąć w środku dziurę, będzie świeciła jak kieszonkowa.

-Brzmi niezłe - powiedział Louis. - Dziękuję.

-Ależ proszę. Coś jeszcze?

-O tak - odparł Louis. - Potrzebny mi kilof, szpadel i łopata. Krótki szpadel, długa łopata. Kawałek mocnej liny, dwa metry długości, para roboczych rękawic, kawałek brezentu, dwa na dwa metry.

-Mamy to wszystko - powiedział sprzedawca.

-Muszę wykopać szambo - wyjaśnił Louis. - Wygląda na to, że umieściliśmy je niezgodnie z przepisami sanitarnymi, a moi sąsiedzi są bardzo wścibscy. Nie wiem, czy osłonięcie światła coś da, ale uznałem, że nie zaszkodzi spróbować. Mogą mi wlepić wysoka grzywnę.

-Oho - mruknął sprzedawca. - Lepiej niech pan jeszcze kupi klamerkę do bielizny i zatka sobie nos.

Louis zaśmiał się obowiązkowo. Jego zakupy kosztowały w sumie pięćdziesiąt osiem dolarów i sześćdziesiąt centów. Zapłacił gotówką.

Honda miała oszklony tył i Louis obawiał się powrotu do Ludlow z kilofem, szpadłem i łopatą. Jud Crandall miał bystre oczy. Jego umysł też pracował bardzo sprawnie. Natychmiast polapałby się, co się dzieje.

Nagle przyszło mu do głowy, że przecież nie ma w ogóle powodu wracać do Ludlow. Ponownie pokonał most Chamberlaina i znalazł się w Bangor, gdzie zameldował się w motelu Howarda Johnsona na Odlin Road. Znowu blisko lotniska, znowu blisko cmentarza Pleasantview, gdzie pochowano jego syna. W recepcji podał nazwisko Dee Dee Ramone i zapłacił za pokój gotówką.

Próbował się zdrzemnąć, uznawszy rozsądnie, że dobrze byłoby wypocząć przed jutrzejszym rankiem. By zacytować starą, wiktoriańską powieść, tej nocy czekała go szalona praca - dość pracy, by starczyło jej na całe życie.

Lecz jego mózg po prostu nie chciał się wyłączyć.

Leżał na anonimowym hotelowym łóżku, pod banalnym hotelowym obrazkiem przedstawiającym malownicze łódzie w doku obok malowniczego wybrzeża, w malowniczym porcie w Nowej Anglii. Zdjął tylko buty. Portfel, monety i klucze leżały obok na nocnym stoliku. Rece splótł za głowę. Nadal nie opuszczało go uczucie chłodu. Czuł się całkowicie oderwany od swej rodziny, od miejsc, które stały się tak znajome, nawet od pracy. To mógł być jakikolwiek motel HoJo na świecie - w San Diego, Duluth, Bangkoku, Charlotte Amalie. Znajdował się nigdzie. Od czasu do czasu uderzała go zdumiewająca myśl: zanim znów ujrzy znajome miejsca i twarze, zobaczy swojego syna.

W myślach wciąż powtarzał kolejne etapy planu, przyglądał się im ze wszystkich stron, badał je, szperał w poszukiwaniu słabych punktów. Miał wrażenie, iż wędruje po wąskiej kładce ponad otchłania szalenstwa. Otaczał go obłęd, trzepocząc cicho skrzydłami sowy, nocnego łowcy o wielkich, złotych oczach: zmierzał wprost ku szalenstwu.

W jego głowie zadzwieczał sennym echem głos Toma Rusha: "Śmierci, masz lepsze rece... wciąż jeszcze czuje je... przyszłaś po moją matkę... czy wezmiesz także mnie?".

Obłęd. Obłęd wszędzie wokół, tak blisko. Polował na niego.

Louis wędrował po kładce rozumu, przyglądał się swoim planom.

Tej nocy około jedenastej rozkopie grób syna, użyje sznura, by podnieść wieko grobu, wyjmie ciało z trumny, w której dotąd spoczywało, zawinie Gage'a w odcięty kawałek brezentu i schowa go do bagażnika Hondy. Następnie włoży trumnę na miejsce i zasypie grób. Pojedzie do Ludlow, wyjmie ciało Gage'a z bagażnika... i wybierze się na przechadzkę. O tak, wybierze się na przechadzkę.

Jeśli Gage powróci, ścieżka rozumu może pojsć w jednym z dwóch kierunków.

W pierwszym Louis ujrzał Gage'a powracającego jako Gage, może oszalonego, nieco powolnego, nawet niedorozwiniętego (tylko w najgłębszych zakamarkach umysłu Louis pozwalał sobie na słabą nadzieję, że Gage powróci taki, jaki był wcześniej - ale z pewnością to przecież możliwe, prawda?), lecz wciąż będzie jego synem, synem Rachel, bratem Ellie.

Na drugiej ścieżce ujrzał wynurzającego się z lasu za domem potwora. Uwierzył już w tak wiele, że jego umysł nie protestował przeciw samemu pomysłowi istnienia potworów, a nawet demonów, bezcielesnych złowrogich istot z innego świata, zdolnych opełtać ożywione ciało, z którego umknęła pierwotna dusza.

Tak czy inaczej beda sami z synem, a wtedy...

Postawie diagnoze.

Tak - to wlasnie robi. Postawi diagnoze nie tylko ciala, ale i ducha.

Uwzglednie mozliwy wstrzas po wypadku, ktory Gage moze pamietac lub nie. Pamietajac o Churchu, bede spodziewal sie niedorozwoju, moze lagodnego, moze powaznego. Na podstawie moich obserwacji z pierwszych dwudziestu czterech czy nawet siedemdziesieciu godzin osadze, czy da sie na nowo wprowadzic Gage'a do naszej rodziny. A jesli uposledzenie okaze sie zbyt wielkie - badz powroci jak Timmy Baterman, jako zla istota - zabije go.

W tym momencie odkryl, ze posunal sie jeszcze dalej owymi dwiema sciezkami.

Jako lekarz uwazal, ze z latwoscia zdola zabic Gage'a, jesli ten stanie sie tylko powloka, zawierajaca obca istote. Nie pozwoli oszolomic sie blaganiami i zlorzeczeniami. Zabije go, tak jak zabilby szczura przenoszacego dzume. Nie potrzeba tu zadnych melodramatow. Rozpuszczona pigulka, moze dwie lub trzy. W razie koniecznosci - zastrzyk. W torbie mial morfine. Nastepnej nocy przywiezie bezduszna powloke na cmentarz Pleasantview, wierzac, ze raz jeszcze dopisze mu szczescie (Nie wiesz nawet, czy dopisze ci za pierwszym razem, upomniat sie w duchu). Rozwazyl tez latwiejsze i bezpieczniejsze rozwiazanie: pogrzebanie Gage'a na Cmentarzu Zwierzat, ale nie chcial, by jego syn tam lezal. Istnialo wiele powodow. Jakies dziecko, ktore za pietnascie-dwadziescia lat bedzie grzebalo swoje zwierzatko, moze przypadkiem natknac sie na szczatki - to jedno. Lecz najwazniejszy powod byl duzo prostszy. Cmentarz Zwierzat moglby okazac sie... zbyt blisko.

Po pogrzebaniu zwlok poleci do Chicago i dolaczy do rodziny. Rachel ani Ellie nie beda musialy nic wiedziec o nieudanym eksperymencie.

A potem spojrzal w glab drugiej sciezki, sciezki, o ktorej marzyl z cala nadzieja i miloscia, jaka zywil do synka: gdy minie okres badan, wraz z Gage'em opuszcza dom. Wyjada w nocy. Wezmie ze soba dokumenty i nigdy juz nie wroci do Ludlow. Razem z Gage'em zamelduja sie w motelu - moze nawet w tym samym, w ktorym lezal teraz.

Nastepnego ranka zlikwiduje wszystkie konta i zamieni ich zawartosc na gotowke i czeki podrozne American Express (nie opuszczaj bez nich domu wraz ze swym wskrzeszonym synem, pomyslal i zachichotal). Poleca gdzies z Gage'em - najpewniej na Floryde. Stamtad zadzwoni do Rachel. Powie jej, gdzie jest, i kaze, by zabrala Ellie i zlapala samolot, nie mowiac matce i ojcu, dokad leci. Louis wierzyl, ze zdola ja do tego przekonac. Nie zadawaj zadnych pytan, Rachel. Po prostu przyjedz. Przyjedz, w tej chwili.

Powie jej, gdzie sie zatrzymal (zatrzymali). W jakims motelu. Rachel zjawi sie z Ellie wynajetym samochodem. Gdy zapukaja, przyprowadzi Gage'a do drzwi. Moze nawet ubierze go w kostium kapielowy.

A potem...

Ach, ale poza ten punkt nie odwazył się pojsc. Zamiast tego powrócił do początku planu i raz jeszcze zaczął go analizować. Przypuszczał, że jeśli wszystko się uda, będa musieli stworzyć sobie zupełnie nowe tożsamości, tak by Irwin Goldman nie zdołał ich wytropić, mimo swej pekatęj ksiązeczki czekowej. Takie rzeczy są możliwe.

Jak przez mgłę przypomniał sobie dzień przyjazdu do domu w Ludlow. Był wtedy spięty, zmęczony i nieco wystraszony, i marzył o tym, że pojedzie do Orlando i zatrudni się jako lekarz w Disney Worldzie. Może nie był to wcale taki głupi pomysł.

Ujrzał samego siebie odzianego w biel i cucacę kobietę, która nierozsądnie wybrała się na przejazd po zboczach Magicznej Góry i zemdlęła. "Cofnąć się! Cofnąć! Dajcie jej odetchnąć" - slyszal własny głos. A kobieta otwarła oczy i usmiechnęła się do niego z wdzięcznością.

I gdy tak jego umysł snuł owe przyjemne marzenia, Louis zasnął. Spał, kiedy jego córka ocknęła się w samolocie, gdzieś nad Niagara Falls, z krzykiem budząc się z koszmaru pełnego chwytających dłoni i głupich, lecz bezlitosnych oczu. Spał, podczas gdy stewardesa pobiegła ku niej sprawdzić, co się dzieje. Spał, kiedy Rachel, wstrząsnęta, próbowała ją uspokoić. Spał, kiedy Ellie krzyczała raz po raz. To Gage, mamo! To Gage! Gage! Gage żyje! Gage wyjął noż z torby taty! Nie pozwól mu mnie dostać! Nie pozwól mu dopaść taty!

Spał, gdy coreczka uspokoiła się w końcu i rozdygotana oparła głowę o piers matki. Jej otwarte, pozbawione łez oczy spoględały w mrok. A Dory Goldman pomyślała, że ostatnie wydarzenia najgorzej wpłynęły na Ellie. W tej chwili dziewczynka bardzo przypominała jej Rachel po śmierci Zeldy.

Spał, aż w końcu ocknął się kwadrans po piętej. Popołudniowe słońce chyliło się ku zachodowi, zapowiadając nadejście nocy.

Szalona praca, pomyślał niemądrze i wstał.

45.

Gdy samolot United Airlines, lot numer 419 wylędował na lotnisku O'Hare i wylędował pasażerów dziesięć po trzeciej czasie środkowoamerykańskiego, Ellie była w stanie łagodnej hysterii, a Rachel obserwowała ją z przerażeniem. Nigdy, od czasu gdy sama zabrała dzieci do McDonalda i Gage zaczął krztusić się garścią frytek, tak bardzo nie pręgnęła, by Louis był teraz z nią. Jeśli dotknęło się przelotnie ramienia Ellie, dziewczynka podskakiwała i rozględała się szeroko otwartymi oczami. Jej całe ciało dygotało bez chwili przerwy, zupełnie jakby ktos nałędował ją elektrycznością. Koszmar w samolocie był już dostatecznie okropny, ale to... Rachel po prostu nie wiedziała, co robić.

W drodze do terminalu Ellie potknęła się o własną nogę i upadła. Nie wstała; leżała tak na

dywanie, a przechodzący ludzie mijali ją (albo też posyłali jej łagodne, współczujące, lecz obce spojrzenia, typowe dla nieznajomych zaprzatniętych własnymi sprawami), poki Rachel jej nie podniosła.

-Ellie, co się z tobą dzieje? - spytała.

Lecz Ellie nie odpowiedziała. Przeszły przez hol w stronę tasm bagazowych i Rachel ujrzała czekających tam na nią matkę i ojca. Pomachała do nich wolną ręką i Goldmanowie podeszli.

-Nie pozwolili nam stanąć przy wyjściu i poczekać na was - oznajmiła Dory - więc pomysleliśmy... Rachel, jak się czuje Ellie?

-Nie najlepiej.

-Czy jest tu toaleta, mamusiu? Zaraz wymiotuje.

-O Boże - westchnęła z rozpaczą Rachel i chwyciła rękę córki. Po drugiej stronie hali dostrzegła damską toaletę i szybko poprowadziła tam Eileen.

-Rachel, mam iść z wami? - zawołała Dory.

-Nie. Weźcie bagaż. Wiecie, jak wygląda. Nic nam nie będzie.

Na szczęście toaleta była pusta. Rachel zaprowadziła Ellie do jednej z kabin, grzebiąc w torebce w poszukiwaniu dziesięciocentówki. A potem dostrzegła - dzięki Bogu - że zamki w trójgu drzwiach są wylamane. Na jednym z nich ktoś napisał grubym flamastrem "Sir John Crapper był seksistowska swinia".

Rachel szybko otworzyła drzwi. Ellie jęczała i trzymała się za brzuch. Dwukrotnie usiłowała zwrócić, lecz z jej ust nic nie wyleciało. Były to suche spazmy, oznaka całkowitego wyczerpania nerwowego.

Gdy coreczka oznajmiła, że czuje się nieco lepiej, Rachel podprowadziła ją do umywalki i umyła jej twarz. Ellie była przeraźliwie blada. Oczy miała podkrążone.

-Ellie, co się dzieje? Nie możesz mi powiedzieć?

-Nie wiem, co się dzieje - odparła dziewczynka. - Ale wiem, że coś jest nie tak, odkąd tatus powiedział mi o tym wyjeździe, bo to z nim coś się dzieje.

Louis, co ty ukrywasz? Ukrywasz coś. Ja to widziałam. Nawet Ellie to dostrzegła.

Przyszło jej do głowy, że ona także cały dzień była niespokojna, jakby czekała na niespodziewany cios. Czuliła się tak, jak zwykle dwa-trzy dni przed okresem, spięta i rozdrażniona, gotowa w każdej chwili rozesmiać się, wybuchnąć płaczem lub upaść na

lozko, powalona bolem glowy - uderzajacym w czaszke niczym rozpedzony ekspres - ktory znikal trzy godziny pozniej.

-Ale co? - spytala odbicie Ellie w lustrze. - Kochanie, co moze dziazac sie z tata?

-Nie wiem - odrzekla Ellie. - To byl sen. Cos z Gage'em, a moze z Churchem, nie pamietam. Nie wiem.

-Ellie, co ci sie snilo?

-Snilo mi sie, ze bylam na Cmetarzu Zwiezat - powiedziala dziewczynka. - Paxcow zabral mnie na Cmetarz Zwiezat i powiedzial, ze tatus tam pojdzie i wydarzy sie cos straszego.

-Paxcow? - Ogarnela ja nagla gwaltowna groza, ostra, lecz nieokreslona. Co to za nazwisko? Czemu wydawalo mi sie takie znajome? Miala wrazenie, ze kiedys juz je slyszala - albo moze cos podobnego do niego - ale za zadne skarby nie potrafila sobie przypomniec gdzie. - Snilo ci sie, ze ktos nazwiskiem Paxcow zabral cie na Cmetarz Zwiezat?

-Tak. Powiedzial, ze tak sie nazywa i... - Jej oczy rozszerzyly sie nagle.

-Pamietasz cos jeszcze?

-Mowil, ze przyslano go, by ostrzegl, ale nie moze ingerowac. Mowil, ze byl... nie wiem... ze byl blisko taty, bo byli razem, gdy jego dusza ode- ode... Nie pamietam - jeknela.

-Kochanie - rzekla Rachel. - Mysle, ze snil ci sie Cmetarz Zwiezat, bo wciaz myslisz o Gage'u. Jestem pewna, ze z tata wszystko w porzadku. Czujesz sie lepiej?

-Nie - szepnela Eileen. - Mamusiu, boje sie. A ty nie?

-Uh-uh - odparla Rachel. Energicznie potrzasnela glowa i usmiechnela sie. W istocie jednak bala sie i to bardzo. A to nazwisko, Paxcow, wciaz nie dawalo jej spokoju. Czula, ze wiele miesiecy, moze nawet lat temu, slyszala je w jakims okropnym kontekscie. I wciaz nie mogla opanowac nerwow.

Wyczuwala cos - cos napecznialego, spuchnietego, czekajacego tylko, by peknac. Cos straszliwego, czego nalezalo uniknac. Ale co? Co?

-Jestem pewna, ze nic mu nie jest - powiedziala. - Chcesz wracac do babci i dziadka?

-Chyba tak - odparla obojetnie Ellie.

Jakas Portorykanka wprowadzila do toalety malego synka, upominajac go glosno. W kroczu eleganckich spodenek podroznych szybko rozszerzala sie wielka mokra plama i Rachel z naglym, przenikliwym bolem znow pomyslala o Gage'u. Ow bol zadzialal jak nowokaina, uspokajajac rozedrgane nerwy.

-Chodz - powiedziala. - Zadzwonimy od dziadka do taty.

-Mial na sobie szorty - oznajmila nagle Ellie.

-Kto, kochanie?

-Paxcow - wyjasnila dziewczynka. - Mial na sobie czerwone szorty. W moim snie.

Znow to nazwisko. Rachel ponownie ogarnela fala przemoznego strachu... po czym odeszla.

Nie mogly zblizyc sie do tasmy bagazowej. Rachel widziala zaledwie czubek kapelusza ojca i charakterystyczne piorko. Odwrocila sie i dostrzegla Dory Goldman, ktora trzymala dla nich dwa miejsca pod sciana i machala goraczkowo. Rachel podprowadzila do niej Ellie.

-Czujesz sie lepiej, skarbie? - spytala Dory.

-Troszeczke - odparla Ellie. - Mamusiu... - Odwrocila sie do Rachel i urwala. Rachel siedziala sztywno z dlonia przycisnieta do ust. Jej twarz smiertelnie pobladla. Znalazla. Nagle, z gwałtownym wstrzasem zlokalizowala nazwisko. Oczywiscie powinna byla rozpoznać je natychmiast, ale probowala wyrzucic je ze swej pamieci. Oczywiscie.

-Mamusiu?

Rachel odwrocila sie powoli do corki; Ellie uslyszala, jak sciegna szyi matki skrzypia cicho. Rachel oderwala dlone od ust.

-Czy ten czlowiek w twoim snie podal ci swoje imie, Ellie?

-Mamusiu, czy nic ci...

-Czy czlowiek w twoim snie podal ci imie?!

Dory spogladala na zmiane na corkie i wnuczke, jakby obie zupełnie oszalaly.

-Tak, ale nie pamietam... Mamusiu, to boli! Rachel spuscila wzrok i odkryla, ze jej wolna dlone zaciska sie niczym obrecz wokol przedramienia corki.

-Czy nazywal sie Victor?

Ellie ze swistem wciagnela powietrze.

-Tak, Victor. Mowil, ze nazywa sie Victor. Mamusiu, czy tobie tez sie snil?

-Nie Paxcow - powiedziala Rachel. - Pascow.

-To właśnie mówiłam. Paxcow.

-Rachel, co się dzieje? - spytała Dory. Ujęła wolną dłoń córki i wzdrygnęła się czując, jak jest lodowata.

-Co się stało Ellie?

-To nie Ellie - odparła Rachel. - To chyba Louis. Coś złego dzieje się z Louistem. Albo wkrótce się wydarzy. Posiedź z Ellie, mamusiu. Muszę zadzwonić do domu.

Wstała i podeszła do telefonu, szukając w torebce kwartaldolarówki. Zdołała się połączyć, ale nikt nie przyjął rozmowy. Telefon po prostu dzwonił.

-Może spróbuj pani później - zaproponowała operatorka.

-Tak - odparła Rachel, odwieszając słuchawkę. Stała tam, wpatrując się w telefon.

Mówił, że przysłano go, by ostrzegł, ale nie może ingerować. Mówił, że był, że był blisko taty, bo byli razem, kiedy jego dusza ode- ode... nie pamiętam.

-Oderwała się od ciała - szepnęła Rachel, wbijając palce w tkaninę torebki. - O mój Boże, czy to właśnie próbowała powiedzieć?

Usiłowała pozbić swoje myśli. Uporządkować je. Czy coś się tu działo, coś wykraczającego poza naturalny smutek z powodu śmierci Gage'a i zdenerwowanie po niezwyklej wyprawie przez kontynent, tak bardzo przypominającej ucieczkę? Jak wiele Ellie wiedziała o młodym człowieku, który zginał pierwszego dnia pracy Louisa?

Nic - odparł nieublaganie jej umysł. - Ukrywaś to przed nią tak, jak próbowałaś ukryć przed nią wszystko, co miało cokolwiek wspólnego ze śmiercią, nawet możliwa śmierć jej kota. Pamiętasz te głupia, bezsensowna kłótnie tamtego dnia w kuchni? Ukrywaś to, bo bałaś się wtedy i boisz się teraz. Nazywał się Pascow, Victor Pascow. Jak rozpaczliwa jest obecna sytuacja, Rachel? Jak jest źle? Na miłość boską, co się dzieje?

Jej dłonie drżały tak mocno, że dopiero za drugim razem zdołała umieścić w szparze kwartaldolarówkę. Tym razem zadzwoniła do przychodni uniwersyteckiej. Odebrała Charlton, która nieco zaskoczona przyjęła rozmowę. Nie widziała Louisa i zdziwiłaby się, gdyby zjawił się dziś w pracy. Raz jeszcze przekazała Rachel wyrazy współczucia. Rachel przyjęła je, po czym poprosiła Charlton, by Louis zadzwonił do niej do domu rodziców, jeśli przypadkiem się zjawi. Tak, miał numer - odparła na pytanie pielęgniarki, nie chcąc zdradzać (choć tamta zapewne i tak wiedziała; Rachel miała wrażenie, że uwadze Charlton umyka niewiele rzeczy), iż dom jej rodziców leży po drugiej stronie kontynentu.

Odwiesiła słuchawkę, rozdygotana i rozpalona.

Usłyszała nazwisko Pascowa gdzie indziej, to wszystko. Moj Boże, nie wychowuje się dzieci w szklanej skrzyni jak... jak jakiegoś chomika. Usłyszała je w programie radiowym albo jakiś dzieciak wspomniał o tym w szkole, a jej umysł przechował zasłyszana informację. Nawet to, czego nie umiała powiedzieć - może nawet rzeczywiście było to "oderwała się od ciała". Ale to niczego nie dowodzi, oprócz tego, iż podświadomość jest dokładnie takim zsympem, jak twierdzą uczeni.

Przypomniała sobie nauczyciela psychologii w college'u, który twierdził, że w odpowiednich warunkach ludzka pamięć potrafi odtworzyć nazwiska wszystkich osób, które dana osoba kiedykolwiek poznała, wszystkie posiłki, jakie zjadła, pogodę panująca każdego kolejnego dnia życia. Przekonująco dowodził swej zadziwiającej tezy, mówiąc, iż ludzki mózg to komputer o niewiarygodnie wielu kościach pamięci - nie o szesnastu czy trzydziestu dwu, czy nawet szesćdziesięciu czterech tysiącach, lecz wręcz o miliardach, prawdziwych tysiącach miliardów. Jak wiele informacji mogła przechować każda z tych organicznych "kości"? Nikt nie wiedział. Lecz jest ich tak wiele - rzekł - że nie ma potrzeby, by pamięć miała się kasować i pozwalać użyć na nowo. W istocie świadomy umysł musi wyłączać część mózgu, by nie dopuścić właściciela do obłędu z powodu nadmiaru informacji. Gdybyście w dwóch sąsiednich komórkach przechowywali całą zawartość Encyklopedii Britannica - dodał nauczyciel - moglibyście mieć pewne kłopoty z zapamiętaniem, gdzie odłożyliście skarpetki.

Słowa te wywołały posłuszny śmiech wśród studentów.

Ale to nie są zajęcia z psychologii, w przyjaznym blasku jarzeniówek, z tablicą zapisaną podnoszącym na duchu żargonem i przemadralym asystentem, radosnie przegadującym ostatnich piętnaście minut semestru. Coś jest tu koszmarnie nie tak. I dobrze o tym wiesz - czujesz to. Nie wiem, czy ma to coś wspólnego z Pascowem, czy Gage'em, czy może Churchem, ale z pewnością z Louisem. Czy to...

I nagle myśl równie zimna jak garść lodu uderzyła ją z całą mocą. Rachel raz jeszcze podniosła słuchawkę i pogrzebała w otworze zwrotu w poszukiwaniu dziesięciocentówki. Czyżby Louis rozważał samobójstwo? Czy to dlatego pozbył się ich, niemal wypchnął je za drzwi? Czy Ellie jakimś cudem doswiadczyła... Ach, pieprzyć psychologię! Czy przeżyła psychiczny przebłysk?

Tym razem zadzwoniła do Juda Crandalla na koszt abonenta. Telefon zadzwonił pięć razy... szesc... siedem. Już miała odłożyć słuchawkę, gdy odezwał się w niej jego zdyszany głos.

-Halo? - Jud? Jud, tu...

-Jedną chwileczkę, proszę pani - wtracił operator. - Czy przyjmie pan rozmowę na pański koszt? Dzwoni pani Louisowa Creed.

-Ano - odparł Jud.

-Przepraszam pana, czy to znaczy tak czy nie?

-Chyba tak - odparł Jud.

Zapadła chwila ciszy, podczas której operator tłumaczył jankeski na amerykański.
Wreszcie:

-Dziękuję. Proszę mówić, proszę pani.

-Jud, czy widziałeś dziś Louisa?

-Dzisiaj? Nie powiedziałbym, Rachel. Ale rano pojechałem do Brewer po zakupy. Po południu pracowałem w ogrodzie za domem. Czemu pytasz?

-To pewnie nic ważnego, ale w samolocie Ellie miała zły sen, i pomyślałam, że spróbuję ją uspokoić.

-W samolocie? - Głos Juda jakby wyostrzył się nieco. - Gdzie ty właściwie jesteś, Rachel?

-W Chicago - odparła. - Przyleciałyśmy tu z Ellie spędzić trochę czasu z moimi rodzicami.

-Louis nie poleciał z wami?

-Zamierza dołączyć do nas pod koniec tygodnia. - Rachel z całych sił starała się mówić spokojnie. Coś w tonie głosu Juda bardzo jej nie podobalo.

-Czy to był jego pomysł, ten wasz wyjazd?

-No coż... tak. Jud, co się dzieje? Bo coś się dzieje, prawda? I ty o tym wiesz.

-Może powinnas mi opowiedzieć sen mój - powiedział Jud po długiej chwili. - Chciałbym bardzo, żebyś to zrobiła.

46.

Kiedy skończyli rozmawiać z Rachel, Jud nałożył lekki płaszcz - niebo zachmurzyło się i znowu zerwał się wiatr - i przeszedł przez drogę do domu Louisa, przystając na poboczu, aby dokładnie sprawdzić, czy nie nadjeżdża jakaś ciężarówka. To ciężarówki były przyczyną wszystkiego. Te przeklęte ciężarówki. Tyle że to nieprawda.

Czuł, jak Cmetarz Zwieżat przyciąga go - Cmetarz Zwieżat i coś za nim. Kiedyś głos owego nucił uwodzicielską kolysankę, obiecując ukojenie i czarowną moc. Teraz był niższy i bardziej niż złowieszczy - pełen ponurej groźby. Trzymaj się od tego z daleka.

Ale on nie mógł się trzymać z daleka. Czuł się za bardzo odpowiedzialny.

Zobaczył, że w garażu brakuje hondy civic Louisa. Sprawdził tylne drzwi i odkrył, że są otwarte.

-Louis? - zawołał, wiedząc, że tamten nie odpowie, lecz czuł potrzebę naruszenia panującej w tym domu ciężkiej ciszy. Starość robiła się coraz bardziej dokuczliwa - ręce i nogi ciążyły mu przez większość czasu, były dziwnie niezgrabne. Plecy bolały po marnych dwóch godzinach spędzonych w ogrodzie. I miał wrażenie, jakby w biodro ktoś wbił mu tępą szwidę.

Zaczął metodycznie przetrzaszać dom, szukając oznak, których musiał szukać. Najstarszy włamywacz świata, pomyślał bez specjalnego rozbawienia i wrócił do roboty. Nie znalazł niczego, co mogłoby go zaniepokoić: żadnych pudeł z zabawkami, nieoddanych Armii Zbawienia, ubranek dla małego chłopca przy drzwiach, w szafach lub pod łóżkiem... ani tego najgorszego: łozeczka, starannie przygotowanego w pokoju Gage'a. Nie znalazł niczego, absolutnie niczego, czego szukał, lecz w domu panowała dziwna atmosfera pustki, jakby czekał, by znowu się napełnić... no cóż, czymś.

Może powinienem wybrać się na cmentarz Pleasantview, zobaczyć, czy wszystko w porządku. Może nawet natknie się na Louisa Creeda. Postawiłbym mu kolację czy coś takiego.

Ale niebezpieczeństwo nie czekało na cmentarzu Pleasantview w Bangor. Było tutaj, w tym domu i poza nim.

Jud wyszedł i wrócił przez drogę do własnego domu. Wyciągnął z kuchennej lodówki sześć puszek piwa i zaniósł je do salonu. Następnie usiadł przed oknem wyglądającym na dom Creedów. Otworzył piwo i zapalił papierosa. Wokół niego upływało popołudnie i, jak to często się zdarzało w ciągu ostatnich kilku lat, odkrył, że jego umysł cofa się coraz bardziej i bardziej, sięgając głębiej w przeszłość. Gdyby wiedział, o czym wcześniej myślała Rachel Creed, powiedziałby jej, że nauczyciel psychologii może i mówił prawdę, lecz na starość tłumiąca funkcja pamięci zaczyna powoli zawodzić, tak samo jak cała reszta ciała, i człowiek z niesamowitą dokładnością przypomina sobie dawne miejsca i twarze. Wspomnienia koloru sepii znowu nabierają barw, które stają się coraz żywsze. Głosy tracą metaliczny brzęk czasu i odzyskują dawne brzmienie. Nie był to wcale zalew informacji, mógłby wyjaśnić mu Jud. Istniała na to nazwa: "starcza skleroza".

W swym umyśle Jud raz jeszcze ujrzał Hanratty'ego, był to Lester Morgan o zaczerwienionych oczach, szarującym na wszystko, co znalazło się w polu widzenia, wszystko, co tylko się poruszyło. Kiedy wiatr szeleszczył liśćmi, byk atakował drzewa. Nim Lester zrezygnował i zakończył całą sprawę, wszystkie drzewa na ogrodzonej łacie Hanratty'ego zostały zryte z bezmyślną furją. Zwierzak potrzaskał sobie rogi, jego głowa krwawiła. Gdy Lester zastrzelił Hanratty'ego, był chory z przerażenia - i Jud czuł się teraz dokładnie tak samo.

Pił piwo i palil. Światło dnia powoli gasło. Nie zapalał lampy. Stopniowo czubek papierosa stawał się małą czerwoną iskierką w ciemności. Siedział, pił piwo i obserwował podjazd przed domem Louisa Creeda. Kiedy Louis wróci do domu z miejsca, w które się wybrał, Jud pojdzie do niego i pogawędzi trochę. Upewni się, że tamten nie planuje niczego, czego nie powinien.

Wciąż czuł milczące przyciąganie tego czegoś, niezwyklej mocy zasiedlającej owo diabelskie miejsce. Teraz sięgała ku niemu spośród zepsutych skał, na których usypano kamienne kopce.

Trzymaj się od tego z daleka. Trzymaj się z daleka, albo bardzo pozalujesz. Głos przypominał smugi mgły wydobywające się z otwartego grobu.

Ignorując go, jak najlepiej potrafił, Jud siedział, palił i pił piwo. I czekał.

47.

Podczas gdy Jud Crandall siedział w drabiniastym fotelu na biegunach i czekał na niego przy oknie, a Rachel i Ellie zmierzały autostradą w stronę domu Goldmanów (Rachel nieustannie skubała paznokcie, nie mogąc otrząsnąć się ze zgrozy; Ellie siedziała blada jak kamień), w jadalni motelu Howarda Johnsona Louis zasiadał właśnie do obfitego, pozbawionego smaku obiadu. Jedzenie było mdłe i zatykające: dokładnie to, czego pragnęło jego ciało. Na zewnątrz zapadał zmrok. Reflektory przejeżdżających samochodów przebijały ciemność niczym jasne palce. Louis wrzucał do ust kolejne kęsy: stek, pieczony ziemniak, jaskrawozielony groszek (natura nigdy nie obdarzyłaby go taką barwą), kawałek szarlotki z kulka lodów na gorze, roztopiająca się w miękką papkę. Jadł przy narożnym stoliku, obserwując wchodzących i wychodzących ludzi. Zastanawiał się, czy kiedyś nie ujrzy kogoś znajomego. W pewnym sensie miał taką nadzieję. Spowodowałyby to pytania: Gdzie jest Rachel? Co ty tu robisz? Co słychać? - a pytania, być może, doprowadziłyby do komplikacji. Może komplikacje były tym, czego naprawdę pragnął. Wyjściem.

I rzeczywiście, właśnie gdy kończył szarlotkę i drugą filiżankę kawy, do środka weszła znajoma para: Rob Grinnell, lekarz z Bangor, i jego urocza żona Barbara. Czekal, myślał, że zaraz go zauważy, tkwiącego przy jednoosobowym narożnym stoliku, lecz kelnerka zaprowadziła ich do kabiny po drugiej stronie sali i Louis stracił ich z oczu. Od czasu do czasu dostrzegał jedynie czubek przedwcześnie posiwiałej głowy Grinnella.

Kelnerka przyniosła mu rachunek. Podpisał go, nabazgrał pod spodem numer swego pokoju i wyszedł bocznymi drzwiami.

Na zewnątrz wiatr osiągnął już niemal siłę huraganu. Był wszechobecny. W jego powiewach przewody elektryczne mruczały, wydając z siebie osobliwy dźwięk. Louis nie dostrzegał gwiazd. Wyczuwał chmury przepływające nad głową z niezwykłą szybkością. Na moment zatrzymał się na chodniku z rękami w kieszeniach, unosząc twarz ku powiewom wiatru.

Potem odwrócił się, wrócił do pokoju i włączył telewizor. Było jeszcze za wcześnie, by zrobić cokolwiek poważnego, a wiatr zbyt wiele obiecywał. Niepokoił go.

Cztery godziny oglądał telewizję. Osiem kolejnych półgodzinnych programów komediowych. Minęło wiele czasu, odkąd ostatnio oglądał tak dużo telewizji za jednym razem. Uznał, że wszystkie aktorki w sitcomach stanowią doskonały przykład tego, co nazywali z kolegami w liceum "gorącymi numerami".

W Chicago Dory Goldman zawodziła.

-Chcesz wrócić? Kochanie, czemu miałabys wracać? Dopiero co przyleciałaś.

W Ludlow Jud Crandall siedział bez ruchu przy oknie, palił i pił piwo. W myślach przeglądał pamiątki własnej przeszłości i czekał, by Louis wrócił do domu. Wcześniej czy później Louis wróci, tak jak Lassie w starym filmie. Istniały inne drogi, wiodące na Cmentarz Zwierząt, ale Louis ich nie znał.

Nieswiadom innych wydarzeń, niczym powolne pociski zmierzających nie w miejsce, gdzie teraz był, lecz raczej, zgodnie z najlepszą tradycją balistyki, w miejsce, gdzie się znajdzie, Louis siedział w HoJo i oglądał telewizję. Nigdy wcześniej nie widział żadnego z tych programów, słyszał jednak o nich. Czarna rodzina. Biała rodzina. Dzieciak inteligentniejszy niż bogaci dorośli, z którymi mieszkał. Samotna kobieta. Kobieta zamezna. Rozwódka. Wreszcie trzy dziewczyny-detektywki, prowadzące śledztwa w stanikach od kostiumów. Oglądał to wszystko, siedząc w motelowym fotelu i od czasu do czasu wyglądając za okno w wietrzną noc.

Gdy na ekranie pojawił się dziennik o jedenastej, Louis wyłączył telewizor i wyszedł, by załatwić coś, co prawdopodobnie postanowił zrobić już w chwili, gdy ujrzał pełną krwi baseballową czapkę Gage'a na jezdni. Znowu ogarnął go chłód, silniejszy niż kiedykolwiek. Pod nim jednak kryło się coś jeszcze: zar zapalu, pasji, może nawet namietności, nieważne; w każdym razie ogrzewał go i pozwalał znieść lodowaty wiatr. Uruchamiając silnik Hondy, pomyślał, że może Jud miał rację co do rosnącej mocy tego miejsca. Niewatpliwie czuł ją wokół siebie, prowadziła go (albo popychała) naprzód.

Czy mogłbym się zatrzymać? Czy mogłbym się zatrzymać, nawet gdybym tego chciał?

Zjechał z krawężnika.

48.

-Chcesz coś zrobić? - spytała raz jeszcze Dory. - Rachel... jesteś zdenerwowana... jeśli się przepisz... Rachel jedynie potrząsnęła głową. Nie potrafiła wyjaśnić matce, czemu musiała wrócić. Uczucie to wezbrało w niej tak, jak wzbiera wiatr - najpierw lekkie, ledwo dostrzegalne poruszenia traw, potem powietrze zaczyna przesuwac się coraz szybciej i szybciej, aż w końcu całkowicie wypiera spokój. Porywy stają się dość silne, by ze

skowytem omiatac dach domu. W koncu zaczynaja potrzasac nim i orientujesz sie nagle, ze nadciaga huragan. Jesli wiatr wktotce nie oslabnie, to wszystko runie w gruzy.

W Chicago byla szosta po poludniu. W Bangor Louis zasiadal wlasnie do obfitego, pozbawionego smaku posilku. Rachel i Ellie dziobaly jedynie widelcami wlasne jedzenie. Rachel co chwile podnosila wzrok znad talerza i dostrzegala na sobie mroczne spojrzenie corki, pytajace, co zamierza zrobic z klopotami, ktorych napytal sobie tatus. Co zamierza zrobic?

Czekala, by zadzwonil telefon, by Jud oddzwonil i powiedzial, ze Louis wrocil do domu. I rzeczywiscie, telefon raz zadzwonil - na jego dzwiek Rachel podskoczyla, a Ellie niemal wylala mleko ze szklanki. Ale byla to tylko kobieta z klubu brydzowego Dory, pytala, czy bez klopotow wrocili do domu.

Pili wlasnie kawe, gdy Rachel gwaltownie odrzucila serwetke i oznajmila:

-Tato... mammo... przykro mi, ale musze wracac do domu. Jesli zdolam zlapac samolot, to jeszcze dzisiaj.

Ojciec i matka patrzyli na nia bez slowa, lecz Ellie zamknela oczy w jakze doroslym odruchu ulgi - bylby zabawny, gdyby nie jej poszarzala, napieta twarz.

Nie rozumieli, a Rachel nie potrafila im wyjasnic, tak jak nie potrafilaby wyjasnic, jak pierwsze, slabe podmuchy wiatru, ledwie kolyszace czubkami wysokich traw, potrafia stopniowo zyskac na sile, az w koncu powalaja stalowe budynki. Nie wierzyła, by Ellie uslyszala w radiu informacje o smierci Victora Pascowa i by zarejestrowala ja jej podswiadomosc.

-Rachel, kochanie - ojciec mowil wolno, przyjaznie. Tak jak nalezy zwracac sie do kogos, kogo ogarnia przelotna, lecz niebezpieczna histeria. - To tylko reakcja na smierc twojego syna. Obie z Ellie silnie reagujecie, i ktos moglby was za to winic. Ale jesli sprobujesz wrocic, po prostu sie zalamiesz i...

Rachel nie odpowiedziala. Podeszla do telefonu w sieni, znalazla w ksiazce "linie lotnicze" i wybrala numer Delt. Dory stala obok, powtarzajac, by jeszcze to przemyslala, ze powinna porozmawiac z nimi, moze nawet sporzadzic liste... A za nia czekala Ellie z mroczna twarza - w tym momencie jednak rozswietlona promyczkiem nadziei, ktory dodawal odwagi matce.

-Linie lotnicze Delta - powiedzial radosnie glos po drugiej stronie sluchawki. - Tu Kim. Czym moge sluzyc?

-Mam nadzieje, ze zdola mi pani pomoc - odparla Rachel. - To niezwykle wazne, zebym jeszcze dzis dostala sie z Chicago do Bangor. Obawiam sie, ze zaszlo cos bardzo istotnego. Czy moglaby pani sprawdzic polaczenia?

Pewne watpliwosci:

-Tak, prosze pani. Ale mamy bardzo malo czasu.

-Prosze jednak sprawdzic. - Glos Rachel zalamal sie lekko. - Wystarczy lista oczekujacych, cokolwiek.

-Dobrze, prosze pani. Prosze czekac. - W sluchawce zapadla cisza.

Rachel przymknela oczy. Po chwili poczula na ramieniu chlodna dlon. Uniosla powieki i przekonala sie, ze Ellie przysunela sie do niej. Irwin i Dory stali razem, rozmawiajac cicho i przygladajac sie im. Tak jak patrzy sie na kogos, kogo podejrzewamy, ze jest wariatem, pomyslala ze znuzeniem Rachel. Zmusila sie do usmiechu.

-Nie pozwol, by cie powstrzymali, mamu - powiedziala cicho Ellie. - Prosze.

-Nie ma mowy, siostrzyczko - odparla Rachel i wzdrygnela sie. Nazywali ja tak, odkad Gage przyszedl na swiat. Teraz jednak nie byla juz niczyja siostrzyczka, prawda?

-Dziekuje - mruknela Ellie.

-To bardzo wazne, prawda? Dziewczynka przytaknela.

-Kochanie, wierze ci. Ale moglabys mi pomoc, gdybys powiedziala cos wiecej. Czy to tylko sen?

-Nie - odparla Ellie. - To... teraz to juz wszystko. Caly czas mnie otacza. Nie czujesz, mamusiu? Cos jak...

-Cos jak wiatr.

Ellie westchnela i zadrzala.

-Ale nie wiesz, co to jest? Nie pamietasz niczego wiecej ze snu?

Ellie zastanawiala sie dluga chwile, po czym z wahaniem potrzasnela glowa.

-Tatus, Church i Gage. To wszystko, co pamietam, ale nie wiem, co ich laczy, mamusiu.

Rachel uscislana ja mocno.

-Wszystko bedzie dobrze - rzekla. Lecz ciezar wciaz przygniatl serce.

-Halo? Prosze pani? - odezwala sie urzedniczka.

-Halo? - Rachel scislana mocniej zarowno corke, jak i sluchawke.

-Chyba znalazłam połączenie do Bangor ale dotrze tam pani bardzo pozno.

-To nie ma znaczenia - odparła Rachel.

-Ma pani cos do pisania? To troche skomplikowane.

-Owszem, mam. - Rachel wyjela z szuflady ogryzek ołowka. Znalazła stara koperte i zaczęła pisac. Sluchala uwaznie, notujac. Gdy kobieta po drugiej stronie skonczyła, Rachel usmiechnela sie lekko i uniosła połączone w kształcie litery O kciuk i palec wskazujacy, by pokazac Ellie, ze sie uda. Prawdopodobnie sie uda, poprawila w duchu. Niektore połączenia wydawaly sie bardzo napiete. Zwlaszcza to w Bostonie.

-Prosze zarezerwowac je wszystkie. I dziekuje.

Kim zanotowała nazwisko Rachel i numer jej karty kredytowej. W koncu Rachel odwiesila sluchawke. Niemal opuscily ja sily. Czula ogromna ulge. Spojrzala na ojca.

-Tato, odwieziesz mnie na lotnisko?

-Moze powinienem odmowic - rzekl Goldman. - Mam chyba obowiazek powstrzymac to szalenstwo.

-Nie waz sie! - krzyknela piskliwie Ellie. - To nie jest szalenstwo! Nie jest!

Goldman zamrugal gwałtownie i cofnal sie w obliczu owego gwałtownego wybuchu.

-Zawiez ja, Irwin - powiedziala Dory w ciszy, ktora zapadla. - Ja tez zaczynam sie denerwowac. Poczujcie sie lepiej, wiedzac, ze z Louistem wszystko w porzadku.

Goldman dluga chwile przygladal sie zonie.

-Zawioze cie, jesli tego chcesz - rzekl. - Ja... Rachel, jesli chcesz, polece z toba.

Rachel potrzasnela glowa.

-Dziekuje, tato, ale zajelam ostatnie miejsca. Zupelnie jakby Bog je dla mnie zachowal.

Irwin Goldman westchnal. W tym momencie wygladal bardzo staro i Rachel przyszlo nagle do glowy, ze jej ojciec przypomina Juda Crandalla.

-Jesli chcesz, masz jeszcze czas, by sie spakowac - powiedzial. - Zdazymy dotrzec na lotnisko w czterdziesti minut, jesli bede jechal jak kiedys, gdy pobralismy sie z twoja matka. Znajdz dla niej torbe, Dory.

-Mamusiu - powiedziala Ellie. Rachel odwrocila sie ku niej. Twarz Eileen pokrywala cienka warstewka potu.

-Co, kochanie?

-Badz ostrozna, mamusiu - poprosila Eileen. - Prosze cie, badz ostrozna.

49.

Drzewa byly ruchomymi sylwetkami na tle pochmurnego nieba, oswietlonego tylko luna pobliskiego lotniska. Louis zaparkowal honde na Mason Street. Ulica ta sasiadowala z cmentarzem Pleasantview od strony poludniowej. Wiatr byl tu niemal dosc silny, by wyrwac mu z reki drzwiczki auta. Musial mocno pchnac, by je zamknac. Wichura szarpala jego kurtke, gdy otworzyl bagaznik hondy i wyjal kawal brezentu, ktory odcial i owinal wokol narzedzi. Znalazl sie w skrzydle ciemnosci pomiedzy dwiema latarniami. Stal na krawezniku, tulac w ramionach owiniety brezentem tlumok. Ostroznie spojrzal w jedna i druga strone, nim przeszedl przez ulice pod kute zelazne ogrodzenie, znaczące granice cmentarza. O ile to mozliwe, wolal, by w ogole go tu nikt nie widzial, nawet ktos, kto zauwazylby go i zapomnial po sekundzie. Obok niego galezie starego wiazu pojeikiwaly niespokojnie na wietrze, zupełnie jakby na kazdej z nich dyndal wisielec. Boze, tak bardzo sie bal. To nie byla szalona praca, tylko robota szalenca.

Ulica nie przejechal ani jeden samochod. Wzdłuż Mason Street latarnie rzucaly idealnie biale kregi swiatla. W dzien, po zakonczeniu zajec w pobliskiej szkole podstawowej Fairmount chlopcy jezdzi tu na rowerkach, a dziewczynki skakaly przez skakanki i graly w klasy, w ogole nie dostrzegajac cmentarza, moze poza okresem Halloween, gdy nabieral on niesamowitego uroku. Moze wtedy dzieci przebiegaly odwaznie przez podmiejska ulice i wieszaly na zelaznych pretach papierowe szkielety, chichocząc ze starych dowcipow. "To najfajniejsze miejsce w miescie. Ludzie umieraja, by sie tu dostac". "Czemu nie wolno smiac sie na cmentarzu? Bo wszyscy, ktorzy tu mieszkaja, sa w grobowym nastroju!".

-Gage - mruknal. Gage tam byl. Za zelaznym kutym plotem. niesprawiedliwie uwiezony pod warstwa czarnej ziemi. Uwolnie cie, Gage, pomyslal. Uwolnie cie, bracie, albo zaplace wlasnym zyciem.

Dzwigajac ciezki tlumok, przeszedl przez ulice. Zatrzymal sie przy drugim krawezniku, znow spojrzal na boki i przerzucil brezentowy pakunek przez ogrodzenie. Z cichym brzekiem tlumok uderzyl o ziemie po drugiej stronie. Otrzepujac rece, Louis odszedl, najpierw jednak zapamietal to miejsce. Nawet gdyby zapomnial, wystarczyloby jedynie podazyc wewnatrz wzdluz ogrodzenia, az stanalby dokladnie naprzeciw samochodowi. Wtedy na pewno znajdzie pakunek.

Ale czy brama bedzie otwarta tak pozno?

Ruszył w dol Mason Street, az do znaku stopu. Wiatr scigal go i szarpal nogawki. Tanczące cienie wirowaly na drodze.

Skrecil w Pleasant Street, wciaz podazajac wzdluz plotu. Ulice zalalo swiatlo

samochodowych reflektorów i Louis od niechcenia cofnął się za pień wiązki. Nie był to samochód policyjny, tylko furgonetka zmierzająca ku Hammond Street i dalej w stronę autostrady. Gdy się oddaliła, Louis ruszył naprzód.

Oczywiście, że będzie otwarta. Musi być.

Dotarł do bramy, gotyckiego łuku z kutego żelaza. Smukłego i wyniosłego pośród rozchwianych cieni rzucanych przez latarnie. Wyciągnął reke i spróbował popchnąć.

Zamknięte.

Ty durniu! Oczywiście, że jest zamknięta, naprawdę sądziłeś, że ktoś zostawiłby po jedenastej otwarty cmentarz wewnątrz granic jakiegokolwiek amerykańskiego miasta? Nikt nie jest tak naiwny, mój drogi. Już nie. Co więc zrobisz teraz?

Teraz będzie musiał się wdrapać na ogrodzenie i liczyć na to, że nikt nie oderwie wzroku od programu Carsona na dość długo, by dostrzec postać wspinającą się na kute żelazne prety, niczym najstarszy, najwolniejszy dzieciak świata.

Halo, policja? Właśnie widziałem najstarszego, najwolniejszego dzieciaka świata wspinającego się na płot cmentarza Pleasantview. Wyglądało na to, że bardzo zależy mu na dostaniu się do środka. Tak, według mnie to naprawdę śmiertelnie poważna sprawa. Zartuje? Ależ nie. Jestem grobowo poważny. Może powinnicie w tym pogrzebać.

Louis maszerował dalej Pleasant Street. Na najbliższym skrzyżowaniu skręcił w prawo. Wysokie żelazne ogrodzenie maszerowało obok niego. Wiatr schładzał i wysuszał krople potu na jego czole i skroniach. Jego cień tanczył i gasł w blasku ulicznych latarni. Od czasu do czasu Louis zerknął na ogrodzenie. Wreszcie przystanął i zmusił się, by naprawdę mu się przyjrzeć.

Zamierzasz się na to wspiąć? Nie rozśmieszaj mnie.

Louis Creed był wysokim mężczyzną, miał nieco ponad metr osiemdziesiąt pięć, lecz ogrodzenie liczyło dobrze ponad dwa i pół metra. Każdy żelazny słup kończył się dekoracyjnym szpikulcem, przypominającym groty strzały. To znaczy dekoracyjnym, poki człowiek nie osunął się, przekładając przez nie nogę i nie nadział się na jedno z ostrzy, które pod nagłym ciężarem stu kilogramów przeszło mu jądra. Tkwiłby tam, przyszpilony jak świnia na rożnie, wrzeszcząc, poki ktoś nie zadzwoniłby na policję, która zdłoby go i zabrała do szpitala.

Pot płynął dalej, przyklepiając koszule do pleców. Wokół panowała cisza, przerywana jedynie cichym pomrukiem późnowieczornego ruchu na Hammond Street.

Musiał istnieć jakiś sposób dostania się do środka.

Musiał!

No dalej, Louis, staw czoło faktom. Może i oszalałeś, ale nie aż tak. Możliwe nawet, że zdołałbyś wdrapać się na szczyt ogrodzenia, ale trzeba by wyszkolonego gimnastyka, by przekroczyć te ostrza, nie nadziejając się na nie. A nawet zakładając, że się tam dostaniesz, jak zamierzasz wyjść z ciałem Gage'a?

Szedł dalej. Jak przez mgłę dostrzegł, że okraza cmentarz, nie robiąc nic konstruktywnego.

W porządku, oto odpowiedź. Po prostu pojedzie do domu w Ludlow i wróce tu jutro późnym popołudniem. Około czwartej przejeździe przez bramę i znajdzie miejsce, w którym zaszyje się aż do północy, czy nawet nieco później. Innymi słowami, odłoży do jutra to, co gdyby miał dość sprytu, powinienem był zrobić dzisiaj.

Świetny pomysł, o wielki Swami Louisie... a tymczasem co pocznie z wielkim pakunkiem rzeczy, które przerzuciłem przez płot? Kilof, szpadel, latarka... równie dobrze na każdym z nich można by wypisać wielkimi literami: "Sprzęt do okradania grobów".

Wylądowały w krzakach. Kto je tam znajdzie, na miłość boską?

Na pierwszy rzut oka to miało sens, lecz jego zadanie nie było przecież sensowne, a serce podpowiadało z cicha, niezachwiana pewnością, że jutro nie zdoła już tu wrócić. Jeśli nie zrobi tego dziś, nie zrobi nigdy. Nigdy nie zdoła podkrecić się do aż tak obłakanczego, nerwowego stanu. To była ta chwila. Jedyny moment, w którym mogło się udać.

Z tej strony stało mniej domów - od czasu do czasu na chodnik naprzeciwko padał prostokąt żółtego światła, a raz Louis dostrzegł szaroniebieskie migotanie czarno-białego telewizora. Zaglądając przez ogrodzenie przekonał się, iż w tym miejscu groby są starsze, bardziej zaokrąglone, czasami nachylone w przód bądź w tył i poznaczone śladami wielu porożeń. Przed sobą dostrzegł kolejny znak stopu i po następnym zakreśleniu znalazł się na ulicy mniej więcej równoległej do Mason Street, od której zaczął. A kiedy wróci tam, skąd wyszedł, co zrobi? Odbierze dwadzieścia dolarów i zacznie od nowa? Przyzna się do porażki?

U wylotu ulicy pojawiły się reflektory samochodowe i Louis cofnął się za kolejne drzewo, czekając, by go ominęły. Ten samochód jechał bardzo wolno. Po chwili z siedzenia pasażera wystrzelił biały płomień latarki i omiotł żelazne ogrodzenie. Serce Louisa boleśnie ścisnęło się w piersi. To był wóz policyjny, patrolujący okolice cmentarza. Rozpaczliwie przywarł do pnia, przyciskając policzek do kory z szalenczą nadzieją, że drzewo jest dość duże, by go ukryć. Promień latarki zbliżał się. Louis spuścił głowę, próbując ukryć biel swej twarzy. Światło dotarło do drzewa, zniknęło na chwilę, po czym pojawiło się po prawej stronie. Przesunął się nieco na bok, by zejść z pola widzenia. Przez sekundy dostrzegł zgaszonego koguta na dachu radiowozu. Czekal, spodziewając się, że łąka moment tylnego światła rozbłyśnie jaskrawszą czerwienią, drzwi otworzą się gwałtownie, reflektorek obróci

się ku niemu, wskazując go długim, białym palcem światła. Hej, ty! Ty, za tym drzewem! Wyjdź tak, żebyśmy mogli cię zobaczyć. I lepiej, żebyś miał puste ręce. Wychodź w tej chwili!

Radiowóz jechał dalej. Dotarł do zakretu, leniwie mrugnął kierunkowskazem i skręcił w lewo. Louis osunął się bezwładnie i oparł o drzewo, dysząc. W zaschniętych ustach czuł kwasny niesmak. Przypuszczał, że mina też jego zaparkowana Honda, ale to nie miało znaczenia. Od godziny szóstej wieczor do siódmej rano na Mason Street wolno było parkować, a wokół stało mnóstwo innych samochodów. Ich właściciele z pewnością mieszkali w blokach po drugiej stronie ulicy.

Nagle odkrył, że przygląda się uważnie koronie drzewa, za którym się ukrył. Tuż nad jego głową pień rozdwajał się. Może mogłoby...

Bez wahania unosił rękę i podciągnął się, opierając obute w tenisówki stopy o pień. W dół posypał się niewielki deszcz kory. Zdolał oprzeć jedno kolano i po chwili stał już mocno podparty na rozgalezieniu wiazu. Gdyby w tym momencie radiowóz powrócił, jego reflektor znalazłby na drzewie naprawdę niezwykłego ptaka. Powinien działać szybko.

Podciągnął się na wyższą gałąź, sięgającą na drugą stronę nad ogrodzeniem. Nagle zupełnie absurdalnie poczuł się jak dwunastolatek, którym musiał chyba kiedyś być. Drzewo nie było bynajmniej nieruchome; kołysało się lekko, niemal kojąco w powiewach wiatru. Jego liście szumiały i szeleszczyły. Louis ocenił sytuację, a potem, nim znowu zdążył ogarnąć go strach, zawisł na rękach, trzymając się gałęzi splecionymi w gorze dłońmi. Gałąź była nieco grubsza niż przedramię mocno zbudowanego mężczyzny. Ze stopami dyndającymi ponad dwa metry nad chodnikiem zaczął powoli przesuwac się ku ogrodzeniu. Gałąź wygięła się lekko, lecz nie zdradzała oznak peknięcia. Jak przez mgłę dostrzegł swój cień, podążający za nim po cementowym chodniku: niewyraźna, dziwnie malpiała sylwetka. Wiatr ochłodził rozgrzane pachy Louisa, który zadrzał, mimo że po twarzy i szyi wciąż sypał mu pot. Gałąź wyginała się i kołysała przy każdym ruchu. Im dalej wędrował, tym wyraźniejsze stawało się wygięcie. Jego ręce i przeguby zaczynały się męczyć i bał się, że spocone dłonie zślizgną się z gałęzi.

W końcu dotarł do ogrodzenia. Tenisówki wisiały jakieś ćwierć metra nad szpikulcami. Z tej perspektywy szpikulce wcale nie wydawały się tepe; przeciwnie - bardzo ostre. Ale ostre czy nie, pojął nagle, że stawka są nie tylko jego jadra. Gdyby spadł i trafił wprost na plot, jego ciężar wystarczyłby, aby jedna z tych włóczni wbiła się aż po płuca. Powracający gliniarze znaleźliby na ogrodzeniu cementarza przedwcześnie, rzeczywiście upiorna halloweenowa ozdoba.

Oddychając szybko, choć nie dysząc, zaczął macać stopami w poszukiwaniu szpikulców. Potrzebował chwili odpoczynku. Przez moment wisiał tak, tańcząc w powietrzu, szukał ich, lecz nie znalazł.

Promień światła dotknął go. Z każdą chwilą stawał się coraz jasniejszy.

Chryste, to samochód! Nadjeżdża samochód!

Próbował przesunąć ręce naprzód, lecz jego dłonie się zśliznęły. Splecione palce zaczynały się rozginąć. Wciąż macając stopami, odwrócił głowę na lewo i spojrzał pod napreżonym ramieniem. To był samochód, ale nie zwalniając, przemknął przez pobliskie skrzyżowanie. Na szczęście. Gdyby...

Dłonie znowu się zsunęły. Poczul, że na głowę sypie mu się kora.

Jedna stopa znalazła punkt oparcia, lecz teraz inne ostrze pochwyciło skraj drugiej nogawki, a Bog mu świadkiem, że nie zdołałby dłużej się trzymać. Louis rozpaczliwie szarpnął nogę. Galaz się wygięła. Dłonie znowu się zśliznęły. Rozległ się szelest dartego materiału, a potem stał już na dwóch szpikulcach. Ostrza zagłębiały się w podeszwy tenisówek. Po chwili nacisk zrobił się bolesny, lecz Louis stał jeszcze moment. Ulga w rękach i ramionach była większa niż ból stop.

Nieżył muszę przedstawić sobą obraz, pomyślał Louis z niewyraźnym, ponurym rozbawieniem. Lewa ręka przytrzymał galaz, prawa otarł o kurtkę. Następnie powtórzył to samo z drugą dłonią.

Jeszcze chwile stał na szpikulcach, a potem przesunął dłonie dalej, wzdłuż galezi. Teraz była już dość cienka, by mógł mocniej spleść palce. Smignął naprzód niczym Tarzan, odbijając się od ostrzy. Galaz wygięła się alarmująco. Usłyszał nad głową złowieszczy trzask. Wypuścił, padając na oslepek.

Wylądował kiepsko. Jedno kolano uderzyło o nagrobek, przesyłając w górę udę przeraźliwą falę bólu. Przeturlał się po trawie, trzymając się za nogę. Jego usta wygięły się w grymasie przypominającym uśmiech. Miał nadzieję, że nie strząsnął sobie rzepki kolanowej. W końcu ból zaczął ustępować i Louis odkrył, że może poruszyć stawem. Wszystko będzie dobrze, jeśli natychmiast ruszy naprzód i nie pozwoli nódze zesztynieć. Może.

Dzwignął się i ruszył wzdłuż ogrodzenia, z powrotem w stronę Mason Street i swego sprzętu. Z początku kółka nie dokuczało mu bardzo mocno i kulał, wkrótce jednak ból złagodniał, zmieniając się w tępe pulsowanie. W apteczce Hondy miał aspirynę. Powinien był pamiętać, żeby zabrać ją ze sobą; teraz było już za późno. Cały czas uważał na samochody i kiedy jakiś się zbliżał, cofał się głębiej na cmentarz.

Od strony Mason Street, gdzie spodziewał się większego ruchu, trzymał się dość daleko od ogrodzenia, poki nie znalazł się naprzeciwko Hondy. Miał właśnie podbiec do plotu i wyciągnąć z krzaków tłumok, gdy usłyszał kroki na chodniku i cichy kobiecy śmiech. Błyskawicznie usiadł za jednym z większych z większych nagrobków - kolano zbyt go bolało, by mógł kucnąć - i ujrzał parę zbliżającą się do niego ulicą. Szli, obejmując się w taliach. Ich wedrowka od jednej białej plamy światła do następnej skojarzyła się Louisowi ze

starym programem telewizyjnym. Po sekundzie przypomniał sobie. "Godzina Jimmy'ego Durante". Co by zrobili, gdyby teraz wstał, roztanczony cien w martwym miescie umarłych, i krzyknął glucho:

-Dobranoc, pani Calabash, gdziekolwiek pani jest!

Zatrzymali się w plamie światła tuż obok jego samochodu i objęli się. Obserwując ich, Louis poczuł, jak ogarnia go zdumienie i obrzydzenie do samego siebie. Oto tkwił tu, przycupnięty za nagrobkiem niczym nie człowiek, lecz upiór, trupojad z taniego komiksu i chyłkiem śledził parę kochanków. Czy granica jest tak cienka? - zastanawiał się, i myśl ta także zabrzmiała znajomo. Tak cienka, że można przekroczyć ją ot tak, po prostu, bez żadnych starań i kłopotów? Wspiąć się na drzewo, przesunąć wzdłuż galezi, wskoczyć na cmentarz, podglądać kochanków... kopać dziury? To takie proste? Czy to obłęd? Osiem lat trwało, nim został lekarzem, lecz rabusiem grobów stał się w jednej chwili, ludzie mogliby mnie nazwać złodziejem trupów.

Gwałtownie przycisnął pięść do ust, by powstrzymać cisnący się na niego krzyk. Zaczął rozpaczliwie szukać owego wewnętrznego chłodu, poczucia oderwania od rzeczywistości. Znalazł go i z wdzięcznością okrył się nim jak płaszczem.

Gdy parka w końcu odeszła, Louis odprowadził ją wyłącznie niecierpliwym wzrokiem. Weszli po schodach wiodących do jednego z budynków. Mężczyzna chwilę szukał w kieszeni klucza. Po sekundzie znaleźli się już w środku. Na ulicy znów zapadła cisza, w której słychać było jedynie stąły szum wiatru, szelest drzew i lekki szmer mokrych od potu włosów lepiących się do czoła.

Louis podbiegł do ogrodzenia, schylił się i zaczął grzebac wśród krzaków w poszukiwaniu brezentowego pakunku. Wreszcie palce natrafiły na szorstki materiał. Podniósł go, słuchając dobiegającego ze środka stłumionego brzęku. Zaniósł sprzęt na szeroka zwirowa drożkę i przystanął, próbując ustalić, gdzie się znajduje. Stał prosto. Na rozwidleniu w lewo. Nie będzie problemu.

Szedł skrajem drożki, by w każdej chwili móc ukryć się w cieniu wiaźow, jeśli okazałoby się, że na cmentarzu pracuje nocny dozorca, który akurat przypadkiem sprawdza teren. Louis wątpił w taką możliwość; ostatecznie był to jedynie malomiasteczkowy cmentarz - ale lepiej było nie ryzykować.

Na rozwidleniu skreślił w lewo i kiedy zbliżał się już do grobu Gage'a, nagle z przerażeniem uswiadomił sobie, że nie pamięta, jak wyglądał jego syn. Przystanął, spoglądając między rzędy grobów, zatroskane fasady pomników i próbował przywołać przed oczy jego obraz. Pamiętał poszczególne elementy: jasne włosy, wciąż miękkie i złociste, lekko skosne oczy, małe białe ząbki, drobna zakrzywiona blizna na podbródku - pamiątka po upadku ze schodów w ich domu w Chicago. Widział wszystkie te rzeczy, ale nie potrafił połączyć ich w jedną spójną całość. Widział Gage'a biegnącego ku drożce, biegnącego ku wyznaczonemu

spotkaniu z ciezarowka Orinco, lecz jego twarz patrzyła w inna strone. Probowal przypomniec go sobie, gdy lezal w lozeczku w noc po puszczeniu latawca, lecz oczy jego duszy widzialy tylko ciemnosc.

Gage, gdzie jestes?

Czy kiedykolwiek przyszlo ci do glowy, Louis, ze moze wcale nie przysluzysz sie synowi? Moze jest szczesliwy, tam dokad trafil... moze to wszystko nie sa wylacznie bzdury, choc zawsze tak sadziles. Moze jest teraz wsrod aniolow albo po prostu spi. A jesli spi, czy naprawde wiesz, z jakiego snu chcesz go obudzic?

Och, Gage, gdzie jestes? Chce, zebys wrocil do domu.

Ale czy naprawde kontrolowal wlasne czyny? Czemu nie potrafil przypomniec sobie twarzy Gage'a i czemu postepowal wbrew ostrzezeniom wszystkich - Juda, wysnionego Pascowa, obawom wlasnego znekanego serca?

Pomyslal o nagrobkach na Cmetarzu Zwiezat, owych prymitywnych kregach, kreslacych spirale malejaca ku tajemnicy, i znow ogarnal go chlod. Czemu w ogole tu stoi, probujac przywolac w pamieci twarz Gage'a?

Przeciez wkrótce ja zobaczy.

Na grobie stala juz plyta. Napisano na niej jedynie GAGE WILLIAM CREED, a pod spodem dwie daty. Ktos zlozil dzis wizyte zmarlemu. Pod nagrobkiem lezaly swieze kwiaty. Missy Dandridge?

Serce Louisa bilo mocno, lecz wolno. Nadeszla ta chwila. Jesli mial to zrobic, powinien juz zaczynac. Nie pozostal mu zbyt wiele nocy, a po niej mial nastac dzien.

Po raz ostatni Louis wejrzał w swe serce i przekonal sie, ze rzeczywiscie zamierza to zrobic. Niemal niedostrzegalnie skinal glowa i wylowil z kieszeni scyzoryk. Wczesniej okleil pakunek tasma samoprzylepna; teraz musial ja przeciac. Rozwinal brezent u stop grobu Gage'a niczym upiorny spiwor i ulozyl narzedzia dokladnie tak samo, jak zrobilby to przed zaszyciem rany badz przeprowadzeniem drobnej operacji.

Oto latarka ze szkielem zakrytym filcem, tak jak sugerowal sprzedawca w sklepie z narzedziami. Filc takze przykleil tasma. W srodku wycial male kolo, kladac na materiale centa i przesuwajac wzdluz niego skalpelem. Oto kilof z krotka raczka. W zasadzie nie byl mu potrzebny - przyniosl go wylacznie na wszelki wypadek. Nie bedzie musial zmagac sie z zacementowanym wiekiem, a w swiezym grobie nie powinien natknac sie na zadne kamienie. Oto szpadel, lopata, kawal liny, rekawice robocze. Wlozyl je, chwycil lopate i wzial sie do roboty.

Ziemia byla miekka, kopalo sie w niej z latwoscia. Kształt grobu odcinal sie wyraznie: miekki

prostokat posrod ubitej ziemi. Jego umysl odruchowo porownal latwosc, z jaka kopalo sie tutaj, z kamienistym, twardym podlozem miejsca, gdzie, jesli wszystko pojdzie dobrze, ponownie pogrzebie swego syna tej samej nocy. Tam, w gorze, bedzie potrzebował kilofa. Potem w ogole przestal myslec. Myslenie jedynie przeszkadzalo w pracy.

Wysypywal ziemie z lewej strony grobu, pracujac w miarowym rytmie, ktory stawal sie coraz trudniejszy do utrzymania w miare poglebiania sie dolu. W koncu wszedl do srodka, czujac wokol wilgotna won swiezej ziemi. Won, ktora pamietal z czasow letniej pracy u wuja Carla.

Kopacz, pomyslal i przerwal, ocierajac spocone czolo. Wujek Carl mowil, ze nazywano tak wszystkich grabarzy w Ameryce. Przyjaciele zwali ich kopaczami.

Znow podjal prace.

Przerwal ja jeszcze tylko raz, po to, by zerknac na zegarek. Bylo dwadziescia po dwunastej. Czul, ze czas przeslizguje mu sie przez palce, niczym cos natluszczzonego, nieuchwytnego.

Czterdziesci minut pozniej lopata zazgrzytala, uderzajac o pokrywe grobu, i zeby Louisa zacisnely sie na gornej wardze, dosc mocno, by przegryzc ja az do krwi. Wyjal latarke i poswiecil. Ujrzal jeszcze wiecej ziemi, a posrod niej ukosna, srebrzystoszara linie. To byl szczyt prawdziwego grobu. Louis usunal z niego ziemie, jak najlepiej potrafil. Uwazal, by nie narobic zbyt wiele halasu, skrobic w ciemnosciach lopata o beton.

Gdy w koncu pozbyl sie wiekszosci blota, wygramolil sie z grobu i chwycil sznur. Przewlokł go przez zelazne pierścienie na polowce wieka. Ponownie wyszedl z grobu, polozyl sie na brezencie i pochwycil konce sznura.

Louis, to jest to. Twoja ostatnia szansa.

Masz racje, to moja ostatnia szansa i zamierzam ja wykorzystac.

Okrecil konce sznura na dloniach i pociagnal. Plyta uniosla sie i ze zgrzytem oparla na krawedzi. Stanela niemal pionowo ponad plama ciemnosci, pokrywa grobu zamieniona w pionowy nagrobek. Louis wywlokł sznur z pierścieni i odlozyl na bok. Nie bedzie go potrzebował do podniesienia drugiej polowy. Mogl stanac na krawedziach grobu i pociagnac.

Raz jeszcze ostroznie zszedl do grobu, starajac sie nie wywrocic betonowej plyty, ktora zdolal juz podciagnac, i nie zmiazdzyc sobie palcow u nog, ani nie rozbic tego cholerstwa, ktore bylo dosc cienkie. Do dziury osuwaly sie drobne kamyczki. Slyszal, jak kilka z nich odbija sie glucho od trumny Gage'a.

Nachylil sie i chwycil druga polowe wieka, ciagnac ja ku gorze. Gdy to zrobil, poczul cos

zimnego i miękkiego pod palcami. Kiedy postawił już płyty (obie połowki wieka przypominały teraz podstawki pod książki), spojrzal na swoją dłoń i ujrzał tłustą, poruszającą się słabo dżdżownicę. Ze zduszonym okrzykiem Louis otarł rękę o ubitą ziemię grobu syna. Następnie poswiecił w dół latarka.

Oto trumna, którą widział ostatnio, kiedy stała nad grobem na dwóch chromowanych pretach podczas pogrzebu, otoczona przez upiornie zieloną sztuczną trawę; sejf, w którym miał pogrzebać wszystkie swoje nadzieje dotyczące syna. Nagle ogarnęła go wściekłość, czysta, rozpalona do białości wściekłość, absolutne przeciwieństwo uprzedniego chłodu. Co za idiotyzm! Odpowiedź brzmiała: nie!

Louis zaczął macać ręką w poszukiwaniu łopaty. Znalazł ją, podniósł ponad ramię i z całej siły uderzył w zamek trumny - raz, drugi, trzeci, czwarty. Jego wargi wydęły się we wściekłym grymasie.

Uwolnie cie, Gage, zobaczysz!

Zamek pękł już przy pierwszym uderzeniu i prawdopodobnie następne nie były wcale konieczne, ale walił dalej, gdyż nie chciał jedynie otworzyć trumny, lecz ją zranić. Wkrótce jednak odzyskał trzeźwość umysłu - szybciej, niż mogłoby to nastąpić w innych okolicznościach - i zastygł z łopata wzniesiona do kolejnego ciosu.

Ostrze łopaty było wyszczerbione i pogięte. Odrzucił ją na bok i na uginających się nogach wygramolił się z grobu. Czuł wzbierające mdłości. Gniew minal równie nagle, jak się pojawił. Jego miejsce znowu zajął chłód; jeszcze nigdy w życiu Louis nie czuł się tak samotny i oderwany od świata, niczym astronauta, który odleciał od statku podczas zajęcia w przestrzeni i teraz szybuje w bezkresnej czerni, świadom, że tlenu nie starczy mu na długo. Czy Bill Bateria czuł to samo?

Położył się na ziemi, tym razem na plecach, aby przekonać się, czy w pełni kontroluje swoje czyny i może działać dalej. Gdy słabosc w nogach ustąpiła, usiadł i ponownie zsunął się w głąb dołu. Poswiecił latarką na zamek i odkrył, że jest nie tylko pęknięty, lecz kompletnie zniszczony. Wymachiwał łopata w ślepej furii, lecz każdy cios trafiał dokładnie w cel, jakby coś nim kierowało. Drewno wokół zamka pękło.

Louis wsunął latarkę pod pachę. Przykucnął lekko. Jego ręce napięły się niczym ramiona akrobata na trapezie w cyrku, czekającego na przechwycenie partnera po saltie śmierci.

Znalazł zagłębienie w wieku i wsunął w nie palce. Na moment znieruchomiał - właściwie nie dałoby się nazwać tego wahaniem - po czym otworzył trumnę syna.

50.

Rachel Creed prawie zdążyła na lot z Bostonu do Portland. Prawie. Samolot z Chicago wystartował o czasie (samo w sobie stanowiło to cud), został natychmiast przyjęty na

lotnisko La Guardia (kolejny) i opuścił Nowy Jork zaledwie z pięciominutowym opóźnieniem. W Bostonie znalazła się piętnaście minut później, niż powinna, o dwudziestej trzeciej dwanaście. To dawało jej trzynaście minut. Wciąż mogłaby zdążyć, lecz spóźnił się autobus, który krąży po terminalach lotniska Logan. Rachel czekała w stanie bliskim paniki, przestępując z nogi na nogę, jakby musiała iść do toalety, i przerzucając torbę podróżną, pożyczoną od matki, z jednego ramienia na drugie.

Gdy o dwudziestej trzeciej dwadzieścia pięć autobus jeszcze się nie zjawił, zaczęła biec. Miała niskie obcasy, lecz mimo wszystko utrudniały jej poruszanie. Jedną z kostek ugięła się boleśnie, toteż Rachel przystanęła na sekundę, by zrzucić buty. Potem pobiegła dalej w rajstopach, mijając terminale Alleghany i Eastern Airlines, dysząc, czując w boku początki kolki.

Oddech parzył ją w gardło. Klucie w boku stawało się coraz częstsze, bardziej bolesne. Mijała już terminal międzynarodowy; przed sobą widziała trójkątny symbol Deltę. Wpadła do środka. Niemal upuściła jeden but i złapała go w powietrzu. Była dwudziesta trzecia trzydziści siedem.

Jeden z dwóch dyżurnych unosił wzrok.

-Lot numer 104 - wydyszala. - Do Portland. Czy już odleciał?

Mężczyzna zerknął na monitor za plecami.

-Pisza tu, że jeszcze trwa odprawa - powiedział - ale pięć minut temu wzywali ostatnich pasażerów. Zadzwoń. Jakis bagaż?

-Nie - wydyszala Rachel, odrzucając z oczu mokre od potu włosy. Serce galopowało jej w piersi.

-Zatem proszę nie czekać. Zadzwoń. Ale radziłbym biec. I to szybko.

Rachel nie biegła szybko. Nie była w stanie. Starła się jednak, jak mogła. Popędziła ruchomymi schodami, teraz wyłączonymi na noc, czując w ustach miedziany posmak potu. Gdy dotarła do punktu kontroli bagażu, niemal rzuciła swoją torbę zdumionej strażniczce, po czym, zaciskając i rozwierając dłonie, czekała po drugiej stronie. Torba zaledwie zdążyła wynurzyć się z komory przesświetlenia, gdy Rachel chwyciła pasek i pobiegła, a torba podskakiwała i obijała się jej o biodro. Biegnąc, unosiła wzrok i odczytywała napis na monitorze.

LOT 104 PORTLAND ODL. 23.25 WYJSCIE 31 ODPRAWA.

Wyjście 31 znajdowało się po drugiej stronie terminalu - a w chwili gdy Rachel ponownie zerknęła na monitor, napis ODPRAWA zniknął, zastąpiony migającymi literami układającymi się w ODLOT.

Z jej ust wyrwał się okrzyk frustracji. Czarnoskora kobieta, podsadzająca właśnie synka do zrodelka z wodą, obejrzała się zaskoczona. Rachel podbiegła do bramy akurat w chwili, by ujrzec stewarda ściągającego z niej paski z napisem. LOT 104 BOSTON - PORTLAND 23.25.

-Nie ma go? - spytała z niedowierzaniem. - Naprawdę go nie ma?

Steward spojrzał na nią ze współczuciem.

-Wykolewał na pas o dwudziestej trzeciej czterdzięci. Przykro mi, proszę pani. Jeśli to jakieś pocieszenie, to starała się pani, jak mogła.

Wskazał ręką wysokie szklane okna. Rachel dostrzegła za nimi ogromnego boeinga 727 z oznaczeniami Deltę. Jego światelka mrugały niczym lampki na choince, gdy rozpoczynał podejście do startu.

-Chryste, czy nikt nie zawiadomił pana, że zaraz będę? - krzyknęła.

-Kiedy zadzwonili z dołu, 104 był już na pasie. Gdybym go odwołał, musiałby zatrzymać się przy zjeździe na pas numer 30, a wtedy pilot obdarzyłby mnie ze skóry, nie mówiąc nawet o ponad setce pasażerów na pokładzie. Bardzo mi przykro. Gdyby zjawiała się pani cztery minuty wcześniej...

Rachel odeszła, nie słuchając reszty. Pokonała już połowę drogi do punktu kontrolnego, gdy ogarnęła ją fala słabości. Potykając się, dotarła do najbliższej bramy i usiadła, póki ciemność przed oczami nie ustąpiła. Powoli wsunęła na nogi buty, odczepiając od podartych rajstop rozgnieciony niedopalek papierosa Lark. Mam brudne nogi i nic mnie to nie obchodzi, pomyślała obojętnie.

Wstała i ruszyła z powrotem do terminalu. Strażnik zmierzył ją pełnym współczuciem wzrokiem.

-Sporzniła się pani?

-Owszem, spozniłam się - przytaknęła Rachel.

-Dokąd się pani wybiera?

-Do Portland. Potem do Bangor.

-Czemu zatem nie wynajmie pani samochodu, to znaczy, jeśli naprawdę musi tam pani dotrzeć? Zazwyczaj doradziłbym raczej hotel blisko lotniska, ale jeśli kiedykolwiek widziałam kogoś, kto naprawdę musi dotrzeć na miejsce, to jest to właśnie pani.

-Owszem, to jestem ja. - Rachel zastanowiła się przez moment. - Chyba rzeczywiście

mogłabym to zrobić. Jeśli któraś z agencji ma jeszcze wolny wóz.

Straznik zaśmiał się.

-Och, mają ich całe mnóstwo. Na Logan brakuje samochodów tylko wtedy, kiedy opadnie mgła. Czyli bardzo często.

Rachel ledwie go słyszała. W myślach zaczęła już obliczenia.

W żaden sposób nie zdąży do Portland na czas, by złapać lot do Bangor, nawet gdyby pedzila po autostradzie z samobójczą prędkością. Powiedzmy zatem, że pojedzie wprost do celu. Ile to potrwa? To zależy od odległości. Umysł podpowiedział jej trzysta siedemdziesiąt kilometrów. Już chyba kiedyś wspominał o tym. Nim wyruszy, z pewnością będzie co najmniej kwadrans po dwunastej, może nawet w poł do pierwszej. Cały czas mogła nie zjeżdżać z autostrady. Uznała, że ma duże szanse jechać sto kilometrów na godzinę; wątpiła, by policja zatrzymała ją za przekroczenie prędkości. Szybko dokonała stosownych obliczeń, dzieląc trzysta siedemdziesiąt przez sto. Niecałe cztery godziny. Coz... powiedzmy równe cztery. Będzie musiał zatrzymać się raz i pojsć do toalety. A choć w tej chwili wydawało jej się, że coś takiego jak sen w ogóle nie istnieje, знаła dobrze swoje siły i wiedziała, że najpewniej będzie też musiała się zatrzymać co najmniej na jedną kawę. Mimo wszystko mogłaby dotrzeć do Ludlow przed świtem.

Powtarzając to raz jeszcze w myślach, ruszyła ku schodom - biura wynajmu samochodów znajdowały się piętro niżej niż terminale.

-Powodzenia, moja droga - zawołał za nią straznik. - Uważaj na siebie!

-Dzięki - odparła Rachel. Czuliła, że zasłużyła sobie na trochę szczęścia.

51.

Smród uderzył go pierwszy i Louis cofnął się gwałtownie, czując nagle mdłości. Zawisł na skraju grobu, oddychając ciężko, i w chwili gdy sądził już, że zdołał opanować odruch wymiotny, cały pozbawiony smaku posiłek wytrysnął mu z ust w groteskowym rozbryzgu. Zwymiotował na drugą stronę grobu, po czym, dysząc, oparł głowę o ziemię. W końcu fala mdłości odpadła. Zaciśnął zęby. Wyjął latarkę spod pachy i poświecił wprost w otwartą trumnę. Ogarnęła go głęboka groza, niemal przypominająca podziw - uczucie zazwyczaj zarezerwowane dla najgorszych nocnych koszmarów, tych, które ledwie pamięta się po obudzeniu.

Gage nie miał głowy.

Rece Louisa drżały tak mocno, że musiał oburącz trzymać latarkę, sciskając ją tak, jak policjanci są uczeni chwytac służbowy rewolwer na strzelnicy. Mimo wszystko promień światła podskakiwał i kołysał się, i dopiero po chwili Louis zdołał skierować wąską świetlną

struzke w glab grobu.

To niemozliwe - powtarzal w duchu. - Pamietaj, ze to, co ci sie wydalo, jest po prostu niemozliwe.

Powoli przesunal waski promien w gore metrowej postaci Gage'a, od nowych butow, przez spodnie od garnituru, mala marynarkę (Chryste, zaden dwulatek nie powinien nosic garnituru), rozpiety kolnierzyk, az do...

Oddech wymknal mu sie z ust z gwałtownym sykiem, zbyt ostrym, by byc zwyklym sapnieciem. Nagle powrocila cala wscieklosc z powodu smierci Gage'a, zagluszajac lek przed nieznanym, nadnaturalnym, oraz rosnaca pewnosc, ze przekroczyl juz granice obledu.

Louis siegnal do tylnej kieszeni po chusteczke i wyciagnal ja. Jedna reka trzymajac latarke, znow pochyлил sie nad grobem niemal poza punkt rownowagi. Gdyby teraz jedna z plyt wieka wywrocila sie, z pewnoscia zmiazdzylaby mu kark. Wyciagnal reke i delikatnie start chusteczka wilgotny mech, porastajacy skore Gage'a - mech tak ciemny, ze przez moment wydalo mu sie, iz cala glowa zniknela.

Mech byl wilgotny, lecz nie sluzowaty. Powinien byl sie tego spodziewac. Padaly deszcze, a grob nie byl wodoszczelny. Przesuwajac latarka, Louis przekonal sie, ze trumna lezy w plytkiej kaluzy. Pod cienka warstwa mchu ujrzal swego syna. Pracownik kostnicy, choc wiedzial, ze po tak strasznym wypadku nie otwiera sie trumny, postaral sie wykonac swa prace jak najlepiej - tacy ludzie najczesciej to robili. Gdy tak patrzyl na syna, przyszla mu do glowy kiepsko wykonana lalka. Z glowy Gage'a sterczaly osobliwe guzy. Jego oczy zapadly sie gleboko pod zamknietymi powiekami. Z ust wystawalo cos bialego, niczym jezyk-albinos, i z poczatku Louis sadzil, ze moze to jakis plyn, ze uzyli zbyt duzo plynu do balsamowania. Dobieranie ilosci plynu zawsze stanowilo trudne zadanie, a przy dzieciach praktycznie nie dawalo sie ocenic, czy jest go dosyc... czy tez za duzo.

I wtedy zrozumial, ze to jedynie wata. Siegnal po nia i wyjal z ust chlopca. Wargi Gage'a, dziwnie miekkie, i jednoczesnie zbyt ciemne i za szerokie, zamknely sie z cichym, lecz slyszalnym "plip". Louis cisnal wate w glab grobu; przez chwile unosila sie powierzchni kaluzy, polyskujac ohydna biela. Jeden z policzkow chlopca zapadl sie jak u starca.

-Gage - szepnal Louis - zabiore cie teraz, zgoda?

Modlil sie, by nikt sie nie zjawil - dozorca dokonujacy obchodu po polnocy, ktos taki. I nie chodzilo tu bynajmniej o to, ze zostanie zlapany. Gdyby promien czyjejs latarki przyszpilil go, gdy tak stal w grobie zajmujac sie ponura praca, Louis chwycilby wygieta, poszczerbiona lopate i rozwalil nia czaszke intruza.

Wsunal rece pod Gage'a. Ciało zakolysalo sie bezwladnie z boku na bok i Louisa ogarnela nagla straszliwa pewnosc, ze kiedy podniesie chlopca, jego zwloki rozpadna sie na kawalki. A on zostanie tak, stojac ze stopami wspartymi o krawedzie grobu, posrod szczatkow,

krzyczac, i tak własnie go znajda.

No dalej, tchorzu! Zaczynaj!

Zlupal Gage'a pod pachami, czujac cuchnaca wilgoc, i podniosl go, tak jak czesto podnosil go z wieczornej kapieli. Glowa Gage'a opadla do tyłu, az na srodek plecow, i Louis ponownie Zakrztusil sie, czujac wzbierajace mdlosci na widok usmiechnietego kregu szwow, trzymajacych ja na miejscu. Jakims cudem, dyszac, z zoladkiem scisnietym od woni i miekkosci zmiadzzonego ciala syna, Louis zdolal wydobyć je najpierw z trumny, a potem z grobu. W koncu usiadl na krawedzi dziury ze zwlokami na kolanach i stopami dyndajacymi w glebi dolu. Jego twarz nabrala przerazliwej sinawej barwy, oczy zapadly sie niczym dwie czarne dziury, a usta wygiely w drzacy luk zgrozy, litosci i zalu.

-Gage - powiedzial i zaczal kolysac synka w ramionach. Wlosy Gage'a opadly na przegub Louisa, pozbawione zycia jak druty. - Gage, wszystko bedzie dobrze. Przysiegam ci, Gage, wszystko bedzie dobrze. Wszystko sie skonczy. Jeszcze tylko ta noc. Prosze, Gage. Kocham cie. Tatus cie kocha.

Louis kolysal swojego syna.

Kwadrans przed druga Louis byl gotow do opuszczania cmentarza. Samo przenoszenie ciala okazalo sie najgorsze - własnie w tym momencie jego wewnetrzny astronauta, umysl, zdawal sie szybowac w najglebszej otchlani. A przeciez teraz, odpoczywajac, czujac przerazliwy bol plecow w miejscach, gdzie wyczerpane miesnie podskakiwaly i kurczyly sie, zdawal sobie sprawe, ze moze jednak wrocic. Az do poczatku.

Zlozyl cialo Gage'a na brezencie i zawinal je. Okrecil tlumok dlugimi pasmami tasmy samoprzylepnej, po czym przecial sznur na pol i starannie zwiatal oba konce. Z daleka przypominalo to zrolowany dywan, nic wiecej. Zamknl trumne, po czym po chwili zastanowienia otworzyl ja ponownie i wrzucil do srodka wygieta lopate. Niech Pleasantview zachowa ja sobie. Jego syna nie dostanie. Zamknl trumne, po czym spuscil polowe cementowego wieka grobu. Z poczatku mial zamiar po prostu pchnac druga plyte, bal sie jednak, ze peknie. Po chwili zastanowienia przewlokł przez zelazne pierscienie pasek i tak opuscil betonowy kwadrat delikatnie na miejsce. Nastepnie szpadlem wypelnil dziure. Nie starczylo mu ziemi, by calkowicie wyrownac powierzchnie grobu; nigdy jej nie starczylo. Zapadniety grob moze zostac zauwazony, albo i nie; albo tez zauwazony i zlekcewazony. Nie zamierzal w ogole o tym myslec ani sie tym przejmowac. Przynajmniej tej nocy. Zbyt wiele go jeszcze czekalo. Wiecej szalonej pracy, a byl bardzo zmeczony.

Hey-ho, let's go.

-Jasne - mruknal. Nagly powiew wiatru ze skowytem omiotl drzewa i Louis obejrzal sie niespokojnie. Polozyl obok pakunku szpadel, kilof, ktorego jeszcze w ogole nie zdazyl uzyc, rekawice i latarke. Bardzo kusilo go, by sobie poswiecic, odrzucil jednak pokuse.

Pozostawiając zwłoki i narzędzia, Louis wrócił w miejsce, z którego przyszedł, i po pięciu minutach dotarł do wysokiego żelaznego ogrodzenia. Dokładnie tam, po drugiej stronie ulicy, stała jego Honda, zaparkowana porządnie przy krawężniku. Tak blisko, a jednocześnie tak daleko.

Louis przyglądał się jej przez chwilę, po czym ruszył w drugą stronę. Tym razem oddalał się od bramy, maszerując wzdłuż ogrodzenia, póki to nie skreciło, oddalając się od Mason Street pod niemal prostym kątem. Znajdował się tu rząd odwadniający i Louis zajął się nim. To, co zobaczył, sprawiło, że zadrżał. W rowie leżała masa gnijących kwiatów, kolejne warstwy zmywane przez deszcz i śniegi.

Chryste!

Nie, nie Chryste. Te ofiary złożono na cześć znacznie starszego boga niż ten chrześcijański. Ludzie w różnych czasach nazywali go różnymi imionami, lecz myślę, że siostra Rachel znalazła mu idealne miano: Oz Wiejki i Wsaniały. Bog rzeczy martwych, pozostawionych w ziemi, by zgnily. Bog Tajemnicy.

Louis jak zahipnotyzowany wpatrywał się w głeb rowu. W końcu z lekkim sapnięciem oderwał od niego wzrok - z sapnięciem człowieka, który się ocknął bądź został przebudzony z hipnotycznego transu przez ostatnią liczbę podczas odliczania do dziesięciu.

Ruszył dalej. Nie musiał iść zbyt daleko, by znaleźć to, czego szukał. Podejrzewał, iż jego umysł zachował te szczególne informacje już w dniu pogrzebu Gage'a.

W miejscu, do którego dotarł w wietrznych ciemnościach, wznosiła się cmentarna krypta.

Przechowywano w niej trumny zimą, gdy grunt był tak zamrożony, że nawet koparka nie zdołałaby go poruszyć. Używano jej także, gdy w interesie zapanował nagły ruch - coś w rodzaju chłodzi dla ludzi.

W tym, co wujek Carl nazywał "zimnym interesem", od czasu do czasu zdarzały się nagle przyplwy. Louis dobrze o tym wiedział. W każdej populacji następują okresy, kiedy bez żadnego widocznego powodu nagle umiera mnóstwo ludzi.

-Wszystko się wyrównuje - mawiał wujek Carl. - Jeśli mamy w maju dwa tygodnie, podczas których nikt nie umiera, Lou, to wiem, że mogę liczyć na dwa tygodnie ruchu w listopadzie, gdy przyjdzie mi urządzić dziesięć pogrzebów. Tyle że tak naprawdę to rzadko zdarza się w listopadzie, a nigdy w okolicy świat, choć ludzie zawsze sadzą, że to wtedy umiera mnóstwo osób. Cała ta gadanina o świątecznej depresji to stek bzdur. Spytaj każdego przedsiębiorcy pogrzebowego. W czasie świat większość ludzi jest szczęśliwa i pragnie żyć. Toteż żyją. Zwykle to w lutym notujemy gwałtowny ruch w interesie. Grypa zabija starych ludzi, zapalenie płuc także zbiera swe żniwo - ale to nie wszystko. Są też ludzie, którzy jak szaleni walczą z rakiem, przez rok, szesnastę miesięcy, a potem nastaje paskudny luty i nagle zmeczenie bierze górę, a rak przetacza się po nich niczym walec.

Trzydziestego pierwszego stycznia rak się cofa i czują się zdrowi, dwudziestego czwartego lutego tkwią już w ziemi. W lutym ludzie miewają zawały, wylewy, gwałtowne niewydolności nerek. To paskudny miesiąc. W lutym ludzie meczą się życiem. My, pracujący w tym interesie, już do tego przywykliśmy, ale też bez specjalnych powodów coś takiego może wydarzyć się w czerwcu czy październiku. Nigdy w sierpniu. Sierpień to spokojny miesiąc. Jeśli w okolicy nie wybuchnie przewód gazowy albo autobus miejski nie spadnie z mostu, w sierpniu nigdy nie wypełnimy krypty. Bywało już jednak, że w lutym ustawialiśmy trumny w trzech warstwach, modląc się o odwilż, abysmy mogli zakopać część z nich, zanim będziemy musieli wynajac im lodowe mieszkanie w mieście.

Wujek Carl rozesmiał się, a Louis, poznawszy sekret, którego nie znali nawet nauczyciele na akademii medycznej, także wybuchnął śmiechem.

Podwójne drzwi krypty osadzono w porośniętym trawą zboczku pagórka o kształcie równie naturalnym i czarującym jak kopuła kobiecej piersi. Pagórek ten (Louis podejrzewał, że został on sztucznie stworzony - był po prostu zbyt doskonale symetryczny) wznosił się zaledwie pół metra poniżej ozdobnych szpikulców żelaznego ogrodzenia. Jego szczyt nie był zaokrąglony, lecz spłaszczony.

Louis obejrzał się wokół i pospiesznie wdrapał na górę. Po drugiej stronie rozciągała się pusta parcela, licząca może dwa akry powierzchni.

Nie... nie do końca pusta. Stał na niej samotny budynek, przypominający zwykłą szopę. Pewnie należy do cmentarza, pomyślał Louis. Zapewne tam właśnie przechowują sprzęt i narzędzia.

Latarnie uliczne przeswiecały przez rozkolysane liście szpaleru drzew - starych wiązów i klonów - osłaniających to miejsce od Mason Street. Louis nie dostrzegł tu żadnego innego ruchu.

Zjechał z powrotem na siedzeniu, bojąc się upadku i ponownego zranienia kolana, i powrócił na grob syna, niemal potykając się o brezentowy zawoj. Natychmiast pojął, że będzie musiał pokonać te drogi dwukrotnie, raz z ciałem, a drugi raz z narzędziami. Schylił się, bolesnie krzywiąc twarz, gdy jego plecy zaprotestowały gwałtownie, i chwycił sztywny brezentowy tłumok. Czuł, jak w środku przelewa się ciało Gage'a, i z uporem ignorował tę część swego umysłu, która szeptała do niego bez przerwy, że oszalał.

Zaniósł ciało do stop pagórka, kryjącego w sobie kryptę cmentarna Pleasantview. Podwójne stalowe drzwi sprawiały, że była dziwnie podobna do garażu na dwa samochody. Wiedział, co musi zrobić, jeśli chce wnieść dwudziestokilowy pakunek na strome zbocze, teraz gdy nie miał już sznura (pozalował, że nie zachował go na później, ale nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem), i przygotował się. Cofnął się, po czym wbiegł na zbocze pochylony do przodu, pozwalając, by rozpedził go możliwie jak najdalej. Nim jego stopy poślizgnęły się na krótkiej mokrej trawie, dotarł prawie na szczyt. Padając, cisnął

pakunek jak najdalej od siebie. Zawoj wyladowal niemal na szczycie pagorka. Louis, gramolac sie, pokonal reszte zbocza. Znow sie rozejrzal, nie dostrzegl nikogo i oparl brezentowy zawoj o ogrodzenie. Potem wrocil po reszte swych rzeczy.

Ponownie wspial sie na szczyt pagorka. Wciagnal rekawice i ulozyl latarke, kilof i szpadel obok brezentu. Nastepnie odpoczal, oparty plecami o prety ogrodzenia, z rekami na kolanach. Nowy zegarek elektroniczny, ktory dostal od Rachel na gwiazdke, poinformowal go, ze minela druga zero jeden.

Dal sobie piec minut na pozbieranie sil. Potem przerzucil szpadel nad ogrodzeniem. Uslyszal, jak pada na trawe. Probowal wsunac w spodnie latarke, ale nic z tego nie wyszlo. Przelozyl ja pomiedzy dwoma zelaznymi pretami i sluchal, jak stacza sie w dol zbocza. Mial nadzieje, ze nie wpadnie na kamien i nie stlucze sie. Pozalowal, ze nie zabral plecaka.

Teraz wyjal z kieszeni kurtki rolke tasmey klejacej i przyczepil nia metalowy kraniec kilofa do brezentu, okrecajac raz po raz, zaciskajac tasma na metalowych ramionach kilofa i wokol tlumoka. Robil to, az skonczyla mu sie tasma; pusta rolke wsunal z powrotem do kieszeni. Uniosl pakunek i dzwignal go za ogrodzenie (jego plecy zawrzeszczaly z protestu; wiedzial, ze caly tydzien bedzie placil za wysilki tej nocy), i upuscil go, wzdrygajac sie, gdy uslyszal miekkie plasniecie o ziemie.

Przelozyl noge przez plot, chwycil dwa dekoracyjne waskie ostrza i przerzucil druga noge. Zjechal na dol, wbijajac czubki butow w ziemie miedzy pretami. Potem opadl na trawe.

Zsunal sie po zboczku pagorka i zaczal macac wokol. Natychmiast znalazl szpadel; choc szpaler drzew niemal calkowicie przeslanial swiatlo latarni, jej plomyk zdolal odbic sie od srebrzystego ostrza. Louis przezil kilka okropnych chwil, szukajac latarki. Jak daleko mogla odturlac sie w trawie? Opadl na czworaka, obmacujac geste poszycie. Serce walilo mu jak mlotem, oddech ze swistem wydostawal sie z ust.

Wreszcie ja znalazl: cienki czarny cien, jakies poltora metra od miejsca, w ktorym rozpoczal poszukiwania. Tak jak wzgorze oslaniajace krypte cmentarna, latarke takze zdradzila regularnosc ksztaltow. Chwycil ja, oslonil dlonia zaklejone filcem szkielko i przesunal maly gumowy sutek na raczce, ukrywajacy przelacznik swiatla. Jego dlon rozjarzyla sie na moment i Louis natychmiast zgasil latarke. Dzialala. Scyzorykiem odcial kilof od brezentowego zawoju i zanosl narzedzia pod drzewa. Stanal za najgrubszym pnem, ogladajac sie na obie strony Mason Street. Ulica byla zupełnie pusta. Dostrzegl tylko jedno swiatlo - kwadrat zlocistozoltego blasku w pokoju na gorze. Ktos cierpiacy na bezsennosc badz chory.

Poruszajac sie szybko, lecz nie biegiem, Louis wyszedl na chodnik. Po ciemnosci cmentarza w blasku latarni czul sie okropnie odsloniety. Oto stal zaledwie kilka metrow od drugiego co do wielkosci cmentarzyska w Bangor, z kilofem, szpadlem i latarka w ramionach. Gdyby ktos go teraz zobaczyl, trudno byloby uniknac skojarzen.

Pospiesznie przeszedł przez ulicę; jego obcasy glucho uderzały o asfalt. Dojrzał hondę zaparkowaną zaledwie pięćdziesiąt metrów dalej. Louisowi wydawało się, że dzieli go od niej pięć kilometrów. Złany potem podszedł do samochodu, cały czas nasłuchując odgłosów silników, kroków innych niż własne, czy może zgrzytu otwieranego okna.

Dotarł do hondy, oparł kilof i szpadel obok wozu i zaczął szukać kluczyków. Nie było ich tam, w żadnej kieszeni. Na jego czoło wystąpił świeży pot, serce znowu przyspieszyło biegu. Zaciśnął zęby, dusząc w sobie narastającą panikę.

Zgubił je najprawdopodobniej, skacząc z galezi, kiedy uderzył kolanem o nagrobek i przeturlał się po ziemi. Jego kluczyki leżały gdzieś w trawie. Ale jeśli z takim trudem znalazł latarkę, to jakim cudem je odzyska? To był koniec. Jeden drobny pech, i koniec.

Chwileczkę. Jedną cholerną chwilę. Jeszcze raz sprawdź kieszenie. Masz w nich drobne, a skoro one nie wypadły, to klucze też nie.

Tym razem wolniej sprawdził kieszenie, wyciągając wszystkie drobne i nawet wywracając je na lewą stronę.

Ani śladu kluczy.

Louis oparł się o samochód, zastanawiając się, co dalej. Będzie musiał przejść przez płot, zostawić syna tam, gdzie był, zabrać latarkę, przekręcić się z powrotem i spędzić resztę nocy na bezowocnych poszukiwaniach...

Nagle nasunął mu się nowy pomysł.

Louis schylił się i zajrzał do hondy. Kluczyki tkwiły w stacyjce.

Z jego ust wymknął się cichy pomruk. Potem Louis pobiegł na drugą stronę, szarpnął drzwi i wyciągnął kluczyki. W myślach usłyszał nagle władczy głos ponurego Karla Maldena, z nosem jak kartofel i staroswieckim kapeluszem z szerokim rondem. "Zamykaj samochód. Zabieraj kluczyki. Nie zachęcaj dobrych chłopców do zejścia na złą drogę".

Przeszedł na tył hondy i otworzył bagażnik. Schował do środka kilof, szpadel i latarkę, po czym zatrzęsł tył. Zdążył odejść już piętnaście, dwadzieścia metrów, nim przypomniał sobie o kluczykach. Tym razem zostawił je w zamku bagażnika.

Duren! - wściekał się na samego siebie. Jeśli masz być tak cholernie głupi, to lepiej zapomnij o wszystkim.

Zawrócił i wziął klucze.

Trzymał w ramionach Gage'a i zdolał pokonać już niemal całą Mason Street, gdy gdzieś zaczął szczekać pies. Nie tak po prostu szczekać. Zaczął wyc. Jego donosny skowyt

wypelnil cala ulice. Auuu-RUUU! Auuu-RUUU!

Louis natychmiast schowal sie za drzewem, zastanawiajac sie, co bedzie dalej. Co ma teraz robic? Stal, spodziewajac sie, ze lada moment na calej ulicy rozblyсна swiatla. W istocie zaswiecilo sie tylko jedno, z boku domu dokladnie naprzeciwko miejsca, gdzie Louis ukryl sie wsrod cieni. W chwile pozniej szorstki glos wrzasnal:

-Zamknij sie, Fred! Auuu-RUUU! - odpowiedzial Fred.

-Ucisz go, Scanlon, albo wezwie policje - ryknal ktos z drugiej strony ulicy.

Louis podskoczyl, uswiadamiajac sobie, jak falszywe jest zludzenie pustki i samotnosci. Otaczali go ludzie, setki oczu, a pies atakowal sen, jego jedynego sprzymierzenca. Niech cie diabli porwa, Fred, pomyslal. Niech cie diabli.

Fred rozpoczel kolejny koncert. Zdolal wyspiewac piekne auuu, ale nim przeszedl do donosnego RUUU, rozleglo sie glosne pacniecie, po ktorym nastapila seria cichych piskow i szczekniec.

Lekkie trzasniecie drzwi, a potem cisza. Swiatlo z boku domu Freda plonelo jeszcze przez chwile, po czym zgaslo.

Louis mial potezna ochote zostac w cieniu, zaczekac. Z pewnoscia lepiej bedzie zaczekac, az wszystko ucichnie. Ale zaczynalo brakowac mu czasu.

-Ruszajmy - mruknal.

Dzwigajac tlumok, przeszedl przez ulice i wrocil do hondy. Wokol nie widzial nikogo; Fred takze siedzial cicho. Louis scisnal pakunek jedna reka, wyjal kluczyki, otworzyl bagaznik.

Gage nie chcial sie zmiescic.

Louis probowal ustawic zawoj pionowo, potem poziomo, wreszcie ukosnie. Bagaznik hondy byl po prostu za maly. Mogl jakos wcisnac do niego pakunek - Gage nie mialby nic przeciw temu - ale Louis po prostu nie potrafil zmusic sie do tego.

No dalej! Dalej, dalej, dalej. Wynosmy stad. Nie przeciągajmy struny.

Stal jednak jak oglupialy, wyprany z pomyslow. W ramionach trzymal pakunek z ciałem syna. Nagle uslyszal dzwiek nadjezdżającego samochodu i bez namyslu zaniosl brezentowy tlumok na druga strone. Otworzył drzwi i ustawil go na fotelu pasazera, zginajac w miejscach, gdzie, jak sadzil, Gage mial talie i kolana.

Zatrzaskal drzwi, przebiegl na tyl hondy i zamknal bagaznik. Samochod, nie zwalnijac, przejechal przez skrzyzowanie i Louis uslyszal pijackie okrzyki. Usiadl za kierownica,

uruchomił silnik i siegał właśnie po włącznik reflektorów, gdy przyszła mu do głowy potworna myśl: A jeśli Gage tkwił w fotelu twarzą do tyłu, ze stawami biodrowymi i kolanowymi wykreconymi w złą stronę, a jego zapadnięte oczy, zamiast przez przednią, wyglądają przez tylną szybę?

To nie ma znaczenia, odparł jego umysł z wściekłością zrodzoną z wyczerpania. Wbijesz to sobie wreszcie do głowy? To po prostu nie ma znaczenia.

Ależ ma! To ma znaczenie. To jest Gage, nie klub reczników.

Wyciągnął rękę i łagodnie zaczął obmacywać dłońmi brezentową powłokę, wyczuwając ukryte pod nią kształty. Wyglądał jak ślepiec, próbujący ustalić, na co się natknął. W końcu natrafił na coś wystającego, co mogło być tylko nosem Gage'a - zwróconym we właściwą stronę.

Dopiero wtedy Louis zdołał zmusić się do wrzucenia biegu i wyruszenia w dwudziestopięciminutową drogę powrotną do Ludlow.

52.

O pierwszej w nocy Juda Crandalla obudził przeraźliwy dzwonek telefonu, dzwiczący ogłuszająco w pustym domu. Jud drzemal i nawiedził go sen. Znow miał dwadzieścia trzy lata. Siedział na ławce w szopie z narzędziami na kolei wraz z George'em Chapinem i Rene Michaudem. Podawali sobie z rak do rak butelkę whisky Georgia Charger - podrasowanego samogonu ze znaczkiem skarbowym - a na zewnątrz dmuchał wiatr z północnego wschodu, ze skowytami smigając nad ziemią i uciszając wszystko, co odważyło się poruszyć, łącznie z ciężkimi kolejowymi maszynami z BA. Siedzieli zatem wokół pekatego piecyka i pili, patrząc, jak widoczne za płytą z miki czerwone płomienie rzucają ukosne plamy światła na podłogę, i opowiadali sobie historie, które mężczyźni kryją wewnątrz latami, niczym tanie skarby ukrywane przez chłopców pod łózkami, historie zachowywane na noce takie jak ta. Podobnie jak blask rozżarzonego piecyka, były to mroczne opowieści, kryjące w sobie czerwone, rozpalone jądrowe historie spowite w płaszcz wiatru. Miał dwadzieścia trzy lata, Norma wciąż żyła (choć obecnie leżała sama w łóżku; wąpił, by spodziewała się go tej szalonej nocy), a Rene Michaud opowiadał anegdotę o żydowskim handlarzu w Bucksport, który... I wtedy zadzwonił telefon. Jud gwałtownie szarpnął się w fotelu; skrzywił się, gdy zeszywniałe mięśnie karku zaprotestowały. Czuł, jak przygniata go nieznosny ciężar - to wszystkie te lata, pomyślał. Lata pomiędzy dwudziestym trzecim rokiem życia a osiemdziesiątym, w sumie pięćdziesiąt siedem, które spadły na niego w jednej chwili. A po tej myśli przyszła następna. Spales, chłopie. Nie tak kieruje się ta kolejka... Nie dziś w nocy.

Wstał, wyprostowany mimo sztywnych pleców, i podszedł do telefonu.

To była Rachel.

-Halo?

-Jud? Czy on już wrócił?

-Nie - odparł Jud. - Rachel, gdzie jesteś? Wydaje się, jakbyś była bliżej.

-Jestem bliżej - odparła Rachel. I choć rzeczywiście jej głos dochodził jakby z niedaleka, drut przynosił też wyraźny pomruk: odgłos wiatru, gdzieś pomiędzy domem w Ludlow a miejscem, gdzie się znalazła. Tej nocy wiatr był naprawdę silny. Jego szum zawsze przywodził Judowi na myśl martwe głosy, wzdychające unisono, może nawet śpiewające coś tuż poza zasięgiem słuchu. - Dokładnie na zjeździe w Biddeford, na autostradzie stanowej Maine.

-Biddeford!

-Nie mogłam zostać w Chicago. Mnie też to dopadło... cokolwiek wstąpiło w Ellie, dosięgło również mnie. Ty też to czujesz. Słyszysz to w twoim głosie.

-Ano. - Wyjął z paczki chesterfielda i wsunął go w kącik ust. Zapalił drewnianą zapalke i przez moment obserwował migotliwy płomyk. Jego dłoń drżała. Nigdy wcześniej nie trzęsły się mu dłonie, a przynajmniej nie przed tym koszmarem. Na zewnątrz mroczny wiatr zaskowycał, pochwycił rekami dom i potrzaskał nim.

Jego moc rośnie. Czuje to.

Mroczna groza w starych kosiach, niczym delikatny szklany bibelot, lekki, kruchy.

-Jud, proszę, powiedz mi, co się dzieje.

Przypuszczał, że miała prawo wiedzieć - powinna wiedzieć. I chyba jej powie. W końcu opowie jej całą historię, pokaże lancuch, wykuty ogniwo po ogniwie. Atak serca Normy. Śmierć kota. Pytanie Louisa - czy ktokolwiek pogrzebał tam kiedyś człowieka? Śmierć Gage'a... a Bog jeden wie, jakie następne ogniwo mógł w tej chwili wykować sam Louis. W końcu jej powie, ale nie przez telefon.

-Rachel, czemu jesteś na autostradzie zamiast w samolocie?

Wyjaśniła, jak spóźniła się na samolot w Bostonie.

-Wynajęłam samochód w Avisie, ale nie jadę tak szybko, jak sądziłam. Zabłądziłam w drodze z lotniska na autostradę i dopiero teraz przekroczyłam granicę Maine. Wątpię, bym dotarła na miejsce przed switem. Ale Jud... proszę, proszę powiedz mi, co się dzieje. Tak bardzo się boję i nie wiem nawet czego.

-Rachel, posłuchaj mnie - rzekł Jud. - Dojedź do Portland i zrób sobie przerwę.

Zrozumiałas? Zamelduj się w motelu i...

-Jud, nie mogę tego...

-I przespój się. Bez obaw, Rachel. Może dziś coś się zdarzy, a może i nie. Jeśli tak - i jeśli będzie to to, o czym myślę - wówczas i tak wolałabym tu nie być. Sam potrafisz się tym zająć. Lepiej, żeby tak było, bo wszystko, co się dzieje, to moja wina. Jeśli nic się nie stanie, dotrzesz tu po południu. Myślę, że Louis ucieszy się na twój widok.

-Nie zdołałabym zasnąć tej nocy, Jud.

-Tak - odrzekł i uzmysłowił sobie, że on także tak sądził; do diabła, Piotr pewnie też tak myślał w noc, kiedy aresztowano Jezusa. Sen na warcie.

-Owszem, możesz. Rachel, jeśli zasniesz za kierownicą wynajętego samochodu, zjedziesz z drogi i zabijesz się, co będzie z Louisem? I z Ellie?

-Powiedz mi, co się dzieje? Jeśli mi to powiesz, Jud, może posłucham twojej rady, ale muszę wiedzieć.

-Kiedy dotrzesz do Ludlow, chce, żebyś przyjechała najpierw tutaj - powiedział Jud. - Nie do waszego domu. Wtedy opowiem ci wszystko, co wiem, Rachel. A tymczasem będę czekał na Louisa.

-Powiedz mi! - błagała.

-Nie, proszę pani. Nie przez telefon. Nie mogę, Rachel. A teraz jedź już. Zatrzymaj się w Portland i przespój.

Przez chwilę w słuchawce panowała długa, pełna namysłu cisza.

-Zgoda - oznajmiła w końcu Rachel. - Rzeczywiście miałam problemy z sennością. Może masz rację, Jud, ale powiedz mi jedno. Powiedz, jak jest źle.

-Dam sobie radę - odparł spokojnie Jud. - Gorzej już raczej nie będzie.

Na zewnątrz pojawiły się reflektory samochodu, wolno poruszały się w mroku. Jud na wpol podniósł się z krzesła, obserwując je, a potem znowu usiadł, gdy przyspieszyły obok domu Creedów i zniknęły mu z oczu.

-Dobrze - powiedziała. - Chyba masz rację. Myśl o dalszej jeździe ciąży mi w głowie jak kamień.

-Zrzuć z siebie ten kamień, moja droga. Proszę, zachowaj siły na jutro. Tu nic się nie stanie.

-Obiecujesz, że opowiesz mi wszystko?

-Tak. Napijemy się piwa i usłyszysz całą historię.

-Do widzenia zatem - powiedziała Rachel. - Na razie.

-Na razie - zgodził się Jud. - Do zobaczenia jutro, Rachel. - Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, odwiesił słuchawkę.

Zdawało mu się, że w szafce z lekarstwami powinny być tabletki kofeiny, ale nie mógł ich znaleźć. Nie bez zalu odstawił resztę piwa do lodówki i zamiast tego zaparzył sobie kubek czarnej kawy. Zaniósł go do okna i znowu usiadł, sacząc gorący płyn i obserwując drogę.

Kawa i rozmowa z Rachel pobudziły go na trzy kwadransy, potem jednak znowu zaczął przysypiać.

Tylko bez spania na służbie, starcze. Pozwóliles, by cie opanowało. Kupiles coś, a teraz musisz zapłacić. Więc nie ma mowy o spaniu.

Zapalił następnego papierosa, głęboko zaciągnął się dymem i zakrztusił. Z jego ust dobył się chrapliwy starczy kaszel. Odłożył papierosa w zagłębienie popielniczki i rękami potarł oczy. Na zewnątrz, po drodze, przemknęła wielka ciężarówka. Jej światła rozbłysły w mroku wietrznej, niespokojnej nocy.

Znowu przyłapał się na tym, że przysypia. Gwałtownie otrząsnął się i uderzył się w twarz, z jednej, z drugiej strony, aż zadzwoniło mu w uszach. W jego sercu odezwała się groza, podstępny gość, który wtargnął w najtajniejsze miejsce ducha.

To mnie usypia... hipnotyzuje... czy coś takiego. Nie chce, żebym czuwał, bo on wkrótce wróci. O, tak, czuje to. A to miejsce chce, bym do tego czasu wypadł z gry.

-Nie - powiedział ponuro. - Nie ma mowy. Słyszysz mnie? Wreszcie to zakończ. Sprawy i tak zaszły za daleko.

Wiatr zawodził wokół gontów. Drzewa po drugiej stronie drogi potrasały liśćmi w powolnym hipnotycznym rytmie. Jego myśli powróciły do owej nocy przy piecyku w szopie z narzędziami, która stała w miejscu, gdzie teraz w Brewer wznosi się sklep z meblami Ewardsa. Przegadali całą noc - on, George i René Michaud. A teraz z całej trójki pozostał już tylko on. René zginał, zmiażdżony pomiędzy dwoma wagonami towarowymi, w burzliwej marcowej nocy w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym. George Chapin w zeszłym roku zmarł na atak serca. Z tak wielu pozostał tylko on sam, a na starość ludzie głupieją. Czasami skrywają swą głupotę pod maską łagodności i uprzejmości, a czasami dumy - dumy, która każe zdradzać stare sekrety, przekazywać wiedzę, przelewać ze starej szklanki do nowej i...

I ten żydowski handlarz zjawił się u nas i mówi: Mam coś, czego jeszcze nie widzieliście. Te kartki wyglądają zupełnie jak kobity w kostiumach kąpielowych, poki nie przetrzesz ich mokra

scierka, a wtedy...

Głowa Juda opadła. Jego podbródek powoli, łagodnie oparł się na piersiach.

...wtedy robia się gołe, jak je Pan Bog stworzył. Ale gdy wyschną, ubrania wracają na miejsce. A to jeszcze nie wszystko. Mam...

Rene opowiadał swoją historię w szopie, nachylając się naprzód ze śmiechu, a Jud trzymał butelkę - czuł butelkę i jego dłonie zamknęły się w powietrzu. W popielniczce kawałek popiołu na koncu papierosa stawał się coraz dłuższy. W koncu papieros wpadł do środka i wypalił się, pozostawiając po sobie walek popiołu, wyraźny niczym znak runiczny. Jud spał.

A kiedy jakieś czterdzieści minut później na zewnątrz rozbłysły tylne światła i Louis skreślił swoją hondę na podjazd przed domem i wprowadził ją do garażu, Jud nie obudził się, nawet nie drgnął, tak samo jak Piotr, gdy rzymscy żołnierze pojawili się, by aresztować włościanę imieniem Jezus.

53.

Louis znalazł w kieszeni w kuchni nową rolkę taśmy klejącej, a w rogu garażu obok starych opon śnieżnych tkwił zwoj liny. Użył taśmy, by związać razem kilof i szpadel. Z liny uplotł szeroką pętlę. Narzędzia na pętli. Gage w ramionach.

Zarzucił pętlę na plecy. Otworzył drzwi hondy od strony pasażera i wyciągnął brezentowy pakunek. Gage był znacznie cięższy niż Church. Możliwe, że zanim dotaszczy go na cmentarzysko Micmaców, będzie już pelzał ze zmęczenia - a wciąż pozostanie jeszcze kwestia wykopania grobu, przebicia się przez kamienista, bezlitosna ziemia.

Nieważne. Poradzi sobie. Jakos sobie poradzi.

Louis Creed wyszedł z garażu, po drodze łokciem gasząc światło. Przez moment przystanął w miejscu, gdzie asfalt ustępował miejsca trawie. Przed sobą wyraźnie, mimo panującego mroku, widział ścieżkę wiodącą na Cmentarz Zwierząt. Krótko przycięta trawa lśniła niezdrowym blaskiem.

Palce wiatru szarpały i przeczesywały mu włosy. Przez moment powrócił stary, dziecięcy lęk przed ciemnością, który sprawił, że Louis poczuł się mały, słaby i przerażony. Czy naprawdę zamierzał pojsć do lasu z trupem w ramionach? Przejsć pod drzewami, tam gdzie stąpa tylko wiatr, z ciemności w mrok? Naprawdę chciał zrobić to sam?

Nie myśl o tym. Po prostu to zrób.

Louis ruszył naprzód.

Gdy dwadzieścia minut później dotarł na Cmentarz Zwierząt, ręce i nogi dygotały mu ze

zmeczenia. Osunął się na ziemię, dysząc, z brezentowym zawojem na kolanach. Odpoczywał tam kolejnych dwadzieścia minut, niemal drzemiąc. Nie czuł już strachu - najwyraźniej przegnało go znużenie.

Wreszcie znów dzwignął się, nie wierząc, że zdoła pokonać wiatrolom, lecz z tępo obojętną świadomością, że musi spróbować. Pakunek w jego ramionach zdawał się ważyć sto kilo zamiast dwudziestu.

Jednak to, co stało się kiedyś, powtórzyło się i teraz. Zupełnie jakby przypomniał sobie dawny sen. Nie, nie przypomniał - przeżył go od nowa. Gdy postawił stopę na pierwszym martwym pniu, znów ogarnęło go dziwne uczucie, niemal szalencze podniecenie. Zmęczenie nie zniknęło, lecz stało się znosne - nieważne.

Po prostu idź za mną. Idź za mną i nie patrz w dół. Nie wahaj się i nie patrz w dół. Znam drogę, ale musimy działać szybko i pewnie.

Szybko i pewnie. O, tak - tak samo jak Jud, kiedy wyjął zadło.

Znam drogę.

Ale istniała tylko jedna droga, pomyślał Louis. Albo cie przepuściła, albo nie. Kiedyś próbował już sam wspiąć się na wiatrolom i nie zdołał. Tym razem dokonał tego szybko i pewnie, tak jak owej nocy, gdy Jud pokazał mu drogę.

W górę i w górę, nie patrzac w dół. Tuląc do siebie ciało syna, zawinięte w brezentowy calun. W górę, poki wiatr znów nie zaczął wytyczać sobie tajemnych komnat i korytarzy pośród jego włosów, szarpiąc nimi i rozdzielając tam i z powrotem. Przez moment zatrzymał się na szczycie, po czym szybko zszedł na drugą stronę jak po zwykłych schodach. Kilof i szpadel pobrzekiwały mu głucho na plecach. Po minucie stał już na sprezystej, zasłanej jodłowymi szpilkami ścieżce; wiatrolom wznosił się za jego plecami, potężny i masywny, wyższy niż ogrodzenie cementarza.

A potem ruszył ścieżką ze swym synem, nasłuchując jęków wiatru wśród drzew. Dźwięk owego nie budził już w nim strachu. Nocne dzieło prawie się dokonało.

54.

Rachel Creed minęła tablicę z napisem: ZJAZD 8 W PRAWO PORTLAND WESTBROOK, włączyła kierunkowskaz i skierowała chevettę z Avisu w stronę slimaka. Na tle nocnego nieba widziała wyraźny neon Holiday Inn. Łozko. Sen. Koniec dreczacego, nieznosnego, tajemniczego napięcia. Koniec też - przynajmniej na jakiś czas - bolesnej pustki, pozostawionej przez dziecko, które odeszło. Odkryła, iż ból owego przypomina uczucie po usunięciu zęba. Z początku nie czuje się nic, lecz nawet wtedy, poprzez odretwienie, można dostrzec ból skulony niczym kot wymachujący ogonem; czekający na to, by się obudzić - a kiedy znieczulenie ustępuje, wszystkie oczekiwania sprawdzają się z nawiązką. Powiedział

jej, że przysłano go z ostrzeżeniem... ale że nie może ingerować. Powiedział, że był blisko taty, bo byli razem, gdy jego dusza oderwała się od ciała.

Jud wie, ale nic mi nie powie. Coś się dzieje. Ale co?

Samobójstwo? Czy to samobójstwo? Nie Louis, nie wierze. Ale kłamał. Widziałam to w jego oczach... do diabła, w całej twarzy. Zupełnie jakby chciał, abym to dostrzegła... dostrzegła i powstrzymała go... W głębi duszy bał się... tak bardzo się bał.

Bał się? Louis nigdy się nie boi!

Nagle gwałtownie szarpnęła kierownicę chevette, skrecając w lewo. Samochód zareagował natychmiast, jak zwykle małe wozy. Opony zapisały na asfalcie. Przez moment Rachel miała wrażenie, że się wywróci, potem jednak wóz wyrównał bieg i w chwili później znowu jechała na północ, pozostawiając za sobą zjazd numer 8, z kojącym neonem Holiday Inn. Przed jej oczami pojawił się nowy znak. Odblaskowa farba polyskiwała niesamowitym światłem. NASTĘPNY ZJAZD TRASA 12 CUMBERLAND CENTRUM CUMBERLAND JERUSALEM FALMOUTH FALMOUTH FORESIDE.

Jerusalem, pomyślała przelotnie Rachel. Co za dziwna nazwa. Z jakichś przyczyn wydawała się nieprzyjemna. "Przybadz i zasnij w Jerusalem".

Ona jednak nie będzie spała tej nocy. Mimo rady Juda zamierzała jechać prosto do domu. Jud wiedział, co się dzieje i przyrzekł, że wszystko załatwi, ale miał przecież osiemdziesiąt parę lat, i zaledwie trzy miesiące wcześniej stracił żonę. Nie mogła w pełni mu zaufać. Nigdy nie pozwoliłaby Louisowi wyrzucić się tak z domu, gdyby nie osłabiła jej śmierć Gage'a. Ellie z fotografią przedstawiającą Gage'a i napiętą twarz - twarz dziecka, które przeżyło atak trąby powietrznej bądź nagle bombardowanie, piorun z jasnego nieba. Czasami podczas owej mrocznej nocy pragnęła zniechęcić Louisa za rozpacz, którą splodził w jej ciele, i za to, że nie pocieszył jej, gdy tego potrzebowała (ani nie pozwolił ukończyć się pociecha, którą pragnęła mu dać), lecz nie mogła. Wciąż za bardzo go kochała. A jego twarz była taka blada... taka czujna.

Strzałka prędkościomierza chevette znieruchomiała tuż na prawo od dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Półtora kilometra na minutę. Dwie godziny piętnaście minut do Ludlow. Może jednak zdąży tam przed świtem.

Sięgała do galki radia, włączyła je, znalazła rockandrollową stację w Portland. Zrobiła głośniej i zaczęła śpiewać, próbując w ten sposób się ocucić. Po pół godziny stacja zaczęła cichnąć, zanikac. Rachel przestroiliła radio na radiostację w Augustie i otworzyła okno, wpuszczając do środka niespokojne nocne powietrze.

Zastanawiała się, czy ta noc kiedykolwiek się skończy.

Louis na nowo odkrył swój sen i pozwolił mu opanować się bez reszty. Co kilka chwil spuszczał wzrok, by się upewnić, że dzwiga ciało zawinięte w brezent, nie trupa w zielonym foliowym worku. Przypominał sobie, jak obudził się rankiem po tym, gdy Jud zabrał go tu z Churchem, i ledwie pamiętał, co zrobili - teraz jednak pamięta także, jak ożywione były wówczas jego zmysły, jak wyraźne stawały się wszystkie wrażenia; jak jego umysł siegał naprzód, dotykając drzew, jakby one również żyły i nawiązywały telepatyczny kontakt z jego mózgiem. Podążał ścieżką w górę i w dół, odkrywając na nowo miejsca, w których zdawała się szeroka niczym trasa numer 15, i te, gdzie zwężała się tak, że musiał iść bokiem, by brezentowy pakunek nie zaplatał się w krzakach; miejsca, na których drożka zaglebiała się pomiędzy wyniosłe niczym katedry pnie drzew. Czuł w powietrzu ostrą won sosnowej żywicy. Słyszał dziwny chrzęst igieł pod stopami - odgłos będący bardziej uczuciem niż dźwiękiem.

Wreszcie ścieżka zaczęła stromiej opadać w dół. Po jakimś czasie jego stopa natrafiła na cienką warstwę wody i zanurzyła się w czymś lepkiem i gęstym - ruchomych piaskach, jeśli miał wierzyć Judowi. Louis spuścił wzrok i ujrzał wodę stojącą pomiędzy kępami trzciny i niskimi, paskudnymi krzewami, o liściach tak szerokich, że niemal tropikalnych. Pamiętał, że tamtej nocy powietrze także zdawało się jaśniejsze, bardziej naladowane, elektryczne.

Następny kawałek trochę przypomina wiatrolom. Musisz iść prosto i bez wahania. Po prostu rob to, co ja, i nie patrz pod nogi.

Jasne... A tak przy okazji, czy widziałeś kiedyś w Maine podobne rośliny. W Maine bądź gdziekolwiek indziej? Co to jest, na Boga?

Nieważne, Louis. Po prostu ruszajmy.

Znow podjął wędrowkę. Patrząc pod nogi na podmokłą, bagienną roślinność - tylko przez moment, wystarczający, by dostrzec pierwszą kępę trawy, a potem spoglądał jedynie przed siebie. Jego stopy przeskakiwały z jednej wysepki na drugą. Wiara to przyjęcie przyciągania ziemskiego jako czegoś oczywistego. Nie usłyszał tych słów podczas zajęć z teologii czy filozofii w college'u, lecz w liceum, gdy nauczyciel fizyki wypowiedział je mimochodem pod koniec zajęć. Louis nigdy ich nie zapomniał.

Zaakceptował zdolność cmentarzyska Micmaców do wskrzeszania umarłych i zaglebił się w Moczary Małego Boga, trzymając w ramionach syna i nie oglądając się za siebie. Na bagnach panował znacznie większy hałas niż wówczas, pod koniec jesieni. Wśród trzciny śpiewały rzekotki. Ich piskliwy chor wydał się Louisowi obcy i wrogi. Od czasu do czasu z gardła zaby dobywał się odgłos przypominający dźwięk szarpniętej gumy. Po jakichś dwudziestu krokach ku Louisowi smignał dziwny cien. Może był to nietoperz.

Z ziemi unosiła się mgła. Najpierw spowila tylko jego stopy, potem łydki, aż w końcu zamknęła go całego w przejrzystej, białej kapsule. Miał wrażenie, że tutejsze światło jest jaśniejsze i pulsuje w rytm bicia jakiegoś niesamowitego serca. Nigdy wcześniej nie czuł tak

silnie obecności natury jako siły łączącej w sobie wszystko, prawdziwej istoty... może nawet rozumnej. Moczary żyły, lecz nie wypełniał ich dźwięk muzyki. Gdyby ktoś zazałał, by Louis określił owo uczucie, opisał naturę owego dziwnego życia, nie potrafiłby tego uczynić. Wyczuwał w nim jednak mnóstwo możliwości i ogromną siłę. W porównaniu z nim Louis czuł się bardzo mały i wyjątkowo śmiertelny.

I wówczas rozległ się dźwięk. Louis przypomniał go sobie z poprzedniej wyprawy: wysoki, jękiwy śmiech, który przerodził się w szloch. Na moment zapadła cisza, po czym śmiech powtórzył się, tym razem wnosząc się w upiornym pisku, który zmroził krew w żyłach Louisa. Mgła unosiła się sennie wokół. Śmiech ucichł, pozostawiając jedynie szum wiatru; Louis słyszał wicher, ale już jej nie czuł. Oczywiście; znajdował się przecież w geologicznym zagłębieniu w ziemi. Gdyby wiatr zdołał tu przeniknąć, rozdarłby mgłę na strzępy - a Louis nie był pewien, czy chciałby zobaczyć to, co mogło ukazać się wówczas jego oczom.

Możesz usłyszeć dźwięki przypominające głosy, ale to tylko nury na południu Wzgórza Widokowego. Dźwięk daleko się niesie. Jest dziwny.

-Nury - powiedział głosem Louis, i ledwie rozpoznał ochryplą, niemal upiorną dźwięk własnego głosu.

Zawahał się chwilę, po czym ruszył naprzód. Jakby chcąc ukarać go za te chwile wahania, jego stopa zśliznęła się z następnej kępy i o mało nie stracił buta. W ostatniej chwili wyrwał go z zachłannej mazi, skrytej pod płytka woda.

Głos ow - jeśli to był głos - odezwał się ponownie, tym razem z lewej strony. Chwilę później zabrzmiał za jego plecami... tuż za jego plecami, i Louis poczuł, że gdyby się odwrócił, ujrzałby skapaną w krwi istotę, stojącą pół metra za nim. Lśniące oczy, wyszczerzone zęby... Lecz tym razem nawet nie zwołał. Patrzył wprost przed siebie i szedł naprzód.

Nagle mgła jakby przygasła i uswiadomił sobie, że w powietrzu przed nim wisi twarz wykrzywiona w obłakanczym uśmiechu. Jej oczy, skosne jak na klasycznych, chińskich malowidłach, miały barwę głębokiej żółci i szarości, zapadnięte i lśniące. Usta wygięły się w śmiertelnym grymasie. Wywrocona dolna warga ukazywała zęby, czarnobrazowe i sprochniałe niemal do pieńków. Louisa jednak najbardziej uderzyły uszy, które w istocie nie były uszami, lecz zakrzywionymi rogami - nie diabła, ale barana.

Ta upiorna, szybująca w powietrzu głowa zdawała się coś mówić - śmiać się. Jej usta poruszały się, choć wywrocona dolna warga nigdy nie powróciła na właściwe miejsce. Odsłonięte żyły pulsowały czernią. Nozdrza poruszały się jak żywe, wyrzucając z siebie białe obłoczki pary.

Gdy Louis zbliżył się do niej, z ust głowy wysunął się język: długi, brudnożółty i spiczasty. Pokrywały go obłazące łuski. Na oczach Louisa jedna z nich odskoczyła niczym pokrywa

wlazu i ukazal sie pod nia biały robak. Czubek języka kolysal sie leniwie w powietrzu, nieco ponizej miejsca, gdzie powinno znajdowac sie jablko Adama. Glowa smiala sie.

Louis przytulil mocniej do piersi Gage'a, jakby chcial go obronic. Zachwial sie i jego stopy zaczely zsuwac sie z trawiastej kepy, nie znajdujac oparcia.

Mozesz zobaczyc ognie swietego Elma; marynarze nazywaja je biednymi ognikami. Przybieraja zabawne ksztalty, ale to nic wielkiego. Jesli dostrzezesz jakies ksztalty i nie spodobaja ci sie, po prostu odwroc wzrok...

Glos Juda rozbrzmiewajacy w glowie dodal mu sil. Louis znow pewniej ruszyl naprzod. Z poczatku chwial sie, wktotce jednak odzyskal rownowage. Nie odwrocil wzroku, dostrzegl jednak, iz twarz - jesli w ogole byla twarza, a nie zluda, wytworem mgly i jego wlasnego umyslu - zdawala sie zawsze utrzymywac w stalej odleglosci. W kilka sekund, moze minut pozniej po prostu rozplynela sie we mgle.

To nie byt ogien swietego Elma.

Nie, oczywiscie, ze nie. W miejscu tym roilo sie od duchow, wrecz od nich wibrowalo. Czlowiek mogl sie obejrzec i ujrzec cos, co doprowadziloby go do obledu. Lepiej o tym nie myslec. Nie ma powodu, by zastanawiac sie nad tym. Nie ma powodu...

Cos sie zblizalo.

Louis zamarl, sluchajac owego odglosu... nieublaganie zblizajacego sie dzwieku. Jego usta otwarly sie, jakby wszystkie miesnie podtrzymujace szczeki po prostu zniknely.

Byl to dzwiek nieprzypominajacy niczego, co slyszal w zyciu - zywy, potezny odglos. Rozlegal sie gdzies w poblizu i zblizal coraz bardziej. Galezie pekaly z loskotem. Towarzyszyl mu trzask i szmer krzakow, zalamujacych sie pod niewyobrazalnie wielkimi stopami. Galaretowata ziemia pod nogami Louisa zaczela dygotac do wtoru krokow. Uswiadomil sobie, ze jeczy

(o moj Boze, dobry Boze, coz takiego zbliza sie do mnie przez mgle?)

i znow przyciska do piersi Gage'a. Zorientowal sie, iz rzekotki i zaby umilkly. W gestym, wilgotnym powietrzu rozszedl sie niesamowity, mdlacy smrod, przypominajacy ciepla, zepsuta wieprzowine.

Cokolwiek to bylo, bylo wielkie.

Oszolomiona, przerazona twarz Louisa wznosila sie coraz wyzej, jak u czlowieka podazajacego wzrokiem za wystrzelona rakietą. To cos zblizalo sie z loskotem. Nagle rozlegl sie ogluszajacy trzask drzewa - nie galezi, calego drzewa - padajacego w poblizu.

I wtedy Louis coś ujrzał.

Na moment wśród mgły pojawiła się ciemniejsza szarosina sylwetka, niewyraźna plama, mająca ponad dwadzieścia metrów wysokości. Nie był to cień czy bezcielesny duch.

-Louis czuł na twarzy powiew powietrza towarzyszący jego przejściu. Słyszał ogłuszający huk stop opadających na ziemię, mlaskanie błota, gdy odrywały się i wznosiły.

Przez sekundy wydawało mu się, że wysoko w górze dostrzega bliźniacze pomarańczowożółte iskielki. Iskielki przypominające oczy.

A potem dźwięk zaczął cichnąć. Gdy oddalił się nieco, wśród drzew niesmiało odezwała się rzekotka. Odpowiedziała jej druga. Trzecia dołączyła do zabieg rozmowy. Czwarta zmieniła rozmowę w dyskusję, piąta i szósta w konferencję. Odgłosy przejścia owej istoty (powolne, lecz nieprzypadkowe. Może to właśnie było najgorsze: owo poczucie, że to coś poruszało się świadomie) oddalały się na północ. Były ciche... coraz cichsze... aż w końcu zniknęły.

Wreszcie Louis znów ruszył naprzód. Jego ramiona i plecy były jednym zamrożonym morzem bólu. Od szyi po kostki pokrywał go płaszcz potu, ciasny i gorący. Pierwsze wiosenne komary, nowo wyklute i głodne, odnalazły go i wpadły na pozna przekaske.

Wendigo! Chryste Panie, to był Wendigo, istota, która wędruje przez północne ziemie, istota, która może cię dotknąć i zamienić w kanibala. To było to. Wendigo przeszedł właśnie pięćdziesiąt metrów ode mnie.

Nie bądź śmieszny, upomniał się duch. Bądź jak Jud, unikaj myśli o tym, co można zobaczyć bądź usłyszeć poza Cmentarzem Zwierząt - są tam nury, ogień świętego Elma, może nawet członkowie drużyny nowojorskich Yankees. Wszystko, byle nie stworzy, które skaczą, pełzają i wiją się w świetle pomiędzy. Niechaj istnieje Bóg, niedzielne poranki i uśmiechnięci księża w Isniaco białych ornatach. Lecz nie owe mroczne, upiorne koszmary, ukryte w ciemnościach wszechświata.

Louis szedł dalej ze swym synem. Po jakimś czasie ziemia pod stopami stwardniała. Chwile później dotarł do zwałonego drzewa. W rozwiewającej się mgłę jego korona przypominała szarozieloną pierzastą szczotkę, porzuconą przez olbrzymią gospośnię.

Drzewo było złamane - strzaskane - a pęknięcie tak świeże, że z żółtobiałego miazgu wciąż jeszcze wyciekał sok. Louis czuł jego ciepło pod palcami, kiedy wdrapywał się na pień - a po drugiej stronie ujrzał potworne zagłębienie w ziemi, z którego musiał się wygrzmolić. I choć krzaki jałowca i wawrzyny zostały wgniecione w ziemię, nie dopuścił do siebie myśli, iż może to być odcisk stopy. Oddalwszy się nieco, mógł oczywiście odwrócić się i spojrzeć z góry, by sprawdzić, czy ma odpowiedni kształt, lecz nie zrobił tego. Szedł dalej z lodowatą skórą, suchymi, palącymi ustami i bijącym sercem.

Wkrotce mlaskanie blota pod stopami ucichlo. Przez jakis czas znow slyszal cichy chrzest jodlowych szpilek, a potem dotarl do skal. Byl juz prawie na miejscu.

Grunt zaczal wznosic sie coraz szybciej. Nagle jego lydka bolesnie uderzyla w skalny wystep, ale nie byl to zwykly kamien. Louis niezdarnie wyciagnal reke (zesztywnialy lokiec zaplonal przelotnym bolem) i dotknal go.

Sa tu stopnie wyciete w skale. Idz za mna. Kiedy wejdziemy na szczyt, bedziemy na miejscu.

Totez zaczal sie wspinac i podniecenie powrocilo, raz jeszcze odsuwajac zmeczenie... przynajmniej odrobine. W myslach liczyl kolejne stopnie, wznoszac sie ku mroznym wyzynom i z powrotem zanurzajac w nigdy niecichnaca rzeke wiatru, teraz silniejsza, szarpiaca jego ubraniem i z trzaskiem atakujaca spowijajacy Gage'a brezent, ktory lopotal niczym wciagniety na maszt zagiel.

Raz jeden Louis odchylił głowę i ujrzał plonaca na niebie szalencza orgie gwiazd. Nie dostrzegł zadnych znajomych konstelacji i poruszony odwrocil wzrok. Skalna sciana tuż obok niego, nie gladka, lecz spekana, pofalowana i zwietrzala, przybierala rozne ksztalty - tu lodzi, tam borsuka, owdzie ludzkiej twarzy o zapadnietych, frasobliwych oczach. Tylko wyciete w kamieniu stopnie pozostawaly gladkie.

Louis dotarl na szczyt i zatrzymal sie tam ze spuszczona glowa. Chwial sie na nogach, z ust ze swistem ulatywal oddech. Pluca bolaly go niczym zmaltretowane boksterskie worki, w bok wbijala sie drzazga bolu.

Wiatr tanczyl mu we wlosach niczym tancerka; ryczal w uszach jak smok.

Tej nocy tutejsze swiatlo bylo jasniesze. Poprzednim razem niebo zasnuly chmury, a moze po prostu nie zwracal uwagi? Niewazne; teraz widzial i to, co ujrzal, wystarczylo, by po plecach Louisa przebiegl kolejny dreszcz.

Miejsce to wygladalo jak Cmetarz Zwiezat.

Oczywiscie, wiedziales przeciez, szepnal jego umysl, gdy Louis przygladal sie stosom kamieni, niegdys tworzacym kopce. Albo powinienes byl wiedziec; nie koncentryczne kregi, lecz spirala...

Owszem. Tu, na szczycie kamiennego plaskowyzu, zwrocona ku lodowatym gwiazdom i czarnym przestrzeniom miedzy nimi widniala gigantyczna spirala, stworzona, jak powiedzieliby starsi ludzie, roznorakimi rekami. Jednakze nie skladaly sie na nia kopce. Kazdy z nich zostal rozsadzony od srodka, gdy cos pogrzebanego pod nim powrocilo do zycia... i wykopalo sie z ziemi. To same kamienie upadly tak, by utworzyc wyrazny ksztalt spirali.

Czy ktokolwiek widział to miejsce z powietrza? - zastanowił się przelotnie Louis i pomyślał o pustynnych rysunkach, które jakiś szczep Indian pozostawił po sobie w Ameryce Południowej. Czy ktoś oglądał to kiedyś z powietrza? A jeśli tak, ciekawe, co sobie pomyślał?

Ukląkł i z jękiem ulgi położył ciało Gage'a na ziemi. Wreszcie zaczęła wracać mu świadomość. Scyzorykiem rozciął taśmę oplatającą zawieszony na plecach kilof i szpadel. Narzędzia z brzękiem runęły na ziemię. Louis przekreślił się na plecy. Chwilę leżał tak z rozrzuconymi ramionami, patrząc tępo w gwiazdy.

Co to było, to w lesie? Louis, Louis, naprawdę sadzisz, że sztuka, w której coś takiego pojawia się w obsadzie, mogłaby dobrze się skończyć?

Było już jednak za późno, by się wycofać. A on o tym wiedział.

Poza tym, powtarzał w myślach, wciąż jeszcze wszystko może być dobrze. Nie ma zysku bez ryzyka, ani ryzyka bez miłości. Wciąż mam swoją torbę. Nie tę na dole, lecz w łazience, na najwyższej półce; tę, po którą posłałem Ellie, gdy Norma miała atak serca. Są tam strzykawki. Jeśli coś się stanie... coś złego... nikt poza mną nie będzie musiał o niczym wiedzieć.

Jego myśli rozplynęły się w beładnej, monotonnej modlitwie. Ręce sięgnęły po kilof. Wciąż klecząc, Louis zaczął rozkopywać ziemię. Za każdym razem, gdy z całej siły opuszczał kilof, padał na niego swym ciężarem, niczym starożytny Rzymianin rzucający się na własny miecz. Stopniowo jednak dziura nabrała kształtów i głębokości. Zaczął wyrzucać z niej kamienie. Większość po prostu ciskał na bok, wraz z rosnącym stosem ziemi, ale część zachował.

Na kopiec.

56.

Rachel biła się po twarzy, aż zaczęła ją piec skóra, a mimo to wciąż przysypiała. Raz ocknęła się gwałtownie (była już w Pittsfield i autostrada należała wyłącznie do niej) i przez ułamek sekundy wydało jej się, że obserwują ją dziesiątki srebrzystych bezlitosnych oczu, lśniących głodnym, lodowatym blaskiem. Potem zaś oczy zniknęły i ujrzała przed sobą małe lampki na słupkach wzdłuż drogi. Chevette zjechała na bok i zbliżała się do pobocza.

Rachel gwałtownie szarpnęła kierownicę w lewo; opony zapiszczały i wydało jej się, że usłyszała lekki stuk: to mógł być prawy przedni błotnik muskający jeden ze słupków. Serce podskoczyło jej w piersi i zaczęło tłuc się tak mocno między żebrami, że ujrzała przed oczami ciemne plamki, rosnące i malejące w rytm uderzeń. A jednak w chwili później, mimo otarcia się o śmierć, przerażenia i głosu Roberta Gordona wrzeszczącego "Red Hot" w radiu, znowu zaczęła drzemac.

Nagle przyszła jej do głowy szalona, paranoiczna myśl. To zmeczenie, bez wątpienia tylko zmeczenie, ale zaczynała wierzyć, że coś próbuje ją powstrzymać przed dotarciem tej nocy do Ludlow.

-Rzeczywiście paranoja - mruknęła zagłuszana przez rock and rolla. Próbowala się rozesmiać, ale nie mogła. Niezupełnie. Bo myśl ta pozostała jej w głowie, a środek nocy przydał jej niesamowitej, upiornej wiarygodności. Zaczynała czuć się jak postać z kreskówki, która biec, natknęła się na gumę należąca do gigantycznej procy. Biedakowi coraz trudniej jest przesuwac się naprzód, aż w końcu zgromadzona energia gumy zrównuje się z energią biegacza... inercja przekształca się... w co?... podstawy fizyki... coś próbuje ją powstrzymać... trzymaj się od tego z daleka... ciało w spoczynku dąży do spoczynku... na przykład ciało Gage'a... raz wprowadzone w ruch...

Tym razem pisk opon był głośniejszy, a włos jeszcze cięszy; przez chwilę rozległ się donosny zgrzyt - to samochód otarł się o stalowe liny rozpięte między słupkami, które zdarły lakier, odsłaniając lśniący metal. Przez chwilę kierownica nie reagowała, a potem Rachel stanęła na hamulcu, płacząc. Tym razem spała, nie po prostu drzemala, ale spała przy prędkości dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Gdyby nie słupki... gdyby natrafiła akurat na zjazd...

Zjechała na bok, zaparkowała samochód i zaczęła płakać na dobre, oszołomiona i przerażona.

Coś próbuje mnie do niego nie dopuścić.

Kiedy poczuła, że odzyskuje równowagę, znowu ruszyła naprzód - układ kierowniczy małego samochodu nie został uszkodzony, przypuszczała jednak, że kiedy jutro zwroci samochód, firma Avis będzie miała kilka poważnych zastrzeżeń.

Nieważne, nie wszystko naraz. Najpierw muszę wlać w siebie trochę kawy, to najważniejsze.

Gdy z mroku wylonil się zjazd na Pittsfield, Rachel skrecila. Jakies półtora kilometra dalej dotarla do jasnych lamp sodowych i miarowego pomruku diesli. Skrecila na stacje, poprosila o zatankowanie chevette (ktos niezle zadrapal jej bok, zauwazyl niemal z podziwem pracownik stacji), a potem ruszyla do restauracji przesyconej wonia starego tluszczu do smazenia, jajek w proszku i, na szczescie, dobrej mocnej kawy.

Rachel wypila trzy filizanki, jedna za druga, jak lekarstwo - czarne, doslodzone mnostwem cukru. Kilku kierowcow ciezarowek siedzialo przy kontuarze badz przy dalszych stolikach, zartujac z kelnerkami, ktore wszystkie jakims cudem w blasku jarzeniowek przypominaly zmeczone pielgniarki.

Zaplacila rachunek i wrocila w miejsce, gdzie zaparkowala chevette. Silnik nie chcial zapalic. Gdy przekrecila kluczyk, slychac bylo tylko cichy szczech rozrusznika i nic poza tym.

Rachel zaczęła wolno, bezsilnie tłuc piесiami o kierownicę. Coś próbowało ją zatrzymać. Nie istniał żaden powód, dla którego ten samochód, nowiutki, mający na liczniku zaledwie siedem tysięcy kilometrów, miałby kompletnie wysiąść. Lecz tak się stało. Jakos do tego doszło i oto tkwiła tu uwieziona w Pittsfield, wciąż ponad siedemdziesiąt kilometrów od domu.

Sluchala kojacego szumu silnikow wielkich ciezarowek; nagle z niezachwiana zlowieszczą pewnością pomysllala, że ciezarówka, która zabiła jej syna, też tam jest... i nie mruczy, ale śmieje się w głos.

Rachel spuścila głowe i zaczęła plakac.

57.

Louis potknal się o coś i runal na ziemie. Przez moment watpil, by być w stanie się podnieść - wykraczało to poza jego możliwości. Po prostu będzie tu leżał, sluchajac choru rzekotek dochodzacego z lezacych gdzieś za nim Moczarów Malego Boga i czujac odpowiadajacy im chor skurczow i bolow wewnatrz własnego ciała. Będzie tu leżał, poki nie zasnie. Albo nie umrze. Prawdopodobnie to drugie. Pamietal, jak wsunal brezentowy zawoj do wykopanej przez siebie dziury i golymi rekami wepchnal do niej wiekszosc ziemi. Zdawalo mu się też, że pamięta układanie kamieni, budowe stosu od szerokiej podstawy po czubek...

Z dalszych wydarzen nie przypominal już sobie prawie nic. Niewatpliwie zszedl po schodach, w przeciwnym razie nie byłby tutaj, czyli... gdzie? Rozejrzal się wokół i odniosl wrażenie, że poznaje jedną z kęp wielkich starych sosen nieopodal wiatrolomu. Czyżby, sam o tym nie wiedzac, przeszedl całą powrotną droge przez Moczary Malego Boga? Przypuszczal, że to możliwe. Ledwie, ale możliwe.

Zaszedlem już dość daleko. Po prostu tu zasne.

Lecz właśnie ta myśl, falszywie kojaca, sprawila, że dzwignal się i ruszył naprzód. Bo gdyby tu został, ta rzecz mogłaby go znalezc. Istota, która w tej chwili mogła wedrowac po lesie i szukac go.

Potarl dlonia twarz od brody aż po czolo i z niemadrym zdumieniem dostrzegl na rece krew. W którymś momencie musial mieć krwotok z nosa.

-Kogo to, kurwa, obchodzi? - mruknel do siebie ochryple i zaczął niechętnie macac wokół, poki nie znalazł kilofa i szpadla.

W dziesięć minut później ujrzał przed sobą masyw wiatrolomu. Louis wdrapal się na niego, potykajac się raz po raz, lecz jakimś cudem nie upadł, aż niemal znalazł się na dole. Wtedy zerknal pod nogi. Jedna z galezi natychmiast trzasnela (nie patrz w dół, uprzedzal Jud), po niej kolejna; jego stopa poleciała naprzód, a on z loskotem runal na bok, gwałtownie wypuszczajac powietrze z płuc.

Niech mnie diabli, jeśli to nie drugi cmentarz, na który dziś spadłem... i jeśli o mnie chodzi, dwa zupełnie wystarczą.

Znow zaczął macać wokół w poszukiwaniu kilofa i szpadla, w końcu jego wedrujące dłonie natrafiły na narzędzia. Przez moment przyglądał się otoczeniu, widocznemu w blasku gwiazd. W pobliżu znajdował się grob SMUCKY'EGO. Był posłuszny, pomyślał ze znużeniem Louis. I TRIXIE, ZABITA NA DRODZE. Wciąż wiał silny wiatr i Louis słyszał ciche ding-ding-ding kawalka blachy - może kiedyś była to puszka del monte, starannie rozcięta cegami ojca przez pogrążonego w załobie właściciela zwierzęcia, a potem rozplaszczona młotkiem i przybita do patyka. I nagle strach znow powrócił. Louis był zbyt zmęczony, by czuć w sobie suchy gorący płomień leku, raczej słabe, budzące mdłości pulsowanie grozy. Zrobił to. Z niewiadomych przyczyn owe miarowe ding-ding-ding dobiegające z ciemności sprawiło, że w pełni pojął, co się stało tej nocy.

Szedł przez Cmentarz Zwierząt, mijając grob MARTY, NASZEJ KRULICZKI, która ZMARŁA 1 MARCA 1965 i nieopodal pagórka GEN. PATTONA przekroczył nierówny kawałek deski, oznaczający ostatnie miejsce spoczynku POLINEZJI. Brzęk metalu stawał się coraz głośniejszy i Louis przystanął, spuszczać wzrok. Tu, na lekko nachylonej, białej w ziemi desce wisiał blaszany prostokąt. W blasku gwiazd Louis odczytał: RINGO NASZ HOMIK 1964-1965. Właśnie ten kawałek blachy obijał się raz po raz o deski luku wejściowego na Cmentarz Zwierząt. Louis schylił się, by go odgiąć... i zamarł, czując gwałtowny dreszcz.

Z tyłu coś się poruszało. Coś poruszało się po drugiej stronie wiatrolomu.

Usłyszał ciche podstępne odgłosy - delikatny szelest jodlowych szpilek, suchy trzask jodłowej gałązki, chrzęst krzaków. Wszystkie te odgłosy niemal zupełnie zagłuszał szum wiatru wśród jodeł.

-Gage? - zawołał ochryple Louis.

Sama świadomość tego, co robi - stoi w ciemności i wzywa swego martwego syna - sprawiła, że skóra zdrewniała mu na głowie, a włosy uniosły się sztywno. Zaczął dygotać, bezradnie, niepowstrzymanie, jakby wstrząsała nim mordercza gorączka.

-Gage? Dźwięki ucichły.

Jeszcze nie, jeszcze za wcześnie. Nie pytaj mnie, skąd wiem, ale wiem. To nie jest Gage. To... coś innego.

Nagle przypomniał sobie Ellie mówiąca: Zawołał "Lazarzu, powstan"... bo gdyby nie wezwał Lazara po imieniu, powstałoby wszyscy na cmentarzu.

Po drugiej stronie wiatrolomu znow odezwały się dźwięki. Po drugiej stronie bariery. Niemal - lecz nie do końca - zagłuszone powiewami wiatru. Zupełnie jakby coś ślepego podążało jego śladem, kierując się pradawnym instynktem. Potwornie pobudzony mózg natychmiast

przywołał upiorne ohydne obrazy: olbrzymi kret, wielki nietoperz, który zamiast frunąć, trzepocze się w krzakach.

Louis wycofał się z Cmentarza Zwierząt, nie odwracając się plecami do wiatrolomu - owego upiornego migotania, żywej jasnijacej szramy przecinającej ciemność - poki nie znalazł się na ścieżce. Potem przyspieszył kroku i jakieś pół kilometra przed tym, nim ścieżka wynurza się z lasów i wychodzi na łąkę za domem, zebrał w sobie dość sił, by pójść.

Obojętnie cisnął kilof i szpadel w głąb garażu. Przez moment stanął na końcu podjazdu, patrząc najpierw w stronę, z której przyszedł, a potem na niebo. Było piętnaście po czwartej nad ranem. Przypuszczał, że wkrótce zacznie świtać. Słońce pokonało już trzy czwarte drogi przez Atlantyk, na razie jednak tu, w Ludlow, noc trzymała się dobrze. Cały czas wiał wiatr.

Wszedł do domu, Wymacując drogę wzdłuż ściany garażu i otwierając tylne drzwi. Nie zapalając światła, przeszedł przez nie i znalazł się w małej łazience pomiędzy kuchnią a jadalnią. Tu dopiero zapalił lampę. Pierwszą rzeczą, jaką ujrzał, był Church, zwinięty w kłębek na spluźce. Kot patrzył na niego metnymi żółtymi oczami.

-Church - rzekł Louis. - Myślałem, że ktoś cię wypuścił.

Church jedynie patrzył na niego ze zbiornika spluźki. O tak, ktoś wypuścił Churcha; on sam to zrobił. Pamiętał to bardzo wyraźnie. Tak jak pamiętał wymianę szyby w piwnicy i ulgę na myśl, że rozwiązał problem. Kogo dokładnie oszukiwał? Kiedy Church chciał wejść do środka, to wchodził. Bo Church był teraz inny.

Nie miało to jednak znaczenia. Otepiałe zmeczenie po wydarzeniach nocy sprawiało, że nic już nie miało znaczenia. Czuli się jak nie człowiek, jak jeden z bezmyślnych zombi Romera albo może ktoś, kto uciekł z poematu Eliota o próżnych ludziach. Powiniennem mieć szponów parę dwie i przebiec przez Moczary Malego Boga aż do cmentarzystwa Micmaców, pomyślał i zaśmiał się cierpko.

-Głowa pełna siana, Church - rzekł ochryple, rozpinając koszulę. - To ja. Lepiej, byś w to uwierzył.

Na lewym boku ujrzał wielki wyraźny siniak, gdzieś w połowie klatki piersiowej. A gdy zsunął spodnie, przekonał się, że kolano, którym uderzył o nagrobek, spuchło jak balon. Przybrało już fioletowoczarńską barwę zgnilizny. Przypuszczał, że gdy tylko przestanie nim poruszać, stawać zupełnie zeszywnieje, jakby ktoś wykopał go w cement. Wyglądało to na jedno z tych obrazów, które lubią gawędzić sobie z właścicielem w deszczowe dni aż do końca życia.

Wyciągnął rękę, by pogłaskać Churcha - pragnął poczuć coś znajomego - lecz kot zeskoczył ze spluźki, chwiejnie i dziwnie nie po kociemu i odszedł poszukać sobie innego miejsca. Po drodze posłał Louisowi beznamiętne żółte spojrzenie.

W szafce z lekami znalazł masę Ben-Gay. Louis spuścił pokrywę toalety, usiadł i rozsmarował spora porcję na stłuczonym kolanie. Następnie wtarł trochę masy w krzyż; nie szło mu to zbyt sprawnie.

Wyszedł z łazienki i ruszył do salonu. Zapalił światło w korytarzu i przez moment stał tam u stop schodów, rozglądając się z niemądrami minami. Jak dziwne wydawało mu się to wszystko. Tu właśnie stał w Wigilie, gdy podarował Rachel szafir. Trzymał go w kieszeni szlafroka. To było krzesło, na którym starał się jak najlepiej wyjaśnić Ellie fakty związane ze śmiercią po ataku Normy Crandall - fakty, z którymi on sam, w ostatecznym rozrachunku, nie potrafił się pogodzić. Choinka stała w tamtym kącie, papierowy indyk Ellie - ten, który przypominał Louisowi futurystyczną wersję wrony - został przyklejony taśmą w tamtym oknie, a znacznie wcześniej cały pokój był pusty poza stosami pudełek United Van Lines, wypełnionych dorobkiem całej rodziny i przywiezionych ciężarówką przez połowę kraju ze Środkowego Zachodu. Pamiętał, jak pomyślał wtedy, że ich pozamykane w pudłach rzeczy wydają się bardzo małe i nieważne, żalostny szaniec dzielący jego rodzinę od lodowatego zimnego świata zewnętrznego, gdzie nie znano ich imion ani zwyczajów.

Jakie dziwne zdawało się to wszystko... i jakżeby chciał, aby nigdy nie usłyszeli o Uniwersytecie Stanowym w Maine, o Ludlow, o Judzie i Normie Crandall, o tym wszystkim.

Poszedł na górę, zabrał do łazienki stół, stanął na nim i zdjął leżącą na szafce z lekarstwami małą czarną torbę. Zaniósł ją do głównej sypialni, usiadł i zaczął grzebać w środku. Tak, miał tam strzykawki, w razie gdyby ich potrzebował, a wśród rolek taśmy chirurgicznej, chirurgicznych nożyczek i starannie zawiniętych paczuszek nici, tkwiło też kilka ampulek śmiertelnych substancji.

Gdyby ich potrzebował.

Louis zamknął torbę i położył ją obok łóżka. Zgasił górne światło i wyciągnął się z rękami pod głowę. Jakże bosko było móc wyciągnąć się na plecach i odpocząć. Jego myśli powróciły do Disney Worldu. Ujrzał samego siebie, w prostym białym uniformie, kierującego białą furgonetką oznaczoną jedynie symbolem wielkich mysich uszu - nic nie mogło wskazywać, że to karetka, bowiem mogłoby to wystraszyć klientów.

Gage siedział obok niego; skóra miała mocno opaloną, białka oczu polyskiwały błękitem, oznaką zdrowia. Tuż po lewej ujrzał Goofy'ego sciskającego dłoń małego chłopca; dzieciak był zachwycony, niemal jak w transie. Oto Kubus Puchatek pozujący do zdjęcia z dwiema rozesmianymi babciami w spodniach; trzecia rozesmiana babcia unosiła aparat. A tam mała dziewczynka w najlepszej sukience krzycząca "Kocham cie, Tygrysie! Kocham cie, Tygrysie!".

Louis z synem wyruszyli na patrol. Byli wartownikami owej magicznej krainy i kłócili się po niej bez końca w białej furgonetce ze starannie zakrytym kogutem. Nie szukali kłopotów, nie oni, ale gdyby coś się stało, byli gotowi. Nie da się zaprzeczyć, iż kłopoty czyhały nawet tutaj, w

miejscu poświęconym niewinnym przyjemnościom. Uśmiechnięty mężczyzna kupujący film na głównej ulicy mógł w każdej chwili złapać się za piers, powalony atakiem serca, ciężarna kobieta mogła nagle odczuć pierwsze bóle, schodząc po schodach z Niebianskiego Rydwanu, nastolatka, słiczna jak z okładki, padła nagle w ataku epilepsji, jej adidasów wybijały urywany rytm na cementie, gdy choroba zakłócała biegnące z mózgu sygnały. Zdarzały się porażenia słoneczne, ciepłe, mózgowo, a może, pod koniec dusznego letniego popołudnia w Orlando, dojdzie kiedyś także do porażenia piorunem. Był też Oz Wiejki i Wsaniały - czasami można go dostrzec krążącego wokół wyjścia z kolejki w Czarodziejskim Królestwie bądź zerkającego beznamiętnym głupim wzrokiem w dół z jednego z latających Dumbo. Dla Louisa i Gage'a stał się on jeszcze jedną postacią z parku rozrywki, taka jak Goofy, Miki, Tygrys bądź szanowny pan Kaczor D. Z nim jednakże nikt nie chciał robić sobie zdjęć, nikt nie zamierzał przedstawiać mu synów i córek. Louis i Gage znali go; spotkali go i stawili mu czoło jakiś czas temu w Nowej Anglii. Czekal, by zadławić człowieka szklaną kulka, udusić torba po praniu, usmazyc na wieczność szybkim śmiertelnym ładunkiem elektrycznym - dostępnym na najbliższej tablicy rozdzielczej bądź w pierwszym pustym gniazdku. Śmierć czaiła się w torebce orzeszków, w nieswieżym kawałku steku, w następnej paczce papierosów. Cały czas krążył wokół, sprawdzał wszystkie przejścia pomiędzy światem śmiertelnych a wiecznością. Brudne igły, jadowite zuki, zerwane przewody wysokiego napięcia, pożary lasów, rozpedzone wrotki wynoszące niesforne dzieci wprost na ruchliwe skrzyżowania. Gdy wchodziłeś do wanny wziąć prysznic, Oz był tam z tobą - prysznic z przyjacielem. Kiedy wsiadałeś do samolotu, Oz odbierał kartę pokładową. Czaił się w wodzie, która piliś, w jedzeniu, które jadłś. "Kto tam?" - wrzeszczałś w nocy, gdy bałś się i byłś sam, jedynie po to, by usłyszeć jego odpowiedź: Nie bój się, to tylko ja. Cześć, co słychać? Masz raka w brzuchu, więc wyluzuj się, staruchu. Złotaczka! Białaczka! Arterioskleroza! Trychinoza! Śloniowacizna! Kolowacizna! Hey-ho, let's go! Narkoman z nożem z bramy wyskoczy! Telefon w samym środku nocy. Krew gotująca się w kwasie z akumulatora na zjeździe z autostrady w Karolinie Południowej. Całe garści pastylek, poczęstuj się. Charakterystyczny sinawy odcień paznokci po uduszeniu - w ostatniej walce o przetrwanie mózg pobiera cały dostępny tlen, nawet z żywych komórek pod paznokciami. Hej, ludziska, nazywam się Oz Wiejki i Wsaniały, ale jeśli chcecie, możecie do mnie mówić Oz, jesteśmy przecież starymi przyjaciółmi. Wpadłem, żeby uraczyć was niewielką zastoinową niewydolnością serca, albo może zatorami w mózgu czy czymś podobnym. Nie mogę zostać, muszę odwiedzić pewną kobietę w sprawie komplikacji porodowych, a potem załatwić sprawę wciągnięcia dymu w płuca w Omaha.

A ów wysoki głosik krzyczy: "Kocham cie, Tygrysie! Kocham cie! Wierzę w ciebie, Tygrysie! Zawsze będę cie kochała i będę w ciebie wierzyć! Zostaniesz młoda, a jedynym Ozem, który zamieszka w moim sercu, będzie łagodny oszust z Nebraski! Kocham cie...".

Krzyczymy... mój syn i ja... bo w gruncie rzeczy nie chodzi tu o wojnę czy seks, lecz paskudną, szlachetną, beznadziejną walkę z Ozem Wiejkim i Wsaniałym. On i ja krzyczymy w białej furgonetce pod jaskrawoniebieskim niebem Florydy, a koguta mamy osłoniętego, lecz

jest tam, gdybysmy go potrzebowali... i nikt oprócz nas nie musi o tym wiedzieć. Bo ziemia serca mężczyzny jest kamienista, mężczyzna hoduje, co może... opiekuje się tym.

Pograzony w podobnych myślach, należących ni to do jawy, ni to do snu, Louis Creed zaczął osuwać się coraz głebiej, po kolei zrywając połączenia ze światem realnym, aż w końcu wszelkie myśli ustaly, a wyczerpanie wciągnelo go w czarna, pozbawiona snu otchlan nieswiadomosci.

Tuz przedtem, nim pierwsze luno switu dotknelo nieba na wschodzie, na schodach rozlegly się kroki. Byly wolne i niezreczne, lecz celowe. Wsrod cieni w korytarzu pojawil się nowy cien. W powietrzu rozszedl się zapach - smrod. Louis, choc pograzony w glebokim snie, wymamrotal cos i odwrocil się od owej woni. Slychac bylo miarowy swist oddechu.

Postac jakis czas stala przed drzwiami glownej sypialni; nie poruszala się. Potem weszla do srodka. Louis lezal bez ruchu z twarza ukryta w poduszce. Biale rece siegnely naprzod. Rozlegl się szczech zamka stojacej przy lozku lekarskiej torby.

Cichy brzek i szelest poruszanych rzeczy w srodku.

Dlonie badaly zwartosc, odsuwajac na bok leki, ampulki i strzykawki. W końcu cos znalazly i uniosly to. W pierwszym slabym brzasku dnia przedmiot ow rozblysnal srebrem.

Mroczna postac opuscila pokoj.

CZESC TRZECIA

OZ WIEJKI I WSANIALY

Jezus tedy, niechetny i nekany zwatpieniem, podszedl do grobu. Miescil się on w jaskini, ktorej wejście zamknielo glazem.-Odsuncie kamien - polecil. Marta rzekla:

-Panie, minely cztery dni i z pewnoscia zaczal juz cuchnac... Potem, gdy juz się pomodlil, Jezus wzniosl glos i zakrzyknal:

-Lazarzu, powstan!

Ten zas, ktory byl martwy, powstal, z dlonmi i stopami zwiazanymi calunem; jego twarz okrywala chusta. Jezus polecil im:

-Rozwiazcie go i pusccie.

Ewangelia wedlug sw. Jana (parafraza)

-Dopiero teraz o tym pomyslal - powiedziala histerycznie. - Czemuz nie przyszlo mi to przedtem do glowy? Czemus ty o tym nie pomyslal?

-O czym? - zapytał.

-Te dwa pozostałe życzenia - odparła szybko. - Wyraziliśmy tylko jedno.

-Jeszcze ci mało? - rzucił gwałtownie.

-Tak! - zawołała z triumfem. Jeszcze o jedno poprosimy. Zejdź na dół, przynies ja szybko i popros, aby nasz chłopiec ożył.

W. W. Jacobs: "Malpia łapka"

(przel. Irena Malanowska)

58.

Jud Crandall ocknął się nagle i niemal spadł z fotela. Nie miał pojęcia, jak długo spał; mogło to być piętnaście minut albo trzy godziny. Spojrzał na zegarek i przekonał się, że jest za pięć piąta. Miał wrażenie, że wszystko w pokoju odrobine się przesunęło; w plecach zagnieździł się ból od spania na siedząco. Ty dumny staruchu, spojrz, co zrobiłeś!

Ale wiedział, że to nieprawda; w głębi serca wiedział. To nie była jego wina. Nie zasnął ot tak, po prostu; uspio go.

Ta myśl go przeraziła, ale jeszcze jedno przeraziło go bardziej: co właściwie go obudziło? Miał wrażenie, że usłyszał jakiś dźwięk, jakies...

Wstrzymał oddech, nasłuchując, próbując przeniknąć dziwnie szeleszczące bicie własnego serca.

I znów usłyszał jakiś dźwięk, nie ten sam, który go obudził, ale coś nowego. Cichy jęk zawiasów.

Jud znał wszystkie dźwięki w swoim domu - wiedział, które deski w podłodze trzeszczą, które stopnie uginają się z jękiem, gdzie w rynnach wiatr szczególnie lubi śpiewać i zawodzić, gdy upoi się własną mocą, tak jak zeszłej nocy. Ten dźwięk znał równie dobrze jak wszystkie inne. Właśnie otworzyły się ciężkie frontowe drzwi łączące werandę z przedsionkiem. Dzięki tej informacji jego umysł zdołał zrekonstruować odgłos, który go obudził - był to powolny zgrzyt sprężyny na siatkowych drzwiach prowadzących na werandę.

-Louis? - zawołał bez specjalnej nadziei.

To nie był Louis. Cokolwiek się tam czaiło, przybyło, by ukarać starego człowieka za jego pychę i dumę.

Kroki wedrowały wolno korytarzem w stronę salonu.

-Louis? - próbował krzyknąć ponownie, lecz z jego gardła wydobył się jedynie cichy ochryply jęk, bo teraz czuł już smród istoty, która wtargnęła do domu pod koniec nocy. Była to brudna, ciężka won zatrutej błotnistej ziemi.

Jud dostrzegł w ciemności masywne kształty - szafa Normy, toaletka, szafonierka - ale nie widział żadnych szczegółów. Próbował wstać na nogach, które zamieniły się w watę; umysł krzyczał, że potrzebuje więcej czasu, że jest zbyt stary, by znowu stawiać temu czoło, sprawa Timmy'ego Baternana była dostatecznie okropna, a wtedy nie czuł brzemienia lat.

Drzwi otwarły się powoli, wpuszczając do środka cienie. Jeden z nich był ciemniejszy niż pozostałe.

Dobry Boże, co za smród.

Szuranie stop w ciemności.

-Gage? - Jud w końcu wstał z miejsca. Katem oka dostrzegł waleczek popiołu w popielniczce. - Gage, czy to t...

Nagle rozległo się upiorne miauczenie i przez moment wszystkie kości Juda zamieniły się w lod. To nie syn Louisa powrócił z grobu, lecz jakiś straszliwy demon...

Nie. Nie demon.

To Church, przycupnięty w drzwiach sieni, wydawał z siebie ow dźwięk. Oczy kota polyskiwały niczym brudne lampy, a potem jego wzrok powędrował w drugą stronę i skupił się na stworze, który przybył wraz z kotem.

Jud zaczął się cofać, próbując pozbierać myśli, zachować krzyty rozsądku w obliczu tego smrodu. Było tak bardzo zimno - stwor przywłókł ze sobą chłód.

Niepewnie zachwiał się na nogach. To był kot, wil mu się pod stopami. Mruczał. Jud kopnął go i odgonił. Zwierze wyszczerzyło zęby i syknęło.

Mysł! Mysł, głupi staruchu! Może jeszcze nie jest za późno, nawet jeszcze w tej chwili może nie jest za późno... to wróciło, ale można je znowu zabić... jeśli tylko zdołasz... jeśli pozbierasz myśli...

Cofał się w stronę kuchni i nagle przypomniał sobie szufladę z kuchennymi narzędziami obok zlewu. Między innymi leżał w niej tasak.

Jego chude łydki uderzyły w wahadłowe drzwi wiodące do kuchni. Pchnął je. Stwor, który wtargnął do domu, wciąż nie był dobrze widoczny, lecz Jud słyszał jego oddech. Dostrzegł jedną białą dłoń kolyszającą się w przód i tył - coś w niej tkwiło, ale nie potrafił dojrzec co. Kiedy wszedł do kuchni, drzwi zamknęły się i Jud odwrócił się w końcu plecami do tego

czegos, by pobiec do szuflady. Szarpnal uchwyt i jego dlon pochwycila wyslizgana drewniana raczka tasaka. Uniosl go i odwrocil sie ku drzwiom; postapil nawet ku nim krok czy dwa. Powrocilo mu nieco odwagi.

Pamietaj, to nie jest dziecko. Moze krzyknac, kiedy przekona sie, ze zamierzasz go dopasc; moze plakac. Ale ty nie dasz sie oszukac. Zbyt wiele razy juz cie nabierano, starcze. To twoja ostatnia szansa.

Drzwi otwarly sie ponownie, z poczatku jednak do srodka wszedl tylko kot. Oczy Juda sledzily go przez moment, potem znow uniosl wzrok. Okna kuchni wychodzily na wschod, widac w nich bylo pierwszy brzask dnia, slaby, mlecznobiały. Niewiele swiatla, lecz dosyc, az za duzo.

Gage Creed wszedl do srodka ubrany w pogrzebowy garniturek. Na jego ramionach i klapach rosl mech. Mech pokrywal tez biala koszule. Miekkie jasne wloski zlepialo bloto. Jedno oko wyszlo z orbity i z upiornym skupieniem spogladalo w przestrzen; drugie, polyskujac, ze straszliwa uwaga wpatrywalo sie w Juda.

Gage usmiechal sie do niego.

-Witaj, Jud - rzekl chlopiecym, piskliwym, lecz doskonale zrozumialym glosem. - Przychodze, zeby odeslac twoja smierdzaca zgnila dusze wprost do piekla. Po raz ostatni wpieprzyles sie w moje sprawy. Nie myslales, ze wroce wczesniej czy pozniej, zeby popieprzyc sie z toba?

Jud uniosl tasak.

-Chodz zatem i pokaz swojego fiuta, czymkolwiek jestes. Zobaczymy, kto kogo bedzie pieprzyl.

-Norma nie zyje, nikt nie bedzie cie oplakiwac - powiedzial Gage. - Ale z niej byla tania zdzira! Rznela sie ze wszystkimi twoimi przyjaciolmi, Jud. Pozwalala im dymac sie w dupe. Tak wlasnie najbardziej lubila. Teraz smazy sie w piekle ze swoim artretyzmem. Widzialem ja tam, Jud. Widzialem.

Stwor postapil dwa kroki ku niemu. Jego stopy pozostawialy na zuzytym linoleum male zablocone slady. Jedna reke wyciagal przed siebie, jakby chcial uscisnac mu dlon, druga chowal za plecami.

-Posluchaj, Jud - szepnal, a potem jego usta otwarty sie, odslanjajac male mleczone zeby, i choc wargi nie drgnely, ze srodka do byl sie glos Normy.

-Rogacz! Durny rogacz! Zawsze cie nienawidzilam! Wysmiewalam sie z ciebie! Wszyscy sie z ciebie smialismy! Och, jak sie smialismy...

-Przestan! - Tasak zadrzał mu w reku.

-Robiliśmy to w twoim łozku, Herk i ja, robiłam to z George'em, z nimi wszystkimi. Wiedziałam o twoich dziwkach, ale ty nie wiedziałes, że poslubiles jedna z nich. Och, jak sie smialam, Jud! Rznelismy sie i zasmiewalismy...

-Przestan! - wrzasnal Jud. Skoczyl ku malej rozkolysanej postaci w brudnym pogrzebowym garniturze i wtedy wlasnie kot wystrzelil z ciemnosci za pienkiem do rabania miesa, gdzie sie schowal. Jego uszy skulily sie, przywierajac do glowy; syczal i podcial nogi Judowi, gladko jak po masle. Tasak wylecial z reki starca, smignal po wybrzuszonym i wyblaklym linoleum, wirujac, na przemian ostrze-raczka-ostrze-raczka. Z brzekiem uderzyl w listwe i wpadl pod lodowke.

Jud pojal, ze znow dal sie oszukac i jedyna pocieche stanowila mysl, ze to juz ostatni raz. Kot siedzial mu na nogach, pysk mial otwarty, jego oczy plonely. Syczal jak czajnik na gazie. A potem Gage byl juz przy nim, czarne zebry wyszczerzone w szyderczym usmiechu, ksiezycowe oczy o czerwonych spojowkach. Zza plecow wynurzyla sie prawa reka i Jud ujrzal, ze stwor trzymal w niej skalpel z czarnej torby Louisa.

-Slodki Jezu - westchnal, unoszac prawa dlon, by zablokowac cios. I wtedy ujrzal zludzenie optyczne. Z pewnoscia jego umysl nie wytrzymal napiecia, bo Jud odniosl wrazenie, ze skalpel tkwi jednoczesnie po obu stronach jego dloni. A potem cos cieplego zaczelo splywac na jego twarz i pojal, ze to nie zludzenie.

-Bede sie z toba pieprzyl, starcze - zachichotal stwor bedacy Gage'em. Jego trujacy oddech omiotl twarz Juda. - Bede sie z toba pieprzyl! Bede sie z toba pieprzyl, ile... tylko... zechce!

Jud machnal reka i pochwycil przegub Gage'a. Pod palcami poczul skore zsuwajaca sie niczym pergamin.

Stwor wyszarpnal skalpel z jego dloni, pozostawiajac waski otwor.

-Ile... tylko... ZECHCE!

Skalpel znow opadl. I jeszcze raz. I jeszcze.

59.

-Prosze sprobowac teraz, prosze pani - powiedzial kierowca ciezarowki. Jego glowa tkwila pod maska wynajetego samochodu Rachel. Przekrecila kluczyk. Silnik chevette ozyl z rykiem. Kierowca ciezarowki zatrzasnal maske i podszedl do jej okna, wycierajac rece wielka blekitna chustka. Mial mila ogorzala twarz, na jego glowie tkwila czapeczka z napisem "Parking dla ciezarowek Dysarta".

-Bardzo panu dziękuje. - Rachel czuła napływające do oczu łzy. - Nie wiem, co bym bez pana zrobiła.

-Nawet dziecko by to naprawiło - odparł mężczyzna. - Ale to dziwne. Nigdy nie widziałem czegoś takiego, a już z pewnością nie w nowym samochodzie.

-Dlaczego? Co to było?

-Jedna z klem akumulatora rozluźniła się i spadła. Nikt chyba przy nim nie majstrował, prawda?

-Nie. - Rachel znowu przypomniła sobie uczucie, że z całym rozpędem wpadła na gumę największej procy świata.

-Pewnie musiała się rozluźnić podczas jazdy. Nie będzie pani miała więcej kłopotów z elektryką. Porządnie zacisnąłem klamrę.

-Czy mogę dać panu trochę pieniędzy? - spytała niesmiało Rachel.

Kierowca ciężarówki wybuchnął gromkim śmiechem.

-Nie mnie, moja pani - rzekł. - Jesteśmy przecież rycerzami dróg, pamięta pani?

Uśmiechnęła się.

-Coz... dziękuje.

-Ależ proszę. - Pozdrowił ją poczciwym uśmiechem, mimo wczesnej pory pełnym słońca.

Rachel uśmiechnęła się w odpowiedzi i ostrożnie przejechała przez parking do drogi dojazdowej. Obejrzała się w prawo, w lewo, i pięć minut później była z powrotem na autostradzie, zmierzając na północ. Kawa pomogła bardziej, niż można by uwierzyć. Była kompletnie trzeźwa, senność ustąpiła, oczy miała wielkie jak spodki. Znowu poczuła musnięcie niepokoju, absurdalne wrażenie, że coś ją manipuluje. Fakt, że klema zeslizgnęła się ot tak z akumulatora...

Tak by zatrzymać ją dość długo, by...

Zasmiała się nerwowo. By co?

By zdarzyło się coś nieodwracalnego.

To było głupie. Śmieszne. Lecz Rachel i tak dodała gazu.

O piątej rano, wtedy gdy Jud próbował bronić się przed skalpelem skradzionym z czarnej torby swego dobrego przyjaciela Louisa Creeda, a jej córka gwałtownie usiadła na łozku z

krzykiem, budząc się z koszmaru, którego na szczęście nie pamiętała, Rachel zjechała z autostrady, przejechała przez objazd Hammond Street w pobliżu cmentarza, na którym w trumnie jej syna spoczywała jedynie łopata, i przebyła most łączący Bangor z Brewer. Piętnaście po piątej była już na trasie numer 15 i zmierzała do Ludlow.

Postanowiła pojechać prosto do Juda i dotrzymać przynajmniej tej części obietnicy. Zresztą na podjeździe nie dostrzegła hondy i choć przypuszczała, że wóz może stać w garażu, ich dom wyglądał sennie i pusto. Żadne przeczucie nie podpowiadało jej, że Louis mógł już wrócić.

Rachel zaparkowała za furgonetką Juda i wysiadła z chevette, rozglądając się uważnie. Trawa wokół uginała się od rosy polyskującej w jasnym świetle poranka. Gdzieś w dali zaśpiewał ptak, a potem znów umilkł. Przy kilku nielicznych okazjach, gdy jako osoba dorosła nie spała i była sama o siebie, nie mając na głowie żadnych obowiązków, zawsze czuła się samotna, lecz jednocześnie dziwnie podekscytowana - w paradoksalnym poczuciu ciągłości, a jednocześnie czegoś nowego. Tego ranka jednak nie czuła nic podobnego, jedynie ciężki jak ołów niepokój, którego nie potrafiła całkowicie zepchnąć na karb ostatnich koszmarnych dwudziestu czterech godzin ani niedawnej śmierci w rodzinie.

Wspięła się na schody i przeszła przez środkowe drzwi, zamierzając użyć staroswieckiego dzwonka nad frontowym wejściem. Dzwonek ową oczarował ją, gdy pierwszy raz przyszli tu z Louisem; przekreślało się go w prawo, a on wydawał z siebie donosny, acz melodyjny brzęk, dźwięk należący do przeszłości, lecz uroczy.

Sięgnęła ku niemu, po czym zerknęła w dół, na podłogę, i zmarszczyła brwi. Na wycieraczkę widniały zablokowane ślady. Rozejrzała się i odkryła, iż ślady te wiodą od siatkowych drzwi aż do wejścia. Bardzo małe. Sądząc na oko, zostawiło je dziecko. Ale przecież jechała całą noc i ani przez moment nie padał deszcz, nie było nawet mgły.

Przez długi, stanowczo zbyt długi czas wpatrywała się w owe odciski stop i kiedy w końcu oderwała od nich wzrok, odkryła, że musi ponownie unieść rękę do dzwonka. Chwyliła pokretło... i jej dłoń znów opadła.

Boję się na zapas, to wszystko. Obawiam się dźwięku dzwonka w tej ciszy. Juda pewnie jednak zasnął i to go obudzi...

Ale nie tego się obawiała. Odkąd trudno jej było zwalczyć sennosc na drodze, dreczył ją ukryty, niewyraźny lek, lecz ten ostry strach był czymś nowym, czymś związanym wyłącznie z owymi małymi śladami. Śladami wielkości...

Jej umysł próbował zablokować te myśli, był jednak zbyt powolny, zbyt zmęczony.

....stop Gage'a.

Przestani, przestani natychmiast.

Wyciągnęła rękę i przekreśliła dzwonek.

Zabrzmił nawet głośniejszy, niż pamiętała, lecz nie tak melodyjnie - cisze przeszył ostry, zduszony krzyk. Rachel odskoczyła, wydając z siebie nerwowy śmiech pozbawiony wszelkiego rozbawienia. Czekając na kroki Juda, nie usłyszała ich jednak. Wewnątrz wciąż panowała cisza i Rachel zaczęła już rozważać, czy nie powinna drugi raz przekreślić małego żelaznego motylka, gdy za drzwiami rozległ się wreszcie jakiś dźwięk, dźwięk, którego bynajmniej nie oczekiwała.

Mrau!... Mrau!... Mrau!

-Church? - spytała zdumiona i zaskoczona. Pochyliła się naprzód, lecz oczywiście nie mogła go zobaczyć. Dużo szybciej w drzwiach przesłaniała starannie białą zasłonką, dzieło Normy. - Church, to ty?

Mrau!

Rachel nacisnęła klamkę. Drzwi były otwarte. Ujrzała Churcha siedzącego w korytarzu z ogonem owiniętym wokół nog. Kocie futro pokrywały ciemne plamy. Bloto, pomyślała Rachel, a potem dostrzegła krople płynu na wasikach Churcha. Były czerwone.

Kot podniósł jedną łapę i zaczął ją lizac, ani na moment nie spuszczał wzroku z jej twarzy.

-Jud! - zawołała, naprawdę zaniepokojona. Przekroczyła próg.

Dom nie odpowiedział; panowała w nim cisza.

Rachel próbowała się zastanowić, lecz jej myśli zagłuszyły wspomnienia Zeldy, które nagle pojawiły się jej w głowie: wykrzywione ręce, to, jak czasami tłukła głową w ścianę, kiedy się wściekła - w miejscu tym tapeta była zdarta, a gips wgnieciony i poobijany. Nie pora teraz na myśli o Zeldzie, nie kiedy Jud mógł zrobić sobie krzywdę. A jeśli upadł? Był przecież stary.

Myśl o tym, nie o snach, które dreczyły cię w dzieciństwie, snach o tym, jak otwierasz szafę i Zeldka wyskakuje na ciebie z poczerniałą, usmiechniętą twarzą. O tym, że siedzisz w wannie i widzisz oczy Zeldy wyglądające z odpływu. O tym, jak Zeldka czai się w piwnicy, za piecem. Sny...

Church otworzył pysk, ukazując ostre zęby, i ponownie wrzasnął: Mrau!

Louis miał rację, nie powinniśmy byli go kastrować. Od tej pory wydaje się jakiś inny. Louis twierdził, że zabieg pozbawi go wszelkiej agresji. Ale pomylił się. Church wciąż poluje. On...

Mrau! - krzyknął Church, po czym odwrócił się i smignął po schodach.

-Jud? - zawolala raz jeszcze. - Jesteś tam?

Mrau! - miauknal Church z gory schodow, jakby potwierdzajac ow fakt, po czym zniknal w glebi domu.

Jak w ogole sie tu dostal? Czy Jud go wpuscil? Czemu?

Rachel przestapila z nogi na noge, zastanawiajac sie, co robic dalej. Najgorsze bylo to, ze wszystko zdawalo sie... zdawalo sie zaaranzowane. Jakby cos chcialo, by tu przyszla i...

I wtedy z gory rozlegl sie jek, cichy, pelen bolu - byl to z pewnoscia glos Juda. Starzec upadl w lazience albo potknal sie, zlamal noge czy zwichnal biodro. Stare kosci sa takie kruche. Na milosc boska, dziewczyno, czemu stoisz tu i przestepujesz z nogi na noge? Musisz biec do lazienki. Church mial na sobie krew, krew, Jud sie zranil, a ty tu stoisz! Co sie z toba dzieje?

-Jud!

Jek zabrzmial ponownie i Rachel pobiegla na gore.

Nigdy wczesniej tu nie byla, a poniewaz jedyne okno korytarza wychodzilo na zachod, ku rzece, wciaz panowala tu ciemnosc. Korytarz byl prosty i szeroki, zaczynal sie obok schodow i wiodl na tyly domu. Porecz z wisniowego drewna polyskiwala elegancko, na scianie wisialo zdjecie Akropolu i

(to Zelda przez te wszystkie lata scigala cie a teraz nadszedl jej czas otworz drzwi po prawej i ujrysz ja z garbatymi pokrzywionymi plecami cuchnaca sikami i smiercia to Zelda jej czas wreszcie cie dopadla)

jek zabrzmial ponownie, cicho; dochodzil zza drugich drzwi po prawej.

Rachel ruszyla ku nim, jej obcasy stukaly o deski podlogi. Miala wrazenie, ze znalazla sie w petli - nie czasu ani przestrzeni, lecz wielkosci. Z kazdym krokiem malala, zdjecie Akropolu wznosilo sie coraz wyzej i wyzej, a krysztalowa galka u drzwi wkrótce znajdzie sie na poziomie jej oczu. Wyciagnela reke... zanim jednak zdazyla dotknac galki, drzwi otwarly sie gwałtownie.

Stala w nich Zelda.

Byla zgarbiona i poskrecana, z ciałem tak okrutnie zdeformowanym, ze zamienila sie w karla, majacego niewiele ponad pol metra wzrostu. I z jakiejś przyczyny miala na sobie garniturek, w ktorym pochowali Gage'a. Ale to byla Zelda, jej oczy plonely szalencza radoscia, sinofioletowa twarz wykrzywiala sie w oblakanczym grymasie. Zelda krzyczala. W koncu po ciebie wrocilam, Rachel, wykrzywie twoje plecy jak moje i nigdy juz nie wstaniesz z lozka, nigdy juz nie wstaniesz z lozka NIGDY NIE WSTANIESZ Z LOZKA...

Church siedział na jej ramieniu. Twarz Zeldy zafalowała i zmieniła się, i Rachel z narastającą mdłością groza ujrzała, że tak naprawdę to wcale nie Zelda, jak mogła tak bardzo się mylić? To był Gage. Jego twarz nie była czarna, lecz brudna, wysmarowana krwią i spuchnięta, jakby została straszliwie poraniona i złożona ponownie do kupy przez cudze obojętne dłonie.

Wykrzyknęła jego imię i wyciągnęła ramiona. Podbiegł ku niej i rzucił się jej w objęcia, jedną rękę cały czas trzymał za plecami, jakby ukrywał w niej bukiet kwiatów, zebranych na czyjejs łacie.

-Przyniosłem ci coś, mamó! - krzyknął. - Przyniosłem ci coś, mamó! Przyniosłem ci coś, przyniosłem, przyniosłem!

60.

Louis Creed obudził się, gdyż słońce świeciło mu prosto w oczy. Spróbował wstać, lecz natychmiast opadł z powrotem na łóżko, krzywiąc się z powodu przeszywającego plecy bólu. Spojrzał w dół. Wciąż kompletnie ubrany. Chryste. Leżał tak długo, zbierając siły, by przezwyciężyć sztywność, która zagnieździła się we wszystkich mięśniach. W końcu usiadł.

-Szlag by to - wyszeptał. Przez kilka sekund pokój kołysał mu się przed oczami, łagodnie, lecz dostrzegalnie. Plecy bolały jak zepsuty zab, a kiedy poruszał głowę, czuł się, jakby ktoś zastąpił mu ścięgna zardzewiałymi zębatymi ostrzami. Ale najgorzej było z kolaniem. Ben-Gay w ogóle nie pomógł. Powinien był zrobić sobie zastrzyk z pieprzonego kortyzonu. Nogawka spodni napięła się pod naporem opuchlizny; wyglądało to, jakby ukrył tam balon.

-Pięknie się załatwiłem - mruknął. - Naprawdę pięknie.

Zgwał je, bardzo ostrożnie, by moc usiąść na skraju łóżka. Zaciśnął wargi tak mocno, że zupełnie zbieleły. A potem zaczął delikatnie poruszać nogą, nasłuchując mowy bólu, próbując ustalić, jak bardzo jest źle, czy może...

Gage! Czy Gage wrócił?

Myśl ta sprawiła, że mimo bólu zerwał się z miejsca. Chwiejnym krokiem Johna Wayne'a przeszedł przez pokój i korytarz do sypialni Gage'a. Rozejrzał się rozpaczliwie, z imieniem synka drżącym na ustach. Pokój jednak był pusty. Kustykając, Louis powędrował do sypialni Ellie, także pustej, a stamtąd do pokoju gościnnego, którego okna wychodziły na drogę. Tu również nikogo nie było. Ale...

Po drugiej stronie drogi stał obcy samochód. Zaparkowany tuż za furgonetką Juda.

Co z tego?

Obcy samochód mógł oznaczać kłopoty, ot co.

Louis odsunął zasłone i uważnie przyjrzał się intruzowi. Mały niebieski wóz, chevette. A na jego dachu, zwinięty w klebek i najwyraźniej pogrążony we śnie, leżał Church.

Długi czas przyglądał mu się, nim w końcu puścił zasłone. Jud miał towarzystwo i tyle. Co z tego? Chyba jeszcze za wcześnie na to, by martwić się, co się stało (bądź nie) z Gage'em; Church powrócił w południe, nawet nieco później, a teraz była dopiero dziewiąta. Dziewiąta rano pięknego majowego dnia. Zejdzie po prostu na dół i zaparzy sobie kawę, wyjmie kompres rozgrzewający, owinie nim kolano i...

co Church robi na dachu samochodu?

-Daj spokój - powiedział głośno i kulejąc, ruszył w głąb korytarza. Koty śpią, gdzie tylko zechcą, taka jest ich natura...

Tyle że Church nie chadza już na drugą stronę drogi, pamiętasz?

-Zostaw to - mruknął i przystanął w połowie schodów (z których schodził niemal bokiem). Gada do siebie. Niedobry znak. To...

Co to było, to coś wczoraj w lesie?

Mysł ta zjawiała się nagle, nieproszona, sprawiając, że jego wargi zacisnęły się tak jak wcześniej, tyle że nie z bólu. Zeszłej nocy snił o tym czymś. Marzenia o Disney Worldzie przechodziły gładko i naturalnie w koszmary o istocie z lasu. Śniło mu się, że go dotknęła, na zawsze niszczyć przyjemne sny, rujnując wszelkie dobre zamiary. To był Wendigo i zamienił go w kanibala, nie - w ojca wszelkich kanibali. We śnie znowu odwiedził Cmentarz Zwierząt, lecz nie sam. Byli z nim Bill i Timmy Baterman, a także Jud, upiorny, z twarzą trupa, który trzymał na smyczy ze sznura od bielizny swego psa, Spota. Lester Morgan miał w ręku lancuch holowniczy z uwiązany na końcu bykiem Hanrattym; Hanratty leżał na boku, rozglądając się wokół z tępa, ślepa furia. I z jakichś przyczyn znajdowała się tam też Rachel; musiała mieć drobny wypadek przy jedzeniu - może wylała keczup albo upuściła słoik dżemu z urawinowego, bo jej sukienkę pokrywały czerwone plamy.

A potem zza wiatrolomu wynurzyła się gigantyczna postać o spekanej, żółtej gadziej skorze, zapadniętych oczach jak dwie lampy przeciwmgielne i uszach niebedących uszami, lecz masywnymi wygiętymi rogami. To był Wendigo, bestia, jaszczur stworzony przez kobiety. I kiedy zadzierali głowy, by się mu przyjrzec, wyciągnął ku nim zrogowaciały, szponiasty palec...

-Przestanie - szepnął Louis i zadrżał na dźwięk własnego głosu. Postanowił, że pójdzie do kuchni i zrobi sobie śniadanie, jak każdego zwykłego dnia. Kawalerskie śniadanko, przesycone smakowitym cholesterolem. Pare tostów z sadzonymi jajkami, przybranymi majonezem i krawkiem cebuli. Cuchnął potem, błotem i brudem, uznał jednak, że prysznic weźmie później; w tej chwili zdjęcie ubrania wydało mu się zbyt ciężką pracą. Obawiał się zresztą, że aby uwolnić spuchnięte kolano, będzie musiał wyjąć z torby skalpel i przeciąć

nogawke spodni. Szkoda dobrego ostrza, ale zaden z nozy w domu nie przecialby grubego dzinsu; krawieckie nozyce Rachel tez nie dalyby mu rady.

Ale najpierw sniadanie.

Przeszedl przez salon, po drodze zbaczajac do drzwi wejsciowych, by raz jeszcze spojrzec na maly niebieski samochod na podjezdzie Juda. Pokrywala go rosa, co oznaczalo, ze stal tam jakis czas. Church wciaz lezal na dachu, nie spal jednak. Zdawalo sie, ze patrzy wprost na Louisa wstretnymi zoltymi oczami.

Louis cofnal sie pospiesznie, jakby ktos przylapal go na podgladaniu.

Poszedl do kuchni, wyciagnal patelnie, postawil na palniku i wyjal z lodowki jajka. Kuchnia byla jasna, czysta, wysprzatana. Probował cos zagwizdac; gwizdanie przywolaloby prawdziwego ducha poranka, ale nie potrafil. Wszystko wygladalo w porzadku, ale takie nie bylo. Dom zdawal sie przerazliwie pusty, a wczorajsze wydarzenia ciazyly mu jak ogromny kamien. Wszystko bylo nie tak, inaczej; czul kryjacy sie tuz za rogiem cien i bal sie.

Pokustykal do lazienki i zazyl kilka aspiryn, popijajac szklanka soku. Wlasnie zmierzal z powrotem do kuchni, gdy zadzwonil telefon.

Louis nie odebral go natychmiast. Najpierw odwrocil sie i spojrzal na aparat. Czul sie powolny i glupi, frajer w grze, ktorej, co dopiero teraz pojmowal, w najmniejszym stopniu nie rozumial.

Nie odbieraj, nie chcesz odbierac, bo to zle wieści, koniec smyczy wiodacej za rog i w ciemnosc, a nie sadze, abys chcial sie przekonac, co czeka na drugim koncu tej smyczy, Louis, naprawde watpie, wiec nie odbieraj, biegnij, natychmiast, samochod jest w garazu, biegnij do niego i uciekaj, tylko nie odbieraj...

Podszedl do telefonu i podniosl sluchawke, jedna reka oparl sie na suszarce, jak tyle razy przedtem; to byl Irwin Goldman i w chwili, gdy tamten powiedzial "Halo", Louis ujrzal przecinajace kuchnie slady, male, zablocone slady i serce zamarlo mu w piersi; mial wrazenie, ze oczy wychodza mu z orbit; czul, ze gdyby mogl przejrzec sie w lustrze, zobaczylyby twarz z taniego komiksu grozy. To byly slady Gage'a, Gage tu byl, byl tutaj w nocy, a zatem gdzie jest teraz?

-Louis, mowi Irwin... Louis? Jestes tam? Halo!

-Czesc, Irwin - odparl i wiedzial juz, co tamten powie. Zrozumial, skad wzial sie niebieski samochod. Zrozumial wszystko. Smycz... smycz, wiodaca w ciemnosc... poruszal sie po niej coraz szybciej, reka za reka. Ach, gdyby tylko mogl ja puscic, nim zobaczy, co jest na koncu! Ale ona nalezala do niego. Kupil ja sobie.

-Przez moment sadzilem, ze nas rozlaczylo - mowil wlasnie Irwin.

-Nie, sluchawka wyslizneta mi sie z reki. - Glos Louisa brzmial zupełnie spokojnie.

-Czy Rachel dotarta wczoraj do domu?

-O tak - odparl Louis, myslac o niebieskim samochodzie, Churchu przycupnietym na dachu, niebieskim samochodzie, tak cichym i nieruchomym. Jego wzrok przesuwal sie po blotnistrych sladach na podlodze.

-Powinienem z nia pomowic - oznajmil Goldman. - W tej chwili. Chodzi o Ellie.

-Ellie? Co z nia?

-Naprawde mysle, ze Rachel...

-Rachel tu nie ma - ucial szorstko Louis. - Pojechala do sklepu po chleb i mleko. Co z Ellie? Irwin, mow!

-Musielismy ja zawiezc do szpitala - rzekl z wahaniem Goldman. - Miala zly sen, cala serie zlych snow. Wpadla w histerie i nie mogliśmy jej uspokoic. Ona...

-Dali jej leki?

-Slucham?

-Lekarstwa - powtorzyl niecierpliwie Louis. - Srodki uspokajajace.

-Tak, o tak. Podali jej pigulke i znow zasneta.

-Mowila cokolwiek? Co ja tak przerazilo? - Tak mocno sciskal w dloni sluchawke, ze zbielaly mu kostki.

Po stronie Irwina Goldmana zapadla cisza, dluga cisza. Tym razem Louis nie odzywal sie, choc bardzo tego pragnal.

-To wlasnie okropnie wystraszylo Dory - powiedzial w koncu Irwin. - Bardzo duzo mowila, nim... nim zaczela plakac tak mocno, ze nic nie dalo sie zrozumiec. Sama Dory tez prawie... no wiesz.

-Co powiedziala?

-Ze Oz Wielki i Wspanialy zabil jej matke. Tyle ze powiedziala to nieco inaczej. Powiedziala... "Oz Wiejki i Wsaniały"; tak wlasnie wymawiala to zawsze nasza druga corka. Nasza corka Zelda. Louis, uwierz mi, ze wolalbym zadac to pytanie Rachel, ale jak wiele opowiedzialescie Eileen o Zeldzie i o tym, jak umarla?

Louis zamknal oczy; mial wrazenie, ze ziemia lagodnie kolysze mu sie pod stopami. Glos

Goldmana zdawał się dobiegac z za gestej mgły.

Mozesz uslyszec dzwieki przypominajace glosy, ale to tylko nury na poludniu Wzgorza Widokowego. Dzwiek daleko sie niesie.

-Louis, jestes tam?

-Czy z nia wszystko dobrze? - spytal Louis; nawet wlasny glos wydawal mu sie odlegly. - Czy Ellie nic nie bedzie? Postawili diagnoze?

-Opozniiony wstrzas po pogrzebie - odparl Goldman. - Przyjechal moj lekarz. Lanthrop. Porzadny czlowiek. Powiedzial, ze ma lekka goraczke i kiedy obudzi sie po poludniu, moze nawet niczego nie pamietac. Ale uwazam, ze Rachel powinna wrocic. Louis, boje sie. Ty tez powinienes wrocic.

Louis nie odpowiedzial. Oko Boze spoglada na wrobla; tak twierdzil dobry krol Jakub. On jednak byl tylko zwyklym czlowiekiem i jego oczy wpatrywaly sie w slady blota na podlodze.

-Louis, Gage umarl - mowil wlasnie Goldman. - Wiem, ze trudno sie z tym pogodzic - i tobie, i Rachel - ale wasza corka zyje i potrzebuje was.

Tak, zgadzam sie. Moze i jestes starym pierdola, Irwin, ale ow koszmar, ktory spotkal obie twoje corki w ow kwietniowy dzien tysiac dziewiecset szescdziesiatego trzeciego nauczyl cie chyba nieco wzrażliwosci. Ona mnie potrzebuje, a ja nie moze przyjechac, bo boje sie - tak bardzo sie boje - ze mam rece splamione krwia jej matki.

Louis spojrzal na swoje dlonie. Na brud pod paznokciami, tak podobny do blota z owych sladow na kuchennej podlodze.

-W porzadku - rzekl. - Rozumiem. Bedziemy u was, jak najszybciej zdołamy, Irwin. Jesli sie da, jeszcze dzis wieczorem. Dziekuje ci.

-Staralismy sie, jak mogliśmy - odparl Goldman. - Moze jestesmy juz za starzy. Moze, Louis, zawsze bylismy.

-Mowila cos jeszcze?

Odpowiedz Goldmana zabrzmiala niczym uderzenie dzwonu pogrzebowego w murach jego serca:

-I to duzo, ale zrozumialem tylko jedno: "Paxcow mowi, ze juz za pozno".

Louis odwiesil sluchawke i oszolomiony ruszyl w powrotem w strone kuchenki, sam jeszcze nie wiedzial - z zamiarem kontynuowania przygotowan do sniadania czy odlozenia wszystkiego? Kiedy jednak stanal na srodku kuchni, ogarnela go fala slabosci, swiat przed

oczami rozplynal sie w szarej mgle i Louis powoli osunal sie na ziemie - "osunal" bylo wlasciwym slowem, bo upadek zdawal sie trwac wiecznie. Padal tak i padal poprzez zasnutą chmurami pustke; miał wrazenie, że obraca się w powietrzu, wiruje, zatacza petle, sruby i kilka beczek. A potem jego zranione kolano rabnelo o ziemie i przesywajacy glowe rozszarzony promien bolu ocucil go blyskawicznie. Louis krzyknal i przez moment mogl tylko kucac, skulony i nieruchomy. W jego oczach zakrecily sie lzy.

W koncu zdolal sie podzwignac i stanal chwiejnie. Ale przynajmniej przejasnilo mu sie w glowie. To juz cos, prawda?

I znow, po raz ostatni, ogarnelo go przemozne pragnienie uciezki, silniejsze niz kiedykolwiek. W kieszeni spodni czul kuszacy ciezar kluczykow. Wsiadzie do hondy i pojedzie do Chicago. Zabierze Ellie i ruszy w dalsza droge. Oczywiscie do tego czasu Goldmanowie zorientuja sie, ze stalo sie cos zlego, cos bardzo zlego, ale i tak ja zabierze... porwie, jesli bedzie trzeba.

I wtedy jego reka, gladzaca tkwiace w kieszeni kluczyki, opadla. Pragnienie uciezki zniknelo, zabite nie przez poczucie beznadziejnosci, winy, rozpacz czy wszzechogarniajace znuzenie, lecz przez widok zabloconych sladow na podlodze kuchni. Oczyma umyslu ujrzal te same slady, przecinajace caly kontynent - najpierw zmierzajace do Illinois, potem na Floryde - i, w razie potrzeby, caly swiat. Co kupisz, to twoje, a to, co twoje, wczesniej czy pozniej do ciebie wroci.

Nadejdzie dzien, kiedy otworzy drzwi i ujrzy Gage'a, oblakancza parodie dawnego Gage'a, szczerzaca zeby w upiornym usmiechu; jego jasne blekitne oczy lsniace tepa, a jednocześnie przebiegla zolcia. Albo moze Ellie wejdzie rano do lazienki wziac prysznic, a Gage bedzie siedzial w wannie z cialem pokrytym platanina starych blizn i fald, pozostalych po smiertelnym wypadku, czysty, lecz cuchnacy grobem.

O tak, nadejdzie taki dzien - nie watpil w to ani przez chwile.

-Jak moglem byc taki glupi? - spytal, zwracajac sie do pustego domu. Znow mowil do siebie i zupełnie sie tym nie przejmowal. - Jak?

To rozpacz, nie glupota, Louis. Istnieje roznicza... drobna, lecz kluczowa. Rozpacz to akumulator, z ktorego czerpie sile tamten cementarz. Jego moc rosnie, powiedzial Jud, i oczywiscie mial racje, a teraz ty stales sie czescia tej mocy. Karmilo sie twoja rozpacza... nie, wiecej niz karmilo. Podwajalo ja, podnosilo do kwadratu, do n-tej potegi. Nie zywi sie zreszta wylicznie rozpacza. Rozsadek. Pozeralo twój rozsadek. Miales jedna wade: nie potrafiles pogodzic sie z tym, co sie stalo. To czesta wada, ciebie jednak, oprócz syna, kosztowala tez zone i niemal na pewno najlepszego przyjaciela. Tak to juz jest. Oto co sie dzieje, kiedy spoznisz sie z zyczeniem, by stwor, który stuka do twych drzwi w srodku nocy, zniknal. To proste: zapada absolutna ciemnosc.

Moglbym popelnic samobojstwo, pomyslal, i chyba jeszcze mnie to czeka, prawda? Mam w torbie niezbedne srodki. To sterowalo wszystkim, kierowalo nami od poczatku. Cmentarz, Wendigo, cokolwiek to jest. Kazalo naszemu kotu wybiec na droge, i moze tez Gage'owi, sprowadzilo Rachel do domu, lecz dopiero wtedy, gdy mu to odpowiadalo. Z pewnoscia ja tez mam sie zabic... i pragne tego.

Ale najpierw trzeba uporzadkowac wszystkie sprawy.

O tak.

Trzeba pamietac o Gage'u. Gage wciaz tam byl.

Gdzies.

Podazyl za sladami przez jadalnie, salon i dalej, z powrotem na gore. Tu staly sie nieco rozmazane, bo nieswiadomie zdeptal je wczesniej, schodzac na dol. Wiodly wprost do sypialni. Byl tutaj, pomyslal ze zdumieniem Louis, byl wlasnie tutaj - a potem zauwazyl, ze torba lekarska jest otwarta.

Wewnatrz, gdzie zawsze utrzymywal pedantyczny porzadek, panowal wyrazny nieład. Louis nie potrzebowal jednak duzo czasu, by dostrzec, ze brakuje skalpela. Ukryl twarz w dloniach i dlugi czas siedzial bez ruchu; z jego gardla dobywal sie cichy, rozpaczliwy dzwiek.

W koncu ponownie otworzyl torbe i zaczal czegos szukac.

Znowu na dole.

Odglos otwieranych drzwi spizarni. Dzwiek zatrzaskiwanej szafki. Wysoki skowyt otwieracza do puszek. Wreszcie odglos otwieranych i zamykanych drzwi garazu. A potem w domu nie bylo juz nikogo. Stal pusty w majowym sloncu, tak jak owego sierpniowego dnia poprzedniego roku, gdy czekal na przybycie nowych ludzi... i jak w przyszlosci bedzie czekal na nastepnych, moze mlode malzenstwo, bezdzietne (lecz z nadzieja zmiany tego stanu); radosnych nowozencow gustujacych w winie Mondavi i piwie Lowenbrau; on bedzie kierowal dzialem kredytow w Banku Polnocno-Wschodnim, ona szczycic sie bedzie uprawnieniami higienistki dentystycznej albo moze trzyletnim doswiadczeniem w asystowaniu okuliscie. On bedzie rabal drwa na kominek, ona - w sztruksowych spodniach z wysoka talia - wybierze sie na spacer po polu pani Vinton, zbierajac wiotkie listopadowe trawy i ukladajac z nich bukiet, z wlosami zwiazanymi w konski ogon, najjasniejsza istota pod szarym niebem, kompletnie nieswiadoma faktu, ze w gorze, unoszony pradami powietrza, szybuje niewidzialny Sep. Beda gratulowali sobie braku przesadow i blyskawicznego wylapania tego domu mimo jego ponurej historii - beda opowiadac przyjaciolom, ze dostali go za grosze, i zartowac na temat mieszkajacego na strychu ducha, a potem wszyscy wypija jeszcze jedno lowenbrau albo kolejny kieliszek mondavi, i moze zagraja w backgammona albo mille bourne.

I może też sprawia sobie psa.

61.

Louis przystanął na miękkim poboczu, czekając, aż przejedzie ciężarówka Orinco, wyladowana nawozami sztucznymi, po czym przeszedł przez drogę do domu Juda. Tuż za nim wlokł się jego cień, wskazując dokładnie na zachód. Louis trzymał w dłoni otwartą puszkę kocięj karmy. Church dostrzegł go i usiadł, nie spuszczając zeń czujnych żółtych oczu.

-Cześć, Church - powiedział Louis, mierzając wzrokiem cichy dom. - Chcesz coś przekąszyć?

Postawił puszkę na masce chevette i patrzył, jak Church zeskakuje lekko z dachu i zabiera się do jedzenia. Louis wsunął dłoń do kieszeni kurtki. Church obejrzał się na niego, niespokojny, jakby czytał mu w myślach. Louis uśmiechnął się i odsunął od samochodu. Kot znowu zaczął jeść, a Louis wyjął z kieszeni strzykawkę. Rozerwał opakowanie i napełnił ją siedemdziesięcioma pięcioma miligramami morfiny. Schował ampulki z powrotem i podszedł do Churcha, który znowu obejrzał się nieufnie. Louis uśmiechnął się do kota.

-No dalej, jedz, Church. Hey-ho, let's go, zgadza się? - Poglaskał go, poczuł, jak plecy zwierzęcia wyginają się w łuk, a kiedy Church wrócił do przerwanej posiłku, Louis złapał go za śmierdzący brzuch i zatopił igłę głęboko w zadzie.

Kot oszalał. Wil się, wrywał, prychnął i drapał, lecz Louis trzymał go, naciskając do końca tłoczek. Dopiero wtedy wypuścił zwierzę. Church zeskoczył z chevette, sycząc jak czajnik na gazie; żółte oczy zmierzyły Louisa wściekłym, mściwym spojrzeniem. Gdy kot skakał, wbita w zad strzykawka podskakiwała wraz z nim. Po sekundzie wypadła i stłukła się. Louis nie przejął się tym. Miał ich więcej.

Kot pobiegł ku drodze. Nagle zawrócił i jakby sobie coś przypomniał, ruszył ku domowi. Zdolał pokonać połowę dystansu, gdy zaczął zataczać się jak pijany. Z trudem dotarł do schodów, wskoczył na pierwszy stopień i spadł. Leżał na boku na kawałku nagiej ziemi u stopni schodów na werandzie, oddychając coraz słabiej.

Louis zajrzał do chevette. Jeśli oprócz kamienia, który zastąpił mu serce, potrzebował jeszcze jakichś dowodów, to właśnie je znalazł: torebka Rachel na siedzeniu, jej apaszka i plik biletów lotniczych wysypujących się z folderu linii lotniczych Delta.

Gdy się odwrócił i ruszył ku werandzie, bok Church przestał gwałtownie wznosić się i opadać. Church był martwy. Po raz drugi.

Louis przeszedł nad nim i ruszył po schodach.

-Gage?

W przedsionku na dole było zimno. Zimno i ciemno. Słowo runęło w tę ciszę niczym kamień cisnięty w głąb studni. Louis rzucił następny.

-Gage?

Nic. Nawet tykanie zegara w salonie ucichło. Tęgo ranka nie było nikogo, kto mógłby go nakreć.

Ale na podłodze widniały ślady.

Louis poszedł do salonu. W pokoju unosiła się won papierosów, stara i zastęła. Tuż przy oknie ujrzał fotel Juda. Był odsunięty, jakby jego właściciel wstał nagle. Na parapecie znajdowała się popielniczka, a w niej równy waleczek popiołu.

Jud siedział tu i czekał. Na co? Oczywiście na mnie; czekał, aż wróce do domu. Tyle że mnie nie zauważył. Jakimś cudem mnie nie zauważył.

Zerknął na cztery puszki piwa, ustawione w równym rzędzie. Za mało, by go uspic, ale może musiał iść do łazienki. Tak czy inaczej, było to nieco zbyt piękne, by było przypadkowe, prawda?

Zablocone ślady zbliżyły się do fotela. Między nimi dostrzegł kilka białych, widmowych odcisków kocich łap, zupełnie jakby Church kilkakrotnie wdepnął w błoto, pozostawione przez buciki Gage'a. Potem ślady skrecały w stronę wahadłowych drzwi, wiodących do kuchni.

Z bijącym mocno sercem Louis podążył za nimi.

Pchnął drzwi i ujrzał rozrzucone stopy Juda, jego stare zielone dreszowe spodnie, kręciasta flanelowa koszula. Stary mężczyzna leżał na plecach w wielkiej kałuży krępnęcej krwi.

Louis przycisnął dłonie do twarzy, jakby chciał przesłonic ów widok, bez powodzenia. Ujrzał oczy, oczy Juda, otwarte, oskarżycielskie. Może nawet oskarżały samego siebie za to, że zapoczątkował to wszystko?

Ale czy naprawdę to zrobił? - zastanawiał się Louis. Czy rzeczywiście to zrobił?

Judowi powiedział o tym Stanny B., Stanny'emu B. - jego ojciec, a ojcu Stanny'ego B. jego ojciec, ostatni handlarz futer, prowadzący interesy z Indianami, Francuz z północy, w czasach gdy Franklin Pierce wciąż był prezydentem.

-Och, Jud, tak mi przykro - szepnął. Martwe oczy Juda patrzyły na niego.

-Tak mi przykro - powtórzył Louis.

Jego stopy zaczęły poruszać się bez udziału woli. Myślimi powrócił do ostatniego Święta Dziekczynienia. Nie wieczoru, gdy wraz z Judem zanieśli kota na Cmentarz Zwierząt i dalej, lecz obiadu, indyka przyrządzonego przez Normę. Wszyscy troje śmiali się i rozmawiali; mężczyźni pili piwo, a Norma - kieliszek białego wina. Norma wyciągnęła wtedy z dolnej szuflady biały batystowy obrus, tak jak on teraz, tyle że ona położyła go na stole i przytrzymała na miejscu pięknymi cynowymi świecznikami, podczas gdy on...

Louis patrzył, jak tkanina wydyma się i opada na ciało Juda niczym czasza spadochronu, litosciwie zakrywając martwą twarz. Niemal natychmiast na białym batystycie wystąpiły pierwsze plamki głębokiej, najgłębszej czerwieni.

-Przykro mi - powiedział po raz trzeci. - Tak bardzo mi przy...

I wtedy coś poruszyło się nad jego głową, coś zaskrzypiało, i ostatnie słowo zamarło mu na ustach. Dźwięk był cichy, ukradkowy, lecz niewątpliwie rozmyslny. O tak, Louis był tego pewien. On miał usłyszeć ten dźwięk.

Jego ręce tak bardzo pragnęły zadrzec, lecz nie pozwolił im na to. Podszedł do kuchennego stołu, przykrytego kraciastą ceratą, i sięgnął do kieszeni. Wyjął z niej trzy jednorazowe strzykawki, zdarł z każdej papierowe opakowanie i ułożył w starannym rzadku. Następnie wyciągnął trzy ampulki i napełnił każdą strzykawkę dawką morfiny wystarczającą, by zabić konia - albo byka Hanratty'ego, gdyby zaszła taka konieczność. Wreszcie znowu schował je do kieszeni.

Wyszedł z kuchni, przeciał salon i zatrzymał się u stop schodów.

-Gage? - zawołał.

Gdzieś pośród cieni na gorze odezwał się chichot - zimny, pozbawiony radości dźwięk, od którego Louisowi przebiegł dreszcz po plecach.

Ruszył na górę.

Wedrowka po schodach trwała wiecznie. Potrafił sobie wyobrazić kogoś, komu podobny marsz wydaje się równie długi (i przerażająco krótki): skazanca idącego na szafot ze związanymi na plecach rękami, który wie, że zsiąka się, kiedy nie będzie już mógł gwizdać.

W końcu dotarł na podest. Uparcie wbijał wzrok w ścianę; jedną dłoń trzymał w kieszeni. Ile czasu tak stał? Nie wiedział. Czuł, jak jego umysł powoli osuwa się w szalenstwo. Było to prawdziwe, namacalne uczucie, bardzo interesujące. Wyobraził sobie, że podobnie czuje się przygniecione ciężarem szadzi drzewo - jeśli drzewa w ogóle coś czują - podczas potężnej burzy, tuż przed tym, nim się złamie.

-Gage, chcesz jechać ze mną na Florydę? - zawołał wreszcie.

Znow ten chichot.

Louis odwrócił się i ujrzał swoją żonę, której kiedyś zaniósł w zębach różę. Leżała w połowie korytarza. Była martwa. Nogi miała rozrzucone tak jak Jud; głowa i plecy opierały się o ścianę pod dziwnym kątem. Wyglądała jak kobieta, która zasnęła, czytając w łóżku.

Ruszył ku niej.

Witaj, kochanie, pomyślał. Wrocilas.

Rozbryzgana na tapecie krew tworzyła bezsensowne kształty. Rachel została dzgnięta dziesięć, może dziesiątki razy. Jego skalpelem.

Nagle zobaczył ją, naprawdę ją zobaczył, i zaczął krzyczeć.

Jego przeraźliwe krzyki odbijały się echem i rozchodziły po domu, w którym mieszkała już i krążyła tylko śmierć. Wrzeszczał, wybaluszając oczy, wrzeszczał z poczerwieniałą twarzą i zjezonymi włosami; dźwięki wyrywały się z jego spuchniętego gardła niczym piekielne dzwony, upiorne wrzaski, zwiastujące nadejście szalenstwa. Nagle jego umysł załamywały potworne wizje. Widział Victora Pascowa, umierającego na podłodze w przychodni, Churcha, wracającego do domu ze skrawkiem zielonej folii na wasach, baseballową czapkę syna na drodze, pełną krwi; lecz przede wszystkim istotę, którą dostrzegł w pobliżu Moczarów Małego Boga, istotę, która powaliła drzewo, istotę o złotych oczach, Wendigo, stworza z północnej krainy, martwą istotę, wzbudzająca ohydne zadęty.

Rachel nie zginęła tak po prostu.

Cos ja... cos ja zaatakowało.

(! KLIK !)

Ostatni dźwięk rozległ się w jego głowie. Był to odgłos przepalającego się przelacznika, zgrzyt na zawsze zablokowanej dźwigni, huk pioruna trafiającego wprost w cel, dźwięk otwierających się drzwi.

Tępo unosił wzrok, z krzykiem wciąż wibrującym w gardle, i wreszcie ujrzał Gage'a z twarzą wysmarowaną krwią, ociekającym krwią podbrodkiem i ustami wygiętymi w piekielnym uśmiechu. W dłoni trzymał skalpel Louisa.

Gdy nim machnął, Louis cofnął się bez namysłu. Skalpel smignął tuż obok jego twarzy i Gage się zachwiał. Jest równie niezdarny jak Church, pomyślał Louis, kopniakiem zwalając go z nog. Gage upadł niezgrabnie; nim zdążył wstać, Louis rzucił się na niego. Usiadł na nim, kolaniem przyciskając do podłogi dłoń trzymającą skalpel.

-Nie - wydyszala istota pod nim. Jej twarz wykrzywiała się i marszczyła, oczy Isniły

mściwym blaskiem, niemal owadzie w swej bezmyślnej nienawisci. - Nie, nie, nie...

Louis rozpaczliwie sięgnął po strzykawkę. Będzie musiał działać szybko. Ta rzecz pod nim była jak natłuszczona ryba i nie chciała wypuścić skalpela, choćby nie wiem jak mocno naciskał jej przegub. Jej twarz zdawała się falować i zmieniać: na oczach Louisa stała się twarz Juda, patrząca martwo przed siebie; powgniatanym, strzaskanym obliczem Victora Pascowa z wywroconymi oczami; lustrzanym odbiciem jego własnej twarzy, upiornie bladej i szalonej. A potem zmieniła się raz jeszcze i Louis ujrzał oblicze istoty w lesie - niskie czoło, martwe żółte oczy, długi, szpiczasty, rozdwojony język, usmiechnięte, syczące usta.

-Nie, nie, nie-nie-nie...

Stwor szarpnął się pod nim. Strzykawka wyleciała Louisowi z dłoni i odturlała się na bok. Siegnął po następną, wyjął ją i wbił dokładnie w krzyż Gage'a.

Istota wrzasnęła; jej ciało podskoczyło i wstrzasnęło się gwałtownie, o mało go nie zrzucając. Z głuchym pomrukiem Louis wyciągnął trzecią strzykawkę; tym razem wbił igłę w ramię Gage'a i natychmiast przycisnął tłoczek do oporu. Potem zeskoczył z ciała i powoli zaczął cofać się korytarzem. Gage wolno dzwignął się z ziemi i potykając się, ruszył ku niemu. Po pięciu krokach skalpel wypadł mu z ręki; upadł ostrzem w dół i wbił się w drewno. Drżał przez chwilę. Dziesięć kroków i dziwne żółte światło oczu zaczęło gasnąć. Dwanaście i stwor upadł na kolana.

Teraz Gage spojrzał na niego i przez moment Louis ujrzał swego syna - prawdziwego syna - z nieszczęśliwą, przepelnioną cierpieniem twarzą.

-Tato! - krzyknął i upadł.

Przez moment Louis stał bez ruchu. Wreszcie podszedł do Gage'a, ostrożnie, spodziewając się jakiegoś podstępu. Nie było jednak żadnego podstępu, żadnego rzucania się naprzód z zakrzywionymi jak szpony dłońmi. Louis fachowo przesunął palcami po gardle Gage'a, znalazł puls i przytrzymał. Po raz ostatni w życiu odegrał lekarza, śledzącego puls aż do samego końca, gdy nie było już nic, ani w środku, ani na zewnątrz.

Kiedy serce stworza zatrzymało się wreszcie, Louis wstał i chwiejnie pomaszerował korytarzem aż pod ścianę. Przykucnął tam, kuląc się w kacie, coraz mocniej i mocniej. Odkrył, że może stać się jeszcze mniejszy, wsuwając kciuk do ust i zrobił to.

Siedział tak ponad dwie godziny... a potem, stopniowo, w jego umyśle pojawił się mroczny, lecz jakże pociągający pomysł. Louis wyciągnął kciuk z ust. Rozległo się ciche młaskanie. Wstał

(hey-ho, let's go)

i zabrał się do pracy.

W sypialni, w której ukrywał się Gage, Louis zdjął z łózka przescieradło i wyniósł je na korytarz. Łagodnie, z miłością owinał nim ciało żony. Nucił, choć sam o tym nie wiedział.

Benzyna znalazł w garażu Juda: pięć galonów w czerwonym kanistrze obok kosiarki. Wystarczy aż nadto. Zaczął w kuchni, gdzie Jud wciąż leżał pod świątecznym obrusem. Louis dokładnie oblał go benzyna, po czym, z otwartym kanistrem, przeszedł do salonu, rozbryzgując bursztynowy płyn po dywanie, kanapie, stojaku z gazetami, krzesłach, i dalej, korytarzem na dół, do tylnej sypialni. W powietrzu unosiła się won benzyny, ostra i przenikliwa.

Zapalki Juda leżały na paczce papierosów obok fotela, na którym pełnił swą daremną wartość. Louis zabrał je. Stał w drzwiach frontowych, cisnął za siebie zapaloną zapalniczkę i wyszedł. Natychmiast omiotła go gwałtowna fala gorąca; miał wrażenie, że od rozgrzanego podmuchu skurczyła mu się skóra na karku. Starannie zamknął drzwi. Tylko przez moment zatrzymał się na werandzie, obserwując pomarańczowe rozbłyski za zasłonami Normy. Już przy schodach ponownie przystanął, wspominając piwa, wypijane tu z Judem milion lat wcześniej i słuchając miękkiego, narastającego pomruku ognia.

Potem odszedł.

62.

Steve Masterton pokonał ostatni zakręt przed domem Louisa i niemal natychmiast dostrzegł dym. Nie dochodził on z domu Creedów, lecz z domostwa starego pryka po drugiej stronie drogi. Steve przyjechał tego ranka, bo martwił się o Louisa, i to bardzo. Charlton opowiedziała mu o wczorajszym telefonie Rachel i to sprawiło, że zaczął się zastanawiać, gdzie podziewa się Louis... i co robi.

Troska, choć niesprecyzowana, dreczyła go - wiedział, że nie poczuje się lepiej, póki nie pojedzie tam i nie sprawdzi, czy u Creedów wszystko w porządku - przynajmniej na tyle, na ile pozwalały okoliczności.

Nadejście prawdziwej wiosny jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki opróżniło przychodnię i Surrendra kazał mu jechać, obiecując, że sam zajmie się wszystkimi nowymi pacjentami. Toteż Steve wskoczył na swoją hondę, która zaledwie dzień wcześniej wypuścił z garażu, i ruszył w stronę Ludlow. Może nieco zbyt mocno dodawał gazu, lecz cały czas dreczył go niejasny lek, a wraz z nim absurdalne przeczucie, że jest już za późno. Oczywiście to bzdura, lecz tak samo czuł się zeszłej jesieni, gdy doszło do całej sprawy z Pascowem - uczucie przykrego zaskoczenia i ciężkiego jak ołów zawodu. Nigdy nie był religijny (w college'u Steve przez dwa lata należał do Towarzystwa Ateistycznego; wystąpił z niego dopiero, gdy opiekun powiedział mu - prywatnie i w głębokim sekrecie - że przynależność ta może poważnie zaszkodzić jego szansom otrzymania stypendium medycznego), ale przypuszczał, iż, jak każda ludzka istota, odziedziczył po swych przodkach niewielką biologiczną, czy może biorytmiczną zdolność przewidywania

przyszłości dzięki przeczuciom. Według Steve'a śmierć Pascowa w jakiś sposób zdołała nadąć ton całemu rokowi. A nie był to dobry rok. Dwóch krewniaków Surrendry w ojczyźnie trafiło do więzienia ze względów politycznych, a Surrendra mówił, iż obawia się, że jeden z nich - wuj, którego bardzo kochał - może już nie żyć. To rzekłszy, zapłakał i widok łez na jego zwykle pogodnej hinduskiej twarzy przeraził Steve'a. Matka Charlton przeszła mastektomie i przełożona pielęgniarek niezbyt optymistycznie oceniała jej szanse na długie, szczęśliwe życie. Sam Steve od czasu śmierci Pascowa był już na czterech pogrzebach - szwagierki, która zginęła w kraksie samochodowej, kuzyna, zabitego w niezwykłym wypadku, będącym efektem zakładu w barze (został porażony prądem, kiedy udawał, że potrafi wspiąć się na sam szczyt słupa wysokiego napięcia), jednego z dziadków i oczywiście synka Louisa.

Poza tym lubił Louisa. Chciał się upewnić, że nic mu nie jest. Ostatnio Louis przeszedł prawdziwe piekło.

Gdy ujrzał kleby dymu, pierwsze, co przyszło mu do głowy, to myśl, iż oto nastąpił kolejny wypadek, za który winę ponosi Victor Pascow - jakby w akcie umierania zniszczył barierę zaporową dzielącą zwykłych ludzi od niezwykłego pasma nieszczęść. Był to jednak niemądry pomysł, a najlepszy dowód stanowił dom Louisa - spokojny i cichy, przykład prostej architektury Nowej Anglii, polyskiwał bielą w porannym słońcu.

Jacyś ludzie biegli w kierunku domu starego i kiedy Steve zjechał motorem na drugą stronę drogi, skrecając na podjazd Louisa, ujrzał wbiegającego na sąsiednią werandę mężczyznę, który zbliżył się do drzwi frontowych i natychmiast cofnął. I całe szczęście: w chwili później środkowa szyba drzwi eksplodowała i z otworu wylały się płomienie. Gdyby duren faktycznie otworzył drzwi, wybuch upiekłby go jak homara.

Steve zsiadł z hondy i wysunął podporke, na moment zapominając o Louisie. Jego uwagę przyciągnęła odwieczna tajemnica ognia. Wokół zgromadziło się pół tuzina ludzi; oprócz niedoszłego bohatera, który wciąż tkwił na trawniku Crandallow, reszta zachowywała pełen szacunek dystans. Teraz eksplodowały okna między werandą a domem. W powietrzu wirowały szklane drzazgi. Niedoszły bohater uskokczył i rzucił się do ucieczki. Płomienie ogarnęły wewnętrzną ścianę werandy niczym zachłanne rece; biała farba pokryła pecherze. Na oczach Steve'a jeden z rattanowych foteli zaczął dymić i stanął w ogniu.

Ponad trzask wybił się piskliwy, absurdalnie radosny okrzyk niedoszłego bohatera:

-Już po domu! Nie ocalimy go! Jeśli Jud tam jest, to już po nim! Setki razy ostrzegalem go przed kreozotem w kominie!

Steve otwierał właśnie usta, by krzyknąć, żeby ktoś wezwał straż pożarną, kiedy usłyszał odległe zawodzenie syren, i to wielu. Ktoś zdążył zawiadomić straż, lecz niedoszły bohater miał rację: domu nie daloby się już ocalić. Płomienie wystrzeliwały z kilku rozbitych okien, a zielone gonty frontowego ganku otoczyła niemal przejrzysta blona ognia.

Nagle Steve przypomniał sobie o Louisie i odwrócił się - ale gdyby Louis był w domu, czy nie pobiegłby na drugą stronę?

I w tym momencie dostrzegł coś samym kącikiem oka.

Za wyasfaltowanym podjazdem Louisa rozciągała się łąka, tworząca długie, łagodne nachylone zbocze. Tymotka, choć wciąż jeszcze jasnozielona, wyrosła wysoko, lecz Steve dostrzegł ścieżkę, przycięzoną równie starannie jak trawa na polu golfowym. Kreta drozka wiodła na szczyt wzgórza, biegnąc na spotkanie gęstego, ciemnego lasu, który zaczynał się tuż nad horyzontem. I właśnie tam, w miejscu gdzie jasna zielen tymotki przechodziła w ciemniejsze, gęstsze lasne poszycie, Steve dostrzegł jakiś ruch - przebłysk bieli, który zdawał się przesuwac. Zniknął niemal natychmiast po tym, jak zarejestrowało go oko, ale Steve odniósł wrażenie, że przez moment widział mężczyznę, niosącego biały tłumok.

To był Louis, oznajmił jego umysł z nagłą irracjonalną pewnością. To był Louis i lepiej biegnij po niego, i to szybko, bo stało się coś bardzo złego, a niedługo wydarzy się coś jeszcze gorszego. Jeśli go nie powstrzymasz.

Stał niezdecydowanie na końcu podjazdu, przebierając nogami. Jego ciało kołysało się niepewnie.

Steve, mój maty, robisz w gacie ze strachu, prawda?

Owszem, robił. Był śmiertelnie przerażony i to bez żadnego powodu. Ale czuł też jakies dziwne... dziwne

(przyciąganie)

tak, przyciąganie. Ta ścieżka, wiodąca na szczyt i może dalej, w głąb lasu. Musiała przecież dokąds prowadzić. Oczywiście. Wszystkie ścieżki dokąds zmierzają.

Louis. Nie zapominaj o Louisie, durniu. To z nim przyjechałeś się zobaczyć. Nie przybyłeś do Ludlow, żeby badać jakies pieprzone lasy.

-Co tam masz, Randy? - zawołał niedoszły bohater. Jego głos, przenikliwy i pełen optymizmu, znakomicie niosł się w powietrzu.

Jekliwe zawroźnienie syren niemal zupełnie zagłuszyło odpowiedź Randy'ego.

-Martwego kota.

-Spalonego?

-Nie wygląda na spalonego - odparł Randy. - Po prostu zdechl.

A umysł Steve'a natychmiast powrócił do tego, co widział bądź zdawało mu się, że widział - zupełnie jakby rozmowa po drugiej stronie drogi miała z tym coś wspólnego. To był Louis.

Ruszył truchtem ścieżka w stronę lasu, zostawiając za sobą pozar. Nim dotarł między drzewa, zdążył solidnie się spocic i cien wydał mu się cudownie chłodny. W powietrzu czuć było słodką won sosny i jodeł, żywicy i kory.

Już w lesie pusczył się prawdziwym biegiem, nie wiedząc, dlaczego tak mu śpieszno, czemu serce tłucze się w piersi. Oddech ze świstem ułatywał mu z ust. Kiedy ścieżka opadła, zdolał nawet przyspieszyć do sprintu - droga była niezwykle wyraźna - ale pod lukowate wejście na Cmentarz Zwierząt dotarł już tylko szybkim marszowym krokiem. Wysoko na prawym boku, tuż pod pacho, chwycił go kolka.

Jego oczy ledwie zarejestrowały kregi grobow, prostokąty rozprostowanej blachy z puszek, kawałki desek i lupku. Całą uwagę skupił na niezwykle widoku po drugiej stronie kolistej polany. To był Louis, wspinający się na wiatrolom, najwyraźniej wbrew wszelkim prawom grawitacji. Wchodził na stromy stos drewna powoli, krok za krokiem, spoglądając wprost przed siebie niczym człowiek poddany hipnozie lub spacerujący we śnie. W ramionach trzymał biały tłumok, który Steve dojrzał wcześniej kątem oka. Z tak bliska nie dałoby się z niczym pomylić jego kształtu - to był trup. Spod tkaniny wystawała jedna stopa, obuta w czarny pantofel na niskim obcasie. I Steve z nagłą, przerażającą pewnością pojął, iż Louis dzwiga Rachel.

Włosy Louisa zupełnie zbieleły.

-Louis! - krzyknął Steve.

Tamten nie zawahał się, nie zatrzymał. Dotarł na szczyt wiatrolomu i natychmiast zaczął schodzić z drugiej strony.

Zaraz upadnie, myślał metnie Steve. Dotąd miał szczęście, niewiarygodne szczęście, ale wkrótce spadnie i jeśli złamie tylko nogę...

Louis jednak nie upadł. Dotarł na drugą stronę wiatrolomu, na chwilę zniknął Steve'owi z oczu, po czym znowu się ukazał, maszerował w stronę lasu.

-Louis! - ryknął ponownie Steve.

Tym razem Louis zatrzymał się i odwrócił.

Steve nie mógł wykrztusić ani słowa, wstrząsnięty tym, co zobaczył. Pod białymi włosami twarz Louisa była twarzą starego człowieka.

Z początku w jego oczach nie dostrzegł zainteresowania, zupełnie jakby tamten go nie poznawał. Pojawiło się stopniowo, jak gdyby ktoś powoli przekreślał opornik w jego mózgu.

Usta Louisa zadrzały. Po chwili Steve pojął, że tamten próbuje się usmiechnąć.

-Steve - powiedział niepewnym, zalamującym się głosem. - Witaj, Steve. Zamierzam ją pochować. Chyba będę musiał to zrobić gołymi rękami. To może potrwać aż do zmroku. Tamtejsza ziemia jest bardzo kamienista. Nie przypuszczam, żebyś zechciał mi pomóc?

Steve otworzył usta, lecz nie dobieł się z nich żaden dźwięk. Mimo zdumienia i przerażenia odkrył, że rzeczywiście chce mu pomóc. Z jakiejś przyczyny tu, w tym lesie, zdawało się to całkiem rozsadne... zupełnie naturalne.

-Louis - wykrztusił w końcu - co się stało? Chryste Panie, co się stało? Czy ona... czy zginęła w pożarze?

-Z Gage'em zwlekalem za długo - ciągnął Louis. - Coś w niego wstąpiło, bo za długo zwlekalem. Ale z Rachel będzie inaczej, Steve. Ja to wiem.

Zachwiał się lekko i Steve ujrzał, że jego przyjaciel oszalał - ujrzał to bardzo wyraźnie. Louis był szalony i koszmarnie zmęczony. Z niewiadomych przyczyn jednak tylko to drugie miało jakiegokolwiek znaczenie dla jego własnego, oszalonego umysłu.

-Przydalaby mi się pomoc - powiedział Louis.

-Louis, nawet gdybym chciał ci pomóc, nie zdołałbym wspiąć się na ten stos drewna.

-Ależ tak - odparł Louis. - Zdołałbys. Trzeba tylko stąpać pewnie i nie patrzeć w dół. To cały sekret, Steve.

Potem odwrócił się i choć Steve wykrzyknął jego imię, Louis ruszył naprzód i zagłębił się w las. Przez kilka chwil Steve'owi wydawało się, że dostrzega między drzewami błysk bieli; później i on zniknął.

Steve podbiegł do wiatrolomu i zaczął się wspinać, nie zastanawiając się nawet, co robi. Najpierw starał się wdrapywać na czworakach, wyszukując rękami uchwyty, po chwili jednak wstał. Wtedy ogarnęło go szalencze podniecenie - zupełnie jakby odetchnął czystym tlenem. Wierzył, że mu się uda - i udało się. Stąpając szybko i pewnie, dotarł na szczyt. Stał tam przez moment, kołysząc się lekko i patrząc, jak Louis wedruje ścieżką - ścieżką, która zaczynała się na nowo u stop wiatrolomu.

Louis odwrócił się i spojrzał na Steve'a. W ramionach trzymał żonę, zawiniętą w zakrwawione przescieradło.

-Możesz usłyszeć jakieś dźwięki - powiedział. - Brzmia jak głosy, ale naprawdę to tylko nury na południu Wzgórza Widokowego. Dźwięk daleko się niesie. Jest dziwny.

-Louis...

Ale Louis już odszedł.

Przez moment Steve o mało nie poszedł za nim - był tego bardzo, bardzo bliski.

Mogłbym mu pomóc, jeśli naprawdę tego chce... i pragnę mu pomóc, o tak, taka jest prawda, bo dzieje się tu coś więcej, niż się zdaje, a ja chcę wiedzieć co. Mam wrażenie, że to bardzo... no coś... bardzo ważne. To sekret. Tajemnica.

I wtedy pod jego nachyloną ukośnie stopą pękła gałązka, z suchym, zgrzytliwym trzaskiem przypominającym wystrzał z pistoletu startowego. Dźwięk ten spowodował go z powrotem na ziemię, do tego, gdzie jest i co dokładnie robi. Ogarnęła go gwałtowna fala paniki. Odwrócił się chwiejnie, wymachując rękami, by utrzymać równowagę. Usta i gardło oblepił mu gesty strach; twarz wykrzywiła się w grymasie przerażenia, jak u człowieka, który ocknął się ze snu, by odkryć, że nieswiadomie zawedrował na skraj dachu wieżowca.

Ona nie żyje i myślę, że Louis chyba ją zabił, Louis oszalał, kompletnie oszalał, ale...

Ale było tu coś jeszcze, coś gorszego niż szalenstwo; znacznie, znacznie gorszego. Zupełnie jakby gdzieś w tych lasach tkwił ukryty magnes, który przyciągał umysł Steve'a. Próbował sięgnąć go w miejsce, do którego Louis zabierał Rachel.

No dalej, stary, chodź... chodź tą ścieżką i przekonaj się, dokąd prowadzi. Mamy ci tam do pokazania różne rzeczy, Steverino, rzeczy, o których nigdy ci nie mówiono na spotkaniach Towarzystwa Ateistycznego w Lake Forest.

A potem, może dlatego, że miejsce to miało już dość pozerania jak na jeden dzień, jego zew w umyśle Steve'a po prostu ucichł. Steve zrobił dwa chwiejne, niepewne kroki z powrotem w dół wiatrolomu. Nagle kolejne galezie ze zgrzytem i trzaskiem ustąpiły pod jego ciężarem i lewa stopa wpadła między splątane martwe drzewa; ostre drzazgi zdarły z niej adidasa, a kiedy z trudem wyrwał stopę, wbily się głęboko w jego ciało. Głowa naprzód runął na Cmetarz Zwieżat, o włos unikając zderzenia z kawalkiem skrzynki po pomarańczach, który z łatwością mógł wbic mu się w brzuch.

Zerwał się na nogi i oszolomiony obejrzał za siebie, zastanawiając się, co się z nim stało... i czy w ogóle cokolwiek się stało. Nawet wtedy wszystko to zaczynało przypominać sen.

I wtedy z głębokiej puszczy za wiatrolodem, puszczy tak gęstej, że nawet w najjasniejsze dni panował w niej jedynie metny, zielony półmrok, dobiegł go niski, złowieszczy chichot. Był donosny, ogluszający. Steve nie potrafił wyobrazić sobie stworzenia, które mogłoby wydać z siebie podobny odgłos.

Rzucił się biegiem, z jedną stopą bosa, a druga obuta, niczym chłopczyk z dziecięcej rymowanki. Próbował krzyczeć, lecz z jego gardła nie dobył się żaden głos. Wciąż biegł, gdy dotarł do domu Louisa i wciąż próbował wrzeszczeć, kiedy w końcu zdołał uruchomić motor i wypadł na trasę numer 15, gdzie o mało nie zderzył się z nadjeżdżającym z Bangor

wozem strazackim. Pod kaskiem ochronnym jego wlosy jezily sie ze strachu.

Nim dotarl do swego mieszkania w Orono, fakt, ze w ogole pojechal do Ludlow, zdazyl juz zatrzec sie w jego pamieci. Zadzwonil do przychodni, oznajmil, ze jest chory, zazył pigulke i polozyl sie spac.

Steve Masterton nigdy tak naprawde nie zdolal przypomniec sobie tego dnia... chyba ze w glebokim snie, takim, jaki nadchodzi nad ranem. Wowczas w snach wyczuwal, ze obok niego przecisnelo sie cos wielkiego - cos, co siegnelo ku niemu... a potem, w ostatniej sekundzie, cofnelo swa nieludzka reke.

Cos o ogromnych zoltych oczach, swiecacych niby reflektory przeciwmgielne.

Czasami Steve budzil sie z krzykiem, wybaluszajac oczy; myslal wowczas: Wydaje ci sie, ze krzyczysz, ale naprawde to tylko glosy nurow na poludniu Wzgorza Widokowego. Dzwiek daleko sie niesie. Jest dziwny.

Nie wiedzial jednak, nie mogl sobie przypomniec, co oznaczaja podobne mysli. W rok pozniej przyjal prace w St. Louis, po drugiej stronie kraju.

Od chwili gdy ostatni raz ujrzal Louisa Creeda, az do wyjazdu na Srodkowy Zachod, Steve ani razu nie postawil nogi w miasteczku Ludlow.

EPILOG

Policja zjawila sie poznym popoludniem. Zadawali pytania, ale nie wspominali o zadnych podejrzeniach. Popioloy byly wciaz gorace, zbyt gorace, by w nich grzebac. Louis odpowiedzial na wszystko, o co go pytali. Sprawiali wrazenie zadowolonych. Rozmawiali na dworze, a on mial na glowie kapelusz. To dobrze. Gdyby ujrzeli jego siwe wlosy, mogliby miec wiecej pytan. To nie byloby dobre. Na dlonie wsunal rekawice ogrodowe. Tak tez bylo dobrze. Rece mial zniszczone i zakrwawione. Caly wieczor stawal pasjans. Juz dawno minela polnoc.

Wlasnie na nowo rozkladal karty, gdy uslyszal, jak otwieraja sie tylne drzwi.

Co kupisz, to twoje, a to, co twoje, wczesniej czy pozniej do ciebie wroci, pomyslal Louis Creed.

Nie odwracal sie. Patrzyl w karty, podczas gdy powolne, ciezkie kroki zblizaly sie coraz bardziej. Dostrzegl dame pik. Polozyl na niej dlon.

Kroki zatrzymaly sie tuz za nim.

Cisza.

Na ramie Louisa spadła zimna reka. Głos Rachel brzmiał zgrzytliwie, była w nim ziemia.

-Kochanie - powiedziała.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-01-27

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/